



Graal

Nelson
DeMille

GRAAL

NELSON DEMILLE

Przełożył
Leszek Karnas



Warszawa 2015

SPIS TREŚCI

Od autora

Część I. Etiopia, październik 1974

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Część II. Rzym, grudzień 1974

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Część III. Etiopia](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Cześć IV. Poszukiwanie](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Cześć V. Rzym, luty](#)

[Rozdział 56](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

OD AUTORA

Wcześniejsza wersja tej powieści opublikowana została prawie czterdzieści lat temu, a gdy nad nią pracowałem, opisane tu wydarzenia historyczne – rewolucja i wojna domowa w Etiopii – rozgrywały się na bieżąco. Hajle Sellassje, cesarz tego kraju znany jako Lew Judy, został wówczas zdetronizowany i zmarł w więzieniu, a Etiopia pogrążyła się w chaosie.

Jako absolwent historii i nauk politycznych, a zarazem człowiek uzależniony od najświeższych doniesień prasowych, zainteresowałem się Etiopią – kolebką odizolowanej przez tysiąclecia, niemal biblijnej cywilizacji, która wkroczenie w dwudziesty wiek okupiła krwią. Niektórzy z moich włoskich przodków walczyli w Etiopii podczas inwazji w 1895 roku, a także w roku 1936, gdy kraj ten podbiła armia Mussoliniego. Historia rodzinna wzbudziła zatem moje żywe zainteresowanie Etiopią i pomyślałem o napisaniu powieści, w której tle pojawiłby się wątek etiopskiej dynastii królewskiej ginącej z rąk marksistów po trzech tysiącach lat panowania – powieści przypominającej klimatem *Doktora Żywago*, którego właśnie wtedy przeczytałem. Teraz, czterdzieści lat później, widzę, że to dzieło o wojnie, miłości i stracie jest ponadczasowe.

Pracując nad swoją powieścią, pozwoliłem sobie na nieco literackiej swobody, lecz opisane w niej wydarzenia historyczne są prawdziwe – a przynajmniej miały miejsce według mediów, które stanowiły dla mnie główne źródło informacji. Dla zwiększenia dramatyzmu wymyśliłem również pewne szczegóły dotyczące topografii i geografii, lecz na mapach Etiopii z 1975 roku było jeszcze wiele białych plam, a kraj ten był w owych czasach wciąż niebezpieczny – stanowił więc doskonale tło wyprawy do jądra ciemności.

CZĘŚĆ I

ETIOPIA, PAŹDZIERNIK 1974

- Cóż to? Widmo pucharu, co jest i go nie ma?
- Nie, mnichu! Jakie widmo? – zapytał Percewal.
- To puchar, wszak to ten jest, co z niego Pan nasz pił podczas Ostatniej Wieczerzy; jakże smutna była...

Wiedz, że puchar ów Józef, co z błogosławionej
arymatejskiej krainy pochodził,
podróżując, dostarczył aż do Glastonbury...
Tam ów puchar zostawił, a gdy który z ludzi
dotknął go albo ujrzał, zdrowiał w jednej chwili
uwolnion od boleści za sprawą swej wiary.
Ale potem nastąpiły tak okrutne czasy,
że zabrano do nieba świętą czarę. Znikła.

Alfred Tennyson, *Święty Graal*, przeł. Leszek Karnas

ROZDZIAŁ 1

Sędziwy włoski ksiądz wczółgał się w kąt celi i okrył siennikiem. Na zewnątrz wyjące pociski artyleryjskie rozrywały miękką afrykańską glebę, a ich odłamki kruszyły kamienne ściany więzienia. Dookoła słychać było wybuchy. Rozgrzane kawałki metalu dziurawiły falistą blachę, którą pokryto dach budynku.

Stary kapłan skulił się jeszcze bardziej i jeszcze mocniej wtulił w żałośnie cienki siennik. Niespodziewanie ostrzał ustał. Starzec odetchnął z ulgą. Zakrzyknął po włosku do swoich strażników:

– Dlaczego do nas strzelają?! Kto atakuje?!

Lecz nie usłyszał odpowiedzi. Starszych Etiopczyków, tych, którzy mówili po włosku, ubywało z biegiem lat, przez co zza kamiennych ścian docierało do niego coraz mniej słów w jego ojczystym języku. Stary ksiądz uświadomił sobie, że nie usłyszał ani jednego włoskiego słowa od prawie pięciu lat. Zawołał jeszcze raz, najpierw zapamiętanymi strzępami języka amharskiego, a potem dialektu tigrinia:

– O co chodzi?! Co się dzieje?!

I tym razem nikt mu nie odpowiedział. Strażnicy nigdy się do niego nie odzywali, bo nie znaczył dla nich więcej niż ciała rozkładające się na dziedzińcu. Kiedy przez czterdzieści lat zadaje się pytania, na które nikt nie odpowiada, może to znaczyć tylko jedno: że jest się martwym. Ksiądz wiedział jednak, że strażnicy nie mieli śmiałości, by mu odpowiedzieć. Kiedyś jeden z nich uczynił to, wszedłszy pierwszy raz do jego celi. Było to czterdzieści lat temu? Może mniej; trudno było zliczyć... Stary ksiądz już nawet nie pamiętał tamtego człowieka. Nie mógł za to zapomnieć o jego czaszce, którą dostał od strażników. Służyła mu za kubek. Za każdym razem, gdy z niej pił, przypominał sobie życzliwość strażnika, który się do niego odezwał. Pamiętali też strażnicy napełniający osobliwe naczynie: pamiętali, by nie rozmawiać ze starcem. Ale on i tak pytał.

– Skąd ta wojna?! Uwolnicie mnie?! – zawołał jeszcze raz.

Utkwił wzrok w żelaznych drzwiach w ścianie naprzeciwko. Zamknęły się za młodym człowiekiem w 1936 roku, kiedy Etiopia była jeszcze włoską kolonią, i od tamtej pory nigdy się nie otworzyły. Używano tylko małego okienka zamontowanego w nich tuż nad podłogą; podawano przez nie posiłki i usuwano nieczystości. Światło, dźwięki i powietrze dostawały się do celi przez okno nie większe od dużej książki – w rzeczywistości było ono pamiętką po brakującym kamiennym bloku i znajdowało się tak wysoko, że nie dało się przez nie wyrzeć.

Cały dobytek księdza składał się ze zdartej shammy, umywalki, tępych nożyczek

służących mu do obcinania włosów i paznokci oraz Biblii w języku włoskim, którą pozwolono mu zatrzymać, gdy go uwięziono. Wiedział, że bez niej już wiele lat temu postradałby zmysły. Przeczytał ją już sto, a może dwieście razy i pomimo pogarszającego się wzroku nauczył się każdego słowa na pamięć. Stary i Nowy Testament podnosiły go na duchu, pozwalały mu oderwać się od rzeczywistości, chroniły jego umysł przed zgnuśnieniem i były pokarmem dla jego duszy.

Starzec pomyślał o młodym człowieku, który przekroczył próg żelaznych drzwi w 1936 roku. Pamiętał każdy szczegół jego twarzy i każdy ruch ciała. Nocą rozmawiał z nim i wypytywał o jego rodziną Sycylię. Poznał młodego człowieka tak dobrze, że wnikał w jego umysł i odczucia, wiedział, do której szkoły chodził, z jakiej przybył wioski i ile lat miał jego ojciec. Młody człowiek oczywiście nigdy się nie postarzał, a jego opowieści brzmiały zawsze tak samo. Był jedynym człowiekiem, którego ksiądz znał na tyle dobrze, by móc zapamiętać jego młodą twarz. Ostatni raz ujrzał ją w lustrze blisko czterdzieści lat temu; od tamtej pory widywał ją już tylko w myślach. Zaszlochał.

Po chwili otarł łzy brudną shamą, oparł się znowu o ścianę i głęboko westchnął. Powrócił do rzeczywistości.

Wojny wybuchały i przetaczały się przez okolicę, ksiądz zaś zastanawiał się, jak wielkie zmiany musiały zajść w świecie pod jego nieobecność. Strażnicy starzeli się i umierali. Czas nie oszczędzał też młodych żołnierzy paradujących po dziedzińcu małej fortecy. Gdy był młodszy, potrafił o wiele dłużej utrzymywać się na krawędzi okiennego otworu. Teraz jednak nie był już w stanie wykrzesać z siebie dawnej energii, by podciągnąć się na rękach i wyglądać na zewnątrz dłużej niż kilka minut dziennie.

Ostrzał wywołał lawinę myśli. Stary ksiądz wiedział, że jego uwięzienie dobiega końca; jeśli nie zabije go wybuch, to zrobią to strażnicy, którym rozkazano to uczynić, jeśli nie będą już mogli dalej przetrzymywać go w więzieniu. Właśnie dotarły do niego głosy uciekających żołnierzy. Za chwilę strażnicy otworzą nieużywane do tej pory drzwi i spełnią swój obowiązek. Ale nie miał im tego za złe. Takie otrzymali rozkazy, więc im wybaczył. To, jak zginie, nie miało już dla niego znaczenia – jego ciało i tak go zawodziło. W kraju panował głód, przez co nie dojadł od ponad roku. Gdy kaszlał, słyszał bulgotanie w płucach. Czuł obecność śmierci – w swojej celi i na zewnątrz.

Najbardziej ubolewał na tym, że umrze w niewiedzy będącej wynikiem czterdziestu lat przebywania w mroku. Teraz wiedział o świecie mniej niż prosty wieśniak. Nie żałował, że musi umrzeć, i nie czuł szczególnego lęku przed śmiercią, lecz myśl o umieraniu, gdy się nie wie, jak zmienił się świat, była dla niego wyjątkowo smutna. Z drugiej strony – jego powołanie nie było z tego świata, zatem zmiany w świecie doczesnym nie powinny mieć dla

niego żadnego znaczenia. Mimo to chciałby dowiedzieć się czegoś o teraźniejszych sprawach ludzi. Ksiądz nie potrafił przestać myśleć o swych przyjaciółach, rodzinie i rządzących światem w ostatnich latach.

Owinął się shammą jeszcze ciaśniej. Słońce zachodziło i znad wyżyn powiał zimny wiatr. Mała jaszczurka, której odłamek urwał kawałek ogona, wdrapała się niezgrabnie na ścianę nad jego głową. Stary ksiądz usłyszał głosy żołnierzy. Rozmawiali po amharsku i zastanawiali się, który z nich będzie musiał go zabić, jeśli okaże się to konieczne.

Podobnie jak w przypadku wielu uwięzionych i skazanych na śmierć mężczyzn i kobiet, a także uświęconych męczenników, istniało coś, co odcisnęło na nim swoje piętno i pozwoliło księdzu przetrwać lata udręki. Odcisnęła je sekretna wiedza o pewnej rzeczy. Wiedza ta podnosiła go na duchu, a on chętnie oddałby kolejne czterdzieści lat życia, by móc jeszcze raz spojrzeć na to, co kiedyś zobaczył. Tak silna była jego wiara. Lata, które spędził w więzieniu, smuciły go, gdyż znały, że świat nie dowiedział się jeszcze o tej rzeczy. Gdyby było inaczej, przetrzymywanie go w więziennej izolacji nie byłoby już konieczne.

W chwilach smutku pragnął, by go zabito i oszczędzono mu bycia martwym za życia od tak wielu lat. Był jednak kapłanem; ci, którzy go pojмали – mnichami, a ci, którzy go uwięzili – cesarskimi żołnierzami i Koptami; musieli go zatem oszczędzić. Mnisi zabronili żołnierzom odzywać się do niego pod jakimkolwiek pozorem i ostrzegli ich, że każdego, kto złamie ten zakaz, spotka śmierć. Kazali im też zabić księdza, jeśli przetrzymywanie go w izolacji stanie się niemożliwe. Ksiądz pomyślał, że ten dzień właśnie nadszedł. I ucieszył się, że wkrótce stanie przed obliczem swego ojca niebieskiego.

Niespodziewanie artyleria wznowiła ostrzał. Stary kapłan usłyszał głucho uderzenia i chrzęst kruszonych murów małej fortecy. Gdy w końcu obserwatorzy artylerii skorygowali pozycje, pociski zaczęły celniej trafiać w ściany budynku. Odgłos wystrzałów niknął w huku wybuchających stosów beczek z benzyną i skrzyń pełnych amunicji. Z zewnątrz dobiegały głosy żołnierzy krzyczących z bólu. Bliski wybuch wstrząsnął małą celą; jaszczurka oderwała się od ściany i spadła obok więźnia. Oghuszające eksplozje sparaliżowały jego umysł; teraz dostrzegał tylko jaszczurkę. Gad usiłował skoordynować ruchy okaleczonych części ciała i miotał się na drżącej polepie. W księdzu widok ten budził współczucie. Zdał sobie sprawę, że żołnierze mogli opuścić garnizon i pozostawić go na śmierć z głodu i pragnienia.

Fala uderzeniowa zerwała z dachu kawał falistej blachy i wyrzuciła go w purpurową zorzę. Starzec usłyszał wrzawę dochodzącą zza żelaznych drzwi, które niemal niezauważalnie się poruszyły. Zapatrzył się w nie. Drzwi poruszyły się ponownie i rozległo się skrzypienie zardzewiałego metalu przebijające się przez piekielny hałas. Czterdzieści lat to kawał czasu;

drzwi nie miały zamiaru ustąpić. Krzyki wzmożyły się i po chwili ucichły. Ksiądz dostrzegł ruch klapy w drzwiach powoli przesuwał się do góry. Szli po niego. Przycisnął Biblię do piersi.

Wysoki, wychudzony Etiopczyk wpełzł przez otwór do celi, przypominając starcowi jaszczurkę. Mężczyzna wstał, spojrzął na więźnia i wydobył zza pasa zakrzywiony miecz. Stary kapłan dostrzegł w półmroku rysy twarzy żołnierza. Był on bez wątpienia Amharem i potomkiem Chamitów. Zakrzywiony nos i wysoko osadzone kości policzkowe upodobały go wprawdzie do Semitów, ale gęste czarne włosy i śniada cera zdradzały, iż pochodzi od Chama. Odziany w shamę mężczyzna z mieczem w ręku wyglądał jak biblijna postać, a stary ksiądz pomyślał, że tak właśnie powinno być, chociaż nie wiedział dlaczego.

Kapłan podniósł się, tuląc Biblię; kolana trzęsły mu się tak bardzo, że ledwie stał. Zauważył, że ma zupełnie wyschnięte usta. Zaskoczył Etiopczyka, krocząc z rozmysłem w jego stronę. Wolał umrzeć szybko i z godnością. Gonitwa po celi i zasłanianie się rękami przed ciosami scimitara byłyby czymś groteskowym.

Etiopczyk zawahał się. Wcale nie chciał spełnić swego obowiązku i zaczął się zastanawiać, czy nie ma sposobu, by się od niego wymigać. Wyciągnął jednak krótszą zapalną i musiał zostać katem. Co robić? Stary kapłan ukląkł i uczynił znak krzyża. Etiopczyk, należący do starożytnego Kościoła koptyjskiego, zaczął drzeć.

– Wybacz mi, ojcze – odezwał się, kalecząc język włoski.

– Wybaczam – odrzekł stary ksiądz i zaczął się modlić za obu strzępami dawno już zapomnianej łaciny.

Gdy ucałował Biblię, po jego policzkach spłynęły łzy.

Odgłos pobliskiego wystrzału przebił się przez milknące wybuchy armat. Ktoś krzyknął. Jeszcze jeden strzał, a potem serie z broni automatycznej.

– To Oromowie – powiedział po włosku żołnierz.

Jest przerażony, i słusznie, pomyślał ksiądz. Pamiętał Oromów. Byli równie bezlitośni, co starożytni Hunowie. Okaleczali pojmanych przed zadaniem im śmierci.

Ksiądz podniósł wzrok. Spojrzął na żołnierza trzymającego miecz i zauważył, że mężczyzna trzęsie się ze strachu.

– Zrób to! – krzyknął.

Żołnierz upuścił miecz i wyciągnął zza pasa staromodny pistolet. Cofnął się do drzwi, nasłuchując odgłosów dochodzących z zewnątrz.

Nie mógł się zdecydować. Wahał się: zostać w bezpiecznej celi czy wyjść i stanąć oko w oko z Oromami, którzy wtargnęli już do fortecy? Zabić księdza czy darować mu życie? Niewykonanie rozkazu groziło śmiercią.

Stary kapłan wołał umrzeć szybko – Oromowie na pewno by się nie spieszyli ani nie okazaliby mu litości. Wstał i odezwał się do żołnierza po amharsku:

– Zabij mnie! Szybko!

Wskazał palcem swoje serce.

Żołnierz zamarł, ale po chwili uniósł broń. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że gdy wystrzelił, kula poleciała zbyt wysoko i odłupała kawałek kamiennego ściany nad głową starca.

Sędziwy ksiądz wycierpiał już dostatecznie dużo. Poczuł, że wzbiera w nim złość. Przebywał tu, w odosobnieniu, od prawie czterdziestu lat i pragnął umrzeć szybko, nie tracąc wiary jak wielu, którzy zwątpili w ostatnich sekundach swego życia. Ale żołnierz nieudolnie próbujący spełnić swą powinność przedłużał agonię starca, ten zaś poczuł, że wiara zaczyna go opuszczać.

– Zrób to! – krzyknął.

Spojrzał na lufę pistoletu i dostrzegł kolejny błysk. Pomyślał o rzeczy, która odcisnęła piętno na jego życiu. Zapadła ciemność.

Ocknął się w poczuciu cudu: żył. Wybuch zerwał większą część dachu i odsłonił rozgwieżdżone niebo. Błękitnawa poświata księżycy kładła się na polepie zasypanej pokruszonymi ceglami. Panowała niezemska cisha. Nawet owady wyniosły się z fortecy.

Kapłan rozejrzał się i spróbował wymacać wśród gruzu swą Biblię. Na próżno. Pomyślał, że być może zabrał ją żołnierz.

Starzec podczołgał się do drzwi i ostrożnie przecisnął przez otwór przy podłodze. Zobaczył martwego żołnierza: Etiopczyk był nagi i pozbawiony genitaliów. Brak ubrania i okaleczenie świadczyły o tym, że wpał w ręce Oromów. Mogli wciąż być w pobliżu.

Starzec stanął chwiejnie na nogach. W błękitnej poświacie zobaczył dziedziniec zasłany nagimi ciałami. Palily go trzewia, lecz czuł się dobrze. Jak mógłby czuć się inaczej, gdy siedł pod gołym niebem i miał swobodę ruchu większą niż pięć kroków w dowolnym kierunku?

Chłodny powiew poderwał chmurę ceglanego pyłu, a stary ksiądz poczuł zapach spalonej ziemi i śmierci. Zrujnowane betonowe budynki świeciły bielą i wyglądały jak połamane zęby. Ksiądz wzdrygnął się i schował ręce pod *shammą*. Był zziębnięty; poczuł lepkosć na swojej skórze. Wiedział, że jego *shamma* przesiąkła krzepnącą krwią, więc zaczął poruszać się wolniej, by nie otworzyć rany.

Minęło już czterdzieści lat, ale starzec pamiętał drogę. Ruszył w kierunku głównej bramy. Była otwarta. Kapłan wyszedł przez nią, jak w każdym ze swoich pięciu tysięcy snów. Był wolny.

ROZDZIAŁ 2

Jeep podskakiwał powoli na drodze porożytnej koleinami, a jego przysłonięte reflektory wyluskiwały szlak wśród gęstej roślinności dżungli. W oddali grzmiała artyleria rozświetlająca nocne niebo jak błyskawice dalekiej burzy.

Frank Purcell ścisnął kierownicę i wpatrywał się w zniekształcone cienie koślawych drzew i wijących się pnączy. Nagle nacisnął hamulec, wyłączył silnik i zgasił światła.

– Co się stało? – zapytał siedzący obok Henry Mercado.

Purcell uniósł tylko rękę, nakazując mu milczenie.

Zdenerwowany Mercado wbił wzrok w dżunglę, w której każdy cień zdawał się poruszać. Podniósł siwą głowę i zaczął nasłuchiwać, a potem zerknął w ciemność kątem oka, lecz niczego nie zauważył.

Z tyłu pojazdu o otwartych bokach, na plandece zarzuconej zapasami i sprzętem fotograficznym, rozległ się subtelny kobiecy głos:

– Wszystko w porządku?

Mercado obrócił się na siedzeniu.

– Tak – odpowiedział.

– Więc dlaczego stoimy?

– Dobre pytanie – wyszeptał Mercado. – Frank, dlaczego stoimy?

Purcell nie odpowiedział. Uruchoił silnik i wrzucił bieg. Samochód z napędem na cztery koła wgrzył się w koleiny i ruszył do przodu. Purcell dodał gazu; pojazd zaczął jeszcze bardziej podskakiwać. Mercado wczepił się w siedzenie, a Vivian podniosła się i usiadła, szukając w ciemności czegośkolwiek, czego mogłaby się przytrzymać.

Jechali tak kilka minut. Nagle Purcell szarpnął kierownicą w prawo. Jeep przebił się przez gęstwinę wysokich zarośli i zatrzymał na polanie.

– Frank, co ty, do diabła, wyprawiasz? – zapytała Vivian.

Na środku polany wznosiły się bielejące w świetle księżyca ruiny starego włoskiego uzdrowiska, w którym zażywano kiedyś kąpeli mineralnych. Było ono dziwaczną, nietypową pamiątką włoskiej okupacji; wybudowany w stylu rzymskim obiekt popadał w ruinę, zupełnie jak łaźnie Cezara w innych miejscach i czasach.

Purcell skierował jeepa w stronę największego z budynków i przyspieszył. Pojazd podskakiwał w wysokich trawach, a otynkowany ośrodek wczasowy rósł w oczach.

Jeep dotknął kołami szerokich frontowych schodów i zaczął się na nie wdrapywać.

Przemknął pomiędzy dwiema żłobionymi kolumnami, minął portyk z gładkiego kamienia i wjechał do środka, by zatrzymać się pośrodku wielkiego holu hotelowej części uzdrowiska. Purcell wyłączył silnik i zgasił światła. Nocne stworzenia na chwilę zamilkły, by zaraz znów napełnić dżunglę niedorzeczną kakofonią swych głosów.

Przez zniszczone sklepienie wpadało do wnętrza eteryczne, niebieskawe światło księżyca rozjaśniające pseudorzymskie pomieszczenie. Wszystkie ściany ozdobione były wielkimi, podniszczonymi freskami przedstawiającymi sceny kąpeli, nawiązujące do antycznych malowideł. Purcell otarł twarz wilgotną dłonią.

– O co tu chodzi? – odezwał się Mercado.

Purcell wzruszył tylko ramionami.

Vivian doszła już do siebie i roześmiała się szyderczo z tyłu jeepa.

– Myślę, że dzielny facet stracił odwagę w ciemnej dżungli – powiedziała.

Mówiła na ogół z brytyjskim akcentem, choć zdarzało jej się wymawiać niektóre słowa w egzotyczny sposób. Mercado powiedział Purcellowi, że nie wie, który język jest ojczystym językiem Vivian. Równie tajemnicze było dla niego jej pochodzenie, chociaż posługiwała się szwajcarskim paszportem z nazwiskiem Smith.

– Tajemnicza kobieta – powiedział Mercado.

– Wszystkie są takie – odparł Purcell.

Mercado wyskoczył z jeepa i się przeciągnął.

– Wyjechaliśmy z dżungli, ale jesteśmy jeszcze w lesie – stwierdził.

Jego osobliwy śródatlantycki akcent był typowy dla ludzi, których całe życie upływa w podróży pomiędzy Wyspami Brytyjskimi a Ameryką Północną. Matka Mercado była Angielką, a ojciec Hiszpanem – stąd nazwisko. Mercado spędził jednak większą część młodości w szwajcarskiej szkole z internatem i mówił płynnie również po francusku, włosku i niemiecku.

Frank Purcell przesłonił papierosa dłonią i zapalił go. W świetle zapalniczki wyglądał na więcej niż trzydzieści parę lat. Wokół jego ust i ciemnych oczu rysowały się już zmarszczki, a kędzierzawe czarne włosy poprzetykane były srebrnymi nitkami; sprawiał wrażenie zmęczonego. Zapadł się w fotel i wypuścił długą smugę dymu.

– Właściwie co to za miejsce? – zapytał.

Mercado przechadzał się miarowym krokiem po wyłożonej mozaiką podłodze wielkiego holu.

– To łaźnie rzymskie – powiedział. – A twoim zdaniem, stary?

– Łaźnie rzymskie.

– Sam widzisz – skwitował Mercado. – Cholerni faszyści zbudowali je w ramach swojej

misji cywilizacyjnej w 1936. O ile dobrze pamiętam, kiedyś napisałem o tym artykuł. Takie łaźnie spotyka się tu w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Ruszcie się! Jeśli mineralne źródła jeszcze nie wyschły, urządzimy sobie przyjemną kąpiel.

Purcell wygramolił się z jeepa.

– Mów trochę ciszej, Henry – powiedział.

– Nie mogę mówić ciszej, kiedy ja jestem tu, a wy tam, prawda, Frank? Chodźcie, rozejrzemy się.

Vivian dołączyła do Mercado przed kolumnadą prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec. Purcell kroczył wolno po podłodze zasypanej gruzem. Pięć lat pracy w roli korespondenta wojennego w Indochinach wypaliło jego dawną fascynację ruinami. Ostatnimi, które go zainteresowały, były szczątki kambodżańskiej świątyni Angkor Wat; Purcell przypłacił tamtą wycieczkę rocznym pobytom w jenieckim obozie Czerwonych Khmerów. W ten sposób odebrano Purcellowi kawał życia i wiele innych rzeczy, a wśród nich – wszelkie złudzenia co do swoich bliźnich.

Dogonił Mercado i Vivian, którzy szli powoli przez kolumnadę skąpaną w księżycowym świetle. Obeszli stojący na środku posąg Neptuna z uniesionym trójzębem. Dalej kolumnada zakręcała pod kątem prostym, a gdy minęli narożnik, usłyszeli delikatny plusk wody.

– Mamy szczęście – oświadczył Mercado. – Czuję siarkę. Przed nami kąpiel.

Vivian stanęła na niskiej marmurowej ławce i rozejrzała się po dziedzińcu.

– Tak, widzę parę – powiedziała. – Tam, za drzewami.

Przecięli dziedziniec, idąc w kierunku szpaleru eukaliptusów. Rozległą powierzchnię, wyłożoną niegdyś białym kamieniem, obrosły porosty i trawy. Nad gąszczem żywopłotów górował Janus o dwóch obliczach; posąg rzucał monstrualny cień, przez który szybko przeszli. Większość kolumn otaczających dziedziniec pokrywały pnącza. Wszędzie poniewierały się fragmenty roztrzaskanych figur rzymskich bogów i bogiń. Można było odnieść wrażenie, że tak wyglądał średniowieczny Rzym, w którym pasterze pędzili stada przez cesarskie budowle zarośnięte gęstą roślinnością.

Przeszli obok wyschniętej fontanny stojącej w pełnym melancholii ogrodzie i minęli dwa eukaliptusy. Zobaczyli przed sobą kamienną balustradę wiodącą do skracających schodów. Zeszli po rozsypujących się stopniach i ujrzeli basen o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych. Oparę siarki prawie uniemożliwiły oddychanie.

Zbliżyli się do basenu. Woda wydawała się zupełnie czarna, a księżyc rozświetlał jedynie grzbiety delikatnych fal na jej powierzchni. Wielka kamienna ryba niezmiernie spragnionej niecki. Odgłos spływającej wody odbijał się echem od ściany po drugiej stronie basenu.

– Śmierdzi – zauważył Purcell.

– Ech, wy jankesi – odparł Mercado. – Dla was wszystko musi pachnieć jak dezodorant. Te łaźnie są kontynuacją starożytniej europejskiej tradycji i jedyną poza drogami dobrą rzeczą, którą Mussolini zrobił dla tego kraju.

– Tutejsze drogi też śmierdzą – powiedział Purcell, prężąc muskularne ciało.

Vivian zrzuciła ubranie w kolorze khaki. Stała naga na brzegu basenu. Jej śnieżnobiała skóra wyglądała w świetle księżyca jak delikatny, wypolerowany alabaster.

Purcell patrzył na Vivian przez kilka sekund. Od chwili gdy trzy dni wcześniej opuścili Addis Abebę i wyruszyli na tę wyprawę w poprzek kraju, Purcell widywał nagą Vivian za każdym razem, gdy się zatrzymywali, by zażyć kąpeli. Początkowo czuł się zaskoczony owym brakiem skrupowania, ale dziewczyna nalegała, by towarzysze podróży nie okazywali jej specjalnych względów.

Mercado usiadł na omszonej ławce i zaczął zdejmować buty. Purcell przysiadł naprzeciwko; od czasu do czasu omiatał Vivian krótkim spojrzeniem. Oceniał jej wiek na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat – musiała zatem mieć około szesnastu, gdy w 1965 roku wysiadł na sajońskim lotnisku Tan Son Nhut, trafiając w serce wojennej zawieruchy. Czuł się przy niej staro. Myślał: kim jest? Vivian miała kaukaskie rysy twarzy i białą skórę, natomiast jej powieki przypominały kształtem migdały, a czarne włosy były długie, proste i gęste jak u wschodnich Azjatów albo rdzennych Amerykanów. Ale jej oczy... Czy Vivian miała ciemnozielony kolor. Purcell zastanawiał się, czy taka kombinacja w ogóle jest możliwa z genetycznego punktu widzenia.

Vivian uniosła ramiona i zaczęła wdychać opary.

– A jednak śmierdzi, Henry – stwierdziła.

– Odświeża i jest dobre dla zdrowia. Wdychaj.

Vivian wzięła głęboki oddech.

– *Graviora quaedam sunt remedia periculis* – rzekła.

Purcell zerknął na Vivian. Bez wątpienia mówiła po łacinie. Był to nowy język w jej repertuarze.

Zapytał Mercado:

– Co powiedziała?

Mercado, siłujący się z butem, podniósł wzrok.

– Co? Aha. Leczenie jest gorsze od choroby – wyjaśnił, uwalniając stopę.

Purcell nie odpowiedział.

– Nie czuj się gorszy, stary – rzekł Mercado. – Ona nie zna łaciny, tylko jedno, może dwa zdania. Tylko się popisuje.

– Przed kim?

– To jasne: przede mną.

Purcell zdjął buty i spojrzał na Vivian. Siedziała nad basenem i właśnie sprawdzała temperaturę wody, wkładając do niej palce.

– Ciepła! – zawołała.

Mercado zsunął szorty i zbliżył się po cichu do brzegu basenu. Purcell zauważył, że ciało jego towarzysza zaczęło zdradzać oznaki starzenia. Ile mógł mieć lat? Był tu, w Etiopii, podczas włoskiej inwazji w 1935 roku, więc musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt. Purcell zerknął na Vivian, potem znowu na Mercado, zastanawiając się, czy tych dwoje coś łączy. Zsunął szorty i stanął obok Mercado.

Siedząca metr dalej Vivian wstała, uniosła się na palcach i podniosła rękę. Spojrzała w niebo i wykrzyknęła:

– Tam piekło, tam ciemność, tam otchłań siarki; tam wszystko płonie, parzy, cuchnie, niszczy! ¹

Rzuciła się do przodu. Czarna, ciepła woda mineralna niemal bezgłośnie otuliła jej ciało.

Mercado pochylił się i dotknął wody.

– To był Szekspir, Frank – powiedział. – Król Lear opisał tak waginę.

– Mam nadzieję, że to nie był jego tekst na podryw.

Mercado się roześmiał.

Purcell wskoczył do basenu i zaczął płynąć. Ciepła woda pachniała jak zepsute jaja, lecz po chwili przykre wrażenie minęło. Purcell poczuł, że sływa z niego zmęczenie, a ciepło przyćmiło mu nieco umysł.

Mercado ruszył swe wielkie cielsko, wszedł do wody i zaczął pływać.

Purcell dryfował, leżąc na wznak. Poczuł się dobrze po raz pierwszy od kilku dni, a może nawet tygodni. Delikatne prądy wody zabierały go ze sobą, a unosząca się para przyprowadzała o senność. Słyszał rozbawioną Vivian; jej okrzyki zwierzęcej radości odbijały się echem od otoczenia. Purcell chciał ją poprosić, by zachowywała się ciszej, ale nie wiedzieć czemu przestało to mieć dla niego znaczenie. Poczuł, że sztywnieje mu członek. Odwrócił się na brzuch i podpłynął do platformy na środku basenu. Była zanurzona na kilka centymetrów. Purcell wdrapał się na nią, ułożył na plecach i zamknął oczy.

Tuż obok pojawił się Mercado.

– Żyjesz, Frank? – zapytał.

Purcell otworzył oczy. Dostrzegł wśród oparów twarz swego towarzysza.

– Powiedz jej, żeby się zamknęła – powiedział półprzytomny. – Ściągnie na nas Oromów z całej prowincji.

– Co? Aha. Ale Vivian śpi na brzegu basenu, Frank. Mówiłem jej o tym wcześniej. Coś ci się śniło?

Mercado zerknął na zegarek. Minęła już godzina.

– Stary, wracamy do jeepa – powiedział. – Martwi mnie skrzynia biegów.

– W porządku – odparł Purcell.

Odwrócił się. Miarowo wiosłując rękami, podpłynął do brzegu basenu i wyszedł z siarczanej wody. Dostrzegł śpiącą Vivian. Wciąż naga, leżała zwinęta jak embrion.

Mercado rozejrzył się.

– Na pewno gdzieś tu płynie słodka woda – powiedział. – Może w tamtej łaźni?

– Wolałbym się stąd wynieść, Henry. I tak już bardzo ryzykujemy.

– Oczywiście, masz rację, ale śmierzimy.

Purcell usiadł na marmurowej ławce pokrytej porostami i wytarł się swą kurtką safari. Mercado przysiadł się tuż obok. Jego nagość wprowadziła Purcella w zakłopotanie.

Mercado wycisnął nieco wody ze swych gęstych siwych włosów. Ruchem głowy wskazał śpiącą nagą Vivian i zapytał:

– Czy ona cię nie... krępuje?

Purcell wzruszył ramionami. Mercado nie palił się do wyjaśnienia swojej relacji z młodą damą, a Purcell nie był pewien, czy ma to dla niego znaczenie. Jednak był ciekaw. Rozwinął w sobie zawodową ciekawość typową dla reportera – nie miała ona nic wspólnego ze wścibstwem. W Addis Abebie zgodził się zawieźć Henry'ego Mercado i Vivian Smith na północny zachód kraju, gdzie wojna domowa najbardziej przybrała na sile, i nie zażądał wiele w zamian. Teraz poczuł jednak, że Mercado jest mu coś winien.

– Kim ona jest? – zapytał.

Tym razem to Mercado wzruszył ramionami.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – odpowiedział.

– Myślałem, że jest fotografką.

– Bo jest. Ale poznałem ją dopiero kilka miesięcy temu. W Hiltonie, w Addis Abebie. Nawet nie wiem, czy w ogóle potrafi fotografować. Zrobiliśmy mnóstwo zdjęć, ale niczego jeszcze nie wywołał. – Mercado roześmiał się. – Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy w jej aparacie jest klisza.

Purcell się uśmiechnął. Księżyc schował się za głównym budynkiem i przyjemna ciemność spowijała łaźnię. Delikatny wieczorny wiatr przyniósł zapach tropikalnych kwiatów i Purcell poczuł, że odzyskuje wewnętrzny spokój. Zastanawiał się, czy pojechałby do Indochin z własnej woli. Zapytał Mercado:

– Siedziałeś w więzieniu, prawda?

– Stary, to nie było więzienie. My, więźniowie polityczni, tak tego nie nazywamy. Jeśli chcesz o tym pogadać, to, na litość boską, używaj właściwego słowa: obóz. Brzmi lepiej. I bardziej dystygowanie. Jak na ironię, przydarzyło się to właśnie mnie – ciągnął Mercado.
– Bo wtedy sam byłem niezłym lewicowcem.

– Kiedy?

– Po wojnie. W styczniu 1946 Rosjanie złapali mnie we wschodnim Berlinie. A ja tylko fotografowałem kolejkę po żywność. Zimą 1946 takie kolejki stały w całej Europie, ale w robotniczym raju miało ich chyba nie być. Pieprzeni Ruscy rządzą tam wtedy... Ile? Jakieś dziewięć miesięcy? Trudno zbudować socjalistyczny raj w takim czasie i właśnie to im powiedziałem. Nie bierzcie tego do siebie, mówię. Bezdyskusyjnie pobiliście Hunów, więc co z tego, że stoją w kolejkach po chleb? Dobrze tak nazistom. Ale Ruscy chyba nie do końca zrozumieli mój punkt widzenia.

Purcell kiwnął głową z roztargnieniem.

– Otrzymałem z Reutera wycinki ze wszystkimi artykułami, które napisałem od czasów hiszpańskiej wojny domowej w 1936 – mówił dalej Mercado. – Moje najlepsze antyfaszystowskie teksty. W niektórych nie oszczędziłem miłych słów pod adresem bohaterkiej Armii Czerwonej. A nawet nie wiem, czy ci cholerni łachmaniarze cokolwiek przeczytali. Wiem tylko, że trafiłem na Syberię i wyszedłem dopiero w 1950 podczas którejś z wymian więźniów. Nie usłyszałem słowa przeprosin. Jednego dnia byłem numerem 168AM382, a następnego ponownie zostałem Henrym Mercado, londyńskim korespondentem Reutera z perspektywą sporej zaległej wypłaty. Cztery lata za pstryknięcie zdjęcia. Ja, miły lewicowiec z Cambridge. Fabian Society i takie tam... Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Purcell znów nie odpowiedział.

– Ile odsiedziałeś, Frank? – zapytał Mercado. – Rok w Kambodży? Cóż, nie możemy tego porównywać w latach, prawda? Piekło to piekło, a jak już się w nim znajdziesz, zamienia się w wieczność, zgadza się? Zwłaszcza gdy nie wiesz, ile będziesz musiał odsiedzieć. Wtedy nie możesz nawet odliczać dni do wyjścia.

Purcell skinął głową.

– Kim dla nich jesteś? – retorycznie zapytał Mercado. – Nikim. Poinformują cię, że zmarła twoja żona. Na pewno nie. Może nawet sami nie wiedzą, że jesteś żonaty. Nie wiedzą o tobie nic; wiedzą tylko, że jesteś numerem 168AM382 i musisz pracować. Kiedy więc twoja żona umiera na zapalenie płuc, penicylina jest na wagę złota, a kobieta nie może sama...

Mercado nagle urwał, a jego oczach pojawiło się zmęczenie.

– Cholerni czerwoni – rzekł niskim ochryplym głosem. – Cholerni naziści. Cholerni politycy. Nie wierz im, Frank. To dobra rada od starszego człowieka. Chodzi im tylko o twoje ciało i twoją duszę. Ciało nie jest ważne, ale dusza tak. I będzie należała do Boga, kiedy ją wezwie.

– Proszę, Henry... Tylko bez religii.

– Przepraszam. Wiesz, że jestem wierzący. Tamci księża w obozach... Prawosławni, baptyści, katolicy, rabin... Niektórzy siedzieli od lat dwudziestych. Utrzymywali mnie przy życiu, Frank. Mieli coś w sobie.

– Mnie w Kambodży utrzymywały przy życiu jaszczurki i stonogi – powiedział Purcell, wciągając spodnie i wstając. – Ruszajmy.

Odwrócił się i poszedł.

Ich rozmowa obudziła Vivian, która wstała i za plecami Purcella podeszła w ciemności do Mercado. Purcell usłyszał jej delikatny szept. Nie rozumiał słów, ale wyczuł uspokajający ton rozmowy tamtych dwojga. Biedny Henry, pomyślał. Siwy stary reporter w chwili słabości pocieszany przez dwa razy młodszą kobietę.

Mercado i Vivian ubrali się i pomaszerowali przez tonący w ciemnościach hol hotelu. Henry, który musiał poczuć się już lepiej, powiedział:

– Przyznaję temu miejscu trzy gwiazdki.

Nagle niebo na północy rozjaśniło się tak mocno, że cała trójka zatrzymała się i przykucnęła.

Spojrzeni w górę i zobaczyli flary na tle nocnego nieba. Gdzieś na wzgórzach piechota rozpoczynała atak i raz jedna, a raz druga strona zawieszała w powietrzu sztuczne słońca, które miały oświetlić drogę. Rozległy się strzały z broni automatycznej. Dostrzegli zielone i czerwone pociski smugowe przelatujące pomiędzy wzniesieniami. Głębokie, gardłowe i przytłumione odgłosy artylerii przetoczyły się przez uzdrowisko, a wybuchy rozświetliły wzgórze jak tysiące ognisk.

Purcell wpatrzył się w bliskie wzniesienia. Widział wznoszące się flary, które po chwili zaczynały wolno opadać na spadochronikach. Nawet po latach spędzonych w Indochinach widoki i odgłosy bitwy wywierały na nim wielkie wrażenie. Purcell stał jak zahipnotyzowany, patrząc na rozświetlone wzgórze i słuchając *crescendo* wystrzałów niosącego się w wieczornym powietrzu. Wszystko to przypominało mu spektakl światła i dźwięku – symfonię pobudzającej różne zmysły, którą tym razem wykonywano tylko dla niego.

– Kto kogo zabija dziś wieczorem? – zapytał Mercado.

– Czy to ważne?

– Nie, chyba nie – odparł Mercado. – Dopóki nie chodzi o nas. Powinniśmy zostać tu na

noc.

Vivian przytaknęła, a Purcell powiedział:

– W porządku. Znaleźliśmy armie, a rano zobaczymy, kto wygrał bitwę.

Weszli do głównego budynku. Jeep stojący na środku holu zbyt rzucił się w oczy. Purcell rozejrzał się, szukając miejsca, w którym można byłoby ustawić samochód i spędzić noc. Zauważył, że flary nie rozświetlają jednego z kątów holu. Podłoga pomiędzy jeepem a ciemnym kątem usłana była gruzem z sufitu, ale pokonanie tej przeszkody nie było czymś niemożliwym. Purcell stanął obok pojazdu i zaczął go pchać, nie chcąc włączać silnika, by nie narobić hałasu. Vivian usiadła za kierownicą, a Mercado pomagał Purcellowi.

Gdy jeep dotarł do granicy ciemności, flara rozświetliła hol. Ujrzeni mężczyznę stojącego naprzeciwko nich z ludzką czaszką w ręce.

ROZDZIAŁ 3

Ułożyli go na śpiworze rozścielonym między jeepem a ciemnym kątem. Vivian zaczęła karmić nieznajomego zimną zupą z puszki, Purcell zaś wyrzucił czaszkę przez okno.

Shamma mężczyzny była w strzępach, okryli zatem jego drżące ciało swym jedynym kocem. W ciemności nie zauważyli plamy zaschniętej krwi na shammie nieznajomego.

Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Podobnie wyglądało wielu Etiopczyków: mieli oni jasną skórę, prosty nos i semicko-chamickie rysy twarzy; niejeden, podobnie jak nieznajomy, nosił też brodę.

Mercado pochylił się i zapytał po amharsku:

– Kim jesteś?

Mężczyzna odezwał się w tym samym języku:

– *Weha*.

Wody. Mercado napił nieznajomego wodą z manierki. Sięgnął do jeepa po latarkę i oświetlił twarz mężczyzny.

– To nie Etiopczyk – powiedział. – W każdym razie nie jest Amharem. Może to Arab z Erytrei. Znam kilka...

– *Italiano* – rzekł starzec.

Zapadła długa cisza.

Mercado kucnął przy nieznajomym i zaczął powoli pytać po włosku:

– Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś? Jesteś chory?

Nieznajomy zamknął oczy i nie odpowiedział.

Purcell wziął latarkę, ukląkł obok starca i zaczął mu się przyglądać. Nieznajomy miał rozczochną brodę, a jego skóra od lat nie widziała słońca. Purcell wyjął spod koca dłoń starca. Była bardzo brudna, ale miękka.

– Myślę, że zamknięto go na jakiś czas – powiedział.

Mercado skinął głową w ciemności.

Starzec ponownie otworzył oczy, a Vivian zaczęła wlewać kolejne łyżki zupy do jego bezzębnych ust.

– Biedny staruszek, jest w fatalnym stanie.

Nieznajomy próbował coś powiedzieć, ale z jego trzęsących się ust wydobywały się jedynie ciche pojękiwania. W końcu zaczął wolno mówić po włosku. Vivian usiadła obok Purcella i nie przerywając karmienia, zaczęła szeptem tłumaczyć mu do ucha słowa starca.

– Mówi, że jest ranny w brzuch – powiedziała.

Purcell wziął od Vivian puszkę i łyżkę i odłożył je. Nieznajomy zaprotestował.

– Powiedz mu, że nie będzie mógł jeść, dopóki nie obejrzymy rany.

Mercado uniósł koc i rozerwał shamkę starca. Poświecił latarką. Ujrzeni na brzuchu rannego wielką plamę zakrzepłej krwi. Henry przemówił do nieznajomego:

– Jak to się stało? Od czego ta rana?

Mężczyzna nieznacznie wzruszył ramionami.

– Może to była kula. Albo odłamek.

Mercado zwrócił się do Vivian i Purcella:

– Obejrzymy to rano – powiedział. – Teraz nie możemy nic zrobić. Niech się wyśpi.

Purcell zastanawiał się przez chwilę.

– Rano może już nie żyć, Henry – rzekł. – Wtedy niczego się nie dowiemy. Mów do niego.

– Teraz rozumiem, Frank, dlaczego nominowano cię do Pulitzera. Niech staruszek sobie odpocznie.

– Będzie miał na to całą wieczność.

– Nie spisujcie go na straty w taki sposób – wtrąciła się Vivian.

Starzec poruszał głową w obie strony, jakby usiłując nadażyć za rozmową.

Mercado spojrzał na niego.

– Wydaje się dość przytomny – powiedział. – Dowiedzmy się, jak się nazywa i tak dalej. Na wszelki wypadek.

– Do dzieła – rzekł Purcell.

Vivian ponownie usiadła obok i zbliżyła głowę do jego głowy.

– Nie możemy dać ci więcej jedzenia z powodu rany brzucha – zaczął po włosku Mercado. – Musisz teraz odpocząć i się przespać. Ale najpierw powiedz nam, jak się nazywasz.

Starzec skinął głową.

– Dobrzy z was ludzie – odezwał się. – Kim jesteście?

– Dziennikarzami – odpowiedział Mercado.

– Tak? I jesteście tu z powodu wojny?

– Tak – odparł Mercado. – Z powodu wojny.

Starzec zapytał:

– *Americano? Inglese?*

– Jedni i drudzy – odpowiedział Mercado.

Starzec uśmiechnął się i powiedział:

– Dobrzy ludzie.

Mercado położył rękę na ramieniu starca i rzekł:

– Jak się nazywasz, jeśli wolno spytać?

– Nazywam się... Nazywam się Giuseppe Armano. Jestem księdzem.

W ciemności zapadła długa cisza. Odgłosy walki powoli milkły, co oznaczało, że wszyscy poczuli się usatysfakcjonowani nocną rzezią. Od czasu do czasu zapłonęła jeszcze flara spadająca łagodnie ku ziemi; gdy świeciła, skrzyżowane stalowe pręty, którymi uzbrojono kiedyś sufit, rzucały siatkę cienia na podłogę, a pomieszczenie wypełniało się błękitnobiłą poświatą i tylko jego mała część pozostawała zacieniona.

Mercado ujął dłoń starego księdza i delikatnie ją ścisnął.

– Ojcze, co ci się przydarzyło? – zapytał.

Kapłan skrzywił się z bólu i nie odpowiedział.

Mercado ścisnął jego rękę mocniej.

– Ojcze, czy możesz mówić?

– Tak... Tak, mogę. Muszę. Myślę, że umieram.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Będzie ojciec...

– Nie odzywaj się i pozwól mi mówić.

W słabym głosie starca dało się wyczuć dawny kapłański autorytet.

– Unieś mi głowę.

Mercado wsunął kamień pod śpiwór.

– O właśnie, teraz dobrze...

Stary kapłan wiedział, kiedy ma do czynienia z wiernym, i ponownie poczuł się pasterzem trzody – tym razem jednoosobowej. Vivian zwilżyła mu usta mokrą chusteczką.

Ksiądz nabrał głęboko powietrza i zaczął mówić.

– Nazywam się ojciec Giuseppe Armano i jestem franciszkańskim kapłanem. Moja parafia znajduje się w wiosce Berini na Sycylii. Spędziłem ostatnie... chyba czterdzieści lat, od 1936 roku... Który mamy rok?

– 1974, ojcze.

– Tak... Od 1936, przez prawie czterdzieści lat, przebywałem w więzieniu na wschód stąd.

– Czterdzieści lat? – Mercado wymienił spojrzenie z Purcellem. – Czterdzieści? Dlaczego więziono ojca przez czterdzieści lat?

– Trzymali mnie z dala od świata, by chronić tajemnicę. Ale nie zabili mnie, bo jestem księdzem. To Koptowie. Mają najświętszą krew i...

Ksiądz zamilkł. Leżał, wpatrując się w niebo.

– Mów dalej, ojcze. Tylko powoli, bardzo powoli – rzekł Mercado.

– Tak... Musicie pojechać do Berini i opowiedzieć, co się ze mną stało. Co się stało

z Giuseppe Armano. Będą mnie pamiętać. Mam tam rodzinę. Brata i dwie siostry. Czy oni jeszcze żyją?

W oczach starego księdza pojawiły się łzy. Nie chciał jednak przerywać i zaczął mówić szybciej.

– Opuściłem swoją wioskę w sierpniu 1935 roku. Był upalny dzień. Przyszedł do mnie jakiś człowiek i powiedział, że biorą mnie do wojska. Armia II Duce potrzebowała księży. Więc poszliśmy... inni księża też... i wielu młodych chłopców. Maszerowaliśmy w słońcu i dotarliśmy do Alcamo. Czekał tam na nas pociąg, a potem wypłynęliśmy statkiem z Palermo. Nigdy wcześniej nie jechałem pociągiem ani nie płynąłem statkiem, więc bałem się pociągu, statku trochę mniej. Niektórzy z chłopców, takich samych wieśniaków jak ja, też się bali, lecz większość była podekscytowana. Dopłynęliśmy do Reggio. Czekał tam następny pociąg. Pojechaliliśmy na północ, do Rzymu...

Stary ksiądz odprężył się i oblizał spierzchnięte usta. Vivian zwilżyła je, nie przestając tłumaczyć.

Starzec uśmiechnął się i podziękował jej skinieniem głowy. Ponownie odmówił, gdy Mercado zaproponował mu, by się zdrzemnął.

– Jestem bardzo chory – powiedział. – Musicie mi pozwolić dokończyć. Czuję palenie w trzewiach.

– To tylko jedzenie, ojciec. Kwasy żołądkowe. Rozumie ojciec?

– Rozumiem, że umieram. Nie odzywaj się. Jak się nazywasz?

– Henry Mercado.

– Henry... Dobrze. Pojechaliliśmy zatem do Rzymu, Henry. Zawsze tego pragnąłem. I oto znalazłem się w Rzymie. Cóż to za miasto... Byłeś kiedyś w Rzymie? Każdy powinien tam pojechać... Henry, czy jesteś katolikiem?

– Cóż... Tak jakby. Tak.

– To dobrze. – Ksiądz zamilkł na chwilę, a potem zaczął dalej mówić. – Zabrano nas do Watykanu... wszystkich księży z Sycylii... pamiętam, że było nas dwunastu... do Watykanu, w pewne miejsce w Watykanie. Do małego budynku w pobliżu Kaplicy Sykstyńskiej. Był tam kardynał ubrany na białą. Nie przedstawił się nam; pamiętam, jak pomyślałem, że to niekulturalnie, ale co miałem powiedzieć kardynałowi ze Świętego Kolegium? Usiedliśmy na krzesłach obitych drogim materiałem i słuchaliśmy. Kardynał powiedział nam, że wyruszymy z armią Mussoliniego na wojnę w Etiopii. Słuchaliśmy ze smutkiem, ale żaden z nas się nie odezwał. Kardynał pokazał nam kopertę, piękną kopertę z czerpanego papieru w kolorze maślanym. Była na niej pieczęć Jego Świątobliwości... odcisk Pierścienia Rybaka... – Stary kapłan zamilkł, a Vivian dokończyła tłumaczenie.

Purcell pomyślał, że ksiądz zmarł, lecz ten otworzył oczy i zapytał:

– Kto teraz siedzi na tronie Piotrowym? Ilu było po Piusie?

– Trzech, ojczcie – odpowiedział Mercado.

Purcell zwrócił się do niego:

– Facet jest bliski śmierci, a chce wiedzieć, kto jest jego szefem. Posłuchaj, Henry: on będzie chciał cię zapytać o tysiące nieistotnych rzeczy. Zrób coś, żeby opowiadał dalej.

– Opowiada na swój sposób, Frank. Ten człowiek cierpiał. Obaj wiemy, jak bardzo. Pyta o to, co jest dla niego ważne.

Vivian położyła rękę na ramieniu Purcella i powiedziała:

– Pozwól, by to Henry się tym zajął.

Purcell tylko coś odburknął.

Mercado ponownie przemówił po włosku:

– Po Piusie xi wybrano Piusa xii. Potem Jana xxiii. Polubiłbyś go, ojczcie. Był dobrym człowiekiem. Zmarł jedenaście lat temu. Teraz na Piotrowym tronie zasiada Paweł vi. Też jest dobrym człowiekiem.

Stary kapłan cicho zaszlochał. Po chwili przemówił ochryplym głosem:

– Tak, oni wszyscy to na pewno dobrzy ludzie. A Il Duce? Żyje jeszcze?

– Była wojna, ojczcie – odpowiedział Mercado. – W Europie. Mussoliniego zabito. Teraz w Europie panuje pokój.

– Tak... Wojna... Widziałem, jak nadchodzi, jeszcze w Berini. Wszyscy widzieliśmy.

– Ojczcie, czy wiesz, co było w kopercie? – zapytał Henry. – W tej, którą pokazał wam kardynał.

– W kopercie? – Ksiądz zamilkł na chwilę. – Tak... Każdy z nas dostał taką kopertę. Kardynał powiedział nam, że nie wolno się z nią rozstawać. Nigdy, przenigdy. Nie wolno też było nikomu o niej mówić. Nawet przełożonym. Kardynał wyjaśnił nam, że gdy ksiądz umrze w wojsku, wszystkie jego rzeczy stają się własnością innego księdza. Więc koperta zawsze znajdowałaby się w rękach tych, których zaprzysiężono... musieliśmy złożyć przysięgę... przysiąc, że jej nigdy nie otworzymy. Tamten bezimienny kardynał powiedział też, że ze względów bezpieczeństwa wiadomość napisano po łacinie, by niepowołany czytelnik miał trudności ze zrozumieniem tekstu. Moja łacina była kiepska; pamiętam, że się tego wstydzilem. Wiejscy księża nie posługują się nią zbyt często, mają z nią do czynienia tylko podczas mszy świętej. Rozumiecie, o czym mówię? Gdyby ktoś pomyłkowo otworzył list napisany po łacinie, na pewno poszedłby do księdza i poprosił o przetłumaczenie. Kardynał powiedział, że gdyby list dostał się w taki sposób w ręce któregoś z nas, to należało zapisać fałszywy przekład, a oryginał spalić.

Ksiądz z trudem łapał powietrze, a potem jęknął.

Vivian przetłumaczyła Purcellowi słowa kapłana i stwierdziła:

– Zaczyna się robić ciekawie. Henry, przyciśnij go trochę.

– Tylko na jego warunkach – odparł sucho Mercado. – To on nam wszystko opowie.

Ksiądz znowu jęknął. Vivian dotknęła jego spoconego czoła.

– Ma gorączkę – powiedziała. – Henry, czy możemy coś z tym zrobić?

– Obawiam się, że nie. Jeśli wytrzyma do rana, będziemy mogli zawieźć go w ciągu kilku godzin do Gondaru. Jest tam angielski szpital misyjny.

– Księżę Jozue ze swoją armią i wojska rządu tymczasowego są na wzgórzach niecałą godzinę stąd – przypomniał Purcell. – W tej chwili wolałbym nie próbować, ale rano czemu nie? Powinni tam mieć chirurga.

Mercado zastanawiał się przez chwilę.

– Sam nie wiem – powiedział w końcu. – To na pewno jakiś więzień. Kiedy się dowiemy, czyj, postanowimy, dokąd go zawieźć.

– Słusznie – rzekł Purcell. – Ale przyciśnij go trochę, Henry – dodał, naśladując ton Vivian.

Mercado zwrócił się ku księdzu i zapytał go:

– Czy może ojciec dalej mówić?

– Tak. Ale o czym rozmawialiście? Nie mogę jechać do Gondaru.

Mercado zaczął wyjaśniać:

– Rano zabierzemy ojca do angielskiego szpitala. Proszę mówić, jeśli...

– Tak, muszę dokończyć. Koperta... Powiedział nam, że nie wolno jej otworzyć, dopóki nie znajdziemy się w Etiopii i nie ujrzymy czarnego klasztoru ukrytego w dżungli. Czarnego jak węgiel, zbudowanego z czarnego kamienia, tak powiedział. Powiedział też, że takiego drugiego nie ma w całej Etiopii. Był to klasztor starowierców... Koptów. Kardynał powiedział nam, że w czarnym klasztorze znajduje się relikwiarz z relikwią świętego, ważnego świętego z czasów Jezusa... Relikwia tego świętego miała być tak ważna, że wielkim życzeniem Jego Świątobliwości było, by wróciła do Rzymu, gdzie jej miejsce, czyli do prawdziwego kościoła Jezusa Chrystusa. Do kościoła świętego Piotra.

Vivian przetłumaczyła słowa księdza Purcellowi, który zapytał:

– Czy już nie dość relikwii mają w Watykanie?

Mercado jeszcze bardziej pochylił się nad księdzem.

– Jaki to święty i jaka to relikwia? – zapytał. – Kosmyk włosów? Kość? Fragment szaty?

Ksiądz się roześmiał.

– To w ogóle nie była relikwia świętego. Wyobrażasz sobie coś takiego? Kardynał Świętego Kolegium okłamuje gromadę nieokrzyszanych księży... Tak, dobrze nas wybrano. Nie

zadawaliśmy takich pytań jak ty, Henry. Byliśmy prostymi wiejskimi duchownymi. Nadawaliśmy się do piechoty: mieliśmy mocne nogi, silne serca i wytrzymałe grzbiety. I nie pytaliśmy o nic kardynała, który przemawiał do nas w cieniu Bazyliki Świętego Piotra; człowiek ten nie miał nazwiska, a zwracał się do nas w imieniu Jego Świątobliwości. Tylko jeden z nas, młody ksiądz... zapytał, dlaczego mielibyśmy zabrać relikwię z chrześcijańskiego kraju, nawet jeśli nie jest to kraj katolicki. Było to dobre pytanie, nieprawdaz? Kardynał odpowiedział tylko, że miejsce relikwii jest w Rzymie, ale tamten młody ksiądz nie pojechał z nami do Etiopii.

Stary kapłan roześmiał się miękko, wydał przeciągły jęk i przymknął powieki.

Purcell wysłuchał tłumaczenia Vivian i rzekł:

– Odnoszę wrażenie, że ojciec Armano rzeczywiście widział tę relikwię, cokolwiek by to było.

Mercado skinął głową.

– Prawdopodobnie też próbował ukraść ją dla papieża – ciągnął Purcell. – I dlatego zamknięto go w ciupie na czterdzieści lat.

Mercado ponownie skinął głową.

– To całkiem prawdopodobna wersja wydarzeń – powiedział.

– To może być materiał na dobry artykuł, Henry.

Mercado spojrział na księdza, który spał albo stracił przytomność, i odparł:

– To może być koniec tego artykułu.

– Obudź go – rzekł Purcell.

– Nie – zaoponowała Vivian. – Niech sobie pośpi.

Purcell i Mercado wymienili spojrzenia, wiedząc, że ksiądz może się już nigdy nie obudzić.

Jeśli jest nam to pisane, to na pewno usłyszymy wszystko, co ten człowiek ma do powiedzenia – stwierdził Mercado.

– Zazdroszczę ci twojej wiary, Henry – rzekł Purcell.

Vivian popatrzyła na księdza i powiedziała:

– Przebył długą drogę, by nas spotkać. Dokończy swą opowieść, gdy się obudzi.

Purcell nie wiedział, jak się przeciwstawić niedorzecznej wierze Mercado i mistycyzmowi Vivian. Zatem tylko skinął głową i zaproponował:

– Będziemy więc czuwać, nasłuchiwać, czy nie idą Oromowie, i sprawdzać, czy staruszek się obudził lub umarł.

– Jesteś bardzo praktyczny – zauważyła Vivian. – Tęgi umysł i ani odrobiny serca.

– Dziękuję – odparł Purcell.

Mercado zgłosił się na ochotnika na pierwszą wartę. Purcell i Vivian ułożyli się na swych śpiworach.

Dwie armie na wzgórzach najwyraźniej utraciły już swój bojowy animusz, chociaż od czasu do czasu serie z karabinów maszynowych przecinały mrok.

Purcell wpatrywał się w ciemne niebo, rozmyślając o opowieści księdza i Henrym Mercado. Pomyślał, że Mercado coś wie albo doszedł do jakiegoś wniosku na podstawie tego, co powiedział starzec.

Purcell myślał także o Vivian, która leżała obok. Wyobraził ją sobie stojącą nago na brzegu basenu spowitego oparami siarki.

Wrócił myślami do chwili, w której poznał Vivian i Mercado. Stało się to kilka dni temu w barze hotelu Hilton w Addis Abebie i wyglądało na przypadkowe spotkanie. Być może tak było; obecność księdza w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu była czymś równie nieoczekiwanym. A jednak... Cóż, Vivian powiedziała, że to los albo przeznaczenie, a Henry dostrzegłby w tym wolę Bożą.

Na ciemnym niebie zapłonęła flara. Purcell wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem zamknął oczy, by zachować jej widok pod powiekami.

Zapadł w niespokojny sen.

ROZDZIAŁ 4

Zmieniali się, czuwając przy śpiącym księdzu, wypatrując oznak nadchodzącej śmierci i nasłuchując odgłosów zagrożenia.

Około trzeciej w nocy Purcell obudził Vivian i powiedział jej, że ksiądz się ocknął i chce mówić dalej.

Vivian pomyślała, że to Purcell obudził starego kapłana, dlatego odparła:

– Pozwólmy mu odpocząć.

– Vivian, on chce mówić.

Kobieta spojrzała na ojca Armano. Był przytomny i wyglądało na to, że rzeczywiście zamierza wrócić do swej opowieści.

Vivian potrząsnęła Mercado za ramię.

– Ojciec Armano się obudził – powiedziała.

Mercado podszedł i ukląkł przy księdzu.

– Jak się ojciec czuje? – zapytał.

– Pali mnie w środku. Muszę się napić wody.

– To niemożliwe. Ma ojciec uszkodzony żołądek i nie może pić.

– Daj mu odrobinę wody – powiedziała Vivian. – W przeciwnym razie umrze z pragnienia.

Mercado odwrócił się do Purcella.

– Frank, co ty na to? – zapytał.

– Ona ma rację – usłyszał w odpowiedzi.

Vivian napełniła wodą pół zakrętki od manierki. Stary ksiądz wypił większość; Purcell dostrzegł, że woda zabarwiła się czerwienią.

– To już wkrótce – powiedział. – Mów do niego, Henry.

– Tak, dobrze. Ojczy, czy zechcesz jeszcze...

– Tak. Będę mówił.

Starzec wziął głęboki oddech i zaczął:

– W Rzymie... Kardynał... Relikwia..

Zamyślił się, a potem zaczął powoli opowiadać:

– Kazał nam zatem wstąpić do armii Il Duce i udać się do Etiopii, w której wkrótce miała się rozpocząć wojna. Ostrzegł nas: czarnego klasztoru bronią staroobrzędowcy, mnisi należący do zakonu militarnego takiego, jak kawalerowie maltańscy albo templariusze. Kardynał nie wiedział wszystkiego. Wiedział jednak, że w obronie relikwii byli gotowi oddać życie. To wiedział na pewno.

Vivian przetłumaczyła słowa księdza.

– Jak można pamiętać to wszystko po czterdziestu latach? – zapytał Purcell.

– W więzieniu myślał o niewielu innych rzeczach – odparł Mercado.

Purcell skinął głową. Powiedział jednak:

– Lecz mimo to... Może bredzi albo pamięć płata mu figle?

– Dla mnie to wszystko brzmi sensownie – oświadczyła Vivian.

Mercado zwrócił się do księdza:

– Proszę mówić dalej, ojcze.

Ksiądz energicznie skinął głową, jakby wiedział, że ściga się ze śmiercią i musi zrzucić z siebie brzemię tajemnicy, które paliło go równie mocno, co ogień w trzewiach.

– Kardynał kazał nam postępować ostrożnie i poruszać się tylko z żołnierzami, a jeśli znajdziemy czarny klasztor, wejść do środka – zaczął. – Powiedział: unikajcie rozlewu krwi. Musicie działać szybko, bo skoro tylko mnisi zorientują się, że przegrywają, niepostrzeżenie umkną z relikwią, wykorzystując podziemne przejścia. Kardynał mówił tak, jakby coś o tym wiedział.

Stary ksiądz ponownie poprosił o wodę. Purcell, słuchający tłumaczenia Vivian, chwycił manierkę i powoli oblał mu usta. Ksiądz poprosił, by pomogli mu się unieść. Posadzili go, oparliśmy plecami o ścianę. Zaczął mówić, nie czekając na zachętę.

– Wtedy tamten odważny ksiądz zapytał: skąd będziemy wiedzieli, czego szukać i co robić, jak już wejdziemy do klasztoru? A kardynał na to: koperta skrywa słowa Jego Świątobliwości; gdy dotrzecie do celu, otworzycie ją i wszystkiego się dowiecie.

Ojciec Armano zamilkł i rozejrzał się nieobecny wzrokiem. Umiera, pomyślał w pierwszej chwili Purcell, ale ksiądz się uśmiechnął i powiedział:

– Wówczas stało się coś, czego nigdy nie zapomnę. Do małego pokoju, w którym siedzieliśmy z kardynałem, wszedł sam Ojciec Święty. Usłyszeliśmy, że zwrócił się do kardynała po imieniu. Powiedział mu: Eugenio. I tak bezimienny kardynał zyskał imię, które sobie przypominaliśmy, ilekroć o nim myśleliśmy. Ale przecież nie mogliśmy się tak do niego zwracać, nieprawdaż?

Ksiądz poprosił o przerwę; chciał odpocząć.

Mercado zamyślił się.

– Wiesz, kim mógł być kardynał Eugenio? – zapytał go Purcell.

– Nie.

– Ilu kardynałów mogło wtedy przebywać w Rzymie? A ilu z nich, twoim zdaniem, miało na imię Eugenio?

– W tamtych czasach nie byłem wierzący i nie interesowałem się kardynałami –

odpowiedział Mercado. – Ale... Pamiętam jednego, który był sekretarzem stanu Piusa xi. Nazywał się Eugenio Pacelli.

– Wydaje mi się, że już słyszałem to nazwisko.

– W 1939 Pacelli został Piusem xii.

– Teraz brzmi to bardziej znajomo.

– Ale nie wiemy na pewno, czy... – wtrąciła Vivian.

– Nie wiemy – powiedział Mercado. – Będziemy musieli zajrzeć do Biblioteki Włoskiej w Addis Abebie.

Stary ksiądz rozumiał niektóre słowa. Mercado zapytał go:

– Czy rozpoznalby ojciec tamtego kardynała, gdybym pokazał mu jego zdjęcie z 1935 roku?

– Oczywiście. Nie mógłbym zapomnieć tamtej twarzy.

Uświadomiwszy sobie, że ojciec Armano może nie dożyć chwili, w której będzie mógł zobaczyć zdjęcie, Mercado zaczął zadawać pytania:

– Czy tamten kardynał był wysoki i szczupły? Miał orli nos i jasną cerę?

Wymienił jeszcze kilka innych szczegółów.

– Tak, to mógł być on.

Mercado pochylił się jeszcze bardziej nad ojcem Armano i zapytał:

– Czy Jego Świątobliwość coś wam powiedział?

– Tak. Podszedł do nas, a my oczywiście wstaliśmy. Sprawiał wrażenie uprzejmego. Próbował nawet posługiwać się sycylijskim dialektem. Miał zły akcent, ale żaden z nas się nie roześmiał. Mówił o pokorze i posłuszeństwie... O obowiązku i Kościele, prawdziwym Kościele. Powiedział, że winniśmy traktować księży etiopskiego Kościoła z szacunkiem, a zarazem stanowczo... Nie wspomniał o kopertach. Kardynał wciąż miał je przy sobie. Jego Świątobliwość sprawiał czasami wrażenie, że nie wie o naszej misji. Jednak czasami wydawało nam się, że jest odwrotnie. Mówił ogólnikowo. Potem pobłogosławił nas i wyszedł. Dopiero wtedy kardynał wręczył każdemu z nas kopertę, a my przysięgliśmy, że dochowamy tajemnicy. Wciąż jestem związany tą przysięgą, ale teraz ją łamię, bo muszę wam opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Po tak długim czasie i tak nie ma to już znaczenia... A my przysięgaliśmy pod fałszywym...

Głos uwiązł mu w gardle.

Mercado dotknął ramienia księdza i powiedział:

– Już dobrze, ojcze...

– Tak, tak. Pozwólcie mi dokończyć. Zabrano nas na Piazza Venezia. Odbywała się tam właśnie parada wojskowa. Czołgi, armaty, ciężarówki... Wydawało nam się, że całe Włochy

przywdziały mundur. On też tam był. Nowy Cezar. Il Duce. Stał jak Cezar na balkonie. Nie lubiłem go. Zbyt wiele znaczyły dla niego armaty i mówienie o wojnie. Był tam też król Wiktor Emanuel. Przyzwoity człowiek. Czy on...?

– Nie żyje. Włochy nie mają już króla, ojciec. Proszę mówić.

– Nie żyje... Wszyscy umarli. Czterdzieści lat to szmat czasu. Tak... Muszę skończyć. Na placu odbyła się ceremonia poświęcenia armat. My, wiejscy księża, także wzięliśmy w niej udział. Pomagaliśmy w udzielaniu błogosławieństwa. Potem przybył Jego Świątobliwość; on również błogosławił armaty. Nie podobało mi się to. Jego Świątobliwość stał w towarzystwie króla i Mussoliniego. Później pojawił się kardynał Eugenio. Stałem blisko, a oni rozmawiali z wielkim przejęciem. To dla nich była tamta parada i maszerujący żołnierze, ale nie zwracali na nic uwagi. Nie podobały mi się ich spojrzenia, chociaż... Być może wyobraziłem sobie to wszystko później, w więzieniu. Mam na myśli tamte spojrzenia. Może rozmawiali o czymś zupełnie innym, któż to wie? Ale wtedy, a może nieco później, poczułem, że była to rozmowa o tej rzeczy...

Ksiądz mówił coraz bardziej ochryplym głosem. W końcu zamilkł.

Purcell sięgnął po manierkę, lecz Mercado przytrzymał jego rękę.

– Zabijesz go, Frank – powiedział.

– Jeśli obrażenia jego żołądka nie są zbyt poważne, umrze z odwodnienia – powiedział

Purcell. – A jeśli są, to długo nie wytrzyma. I tak nie jesteśmy w stanie zawieźć go do lekarza w ciągu najbliższych kilku godzin.

Mercado skinął głową.

Purcell połał usta księdza resztką wody z manierki.

– Dopilnuj, by mówił o klasztorze, Henry – powiedział.

Mercado odparł:

– Zaczynam czuć się winny, nakładając umierającego księdza do trzymania się faktów, które mają być podstawą dobrego artykułu.

– W Kościele katolickim najważniejsza jest właśnie kwestia winy – odparł Purcell.

Mercado zignorował go i zapytał księdza Armano:

– Czy chciałby ojciec odpocząć?

– Nie, muszę dokończyć. Następnego dnia trafiłem do batalionu piechoty. Wszyscy służący w nim żołnierze pochodzili z wiosek w mojej prowincji na Sycylii. Potem nas zaokrętowano i płynęliśmy wiele dni. Płynąc kanałem, rozglądaliśmy się dokoła i zobaczyliśmy, że mijamy Egipt. Statek dotarł w końcu do erytrejskiego portu Masawa. Znacie to miejsce? Było to afrykańskie imperium nowego Cezara. Nazwał nas swoimi legionami. Udajcie się do Afryki, powiedział, i sprawcie, by Etiopia stała się włoską ziemią.

Nasi inżynierowie wybudowali w Masawie port, do którego przybywały statki pełne żołnierzy i czołgów. Znosiło się na wojnę. Każdy głupi by się tego domyślił. Armia pomaszerowała do Asmary. Codziennie padało, ale potem zaczęła się pora sucha... Gubernator Erytrei zebrał wszystkie wojska przed swoim pałacem i odczytał telegram od Il Duce. *Avanti!* Rozkazuję wam rozpocząć natarcie. Wtedy generał, którego imienia nie pamiętam, odczytał proklamację. Mówił o nowych faszystowskich Włoszech i poświęceniu. Biskup Asmary kazał uderzyć w kościelne dzwony i zebrani odśpiewali faszystowski hymn: *Młodość*. Wszyscy wydawali się szczęśliwi, lecz w duchu każdy odczuwał smutek. Pomaszerowaliśmy na Etiopię. Z początku nie było tak źle; doskwierały nam tylko upały i zmęczenie. W pierwszych dniach października weszliśmy do Adowy. Doszło tam tylko do niewielkich potyczek. Ale potem, gdy opuściliśmy miasto, armia Etiopczyków stanęła do walki. Ich cesarz, Hajle Sellasje, był dzielnym człowiekiem. Nazywali go Królem Królów. Zwycięskim Lwem Plemienia Judy. Zrodzonym z króla Salomona i królowej Saby. Potomkiem Domu Dawidowego. Dzielny człowiek... Osobiście poprowadził swą armię, podczas gdy nasz nowy Cezar siedział sobie w Rzymie. Ten odważny człowiek już nie żyje, prawda? Musiał polec w walce.

– Ależ nie – odparł Mercado. – Cezarz uciekł do Anglii, a potem wrócił do Etiopii, kiedy Brytyjczycy wyparli z niej Włochów. Hajle Sellasje żyje, ale jest już bardzo stary.

Purcell zastanawiał się, czy wszystko to dociera do księdza, ten natomiast powiedział:

– Zatem nie wszyscy umarli. To dobrze. Żyje jeszcze ktoś z moich czasów. Cezarz był dzielnym człowiekiem. Jego żołnierze byli kiepsko uzbrojeni, ale stawali przeciwko naszym czołgom i samolotom jak lwy. Wygraliśmy jednak tę wojnę. Byłem tego świadkiem, zanim mnie uwięziono.

– Tak, wygraliście tamtą wojnę – rzekł Mercado. – Ale przegraliście wielką wojnę w następnych latach. Tę, podczas której Włochy i Niemcy walczyły z Amerykanami i Anglikami.

– Włochy i Niemcy? – zdziwił się ksiądz. – To jakiś obłęd... Więc którą wojnę mamy teraz?

Mercado nie mógł się zdecydować. Z jednej strony chciał, by stary kapłan dowiedział się o wydarzeniach minionych czterdziestu lat; cieszył się, że może mu o nich opowiedzieć. Z drugiej jednak – ksiądz dzielił się z nimi własną historią i musiał opowiedzieć ją do końca.

Mercado zerknął na Purcella. Frank pogodził się już z myślą, że ksiądz będzie szczegółowo relacjonować przebieg minionych zdarzeń, które zapamiętał, i pytać o obecne czasy.

Mercado odezwał się do starca:

– To wojna domowa, ojcze. Etiopia posiada teraz starą włoską kolonię w Erytrei. Niektórzy z Erytrejczyków, głównie muzułmanie, żądają niepodległości i walczą z Etiopczykami.

Nawet wśród Etiopczyków są chrześcijanie i muzułmanie, którzy nie chcą już cesarza: Hajle Sellasse nie podoba się zwłaszcza wojsku, które skazało go na areszt domowy w jego pałacu. Ale cesarz ma się dobrze. Przeciwko armii wciąż występuje część sił rojalistów i to one są przeciwko cesarzowi. To bardzo pogmatwana wojna, która jest źródłem wielu nieszczęść w tym kraju. Od dwóch lat panuje tu klęska głodu.

– Tak, wiem, co to głód – rzekł stary ksiądz. – A Oromowie? Słyszałem, że o nich wspominaliście. Nie można im ufać. Podczas ostatniej wojny zabili wielu po obu stronach.

Uwielbiają walczyć i cieszą się z konfliktów w tym kraju.

W łagodnym głosie księdza pojawiła się nuta gniewu. Powiedział:

– To Oromowie zaatakowali miejsce, w którym mnie więziono... Zabili wszystkich...

Henry Mercado doskonale pamiętał Oromów – dzikich członków plemienia lojalnych tylko wobec własnych klanów.

– Tak, pamiętam ich z ostatniej wojny – powiedział. – Byłem tu wtedy. Ja także pamiętam twoje czasy, ojczyste.

Stary ksiądz skinął głową.

– Nie wolno wam wpaść w ich ręce – rzekł i spojrzął na Vivian.

Mercado nie odpowiedział, lecz ostrzeżenie księdza obudziło w nim stare i złe wspomnienia z czasów wojny kolonialnej, zwłaszcza te związane z Oromami. Od 1936 do 1940 roku nękali etiopskich partyzantów, którzy walczyli z Włochami, a kiedy w 1941 Brytyjczycy wkroczyli do Etiopii, atakowali zarówno ustępujące włoskie wojska, jak i posuwających się naprzód Brytyjczyków oraz partyzantów. Oromowie przybywali konno wszędzie, gdzie było słychać odgłosy bitwy. Militarne łupiestwo było ich sposobem na życie. Ani biała flaga, ani legitymacja prasowa nic dla nich nie znaczyły. W spokojnych czasach trzymali się erytrejskiej Pustyni Danakilskiej albo pustynnych obszarów Ogadenu w pobliżu Somalii. Lecz gdy spuszczano psy wojny, jak teraz, rozpraszali się po całym kraju jak pszczoły wylatujące z potrząsniętego ula, a głód sprawił, że stali się jeszcze bardziej agresywni i bardziej drapieżni niż zwykle.

Ksiądz potwierdził przypuszczenia Mercado: Oromowie kręcili się po okolicy, a bitwa pomiędzy rojalistycznymi siłami księcia Jozuego a wojskami rządu tymczasowego zwiabiła ich jak rekiny, które wyczują zapach krwi. Oromowie mogli właśnie czaić się w miejscu podobnym do tego uzdrowiska i cierpliwie czekać na maruderów jednej lub drugiej armii, a gdyby któraś z nich doznała poważnych strat i zaczęła się wycofywać – zaatakować ją bez wahania. Tak, Mercado dobrze pamiętał Oromów. Dokonali rzezi niejednej etiopskiej armii i nigdy nie oszczędzali zachodnich reporterów towarzyszących wojskom. Oromowie Azebe, którzy zasiedlili ten region i byli poganami, należeli do najgorszych z najgorszych.

Nienawidzili z całego serca tubylczych Amharów, lecz najbardziej wymyślne tortury i sposoby zadawania śmierci zarezerwowali dla ludzi z Zachodu.

Ksiądz znowu zapadł w drzemkę, a Mercado wrócił myślami do pierwszych tygodni włoskiej inwazji, o której wtedy pisał dla londyńskiego „Timesa”. W lutym 1936 roku miał nieszczęście towarzyszyć amharskiemu księciu Mulugecie; przebywali wówczas na górze Aradam. Miejsce to przypominało historię i topografią Masadę – ostatni bastion Izraelitów walczących z Rzymianami, taki sam jak ten broniony przez księcia przed rzymskimi legionami Mussoliniego. Jego siły liczące siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy były systematycznie uszczuplane przez Włochów. Mercado przebywał z księciem w jego kwaterze głównej, a towarzyszyli im Burgoyne – brytyjski doradca wojskowy – oraz kubańsko-amerykański najemnik kapitan Del Valle.

Mercado przypomniał sobie szlochającego księcia, któremu doniesiono, że Oromowie Azebe pojмали jego syna, po czym okaleczyli go i zabili. Księżę postanowił udać się do podnóża góry, by odszukać jego ciało. Mercado, Burgoyne i Del Valle, młodzi ryzykanci odgrywający rolę Europejczyków rodem z powieści Kiplinga, postanowili przyłączyć się do księcia i jego ludzi. Gdy znaleźli się w miejscu, w którym według wywiadowców – prawdopodobnie Oromów wiernych księciu – powinno było znajdować się ciało, zostali otoczeni. Oromowie pewnie wycięliby ich w pień, gdyby nie włoskie samoloty, które potraktowały cały obszar seriami z karabinów maszynowych i pozbawiły życia nie tylko Etiopczyków, ale i tych, którzy ich okrążyli. Księżę Mulugeta zginął, podobnie jak większość jego ludzi. Zginęli też Del Valle i Burgoyne. Ocaleli Oromowie odzierali z mundurów i kastrowali wszystkie ciała, Mercado zaś przeżył tylko dlatego, że rozebrał się i wysmarował cudzą krwią – każdy mijający go Orom uznałby, że widzi okaleczonego trupa.

Mercado podejrzewał, że wtedy zastawiono na nich wyrafinowaną pułapkę, być może w zмовie z Włochami. Ale to było kiedyś. Teraz znajdowali się niemal w tym samym miejscu, niedaleko góry Aradam, u podnóża której Mercado leżał kiedyś nago, starając się za wszelką cenę udawać martwego.

Westchnął głęboko i spojrzał na ojca Armano, który właśnie się ocknął.

– Czy był ojciec na górze Aradam? – zapytał.

– Tak, byłem, na kilka tygodni przed schwytaniem. Straszliwa rzeź, zginęły tam tysiące. Nie narzekałem na brak zajęcia.

Mercado pomyślał, że to zdumiewający zbieg okoliczności: niemal czterdzieści lat temu on i ksiądz brali udział w tej samej bitwie. A może nie? Śmierć przyciągała księży, reporterów i sępy – każdy musiał wykonać swoją pracę.

Na wschodnim niebie jaśniała już zorza świtu. Purcell zapalił kolejnego papierosa.

– O świecie ludzie umierają częściej niż o innych porach dnia – zwrócił się do Mercado. – Poproś go, żeby dokończył opowiadanie.

– Tak, dobrze. Właśnie wspominałem górę Aradam...

– Wspomnisz o niej w swoich pamiętnikach.

– Nie bądź tak nieczuły, Frank – powiedziała Vivian.

Mercado spojrział na ojca Armano.

– Czy zechciałby ojciec kontynuować? – zapytał.

– Tak, pozwólcie mi dokończyć. Zapytałeś o Aradam. Ta góra została skąpana we krwi, a potem przyszli Oromowie i wyrzynali uciekającą armię Etiopczyków. Generał Badoglio próbował dogadać się z Oromami, bo wiele oddziałów, takich jak mój batalion, uległo osłabieniu i było zdanych na ich łaskę; włoscy generałowie przekupywali Oromów żywnością i odzieżą. Ale Oromowie nie byli lojalni: masakrowali małe włoskie oddziały wyniszczone walkami. Mój batalion – z czterystu żołnierzy ocalałych z tysiąca – otrzymał rozkaz wymarszu nad jezioro Tana u źródeł Nilu Błękitnego. Po drodze napadali na nas Oromowie i Etiopczycy. Oromowie atakowali też Etiopczyków. Czy gdzieś jeszcze przelano bezsensownie tak wiele krwi? Każdy zachowywał się jak rekin i sep. Atakowali słabych i chorych przy każdej okazji. Grzebałem chłopców, których ochrzciłem w moim kościele. Lecz w końcu dotarliśmy nad jezioro Tana i rozbiliśmy obóz. Nie mogliśmy dalej maszerować, bo drogę zagrodziła nam woda.

Ojciec Armano umilkł, a Mercado nie miał wątpliwości, że starzec na nowo przeżywa straszliwą bitwę i jej następstwa.

Po minucie ojciec Armano zaczął znowu mówić:

– Zostało nas nie więcej niż dwustu. Wszyscy starsi oficerowie polegli, a dowódcą mojego batalionu był młody kapitan. Gdy wysłał patrol, który miał zbadać dżunglę, z dziesięciu ludzi wróciło tylko pięciu. Powiedzieli, że wpadli w zasadzkę zastawioną przez Oromów. Pojmali oni dwóch albo trzech z brakującej piątki; potem było już tylko słyhać krzyki torturowanych żołnierzy... Ci, którzy wrócili, powiedzieli też, że widzieli w dżungli wysoki mur z czarnego kamienia. Czarnego jak węgiel. Powiedzieli, że budowla wygląda jak fort, ale na wieży za murami widać krzyż, więc to może być klasztor. Zapytałem kapitana, czy mogę pójść do dżungli, by odnaleźć ciała tych, którzy nie wrócili. Nie zgodził się, ja zaś powiedziałem, że to mój kapelański obowiązek. Wtedy kapitan przychylił się do mojej prośby. Chciałem także zobaczyć czarny mur i wieżę w dżungli... Ale o tym mu nie powiedziałem.

– Ten gość naprawdę miał jaja – powiedział Purcell, gdy Vivian przetłumaczyła mu słowa księdza.

– Miał też papieskie rozkazy i wiarę – odparł Mercado.

– I wiedział, że znalazł to, czego szukał – dodała Vivian.

Ojciec Armano spojrział na swych dobroczyńców tak, jakby wiedział, o czym rozmawiają. Skinął głową i zaczął mówić:

– Zabrałem ze sobą pięciu żołnierzy, którzy ocalili z zasadzki i niechętnie wracali do dżungli, oraz pięciu innych. Dotarliśmy na miejsce. Ci, których szukaliśmy, oczywiście już nie żyli. Trzech pojmanych żywcem Oromowie przywiązali do drzew i wykastrowali. Spełniłem swą posługę, a potem pogrzebaliśmy nieszczęśników.

Stary ksiądz umilkł i po chwili powiedział:

– Musiałem podjąć decyzję... Musiałem się dowiedzieć... Otworzyłem więc kopertę, z którą się nie rozstawałem od chwili wyjazdu z Rzymu, i zacząłem czytać... Przeczytałem łacińskie słowa wiele razy, by mieć pewność...

– Co było napisane w liście? – zapytał Mercado.

Ksiądz potrząsnął głową, wziął głęboki oddech i kontynuował:

– Zażądałem od dowódcy patrolu, młodego sierżanta o imieniu Giovanni, by pokazał mi miejsce, w którym widział budowlę z czarnego kamienia. Lecz sierżant poprosił mnie o wybaczenie i odmówił. Opowiedziałem wtedy żołnierzom o swojej misji, pokazałem im list z pieczęcią Ojca Świętego i powiedziałem, że osobiście poprosił mnie o odnalezienie czarnego klasztoru. Powiedziałem im też, że znajduje się w nim świętość z czasów Jezusa, i obiecałem, że jeśli znajdziemy klasztor i ów przedmiot, to poproszę Ojca Świętego, by pomógł im wrócić do ojczyzny, gdzie spłyną na nich wielkie zaszczyty. Być może obiecałem im zbyt wiele, ale po naradzie zgodzili się i ruszyliśmy w głąb dżungli.

Ojciec Armani wpatrywał się przez chwilę w ciemność.

– Była to długa droga – przemówił. – Wędrowaliśmy wiele dni i chyba się zgubiliśmy. Sierżant nie był pewien, czy idziemy we właściwym kierunku. Czułem, że Oromowie i Etiopczycy podążają naszymi śladami... Wody...

Vivian podała księdzu wodę, tłumacząc jego słowa Purcellowi. Ciemność, która poprzedzała świt, ustąpiła i niebo na wschodzie zaczęło się powoli rozjaśniać.

– Musimy wyruszyć za jakieś pół godziny – ogłosił Purcell.

– Możemy jechać już teraz – odparł Mercado. – Musimy zawieźć księdza do Gondaru.

– Musi opowiedzieć swą historię do końca, Henry – powiedział Purcell. – Nie wiemy jeszcze wszystkiego.

Mercado znowu nie wiedział, co robić, ale żadna z decyzji nie była dobra.

– Zgadzam się z Henrym – powiedziała Vivian.

– Ja się nie zgadzam, a jeep jest mój – odparł Purcell. – Ale chodzi nie tylko o klasztor – dodał, chcąc złagodzić swoje słowa. – Ojciec Armano chce, byśmy, w razie jego śmierci,

powiedzieli jego bliskim i całemu światu, co się z nim stało.

– W zasadzie klasztor i relikwia są ważne – powiedział Mercado. – Ale masz rację, Frank.

Ksiądz usiadł wyżej o własnych siłach i oparł się o ścianę. Jego rysy twarzy zaczęły się materializować w świetle świtu i przestał być tylko głosem w ciemności. Przypatrywali się mu, przyzwyczajając wzrok do szarego światła. Ksiądz wyglądał jak śmierć, ale jego wzrok był o wiele jaśniejszy, niż powinien, a twarz – na ile udało im się dostrzec pomimo brudu i brody – zaróżowiona. Purcell wiedział, że to z powodu gorączki, a może i odrobiny szaleństwa.

Mercado otarł czoło księdza.

– Niedługo wyruszamy, ojciec – powiedział.

Ksiądz skinął głową i odparł:

– Najpierw muszę dokończyć.

Purcell przyjrzał mu się. Ksiądz nagle stał się kimś realnym. Jego głos otrzymał ciało. Purcell wpadł w melancholijny nastrój i poczuł wielki smutek, nie tylko z powodu księdza – pomyślał też o sobie. Przypomniawszy sobie obóz jeniecki. Sprawiała to brodata twarz księdza; patrząc na nią, Purcell czuł zakopotanie. Była to twarz całych cierpiących Indochin, które znowu stanęły mu przed oczami, a on nie umiał sobie z tym poradzić.

Ksiądz lekko westchnął i zaczął mówić.

– Dotarliśmy do celu. Była to głęboka dolina, której można byłoby szukać milion lat, lecz sierżant był dobrym żołnierzem i zapamiętał to przypadkowo odkryte miejsce. Skała. Drzewo. Strumień... Podeszliśmy do czarnej budowli. Wdarła się już do niej dżungla, która zamaskowała mury i ukryła je przed ludzkim wzrokiem. Ale przewrócone drzewo odsłoniło czarne kamienie, które błyszczały jak szkło. Klasztor zbudowano według dawnych prawideł; nie było tam drzwi ani bramy.

Ojciec Armano poprosił o zwilżenie wodą twarzy. Vivian przetarła ją mokrą chusteczką. Jej współczucie ujęło Purcella; zrozumiał, dlaczego Henry ją polubił.

Ksiądz ponownie przemówił:

– Obeszliśmy klasztor dookoła. Zobaczyliśmy kosz na linie, taki jak w średniowiecznych klasztorach. Wcześniej go nie było, więc potraktowaliśmy to jako zaproszenie. Krzyknęliśmy, lecz nikt nam nie odpowiedział. Kosz był duży, upleciony z trzciny, ale mocny. Pomieścił całą naszą jedenastkę. Gdy już się do niego wdrapaliśmy, ruszył w górę.

Starzec przerwał, wziął głęboki oddech i zaczął dalej mówić.

– Poczuliśmy się trochę niepewnie, ale zobaczyliśmy krzyże wycięte w czarnych kamieniach, więc wiedzieliśmy, że to chrześcijańskie miejsce. Nie baliśmy się zbytnio, chociaż pamiętałem to, co kardynał powiedział o mnichach. Kosz zatrzymał się przy brzegu muru. Wznosił się dzięki kamieniom i kołom zębatym, więc nie musieliśmy niczego robić, by

pojechać do góry. Wyszliśmy z kosza i stanęliśmy na murze, a potem ruszyliśmy przed siebie.

Twarz księdza skurczyła się z bólu. Chwycił się za brzuch.

Vivian uklękła i powiedziała po włosku:

– Musi się ojciec położyć i odpocząć.

– Czuje się lepiej, siedząc – odparł Mercado. – To dlatego sam usiadł.

– Musimy zawieźć go do szpitala, i to teraz – rzekła Vivian.

– Zapytaj jego, co chce zrobić – zasugerował Purcell.

Mercado zapytał, a ojciec Armano odpowiedział:

– Muszę dokończyć... Zostało mi... mało czasu...

Mercado skinął głową.

Ksiądz wziął głęboki oddech, a na jego brodzie pojawiła się krew. Milczał jeszcze przez chwilę, potem zaczął mówić:

– Za murami klasztoru stały piękne budynki z czarnego kamienia; były tam też zielone ogrody, błękitne stawy i fontanny. Moi ludzie ucieszyli się bardzo na ten widok i zadawali mi mnóstwo pytań, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Powiedziałem jednak Giovanniemu, sierzantowi, o mnichach, a on kazał żołnierzom trzymać broń w pogotowiu. Zawołaliśmy jeszcze raz, lecz usłyszeliśmy tylko echo własnych głosów. Zaczęliśmy się martwić. Zauważyliśmy jednak drewniane schody, po których zeszliśmy na ziemię. Szliśmy bardzo ostrożnie, jak na zwiadzie, bo nie czuliśmy się pewnie. Zawołaliśmy jeszcze raz, ale i tym razem odezwało się tylko echo. Zaczęliśmy się jeszcze bardziej niepokoić i nie wołaliśmy więcej. Szliśmy w ciszy. Zbliżyliśmy się do głównego budynku: był to kościół. Jego drzwi pokrywało polerowane srebro, które w słońcu lśniło oślepiającym blaskiem. Na drzwiach widać było symbole wczesnych chrześcijan... Rybę, baranki, palmy... Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy, że sufit zbudowano z czegoś, co przypominało szkło, ale nim nie było. Był to jakiś kamień, może alabaster, przez który przenikało światło słoneczne. Wnętrze było skąpane w poświacie tak jasnej, że poczułem zawrót głowy i zaboląły mnie oczy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, nawet w Rzymie.

Ksiądz odchylił głowę, oparł ją o ścianę i zamknął oczy.

Purcell, Mercado i Vivian przyglądali mu się uważnie w słabym świetle.

– Czy postępujemy słusznie? – zapytał Mercado. – Może go zabijamy?

Vivian zgodziła się z Henrym i dodała:

– Chce, żeby świat poznał jego historię... I jego los.

– To najlepsze, co możemy zrobić – przyznał Purcell. – Myślę więc, że musimy go obudzić.

Mercado zawahał się, lecz w końcu kucnął i delikatnie potrząsnął kapłana za ramię.

Ojciec Armano powoli otworzył oczy.

– Teraz was widzę – powiedział. – Ta kobieta jest bardzo piękna. Nie powinna podróżować w taki sposób.

– W dzisiejszych czasach kobiety robią to samo, co mężczyźni, ojciec – rzekł Purcell.

Nikt nie przetłumaczył jego słów.

Ksiądz głęboko odetchnął.

– Kończmy już. Słuchajcie uważnie – rzekł i przycisnął drżące dłonie do oczu. – Przeszliśmy przez to dziwne światło w kościele i dotarliśmy do przylegającego doń budynku. Wydawał się większy, lecz być może to ciemność sprawiła, że odnieśliśmy takie wrażenie. Było tam mnóstwo kolumn. Weszliśmy w ciemność, a żołnierze zdjęli hełmy, lecz nie zawiesili broni na ramieniu i trzymali ją w pogotowiu. Nie miało to jednak większego znaczenia. W mgnieniu oka przy każdej z kolumn pojawił się mnich w habicie. Wszystko trwało sekundę, najwyżej dwie. Pobito nas pałkami, bez jednego wystrzału, prawie bezgłośnie...

Wydawało się, że ojcu Armano zabrakło sił. Był jednak bardzo zdeterminowany i chciał opowiedzieć o wszystkim. Zaczął szybko mówić:

– Zgodnie z wojskowymi przepisami miałem duży krzyż na hełmie. Być może to mnie uratowało. Pozostałych ponownie pobito. Zginęli. Pamiętam to, choć byłem oszołomiony. Miałem jednak hełm na głowie, gdyż wolno mi było wchodzić do kościoła w nakryciu głowy. Rozumiecie? Stał pochłonięta siłą uderzenia i Bóg mnie uratował. Potem mnisi wywlekli mnie z kościoła i umieścili w celi.

Ksiądz nagle zeszytniał i pobladł. Wbił dziąsła w zarośniętą wargę, a gdy ból zelżał, wypuścił powietrze i powiedział po łacinie coś, co Mercado rozpoznał jako Modlitwę Pańską. Gdy ją dokończył, ponownie przemówił po włosku:

– Do celi klasztornej, nie więziennej – powiedział. – Dbali o mnie... Dwóch czy trzech koptyjskich zakonników mówiło trochę w moim ojczystym języku... Więc powiedziałem im... Powiedziałem, że przybyłem, by zobaczyć świętą relikwię... I ten, który mówił po włosku, odrzekł: „Jeśli po to przybyłeś, to ją zobaczysz”. Ale dodał też: „Tym, którzy ją ujrzeni, nie wolno o niej opowiadać”. Zgodziłem się na to, choć nie rozumiałem, że właśnie przypieczętowałem swój los...

Purcell zaczął, aż Vivian przetłumaczy słowa księdza, i rzekł:

– Myślę, że to rozumiał.

Rzeczywiście tak było, ojciec Armano powiedział bowiem:

– Chyba to jednak rozumiałem... Chociaż kiedy ujrzałem świętą relikwię, nie miało to już znaczenia...

– Co to było, ojciec? – zapytał Mercado niemal mimochodem. – Co ojcu pokazano?

Ksiądz milczał przez chwilę i powiedział:

– Więc... Więc zaprowadzono mnie do niej i ją ujrzałem... Była tym, o czym napisano w liście... Upadłem na kolana i zacząłem się modlić, a mnisi modlili się ze mną... Ból głowy po uderzeniu pałką zniknął, a moją duszę ogarnął spokój.

Ojciec Armano uśmiechnął się i podniósł wzrok, jakby ponownie doznając tamtego spokoju. Jego ciało drgnęło i zamarło w bezruchu.

Mercado sprawdził, czy słychać bicie serca starca, a Purcell próbował wyczuć jego puls. Po chwili popatrzyli na siebie.

– Nie żyje – oświadczył Mercado.

Poczekali, aż się całkowicie rozwidni, by móc pochować księdza.

Vivian została z nim, trzymając go za jeszcze ciepłą rękę. Nagle poczuła, że jego palce zaciskają się na jej dłoni.

– Henry! – zawołała.

– Tak?

– On... Ściska moją rękę.

– To stężenie pośmiertne. Zostaw go, Vivian.

Vivian usiłowała uwolnić swą dłoń, lecz uścisk księdza był mocny. Przytuliła policzek do czoła starca. Wciąż było rozpalone gorączką.

– Henry... On żyje.

– Nie.

Ojciec Armano otworzył nagle oczy i wpatrzył się w słoneczne światło wpadające przez otwór w zniszczonym stropie.

Purcell szybko napił księdza i ukląkł obok, a Mercado zapytał:

– Czy może ojciec mówić?

Kapłan skinął głową i odezwał się słabym głosem:

– Zobaczyłem to... Było bardzo jasne, jak słońce w Berini. Wróciłem do domu. To było takie piękne...

Nikt nie odpowiedział.

– Moja siostra, Anna... Musicie do niej pojechać i wszystko jej powiedzieć. Ona czeka na wieści od was.

– Pojedziemy do niej – rzekł Mercado.

Ksiądz skinął głową i zdawał się przypominać sobie to, czego muszą się dowiedzieć. Oblizał splekane usta i zaczął mówić:

– Więc wtedy... Zabrano mnie do dżungli i przekazano żołnierzom z armii cesarza.

Myślałem, że jestem wolny... Że wymieniono mnie za etiopskich jeńców... Ale trafiłem do lokalnego przywódcy, księcia Teodora, który dowodził małym garnizonem w leśnej dżicy...

Ojciec Armano zamyślił się i po chwili rzekł:

– Było to prawie czterdzieści lat temu. Wszedłem z fortecy dopiero tej nocy.

Ksiądz spojrział na Mercado, Purcella i Vivian, po czym powiedział:

– Teraz wiecie już wszystko, a ja mogę odejść w spokoju. Musicie pojechać do Berini i opowiedzieć wszystkim, co się stało z Giuseppe Armano. Jedźcie też do Watykanu.

Powiedzcie, że znalazłem czarny klasztor... I że widziałem relikwie.

Purcell miał wrażenie, że zabrakło mu czegoś w opowiadaniu albo tłumaczeniu. Spojrział na Vivian, lecz ona wzruszyła tylko ramionami.

– Ojczy, co było w klasztorze? – zapytał Mercado.

Ojciec Armano podniósł wzrok.

– Nigdy tego nie znajdziecie. I nie powinniście szukać – odpowiedział.

– Co ojciec zobaczył?

Ksiądz nie odpowiedział wprost. Rzekł jednak:

– Moja głowa krwawiła od uderzenia. Stalowy hełm złagodził je, ale byłem ranny. Przyłożyli mi to do głowy i ból zniknął, a rana natychmiast się zagoiła... Mnisi powiedzieli, że jestem jednym z błogosławionych... Tym, który uwierzył...

Purcell wsłuchiwał się w tłumaczenie. Powiedział:

– Może nie zrozumiał pytania, Henry?

Mercado sapnął z poirytowaniem.

– Frank... – rzekł tylko i zwrócił się do księdza: – Ojczy, proszę nam powiedzieć, co to było.

Ksiądz się uśmiechnął.

– Oczywiście chcecie to wiedzieć... Ale spowodowało to już tyle cierpienia... To jest święte, a zarazem przekłete... Nie przekłete samo w sobie, tylko przekłete z powodu chciwości i zdradliwości ludzi. Powinno zostać tam, gdzie się znajduje. Ma być ukryte do chwili, gdy ludzie staną się lepsi... Powiedzieli mi to zakonnicy.

– Co to było? – zapytał zdecydowanym głosem Mercado.

Ksiądz poprosił o wodę. Vivian podała mu ją. Wypił trochę za dużo, lecz go to nie powstrzymało.

Zamknął oczy i powiedział miękkim głosem:

– Graal... Święte naczynie, z którego podczas Ostatniej Wieczerzy pił sam Chrystus... Jest napełniony jego najdroższą krwią. Leczy śmiertelne rany i przynosi ukojenie strapionym duszom. Jeśli uwierzycie. A nad nim wisi włócznia, którą rzymski żołnierz przebił bok naszego Pana... Splywa z niej do Graala nigdy niewysychający strumień krwi... Widziałem to

i doświadczyłem cudu.

Ojciec Armano spojrział na Mercado.

– Czy wierzysz w to, Henry? – zapytał.

Mercado nie odpowiedział.

Ksiądz przemówił zdumiewająco mocnym głosem:

– Jeśli to znajdziecie, to uwierzycie. Ale radzę wam tu zostać. Jedźcie do Rzymu, do Watykanu, i powiedzcie, że to znalazłem i że jest bezpieczne tam, gdzie się znajduje.

Uczynicie to?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Jedźcie też do Berini.

Ojciec Armano pobłogosławił ich, odmówił Modlitwę Pańską po łacinie i zamknął oczy.

Słońce było już wysoko. Mały ptak gnieźdzący się w suficie holu wyleciał przez zniszczone sklepienie i powitał poranek śpiewem.

Kłęczeli wokół księdza i mówili do niego, ale już nie odpowiadał. Po kwadransie zmarł w spokoju.

Vivian pochyliła się i ucałowała chłodne czoło kapłana.

ROZDZIAŁ 5

Henry Mercado przyniósł z jeepa krótki szpadeł, a Frank Purcell przeniósł owinięte kocem ciało księdza na dziedziniec uzdrowiska.

Vivian wybrała w zarośniętym ogrodzie miejsce obok wyschniętej fontanny. Purcell wykopał grób, na tyle głęboki, by szakale nie dobrały się do ciała.

Purcell, Mercado i Vivian ułożyli martwego ojca Armano w zagłębieniu i zaczęli na zmianę zasypywać je czerwoną afrykańską ziemią. Kiedy skończyli, Mercado odmówił krótką modlitwę nad grobem kapłana.

Vivian otarła spoconą twarz, sięgnęła po aparat i sfotografowała nieoznaczony grób oraz otaczające go ruiny. Purcell, Mercado i Vivian umówili się, że żadne z nich nie opíše spotkania z księdzem, na wypadek gdyby któryś z ich notesów dostał się w niepowołane ręce. Purcell nie był pewien, czy Vivian powinna była robić zdjęcia, ale się nie odezwał. Vivian powiedziała:

– Będziemy mogli pokazać te zdjęcia jego rodzinie. Może bliscy będą chcieli zabrać ciało do domu.

Purcell nie sądził, by po czterdziestu latach był jeszcze w Berini ktoś, komu mogłoby na tym zależeć. Lecz wszystko było możliwe; to miłe, że Vivian pomyślała i o tym.

Mercado spojrział na grób i odezwał się do swych towarzyszy:

– Mam wrażenie, że zabiliśmy go naszymi namowami... I całą tą wodą...

– Był już martwy, kiedy go znaleźliśmy, Henry – odparł Purcell. – Zrobiliśmy to, czego od nas zażądał. Wysłuchaliśmy go – przypomniał. – Chciał, żebyśmy powiedzieli o nim tym, którzy go znali. I opowiemy.

Vivian usiadła na kamiennej ogrodowej ławce i zapatrzyła się na grób.

– Chciał też, byśmy się dowiedzieli o istnieniu czarnego klasztoru... I o Graalu. Chciał, byśmy pojechali do Rzymu, do Watykanu... I byśmy tam powiedzieli, że ojciec Giuseppe Armano znalazł to, po co go tu wysłano.

Purcell zerknął na Mercado. Był pewien, że pomyśleli o tym samym: w Watykanie nie powiedzą ani słowa. Przynajmniej na razie. Sam ojciec Armano zasugerował, że Graal jest bezpieczny tam, gdzie się znajduje: dał im do zrozumienia, że ma tam pozostać.

Mercado usiadł obok Vivian, popatrzył na rozsypujące się pseudorzzymskie łaźnie i powiedział:

– To najbardziej stosowne miejsce na jego grób. Co myślicie o tym, o czym opowiedział ojciec Armano?

Nikt się nie odezwał. Mercado nie ustępował.

– Co myślicie o czarnym klasztorze i Świętym Graalu?

Purcell zapalił papierosa.

– Cóż... Myślę, że jego historia jest w zasadzie prawdziwa – powiedział. – Mam na myśli kardynała, papieża, wojenne przeżycia ojca Armano... Ale trochę dziwi mnie włócznia Longinusa, z której do Graala spływa krew.

Mercado zamyslił się na chwilę, a potem skinął głową i rzekł:

– Jestem tu tym wierzącym, ale... Wiecie, w gułagu był pewien więzień, który mówił, że zamknięto go za próbę zamordowania Stalina. W rzeczywistości dostał dwadzieścia lat za podkradanie państwowej własności. Sami rozumiecie: musiał wymyślić sobie dostatecznie wielką winę, która pasowałaby do jego wyroku.

Nikt tego nie skomentował, zatem Mercado mówił dalej:

– Nie wiemy, z jakiego powodu ojciec Armano spędził czterdzieści lat za kratami. Myślę jednak, że wmówił sobie, że znalazł się w więzieniu, bo zobaczył coś, czego nie powinien był zobaczyć.

– Ale jego opowiadanie było pełne szczegółów – odparła Vivian.

– Vivian, gdybyś miała pracować czterdzieści lat nad jednym artykułem, to byłby on również bardzo szczegółowy – powiedział Mercado. – Ksiądz właściwie nie kłamał. Zwodził sam siebie tak długo, aż we wszystko uwierzył.

Słońce było już jaskrawożółte. Purcell otarł twarz rękawem.

– Jak myślisz: w którym momencie ta historia stała się urojeniem? – zapytał.

Mercado wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Może wtedy, gdy ksiądz zaczął opowiadać o jeziorze Tana. Może został wtedy pojmany przez Etiopczyków i wtrącony do więzienia jako jeniec wojenny?

– Więc dlaczego spędził w nim czterdzieści lat? – zapytał Purcell. – Wojna z Włochami skończyła się przecież po roku.

Mercado ponownie wzruszył ramionami.

– Nie wiem... – powiedział. – Miejscowy dowódca, ksiązę Teodor, schwytał włoskiego jeńca... Księdza, którego nie zamierzał zabijać... Wtrącił go do więzienia, a później o nim zapomniał.

– Ale kiedy Włosi wygrali wojnę, ksiązę wydałby im księdza, aby wkraść się w ich łaski albo zarobić – odparł Purcell. – Ksiądz przesiedział jednak czterdzieści lat w odosobnionej celi. Dlaczego?

– Jak przypuszczam, jest możliwe, że ojciec Armano znalazł czarny klasztor i wszedł do niego – przyznał Mercado. – Może też mnisi zabili żołnierzy, którzy z nim byli. Przekazali go

etiopskiemu księciu i skazali na dożywocie, żeby nie mógł nikomu powiedzieć, co zrobili ani gdzie się znajduje czarny klasztor. Uciszyli świadka, nie zabijając go. Tak, mogło się tak stać, skoro świadek był księdzem.

– Może więc wszystko, co powiedział ksiądz, jest prawdą? – zasugerował Purcell. – Z wyjątkiem części o Świętym Graalu i włóczni, z której spływa krew.

– Tak – zgodził się Mercado. – Ale przecież Święty Graal nie istnieje, Frank. To legenda. Mit.

– Myślałem, że jesteś naprawdę wierzący – odparł Purcell.

– Bo jestem. Ale nie wierzę w średniowieczne mity. Wierzę w Boga.

Zamyślona Vivian przyglądała się Mercado.

– Myślę, Henry, że nie jesteś pewien tego, co mówisz – powiedziała.

– Jestem.

Purcell zaczął spekulować:

– Henry, a może chcesz się nas pozbyć? Albo pozbyć się mnie, zabrać swoją fotografię i poszukać czarnego klasztoru?

Mercado wyglądał na urażonego.

– Za długo siedziałeś na słońcu – odparł.

– Posłuchaj – rzekł Purcell. – Wszyscy uwierzyliśmy w to, co powiedział ojciec Armano; także w to, że znalazł w klasztorze Świętego Graala. Lecz to właśnie Graal stanowi problem. Ksiądz go widział, ale czy był to prawdziwy Graal? Naczynie, z którego Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy? A może to tylko mnisi tak myśleli?

Mercado skinął głową.

– To najbardziej logiczny wniosek – rzekł. Zapytał retorycznie: – Ile fałszywych relikwii jest w Kościele katolickim? – I odpowiedział sam sobie: – Przypuszczalnie setki. Na przykład fragmenty krzyża. Gwoździe, którymi przybito do niego Chrystusa. Kawalek jego szaty. Ksiądz zobaczył właśnie to: fałszywą relikwię.

– Masz rację – zgodził się Purcell. – Ale musimy zdecydować, czy chcemy poszukać czarnego klasztoru i tak zwanego Świętego Graala. Czy warto dla tej historii ryzykować życie? Nie zapominajcie, co się stało z... – Wskazał głową grób.

Mercado zerknął na świeżo ubitą ziemię, ale nie odpowiedział.

Vivian przypomniała swym towarzyszom:

– Ojciec Armano powiedział, że najświętsza krew uleczyła jego ranę.

– Legenda głosi, że jeśli się wierzy dostatecznie mocno, można doznać uzdrowienia psychosomatycznego – powiedział Purcell.

Vivian rzekła:

– Cóż... Tak. Ale ksiądz opisał też włóczęgię Longinusa, z której bez końca wypływa krew napełniająca Graala.

– I tu mnie masz, Vivian.

– Lecz Watykan najwyraźniej w to wierzy, jeśli uznamy za prawdę to, co powiedział ojciec Armano. Ja również wierzę.

– Watykan niekoniecznie musi wierzyć w istnienie Graala albo w to, że zawędrował on do Etiopii – rzekł Purcell. – Wykorzystał jednak włoską inwazję i wysłał tu z wojskiem grupę księży, żeby sprawdzili to, o czym mówiono lub pisano, i zabrali wszystko, co uda im się znaleźć.

Mercado przytaknął i powiedział:

– Włoskie wojska wywiozły z Etiopii mnóstwo artefaktów religijnych. Stele w budynku włoskiego ministerstwa spraw zagranicznych pochodzą z Aksum, starożytnej stolicy Etiopii. Etiopczycy żądają ich zwrotu.

– Łupy wojenne należą do zwycięzców – odparł Purcell.

Mercado skinął głową.

– Europa, Watykan i Muzeum Brytyjskie są pełne obiektów zagrabionych na całym świecie – powiedział. – Lecz tamte czasy już minęły, więc nawet jeśli zdecydujemy się poszukać relikwii i ją odnajdziemy, to nie będziemy mieli prawa jej... zabrać.

– Zapędzasz się, Henry – rzekł Purcell. – Nie wiemy jeszcze, czy w ogóle zaczniemy jej szukać. A jeśli nawet zaczniemy i ją odnajdziemy, to najwyżej zrobimy kilka zdjęć i opisemy ją. Nie ukradniemy jej.

– Nie możemy mieć pewności, czy to prawdziwa czara używana przez Chrystusa podczas Ostatniej Wieczery – wyjaśnił Henry. – Trudno uwierzyć zwłaszcza w to, że ma ona w sobie mistyczną moc. Lecz opowieść księdza: Watykan, kardynał, papież, klasztor, zakonnicy, Graal i włóczęgia, to materiał na świetny artykuł. Temat chwytający za serce: umierający ksiądz więziony od czasów włoskiej inwazji...

– Zgadza się, ale nie możemy napisać tylko o tym, co usłyszeliśmy od umierającego księdza, i nawet nie wspomnieć o wyprawie na poszukiwanie czarnego klasztoru – powiedział Purcell. – Postąpilibyśmy, jak ci wszyscy dziennikarze w Addis Abebie, którzy siedzą w Hiltonie i przepisują komunikaty rządowe.

– Na pewno tak nie postępujemy – odparł Mercado. – Jesteśmy tutaj.

– Więc sami się do tego namówiliśmy? – zapytał retorycznie Purcell. – I zamierzamy ryzykować życie, by znaleźć Świętego Graala i zobaczyć napis „Made in Japan”, gdy go odwrócimy?

Mercado zmusił się do uśmiechu i powiedział:

– Myślę, że to dość dobra historia, by zbadać ją do końca.

– Ojciec Armano myślał tak samo – przypomniał mu Purcell.

Nastąpiła cisza. Pograżyli się w myślach.

– Jeśli tego nie zrobimy, będziemy żałować do końca życia – odezwała się wreszcie Vivian.

– Które może być bardzo krótkie, jeśli się na to zdecydujemy – odparł Purcell.

– Albo jeszcze krótsze, jeśli się stąd nie wyniesiemy – dodał Mercado i przypomniał –

Naszym największym problemem jest to, że przebywamy na niebezpiecznym terytorium. Nie mówię, że mamy próbować wrócić do Addis Abeby. Mam list żelazny, który otrzymałem od rządu tymczasowego. Musimy więc przyłączyć się do etiopskich wojsk, które są niecałą godzinę stąd, a jeśli się nie uda, przyłączymy się do sił rojalistycznych. Nie chcemy przecież natknąć się na Oromów.

– To by było nieciekawe – zgodził się Purcell. – Spędzimy kilka dni z armią, opisując jej zwycięstwa, a potem zaproponujemy naszego jeepa w zamian za podwózkę helikopterem do Addis Abeby. Jak już ochłonimy, postanowimy przy drinku, czy będziemy chcieli tu wrócić i poszukać czarnego klasztoru.

– Ja już postanowiłam – oświadczyła Vivian.

– Nie działaj impulsywnie – poradził jej Purcell.

– Nie mamy pewności, czy po czterdziestu latach klasztor jeszcze istnieje – powiedział Mercado. – O ile w ogóle istniał. Będziemy musieli poszukać informacji we włoskiej bibliotece w Addis Abebie, zaopatrzyć się w mapy i zdobyć lepszy sprzęt...

– Racja – przerwał mu Purcell. – Ale najpierw wynieśmy się z tych łaźni, zanim Oromowie nabiorą ochoty na kąpiel.

Mercado i Vivian wstali i przeszli przez dziedziniec, a potem powędrowali kolumnadą do jeepa.

– Jak znajdziemy dowództwo armii? – zapytała Vivian.

– Prawdopodobnie przypadkowo – odpowiedział Mercado. – Musimy tylko pojechać na wzgórze, a przy odrobinie szczęścia natkniemy się na któryś z posterunków. Poćwicz machanie legitymacją dziennikarską.

Weszli do hotelowego holu i wskoczyli do jeepa. Purcell uruchomił silnik. Wjechali do portyku, a potem zjechali po schodach, na które wdrapali się wieczorem. Purcell poprowadził jeepa przez łąkę i wyjechał na wąską drogę wśród zarośli. Skreślił ku wzgórzom i dodał gazu.

Wiedzieli, że przebywają w strefie walk i że może się tu wydarzyć wszystko, a zwłaszcza coś złego. Wojska rządu tymczasowego powinny były uznać ich list żelazny. Rojaliści, prawdopodobnie pobici zeszłej nocy, mogli mieć gorszy humor. Lecz Hajle Sellassje, ich uwięziony cesarz, żywił sympatię do Zachodu; Purcell pomyślał więc, że gdyby natknęli się

najpierw na rojalistów – a zarazem chrześcijan – to ci potraktują ich dobrze. Trudno mieć taką pewność, gdy ma się do czynienia z wojskiem – Purcell był natomiast pewien, że Oromowie zarzną ich, nie zwracając uwagi na to, że mają do czynienia z akredytowanymi dziennikarzami.

Purcell usiłował skupić uwagę na kiepskiej drodze i uniknięciu Oromów. Wciąż jednak wracał myślami do księdza i jego opowieści. Ojciec Armano odnalazł czarny klasztor, o którego istnieniu wiadano w Watykanie. Purcell był pewien, że to prawda. Później, cóż... Henry Mercado stwierdził, że to tylko średniowieczny mit. Poszukiwania Świętego Graala trwały już od około tysiąca lat. Nigdy go nie odnaleziono, ponieważ nigdy nie istniał. A może istniał, ale tylko godzinę lub dwie – podczas Ostatniej Wieczery – lecz umyty z innymi naczyniami, przepadł na zawsze. Ważniejsze, że nie emanował szczególną mocą, o której opowiadali bajarze, ale nie historycy albo teologowie. Nie powstrzymywało to jednak nikogo przed jego poszukiwaniem.

Purcell zastanawiał się, ilu ludzi poświęciło życie lub straciło je, by odnaleźć coś, co nigdy nie istniało. Nie znał odpowiedzi, ale wiedział, że na liście poszukiwaczy mogą wkrótce pojawić się nazwiska kolejnej trójki idiotów.

ROZDZIAŁ 6

Purcell zauważył, że wąska górską drogą nie została naprawiona od pory deszczowej. Kiedy jechali pod górę, dżungla rzedła, a przez kurz unoszący się za jeepem widać było białe ruiny uzdrowiska w dolinie. Z czerwonej ziemi przed nimi wynurzały się czerwone skały. Purcell stwierdził, że nigdzie nie widać oznak nocnej bitwy, ale wyczuł słaby zapach kordytu i rozkładających się ciał spływający z wiatrem ze wzgórz.

– Dlaczego nikogo tu nie ma? – zapytała Vivian.

Purcell spojrział na jej odbicie w lusterku wstecznym. Wcześniej zdjęli brezentową plandekę jeepa, dzięki czemu można było szybciej poznać, że są ludźmi z Zachodu. Wiatr przesiewał kurz przez kruczoczarne włosy Vivian i osadzał czerwony puder na jej policzkach. Kobieta miała na głowie oklapły kapelusz, który miał chronić przed słońcem jej białą jak krochmal skórę.

– Zauważą nasz kurz, zanim my ich zobaczymy – odezwał się Frank.

Mercado wpatrywał się nieobecny wzrokiem w wijącą się drogę. Po opuszczeniu gułagu zrobił karierę, pisząc o doświadczeniach religijnych. Rozmawiał z papieżem Janem xxiii, Dalajlamą, hinduskimi mistykami, mnichami buddyjskimi i ludźmi, którzy twierdzili, że są Bogiem we własnej osobie albo jego najlepszymi przyjaciółmi. Do chwili uwięzienia życie i teksty Mercado były antyfaszystowskie i prosocjalistyczne. Upadek faszystowskiego systemu i uwięzienie przez rząd socjalistycznego państwa sprawiły, że w gruzach legło również jego życie i twórczość. Jedno i drugie zjełczało i stało się jałowe.

Namawiano go, by napisał o sześciu latach spędzonych w radzieckim gułagu, lecz nie znajdował słów, którymi mógłby opisać swoje doświadczenia.

Dopiero poszukiwanie Boga obudziło w nim na nowo jego zamiłowanie do słowa i jego umiejętność opowiadania ciekawych historii.

Mercado napisał dla „New York Timesa” artykuł o Dalajlamie, który uciekł z czerwonych Chin i zaczął pędzić w Indiach żywot uchodźcy. Był to tekst, dzięki któremu Mercado odzyskał po wojnie międzynarodową sławę jako dziennikarz. W 1962 roku odważył się na wyjazd do Związku Radzieckiego, by pisać o prześladowaniach religijnych. Cudem uniknął ponownego aresztowania i został wydalony. Napisał później jeszcze kilka dobrych artykułów, ale ostatnio jego teksty znowu stały się jałowe.

Mercado równie mocno martwił się swoją karierą, co osłabieniem religijnego zapału. Jedno zależało od drugiego. By móc dobrze pisać, musiał czuć w sobie ogień – jak ojciec Armano ranny w brzuch. Jego obecnym zadaniem, które miał wykonać dla upi, było napisanie serii

artykułów o losach Kościoła koptyjskiego w czasie wojny. Mercado nawiązał też kontakt z watykańską gazetą „L'Osservatore Romano”, która kupowała wiele jego artykułów. Lecz w słowach Mercado nie było już ognia i wydawcy o tym wiedzieli. Prawie się poddał. Do teraz. Bo teraz jego mózg skrycie płonął od doświadczeń ostatniej nocy. Mercado czuł, że został wybrany przez Boga, by opowiedzieć historię księdza. Nie można było inaczej wytłumaczyć ciągu przypadków, dzięki którym poznał tę tajemnicę. Z pozoru był spokojny, lecz jego dusza płonęła w oczekiwaniu na wyprawę po Graala. Ale to było jego tajemnicą.

Purcell spojrzał na Mercado.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Mercado otrząsnął się z mrzonek.

– Nic mi nie jest – odpowiedział.

Purcell pomyślał, że Mercado jest jego barometrem wykrywającym niebezpieczeństwa. Henry umiał je dostrzegać, a skoro zaczął się lękać, to z pewnością byli o krok od wdepnięcia w gówno.

Dla Purcella wojna także nie była niczym nowym – i on, i Mercado widzieli pewnie więcej walk i śmierci niż jeden żołnierz piechoty. Mercado był jednak zaprawionym w boju zawodowcem; podczas ich trzydniowej podróży przez kraj pogrążony w chaosie i przemocy zaimponował Purcellowi swym instynktem przetrwania. Henry Mercado wiedział, kiedy należy blefować i wrzeszczeć, a kiedy wręczyć łapówkę – kiedy być grzecznym i układnym, a kiedy rozpętać piekło.

Purcell pomyślał, że pomimo ich uwięzienia i on, i Mercado mają niezłe szczęście jako korespondenci wojenni lub są przynajmniej dostatecznie sprytni, by przeżyć. Lecz Mercado przeżył więcej niż Frank Purcell. Kiedy zatem on i Vivian, zaopatrzeni w list żelazny wydany przez rząd tymczasowy, podeszli do niego w barze hotelu Hilton i zapytali, czy nie zechciałby im towarzyszyć podczas wyjazdu w miejsce, w którym coś się dzieje, zgodził się bez dłuższego wahania.

Ale teraz... To, co trzy dni wcześniej w Addis Abebie wyglądało tak obiecująco, teraz przedstawiało się zupełnie inaczej. Purcell był już w gorszych miejscach i sytuacjach, lecz po roku niewoli u Czerwonych Khmerów, w której codziennie groziła mu śmierć z głodu lub wskutek choroby i w której widywał mężczyzn i kobiety traconych bez wyraźnego powodu, poczuł, że jego limit szczęścia się wyczerpał. Niestety, nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie znalazł się o dzień od Addis Abeby. Dotarł do miejsca, z którego nie było już powrotu.

Avanti.

Purcell zapalił papierosa, pewnie trzymając kierownicę jedną ręką.

– Mam nadzieję, że trafimy na armię – powiedział. – Na pewno rozbiła w nocy siły księcia

Jozuego, a wolałbym raczej podróżować ze zwycięzcami. Z pokonanymi podróżują Oromowie.

Mercado obejrzał okolicę przez polową lornetkę i odpowiedział:

– Tak, ale myślę, że artykuł o księciu Jozuem byłby lepszy. Stracone sprawy i rozsypujące się cesarstwa to zawsze dobry temat.

– Czy możemy przestać rozmawiać o Oromach? – zapytała Vivian.

Mercado opuścił lornetkę i odpowiedział:

– Lepiej rozmawiać o nich niż z nimi.

Jechali dalej. Mercado rozparł się wygodnie na swym siedzeniu.

– Niebezpieczne podczas wojny domowej jest to, że linie frontu zmieniają swój kształt jak spaghetti w durszlaku – powiedział.

– Czy będę mógł to zacytować? – zapytał Purcell.

Mercado nie zwrócił na niego uwagi.

– Pisałem reportaże z wojny domowej w Hiszpanii – mówił dalej. – Dopóki podróżujesz z kimś z jednej lub z drugiej strony, jesteś tylko balastem. Ale kiedy znajdziesz się pośrodku albo gdzieś z boku i próbujesz wrócić, aresztują cię. Widzisz, Frank: gdybyś wędrował z Czerwonymi Khmerami, prawdopodobnie by cię nie aresztowali. Myślę, że ma to coś wspólnego z obawą przed szpiegami. Na froncie nie lubią tych, którzy się kręcą między armiami. Cała sztuka polega na tym, by dostać się na linię frontu i nie dać się zastrzelić. A jeśli zauważy cię strażnik, masz wymachiwać swoją legitymacją prasową i aparatami tak, jakby specjalnie zaproszono cię na wojnę. Kiedy już dostaniesz się do środka, zauważysz, że szefowie są najczęściej uprzejmi. Nigdy jednak nie możesz wyglądać jak ktoś, kogo należy zatrzymać. Wojsko zajmuje się nie tylko walką, ale także aresztowaniem i egzekucjami. Nie ma na to rady. Wojsko jest już tak zaprogramowane. Nie możesz wyglądać jak ktoś, kogo należy aresztować lub stracić. Rozumiesz?

– Henry, dlaczego to nie ty prowadzisz? Wtedy ja mógłbym rozprawiać.

Mercado się roześmiał.

– Trafiłem w czułe miejsce, Frank? – zapytał. – Nie przejmuj się. Opowiadam tylko o swoim własnym doświadczeniu.

Purcell pomyślał, że Mercado postanowił zaimponować Vivian swą przemową.

– We wschodnim Berlinie była taka chwila, kiedy mogłem zacząć wrzeszczeć i uniknąć aresztowania. Ale okazałem strach. Wtedy tamci stali się jeszcze bardziej pewni siebie. Potem wszystko potoczyło się rutynowo. Z rogu ulicy oddalonego o niecały kilometr od Checkpoint Charlie trafiłem do obozu pracy na Uralu, tysiące mroźnych kilometrów dalej. A wystarczyło zacząć wrzeszczeć... Oto, do czego dochodzi, kiedy ma się do czynienia ze

społeczeństwami, w których decydują ludzie, a nie prawo. W Hiszpanii miałem przyjaciela, którego zastrzelili żołnierze Franco, ponieważ nosił czerwono-czarną bandanę anarchistów. Zawiązywał ją tylko po to, żeby pot nie leciał mu do oczu. Przywiózł ją z Anglii. Postawili go pod ścianą i rozstrzelali w świetle reflektorów ciężarówki. Ten biedak nie znał nawet hiszpańskiego i nigdy się nie dowiedział, dlaczego miał umrzeć. Gdyby zrozumiał, że żołnierze poczuli się urażeni z powodu tej nieszczęsnej bandany, gdyby rzucił ją na ziemię i opluł, żyłby do dziś.

– Może popełniłby inny błąd? – rzekł Purcell.

– Być może, Frank. Nigdy nie wyglądaj jak ktoś, kogo należy aresztować.

Purcell chrząknął. Przeżył kiedyś taką chwilę w Kambodży... Był tam oficer, Czerwony Khmer mówiący po francusku. I były rzeczy, które Purcell mógł mu powiedzieć. Bycie Amerykaninem nie było dostatecznym powodem, by go aresztować. Amerykanie towarzyszyli siłom komunistów w całych Indochinach. Amerykańscy dziennikarze wędrowali też z Czerwonymi Khmerami. Mimo to Purcell zawałił sprawę. Tak, Mercado trafił w jego czuły punkt.

Purcell pokonał zakręt i powiedział:

– Masz okazję udowodnić swoje racje, Henry. Widzę człowieka, który właśnie do nas celuje.

Vivian wyprostowała się i rozejrzała.

– Gdzie? – zapytała.

– Zatrzymaj samochód! – krzyknął Mercado.

Purcell jechał dalej, pokazując palcem:

– Widzicie go?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, mężczyzna otworzył ogień. Nad ich głowami przeleciała seria czerwonych pocisków smugowych.

Purcell wiedział, że mężczyzna nie może być aż tak kiepskim strzelcem: były to tylko strzały ostrzegawcze. Lecz Mercado wyskoczył z jeeпа i stoczył się do przydrożnego rowu.

Purcell zatrzymał samochód i krzyknął:

– Henry, wyglądasz na takiego, którego należy aresztować!

Potem wstał i zaczął wymachiwać rękami, krzycząc:

– Hajle Sellasje! Hajle Sellasje! Książę Jozue!

Żołnierz w brudnej szarej shammie opuścił broń i nakazał im gestem, by się zbliżyli.

Vivian zerkała spomiędzy siedzeń.

– Frank, skąd wiedziałeś, że to rojalista? – zapytała.

Purcell osunął się na siedzenie.

– Nie wiedziałem – powiedział.

Mercado wygramolił się z rowu i usiadł obok Purcella.

– Była to najgłupsza rzecz, jaką mogłeś zrobić – powiedział.

– Za to ty niczego nie zrobiłeś – odparł Purcell i wolno ruszył w kierunku żołnierza.

Próbując usprawiedliwić swój skok do rowu, Mercado rzekł:

– Myślałem, że to jeden z Oromów.

– Wiedziałem, że to nie Orom.

– A wiesz, jak wyglądają Oromowie?

– Właściwie nie.

Podjechali do żołnierza i zauważyli, że ma szarfę w kolorach cesarza i Etiopii: była zielono-żółto-czerwona.

– Znaleźliśmy się właśnie w królewskiej armii – powiedział Purcell.

– To dobrze – odrzekł Mercado. – Tu przynajmniej coś się dzieje.

– Wojska rządu tymczasowego mogłyby nas dostarczyć do Addis Abeby – przypomniał mu Purcell. – A księżę Jozue prawdopodobnie sam nie może się stąd wydostać.

– Nie wiemy, jaka jest sytuacja.

– Słusznie. Ale wiem, że nasz list żelazny niespecjalnie przekona księcia.

Mercado milczał.

– Spotkałem tu Hajle Sellasje w 1936, a potem jeszcze raz, gdy przebywał w Londynie na wygnaniu – rzekł po chwili. – Powiem to księciu Jozuemu.

Vivian, która знаła Mercado lepiej niż Purcell, zapytała:

– Czy to prawda?

– Nie, ale dzięki temu potraktują nas po królewsku.

– I za to cię kocham, Henry – odparła Vivian.

– Nie wyglądajcie na kogoś, kogo należy aresztować – poradził im Purcell.

Znalazszy się dwadzieścia metrów od żołnierza, zaczęli machać do niego rękami. Mężczyzna nie odwzajemnił pozdrowienia, ale skierował rękę w prawo.

– Chce, żebyśmy pojechali tamtą wąską ścieżką – domyślił się Mercado.

– Zauważyłem – oświadczył Purcell.

Wskoczył do jeepa, skręcił w prawo i pomachał na pożegnanie obszarpanemu żołnierzowi stojącemu na skale. W powietrzu zaczął się rozchodzić zapach trupów, chociaż nie widać było ani jednego ciała. Purcell jechał pod górę wąską dróżką, która wyglądała jak wydeptana przez kozy.

Mercado wyciągnął rękę i pokazał płaskie miejsce przed nimi. Leżało tam kilkanaście ciał rozkładających się w słońcu. Zobaczyli zbliżającego się żołnierza uzbrojonego w stary karabin

z czterotaktowym zamkiem. Purcell pomachał ręką nad trupami i skierował jeepa w stronę mężczyzny, który przyglądał im się z zaciekawieniem.

Mercado podniósł się i krzyknął po amharsku:

– *Tena yastalann!*

– O to chodzi, Henry – powiedziała Vivian. – Zapytaj go, jak jego dzieci radzą sobie w Yale.

– Już to zrobiłem.

Mężczyzna podszedł do jeepa. Purcell zahamował i wyjął paczkę egipskich papierosów, a Mercado pomachał swą legitymacją prasową i rzekł:

– *Gazetanna.*

Żołnierz miał na sobie zdartą shamme i części wojskowej uprząży. Uśmiechnął się i przyjął papierosy. Purcell przypalił mu jednego.

– *Ras Jozue* – powiedział.

Mężczyzna skinął głową i pokazał drogę.

Purcell skierował jeepa pod górę. Zaczęli przebijać się przez trawę sięgającą do przedniej szyby. Wokół nie było widać zbyt wielu dowodów działań wojennych; jedynie kilka śladów świadczyło o nocnym ostrzale artyleryjskim. Purcell wiedział, że – podobnie jak w wielu innych armiach Trzeciego Świata – broń używana w nowoczesnych wojnach służyła tu przede wszystkim do hałasowania i wyładowywania wściekłości. Ostrzały artyleryjskie znaczyły niewiele w porównaniu z tym, do czego była zdolna artyleria nowoczesnych armii, a większość pocisków lądowała daleko od celu. Prawdziwe zabijanie odbywało się tu w sposób, który nie zmienił się od tysięcy lat: za pomocą noża, włóczni, miecza i, czasami – bagnetu na nienaladowanym karabinie.

Jechali przed siebie. W pewnej chwili Purcell zrozumiał, że znaleźli się w samym środku głównej kwatery księcia. Niskie namioty wystające z wysokich traw i krzewów były tu zbyt kolorowe jak na sprzęt wojska. Przed sobą, na końcu wąskiej dróżki, zobaczyli zielono-żółto-czerwoną flagę Etiopii z rysunkiem lwa Judy. Gdy się do niej zbliżyli, wśród rosnących po obu stronach krzewów zaroilo się od żołnierzy. Nikt nie odezwał się ani słowem.

– Pomachaj im, Henry – powiedziała Vivian. – Zaproś ich wszystkich do siebie, do Surrey. Bądź dobrym facetem.

– Vivian, uspokój się i usiądź.

Purcell zatrzymał jeepa w stosownej odległości od namiotu z cesarską flagą. Wysiedli z samochodu, przyjaźnie machając rękami na powitanie i uśmiechając się. Niektórzy z żołnierzy odwzajemnili uśmiech, lecz kilku wyglądało na rozżłoszczonych i poirytowanych – jak piechurzy na całym świecie, którzy właśnie zakończyli bitwę. Nie podobali im się stosunkowo czyści i dość świeżo wyglądający przybysze kręcący się po ich obozie, zwłaszcza

po przegranej potyczce. Purcell zrozumiał, że pokonana armia może być niebezpieczna – o wiele bardziej niebezpieczna niż ta, która zwyciężyła. Morale żołnierzy jest wówczas niskie, ich szacunek dla przełożonych – prawie żaden, a temperament – poza kontrolą. Purcell obserwował to w południowowietnamskiej armii, która zaczęła przegrywać wojnę. Mercado widział to na całym świecie. Wstyd porażki, który prowadzi do gwałtów, grabieży i przypadkowych zabójstw. Katharsis żołnierzy, którzy nie potrafią pokonać innych żołnierzy.

Pomaszerowali szybkim krokiem w stronę namiotu księcia, jakby się spóźnili na spotkanie. Purcell zaczął się obawiać o sprzęt, ale próba zabrania go ze sobą albo gesty zabraniające żołnierzom podchodzenia do jeepa mogłyby przysporzyć niepotrzebnych kłopotów. Najlepszym rozwiązaniem było oddalenie się od kosztownego dobytku z nadzieją, że pozostanie on na swoim miejscu. Vivian wzięła jednak ze sobą jeden z aparatów fotograficznych.

Księżę wyszedł im naprzeciw. Nie można go było z nikim pomylić. Był młody – miał około czterdziestki – i bardzo wysoki. Nosił wykonaną w europejskim stylu złotą koronę ozdobioną kamieniami szlachetnymi, ale miał na sobie shamę z lwiej skóry i szeroki pas ze skóry lamparta. Trzymał włócznię. Przybocznicy księcia, którzy wyszli za nim z namiotu, nosili nowoczesne mundury polowe, lecz wokół szyi mieli zawieszony grzywy lwów. Z pewnością wystroili się tak dla Europejczyków. Mercado uznał to za dobry znak.

Księżę i jego świta zatrzymali się. Ścieżka przebita w wysokiej trawie zapełniła się zaciekawionymi żołnierzami.

Mercado ruszył przed siebie, podszedł do księcia i się uklonił. Przemówił łamanym językiem amharskim:

– Ras Jozue! Proszę nam wybaczyć, że nie zapowiedzieliśmy naszej wizyty. Przebyliśmy długą drogę, by odwiedzić waszą armię...

– Mówię po angielsku – odpowiedział z brytyjskim akcentem księżę.

– To dobrze. Nazywam się Henry Mercado. To jest Frank Purcell, amerykański dziennikarz, a to Vivian Smith, która jest naszą fotografką.

Mercado jeszcze raz głęboko się pokłonił i stanął z boku.

Gdy Vivian ruszyła w stronę księcia, Mercado wyszeptał:

– Dygnij!

Vivian dygnęła i powiedziała:

– To dla mnie wielki zaszczyt.

Purcell skinął głową na powitanie.

– Dziękujemy za przyjęcie – rzekł.

– Chodźcie – powiedział księżę Jozue.

Podążyli za nim w kierunku namiotu i weszli do środka. Pawilon w czerwono-białe pasy był zawilgocony, a powietrze miało kwaśny zapach. Książę poprosił, by usiedli na poduszkach rozłożonych wokół intarsjowanego stołu, który wyglądał jak europejski antyk z obciętymi nogami. Purcell pomyślał, że jest to równie dziwaczne, jak wszystko w tym kraju.

Już jakiś czas temu odkrył, że Etiopia stanowi mieszaninę przepychu, elegancji i niewyobrażalnych absurdów. Doskonale potwierdzał to zabytkowy stolik ze skróconymi nogami, a chyba jeszcze lepiej – nowoczesne mundury ozdobione grzywami lwów. W odróżnieniu od większości krajów leżących na południe od Sahary Etiopia nie była jednak zlepkiem powstałym z przemieszania epoki kamienia z epoką brązu i współczesnością – była natomiast miejscem, w którym starożytna odizolowana cywilizacja wspięła się na szczyt o własnych siłach na długo przed pojawieniem się Włochów. Teraz jednak, jak zauważył Purcell, niepowtarzalny klimat tej starej cywilizacji odchodził wraz ze starym cesarzem.

– Czy zechciałby książę zobaczyć nasze dziennikarskie akredytacje? – zapytał Mercado.

– W jakim celu?

– Żeby się upewnić, że...

– A kim innym moglibyście być?

Mercado tylko skinął głową.

– Jak się tu dostaliście? – spytał książę Jozue.

– Przyjechaliśmy jeepem z Addis Abeby – odpowiedział Purcell.

– Tak? Dziwię się, że dotarliście tak daleko.

– I oto jesteśmy – dodał Purcell.

Służący księcia ustawili na stoliku brązowe puchary i napełnili je z butelki z napisem „Johnnie Walker Black Label”. Purcell próbował udawać, że nie zaskoczył go tak doskonały wybór, lecz Vivian sprawiała wrażenie niepewnej, czy w butelce nie znajduje się sfermentowany płyn odkażający.

– Cóż my tu mamy? – zapytała.

Pochyliła się nad stolikiem, uniosła aparat i zapytała księcia:

– Czy mogę?

Sfotografowała butelkę z księciem Jozuem w tle.

– Znakomite ujęcie – dodała.

Mercado zamarł. Złe maniery były jedną z rzeczy, których nie tolerował u młodych ludzi. Mogły być urocze w Nowym Jorku albo w Londynie, lecz nie w tak niebezpiecznym kraju jak Etiopia. Książę wyglądał na czarującego człowieka, ale nigdy nie wiadomo, co mogłoby się nie spodobać jemu albo jego ludziom.

Mercado uśmiechnął się do księcia i odezwał po amharsku:

– *Wattatacc*, młodość.

Książę odwzajemnił jego uśmiech i skinął głową.

– Obawiam się, że nie mamy wody sodowej – powiedział. – Ani lodu dla Amerykanina.

I uśmiechnął się do Purcella. Mercado był przekonany, że książę zmusza się do uprzejmości; trudno było się temu dziwić, skoro dynastia rządząca od trzech tysięcy lat właśnie upadała, a cesarz przebywał w areszcie i stracono już około stu członków rodziny królewskiej.

Książę Jozue spojrział na swych gości i powiedział:

– A zatem weszliście do jaskini lwa. Dlaczego?

Mercado doskonale pamiętał, że przebywają w kraju Starego Testamentu, w którym podczas rozmów o ważnych sprawach zawsze przytacza się fragmenty biblijnych tekstów.

Odpowiedział zatem:

– Pan był z Jozuem, którego sława rozeszła się po całym kraju.

Książę ponownie się uśmiechnął.

– Czy Etiopczyk może zmienić swoją skórę, a lampart swoje pręgi? – odezwała się Vivian.

Mercado zerknął na księcia, a potem na swą towarzyszkę.

– Vivian?

– Księża Jeremiasza – odpowiedziała i rozejrzała się. – Źle wybrałam?

Książę wpatrzył się w Vivian i rzekł:

– Śniada jestem, lecz piękna; Piersi twe jak dwoje kozłat, bliźniat gazeli, co pasą się pośród lilii. Pieśń nad pieśniami.

Przez długą chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

Vivian uśmiechnęła się.

– To mi się podoba.

Książę uniósł puchar i powiedział:

– Na powitanie.

– Za cesarza – zaproponował Mercado.

Wszyscy powtórzyli toast, lecz książę się nie odezwał.

Mercado przejął inicjatywę i odezwał się swobodnym tonem:

– Byłem tu w 1935 roku, kiedy Włosi najechali wasz kraj. Miałem wtedy zaszczyt poznać jego królewską wysokość. A później, gdy cesarz przebywał na wygnaniu w Anglii, poświęciłem mu artykuł prasowy.

Książę Jozue spojrział na Henry'ego z pewnym zainteresowaniem i stwierdził:

– Kiedy na pana patrzę, trudno mi w to uwierzyć, panie Mercado.

– Cóż... Dziękuję. Ale naprawdę mam już swoje lata.

– Cóż zatem mogę dla was zrobić? – zapytał książę.

– Przybyliśmy z Addis Abeby, by odszukać księcia i jego armię – odpowiedział Mercado. – Lecz gdy tu jechaliśmy, nie obyło się bez problemów. Po okolicy krążą Oromowie, a sytuacja na froncie jest bardzo pogmatwana. Dlatego prosimy, by książę wystawił nam list żelazny i może jeszcze przydzielił kilku żołnierzy, byśmy mogli bezpiecznie wrócić do stolicy i napisać...

– Proszę mi tego oszczędzić, panie Mercado. Nie jestem głupi. Trafiliście tu, bo nie udało wam się znaleźć sił rządu tymczasowego. Nie mogę wystawić wam listu żelaznego, ponieważ nie kontroluję niczego poza tym wzgórzem. Moje wojska poniosły poważne straty, a rządowa armia może w każdej chwili zażądać mojej kapitulacji albo zaatakować ponownie. Dopóki, rzecz jasna, Oromowie nie zrobią tego pierwsi. Moi ludzie dezercerują całymi setkami. Żyjemy tu na kredyt.

Mercado zerknął na swoich towarzyszy i zwrócił się do księcia:

– Rozumiem, ale... Stawia nas to w raczej trudnym położeniu...

– Bardzo mi przykro, panie Mercado.

– Oczywiście rozumiemy, że wasza sytuacja jest gorsza od naszej – odezwał się Purcell. – Chcielibyśmy jednak móc opowiedzieć o księciu i odwadze królewskiej armii. Gdyby więc mógł książę oddać do naszej dyspozycji kilku uzbrojonych ludzi...

– Zobaczę, co da się zrobić, by umożliwić wam przyłączenie się do sił rządowych. Może uda wam się dotrzeć do stolicy ich helikopterem albo konwojem jadącym po zaopatrzeniu. Nie mam ochoty patrzeć, jak umieracie tu razem ze mną.

Mercado, Purcell i Vivian poczuli się niepewnie.

– Czy są jakieś wieści o cesarzu? – zapytał książę Jozue.

– Ma się dobrze – odpowiedział Mercado. – Wojsko przenosi go z jednego pałacu do drugiego w pobliżu stolicy, ale doniesienia mówią, że jest zdrowy. Jeden z naszych kolegów widział go w zeszłym tygodniu.

– To dobrze – powiedział książę i pociągnął łyk szkockiej. – Mam tu jeszcze jednego Anglika. To pułkownik sir Edmund Gann. Zna go pan?

– Tak, słyszałem o nim.

– Pułkownik Gann jest moim doradcą wojskowym – wyjaśnił książę. – Właśnie przeprowadza inspekcję naszych pozycji. Powiedziałem mu, że nie ma już czego kontrolować, ale się uparł. Anglicy bywają czasem dziwni...

– Wypiję za to – rzekł Purcell i uniósł puchar.

– Pułkownik się spóźnia – powiedział książę. – Ale jak tylko wróci, spróbuję zaplanować wasz powrót w bezpieczne miejsce.

– Dziękujemy, *ras* – odrzekł Mercado, czując, że dopada go dawny smutek.

Wróciły wspomnienia: hiszpańska wojna domowa, góra Aradam w 1936 roku, wojska w dunkierskiej pułapce i ucieczka Tybetańczyków z Dalajlamą. Mercado zobaczył tu, na wzgórzu, wszystkie przegrane bitwy. Ale to zawsze jemu, Henry’emu Mercado, udawało się wyslizgnąć w ostatniej chwili, podczas gdy inni, dzielni i z góry skazani na śmierć ludzie, machali do niego rękami, mówiąc: *bon voyage*. Lecz Henry też przeszedł swoje w życiu. Berlin, rok 1946, i nędzny aparat Kodaka z amerykańskiego demobilu. Pozbył się więc poczucia winy, zaczął za to odczuwać ulgę.

– Tak, byłoby świetnie – powiedział.

– A jeśli się stąd wydostaniecie, proszę napisać dobry artykuł o cesarzu i jego armii. Jak ten, który pan napisał, gdy najechali nas Włosi.

– Napiszę taki artykuł.

– To dobrze – powiedział książę i wstał. – Muszę wrócić do swoich obowiązków.

Purcell, Mercado i Vivian również wstali i ukłonili się.

Gdy książę odwrócił się, żeby wyjść, Vivian odezwała się:

– Książę Jozue!

– Tak?

– Książę musi coś wiedzieć o księciu Teodorze, który walczył z Włochami podczas inwazji i miał fortecę w dżungli, w miejscu, do którego można dojść w ciągu kilku dni.

Książę skinął głową.

– Teodor był moim wujem – powiedział. – Zginął w 1937 roku, dowodząc grupą partyzantów. Ale Teodor to także mój kuzyn, który dowodzi garnizonem w dżungli. Ma tam solidną fortecę z porządnego betonu i kamienia. Dlaczego pani pyta?

– Słyszałam, że właśnie odbyła się tam bitwa, i zastanawiałam się, czy książę o tym wie.

– Nie. Nie wiem nawet, kto mógł ostatnio dowodzić tą twierdzą ani kto ją zaatakował. Ale dlaczego pani o to pyta?

– Pomyślałam tylko, że po zakończeniu walk moglibyśmy się tam udać, by odnaleźć sanktuarium.

– Nie sądzę. A teraz proszę mi wybaczyć.

– Książę Jozue!

Książę odwrócił się i westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Słucham, *madame* – powiedział.

– Podobno jest tam także klasztor zbudowany z czarnego kamienia. Pomyśleliśmy, że warto byłoby go zobaczyć.

– Nie ma czegoś takiego – oświadczył książę. – Ale za chwilę wróci sir Edmund i będziecie

mogli go o wszystko wypytać. Przepraszam, obowiązki czekają.

Księżę odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Purcell otarł pot z karku.

– Jesteś natarczywą suką, Vivian – powiedział. – Ale zadajesz dobre pytania.

Mercado usiadł na poduszce i rzekł:

– Vivian, ten człowiek zastanawia się, czy nie zostanie zmasakrowany przez Oromów albo czy nie stanie przed rządowym plutonem egzekucyjnym, a ty musisz mu się naprzykrzać.

Jesteś aż tak pozbawiona uczuć?

Vivian usiadła i nalała sobie szkockiej.

– Nie siedzimy teraz w Hiltonie, Henry – odparła. – Możemy łatwo podzielić los księcia.

– Tak, masz rację. Ale zawsze mamy jakąś szansę.

Purcell usiadł przy niskim stole, nalał sobie jeszcze jednego drinka i powiedział:

– Przynajmniej wiemy, że garnizon w dżungli istnieje.

Usłyszeli podniesione głosy dochodzące z zewnątrz. Oznaczało to tylko jedno: w oddziale księcia Jozuego zapanowało rozprzężenie. Zaczęły się kłótnie; kilka z nich zakończyło się wystrzałem. Uciekający żołnierze płądrowali stojące wokół namioty, lecz nie wtargnęły jeszcze do tego, nad którym powiewała flaga z lwem Judy. Siedząc w rozgrzanym, zatęchłym namiocie i pijąc szkocką, Mercado, Purcell i Vivian poczuli, że strefa ich bezpieczeństwa maleje sekunda po sekundzie.

– Miałeś rację, Henry – odezwał się Purcell. – Właśnie tu coś się dzieje. I chyba bierzemy w tym udział.

Mercado nie odpowiedział.

– Muszę zrobić kilka zdjęć – oświadczyła Vivian.

Purcell zbliżył się do tradycyjnych tarcz i włóczni opartych o ścianę namiotu.

– Henry, wybierz sobie coś – powiedział.

Mercado nie odpowiedział. Zwrócił się za to do Vivian:

– Nie wychodź z namiotu.

Purcell zaproponował, by poszukać w namiocie innej broni, lecz Mercado stwierdził stanowczym tonem:

– Nikt nie może zobaczyć, że jesteśmy uzbrojeni. Przecież jesteśmy dziennikarzami.

– Tu każdy nosi broń.

– I właśnie o to chodzi, Frank. Nie wydostaniemy się stąd, strzelając, bo tak się składa, że nie występujemy w filmie o kowbojach i Indianach.

Purcell milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Chciałem uniknąć czegoś gorszego niż śmierć.

Zapadła cisza.

– Jesteś strasznym fatalistą, Frank – odezwał się w końcu Mercado. – Co chcesz zrobić?

Purcell zastanowił się i powiedział:

– Jest tylko jedno wyjście.

– Jakie?

– Jeszcze jedna kolejka – odparł i rozlał resztkę alkoholu.

– Mam nadzieję, że jeszcze trochę szkockiej wypłynie z tych włóczni – dodał.

– Nie bluźnij!

Purcell ujął jedną z włóczni i wbił ją w ziemię. Usiedli na stole, patrząc na wejście do namiotu.

Frank nie miał pojęcia, kogo mają się spodziewać: zbuntowanych żołnierzy, pułkownika Ganna, księcia czy Oromów. Gdyby mieli odrobinę szczęścia, przybyłaby tu rządowa kawaleria, a Henry mógłby zacząć wymachiwać swoją legitymacją prasową i listem żelaznym i zawołać po amharsku: Dziękujemy za wyrwanie nas z rąk księcia!

Hałas na zewnątrz ucichł.

– Chyba zostaliśmy sami – powiedziała Vivian.

– Już nie – odparł Purcell i sięgnął po włócznię.

Ktoś podniósł klapę namiotu.

ROZDZIAŁ 7

Wysoki, szczupły mężczyzna w przepoconym ubraniu w kolorze khaki pochylił się i wszedł do namiotu. Zerknął na włócznię w rękach Purcella, a potem powiedział z wyraźnym brytyjskim akcentem:

– Cześć! Coś mi się wydaje, że właśnie przegraliśmy wojnę.

Purcell dostrzegł rudawe wąsy pułkownika Edmunda Gunna i palcat w jego rękę. Wyraźna różnica pomiędzy opaloną twarzą pułkownika a jego bladym czołem zdradzała, że zgubił gdzieś nakrycie głowy. Sir Edmund nie zgubił jednak służbowego rewolweru, który zwisał mu z biodra, ani lornetki dyndającej na jego szyi. Purcell ponownie wbił włócznię w ziemię i wstał.

Mercado przedstawił się pułkownikowi, ten zaś rzekł:

– Kojarzę. Czytałem pańskie artykuły i już pana lubię.

– Dziękuję – powiedział Mercado i przedstawił pułkownikowi swoich towarzyszy.

– Jeśli lubi pan artykuły Henry’ego, to ja też pana lubię – oświadczyła Vivian.

Pułkownik Gann zmusił się do uśmiechu i powiedział:

– Nie ma czasu na gadanie, ruszamy. Niecały kilometr stąd jest kilkuset Oromów.

Purcell zauważył, że Mercado pobladł.

– Na szczęście nie jadą konno, więc poruszają się powoli – dodał Gann. – Obnażają nieboszczyków, dobijają rannych i szukają łupów.

A do tego okaleczają martwych i żywych, a to wymaga trochę czasu, pomyślał Purcell.

Wyszedł z namiotu i rozejrzał się po okolicy. W obozie nie było już ani jednego żołnierza, a książęca flaga znikła. Co gorsza, znikł również jeep.

Mercado, Gann i Vivian wyszli z namiotu. Purcell spojrzał na palcat i zwrócił się do Ganna:

– Czy ma pan jakieś konie?

– Obawiam się, że nie.

– Gdzie nasz jeep? – zapytała Vivian.

– Kilkunastu rojalistów pojechało nim na południe, w stronę doliny w dżungli – odpowiedział Gann.

– Mieliliśmy w nim wszystkie rzeczy – powiedziała Vivian.

– I mieliśmy szansę na wydostanie się stąd – dodał Mercado i zapytał Ganna: – A gdzie jest książę Jozue?

– Odjechał konno z sześcioma ludźmi, również na południe.

- Mam nadzieję, że nie zapomniał zabrać korony – skwitował z przekąsem Purcell.
 - To nie jest śmieszne – powiedziała Vivian.
 - Pomyśl o dobrej stronie.
 - O jakiej?
 - Oromowie nie będą mogli cię wykastrować.
 - Wojska rządu tymczasowego są na północ stąd – wtrącił pułkownik Gann. – Radziłbym wam dotrzeć do nich i pokazać wasze akredytacje. Musicie jednak uważać, siły rządowe najwyraźniej dały Oromom sporo swobody, przez co przebywają oni pomiędzy wami a armią.
 - Nikt nie odpowiedział, a pułkownik dodał:
 - Ale możecie spróbować, jeśli chcecie.
 - Przyłączy się pan do nas? – zapytała Vivian.
 - Nie. Jestem znanym doradcą królewskiej armii, więc wojsko rządowe prawdopodobnie by mnie rozstrzelało.
 - W takim razie ruszajmy na południe i dogońmy wycofujących się rojalistów – rzekł Purcell.
 - Obawiam się, że też niezbyt mnie lubią – poinformował ich pułkownik Gann. – Utrzymywałem surową dyscyplinę, więc sami rozumiecie...
 - Wygląda na to, że nikt pana nie lubi, pułkowniku – powiedział Purcell.
 - Nie jestem tu od bycia lubianym.
 - Ja pana lubię, więc proszę się przyłączyć do nas – rzekła Vivian.
 - Dokąd się wybieramy? – zapytał Mercado.
 - Możemy pójść za tylnymi strażami królewskich wojsk, trzymając się w pewnej odległości od nich, a zarazem wyprzedzając Oromów – zaproponował Gann.
 - Znajdziemy się między młotem a kowadłem – orzekł Purcell.
 - Wasza trójka prawdopodobnie będzie mogła dołączyć do tylnych straży, chociaż nie wiem, jak was potraktują – dodał Gann. – Księżę ucieka, a jego wojsko zapomniało o dobrych manierach.
 - A pan nie pełni już swojej funkcji i nie może zaprowadzić porządku i dyscypliny – przypomniał mu Purcell.
 - Zgadza się.
 - No cóż...
 - Z północy dobiegł do nich krzyk mężczyzny.
 - Właśnie przybyli Oromowie – stwierdził pułkownik Gann.
- Mercado, nie odzywając się ani słowem, ruszył szybko w dół zbocza, w stronę koziej ścieżki.

Vivian pstryknęła jeszcze kilka zdjęć namiotu księcia i opuszczonego obozu i wspólnie z Gannem ruszyła za Mercado.

– Sprawdzę jeszcze, czy w namiocie nie ma wody, i zaraz was dogonię – powiedział Purcell.

– Nie ma, już szukaliśmy – poinformował go Gann i dodał: – Obawiam się, że whisky też się skończyła.

Dogonili Mercado i ruszyli na południe, tą samą drogą, którą przybyli z uzdrowiska do kwatery księcia Jozuego. Przeszli przez polaną usłaną wzdętymi ciałami, dotarli do koziej ścieżki przypominającej jar, a potem ruszyli nią w dół zbocza i nadal kierując się na południe, powędrowali w stronę doliny w dżungli. Purcell zauważył, że ślady opon ich jeepa zniknęły pod śladami sandałów uciekających rojalistów.

Ostre słońce rozpałiło skały, które zaczęły promieniować intensywnym ciepłem. Usłyszeli za plecami wojenne okrzyki Oromów; Purcell domyślił się, że właśnie wkroczyli do opuszczonego obozu księcia.

Mercado z trudem łapał powietrze, więc się zatrzymali, żeby odpocząć. Pułkownik Gann wyjął z kieszeni starą włoską mapę geodezyjną i zaczął ją studiować. Purcell zapalił papierosa i przyjrzał się Mercado. Henry trzymał się całkiem niezłe, choć jego wiek właśnie dał o sobie znać.

Vivian delikatnie otarła chusteczką twarz Mercado i powiedziała:

– Potrzebujemy wody.

Gann podniósł wzrok znad mapy.

– W pobliżu jest kilka górskich strumieni, ale teraz prawdopodobnie są wyschnięte – odpowiedział.

Purcell dostrzegł mocno zaróżowione policzki Vivian, której kapelusz przepadł razem z jepelem.

Pułkownik Gann wdrapał się na krawędź jaru i przyłożył do oczu swoją polową lornetkę. Po chwili zawołał półgłosem:

– Przed nami pokazało się kilku Oromów na koniach. Teraz są pomiędzy nami a tylną strażą wojsk królewskich; właściwie mamy ich z każdej strony.

Purcell podczołgał się do Ganna i wziął jego lornetkę. Dostrzegł jeźdźców, którzy ostrożnie, lecz z wielką wprawą, posuwali się z obu stron wąwozu w dół widocznego naprzeciw zbocza usłanego skalnymi odłamkami.

Trochę wyżej Purcell zauważył kolejnych jeźdźców. Mieli czarne szaty i czarne zawoje zasłaniające twarze. Trzymali miecze; dla Purcella byli uosobieniem śmierci.

Na szczycie wzgórza, z którego przybywali Oromowie, pojawiły się kłęby kurzu

oznaczające tylko jedno: więcej jeźdźców.

Purcell popatrzył na zachód. Zauważył ostrą jak brzytwa skalistą grań ciągnącą się pod górę w stronę pobliskiego szczytu.

Opuścił lornetkę i wyciągnął rękę w jej kierunku.

Gann skinął głową i powiedział:

– Tak, konie sobie tam nie poradzą.

Zerknął na mapę i dodał:

– Jeśli uda nam się dostać na grań, to dojdziemy nią na sam wierzchołek. – Pokazał Purcellowi mapę i wyjaśnił: – Grań po drugiej stronie doprowadzi na tę równinę, a za nią jest wyżyna, na której okopały się wojska rządowe. Umie pan czytać mapy terenowe?

– Trochę. I znam się na wspinaczce.

– Świetnie. Gdybyśmy zostali rozdzieleni, po prostu idźcie wzdłuż grani: najpierw na zachód, a później na północ.

Purcell i Gann zeszli do wąwozu.

– Okej, wygląda na to, że da się stąd wyjść, ale będzie stromo pod górkę – powiedział Purcell.

Spojrzał na Mercado i zapytał:

– Dasz radę, Henry?

Mercado skinął głową, lecz nie podskoczył z zachwytu. Purcell podał mu rękę i pomógł wstać.

– Wszystko w porządku? – zapytała go Vivian.

– Tak... Przecież nie będę tu czekał na Oromów.

Pułkownik Gann poprosił Purcella o lornetkę, wdrapał się na zachodnią ścianę jaru i przystąpił do badania okolicy. Po chwili przywołał pozostałych ruchem ręki.

Purcell i Vivian pomogli Mercado wyjść z jaru. Wszyscy przykucnęli pod poszarpanymi głazami, wypatrując oznak obecności Oromów pomiędzy nimi a początkiem grani, od której dzieliło ich trzysta metrów zbocza usłanego odłamkami skał i porośniętego sięgającymi do piersi brązowymi zaroślami.

W oddali powyżej i poniżej nich unosił się kurz, ale nie było widać jeźdźców.

Gann poszedł pierwszy, za nim ruszyli Vivian i Mercado. Kolumnę zamykał Purcell dopingujący idącego przed nim towarzysza. Uciekali pochyleni, kryjąc się w zaroślach i przeskakując od głazu do głazu.

Od czasu do czasu Purcell dostrzegał Oromów. Niektórzy prowadzili konie, inni zostali w siodłach. Posuwali się powoli, jak padlinożercy (którymi są, pomyślał Purcell), i bardziej interesowali się poległymi i porzuconym ekwipunkiem niż spotkaniem z tylnymi strażami

wojsk księcia.

Gann zarządził odpoczynek wśród wysokich postrzępionych skał i powiedział:

– Jak tylko Oromowie się obłowią, przegrupują się i ocenią, czy są dostatecznie silni, by zaatakować królewskie wojska. Na pewno bardzo chcieliby zdobyć także koronę księcia razem z jego głową.

– Że już nie wspomnę o klejnotach rodziny książęcej – dodał Purcell.

Usłyszawszy to, Mercado ożywił się nieco i rzekł:

– Ruszajmy już.

Po kilku minutach zatrzymali się przed granią.

Purcell spojrział na wąski, wznoszący się stromo grzbiet najeżony poszarpanymi skałami, pomiędzy którymi widniały kolejne ciemne zarośla.

– Będziemy mieli dobrą osłonę, a konie nie przejdą – stwierdził Gann. – Gotowi?

Purcell popatrzył na Mercado, który skinął głową bez entuzjazmu.

Zaczęli się wspinać, wyszukując drogę pomiędzy wielkimi głazami. Od czasu do czasu musieli się przeciskać przez wąskie szczeliny, w których nie zmieściłby się żaden z Oromów jadących konno – co innego, gdyby Oromowie podążyli ich śladem na piechotę.

Mniej więcej w połowie grani zatrzymali się na odpoczynek i przysiedli w cieniu wielkich skał.

Purcell zauważył, że pułkownik Gann, choć już niemłody, jest w niezłej formie. Kilka poprzednich wojen zahartowało go, a ostatnia noc, podczas której usiłował zmobilizować armię księcia, kosztowała go prawdopodobnie jeszcze więcej wysiłku.

Purcell spojrział na Mercado. Henry również dostał w kość od życia, ale jego doświadczenia odcisnęły na nim negatywne piętno.

Vivian ponownie otarła czoło Mercado; Purcell dostrzegł, że jego towarzysz słabo się poci, co nie oznaczało nic dobrego.

Z kolei Vivian trzymała się nieźle, lecz jej ramiona i twarz były mocno zaczerwienione od słońca. Purcell zdjął swoją bluzę, pod nią miał już tylko przesiąknięty potem podkoszulek. Rzucił bluzę w kierunku Vivian i powiedział:

– Owiń sobie głowę.

Vivian zawahała się, lecz po chwili podniosła bluzę i odrzuciła ją Purcellowi.

Pułkownik Gann wdrapał się na wysoką skałę. Zlustrował okolicę przez lornetkę i powiedział:

– Oromowie idą zwartą grupą... Są ich ze dwie albo trzy setki... Idą w stronę doliny. Będą nękać resztki królewskiej armii, a kiedy stwierdzą, że jest już dostatecznie osłabiona, zabiorą się do zabijania.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy poczuli jednak ulgę, że Oromowie skierowali swą uwagę na wycofujących się żołnierzy księcia.

Purcell miał nadzieję, że wkrótce w okolicy pojawią się wojska rządu tymczasowego ścigające rojalistów. Oszczędziłoby im to długiej wspinaczki.

– Widać już rządowe oddziały? – zapytał Ganna.

– Nie – odpowiedział pułkownik, nie przerywając obserwacji. – Pozwalają Oromom wykonać robotę. Leniwe żebraki. Banda cholernych marksistów.

Vivian zwróciła się do Ganna:

– Jeśli uda nam się dotrzeć do wojsk rządowych, przedstawimy pana jako dziennikarza.

– Będzie pan tylko musiał pozbyć się wojskowych insygniów i broni, a także zgubić palcat – dodał Purcell.

– Doceniam waszą propozycję – odparł Gann. – Ale moja obecność byłaby dla was niebezpieczna. Dobrze wiedzą, kim jestem, nawet jeśli nie mam oznaczeń na mundurze, i będą mogli mnie zastrzelić jako szpiega zamiast jako rojalistę. Wolę raczej zginąć jako żołnierz.

Purcell nie widział w tym żadnej różnicy, pułkownik – przeciwnie. Gann miał też rację, wspominając o niebezpieczeństwie. Zresztą, list żelazny wydany przez rząd tymczasowy w Addis Abebie zawierał tylko trzy nazwiska i żadne z nich nie brzmiało: pułkownik sir Edmund Gann.

Purcell zerknął na Mercado, który nie odezwał się jeszcze ani słowem.

– Co o tym myślisz, Henry? – zapytał.

– Nie martwmy się na zapas – odpowiedział Mercado. – Nasza obecna sytuacja jest dostatecznie kiepska.

Gann przytaknął i rzekł:

– Spróbuję podprowadzić was jak najbliżej wojska, a potem udam się w swoją stronę.

– Dokąd? – zapytała Vivian.

– Większość miejscowych amharskich chłopów jest wierna cesarzowi, więc poszukam sobie jakiejś przyjaznej wioski.

Nikt nie odpowiedział. Purcell nie potraktował jednak planu pułkownika zbyt poważnie, chyba podobnie jak on sam. Najbardziej prawdopodobne było to, że Gann umrze z pragnienia, głodu albo wskutek choroby gdzieś na wzgórzach lub w dżungli. Oromowie nie dostaną go w swoje ręce, dopóki będzie miał przy sobie swój służbowy rewolwer i ostatni nabój.

– Myślę, że powinniśmy zostać razem – rzekł Purcell. – Może uda nam się znaleźć księcia Teodora albo innego rasa.

– To nonsens – sprzeciwił się Gann. – Macie swoje dziennikarskie akredytacje i list żelazny, więc najlepszym wyjściem będzie dla was przyłączenie się do wojsk rządowych, które są w pobliżu.

Zapadła cisza.

– W takim razie improwizujmy – odezwał się w końcu Purcell. – Gotowi?

Wszyscy wstali i ruszyli w górę grani. Pół godziny później stanęli na szczycie, z którego było doskonale widać całą okolicę.

Słońce znajdowało się prawie w zenicie i cienia było jak na lekarstwo. Mercado położył się w zacienionym zakamarku u podnóża wysokiego głazu. Vivian uklęknęła obok i przykryła twarz Henry'ego mokrą od potu chusteczką.

Gann uniósł lornetkę i zaczął obserwować otoczenie.

– Widzę żołnierzy, którzy okopali się na graniach – powiedział w końcu i podał lornetkę Purcellowi.

Purcell skupił się na najbliższej grani oddalonej o niespełna kilometr. Dostrzegł grupę ludzi w mundurach i stosy kamieni osłaniających stanowiska ogniowe; wydało mu się też, że zauważył długą lufę moździerza wystającą nad skały. Przyjrzał się grani na następnym szczycie: było tam więcej osłoniętych stanowisk.

– Na wzgórzach rozlokowały się główne siły armii rządowej – powiedział Gann. – Zaatakowały nas potężnie w nocy na tamtym płaskowyżu, ale i my zadaliśmy im niezłe straty. Niestety mieli ciężkie moździerze i ostrzeliwali nas całą noc.

Purcell skinął głową. Widzieli to z uzdrowiska.

– O świcie spodziewaliśmy się kolejnego ataku – mówił dalej pułkownik. – Byliśmy na niego przygotowani, ale zapanowała panika i moi ludzie zaczęli dezertować. Gdy coś takiego się zacznie, nie można już temu zapobiec.

– Czy księżę dobrze panu za to płacił? – zapytał Purcell.

– Żołd jest zawsze zbyt niski – odpowiedział Gann. – Trzeba też wierzyć w sprawę.

– Jest pan najemnikiem – przypomniał mu Purcell. – To na pewno honorowe zajęcie, ale najemnicy nie wierzą w sprawę.

– Byłem tu w 1941 roku z Brytyjskimi Siłami Ekspedycyjnymi, które wyparły Włochów – oświadczył pułkownik. – Czuję sentyment do Etiopii i Etiopczyków. Do monarchii również. Cesarz... To wyjątkowy człowiek. Ostatni z dynastii, która panowała tu trzy tysiące lat.

– To prawda – odparł Purcell. – Ostatni.

Gann zrewanżował się pytaniem:

– A po co wy tu przyjechaliście?

– Żeby pisać o wojnie – odpowiedział Purcell.

– Czy dobrze wam za to płacą?

– Nie – stwierdził Purcell. – Ruszajmy już.

Spojrzał na Vivian, która klęczała obok Mercado i osłaniała go od słońca.

– Co z nim? – zapytał.

– Kiepsko.

– Spróbuj go obudzić, Vivian – powiedział.

– Nie. On potrzebuje snu.

– Wyśpi się, jak zejdziemy na płaskowyż.

– Posłuchajcie – odezwał się Gann. – Nie podejść z wami do pierwszych posterunków, więc zostanę tu z nim. Wy skontaktujecie się z wojskiem, a potem wrócić z lekarzem i kilkoma ludźmi, którzy zabiorą waszego kolegę. A ja się wyknę, zanim tu wejdziecie.

Purcell pomyślał, że to dobry pomysł, ale Vivian rzekła:

– Nie zostawię go tu.

– Nie zostawisz – odparł Gann. – Pójdziesz po pomoc.

– Możesz zostać, Vivian – oświadczył Purcell. – Nie potrzebuję towarzystwa.

Tymczasem Mercado obudził się i usiadł, oparłszy się plecami o skałę. Słyszał rozmowę. Przemówił słabym głosem, zwracając się do Vivian:

– Idź z Frankiem.

– Nie. Zostaję z tobą – odparła.

Uklęka i dotknęła czoła Mercado.

– Jesteś rozpalony – dodała.

Purcell wymienił spojrzenie z Gannem; wiedzieli, że Mercado jest bliski udaru ciepłego.

– Lepiej już idź – zwrócił się Gann do Purcella.

Mercado wyjął z kieszeni kawałek papieru owiniętego w plastik i wręczył go Vivian, mówiąc:

– To list żelazny... Idź z Frankiem.

Vivian wzięła dokument i wręczyła go Purcellowi, nie podnosząc się z kolan. Purcell włożył list żelazny do kieszeni i powiedział:

– Później już się nie zobaczymy, pułkowniku. Dziękuję za pańską pomoc.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Zatem powodzenia – rzekł Gann. – Dowódcą sił rządu tymczasowego jest facet o nazwisku Getachu. To paskudny typ. Czerwony na wskroś. A do tego ma gdzieś ludzi z Zachodu. Wasz list żelazny od rządu tymczasowego powinien załatwić sprawę, ale uważajcie na tego gościa.

– Wiem, kim on jest – odparł Purcell i pożegnał się z Vivian i Mercado. – Do zobaczenia.

Ruszył granią w dół, lecz po chwili odwrócił się i zapytał Ganna:

– Czy słyszał pan o czarnym klasztorze w tej okolicy?

Pułkownik Gann zastanowił się i odpowiedział:

– Tak. Ale teraz nie jest wart wycieczki. Może po wojnie.

Purcell skinął głową i zaczął schodzić skalistym zboczem.

ROZDZIAŁ 8

Trawiasty płaskowyż poniżej wyglądał zachęcająco. Purcell pomyślał, że może na nim być woda. Albo Oromowie.

Po przeciwnej stronie płaskowyżu widać było podnóże skalistych wzgórz zajętych przez zwycięskie wojska rządu tymczasowego. Lecz gdyby nawet Purcellowi udało się dotrzeć do pierwszych posterunków, to nie wiadomo było, jak zostanie potraktowany. Amerykański paszport, akredytacja dziennikarska i list żelazny od rządu tymczasowego powinny były zapewnić mu dobre przyjęcie; zresztą właśnie dlatego on i jego towarzysze usiłowali dotrzeć do wojsk rządowych. Lecz była to tylko teoria, która w zderzeniu z rzeczywistością mogła okazać się błędna, zwłaszcza gdyby Purcell miał mieć do czynienia z generałem Getachu. Ten niewiarygodnie okrutny i prawdopodobnie chory psychicznie człowiek mógłby okazać się zarazem idealnym bohaterem wywiadu prasowego – o ile generał nie zabiłby dziennikarza przed jego udzieleniem.

Purcell usłyszał za sobą szmer. Zastygł na ułamek sekundy, a potem wślizgnął się w skalną szczelinę. Nadstawił uszu i ponownie coś usłyszał. Ktoś schodził gromadą.

Frank czekał. Po chwili zobaczył ją, zjeżdżającą na pośladkach po długim płaskim głazie, z aparatem fotograficznym dyndającym na szyi. Vivian zeskoczyła ze skały. Purcell zaczekał, aż go minie, a gdy zaczęła wdrapywać się na następny głaz, wyszedł z kryjówki i stanął za jej plecami.

– Zmieniłaś zdanie? – zapytał.

Vivian krzyknęła ze strachu. Odwróciła się.

– Boże... Frank, cholernie się wystraszyłam.

– Ja też. Dokąd idziesz?

– Szukałam cię – powiedziała Vivian i wzięła głęboki oddech. – Henry dał ci... Nie dał ci listu żelaznego.

– Naprawdę? – zdziwił się Purcell.

Wyjął z kieszeni papier owinięty w plastik i rozłożył go. Uśmiechnął się i powiedział:

– To wygląda na rachunek z baru w Hiltonie.

– Przepustka jest tutaj – oświadczyła Vivian i wręczyła Purcellowi dokument.

Frank rzucił okiem na list żelazny i wcisnął go do kieszeni.

– Dzięki – powiedział. – Na razie.

Spojrzał na grań pnącą się stromo w górę.

– No dobra – powiedział. – Wspinaczka cię zabije. Zostań tu.

– Idę z tobą.

Purcell zamilkł, a po chwili zapytał:

– Co z Henrym?

– Czuje się trochę lepiej.

– To dobrze. A ty?

– Kręci mi się w głowie.

Purcell dotknął ręką pokrytego bąblami czoła Vivian i zapytał:

– Spuchł ci język?

– Trochę...

Zdjął kurtkę i zarzucił ją na głowę kobiety.

– Okej, chodźmy – powiedział.

Ruszył granią w dół. Vivian poszła jego śladem.

– Pułkownik Gann widział trzech Oromów, którzy jechali konno przez wysokie trawy przed nami – powiedziała.

– To przydatna informacja.

Szli dalej.

– Nie zostawiłabym Henry’ego – rzekła Vivian. – Ale... on mnie oszukał. Ciebie też.

Purcell nie odpowiedział.

– Henry i pułkownik Gann pomyśleli, że będziesz miał większe szanse, jeśli pójdę z tobą – dodała Vivian.

– Nie zwiększyłaś moich szans.

– Bo gdybyś na przykład został ranny czy coś takiego... Lepiej, by w misji ratunkowej brały udział dwie osoby.

– To prawda.

Dopóki jedna z tych osób nie jest atrakcyjną kobietą.

Grań rozpląszczyła się i zatrzymali się w odległości stu metrów od wysokich traw porastających płaskowyż.

– Zostań tu – nakazał Purcell. – Jeśli wszystko pójdzie jak należy, wrócę z lekarzem i kilkoma żołnierzami. Zabierzemy cię stąd i pójdziemy po Henry’ego. A jeśli nie wrócę za, powiedzmy, dwie godziny...

– Nie zostanę tu.

– Zrobisz, co ci każę...

– Frank, jeśli coś ci się stanie, to już jestem trupem – przerwała Purcellowi Vivian. – Henry też.

– Vivian...

– Nie dam rady wdrapać się z powrotem na wzgórze i nie mam zamiaru tu siedzieć i czekać na Oromów albo umierać z pieprzonego pragnienia.

Vivian podeszła do Purcella i dała mu kuksańca w pierś.

– Chodźmy – powiedziała.

Wkrótce weszli w wysokie trawy.

– Trzymaj się dobrych kilka metrów za mną, a jeśli usłyszysz końskie kopyta, połów się i ani drgnij – rzekł Purcell.

Przeciskali się bezgłośnie przez trawę słoniową wyrastającą wysoko nad ich głowy. Tu i ówdzie widać było ślady nocnej bitwy: wśród wysokich traw leżały wzdęte nagie ciała oblepione rojami wielkich zielonych much. Zwłoki nie były jednak okaleczone, co oznaczało, że to nie Oromowie, ale żołnierze zwycięskich sił rządowych zdobyli swe nędzne łupy wojenne, ograbiając wybitych ludzi księcia Jozuego. Purcell zobaczył też świeże groby, w których wojsko rządowe pochowało swych poległych towarzyszy. Rozglądał się z nadzieją, że uda mu się znaleźć porzuconą manierkę z wodą, lecz nadzieja ta szybko się rozwiła.

Maszerowali, czując mdlący fetor śmierci wiszący w gorącym powietrzu. Nad ich głowami krążyły sępy. Jeden z ptaków zniżył lot i wylądował przy nagich zwłokach. Zgiął długą szyję i wydłubał oko trupa. Widząc to, Vivian wydała stłumiony okrzyk obrzydzenia.

Purcell rzucił się biegiem w stronę sępa i go przepłoszył. Szli dalej.

Wysokie źdźbła były gdzieniegdzie wydeptane przez konie lub połamane w miejscach, w których żołnierze walczyli i upadali. Purcell dostrzegł kraterzyce wybite w ziemi przez moździerzowe granaty, które podpały trawy. Wśród popiołów poniewierały się poszarpane odłamki i spalone części ciał, a ziemia była usłana mosiężnymi łuskami.

Purcell próbował sobie wyobrazić, co działo się tu nocą, lecz nawet po latach spędzonych na pisaniu reportaży z wojen nie był w stanie przywołać w myślach obrazu ludzi walczących wręcz. Potrafił natomiast zrozumieć, co czuł pułkownik Gann, kiedy zrozumiał, że przegrał tę bitwę.

Płaskowyz zaczął się wznosić w stronę podnóża wysokich wzgórz. Ziemia stawała się coraz gęściej usłana skałami, a trawy rzedyły.

Purcell usłyszał tętent dochodzący z zachodu. Miał nadzieję, że odgłos ten nie umknął uwadze Vivian. Purcell nie zachował się jednak tak, jak jej wcześniej poradził – nie rzucił się na ziemię ani nie zastygł w bezruchu. Odwrócił się natomiast i zobaczył Vivian idącą w jego kierunku. Uderzenia kopyt stały się głośniejsze; Vivian usłyszała je w tej samej chwili, w której zauważyła Purcella. Padli na ziemię i znieruchomieli, patrząc na siebie przez lukę wśród traw.

Jeźdźcy zbliżyli się; byli oddaleni od dziennikarzy o dwadzieścia, najwyżej trzydzieści

metrów. Purcell ocenił, że jest ich trzech lub czterech. Odgłos kopyt umilkł i usłyszeli szelest trawy. Jeźdźcy poruszali się wolno, wypatrując wszystkiego, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość, i szukając nieszczęśników, którzy mogliby przeżyć.

Purcell nawiązał kontakt wzrokowy z Vivian. Zobaczył, że jest przerażona, ale się nie rusza i tłumi w sobie instynktowną chęć rzucenia się do ucieczki.

Oromowie znaleźli się tak blisko, że Purcell usłyszał ich rozmowę. Jeden z mężczyzn się roześmiał, a któryś z koni parsknął.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Purcell i Vivian usłyszeli, że Oromowie odjeżdżają.

Purcell gestem nakazał Vivian pozostać w bezruchu, puknął w swój zegarek i dwukrotnie pokazał pięć palców. Vivian skinęła głową.

Odczekali dziesięć minut. Purcell wstał, a Vivian szybko do niego podbiegła. Frank spojrzął na wznoszącą się grań oddaloną o trzysta metrów i powiedział:

– Musimy się tam dostać. Gotowa?

Vivian skinęła głową, choć Purcell zauważył, że niewiele brakuje, by zemdłała.

Chwylił ją za rękę i ruszyli truchtem w kierunku czerwonego skalnego grzebienia, którego nie dałoby się pokonać konno.

Musieli się zatrzymać co kilka minut, by odsapnąć. Vivian rozglądała się, szukając wody. W pewnej chwili oświadczyła, że widzi kałużę, lecz była to tylko płaska skała. Purcell wiedział, że to objawy poważnego odwodnienia: Vivian była zdezorientowana i miała halucynacje. Woda, wszędzie woda... Pomyślał o wzdętych ciałach – w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach składały się przecież z wody... Lecz nie był jeszcze aż tak zdesperowany.

Dotarli do podnóża grani i zaczęli wspinaczkę po rozpalonych skałach. Nagle Vivian wyrwała się Purcellowi i rzuciła w bok. Purcell chwycił ją za kostkę, lecz Vivian kopnęła go i pobiegła w lewo.

Purcell ruszył za nią i zobaczył to, co ona: wciśniętą między skały zieloną kępę podobną do kolczastego kaktusa.

Vivian chwyciła kawałek rośliny i natychmiast włożyła go do ust. Purcell zrobił to samo; żując lepki miękki miąższ, domyślił się, że mają do czynienia z jakąś odmianą aloesu. Wypłuł trochę papki na dłoń i natarł sobie piekącą skórę na twarzy, a potem posmarował twarz Vivian, która nie przestawała żuć.

Po kilku minutach roślina znikła. Purcell sięgnął po scyzoryk i wydłubał jej płytko wrosnięte korzenie. I one zostały zjedzone.

Milczeli przez chwilę.

– Dziękuję Bogu... – odezwała się w końcu Vivian.

Purcell przyniósł bluzę, którą zgubiła Vivian, i zarzucił ją na głowy obojga. Siedzieli, przyglądając się rozciągającemu się poniżej płaskowyżowi. Purcell zapalił papierosa.

Zobaczył oddalonych o kilkaset metrów czterech Oromów na koniach. Jechali wolno, nie przestając szukać żywych i martwych żołnierzy. Vivian podążyła za wzrokiem Purcella i powiedziała cicho:

– Upiory.

Purcell spojrzął na szczyt po drugiej stronie płaskowyżu. Zostali tam Henry i pułkownik Gann, oby wciąż żywi. Być może Gann śledził ich postępy przez swoją polową lornetkę – Purcell zaczął zatem wymachiwać rękami.

Vivian poszła w jego ślady. Usłyszał, jak wymruczała:

– Trzymaj się, Henry.

Purcell nie chciał, by zauważyli ich Oromowie. Mogliby zacząć strzelać na chybił trafił albo zsiąść z koni i ruszyć pieszo w górę grani. Byli zapewne w lepszej formie niż Purcell i Vivian, więc zdążyliby ich dopaść przed pierwszymi posterunkami rządowych wojsk.

Purcell zerknął na Vivian. Miała spękane usta i oparzenia na twarzy, ale wyostrzył jej się wzrok. Jej podarte ubranie w kolorze khaki pokryło się grudkami soli, lecz nie było na nim widać świeżych plam potu. Purcell pomyślał, że Vivian jest bliska udaru cieplnego, ale powinna być w stanie ukończyć wspinaczkę. On czuł się lepiej. Przeżył już gorsze dni w jenieckim obozie Czerwonych Khmerów – chorował wtedy na czerwonkę i miał gorączkę... Internowany francuski dziennikarz uratował mu wówczas życie; sam zmarł kilka tygodni później.

– Trzymasz się? – zapytał Purcell.

Vivian wstała i ruszyła pod górę. Purcell podążył za nią.

Wspinali się, pokonując skałę po skałę. Byłaby to łatwa wspinaczka, gdyby w ich żołądkach znalazło się coś więcej niż garstka aloesu. A dotarcie do celu – do sił rządowych – wcale nie musiało oznaczać, że ustalający własne reguły gry Getachu przyjmie ich z otwartymi ramionami.

Purcell stanął na płaskim głazie, osłonił oczy dłonią i przyjrzał się zboczu najeżonemu skałami. Niecałe dwieście metrów dalej znajdowało się coś, co wyglądało na umocnienie zbudowane z kamieni. Po chwili Purcell dostrzegł postać poruszającą się wśród skał.

– Chyba widzę posterunek – powiedział.

Ruszyli w górę. Gdy znaleźli się bliżej stosu kamieni, Purcell zobaczył co najmniej pięciu mężczyzn w mundurach maskujących. Siedzieli pod zieloną plandeką rozpiętą na słupkach od namiotu. Byli pochłonięci rozmową i nie zauważyli, że ktoś się do nich zbliża.

Purcell zdawał sobie sprawę, że to krytyczna chwila; uzbrojeni faceci musieli szybko

zdecydować: przyjaciel czy wróg.

Machnął ręką, każąc Vivian położyć się plackiem za głazem. Wyjął z kieszeni białą chustkę do nosa i wykrzyknął jedno z niewielu znanych mu amharskich wyrażen:

– *Tena yastalann*, dzień dobry!

Rozległ się strzał i Purcell rzucił się na ziemię. Padły kolejne strzały. Purcell zrozumiał, że ktoś strzela za jego plecami: to Oromowie. Żołnierze odpowiedzieli im ogniem. Purcell położył rękę na plecach Vivian i przytrzymał ją mocno, by się nie ruszała.

Wymiana ognia trwała kilka minut, potem zapadła cisza.

– Nie ruszaj się – szepnęła Purcell.

Vivian skinęła głową.

Purcell uniósł się lekko i zerknął zza skały, by sprawdzić, gdzie są Oromowie. Nie zauważył jednak żadnego ruchu. Gdy się odwrócił w stronę posterunku, zobaczył przed sobą dwie ciemne nogi w skórzanych sandałach. Podniósł wzrok i zajrzał prosto do lufy ak-47.

Żołnierz wykonał wymowny ruch bronią. Purcell powoli wstał. Nie opuszczając rąk, uśmiechnął się i zapytał mężczyznę w maskującym mundurze polowym:

– *Capisce italiano?*

Żołnierz zrozumiał pytanie, ale pokręcił głową. Mierzył do nich z karabinu automatycznego, a zarazem spoglądał na leżącą poniżej część grani, by sprawdzić, czy nie ma tam Oromów.

Purcell wskazał drogę na górę i powiedział po angielsku:

– W porządku, brachu. Jesteśmy tu, żeby porozmawiać z generałem Getachu.

– *Giornalista. Gezetanna* – dodała Vivian i poklepała aparat fotograficzny. – Generał Getachu.

Żołnierz zaczął się jej przyglądać.

Podeszło do niego dwóch innych, również w maskujących mundurach i z radzieckimi ak-47. Mężczyźni zaczęli ze sobą rozmawiać w języku brzmiącym jak amharski i co chwilę zerkali na Vivian, która według Purcella wyglądała okropnie, lecz domyślał się, że żołnierze byli zapewne innego zdania.

Vivian dotknęła kieszeni swoich spodni, by pokazać, że ma w niej coś ważnego, i wyjęła z niej swój paszport oraz legitymację prasową.

Jeden z żołnierzy wyrwał jej dokumenty. Zaczął się wpatrywać w legitymację wypisaną w kilku językach, w tym po amharsku. Później otworzył paszport Vivian – szwajcarski, co zawsze działało na korzyść – i szybko go przekartkował.

Purcell wyjął swój amerykański paszport, legitymację prasową i list żelazny owinięty w folię. Dokumenty trafiły do rąk żołnierzy, którzy zaczęli je oglądać, choć, jak się

wydawało, żaden z nich nie umiał nawet czytać po amharsku.

Purcell wskazał list żelazny i powiedział:

– Podpisany przez generała Andoma. Breżniew jest *numero uno*. Władza dla ludu. *Avanti*.

Jeden z żołnierzy spojrział na niego, a potem dał znak, by on i Vivian poszli z nim w górę grani. Pozostali żołnierze ruszyli za nimi.

Wspinając się, Vivian zapytała:

– Zarobimy kulę w plecy?

Purcell pamiętał egzekucje, które widział w Kambodży; prawie zawsze w takich sytuacjach ofiary musiały się rozebrać do naga, by ich ubrania nie zostały zniszczone, a kobiety zazwyczaj najpierw gwałcono. Pomyślał, że tu pewnie było tak samo.

– Nie – odpowiedział. – Reporterów można rozstrzelać tylko na rozkaz generała.

Dotarli do stanowiska ogniowego. Purcell zobaczył 81-milimetrowy moździerz otoczony stosem kamieni. Obok, w palenisku, wałały się zwęglone szczątki skrzynek po amunicji i poczerwiałe kości małych zwierząt.

Zatrzymali się, a wtedy Purcell powiedział po amharsku:

– *Weha*.

Jeden z żołnierzy podał mu dwudziestolitrowy kanister z wodą. Purcell uniósł go i oblał głowę i ubranie Vivian, by obniżyć temperaturę jej ciała. Vivian chwyciła pojemnik i zrewanżowała się Purcellowi, mówiąc:

– Spa po etiopsku.

Żołnierz wręczył im pełną manierkę. Napili się.

Vivian uśmiechnęła się do mężczyzny w mundurze i podziękowała mu po amharsku:

– *Agzer yastallan*.

Purcell oddał żołnierzom swoją ostatnią paczkę egipskich papierosów. Zapalili. Jak na razie idzie gładko, pomyślał, chociaż płeć Vivian stanowi pewną komplikację.

Jeden z żołnierzy rozmawiał przez połowę radiostację. Gdy skończył, powiedział coś swoim towarzyszom. Ten, który wyglądał na dowódcę, zwrócił dziennikarzom ich dokumenty i wytłumaczył im ruchem ręki, że mają wejść jeszcze wyżej.

Nie czekając, aż ktoś zmieni zdanie, Purcell chwycił za rękę Vivian i pociągnął ją w górę grani. Poszli bez eskorty.

– Myślę, że wszystko jest w porządku – odezwała się Vivian.

– Myślę, że sam bym sobie poradził.

– Ja też.

Purcell nie odpowiedział. Szli w milczeniu.

Vivian myślała o czymś i w końcu powiedziała:

- Niech to piekło pochłonie.
- Już w nim jesteśmy – odparł Purcell.
- Jesteś żonaty? Masz dziewczynę? – zapytała Vivian.
- Nie.
- Nie rozumiem: dlaczego?
- Możemy pogadać o tym później, na przykład w barze w Hiltonie?
- Po tym wszystkim nie będę chciała cię znać.
- Przykro mi, że tak myślisz.
- I nie będziemy cię potrzebować, żeby znaleźć czarny klasztor.

Purcell się nie odezwał. Szli dalej w kierunku szczytu góry.

Purcell rozmyślał o ojcu Armano, czarnym klasztorze i tak zwanym Świętym Graalu. Święty Graal nie istniał, lecz redaktorzy naczelni Purcella lub inni korespondenci wojenni nazywali tak niektóre artykuły – takie, które zasługiwały na Pulitzera albo inną z najważniejszych nagród dziennikarskich – a co najmniej na podziw kolegów i kilka drinków w dobrym barze.

Purcell zerknął na Vivian i pomyślał o Henrym Mercado. Czy mógł pozwolić, by wyruszyli sami? A gdyby zginęli? Albo gdyby nie zginęli i coś znaleźli? Zaprzagnął, by spotkało go w życiu coś lepszego.

ROZDZIAŁ 9

Purcell i Vivian siedzieli na łożku polowym w namiocie medycznym. Vivian, której twarz pokryta była białą maścią, miała na sobie względnie czystą szarą shamkę; tak samo ubrany był Frank.

Towarzyszył im wojskowy lekarz siedzący na polowym krześle i palący papierosa. Zapalił również Purcell, który poczęstował się papierosem z paczki lekarza. Vivian kończyła właśnie misę gotowanej pszenicy, którą przyniósł jej doktor Mato.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała po włosku Vivian. – Jest pan bardzo uprzejmy.

Wielki Etiopczyk uśmiechnął się i powiedział:

– To nic takiego. Jesteście w dobrej formie, ale nawadniajcie się dalej. Może pani zatrzymać maść.

Vivian przetłumaczyła Purcellowi słowa lekarza i zapytała:

– Czy wiadomo coś o naszym koledze?

– Jak już powiedziałem, wysłaliśmy po niego dziesięciu uzbrojonych ludzi i muła – odpowiedział doktor Mato. – Jestem pewien, że wasz kolega wkrótce do was dołączy.

Vivian skinęła głową i ponownie przetłumaczyła.

Lekarz wstał.

– A teraz proszę mi wybaczyć. Mam pod opieką wielu chorych i rannych – powiedział i wyszedł z namiotu.

– Henry na pewno lubi jazdę na mule – rzekł Purcell.

Pogrążona w myślach Vivian skinęła głową i powiedziała:

– Mam nadzieję, że zdążą na czas.

Purcell nie odpowiedział.

– Martwią mnie Oromowie – dodała Vivian.

– Oromowie atakują słabych i umierających, ale nie zaczęli dziesięciu uzbrojonych żołnierzy – odparł Purcell.

Vivian spojrzała na niego, zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

– Wiesz, jak pocieszyć zmartwioną kobietę.

Purcell odpowiedział uśmiechem, chociaż nie wiedzieć czemu zirytowała go usprawiedliwiona ze wszech miar troska Vivian o Mercado. Wstał i rozejrzał się po namiocie. Ich ubrania i buty zniknęły, a pozostałe rzeczy leżały starannie ułożone obok łóżek polowych. Purcell stwierdził też, że nie zostawiono im sandałów, jakie nosili tubylcy. Wstał i oświadczył:

– Idę się rozejrzeć.

Vivian również wstała.

– Idę z tobą – rzekła.

– Powinnaś tu być, kiedy przywiozą Henry’ego.

Vivian zawahała się, potem skinęła głową i poprosiła:

– Znajdź jakąś szczoteczkę do zębów.

Wyszedłszy z namiotu, Purcell zobaczył żołnierzy rozlokowanych pod rozpiętymi plandekami. Jedli, rozmawiali i palili papierosy – robili to, co robią żołnierze, kiedy nie zabijają innych żołnierzy. Nie wydawali się zainteresowani białym facetem w szarej shammie chodzącym na bosaka po obozie, choć kilku pokazało go palcem. Gdyby była z nim Vivian, żołnierze okazaliby zapewne większe zainteresowanie.

Purcell przeszedł obok długiego, oznaczonego medycznym krzyżem namiotu z podwiniętymi płóciennymi ścianami, w którym zobaczył mężczyzn leżących jeden przy drugim na brudnej podłodze. Prawie wszyscy byli nadzy i spowici w bandażu. Wokół namiotu rozchodził się nieznośny smród, a z wnętrza dobiegały jęki i krzyki cierpiących ludzi. Ludzka niedola. Wojna, zaraza, głód i wewnętrzne spory... W Etiopii nie brakowało żadnej z tych rzeczy.

W oddali, na niskim wzgórzu, Purcell dostrzegł duży namiot przypominający pawilon, nad którym powiewała rewolucyjna flaga nowej Etiopii. Z pewnością był to sztab, do którego musieliby się udać po przybyciu Henry’ego i przekonać się, czy generał Getachu ma na tyle dobry humor, by zaproponować im lot helikopterem do Addis Abeby – oczywiście po przeprowadzeniu wywiadu z owym zwycięskim dowódcą. W czasie tej wojny pojawiało się niewiele reportaży z linii frontu; teraz, po wydarzeniach ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, Purcell już wiedział, dlaczego pisano tak mało.

W pobliżu wzgórza zauważył wiatrowskaz i puste lądowisko dla helikoptera. Wyobraził sobie siebie, Mercado i Vivian w śmigłowcu Getachu lecącym wysoko nad skwarem i fetorem tego miejsca. Helikopter to latający dywan współczesnych wojen. Gdyby wylecieli stąd jutro w południe, już wieczorem siedzieliby w barze hotelu Hilton i odpowiadali na pytania kolegów o wyprawę w głąb tego mrocznego kraju. Etykieta nakazywałaby im skromnie bagatelizować wielką niebezpieczną przygodę, a zarazem przedstawiać ją w na tyle interesujący sposób, by utrzymać uwagę słuchaczy i zapobiec wyschnięciu strumienia drinków. Purcell zastanawiał się, jak opowiedzieć o znalezieniu umierającego księdza i nie zdradzić wszystkich szczegółów.

Pomyślał także o pułkowniku Gannie. Polubił go i poczuł do niego szacunek po wszystkim, co zobaczył na polu bitwy. Miał nadzieję, że pułkownikowi uda się znaleźć wioskę

zamieszkaną przez przychylnych mu tubylców i w końcu opuścić Etiopię. Szanse powodzenia były jednak niewielkie, więc Purcell pomyślał o napisaniu pośmiertnego artykułu pod tytułem *Błądny rycerz*. Pomyślał też o wyprawie do Anglii i odnalezieniu rodziny Edmunda Ganna.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem i głębokie fioletowe cienie wypełniły rowy i zagłębienia pełne odchodów tysięcy żołnierzy, przecinające obóz. Purcell dostrzegł kilka chaotycznie zaparkowanych pojazdów wojskowych, lecz głównym środkiem transportu zdawały się muły i konie przywiązane do namiotowych słupków.

W swej karierze Purcell widział już setki armijnych obozów polowych – brudnych jak ten albo nieskazitelnie czystych jak obozy amerykańskie – i w każdym doznawał tego samego uczucia: życia w zawieszeniu i świadomości nadchodzącej śmierci.

Uznał, że dość już zobaczył w obozie, i postanowił poznać samego generała Getachu. Nie zamierzał mówić o tym Vivian, która uparłaby się, by zaczekać na Mercado. Poczuł, że powinien przynajmniej poinformować generała o ich obecności w obozie, czego wymagał protokół.

Idąc w stronę namiotu sztabu, Purcell przypominał sobie wszystko, co przeczytał o generale Getachu w anglojęzycznej gazecie w Addis Abebie. Zgodnie z pełnym zachwytem i ocenzurowanym przez rząd i samą redakcję artykułem generał był wyjątkowym człowiekiem – lojalnym rewolucjonistą, kompetentnym dowódcą wojskowym i człowiekiem z ludu, urodzonym w rodzinie biednych wieśniaków. Jego rodzice głodowali, by za zebrane oszczędności wysłać syna do brytyjskiej szkoły misyjnej w Gondarze. Mikael Getachu okazał się rzecz jasna błyskotliwym uczniem i nauczył się angielskiego, zanim ukończył siedem lat. Odrzucił też większość burżuazyjnych nauk, studiował za to potajemnie marksizm, kiedy był jeszcze młodym chłopcem. Nigdy nie wstąpił na uniwersytet – powrócił natomiast do swej wioski i organizował wieśniaków walczących z miejscowymi rasami. Purcell pomyślał, że musiał do nich należeć również książę Jozue.

W pochlebnym artykule napisano też, że generał Getachu wstąpił do królewskiej armii, by zinfiltrować jej szeregi, i stacjonował w Addis Abebie. Gdy wojsko przejęło władzę i obaliło cesarza, kapitan Getachu znalazł się we właściwym miejscu i czasie. Został generałem i dowódcą armii w swej dawnej prowincji. Miejscowy chłopak, który odniósł w końcu życiowy sukces i wrócił do domu, by nieść swym ziomkom pokój i sprawiedliwość.

Lecz zgodnie z tym, co się mówiło w barach i ambasadach Addis Abeby, Getachu był psychopata; krążyły plotki, że udusił kilkunastu członków rodziny królewskiej w ich pałacach i nie oszczędził nawet kobiet ani dzieci. Bała się go nawet rada rewolucyjna, która uczyniła go dowódcą północnej armii, by trzymać go z dala od stolicy.

Maszerując pod górę w kierunku wielkiego pawilonu sztabu, Purcell zauważył w oddali coś, czego wcześniej nie widział. Nie był pewien, czy wzrok nie zwodzi go z powodu zapadającego zmroku, lecz gdy podszedł bliżej, zrozumiał, co zobaczył: na poziomej belce przymocowanej do dwóch pionowych słupów wisiało kilkunastu mężczyzn. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, Purcell dostrzegł, że mają na sobie mundury królewskiej armii.

Zatrzymał się kilka metrów od makabrycznego miejsca i zauważył, że nieszczęśników powieszono na zwykłym drucie, co miało spowodować powolną i bolesną śmierć. Mężczyźni nie mieli związanych rąk; mogli więc sięgnąć drutu, by rozluźnić pętlę, ale wyczerpanie sprawiło, że przegrali walkę z siłą ciężenia i śmiercią.

Purcell nabrał głęboko powietrza i stał, wpatrując się w powykręcane twarze oraz zakrwawione palce i szyje. Naliczył trzynastu żołnierzy wiszących nieruchomo w ciężkim powietrzu. Zastanowił się, ilu pojmanych rojalistów rozstrzelano. Branie jeńców nie było zasadą przestrzeganą ani w tym kraju, ani podczas tej wojny.

Purcell zauważył, że przygląda mu się kilku wartowników rozstawionych wokół sztabowego namiotu, i jeszcze raz zastanowił się nad sensem wizyty u generała Getachu.

Odwrócił się i powędrował do namiotu medycznego. Nie zastał w nim Vivian, a przebywający w środku samotny sanitariusz nie odpowiedział na pytanie, które Purcell zadał na migi.

Standardową procedurą w takich sytuacjach jest pozostanie w ustalonym miejscu i oczekiwanie na nieobecnych. Gdyby wyszedł, by poszukać Vivian, pewnie by się rozminęli i każde z nich wracałoby do namiotu, chcąc sprawdzić, czy drugie już wróciło; przypominałoby to stary numer braci Marx. Purcell pomyślał, że Vivian mogła mu zostawić wiadomość, więc rozejrzał się po namiocie. Na próżno. Zauważył za to, że znikło kilka rzeczy: aparat fotograficzny Vivian, jej paszport i legitymacja prasowa. Musiała zabrać je ze sobą. Lecz po chwili stwierdził, że w namiocie nie ma również jego portfela, legitymacji ani listu żelaznego.

– Cholera!

Purcell wyszedł z namiotu i zaczął wypatrywać Vivian w gęstniejącym mroku. Może poszła poszukać latryny, której i tak tu nie było, i zajęło jej to trochę czasu? Purcell postanowił nie ruszać się z miejsca przez dziesięć minut, a potem pójść do sztabu i zażądać widzenia z Getachu albo zaczekać, aż generał go wezwie. Pomyślał, że Vivian może już być w jego namiocie.

Czekał, lecz cierpliwość nie była jego mocną stroną. Już po pięciu minutach siedł w kierunku sztabu generała Getachu.

W ciemności dostrzegł biegnącą postać. Była to Vivian. Zauważyła Purcella i zawołała:

– Frank! Mają Henry'ego!

– To dobrze.

Zdyszana Vivian zatrzymała się metr od Purcella i dodała:

– Mają też pułkownika Ganna.

Niedobrze.

Vivian zaczęła szybko wyjaśniać:

– Pułkownik Gann zemdlął na szczycie. Henry też. Żołnierze znaleźli ich i...

– Zaczekaj. Kto ci to powiedział?

– Doktor Mato. Teraz są w namiocie szpitalnym. Aresztowani. Doktor Mato mówi, że się wylizają, ale...

– Okej, chodźmy do nich.

– Nie wpuszczaj mnie do namiotu.

Też dobrze, pomyślał Purcell i powiedział:

– W takim razie zobaczmy się z generałem.

– Już próbowałam, ale...

– Chodźmy.

Pomaszerowali szybko pod górę w stronę sztabowego namiotu. Spod kilku jego podwiniętych płacht wydobywało się na zewnątrz światło.

Purcell zauważył, że Vivian nie ma przy sobie swojego aparatu fotograficznego, a w jej shammie nie było kieszeni, do której mogłaby włożyć dokumenty. Mogła jednak gdzieś to wszystko ukryć, zatem zapytał:

– Nie wiesz, gdzie są nasze dokumenty?

– Nie... Kiedy przyszedł po mnie doktor Mato, wybiegłam i...

– Niczego nie znalazłem, twojego aparatu też.

– Niech to jasny szlag!

– W porządku. Wszystko jest u Getachu.

– Sukinsyn... To mój aparat, z trzydziestoma zdjęciami...

– Vivian, to nasz najmniejszy problem.

Vivian była zrozpaczona z powodu aresztowania Mercado, teraz zaś czuła coraz większe oburzenie, bo skonfiskowano jej własność. Miała rację, lecz takie zachowanie byłoby na miejscu w Addis Abebie, a nie na froncie.

Przed spotkaniem z Getachu Vivian musiała się przekonać, jak wygląda rzeczywistość. Purcell chwycił swą towarzyszkę pod ramię, obszedł z nią namiot sztabu i powiedział:

– Zobacz, co generał Getachu robi z rojalistami. Nie wiemy, co robi z zachodnimi dziennikarzami, którzy go wkurzają.

– O mój Boże... – powiedziała Vivian, widząc powieszonych mężczyzn.

– Gotowa?

Vivian odwróciła się i skinęła głową.

Podeszli do strzeżonego wejścia namiotu. Dwóch żołnierzy uzbrojonych w ak-47 popatrzyło na nich uważnie. Już raz odesłali tę kobietę; teraz dziwili się, dlaczego wróciła. Jeden z mężczyzn w wymowny sposób potrząsnął bronią, drugi zaś wykonał jednoznaczny gest: odejdźcie stąd.

Lecz Purcell wymówił po amharsku słowo, które znali wszyscy dziennikarze pracujący w Etiopii:

– *Gazetanna*.

I dodał:

– Generał Getachu.

Puknął palcem w swój lewy nadgarstek, na którym powinien być znajdować się jego zaginiony zegarek; miał nadzieję, że wartownicy pomyślą, iż stawił się na umówione spotkanie.

Żołnierze wdali się w krótką rozmowę i po chwili jeden z nich wszedł do namiotu. Ten, który został, omiół wzrokiem najpierw wysmarowaną maścią twarz Vivian, a potem jej nogi wystające spod shammy.

– Jestem przerażona. A ty? – odezwała się cicho Vivian.

– Zapytasz mnie o to później.

Z namiotu wynurzył się pierwszy strażnik. Skinął ręką na dziennikarzy: chodźcie za mną.

Weszli do pawilonu, który – jak zauważył Purcell – był o wiele większy niż namiot księcia Jozuego. Purcell spostrzegł też, że w surowo urządzonym wnętrzu nie było ani ceremonialnych włóczyń, ani tarcz. Było tylko połowe wyposażenie, w tym dwie radiostacje ustawione na rozkładanym terenowym stole. Lampy Colemana ledwie dawały sobie radę z oświetlaniem wielkiej przestrzeni.

Namiot przedzieliła dwuczęściowa zasłona. Żołnierz machnął ręką, nakazując dziennikarzom przejść na drugą stronę. W części namiotu, do której weszli, było jeszcze ciemniej. Uplłynęło kilka sekund, zanim zobaczyli mężczyznę siedzącego za biurkiem. Nie wstał, wskazał tylko dwa brezentowe krzesła stojące przed nim i powiedział po angielsku:

– Siadajcie.

Usiedli.

Generał Getachu zapalił papierosa i zaczął wpatrywać się w nich przez dym. Propanowa lampa wisząca nad biurkiem oświetlała ręce generała, lecz jego twarz ginęła w mroku.

Przyzwyczajwszy wzrok do słabego światła, Purcell dostrzegł, że Getachu nosi niechlujną

brodę i jest łysy albo goli sobie głowę. Zobaczył też opalone do połowy czoło generała i jego śniadą cerę ogorzałą od słońca.

Pamiętał zdjęcie Getachu wydrukowane w etiopskiej gazecie; przypomniał sobie, że generał ma szeroką twarz, typową dla Chamitów – twarz, która nie ma nic wspólnego z twarzami semickich arystokratów ani Arabów. Właściwie po części o to chodziło w tej wojnie: liczyły się pochodzenie i różnice rasowe – tak subtelne, że praktycznie niedostrzegalne dla większości ludzi przybywających tu z Zachodu, lecz dla Etiopczyków decydujące o byciu władcą lub poddanym. Purcell pomyślał, że Getachowie tego kraju dokonują zemsty po trzech tysiącach lat poddaństwa. Trudno było ich za to winić, choć – zdaniem Franka – Etiopczycy mogliby postępować mniej brutalnie.

Odwiedzając wiele krajów, Purcell miał już do czynienia z rewolucjonistami nagle zdobywającymi władzę. Mieli oni kilka wspólnych cech: wykazywali ksenofobiczną paranoję, wpadali w przesadną złość i myśleli w niebezpiecznie irracjonalny sposób. Teraz Purcell miał się przekonać, jak bardzo chory psychicznie jest Getachu.

Pozwoliwszy im usiąść w swej kwaterze, generał sprawiał wrażenie zadowolonego. Nie odzywając się, przeglądał gazety leżące na jego biurku, na którym znalazły się także aparat fotograficzny Vivian, portfel i zegarek Purcella, ich paszporty i legitymacje prasowe. Brakowało tylko listu żelaznego wystawionego przez tymczasowy rząd rewolucyjny. Purcellowi przyszło do głowy, że Getachu postanowił potraktować ten kłopotliwy dla niego dokument w najprostszy sposób: zniszczył go.

Generał zapalił następnego papierosa i pociągnął łyk z zakrętki od manierki. Spojrzał na przybyłych i zapytał ich z lekko brytyjskim akcentem:

– Po co tu przyjechaliście?

– Żeby relacjonować wojnę – odpowiedział Purcell.

– Żeby szpiegować dla rojalistów.

– Żeby relacjonować wojnę.

– Szpiedzy są rozstrzeliwani. O ile mają szczęście.

– Jesteśmy dziennikarzami zaakceptowanymi przez tymczasowy rząd rewolucyjny i mamy list żelazny wydany przez Derg i podpisany przez generała...

– Nie macie nic takiego.

– Mamy – wtrąciła się Vivian. – Dlaczego aresztowaliście naszego kolegę?

Getachu spojrzął na dziennikarkę i warknął:

– Zamknij się.

Zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

– Byliście z waszym kolegą w obozie rojalistów.

– Zgubiliśmy się, jadąc tu – odparł Purcell.
– I spotkaliście swojego kolegę, pułkownika Ganna.
– On nie jest naszym kolegą.
– Uciekaliście z nim, żeby nie dostać się w ręce armii rewolucyjnej, chociaż twierdzicie, że chcieliście znaleźć.

– Uciekaliśmy przed Oromami – oświadczył Purcell. – Weszliśmy na tę górę, by znaleźć pana.

Getachu nie odpowiedział.

Purcell uznał, że na nic zdadzą się próby wyjaśnienia tego, co się naprawdę wydarzyło. Generał Getachu wyciągnął już własne wnioski; zapewne nie były one precyzyjne, lecz za to doskonale pasowały do jego paranoi.

– Jesteśmy tu, by pisać o wojnie – powiedział Purcell. – Nie opowiadamy się za żadną ze stron...

– Macie romantyczne podejście do cesarza i jego rodziny, podobnie jak do rasów i klasy rządzącej.

Purcell pomyślał, że to prawda w odniesieniu do Mercado, może też Vivian i na pewno pułkownika Ganna, lecz nie w odniesieniu do niego.

– Jestem Amerykaninem – rzekł. – A my nie lubimy królów.

– Lubicie więc marksistów?

– Nie.

Getachu przyjrzał się Frankowi i skinął głową.

– Pułkownik Gann pozbawił życia wielu moich ludzi – stwierdził. – Został skazany na karę śmierci.

Purcell domyślił się tego wcześniej, powiedział jednak:

– Jeśli go oszczędzicie i każecie mu odejść, to obiecujemy, że napiszemy...

– Niczego nie napiszecie – przerwał mu Getachu. – Wszyscy jesteście oskarżeni o współudział. Szpiegujecie dla rojalistów. Rano staniecie przed sądem wojennym.

Purcell wiedział, że tak się stanie. Najwyraźniej wiedziała też Vivian, gdyż oświadczyła pewnym głosem:

– Mój kolega, pan Mercado, jest znanym na całym świecie dziennikarzem i często spotykał się z członkami Dergu, a także przeprowadził wywiad z generałem Andomem, który jest pańskim przełożonym. To właśnie generał Andom podpisał nasz list żelazny...

– Generał Andom nie udzielił ani Mercado, ani wam zezwolenia na szpiegowanie dla kontrrewolucjonistów.

Purcell postanowił wypróbować inną taktykę.

– Proszę posłuchać, generale: wygrał pan bitwę, prawdopodobnie wygraliście też wojnę. Rząd tymczasowy zaprosił dziennikarzy, żeby...

– Ja was nie zapraszałem.

– W takim razie wyjedziemy.

Getachu nie odpowiedział. Purcell odniósł wrażenie, że generał się waha. W Getachu walczyła jego instynktowna żądza zabicia każdego, kogo chciał zabić, z obawą, że rząd tymczasowy nie chciałby śmierci trojga zachodnich dziennikarzy. Gorzej przedstawiała się sytuacja pułkownika Ganna: był już praktycznie martwy.

Purcell znajdował się już w podobnych sytuacjach, z których zawsze wychodził obronną ręką – w przeciwnym razie nie znalazłby się w tym miejscu. Przypomniał sobie radę Mercado: nigdy nie wyglądaj na kogoś, kogo należy aresztować; teraz jednak miał już daleko za sobą moment, w którym szala przechyla się na jedną ze stron. Nie wiedząc, co powiedzieć albo zrobić, zapytał:

– Czy mogę prosić o papierosa?

Getachu był lekko zaskoczony, lecz podsunął Purcellowi paczkę egipskich papierosów i pudełko zapalek.

Purcell zapalił i rzekł:

– Jeśli udostępni mi pan maszynę do pisania, napiszę artykuł do „International Herald Tribune” oraz anglojęzycznej gazety w Addis Abebie. Opiszę pańskie zwycięstwo nad księciem Jozuem i siłami rojalistów. Oczywiście będzie pan mógł przeczytać mój tekst i dostarczyć go do mojego biura prasowego w stolicy. Dołączę też do artykułu notatkę, w której poinformuję, że poruszam się po froncie z armią generała Getachu.

Getachu przyglądał się Purcellowi przez długą chwilę, później spojrzął na Vivian i jej aparat fotograficzny.

– Co zobaczę, jeśli każę wywołać ten film w Addis Abebie? – zapytał.

– Głównie zdjęcia z naszej podróży ze stolicy do starego włoskiego uzdrowiska – odpowiedziała Vivian. – I kilka zdjęć z obozu księcia Jozuego.

– Dobrze będzie pokazać jutro te fotki przed sądem polowym, panno... – Getachu zajął do paszportu Vivian. – Panno Smith.

– Jestem fotoreporterką – odparła Vivian. – Fotografuję...

– Zamknij się – przerwał jej Getachu.

Pochylił się do przodu, utkwiał wzrok w Vivian i powiedział:

– Po drugiej stronie mojego obozu stoi namiot. Przebywa w nim dziesięć, może dwanaście kobiet popierających rojalistów; jest nawet księżniczka. Te kobiety są tam po to, żeby moi żołnierze mogli się zabawić.

Getachu popchnął aparat fotograficzny w stronę Vivian i zapytał:

– Chcesz sfotografować to, co się dzieje w tym namiocie?

Purcell wstał i powiedział:

– Generale, pańskie zachowanie...

Getachu wyciągnął pistolet i wycelował w Purcella.

– Siadaj – rzucił.

Purcell usiadł.

Getachu włożył pistolet do kabury i kontynuował, jakby nic się nie stało:

– Panno Smith, będzie pani mogła sfotografować również rojalistów. Wie pani, gdzie wiszą. A także egzekucję pułkownika Ganna. I egzekucję pani przyjaciela, pana Mercado. Ma pani na to ochotę?

Vivian nie odpowiedziała.

Getachu wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, a potem spojrzał na Purcella i zapytał:

– A może pan Purcell, jak już sam zaproponował, napisze bardzo dobre artykuły o walce ludu z jego odwiecznymi ciemiężycielami? I później może już nie będzie sądu polowego ani egzekucji?

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Wrogów ludu trzeba likwidować albo sprawiać, żeby służyli rewolucji – ciągnął Getachu.

– Bardziej przydalibyście się nam żywi.

– A pan Mercado? – zapytała Vivian.

– Kiedyś był przyjacielem uciskanego ludu, ale pobłądził. Potrzebuje reedukacji.

– A pułkownik Gann? – zapytał Purcell.

– Trudna sprawa. Ale szanuję go jako żołnierza. Mam pewną słabość do Brytyjczyków.

Chodziłem do brytyjskiej szkoły misyjnej.

I najwyraźniej opuszczając zajęcia ze sportowego zachowania i *fair play*, pomyślał Purcell.

– Dyrektor szkoły lubił używać różgi, ale chyba mi się należało – dodał Getachu.

Bez wątpienia.

– Być może uda się namówić pułkownika Ganna do podzielenia się jego wojskową wiedzą z moimi pułkownikami – powiedział Getachu.

– Porozmawiam z nim o tym – odparł Purcell.

Getachu nie zwrócił na to uwagi i dodał:

– Rozstrzelanie mężczyzny albo kobiety jest łatwe. Wolę raczej łącać ludzi.

Purcell nie miał wątpiwości, że Getachu mówi szczerze.

– Możecie już iść – rzekł generał.

– Chcemy się zobaczyć z panem Mercado. I z pułkownikiem Gannem – powiedziała

Vivian.

– Znajdziecie ich w namiocie szpitalnym.

Purcell ujął Vivian pod rękę i chciał skierować się do wyjścia, lecz Getachu zatrzymał ich, mówiąc:

– Zanim wyjdziecie, chciałbym pokazać wam coś, co mogłoby was zainteresować.

Odwrócili się i zobaczyli, że generał wyjmuje jakiś przedmiot z cienia otaczającego jego krzesło. Była to złota korona wysadzana szlachetnymi kamieniami. Purcell i Vivian rozpoznali w niej koronę księcia Jozuego.

– Dałem Oromom wolną rękę, żeby mogli polować na rojalistów – oświadczył Getachu. – W zamian poprosiłem ich tylko, by dostarczyli mi księcia, żywego lub martwego, i jego koronę. I oto ona.

Purcell i Vivian nie odezwali się.

Getachu przyglądał się koronie w świetle lampy wiszącej nad jego biurkiem, zupełnie jakby się zastanawiał nad kupnem cennej biżuterii ze szlachetnego kruszcu. W końcu odłożył ją na biurko i powiedział:

– Pokażę wam jeszcze coś.

Wstał i przeszedł do ciemnego kąta namiotu, a towarzyszący mu żołnierz zapalił lampę Colemana.

Na brudnej podłodze namiotu leżało trzech nagich mężczyzn. Getachu skinął ręką na Purcella i Vivian, każąc im podejść bliżej. Gdy zbliżyli się do światła, zobaczyli, że plecy i pośladki mężczyzn poprzecinane są krwawymi liniami świadczącymi o tym, że ich wychłostano.

Getachu warknął coś po amharsku. Mężczyźni podnieśli się i uklękli.

Każdy z nich miał na szyi obrozę – taką, jaką zakłada się psom – z przymocowanym do niej łańcuchem. W świetle lampy Purcell ujrzał trzy zmasakrowane twarze, z których jedna należała do księcia Jozuego. Jego długi arystokratyczny nos był złamany, a oczy opuchnięte tak mocno, że niemal się nie otwierały; książe patrzył jednak na Purcella i Vivian.

– Jak widzicie, nie zastrzeliłem ich ani nie powiesiłem, choć miałem taki zamiar – powiedział Getachu. – Ale jeśli przyjrzycie im się dokładniej, zobaczycie, że Oromowie ich wykastrowali.

Purcell nie przestawał patrzeć na księcia, lecz Vivian odwróciła wzrok.

Getachu sięgnął do kieszeni swych polowych spodni i wyjął z niej kawałek chleba. Przyłożył go do ust księcia i powiedział po angielsku:

– Jedz!

Książe odgryzł kęs. Getachu potraktował w ten sam sposób pozostałych dwóch mężczyzn,

k którzy – jak pomyślał Purcell – należeli do sztabu księcia.

Getachu rzucił chleb na podłogę i powiedział:

– Rząd rewolucyjny stracił prawie wszystkich członków rodziny królewskiej i wielu rasów, więc teraz należą do rzadkości. Ale wymyśliłem, jak ich wykorzystać. Ci mężczyźni są teraz moimi sługami i zaspokajają moje osobiste potrzeby. A kiedy będzie mi się chciało rzygać od patrzenia na nich, co wkrótce nastąpi, zostaną eunuchami w namiocie z kobietami, które są ich wiernymi poddankami. Będą też sprawiać przyjemność żołnierzom o trochę odmiennych upodobaniach.

Vivian odwróciła się plecami do jeńców, Purcell zaś wciąż patrzył na księcia Jozuego klęczącego z pochyloną głową.

Getachu zwrócił się do księcia:

– Czy to nie lepsze niż śmierć?

Księżę skinął głową.

Getachu ponownie warknął coś po amharsku i trzej mężczyźni opadli na czworaki. Generał sięgnął do głębokiej kieszeni spodni i wyjął z niej palcat. Stał za mężczyznami.

– Palcat pułkownika Ganna – powiedział.

Śmignął skórzanym narzędziem, celując w pośladki księcia. Mężczyzna krzyknął z bólu, a żołnierz trzymający lampę wybuchł śmiechem.

Getachu obdzielił razami pozostałych dwóch mężczyzn; i oni krzyczeli, co sprawiło, że żołnierz zaczął śmiać się jeszcze głośniejsze.

Getachu odłożył palcat i powiedział:

– To o wiele lepsze niż wieszanie albo rozstrzeliwanie. Lepsze dla mnie.

Stał przed mężczyznami. Wykonał przesadnie głęboki ukłon i zwrócił się do księcia:

– Wybacz mi, *ras*. Jestem tylko prostym wieśniakiem, który nie wie, jak należy okazać szacunek swemu panu.

Żołnierz ponownie się roześmiał.

Getachu odwrócił się do Purcella i Vivian.

– To wszystko – powiedział.

Purcell chwycił Vivian za rękę. Wyszli z namiotu. Vivian drżała, więc Frank objął ją ramieniem.

Kiedy szli w stronę namiotu szpitalnego, Vivian powiedziała łamiącym się głosem:

– Ci biedni ludzie... Frank... Obiecay mi...

– Nam się to nie przydarzy.

– On jest chory... To sadysta...

– Tak – rzekł Purcell i pomyślał, że Getachu stanowi uosobienie historii dokonującej

zemsty. – Ale nie jest głupi. Wie, od czego może się wykręcić, a od czego nie.

Żadne z nich w to nie wierzyło, lecz na razie było to wszystko, czym mogli się pocieszyć. Purcell pomyślał, że opuszczenie względnie bezpiecznej stolicy było błędem. Wyjechali, by odnaleźć generała Getachu, lecz Henry Mercado źle ocenił sytuację i – jak na ironię – prawie dał się zwieść laurkom, którymi obsypywały Getachu drukowane po angielsku i po włosku gazety ukazujące się w Addis Abebie. Purcell był rozeźlony na Mercado i na samego siebie, lecz złość to za mało, by mogli wyrwać się z tego miejsca. Musieli popracować nad generałem. Trochę pochlebstw, trochę fanfaronady i... dużo szczęścia.

Vivian pomyślała jednak o czymś innym.

– Musimy się stąd wydostać, żeby odnaleźć czarny klasztor – powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem. – Wierzysz, że nam się uda?

– Nie. Ale ty w to wierzysz. Henry na pewno też.

– Wszystkie drogi nas tam prowadzą, Frank.

– Zgadza się – rzekł Purcell i pomyślał, że jest tylko jedna droga: ślepa uliczka.

Przypomniał sobie jednak opowiadanie Henry'ego o wierze, która utrzymała go przy życiu w gułagu, i chcąc podnieść Vivian na duchu, powiedział:

– Możesz mieć rację.

Vivian wzięła Purcella pod rękę i szybko pomaszerowali w stronę szpitalnego namiotu.

ROZDZIAŁ 10

Weszli do długiego pawilonu, którego wnętrze było kiepsko oświetlone świecami i lampami naftowymi. W powietrzu unosił się zapach krwi i odór ekskrementów. Usłyszeli jęki chorych i rannych. Na końcu namiotu wisiała jasna lampa Colemana; Purcell dostrzegł w jej świetle trzech ludzi w maskach chirurgicznych stojących przy stole i zajmujących się pacjentem.

Ujął Vivian pod ramię i zaczął się z nią przeciskać pomiędzy rzędami obandażowanych mężczyzn leżących nago na ciemnych kocach. Na odchodach pacjentów siadały wielkie muchy; widok ten sprawił, że Vivian osłoniła dłonią usta i nos. Idąc, wpatrywała się w ciemność: szukała Mercado i pułkownika Ganna.

Doktor Mato zauważył ich i zsunął maskę. Wymienił z Vivian kilka zdań po włosku i wrócił do swojego pacjenta.

– Henry’ego i pułkownika Ganna zabrano stąd, gdy tylko doktor Mato stwierdził, że czują się na tyle dobrze, że można ich przenieść. Są aresztowani – powiedziała Vivian.

– To już wiemy. Dokąd ich zabrali?

– Doktor mówi, że jest tu *campo... parata militare*, czyli plac apelowy, na którym trzymają więźniów. Stąd jakieś pół kilometra na wschód.

Purcell ujął Vivian pod ramię i szybko wyprowadził ją z namiotu.

Nad wzgórzami po wschodniej stronie wzeszedł księżyc, prawie w pełni, i cały obóz był skąpany w tajemniczej srebrzystej poświacie. Z setek ognisk ulatywały ku górze czerwone iskry, a powietrze było ciężkie od zapachu płonących traw i suszonego lajna.

Poszli na wschód, omijając grupki ludzi zgromadzonych wokół palenisk i rozsiane wszędzie namioty. Idąc w ciemności w swych shammach, nie zwracali niczyjej uwagi.

Purcell pomyślał, że żaden z wojskowych obozów nie byłby kompletny, gdyby nie było w nim więzienia, w którym trzyma się nieprzystosowanych do życia w armii żołnierzy i przestępców oczekujących na proces i karę. Idąc, rozglądał się po oświetlonym przez księżyc otoczeniu i wypatrywał czegoś, co wyglądałoby na więzienie, lecz wszędzie widział tylko namioty.

Po chwili Purcell zobaczył jeszcze coś, czego nie mogło zabraknąć w wojskowych obozach – to, o czym wspomniał Getachu. Zobaczył długą kolejkę żołnierzy stojących przed wejściem do dużego namiotu. Palili papierosy i żartowali, czekając na swoją kolej.

– Co tam się dzieje? – zapytała Vivian.

Purcell nie odpowiedział, a Vivian rzekła tylko:

– Ach...

Poszli dalej.

Vivian zaczęła się nad czymś zastanawiać.

– Chyba o czymś zapomnieliśmy – powiedziała w końcu. – Zapytajmy jeszcze...

– Lepiej nie.

Dotarli do rozległego placu, rozciągającego się w niewielkiej dolinie i tworzącego naturalny amfiteatr. Purcell zauważył drewnianą trybunę ustawioną po jego drugiej stronie i zrozumiał, że jest to plac apelowy i miejsce musztry, w którym generał Getachu i jego oficerowie przemawiają do swych oddziałów.

Przed trybuną widniał rząd pali wkopanych w ziemię. Purcell widział już takie w wielu innych wojskowych obozach Trzeciego Świata: były to pręgierze, do których przywiązywano żołnierzy, by ich ukarać i upokorzyć na oczach współtowarzyszy. Purcell dostrzegł ruch przy jednym z pali.

– Tam – powiedział.

Pobiegli. Gdy byli już blisko, ujrzeli trzech mężczyzn z rękami uniesionymi nad głowami i wiszącymi na nadgarstkach.

Purcell zauważył, że Mercado i Gann mają na sobie te same ubrania, w których ich ostatnio widzieli, lecz są bosi. Między nimi wisiał nagi nieprzytomny Etiopczyk.

Vivian podbiegła do Mercado i objęła go w pół. Wydawało się, że Henry jest nieprzytomny lub nie żyje, w końcu jednak Purcell dostrzegł, że ich towarzysz oddycha.

Vivian zaniosła się szlochem.

– Henry... Ocknij się... Henry! – krzyknęła.

Mercado otworzył oczy i spojrzał na nią. Vivian stanęła na palcach i pocałowała go w policzki.

Każdemu z trzech nieszczęśników założono żelazne kajdany przymocowane łańcuchem do metalowego kółka w palu. Stopy mężczyzn dotykały ziemi; mogli stać, dopóki ich kolana nie odmówiły posłuszeństwa ze zmęczenia albo z powodu utraty przytomności.

Purcell spojrzał na Etiopczyka. W jasnym świetle księżycy dostrzegł jego opuchniętą i pokrytą pęcherzami twarz; zobaczył też ślady chłosty na ciemnej skórze mężczyzny.

Mercado był już całkowicie przytomny. Stał wyprostowany, a Vivian przytuliła twarz do jego piersi i łkając, mocno go obejmowała.

Purcell podszedł do Ganna. Pułkownik był przytomny i czujny.

– Bardzo się cieszę, że was widzę. I że jesteście zdrowi i wolni – powiedział.

Purcell poczuł się nieco zakłopotany; on i Vivian znajdowali się w bezwzględnie lepszej sytuacji, lecz mogła ona szybko się zmienić. Frank nie chciał dawać fałszywej nadziei człowiekowi przywiązanemu łańcuchem do pala i skazanemu na śmierć, lecz powiedział:

– Rozmawiałem z Getachu i jest pewna szansa...

– Getachu bawi się swoimi ofiarami – przerwał mu Gann. – Proszę się nie wysilać.

Purcell postanowił zmienić temat.

– Czy mogę panu coś przynieść? – zapytał.

– Doktor Mato nakarmił nas i zadbał o nas na tyle, że damy radę wisieć tu do świtu – odpowiedział pułkownik. – Będę mógł pójść na egzekucję o własnych siłach.

Purcell nie odpowiedział.

– Ciekawe tylko, czy uda wam się przekonać Getachu, żeby pluton egzekucyjny załatwił sprawę szybko i sprawnie – dodał Gann.

– Powiedział, że szanuje pana jako żołnierza – odparł Purcell.

– Nie mogę powiedzieć o nim tego samego. Ale będę trzymał go za słowo i liczył na to, że wybierze właściwych ludzi.

Purcell skinął tylko głową i oświadczył:

– Przeczekamy z wami tę noc.

– Świetnie, stary. Pełno tu wolnych pali.

Purcell uśmiechnął się, widząc, że wisielczy humor nie opuścił pułkownika nawet w tych okolicznościach. Zerknął na kajdany. Były zamknięte na kłódkę; w podobny sposób przymocowano łańcuchy do żelaznych kółek w palach. Gdyby znalazł coś, czym dałoby się przeciąć kłódkę lub łańcuchy, uwolniłby Ganna i Mercado, a potem uciekliby z obozu.

Pułkownik podążył za wzrokiem Purcella i powiedział:

– Nie ma tu ani jednego strażnika, ale jeśli spojrzysz pan w prawo, zobaczysz pan wieżę wartowniczą; stoi kilkaset metrów stąd.

– Okej, więc może po zachodzie księżycy – powiedział Purcell.

Zastanawiał się, czy poinformować Ganna, że jego dawny zwierzchnik, książę Jozue, został pojmany i nie jest już ani księciem, ani mężczyzną. Wiadomość ta nie pomogłaby jednak pułkownikowi i nie podtrzymałaby w nim nadziei. Dlatego Purcell powiedział tylko:

– Zaraz wracam, pułkowniku.

– Nigdzie się nie wybieram – usłyszał w odpowiedzi.

Purcell minął wciąż nieprzytomnego Etiopczyka i stanął obok Vivian, która mruczała coś do Mercado, głaszcząc go po piersiach i głowie.

Frank spojrzał na swego towarzysza. Popatrzyli sobie w oczy. Wreszcie Mercado westchnął i powiedział:

– Przepraszam za to wszystko.

– Było ciekawie, Henry.

– To materiał na dobry artykuł.

– Zgadza się.

Mercado popatrzył na Vivian.

– Porozmawiaj z pułkownikiem – powiedział. – Czuje się osamotniony.

Vivian zawahała się, ale posłuchała. Minęła Etiopczyka, lecz zaraz cofnęła się i spojrzała na biedaka. Przyłożyła dłoń do jego twarzy i piersi.

– On umiera – oświadczyła.

Purcell popatrzył na trzech mężczyzn przykutych łańcuchami do pali. Rano Getachu zapewne zarządzi tu apel swych oddziałów, by wszyscy zobaczyli, co czeka tych, którzy go rozzłoszczą. Jeśli zachowa się jak zwykły psychopata, którym niewątpliwie jest, to przemówi do żołnierzy i zagrozi im, że każdy, kto się wyłamie, zostanie ukarany w taki sam sposób. Jeśli zaś jest bardziej utalentowanym sadystą – opowie żołnierzom o ich zwycięstwie, nie wspominając ani słowem o nieszczęśnikach wiszących na palach, a żołnierze sami wyciągną wnioski.

Purcell uświadomił sobie, że podobny los może czekać jego i Vivian: wyprowadzą ich na plac podczas pierwszego apelu i również przykują do pali. Albo... Vivian trafi do kobiecego namiotu. Przypomniawszy sobie, co uczyniono księciu, Purcell pomyślał, że i on, wspólnie z Mercado i Gannem, mógłby zostać służącym w tym namiocie.

Życie na łasce wszechwładnego psychopaty i seksualnego sadysty nie byłoby niczym dobrym. Purcell rozumiał, że musi coś zrobić, póki ma taką możliwość. Ale co? Miał jeszcze czas, by uciec. Ale czy mógłby opuścić Henry'ego i pułkownika Ganna? I czy powinien zabrać ze sobą Vivian?

– To naprawdę moja wina. Powinniśmy byli zostać w Addis Abebie – odezwał się Mercado.

– W tamtym momencie wyjazd wydawał nam się dobrym pomysłem.

– Nie powinienem był zasypiać. Gann powiedział, że chce się zdrzemnąć, i zapytał, czy będę mógł czuwać. Odpocznij sobie, stary, powiedziałem. Następną rzeczą, którą pamiętam, byli żołnierze i osioł.

– Muł.

– Nieważne. A teraz jesteśmy winni współdziału.

– Henry, nie jesteśmy niczego winni; chyba tylko tego, że byliśmy na tyle głupi, by przyjechać tu z nadzieją, że potraktują nas jak akredytowanych dziennikarzy.

– Cóż... Mogło nam pójść lepiej, gdyby nie dołączył do nas pułkownik Gann.

Purcell pomyślał, że pułkownik Gann uratował ich przed Oromami, lecz Henry musiał zrzucić na kogoś część winy.

Mercado wyczuł, że Purcell nie dał się przekonać do takiej interpretacji przyczyn ich trudnego położenia, więc dodał:

– To przeznaczenie. Przeznaczenie nas tu doprowadziło. To wszystko ma swoją przyczynę...

– Daj mi znać, jak ją odkryjesz.

– Kiedy doktor Mato powiedział mi, że ty i Vivian jesteście tu cali i zdrowi, wiedziałem, że czuwa nad wami jakaś wyższa siła.

– Mnie to nawet nie przeszło przez myśl, Henry.

– Musisz uwierzyć, Frank. Wiara sprawi, że przetrwamy to wszystko.

Purcella korciło, żeby powiedzieć, że to nie on – człowiek małej wiary – został przykuty do pala, lecz opanował się i rzekł:

– Byliśmy z Vivian u Getachu.

Mercado milczał.

Purcell mówił dalej:

– Getachu w zasadzie przeprowadził już rozprawę w swojej wyobraźni i skazał Ganna na śmierć.

Mercado wciąż milczał; Purcell przyjrzał mu się, by sprawdzić, czy jego towarzysz nie stracił przytomności. Lecz Mercado był przytomny i wpatrywał się w Purcella, oczekując na wieści o własnym losie.

– Ty, ja i Vivian mamy rano stanąć przed sądem polowym – powiedział Frank. – Ale może tak się nie stanie – dodał, chcąc uspokoić swego rozmówcę.

Mercado nie odpowiedział. Purcell zrelacjonował mu zatem spotkanie z Getachu. Silił się na optymistyczny ton, lecz nie pomijał faktów; nie wspomniał jednak o ledwie skrywanej groźbie umieszczenia Vivian w obozowym burdelu. Henry i bez tego miał dość zmartwień.

– Getachu może czekać na rozkazy od swoich szefów – wywnioskował Purcell. – Albo wymyślił dla nas coś, o czym nam nie powiedział.

Mercado zastanawiał się przez chwilę i rzekł:

– Bardziej przydamy mu się żywi niż martwi.

– To niestety może być prawda.

– Albo rząd tymczasowy rozkaże mu nas uwolnić – dodał Mercado. – Właściwie jestem pewien, że tak się stanie. Pozostaję w dobrych układach z generałem Andorem.

– To dobrze. Mam nadzieję, że w takich samych układach pozostają również generałowie Andom i Getachu.

Mercado się nie odezwał.

– Czy Vivian powiedziała ci, że Oromowie pojмали księcia Jozuego i jego dwóch ludzi i przekazali ich Getachu?

– Nie... Boże, ulituj się nad nimi.

– W tym tygodniu Bóg ma wolne, Henry. Tymczasem zrobię dla nas, co się da, póki jeszcze nie wiszę na palu.

– Wiem, że zrobisz, Frank. Jeśli jeszcze pogadasz z Getachu...

– Muszę ci coś powiedzieć, Henry. Mogę stąd uciec. Bez Vivian. Jeśli uda mi się dotrzeć do Gondaru, będę mógł polecieć do Addis Abeby, pójść do amerykańskiej, szwajcarskiej albo brytyjskiej ambasady i wydostać stąd was wszystkich. Masz coś przeciwko temu?

– Nie uda ci się, Frank.

– Warto spróbować.

– Nie masz pieniędzy, dokumentów ani... Na miłość boską, nie masz nawet butów.

– Spróbuję zrobić to, o czym myślał Gann: postaram się znaleźć przyjaznych rojalistów.

– Sami już sobie nie radzą. Są skończeni. Przeganiani jak psy. Musisz tu zostać, żeby nam pomóc.

– Zostawię was tu w rękach Boga.

Vivian wróciła i objęła Mercado, mówiąc do Purcella:

– Musimy znaleźć trochę wody, Frank.

– W porządku. Zostań tu.

Purcell wdrapał się na zbocze amfiteatru, zorientował się w terenie i pomaszerowała na zachód w stronę namiotu szpitalnego – jedynej oazy człowieczeństwa na tej pustyni śmierci. Oceniając tę sytuację mniej cynicznie, trzeba było przyznać, że przypuszczalnie każdy zaproponowałby tu wodę, jak uczynili to wartownicy. Miejscowi nie byli złymi ludźmi, ale wojna – Purcell widział to już zbyt wiele razy w zbyt wielu miejscach – potrafi bardzo zmienić.

Za każdym razem, gdy zaczynał wierzyć w człowieczeństwo, przypominał sobie Czerwonych Khmerów, którzy wymordowali miliony swoich rodaków. Teraz zaś poznał Oromów będących reliktem ciemnej strony człowieczeństwa. Musiał przyznać, że jego szansa na przedostanie się do Gondaru i Addis Abeby właściwie jest równa zero.

Henry Mercado powiedział: przeznaczenie, opatrność, wszystko ma swoją przyczynę. Purcell pomyślał: lepiej, by przyczyna ta była naprawdę dobra. Przypuszczał, że Henry i Vivian uznali, iż ma ona coś wspólnego z ich spotkaniem z ojcem Armano – Purcell uważał je za czysty przypadek, lecz jego towarzysze wierzyli, że doszło do niego dzięki boskiej interwencji. Zresztą rano i tak miało się okazać, kto miał rację.

Purcell dotarł do namiotu szpitalnego. Zabrał z niego dwie manierki z wodą znalezione w stercie brudnych i pokrwawionych mundurów i żołnierskiego ekwipunku, które należały do chorych i rannych.

Próbował też wypatrzeć nóż, bagniet albo inne przydatne narzędzie, lecz stos rzeczy

został już przebrany.

Purcell owinął manierki wojskową bluzą i ruszył w drogę powrotną.

Nie wiedział, dlaczego Getachu pozwolił jemu i Vivian poruszać się swobodnie po obozie, ale wiedział z doświadczenia, że typową cechą sadystycznych despotów jest niespójność, przejawiająca się w nagłych aktach okrucieństwa powściąganymi gestami przesadnej uprzejmości. Despota chce, by się go bano, a zarazem pragnie być kochany za okazywanie łaski. Despota chce przypominać Boga.

Purcell dotarł na plac apelowy i wręczył Vivian manierkę. Przyłożyła ją do ust Mercado.

Podszedł do Etiopczyka, lecz ten wyglądał na martwego. Purcell przyłożył dłoń, a potem ucho do piersi mężczyzny, ale nie usłyszał bicia jego serca.

– Widziałem jego agonię – zawołał Gann.

Purcell zbliżył się do pułkownika i napił go.

– Proszę trochę zostawić – usłyszał.

– Rano będzie po wszystkim – zapewnił Ganna.

– W rzeczy samej – odpowiedział pułkownik.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Purcell podszedł do Vivian, która obmywała wodą twarz Mercado.

Stanął i zaczął się przyglądać tej scenie pełnej kobiecego współczucia i rozpacz. *Pietà*.

Purcell wiedział, że to włoskie słowo oznacza zarówno żal, jak i oddanie. Oznacza umierającego syna lub męża, wojownika albo ojca, pocieszanego w obliczu śmierci przez matkę lub żonę – nabożną kobietę przepelnioną miłością i żalem. Purcell pomyślał, że każdy powinien mieć szczęście, by umrzeć w taki sposób.

– Prześlę się na trybunie – powiedział. – Będę na miejscu, gdybyś czegoś potrzebował, Henry.

Powiedział to samo Gannowi, a potem wszedł po trzech schodach na toporną platformę. Księżyc wisiał wysoko na niebie i oświetlał rozległy pusty plac apelowy.

Spoglądając z góry, Purcell naliczył dziesięć pali. Po swojej lewej stronie dostrzegł wyprostowanego pułkownika Ganna i martwego Etiopczyka wiszącego na nadgarstkach. Cóż takiego uczynił ten człowiek, że zasłużył na tak okrutną śmierć? Zapewne nic szczególnego. Na wprost trybuny, w odległości ledwie trzech metrów, stał przykuty do pala Mercado. Vivian szeptała mu coś cicho do ucha i głaśniała go po twarzy. Mercado odpowiadał od czasu do czasu, lecz Purcell nie rozróżniał słów. Nie zamierzał jednak podsłuchiwać i zakłócać tej chwili prywatności – o ile można było na nią liczyć w miejscu, w którym publicznie wymierzano kary i zadawano śmierć. Purcell miał nadzieję, że Mercado okazał się prawdziwym mężczyzną – jak Gann – i znosi cierpienie z godnością, a jego słowa

wypowiedziane do kochanki zawierają w sobie tyle pociechy, ile jej słowa wypowiedziane do niego.

Purcell rozłożył na podłodze z belek bluzę, którą zabrał ze szpitalnego namiotu, i położył się. Był jednak tak zmęczony, że nie potrafił zasnąć ani uspokoić myśli.

W pewnej chwili, może piętnaście minut później, na platformie pojawiła się Vivian. Nie mówiąc ani słowa, położyła się obok Purcella, mimo iż wokół było mnóstwo miejsca.

Purcell przesunął się w lewo i zaproponował:

– Połóż się na bluzie.

Vivian skorzystała z zaproszenia i ułożyła się na plecach. Zapatrzyła się w niebo.

Z okolicznych gór nadciągnął zimny wiatr.

– Zimno mi – powiedziała Vivian. – Przysuń się do mnie.

Gdy posłuchał, Vivian położyła się na boku, twarzą do Purcella, a on zrobił to samo. Oplekli się nagimi nogami i ramionami i przytulili, chcąc się ogrzać.

Purcell poczuł bicie serca Vivian, jej oddech i jej napierające na niego piersi. Ich shammy podwinęły się do połowy ud. Vivian otarła się łydkami o nogi Purcella i przewróciła się na plecy, pociągając go za sobą.

Purcell zawahał się, a potem ją pocałował. Vivian opłótła rękoma jego szyję i oddała mu pocałunek.

Purcell podwinął do połowy obie shammy i wszedł w nią, nie czując oporu. Vivian uniosła nogi, skrzyżowała je na jego pośladkach i pociągnęła go w dół, by wszedł w nią głębiej.

Jej ciało zaczęło drżeć, potem zeszywniało i niespodziewanie się rozluźniło. Vivian wydała przeciągły jęk. Purcell doszedł, zostając w środku. Leżeli w milczeniu, oddychając ciężko w zimnym nocnym powietrzu.

– Mój Boże... – powiedziała w końcu Vivian.

Po jej policzkach popłynęły łzy.

Leżeli obok siebie na wznak, trzymając się za ręce i wpatrując w rozgwieżdżone niebo.

Milczeli. W tej sytuacji trudno było cokolwiek powiedzieć, lecz w końcu Purcell zaproponował:

– Spróbujmy się przespać.

– Muszę sprawdzić, co z Henrym i pułkownikiem Gannem – odparła Vivian.

Purcell usiadł.

– Sam to zrobię.

Vivian wstała, wzięła manierkę i powiedziała:

– Zaraz wracam.

Zeszła po schodach. Purcell wstał i patrzył, jak Vivian podchodzi najpierw do Ganna.

Księżyc znalazł się po zachodniej stronie nieba. Purcell zauważył, że Mercado obszedł swój pal i teraz stoi zwrócony twarzą do trybuny.

Vivian zajęła się Gannem, a potem ruszyła w kierunku Mercado; ten jednak nie patrzył na nią, tylko wbił wzrok w Purcella.

Henry zaczął się zastanawiać: czy Mercado zobaczył albo usłyszał jego i Vivian?

Vivian podeszła do Mercado, który w pierwszej chwili zdawał się jej nie zauważać.

Kiedy zbliżyła manierkę do jego ust i dotknęła jego twarzy, odezwał się zaskakująco silnym głosem:

– Odczep się ode mnie.

Vivian przemówiła do niego łagodnie, lecz Mercado pokręcił tylko głową, unikając manierki.

Vivian spróbowała ponownie, lecz i tym razem usłyszała:

– Odczep się.

Odwrociła się i ruszyła w kierunku trybuny. Purcell zauważył, że idzie powoli, ze spuszczoną głową.

Zerknął jeszcze raz na Mercado, który ponownie zaczął mu się przypatrywać. Spojrzeli sobie w oczy w jasnym świetle księżyca.

Purcell odwrócił się i patrzył na Vivian wchodzącą po schodach trybuny. Upuściła manierkę na ziemię, położyła się na wojskowej bluzie i zapatrzyła w niebo.

Purcell ukląkł metr od niej i powiedział:

– Przepraszam.

Vivian nie odpowiedziała.

Purcell oddalił się o kilka metrów i położył na wznak.

Usłyszał:

– To nie twoja wina.

Nie, pomyślał. Na pewno nie. I dodał:

– Prześpij się. Jutro czeka nas długi dzień.

– Jutro wszyscy będziemy martwi, więc to już nie ma znaczenia.

– Jutro będziemy w Addis Abebie.

– Nie sądzę. Zrobimy to jeszcze raz?

– Nie... Nie tu. W Addis Abebie.

– Jeśli się stąd wydostaniemy, nie zdarzy się to już nigdy więcej.

– Zostaniesz z Henrym?

– Może... Poradzi sobie z tym.

– To dobrze. Wszyscy sobie poradzimy.

– Na pewno. Dobrej nocy.

– Wzajemnie.

Purcell popatrzył w rozgwieżdzone afrykańskie niebo. Pięknie, pomyślał. Jak bardzo pięknie jest tam w górze.

Zamknął oczy. Odpluwając w sen, słyszał ciche łkanie Vivian. Chciał ją pocieszyć, lecz nie potrafił tego zrobić. Zasnął głęboko i śnił o nagiej Vivian w basenie i Mercado wykrzykującym jej imię.

ROZDZIAŁ 11

O brzasku Purcell dostrzegł oddział żołnierzy maszerujących w nisko ścielącej się mgle. Zmierzali w kierunku trzech mężczyzn przykutych łańcuchami do pali.

Pomyślał, że jest zbyt wcześnie na egzekucję, bo na plac apelowy nie przybyli jeszcze pozostali żołnierze, którzy mieli być jej świadkami.

Purcell zszedł z trybuny, nie budząc Vivian.

Dziesięciu żołnierzy zdawało się nie przejmować jego obecnością. Purcell nie został uwzględniony w rozkazach, które im wydano, a oni nie wiedzieli, kim jest – gościem generała czy jego następną ofiarą. Zignorowali go zatem.

Purcell zauważył, że Mercado jest już częściowo przebudzony i przygląda się nadchodzącym żołnierzom.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Mercado spojrzał na niego, lecz nie odpowiedział.

Purcell podał mu manierkę. Mercado pociągnął łyk, a potem plunął wodą prosto w twarz Purcella.

– Majaczyłeś dziś w nocy – powiedział Purcell.

– Zejdź mi z oczu.

Właściwie, pomyślał Purcell, Henry'ego dręczył powracający koszmar z Vivian w roli głównej i koszmar ten spełnił się tej nocy.

Żołnierze zabrali się do rozkuwania więźniów. Zaczęli od Ganna. Pozbawiony kajdan pułkownik zdołał się utrzymać na własnych nogach. Żołnierze rozkuli też Mercado, pozostawili za to przy palu martwego Etiopczyka, którego miały zobaczyć oddziały biorące udział w porannej musztrze.

Purcell podszedł do Ganna rozcierającego zsiniałe nadgarstki i wręczył mu manierkę. Gann wypił resztkę wody i zapytał:

– Co z Mercado?

– Chyba nie najgorzej.

– Ma za sobą kiepską noc.

– Nie musiałyby pan sterczeć przy tym palu, gdyby wtedy, na górze, Mercado nie przysnął.

– Proszę go nie winić. To ja miałem wtedy czuć.

Purcell nie odpowiedział.

– Mercado wzywał Boga przez całą noc – rzekł Gann.

Purcell ponownie się nie odezwał. Istotnie, słyszał w ciemnościach, że Mercado wzywa

Boga; słyszał też, że przeklina jego i Vivian. Gann też musiał to usłyszeć i prawdopodobnie domyślił się, dlaczego Henry tak się rozzłościł. Jednak teraz był to ich najmniejszy problem.

– Gdzie jest panna Smith? – zapytał Gann.

– Śpi – odpowiedział Purcell. – Co się dzieje?

– Nie wiem, ale to chyba coś bardzo dobrego albo coś bardzo złego.

– W takim razie zadowolę się wersją pośrednią.

– W tym miejscu raczej bym na to nie liczył. Dlaczego nie uciekł pan w nocy?

– Zasnąłem.

W świetle poranka Purcell zauważył, że pał, do którego przykuto Ganna, był postrzępiony i pełen otworów – były to bez wątpienia ślady po pociskach.

To samo zauważył Gann.

– Jest i dobra wiadomość – powiedział. – Tu się rozstrzeliwuje.

Wskazał ruchem głowy martwego Etiopczyka i dodał:

– Ten biedak akurat miał pecha.

Purcell nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę tego rodzaju i nawiązał do pytania Ganna.

– A gdybym chciał uciec, żeby was uratować, to co miałbym zrobić? – zapytał.

– Najpierw dobra rada – odpowiedział pułkownik. – Musiałby pan uciec sam. Nie potrzebuje pan nikogo do robienia zdjęć.

Purcell nie odpowiedział, ale nie chciał zostawić Vivian w obozie.

– Około dziesięciu kilometrów na południe, na wschód od włoskiego uzdrowiska leży wioska Felaszów – ciągnął Gann. – To etiopscy Żydzi. Przyjmą pana i będzie pan tam bezpieczny.

– Skąd ta pewność?

– Znam Etiopię, stary. Właśnie tam zamierzałem pójść. Są tam rojalisci.

Przypomniawszy sobie to, co powiedział Mercado, Purcell zauważył:

– Przecież trwa nagonka na rojalistów.

– Na tę chwilę Felaszowie są nietykalni.

– Dlaczego?

– To dość złożona sprawa. Felaszowie wywodzą swój rodowód z czasów Salomona i królowej Saby, przez co, podobnie jak cesarz, są przez niektórych szanowani jako ci, którzy mają związek z biblijną przeszłością.

– Wiemy, co się stało z cesarzem.

– Tak, ale Etiopczycy są bardzo przesądni. Wierzą, że krzywda wyrządzona Felaszowi wywołuje gniew Boga: wspólnego Boga chrześcijan, Żydów i muzułmanów.

– Z korzyścią dla Felaszów.

– Jak na razie. Ich wioska nazywa się Szooan. Jeśli dziś pana nie zastrzelą ani nie uwiążą na łańcuchu, powinien pan spróbować uciec w nocy.

– Miałem nadzieję, że dziś rano polecimy helikopterem do Addis Abeby.

– A ja mam nadzieję, że dziś wieczorem napije się pan tam za mnie whisky. Ale musi pan też mieć jakiś alternatywny plan.

– Racja.

– A jeśli, dziś w nocy lub kiedykolwiek, znajdzie się pan w Szooan, powiedzą tam panu kilka rzeczy o czarnym klasztorze – powiedział Gann i dodał – O ile wciąż to pana interesuje.

Purcell miał wrażenie, że wstępuje do tolkienowskiego Śródziemia. Tajemniczy umierający książdz, surrealistyczne rzymskie ruiny, ufortyfikowany Gondar, dobry książę Jozue, zły generał Getachu, sir Edmund Gann i czarny klasztor. Oraz, oczywiście, Święty Graal, a teraz jeszcze wioska Felaszów. Każda z tych rzeczy wydawała się nierealna – a jednak była prawdziwa. Z wyjątkiem Graala.

Purcell spojrzał na Ganna.

– Dzięki – powiedział.

Poczuł, że musi opowiedzieć pułkownikowi o losach jego byłego pracodawcy, księcia Jozuego. Uczynił to, nie pomijając żadnego szczegółu.

Gann słuchał w milczeniu, Purcell zaś zauważył, że złość pułkownika bierze górę nad jego obawą, że może go spotkać to samo.

Gdy Purcell skończył, Gann rzucił krótko:

– Cholerny sukinsyn.

– Jest niepoczytalny.

– Tak, ale jestem pewien, że będzie pan mógł go przekonać, że brytyjski żołnierz ceni pluton egzekucyjny albo przynajmniej szybką kulę w łeb.

– Spróbuję zdobyć się na więcej.

Purcell przypomniał sobie, a zarazem pułkownikowi:

– Nie jestem pewien, co Getachu dla nas zaplanował.

– Postępuje ostrożnie z panem i panną Smith, w przeciwnym razie wisielibyście już na palach.

– Słuszna uwaga.

– Getachu może być szaleńcem, ale nie jest na tyle nieostrożny, by ryzykować swoją pozycję w Dergu – wyjaśnił Gann. – Wojskowa rada tylko czeka na pretekst, by wezwać Getachu do Addis Abeby, a generał Andom byłby rad, mogąc aresztować i rozstrzelać swojego rywala.

– To dobrze.

– Albo go udusić.

– Jeszcze lepiej.

– Rewolucja pożera własne dzieci – stwierdził pułkownik Gann.

– Zawsze tak czyni.

– Przewiduję, że Getachu umieści pana i pannę Smith w helikopterze lecącym do Addis Abeby.

– A co z Mercado?

– Getachu odeśle go do stolicy, by tam zajęto się nim na wyższym szczeblu; Mercado prawdopodobnie zostanie wydalony z kraju. Nie rozstrzeliwuje się tu jeszcze zachodnich dziennikarzy.

– To dobrze. Widzę, że zna pan tutejsze zwyczaje. Getachu zrobił pewną aluzję: dał nam do zrozumienia, że mógłby pan zostać tu doradcą i szkolić jego ludzi.

– Nigdy w życiu.

– Proszę nie odrzucać tej oferty.

Gann milczał, Purcell zaś zauważył:

– Wojna prawie się skończyła, więc niewiele mu pan pomoże.

– Wcale mu nie pomogę.

– Niech pan nie będzie głupi.

– Poprosiłem pana o przysługę. Proszę mi ją wyświadczyć.

– Niech pan sam ją sobie wyświadczy – odparł Purcell i popatrzył Gannowi w oczy. – Proszę posłuchać, pułkowniku: próbuję uratować panu życie, a pan mi w tym nie pomaga. Proszę nie traktować etosu rycerskiego zbyt poważnie.

Gann nie odniósł się do tego, o czym wspomniał Purcell. Popatrzył tylko w bok i powiedział:

– Myślę, że na nas już czas.

Purcell odwrócił się i zobaczył, że Mercado nie skorzystał z pomocy żołnierzy i stoi o własnych siłach, a Vivian obudziła się i próbuje opiekować się swoim kochankiem. Lecz Mercado nie zwracał na nią uwagi, co zdezorientowało żołnierzy niezających prawdziwego powodu jego zachowania.

Purcell spojrzał na poranionego martwego Etiopczyka, który przypominał ukrzyżowanego Chrystusa. Przyszło mu do głowy, że nowa Etiopia niewiele różni się od tej starej.

Stanął twarzą do słońca, które weszło nad górami na wschodzie, a potem odwrócił się w stronę równiny spowitej porannymi mgłami. Stwarzając niebo i ziemię, Bóg spisał się na medal. Z ludźmi nie poszło mu już tak dobrze.

Dowódca oddziału wydał rozkaz uformowania szyku marszowego i warknął coś po amharsku, po czym krzyknął:

– *Avanti!*

Naprzód.

ROZDZIAŁ 12

Generał Getachu siedział za połowym biurkiem w namiocie sztabowym. Mówił coś po amharsku do swojego adiutanta, lekceważąc czwórkę gości, którzy zajęli miejsca naprzeciwko.

Mercado usiadł na pierwszym krześle z prawej. Vivian zajęła miejsce obok, lecz Henry ostentacyjnie ją ignorował. Kolejne miejsca zajęli Gann i Purcell. Za rzędem krzeseł stanął żołnierz uzbrojony w ak-47.

Purcell zdziwił się, że Getachu kazał przyprowadzić również Ganna, lecz zapewne miała to być zbiorowa rozprawa z generałem w roli sędziego i lawy przysięgłych, a żołnierz za ich plecami był gotów do natychmiastowego wykonania wyroku.

W namiocie nie było już tak ciemno jak nocą. Przez zabezpieczone siatkami okna do wnętrza wpadało poranne słońce ukazujące brudną podłogę usianą niedopałkami papierosów. Getachu podniósł słuchawkę telefonu polowego. Rozmawiając, podpisywał dokumenty podsuwane mu przez adiutanta. Zapracowany szef, który zawsze znajduje czas na zabawę i sport, pomyślał Purcell.

Zauważył, że w namiocie nie ma już księcia Jozuego i jego dwóch oficerów. Czyżby Getachu wysłał jego książęcą mość do namiotu z kobietami?

Gdy adiutant wyszedł, Getachu spojrzał na Ganna i zapytał:

– Czy pan wie, że jest tu książę?

Gann nie odpowiedział. Getachu wydawał się rozszłoszczony bezczelnością pułkownika.

– Poinformowałem go o tym – oświadczył Purcell.

– Nie odzywaj się niepytany – powiedział Getachu.

Spojrzał na Ganna po raz wtóry, uśmiechnął się i dodał:

– Nauczyłem się tej zasady w angielskiej szkole misyjnej. Książę zeznał, że dopuściliście się wspólnie zbrodni wojennych.

Gann ponownie się nie odezwał.

Getachu doszedł do wniosku, że wypytuje go na próżno, i skupił się na Purcellu.

– Kto udzielił wam zezwolenia na opuszczenie namiotu medycznego i swobodne poruszanie się po obozie? – zapytał.

– Nikt nam nie powiedział, że mamy tego nie robić – odpowiedział Purcell.

– To chroniony obszar wojskowy.

– Dobrze pan wie, że szukaliśmy naszych kolegów.

– Tak? Więc pułkownik Gann jest pańskim kolegą?

– Zgodnie z tym, co pan twierdzi, tak.

– A pańskim zdaniem?

Getachu siorbnął wody z zakrętki do manierki, a Purcell odparł:

– Musimy coś zjeść i się napić.

– Dlaczego miałbym marnować żywność i wodę na ludzi, którzy mają być rozstrzelani?

Ale obiecuję panu ostatniego papierosa.

Getachu uznał to za niezły dowcip i przetłumaczył swoje słowa żołnierzowi, który się roześmiał.

Generał puknął palcem w aparat fotograficzny Vivian, a potem wziął do ręki trzy notesy i powiedział:

– Jest tu dość dowodów, żeby skazać na karę śmierci przez rozstrzelanie pana, panie Purcell, panią, panno Smith, i pana, panie Mercado.

Purcell wiedział, że to nieprawda, ale wiedział też, że Getachu nie potrzebuje żadnych dowodów – potrzebowałyby ich najwyżej po to, by usprawiedliwić egzekucję przed swymi przełożonymi w Addis Abebie.

– Muszę pana poprosić, generale, o zwrot naszej własności, w tym legitymacji dziennikarskich i paszportów, a także o zapewnienie nam transportu do stolicy – rzekł Purcell.

I przypomniał Getachu:

– Przyjechaliśmy tu z nadzieją, że będziemy traktowani jak dziennikarze, a nie jak przestępcy.

– Myślę, że już o tym rozmawialiśmy – zauważył Getachu.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym jeszcze raz – odparł Purcell.

Getachu popatrzył na pułkownika Ganna, po czym zwrócił się do swoich pozostałych gości:

– Zanim omówimy wasz status, odpowiedzcie: czy uważacie, że ten człowiek zasłużył na to, co ma go spotkać?

– Uważamy, że nie – odpowiedział Purcell. – Pułkownik Gann został schwytyany w mundurze i zgodnie z Konwencją genewską, którą podpisała Etiopia, powinien być traktowany jako jeńiec wojenny.

– Podpisał ją poprzedni rząd – odparł Getachu.

– Niech pan się nie wysila, Purcell – odezwał się Gann.

– Doskonała rada – powiedział Getachu.

Mercado odchrząknął i rzekł:

– Generale, jeśli się pan zgodzi nas uwolnić, sporządzimy i podpiszemy oświadczenia

dotyczące wszystkich wykroczeń, których mogliśmy się dopuścić. Napiszemy też artykuł prasowy chwalaący pańskie zwycięstwo oraz pańskie cechy przywódcze. Zgodzimy się również, by nasze paszporty zostały zatrzymane przez wasze ministerstwo spraw zagranicznych, i zostaniemy w Addis Abebie do chwili zakończenia tej wojny.

Getachu spojrzął na Mercado i powiedział:

– Zatem proponuje pan mniej, niż zaproponowali już pan Purcell i panna Smith. Zaproponowali, że zostaną u mnie do końca wojny. Miałem nadzieję na ich towarzysztwo.

Vivian nabrała głęboko powietrza i oświadczyła:

– Generale, jeśli to miało być śledztwo albo proces, to w rzeczywistości jest to tylko farsa. Przetrzymuje nas pan tu bezprawnie i wbrew naszej woli, a nasi pracodawcy i nasze ambasady wiedzą, gdzie jesteśmy, i zaczną nas szukać, o ile już tego nie zrobili. Proszę nam zapewnić transport do stolicy i zwrócić naszą własność.

Generał przyglądał jej się przez długą chwilę i odparł:

– Przecież doskonale wygląda pani w shammie.

Vivian nie odpowiedziała, ale wytrzymała wzrok Getachu.

W końcu generał przemówił:

– Armia rewolucyjna weszła w posiadanie ciekawego sprzętu, który Amerykanie dostarczyli armii cesarskiej. Jedną z tych rzeczy jest urządzenie zwane noktowizorem. Słyszeliście o nim? To taka specjalna luneta, która umożliwia obserwację w ciemności. Moi wartownicy na wieży używają jej do wypatrywania wroga, w obozie i na zewnątrz.

Nikt się nie odezwał, więc Getachu dodał:

– Wiele wskazuje na to, przynajmniej zdaniem wartownika, że pani, panno Smith, oraz pan, panie Purcell, zachowali się w sposób, który nie spodobał się panu Mercado. A może to mój wartownik źle zrozumiał to, co zobaczył?

I tym razem wszyscy milczeli. A gdyby komukolwiek przyszło do głowy, że Getachu wspomniał o tym jedynie dla zabawy, to Purcell wiedział, że było inaczej.

Getachu zwrócił się do Mercado:

– Może więc zechce pan napisać w swoim zeznaniu, że pan Purcell i panna Smith szpiegowali dla rojalistów? Nie musi pan pisać tego o sobie, bo oznaczałoby to dla pana wyrok śmierci.

Purcell popatrzył na Mercado, spodziewając się, że ten bez wahania odpowie gromkim „pierdol się”, lecz Mercado milczał.

– Panie Mercado?

– Ja... nie wiem, o czym pan mówi, generale.

– Wie pan. I powinien pan rozważyć moją propozycję.

Mercado nie odpowiedział.

Getachu zerknął na zegarek, jakby rozmowa zajęła mu więcej czasu, niż zaplanował, i powiedział:

– Moim zdaniem wszyscy jesteście winni, ale jak już wczoraj powiedziałem panu Purcellowi i panie Smith, możliwe jest złagodzenie waszej kary.

Spojrzał na Ganna i dodał:

– Nawet pan, pułkowniku, może uniknąć śmierci.

– Oszczędzi mnie pan tak jak księcia Jozuego?

– Cieszę się, że pan Purcell wszystko panu powiedział, i cieszę się, że w końcu się pan odezwał.

– Niech cię piekło pochłonie.

– Nie ma żadnego piekła. Ani nieba. Jest tylko to, co tu widzicie.

Gann nie odpowiedział, a Getachu mówił dalej:

– W szkole misyjnej uczono mnie czegoś innego, ale nie uwierzyłem w to wtedy i nie wierzę dziś. Wierzę jednak, że zadawanie ziemskiego bólu jest sposobem na ukaranie złego zachowania lub zmuszenie kogoś do wyznania grzechów.

Generał wyjął z kieszeni palcat Ganna i dodał:

– Albo po prostu sprawia mi przyjemność.

Powiedziawszy to, Getachu zgął szpicrutę.

Gann spojrzał mu prosto w oczy, Getachu zaś wstał i zwrócił się do niego:

– Dobry dyrektor bił mnie w tamtej angielskiej szkole i czegoś mnie nauczył. Ale nie tego, czego chciał nauczyć. Nauczył mnie, że niektórych ludzi można złamać za pomocą bata, a innych nie. Nie złamał mojego ducha.

Zwichnął za to jego psychikę, pomyślał Purcell, a widząc, na co się zanosi, powiedział:

– Generale, nie chcemy tu siedzieć i być świadkami...

Getachu trzasnął palcatem w biurko.

– Zamknij się! – wrzasnął.

I zwrócił się do Ganna:

– Daruję panu życie, jeśli opuści pan spodnie, co musiałem robić kiedyś wiele razy, a ja wymierzę panu trzydzieści batów na goły zadek. Tu i teraz, przy biurku, przed pańskimi przyjaciółmi.

– Myślę, Mikaelu, że to pan potrzebuje jeszcze jednego solidnego lania.

Getachu dosłownie zatrząsł się ze złości, a potem wyjął pistolet, wycelował w Ganna i wrzasnął:

– Daję ci pięć sekund! Rób, co każę!

– Możesz mi pan dać nawet pięć lat, a i tak powiem: idź do diabła.

– Raz...

Purcell wstał.

– Proszę przestać – powiedział.

Stojący za nim żołnierz siłą posadził go na krześle.

– Dwa.

– Pułkowniku, proszę... Proszę zrobić, co mówi... Proszę... – odezwała się Vivian.

– Trzy.

Mercado zamknął oczy i spuścił głowę.

– Cztery.

Gann wstał i Getachu się uśmiechnął. Gann odwrócił się, opuścił spodnie i powiedział:

– Pocałuj mnie w dupę.

Purcell pomyślał, że usłyszy głośny wystrzał z pistoletu, ale zapadła tylko zupełna cisza.

W końcu Getachu wybuchł wymuszonym śmiechem i rzekł:

– Bardzo dobrze, pułkowniku. Może pan usiąść.

Gann podciągnął spodnie, lecz nie usiadł. Stał odwrócony plecami do Getachu.

Widząc, że Gann nie zamierza się odwrócić, Getachu powiedział:

– Nie sprowokuj mnie pan do zadania panu szybkiej śmierci.

Gann nie zmienił pozycji. Getachu powiedział coś żołnierzowi, który podszedł do Ganna i uderzył go w kroczę kolbą karabinu. Gann zgiął się wpół, a żołnierz popchnął go na krzesło.

Getachu włożył pistolet do kabury i odłożył palcat, lecz nie usiadł.

– Mam nadzieję, że rozumiecie, że każde z was może zostać rozstrzelane jako szpieg – powiedział.

– Gdyby to była prawda, już by pan to zrobił – odezwała się Vivian, zaskakując siebie i pozostałych.

Getachu spojrział na nią i powiedział:

– To jest prawda, panno Smith, ale, o czym już rozmawialiśmy, są mężczyźni, ale i kobiety, których wolę złamać, niż zabić. Ocaleć mogą też ci, którzy zgodzą się służyć ludowej rewolucji.

– Służyłem rewolucji wiele lat i znów chcę jej służyć za pomocą pisanego słowa... – przemówił Mercado.

– Pańska pisanina jest jak dodawanie gówna do ognia.

Mercado skurczył się na krześle.

Getachu popatrzył na Ganna zmagającego się z nieznośnym bólem i powiedział:

– Pułkowniku, jeśli zgodzi się pan zostać doradcą mojej armii i pracować dla mnie tak, jak

pracował pan dla księcia, oszczędzę pana.

Gann pokręcił tylko głową.

Getachu sprawiał wrażenie sfrustrowanego uporem oficera.

– Zaprowadzę pana do pańskiego byłego pracodawcy i jego adiutantów – powiedział. – Wtedy zdecyduje pan, czy będzie chciał pomóc rewolucji, czy towarzyszyć księciu, który pełni nowe obowiązki.

Gann się nie odezwał, więc Getachu rzekł:

– Albo przekażę pana Oromom i umyję od wszystkiego ręce.

Purcell nachylił się do Ganna i szepnął:

– Proszę tylko powiedzieć, że pan to robi.

Gann znowu pokręcił głową, a Purcell zaczął się zastanawiać, czy Getachu naprawdę chce lub musi wykorzystać wojskowe doświadczenie pułkownika, czy też zależy mu jedynie na satysfakcji, jaką dałby mu widok Anglika – rycerza – pełzającego przed śmiercią u jego stóp. Getachu wypróbował kij i marchewkę, lecz żadna z tych rzeczy nie działała na Ganna, który – jak podejrzewał Purcell – lepiej niż ktokolwiek znał gierki generała.

Nagle zadzwonił połowy telefon. Getachu odebrał i odłożył słuchawkę po krótkiej rozmowie.

– Mój helikopter przyleciał właśnie z Gondaru – oświadczył. – Co powiecie na podróż do stolicy?

Purcell domyślał się, że jest w tym jakiś haczyk, ale marchewka wyglądała obiecująco.

– Jesteśmy gotowi – odpowiedział.

– Tak pan twierdzi – odparł Getachu. – Ale najpierw musicie wszyscy udzielić mi pewnych informacji. Jeśli je uzyskam, wsiądziecie do helikoptera i polecicie do stolicy. A jeśli nie, to spotka was tu los gorszy od śmierci.

Getachu spojrzał na Vivian i dodał:

– Chyba że spodobają się pani odwiedziny trzydziestu albo czterdziestu mężczyzn dziennie.

Purcell wiedział, że nie są to czcze pogroźki. Wszyscy wydawali się sparaliżowani słowami Getachu, który to wyczuł. Usiadł, zapalił papierosa, a potem przypomniał sobie o Purcellu i podsunął mu paczkę. Purcell odmówił.

Getachu sprawiał wrażenie głęboko zamyślnego i po chwili przemówił:

– Kompania moich żołnierzy zajęła włoskie uzdrowisko. Znaleźli tam puste puszki po jedzeniu i ślady opon. Byliście tam? – zapytał i spojrzał na Purcella.

– Powiedzieliśmy już, że tak – odrzekł Purcell.

– Słusznie. Moi ludzie znaleźli też świeżo naruszoną ziemię, którą uznali za grób, więc

rozkopali to miejsce. Czy to wy wykopaliście ten grób? – zapytał gości Getachu.

Purcell pomyślał, że najprostszą odpowiedzią byłoby: tak, i co z tego? Getachu nie pytał jednak z czystej ciekawości i lepszą odpowiedzią mogłoby być: nie. Lecz Vivian sfotografowała grób, a jej aparat fotograficzny leżał na biurku Getachu. Gdyby psychopata przesłuchiwał tylko Purcella i Vivian, mogliby zaprzeczyć. Purcell uświadomił sobie jednak, że Henry był gotów powiedzieć lub zrobić coś, co uchroniłoby go przed śmiercią albo torturami. Niektórzy mężczyźni, tacy jak Gann, mogliby wisieć całą noc na palu i powtarzać „pocałuj mnie w dupę”. Inni, tacy jak Henry, dawali się łatwo i szybko złamać. Lecz Purcell nie powinien osądzać Mercado, zanim sam nie zostanie przykuty do pala.

– Wykopalście tamten grób?

– Tak – odpowiedział Purcell.

– Kogo w nim pochowaliście?

– Tego, którego wy wykopaliście.

– Moi ludzie wykopali ciało starego człowieka, panie Purcell. Pytam, kim był.

– Mężczyzną umierającym w uzdrowisku.

– Dlaczego umierał?

– Był ranny w brzuch.

– W jaki sposób został ranny?

– Nie mam pojęcia.

– Nie rozmawialiście z nim?

Purcell pomyślał, że pora przekazać inicjatywę Mercado, by się przekonać, co – o ile w ogóle się odezwie – powie. Dlatego odpowiedział:

– Staruszek mówił po włosku, a ja nie znam tego języka.

Getachu spojrzał na Mercado.

– Doktor Mato twierdzi, że zna pan włoski – powiedział.

Mercado skinął głową.

– Czy rozmawiał pan z umierającym mężczyzną?

– Ja... Tak, rozmawiałem, ale... On umarł, zanim... Zanim dowiedziałem się o nim czegoś więcej.

Nie zaskoczyło to Purcella: Mercado chciał uchronić tajemnicę przed Getachu, ponieważ uznał, że jest tego warta.

Getachu długo mu się przyglądał.

– Jeśli pan kłamie, dowiem się o tym, a wtedy nici z naszej umowy, panie Mercado – powiedział. – I wtedy... Cóż, przypieczętował pan swój los.

Mercado spojrzał Getachu w oczy.

– Tamten człowiek umarł, zanim zdążył nam powiedzieć, kim był – oświadczył.

Getachu wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, a potem zajął się Vivian.

– Doktor Mato powiedział mi też, że i pani zna włoski – rzekł.

– Tak, znam.

– A co tamten umierający mężczyzna powiedział pani?

Purcell był ciekaw, czy Vivian wykorzysta tę okazję, by odplacić Mercado za to, że słabo bronił ją przed Getachu zarzucającym jej szpiegostwo. Lecz, jak wiedział, kobiety bywają lojalne wobec mężczyzn, którzy nie zasługują na lojalność. Z drugiej strony – to właśnie Vivian okazała się nielojalna jako pierwsza, a jej poczucie winy było równie silne, co gniew Henry’ego. Nastęstwa seksu ciągną się jeszcze długo po zakończeniu miłosnego aktu.

– Panno Smith?

– Nie usłyszałam więcej niż pan Mercado – odpowiedziała Vivian.

– Jak wygodnie. Pozwólcie zatem, że podzielę się z wami moją opinią na temat tego, kim był tamten człowiek. Mógł to być tylko ojciec Armano.

Getachu spojrzął na swoich gości i dodał:

– Co wam na pewno powiedział.

Nikt się nie odezwał. Getachu rzekł zatem:

– Przedwczoraj w nocy jedna z moich baterii artyleryjskich ostrzelała pobliską twierdzę rasa Teodora, krewnego mojego obecnego gościa, księcia Jozuego. W twierdzy tej przebywał ojciec Armano uwięziony jeszcze podczas wojny włoskiej. Znać tę historię?

Vivian i Mercado pokręcili głowami.

Getachu mówił dalej:

– Ostrzał, jak zwykle, zwrócił uwagę Oromów, którzy opanowali twierdzę i zmasakrowali ocalałych rojalistów, choć niektórym udało się uciec do dżungli. Lecz piechurzy z mojej kompanii pojмали część uciekinierów i przyprowadzili ich tu. Możecie ich sobie obejrzeć: wiszą przy namiocie, obok żołnierzy rasa Jozuego.

Getachu zapalił następnego papierosa, wypił odrobinę wody i powiedział:

– Ale zanim tu przybyli, zaprowadzono ich do twierdzy rasa Teodora. Po co? By pomogli moim ludziom w ustaleniu losów ojca Armano. Moi ludzie stwierdzili, że cela księdza jest pusta, a schwytani żołnierze nie rozpoznali księdza w żadnym z nieboszczyków. Na podłodze w celi leżała jednak wydrukowana po włosku przedziurawiona Biblia; została zapewne przestrzelona. Stąd moje przypuszczenie, że człowiekiem, którego znaleźliście, był właśnie ojciec Armano.

Getachu przyjrzał się uważnie swoim gościom i zapytał Mercado:

– Jak pan sądzi: dlaczego ksiądz, na którego się natknęliście, był tak ważny?

– Nie wiem – odpowiedział Henry.

– Zatem wam powiem. A może nie. Wygląda na to, że nie dysponujecie żadnymi informacjami o tym człowieku ani o jego poczynaniach, więc nie mamy o czym dyskutować, a wy nie macie niczego, za co moglibyście kupić swoją wolność lub życie.

– Czy mieliście chociaż tyle przyzwoitości, by go ponownie pochować? – spytał Purcell.

– Nie wiem, czy został pochowany, i nie obchodzi mnie, czy jego ciałem nie zajęły się szakale. Ale to interesujące, że poświęciliście tyle czasu i sił, żeby pochować nieznanego człowieka.

– Interesujące dla pana. Dla nas to zwykła przyzwoitość.

– Nie podoba mi się pańska postawa moralnej wyższości, panie Purcell. Dość nasłuchiwałem się o moralności w szkole.

– Najwyraźniej nie dość.

– Proszę mnie nie prowokować.

– Nie mamy dla pana żadnych informacji, generale. Czy możemy już opuścić to miejsce? Getachu zdawał się nie słuchać Purcella. Odchylił się do tyłu, oświadczył:

– Będę rozmawiał z wami otwarcie i liczę na to, że wy ze mną również.

Przyjrzał się każdemu z osobna, a potem powiedział:

– Czarny klasztor. Słyszeliście o nim. Co takiego, o czym nie wiem, jest w tym klasztorze i gdzie on się znajduje? Ojciec Armano znał jego położenie i mógł wam coś o tym powiedzieć.

Getachu spojrział na Purcella, a potem na Vivian i Mercado i rzekł:

– Byłoby dla was lepiej, gdyby powiedział.

– Nie powiedział – odparł Mercado.

– Później zapytam was jeszcze raz. Teraz zaś wyjaśnię wam, dlaczego interesuję się czarnym klasztorem.

Getachu pochylił się do przodu i zaczął mówić:

– Rząd tymczasowy jest zainteresowany sprzedażą cennych przedmiotów zagranicznym muzeom i kościołom. Obecnie nasz rząd sprzedaje głównie błyskotki cesarza. Potrzebujemy pieniędzy na żywność i leki dla ludzi. Ale kiedy stary reżim upada, niektórzy się niepokoją i zaczynają odczuwać nostalgię. Niekiedy lubią królów, cesarzy i arystokratów na koniach, dopóki nie mają ich we własnym kraju. Rozumiecie? Koniec imperium to historyczna konieczność, a w nowoczesnym państwie złoto i klejnoty są bezwartościowe. Potrzebujemy kapitału i zdobywamy go w jedynej dostępny nam sposób: w tradycyjny sposób wykorzystywany przez rządy rewolucyjne. Ograbiamy bogatych z ich świecidełek. Niewielu przez to cierpi, za to wielu zyskuje. Brak złota sprzyja zwłaszcza kościołom, ponieważ

pozwała im skupić się na Bogu i odkupieniu grzechów bez zamartwiania się o zachowanie mienia. Każdy na tym korzysta. Dlatego w zamian za informacje o położeniu klasztoru i o tym, co się w nim znajduje, pozwolę wam wrócić do stolicy. Pułkownikowi Gannowi również; tam zajmą się nim ważni ludzie, którzy nie będą tak surowi jak ja, frontowiec. Macie moje słowo.

Purcell był ciekaw, czy Getachu wiedział coś o tak zwanym Świętym Graalu, czy tylko interesuje go splądrowanie kolejnego koptyjskiego klasztoru. Purcellowi nie sprawiało to różnicy, lecz Mercado – na pewno. Henry chciał się stąd wyrwać, a potem poszukać klasztoru i Graala; chciał zjeść i mieć ciastko jednocześnie. Lecz nie mógł.

– Może potrzebujecie chwili prywatności, by to omówić? – zapytał Getachu.

Purcell wiedział – i miał nadzieję, że wiedzą o tym również Henry i Vivian – że gdyby nawet trzymali Getachu za słowo, to ich skąpe informacje nie wystarczyłyby, żeby mogli wydostać się z obozu. Wystarczyłyby jednak, żeby na długo zostali gośćmi generała, podobnie jak ojciec Armano, który gościł u Etiopczyków prawie czterdzieści lat. Jeśli jednak Henry postanowiłby sprostować swoje kłamstwo, Getachu mógłby się ich pozbyć.

– Panie Mercado?

– Powiedzieliśmy panu wszystko, co wiemy o tamtym człowieku – rzekł Henry. – Cierpiał i umierał, prosząc tylko o wodę.

– Wiem, że pan kłamie.

Purcell pomyślał, że Mercado niepotrzebnie stara się jak najszybciej uciąć rozmowę o ojcu Armano; zapytał więc:

– Dlaczego mielibyśmy kłamać z powodu czegoś, co nie ma dla nas żadnego znaczenia?

– Już wam powiedziałem. Niektórzy ludzie czują sentyment do starego reżimu i starego Kościoła, które stanowią tu jedność.

– To także mnie nie obchodzi – odparł Purcell. – Gdyby tamten staruszek chciał z nami rozmawiać i gdyby był to ojciec Armano, to jak pan myśli: co by nam powiedział? Gdzie szukać klasztoru? Skąd miałby to wiedzieć? Sam pan powiedział, że przesiedział w fortecy prawie czterdzieści lat. Nie rozumiem, co pańskim zdaniem mielibyśmy wiedzieć.

Getachu popatrzył na Purcella zaskakująco przytomnym wzrokiem, skinął głową i odparł:

– Dobrze pan to ujął. Właściwie nie macie mi nic do zaferowania. Ja też nie mogę wam niczego zaferować.

– Z wyjątkiem naszych rzeczy i przetransportowania nas do Addis Abeby – powiedział Purcell. – Nasze ambasady i nasi pracodawcy czekają na wiadomości od nas.

– Zatem jeszcze długo poczekają – oświadczył Getachu. – Uważam to postępowanie za zakończone. Zastanowię się nad wyrokiem. Zostajecie w areszcie.

Getachu powiedział coś żołnierzowi; ten wyprowadził gości generała z namiotu. Na zewnątrz, w jasnym świetle dnia, ujrzeli oddział żołnierzy, którzy czekali na nich z kajdanami na nogi.

ROZDZIAŁ 13

Pomaszerowali w stronę głębokiego wąwozu, w którym Purcell dostrzegł świeżo ubitą ziemię i łopaty; było oczywiste, że mają przed sobą masowy grób, a być może i miejsce straceń. Kazano im wejść do wąwozu. Purcell pomyślał, że wyrok wydany przez Getachu dotarł tu szybciej niż oni. Ale – siląc się na optymizm – przyszło mu też do głowy, że Getachu jeszcze z nimi nie skończył.

Poczuli swąd palonych ciał. Purcell i Gann spojrzeli na żołnierzy, by sprawdzić, czy to oni mają być ich oprawcami, lecz umundurowani mężczyźni ledwie zwrócili na nich uwagę. Siedzieli i palili papierosy.

- Fatalna dyscyplina – powiedział Gann.
- Powinien pan być przyjąć posadę.
- Dla tej zgrai nie ma nadziei.
- Racja.

Lecz przecież ta zgraja zwyciężyła. Nikt nie miał nic więcej do powiedzenia. Purcell był pewien, że każde z nich myśli o tym, co przeżyli w sztabie Getachu. Pomyślał, że było to bardzo niemiłe doświadczenie i że wszystko mogło skończyć się gorzej. Na razie jednak każdy zdawał się odczuwać ulgę, że jest już po wszystkim – nawet jeśli miałyby się okazać, że to nieprawda.

- Ten facet to jakiś kurewski lunatyk – odezwał się w końcu Gann.

Nikt mu nie przytaknął, pułkownik zaś dodał:

– Co za niewdzięczny sukinsyn. Dobrzy misjonarze z Kościoła anglikańskiego zapewнили mu przyzwoite wykształcenie, a on narzeka, że dostał kilka razy w dupę. Jestem pewien, że bardziej mu to pomogło, niż zaszkodziło.

Purcell uśmiechnął się, chociaż wiedział, że mały Mikael wyrósł na popierdoleńca i szukał okazji do zemsty. I że nie musiał szukać zbyt daleko.

- Jestem przerażona – powiedziała Vivian.

Purcell chciał jej powiedzieć, że dobrze jej idzie, ale to zadanie należało do Mercado, choć ten w ogóle nie odzywał się do Vivian. Zerkał tylko nerwowo na żołnierzy uzbrojonych w karabiny automatyczne.

Gann zauważył przerażenie Henry’ego i zapewnił go:

- Tak łatwo nas się nie pozbędą, panie Mercado.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Vivian spojrzała na Purcella i rzekła:

– Dodałeś mi odwagi, Frank.

On też nie odpowiedział.

Vivian zwróciła się zatem do Ganna:

– Jest pan bardzo dzielny, pułkowniku.

– Dziękuję, ale była to bardziej złość niż odwaga. Ludzie pokroju Getachu przejmują świat...

Niewykluczone, pomyślał Purcell. Widział już takich Getachów w południowo-wschodniej Azji. Wyrastali wszędzie jak grzyby po deszczu. A może zawsze tam byli? Opisywał ich i ideologie, które głosili, nie komentując ani nie osądzając ich. Po prostu pisał. Pomyślał, że gdyby udało mu się stąd wydostać, musiałby zacząć uwzględniać własne zdanie. Tyle tylko że wtedy zaczęłby przypominać Henry'ego Mercado.

Purcell spojrzał na Mercado siedzącego na kocyku świeżo rozkopanej ziemi, zapatrzonego w przestrzeń i nieświadomego, że być może ma pod swoim dupskiem czyjeś zwłoki. Nikt nie powiedział Henry'emu, jak bardzo był dzielny. Może dlatego, że nie był. Ale odważnie i lekkomyślnie skłamał przed Getachu, który wypytywał go o ojca Armano. Vivian zaś lojalnie poparła Mercado. Było to dobre i usprawiedliwione kłamstwo, choć Purcell wiedział, że Mercado dopuścił się go z niewłaściwego powodu. Frank uznał, że właśnie nadeszła chwila prywatności, o której wcześniej wspomniał Getachu, i zwrócił się do Mercado:

– Wpakowałeś nas w niezłe kłopoty, Henry, kiedy nie powiedziałeś prawdy o księdzu.

Henry Mercado najwyraźniej nie miał mu nic do powiedzenia, lecz mimo to odezwał się dla dobra ogółu:

– Getachu nie ma sposobu na dojście do prawdy.

– Ale go znajdzie, jeśli powiesi nas na palach na kilka dni.

– Chyba przyszło ci do głowy, że nawet gdybym mu powiedział, co wiemy, to i tak by nas nie wypuścił – odparł zniecierpliwiony Mercado.

– Słusznie. I tak zostalibyśmy tu na zawsze. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Henry. Dlaczego zaryzykowałeś i skłamałeś? Dlaczego nie powiedziałeś Getachu o ojcu Armano i czarnym klasztorze?

– Wiesz, do cholery, dlaczego – odburknął Mercado.

– Wiem, ale jeśli się stąd wydostaniemy, to żadne z nas nie powinno tu wrócić, żeby szukać czarnego klasztoru.

Mercado zerknął na Ganna i odezwał się do Purcella:

– Nie wiem, czy kiedykolwiek się stąd wydostaniemy albo czy kiedykolwiek tu wrócę, ale nie chcę, żeby to oni znaleźli ten klasztor.

Purcellowi przyszło do głowy, że Henry Mercado pociesza się myślą, iż chroni Świętego Graala przed Antychrystem albo kimś w tym rodzaju. Być może chętnie zostanie męczennikiem, wiedząc, że gdy spotka się z Jezusem, będzie mógł mu powiedzieć: „Ocaliłem Twój kielich”.

Pułkownik Gann wyczuwał napięcie między Purcellem a Mercado i znał jego przyczynę. Historia stara jak świat: jeden facet sprawił, że drugi został rogowcem. Co gorsza, kobieta, o którą poszło, nie opowiedziała się po stronie żadnego z nich. Paskudna sprawa, pomyślał. I choć był pewien, że ma o wiele poważniejsze zmartwienia, czuł się zakłopotany.

By wyjaśnić sytuację przynajmniej w jednej kwestii, powiedział:

– Przyznałem się panu Purcellowi, że wiem o czarnym klasztorze. Lecz mimo że jest dobrze ukryty w dżungli, Getachu w końcu go znajdzie. Możecie być tego pewni.

Nikt nie odpowiedział, zatem Gann mówił dalej:

– Jak już zapewne słyszeliście, być może od ojca Armano, legenda głosi, że w klasztorze ukryto Świętego Graala.

I tym razem nikt nie odpowiedział, zatem Gann dodał:

– Nie powiem, że w to wszystko wierzę, ale mogę was zapewnić, że ilekroć te rewolucyjne sukinsyny pojawiają się w kościele lub klasztorze, księża albo zakonnicy znikają ze swoimi doczesnymi skarbami.

Purcell doszedł do takiego samego wniosku. Kościoły były dobre w dwóch rzeczach: w zdobywaniu złota i w jego przechowywaniu. Połowa drogocennych obiektów religijnych na świecie co jakiś czas zmieniała miejsce pobytu za sprawą uciekających duchownych i nie było powodu, by przypuszczać, że stanie się inaczej, gdy etiopscy rewolucjonści zbliżą się do klasztoru. To samo się wydarzy, gdy dotrze do niego Henry Mercado lub Vivian. Bach! I Święty Graal znowu zniknie.

Purcell zwrócił się do Mercado:

– Wydostaniemy się stąd i zapewniam cię, że nigdy tu nie wrócę. Radzę tobie i Vivian zapomnieć, że kiedykolwiek spotkaliście ojca Armano albo słyszeliście o czarnym klasztorze. To jest niebezpieczna wiedza.

Mercado się nie odezwał.

– Bóg nie każe ci szukać Świętego Graala, Henry – dodał Purcell. – Bóg każe ci wracać do domu.

– A ja każę ci pilnować własnego nosa.

Purcell postanowił zmienić temat na bardziej neutralny i zapytał Ganna:

– Czy sądzi pan, że Getachu w ogóle przejmuje się przekroczeniem swoich kompetencji?
– Ciekawe, prawda? Otóż myślę, że nie może nadużyć swojej władzy tutaj, która, jak sam

pan widzi, jest absolutna. Może natomiast wejść w kompetencje swoich zwierzchników i znaleźć się po niewłaściwej stronie wobec Dergu i swojego rywala, generała Andoma. Nie chodzi o to, czy obaj przejmują się nami albo prawem międzynarodowym, lecz to Andom musi zdecydować, czy opłaci mu się nasza śmierć z rąk Getachu.

– Czy ktoś poza rządem rewolucyjnym wie, że tu jesteśmy? – zapytała Vivian.

Mercado przypomniał wszystkim:

– Nasze biura prasowe wiedzą, że pojechaliliśmy w tę stronę. Powiedzieliśmy też kilku kolegom, że mamy list żelazny, który ma nam pomóc w skontaktowaniu się z generałem Getachu.

Bardzo niewiele znaczący list, pomyślał Purcell. W zasadzie wszyscy byli wolnymi strzelcami, co dobrze sprawdzało się do chwili, gdy wpadali w kłopoty lub znikali. Niewykluczone, że po tygodniu ich nieobecności w barze Hiltona ktoś pomyślałby o skontaktowaniu się z ich ambasadami – o ile tylko byłby w stanie przypomnieć sobie narodowość swych kompanów od kielicha.

Myśląc o sobie, Purcell miał świadomość, że amerykańska ambasada w Addis Abebie rzadko bywa otwarta i nie utrzymuje dobrych stosunków z nowym rządem. Gdyby nie kajdany na nogach, Purcell kopnąłby się w dupę z powodu swego udziału w tej wyprawie.

Prośby o informacje złożone przez ambasady Mercado i Vivian spotkałyby się w najlepszym razie z obojętnością etiopskiego rządu, chociaż najbardziej prawdopodobną odpowiedzią z jego strony byłyby wrogość i kłamstwa.

W sumie nikt nie spieszy nam na pomoc, pomyślał Purcell. Mercado powinien był o tym wiedzieć, lecz Vivian – niekoniecznie.

Słońce paliło coraz mocniej, a temperatura na dnie wąwozu musiała już przekroczyć czterdzieści stopni. Purcell zauważył, że większość białej maści na skórze Vivian znikła, natomiast jej twarz i ramiona poczerwieniały. Popatrzył na żołnierzy idących w górę wąwozu i zawołał:

– *Weha!*

Spojrzeli na niego, a potem jeden z nich odpiął od pasa manierkę i rzucił ją w dół.

Purcell podał manierkę Vivian. Napiła się i zawahała, nie wiedząc komu przekazać naczynie. Staremu kochankowi czy nowemu? Ostatecznie wręczyła je Gannowi. Pułkownik napił się i podał wodę Mercado, który zaspokoił pragnienie i przekazał manierkę Purcellowi.

Frank wypił kilka ostatnich łyków.

– Henry, daj Vivian swoją bluzę. Niech sobie osłoni głowę – powiedział.

Wydawało się, że prośba Purcella o dżentelmeńskie zachowanie rozżłościła Mercado, który się odgryzł:

– Daj jej swoją.

Purcell uczyniłby to, gdyby mógł, ale miał tylko shamę na gołym ciele i nie zamierzał się obnażać. Spojrzał na Mercado, który zaczął odpinać guziki swej koszuli khaki.

Gann zdążył już zdjąć swoją wojskową koszulę i podał ją Vivian.

– Dziękuję – powiedziała i owinęła sobie głowę.

Purcell rozumiał gniew Mercado, lecz zdumiewało go, że jego towarzysz tak się w nim zapamiętał, podczas gdy on myślał o czekającym ich plutonie egzekucyjnym lub czymś jeszcze gorszym. Jednak pomyślał też, że mężczyźni to mężczyźni i gdyby mógł cofnąć czas do minionej nocy, zrobiłby to samo nie raz, ale dwa razy. I nie żałowałby. Był tylko ciekaw, czy udałoby mu się przekonać Mercado, że wydarzyło się to z woli Boga.

Spojrzał na Vivian siedzącą na skraju wąwozu, bliżej Mercado niż niego. Popatrzył jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie, lecz po chwili odwróciła wzrok.

O czym myślała i co czuła? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie. I bardzo dobrze.

W górze wąwozu pojawiła się następna grupa żołnierzy. Było oczywiste, że coś się wydarzy – prawdopodobnie nic dobrego.

Vivian przysunęła się nagle do Mercado i ujęła go pod ramię.

– Henry... – odezwała się.

Purcell miał wrażenie, że Mercado jest bardziej świadomy obecności żołnierzy niż tego, co właśnie zrobiła Vivian. Usłyszał jej szept:

– Kocham cię... Proszę, wybac mi...

Wydawało się, że Mercado zauważył ją dopiero teraz. Zawahał się i zapytał:

– Jest ci naprawdę przykro?

– Tak.

– Więc ci wybaczam.

Vivian objęła Mercado i wtuliła twarz w jego pierś.

Purcell uznał, że nie powinien liczyć na rozgrzeszenie Mercado, nawet gdyby o nie poprosił. Stwierdził jednak, że i tak nie jest mu ono potrzebne, zatem się nie odezwał. Lecz chciał powiedzieć coś Vivian na wypadek, gdyby widzieli się ostatni raz. Nie mógł jednak powiedzieć tego, co chciał. Odwrócił się więc i spojrzał na żołnierzy, którzy zawzięcie o czymś dyskutowali, zerkając co chwile na siedzących niżej więźniów.

Mercado liźnął nieco amharskiego, lecz był zajęty Vivian. Purcell zapytał zatem Ganna:

– Czy rozumie pan, o czym mówią?

– Trochę... Sądzę, że mają was gdzieś zabrać.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Kajdany na nogi zakłada się przed podróżą, stary. Co innego, kiedy ktoś ma ręce

związane z tyłu; wtedy wiadomo, że droga będzie bardzo krótka.

To ma sens, pomyślał Purcell, lecz zauważył:

– Pułkownik, pan również ma skute nogi.

– Tak, ale nie wiem dlaczego.

Henry i Vivian wydawali się nieświadomi tego, co się dzieje, lecz po chwili jeden z żołnierzy krzyknął:

– Chodźcie! Chodźcie!

I gestem kazał wszystkim ruszyć w górę wąwozu.

Spojrzeni na siebie, wstali i zaczęli się wspinać, ciągnąc za sobą łańcuchy.

– Chodźcie! Chodźcie! – Żołnierz nie przestawał krzyżeć.

Weszli w końcu na górę i stanęli wśród żołnierzy, którzy zdawali się nie zwracać na nich uwagi. Purcell popatrzył w dal i zobaczył helikopter: amerykańskiego hueya z kręcącym się wirnikiem.

Dowódca oddziału wskazał ręką maszynę i krzyknął:

– Idźcie! Idźcie!

Purcell spojrział na Ganna, sądząc, że żołnierze odsuną go na bok, lecz jeden z mundurowych popchnął pułkownika.

– Idź! – wrzasnął.

Vivian i Mercado chwycili się za ręce i ruszyli biegiem z prędkością, na jaką pozwalały im łańcuchy. Purcell i Gann ruszyli ich śladem. Towarzyszyło im czterech ponagających ich żołnierzy. Vivian potknęła się, lecz Mercado pomógł jej się podnieść. Pobiegli w stronę helikoptera.

Vivian i Mercado stanęli przy otwartych drzwiach maszyny i zostali wciągnięci do środka. Podbiegłszy bliżej, Purcell dostrzegł wielką czerwoną gwiazdę wymalowaną na kadłubie helikoptera w miejscu, gdzie wcześniej musiało widnieć godło Lwa Judy.

Gann wgramolił się na pokład o własnych siłach, po nim do kabiny wszedł Purcell.

– Pilot mówi, że lecimy do Addis Abeby! – poinformowała Vivian, przekrzykując hałas silnika i wirników.

Uśmiechnęła się szeroko i zawołała:

– *Avanti!*

Helikopter uniósł się, obrócił w miejscu i ruszył w kierunku stolicy.

CZĘŚĆ II

RZYM, GRUDZIEŃ 1974

Tutte le strade conducono a Roma.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

ROZDZIAŁ 14

Cześć, Henry.

Henry Mercado nie odwrócił się na dźwięk głosu za plecami, lecz spojrzął w lustro.

Frank Purcell usiadł na stołku obok i zamówił jacka danielsa z lodem.

– Dobrze wyglądasz – powiedział.

– Czy to przypadkowe spotkanie?

– Dowiedziałem się, że jesteś w Rzymie.

Mercado nie odpowiedział.

– Mogę ci postawić drinka?

– Właśnie wychodziłem.

Barman napełnił szklaneczkę. Purcell uniósł ją i powiedział:

– *Cent'anni*.

Mercado poprosił o rachunek.

Purcell zamieszał swojego drinka i powiedział:

– Zostawiłem ci wiadomość w etiopskim Hiltonie.

– Z więzienia trafiłem prosto na lotnisko.

– Vivian również zostawiła ci wiadomość.

Mercado się nie odezwał.

Barman przyniósł rachunek. Henry położył na blacie dwadzieścia tysięcy lirów, co przy cenach obowiązujących w barze Harry's oznaczało, że wypił trzy drinki.

Była czwarta po południu i spokojny elegancki lokal był jeszcze pustawy. Jego wnętrze zdobiło kilka rozmieszczonych tu i ówdzie niewyszukanych, lecz gustownych ozdób bożonarodzeniowych.

Za oknem Via Veneto była zatłoczona jak zwykle – a może nawet bardziej niż zwykle z powodu zbliżającego się Bożego Narodzenia. Na niebie wisiały niskie szare chmury, a w powietrzu czuć było wilgoć, więc Purcell włożył prochowiec. Zauważył jednak, że Mercado ma na sobie tylko sportową marynarkę z tweedu, która wydawała się na niego za duża. Właściwie wyglądał kiepsko, a kołnierzyk jego koszuli wyraźnie odstawał od chudej szyi. Ich etiopska opalenizna już dawno znikła; skóra Mercado była teraz równie szara, co zimowe niebo.

Mercado zsunął się ze stołka i powiedział:

– Zatrzymałem się w Excelsiorze i zazwyczaj bywam w tamtejszym barze.

– Wiem.

– Więc postaraj się tam na mnie nie wpaść.

Purcell skinął głową i rzekł:

– Wesołych świąt, Henry.

Mercado ruszył do drzwi, a potem odwrócił się i powiedział:

– No dobrze, zapytam. Co u niej?

– Zapytaj lepiej: gdzie się podziewa?

– W porządku: gdzie?

– Nie wiem. Zostawiła mnie w Kairze pod koniec października. Powiedziała, że musi załatwić coś w Genewie i wróci za dwa tygodnie. Którego dzisiaj mamy?

Mercado stał przez chwilę.

– Jak długo tu jesteś? – zapytał.

– Dwa dni. Pozwól, że postawię ci drinka. Przyjechałem do Rzymu tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć.

– W jakim celu?

Purcell zsunął się ze stolka i ujął Mercado pod ramię.

– Poświęć mi dziesięć minut – rzekł. – Mam dobre wieści o pułkowniku Gannie.

Mercado się zawahał, ale pozwolił Purcellowi zaprowadzić się do stolika przy oknie.

– Jeszcze po jednym! – Purcell zawołał do barmana.

Usiedli naprzeciw siebie. Mercado zerknął na zegarek.

– Umówiłem się z kimś na piątą – powiedział.

– Okej. Właśnie otrzymałem wiadomość od gościa o nazwisku Willis, który pracuje dla AP w Addis Abebie. Znasz go? Poinformował mnie, że Gann wyszedł z więzienia i przyłeci do Londynu na Boże Narodzenie.

Mercado skinął głową.

– Cieszę się – rzekł.

– Ja też. Tylko w takim miejscu jak Etiopia można zostać skazanym na śmierć, a potem wyjść z więzienia za kaucją i wrócić do swojego kraju.

– Brytyjski rząd na pewno hojnie zapłacił za błędno rycerza.

– Słusznie. Pieniądze mają siłę przekonywania, a rząd rewolucyjny ich potrzebuje, więc sprzedał Ganna. I wszyscy są zadowoleni. Kiepska wiadomość jest taka, że Gann będzie musiał wrócić po świątach do Addis Abeby na przesłuchanie apelacyjne, bo w przeciwnym razie przepadnie kaucja – powiedział Purcell i się uśmiechnął. – Myślę, że Gann odpuści sobie tę wycieczkę.

Mercado również się uśmiechnął i oświadczył:

– Jeśli pojedzie, to zasłużony na pluton egzekucyjny.

- Na dwa plutony.
- Ci ludzie przywiązują wielką wagę do zachowania twarzy – powiedział Mercado. – Zanim mnie wykopali, wlepili mi pięć lat za współpracę z kontrrewolucjonistami.
- Tylko pięć? Kiedy masz złożyć sprawozdanie?
- Jeszcze nie wiem. A co z tobą?
- Spędziłem tylko tydzień w ciupie.
- I kolejny w areszcie domowym w Hiltonie.
- Zgadza się.
- Z Vivian.
- Zgadza się.
- Łatwo się wywinęliście.
- To prawda. Ale to ciebie złapali, kiedy spaliście z Gannem. Nie zrobiliśmy z Vivian nic złego.
- Cóż, jestem pewien, że zrobiliście. W Hiltonie.
- Purcell postanowił zmienić temat.
- Powinniśmy odwiedzić Ganna w Londynie – powiedział.
- Lecz Mercado trzymał się swojego tematu.
- Ja też nie zrobiłem nic złego – odparł. – A spędziłem miesiąc w najpaskudniejszym więzieniu, jakie kiedykolwiek widziałem, podczas gdy ty i Vivian...
- Aż tyle? No dobrze, ale obaj bywaliśmy przecież w gorszych miejscach.
- Dokąd pojechałeś po opuszczeniu Addis Abeby?
- Do Kairu.
- Sam?
- Nie – powiedział Purcell. – Ale to nie my postanowiliśmy, że tam pojedziemy... Albo że pojedziemy tam razem.
- Było to po części kłamstwo. Purcell dodał:
- Wydaje się, że Kair jest miejscem zsyłki dla tych, których wyrzucają z Etiopii. A dokąd wysłali ciebie?
- Do Kairu.
- Szkoda, że o tym nie wiedziałem.
- Byłem tam tylko dwie godziny i pierwszym lotem poleciałem do Londynu. Dlaczego zostałeś?
- Potrzebowałem pracy. Skontaktowałem się z biurem ap, a jego szef, Gibson, szukał wtedy wolnego strzelca. Spodziewa się kolejnej wojny z Izraelem, a tak się składa, że jestem bardzo dobrym korespondentem wojennym.

Mercado nie odpowiedział ani nie spytał, dlaczego w Kairze została również Vivian. Powiedziała wtedy Purcellowi, że wciągnęło ją fotografowanie piramid i całej reszty; chciała też zostać fotografką Purcella, gdyby wybuchła następna wojna. Poza tym byli w sobie zakochani.

Kelner podał im drinki. Purcell spostrzegł, że Henry w dalszym ciągu pija gin ze schweppesem. Uniósł szklaneczkę. Mercado zawahał się, ale po chwili zrobił to samo.

– Za wolność – powiedział Purcell.

– I za życie.

Stuknęli się szklaneczkami, a potem wygodnie rozparli się w fotelach i zaczęli się przyglądać rytmowi miasta.

Purcell zauważył, że przedświąteczny Rzym nie został udekorowany tak krzykliwie jak Londyn albo Nowy Jork. Chciałby spędzić święta w którymś z tych miast. Najlepiej z Vivian, pomyślał. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Boże Narodzenie w Kairze nie byłoby tak wesołe.

Wrócił myślami do Addis Abeby. Dwa tygodnie, które tam spędzili, przypominały surrealistyczny sen. Gdy wysiedli z helikoptera, kazano im wsiąść do oddzielnych samochodów i – wciąż skutych – zawieziono do ponurego centralnego więzienia, a potem umieszczono w oddzielnych celach. Nie mogli się ze sobą porozumiewać. Jakiś prokurator, który ledwie mówił po angielsku, przesłuchiwał ich codziennie i twierdził, że wszyscy pozostali przyznali się do popełnienia zbrodni wojennych i obciążyli przesłuchiwanego.

W więzieniu znajdował się zamknięty dziedziniec. Stały na nim szubienice, na których dzień w dzień wieszano jednego lub dwóch ludzi.

Purcell zapytał:

– Miałeś pokój z widokiem na szubienice?

– Tak. Patrzyłem na nie z nadzieją, że cię na którejś zobaczę.

Obaj się uśmiechnęli.

Purcell zapalił papierosa i zamieszał drinka.

Po tygodniu w więzieniu, w którym nie mógł się nawet umyć i dostawał zjełczałe jedzenie i zaśmierdłą wodę, z amerykańskiej ambasady przybyła uprzejma dama, która zaprowadziła go, w dalszym ciągu bosego i odzianego tylko w shamę, do czekającego na zewnątrz samochodu. Minąwszy kilka przecznic, dotarli do Hiltona.

Dama ta – miała na imię Anne – kazała mu zostać w jego pokoju, z którego go nie wymeldowano i za który wciąż musiał płacić. Nie zasugerowała Purcellowi, by się wykapał; poradziła mu za to, by wezwał lekarza i poddał się oględzinom. Gdy zapytał ją o Vivian, Ganna i Henry'ego Mercado, odpowiedziała:

– Panna Smith przebywa w hotelu. Pozostali są w areszcie śledczym.

Anne zaproponowała, że odprowadzi Purcella do recepcji, lecz jej podziękował. Wręczyła mu zatem jego paszport i życzyła szczęścia.

Bosy Frank w shamie zbliżył się do recepcjonisty, który wręczył mu klucz i powiedział:

– Witamy z powrotem, panie Purcell.

Frank wszedł do pokoju i zauważył, że ktoś przeszukał pomieszczenie i zabrał większość rzeczy, w tym notatniki. Lecz był to jego najmniejszy problem.

Czekał cały dzień, zanim zdecydował się zadzwonić do Vivian. Umówili się na drinka w jej pokoju, ponieważ przebywali w areszcie domowym i nie chcieli ryzykować wizyty w barze, w którym mogliby się natknąć na któregoś z kolegów, ani pokazywać się w holu i narażać na zatrzymanie przez policję.

Pokój Vivian również został przetrząśnięty. Znikły jej wszystkie filmy, co ją rozwścieczyło, ale i ona rozumiała, że ich prawdziwym problemem jest wydostanie się z Etiopii.

Kiedy dokończyła drinka, przypomniała Purcellowi:

– Jak już powiedziałam, do niczego tu między nami nie dojdzie.

A później, już w łóżku, powiedziała:

– Gdy uwolnią Henry’ego...

– Rozumiem.

– Przepraszam.

– Ja też.

Lecz Henry nadal siedział w więzieniu, a tydzień później Purcell i Vivian zostali oficjalnie wydaleny z Etiopii i znaleźli się na pokładzie samolotu EgyptAir lecącego do Kairu.

Purcell wrócił do rzeczywistości.

– Codziennie pytaliśmy z Vivian w brytyjskiej ambasadzie o ciebie i Ganna – powiedział. – Zapewniali nas, że czujecie się dobrze i że pracują nad waszym uwolnieniem. Martwiliśmy się o was.

– I nie chcieliście, żebym się zjawił niezapowiedziany – odparł Mercado.

Miał rację, lecz Purcell postanowił trzymać się tematu i rzekł:

– Byłem pewien, że rozstrzelają Ganna. Albo go powieszają.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Racja – powiedział Purcell.

Spojrzał na stary rzymski mur otaczający miasto i uzmysłowił sobie, że cegły, z których go zbudowano, wyglądają tak samo jak te, których Włosi użyli do budowy więzienia w Addis Abebie. Zwrócił na to uwagę Mercado, mówiąc:

– Włosi wiedzą, jak budować.

Mercado nie odpowiedział.– Tamte łaźnie z wodą mineralną były imponujące.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z nostalgią, Frank.

– Henry... Czy pomyślałeś, żeby tam wrócić?

Mercado milczał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Prawdę mówiąc, tak. Ale to oczywiście zbyt ryzykowne.

– Daj mi znać, jak już się zdecydujesz.

– Będziesz ostatnim, który się o tym dowie.

Purcell przywołał kelnera i zamówił jeszcze dwa drinki.

– Czy słyszałeś dzisiejsze wiadomości z Etiopii? – zapytał Henry’ego.

– Nie.

– Niejaki generał Banti przejął radę wojskową i ogłosił powstanie nowego rządu. To ta sama grupa bandytów z Dergu; zmienili się tylko ich szefowie. Dlatego pomyślałem, że może uda nam się wrócić do Etiopii, o ile ci nowi goście nie są tak stuknięci jak poprzednia banda.

– To szaleństwo.

– Tak sobie tylko pomyślałem – powiedział Purcell. – Bliski Wschód to dopiero duża sprawa. Kanał jest wciąż zamknięty, a Sadat mówi o „bliskowschodniej bombie zegarowej”. Jest wkurzony na wszystkich rosyjskich Żydów przybywających do Izraela. Naprawdę wygląda na to, że może dojść do kolejnej wojny.

– Jak już wybuchnie, to pisz o niej z Kairu.

– Słusznie. Na froncie listy żelazne są niewiele warte – powiedział Purcell i się uśmiechnął. – Słyszałem, że pracujesz dla „L’Osservatore Romano”.

– Tak. Piszę dla nich teksty po angielsku na nadchodzący Rok Jubileuszowy. Głównie komunikaty prasowe.

– Nudzi cię to?

– Lubię Rzym.

– Kair jest do dupy – stwierdził Purcell. – Pracujesz nad czymś jeszcze?

– Masz na myśli naszą etiopską przygodę?

– Właśnie.

– Nie. Ale spodziewam się, że ty coś o tym napiszesz.

– Na razie się wstrzymuję – odparł Purcell. – Chciałem najpierw porozmawiać z tobą.

– Nie potrzebujesz mojego zezwolenia ani pomocy.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić coś razem.

– Nie jestem tym zainteresowany.

– Naprawdę?

Mercado zamyślił się i po chwili powiedział:

– Jeśli ty albo my o tym napiszemy, to nie tylko Getachu, ale mnóstwo innych sukinsynów i idiotów znacznie przedzierać się przez dżungłę w poszukiwaniu czarnego klasztoru.

Purcell skinął głową. I on o tym pomyślał.

– Getachu mógł już go znaleźć – powiedział.

– Być może. Ale gdyby tak się stało, dowiedzielibyśmy się, że ważny przedmiot kultu religijnego jest na sprzedaż.

– Wiele takich rzeczy sprzedaje się prywatnie – zauważył Purcell.

– To prawda. Akurat ta trafi do Watykanu. A może zakonnicy sprawili już, że znikła.

– Moglibyśmy pojechać i się przekonać.

– Nie jestem tym zainteresowany.

– W porządku. Czy zgłosiłeś w Watykanie, że ojciec Armano umarł?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ja... Wydawało mi się, że nie ma pośpiechu. Ale w końcu to zrobię.

– Masz biura w samym Watykanie, Henry.

– W końcu to zrobię.

– To dobrze. Może powinniśmy też pojechać do Berini i odnaleźć jego rodzinę?

– Po co?

– Prosił nas o to. Prosił też, żeby opowiedzieć jego historię komuś w Watykanie. Albo możesz przedstawić ją swoim znajomym z „L'Osservatore Romano”.

– W porządku. Zrobię to.

– Nie bardzo rozumiem, Henry. Dlaczego z tym zwlekasz?

– A ty?

– Powiedziałem ci już: chciałem najpierw porozmawiać z tobą. Zawarliśmy swoisty pakt – przypomniał.

– Jakie jest zdanie Vivian?

– Chce tam wrócić i znaleźć Świętego Graala. To jest jej zdanie.

– Zwariowała.

– Przykro mi, że straciłeś swój entuzjazm, Henry.

– Przykro mi, że ty go odzyskałeś.

– Myślałem o tym.

– Więc spróbuj nie myśleć.

– To wielka rzecz, Henry.

– Wtedy tak nam się wydawało.

Purcell spojrział na Mercado i zapytał:

- Szperałeś w watykańskich archiwach? Tak dla siebie, w wolnym czasie...
 - Tak, żeby zaspokoić swoją ciekawość na temat kilku rzeczy.
 - Znalazłeś coś?
 - Dam ci przepustkę i będziesz mógł sam poszukać.
 - Nie wszystko zrozumieć.
 - Można tam wynająć tłumaczy.
 - Za kilka dni muszę wracać do Kairu.
 - Wybacz mi moją ciekawość, Frank, ale nie rozumiem, dlaczego nie jedziesz do Genewy. Purcell zamówił następną kolejkę, a Mercado nie zaprotestował.
- Nie odzywali się przez chwilę. W końcu Purcell przemówił:
- Dostałem jeden list z Genewy. Napisała mi... Napisała, że czuła się okropnie, zostawiając cię w Addis Abebie. Napisała też, że czuje się winna z powodu tego, co i w jaki sposób się stało.
 - I powinna tak się czuć.
 - Racja. Ja też powinienem.
- Mercado utkwiał wzrok w swoim drinku i powiedział:
- Otrząsnąłem się po tym, Frank. Ale został we mnie gniew. Zachowaliście się paskudnie.
 - Oboje to wiemy.
 - Ja też... Wtedy, w namiocie Getachu... Kiedy mnie zapytał...
 - Zostało ci wybaczone.
- Mercado spojrzał na Purcella.
- Dziękuję – powiedział.
 - Vivian nie wspomniała o tym ani razu.
 - Ale na pewno pomyślała.
 - Wszyscy musimy iść do przodu – powiedział Purcell i się uśmiechnął. – *Avanti*.
 - Ja muszę.
 - Dowiedziałem się jeszcze czegoś o księciu Jozuem. Został stracony w Addis Abebie.
 - Dla niego to była łaska.
 - Tak – odparł Purcell. – Czytałeś o zbiorowych egzekucjach pod koniec listopada?
 - Naprawdę nie śledzę tego, co się dzieje w Etiopii.
 - A powinienieś.
 - Co tam się stało? – zapytał Mercado.
 - Rozstrzelano kolejną grupę gości ze starego reżimu. Byłego premiera Makonnena, generała Amana, który był szefem sztabu czy kimś takim, jeszcze jednego byłego premiera o nazwisku Wolde oraz wiceadmirała Alexandra Destę, wnuka cesarza.

Mercado skinął głową i zauważył:

– Rewolucja żywi się krwią.

– To prawda. Rozstrzelano jeszcze pięćdziesięciu sześciu innych ludzi, w tym księcia Jozuego.

– Daj mi znać, jak rozstrzelają Getachu i Andona.

– Będę śledził depesze.

Mercado wstał i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku łazienki.

Purcell zapalił następnego papierosa i zaczął przyglądać się rzymianom. Było już prawie ciemno i kafejki przy Via Veneto zapełniły się gośćmi.

Coraz tłoczniej robiło się także w Harry's. Przy stolikach przybywało ludzi wyglądających głównie jak amerykańscy turyści, którzy chcą się napić z duchem Hemingwaya lub zakosztować odrobiny *la dolce vita*.

Purcell nie spodziewał się Henry'ego Mercado w tym miejscu. Barman w Excelsiorze powiedział mu jednak, że może go tu znaleźć, i rzeczywiście tak się stało. Mercado pijał w Harry's z turystami. Purcell pomyślał, że Henry jest przedwojennym typem i zapewne zaczął odwiedzać to miejsce, gdy było modne i stanowiło przystań dla dziennikarzy i pisarzy żyjących na obczyźnie. Henry zdawał się nie zauważać, że świat nie stoi w miejscu, a Purcell wyobraził sobie siebie w jego wieku – o ile pożyje tak długo – zatrzymującego się w niewłaściwych hotelach, jadającego w niewłaściwych restauracjach i upijającego się w niewłaściwych barach z niewłaściwymi ludźmi.

Po części rozumiał pociąg Vivian do Henry'ego Mercado w Etiopii, lecz nie pojmował, dlaczego pozostawała związana z nim emocjonalnie pod jego nieobecność albo dlaczego nawet nie spróbowała go odszukać. Purcellowi wydało się jednak, że chciała, by to on, Frank Purcell, odszukał Henry'ego. Wskazywał na to nawet jej list. Vivian chciała wrócić z nimi do Etiopii, by znaleźć czarny klasztor i Świętego Graala. Poszukiwania przypominałyby z kilku względów wyprawę do piekła, lecz mimo to... Purcell wciąż o nich myślał i może właśnie dlatego zaczął wypytywać na lewo i prawo o Henry'ego Mercado.

Mercado wrócił do stolika, ale nie usiadł.

– Muszę już iść – oświadczył. – Podzielmy rachunek.

Purcell wstał.

– Jutro ty stawiasz – powiedział.

– Chyba już sobie powiedzieliśmy to, co mieliśmy do powiedzenia.

– Zatrzymałem się w Forum – odparł Purcell. – Jutro o osiemnastej w barze na dachu.

Wyciągnął rękę. Mercado zawahał się, lecz po chwili ją uściśnął.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – rzekł Purcell.

– Jeśli szukasz przebaczenia, to się rozejrzyj: w Rzymie jest dziewięćset kościołów.

– Cieszymy się, że żyjemy. Przeżyliśmy obozy i przeżyliśmy Etiopię. Przeżyjemy i wspólne drinki. Do jutra.

Mercado odwrócił się i wyszedł, wciągając w nozdrza chłodne powietrze wieczoru.

Purcell patrzył, jak Henry wtapia się w tłum. Usiadł i dokończył drinka. Sądził, podobnie jak Vivian, że jeszcze ze sobą nie zerwali. Henry również tak uważał.

ROZDZIAŁ 15

Frank Purcell siedział w barze otoczonym wielkimi oknami restauracji hotelu Forum. Cztery piętra niżej widać było prawdziwe Forum z białego marmuru skąpanego w światłach reflektorów. Wschodzący księżyc wisiał nad Koloseum, a nad miastem wisały trzy tysiące lat jego historii.

Purcell spędził poranek, pisząc w swoim pokoju artykuł o egipskim prezydencie Anwarze Sadacie, którego scharakteryzował jako człowieka nienawidzącego Żydów i sympatyzującego w przeszłości z nazistami – nie nazwał więc Sadata skromnym rozjemcą ani reformatorem, na jakiego kreowała go reszta prasy.

Wydawcy w Stanach z pewnością usuną ten fragment, a może nawet nie wydrukują artykułu, a szef biura w Kairze przypomni Purcellowi, że nie pisze do kolumny opiniotwórczej, lecz Frank napisał tak, ponieważ doznał przemiany, za sprawą której zmienił się również jego styl pisania.

Po południu Purcell wybrał się na długą przechadzkę. Najpierw w stronę Piazza Venezia, gdzie Mussolini stawał na balkonie Palazzo i robił z siebie głupek, głosząc swoje *Urbi et Orbi* – miastu i światu. Miasto i świat powinny być jednak potraktować go poważniej – tak jak ojciec Armano podczas błogosławienia armat.

Później przeszedł przez Termy Karakalli – matkę wszystkich rzymskich łaźni – i powędrował w stronę wzniesionego przez faszystów budynku ministerstwa spraw zagranicznych, którego front zdobiły kamienne stele wywiezione z Aksum i będące pomnikiem europejskiego imperializmu, a zarazem świadectwem dobrego gustu artystycznego grabieżców. Rzym był pełen skradzionych skarbów, których wiek sięgał dwóch tysięcy lat. W zamian za zrabowane dzieła Rzymianie zbudowali w całym imperium drogi i mosty, amfiteatry i łaźnie, świątynie i fora. To, co Mussolini zrobił w Etiopii, stanowiło więc kontynuację długiej i szanowanej tradycji imperialnych kradzieży i dawania czegoś w zamian. Watykan zaplanował natomiast przejęcie Świętego Graala, nie poczuwając się do obowiązku zrewanżowania się w jakikolwiek sposób.

Purcell wybrał się na spacer nie tylko po to, by rozprostować kości; chciał też wprowadzić swój tok myślenia na tory związane z artykułem, który powoli przeradzał się w książkę, o ojcu Armano, czarnym klasztorze i Świętym Graalu.

Nie mógł go jednak opublikować przed wyprawą do Etiopii i poznaniem zakończenia historii, którą miał opisać. Pomyślał, że gdyby książka ukazała się po jego śmierci, wydawca dopisałby do niej epilog mówiący o losie jej autora.

Jean, atrakcyjna dama siedząca w barze obok Purcella, zajrzała do przewodnika i powiedziała:

- Piszą tu, że przed Bożym Narodzeniem cała Piazza Navona zostaje udekorowana.
- Przechodziłem tamtędy wczoraj wieczorem. Warto to zobaczyć – powiedział Purcell.
- Rozumiem. A Campo de' Fiori?
- To targ owocowo-warzywny w dzień, a mięsny w nocy.
- Rozumiem...

Jean wróciła do swojego przewodnika po Rzymie, a Purcell – do swojej książki o Etiopii. Historia, o której rozmyślał, rodziła wiele pytań. Kto posiada relikwię sprzed dwóch tysięcy lat? Ktokolwiek by to był, jest jej właścicielem. Lecz w jaki sposób obecny właściciel wszedł w jej posiadanie? I jeśli przedmiot ten jest bezcenny, to czy rzeczywiście należy do całego świata?

Inne pytania dotyczyły autentyczności relikwii. Purcell nie miał wątpliwości, że to, co znajdowało się w czarnym klasztorze, nie ma mistycznej mocy, chociaż ojciec Armano twierdził, że relikwia – czymkolwiek by była – uleczyła jego ranę i duszę. Lecz kielich mógłby być autentyczny w tym znaczeniu, że Chrystus pił z niego podczas Ostatniej Wieczerzy. Mógł także stanowić przedmiot kultu, jak większość relikwii, które Purcell widział w Rzymie i w wielu innych miejscach.

Przypomniawszy sobie to, co zobaczył w małej kaplicy Quo Vadis przy Drodze Appijskiej, za bramą murów miejskich. Leżał tam czarny bazaltowy kamień z odciskiem ludzkiej stopy. Miała to być stopa Jezusa Chrystusa, który ukazał się Piotrowi, gdy ten uciekał z Rzymu, chcąc ocalić swoje życie. Zdumiony widokiem swojego nauczyciela Piotr zapytał: „*Domine, quo vadis?*”. Dokąd idziesz, Panie? A Chrystus odpowiedział: „Do Rzymu, Piotrze, by ukrzyżowano mnie tam po raz wtóry”. Piotr poczuł się winny z powodu ucieczki i zrozumiał, co powiedział mu Chrystus. Wrócił do Rzymu, by dopełnić się jego los. Został ukrzyżowany.

Purcell wiedział, że to apokryficzna historia, a zarys stopy widniejący na kamieniu nie został odcisnięty przez Chrystusowy sandał w rozmiarze dziewięć. Lecz jeden z włoskich przyjaciół, opowiadając mu kiedyś o kamieniu z Quo Vadis, zapytał go: „Co jest rzeczywiste? Co jest prawdziwe? W co wierzysz?”. *Quo vadis?*

Purcell pomyślał, że wróci do Etiopii być może po to, by ponownie go ukrzyżowano. Ale zależało to od Henry'ego Mercado, który spóźnił się już pół godziny na swoją randkę z przeznaczeniem. Purcell wiedział jednak, że Henry przyjdzie: nie miał wyboru, podobnie jak Piotr.

Zamówił jeszcze jednego jacka danielsa i jeszcze jedną lampkę czerwonego wina dla damy. Bar był pełny, bo rozciągał się z niego najlepszy widok w Rzymie, lecz w restauracji

było prawie pusto – jedzenie różniło się od widoku, nie było najlepsze.

Jean była mniej więcej czterdziestoletnią jasnowłosą Brytyjką. Nie była za grosz podobna do jego byłej dziewczyny, a mimo to Purcellowi wystarczyło jedno spojrzenie na tę kobietę, by przed oczami stanęła mu Vivian. Była interesująca i zainteresowana, zatrzymali się w tym samym hotelu – każde w pojedynkę – i wreszcie, do diabła, było Boże Narodzenie w Rzymie. Kawa i *cornetti* w łóżku. Cudowne wspomnienie.

– Twój przyjaciel się spóźnia – zauważyła.

– Zawsze się spóźnia.

– Pewnie jest Włochem.

– Nie. Ale zawsze spóźnia się w Rzymie.

Jean roześmiała się i powiedziała:

– Wiedziałeś, że w tym hotelu mieścił się kiedyś żeński klasztor?

– Więc jutro się wymeldowuję.

Jean ponownie się roześmiała i wróciła do lektury przewodnika.

Purcell wrócił w myślach do Addis Abeby. Tydzień, który spędził w hotelu z Vivian po ich wypuszczeniu z więzienia, był bardzo burzliwy i nerwowy. Czekali na wiadomości o Henrym i Gannie, na pukanie do drzwi o północy i na telefony albo gości ze swych ambasad: możecie bez przeszkód opuścić Etiopię. To rodziło napięcie. Sypiali też ze sobą, wiedząc lub wierząc, że wszystko to w taki czy inny sposób zmierza ku końcowi.

Purcell pomyślał, że gdyby wtedy to skończyli i rozdzielili się na kairskim lotnisku, jak to sobie wcześniej zaplanowali, ich związek znalazłby swój koniec już w Egipcie. Vivian byłaby teraz z Mercado i wszyscy pojechaliby do Londynu, żeby zobaczyć się z Gannem. Postanowili jednak spędzić ostatnią noc w kairskim hotelu Grand Nile. Później wynajęli umeblowane mieszkanie.

Purcell wiedział z doświadczenia, że Kair to nie Paryż, Londyn albo Rzym. Kair stanowił wyzwanie, a wszelką romantyczność jego ulic i kamiennych budowli przyćmiewała atmosfera represji.

Mimo to – i mimo pogłosek o nadchodzącej wojnie i przykrych wspomnień z Etiopii – spędzili w Kairze wspaniały miesiąc, zanim Vivian oznajmiła, że musi lecieć do Genewy, gdzie, jak powiedziała, ma swoje sprawy do załatwienia i rodzinę.

Patrząc z perspektywy czasu, Purcell pomyślał, że powinien był wtedy zapytać Vivian o jej plany powrotu do Kairu, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że Vivian nie wróci. Nie miał jej numeru telefonu ani adresu; na jej jedynym liście widniał tylko numer skrytki pocztowej. Odpisał, lecz jego list był krótki, pozbawiony słów miłości, tęsknoty i zrozumienia. Pisanie listów nie było mocną stroną Purcella, a ten, który wysłał Vivian, mógł jej się wydać nerwowy

i chłodny. Tak zakończyła się ich korespondencja i przypuszczalnie ich związek. Sam zasugerował to w rozmowie z Mercado i była to prawda – przynajmniej tak się wtedy wydawało.

Myśląc o tym wszystkim z dystansu, Purcell uświadomił sobie, że dobra wiadomość, którą otrzymali z ambasady brytyjskiej – Henry miał zostać uwolniony – miała coś wspólnego z wyjazdem Vivian. Przez głowę przemknęła mu myśl, że Vivian opuściła go, by odszukać Henry’ego, lecz gdyby to była prawda, powiedziała by mu to w twarz w Kairze. Była prostolinijna, szczerza i dostatecznie odważna, by oznajmić: To koniec. Wracam do Henry’ego.

Wiedziała jednak, że chociaż Henry wybaczył jej impulsywne zachowanie w nocy, podczas której myśleli, że zostaną rozstrzelani, to nie mógłby jej wybaczyć tygodnia spędzonego z Frankiem Purcellem w Addis Abebie, a później miesiąca w Kairze. A mimo to gdy uwolniono Henry’ego, nie mogła z jakiegoś powodu zostać w Kairze.

– Czy to nie twój przyjaciel? – zapytała Jane.

Purcell zerknął w stronę wejścia i zobaczył Mercado rozglądającego się po barze. Machnął do niego ręką. Mercado ruszył w jego kierunku. I tym razem nie miał na sobie wierzchniego okrycia. Był ubrany tak samo, jak poprzedniego dnia, dodatek stanowił jedynie szalik.

Nie podali sobie rąk. Purcell przedstawił Mercado Jean; nie znał nawet jej nazwiska ani numeru pokoju. Ucieli sobie minutową pogawędkę. Purcell zauważył, że Henry ma lepszy nastrój i potrafi być szarmancki wobec atrakcyjnej damy. Wyobraził sobie jego i Vivian podczas ich pierwszej rozmowy w barze Hiltona w Addis Abebie.

Purcell w innych okolicznościach poprosiłby Jean, żeby się do nich przyłączyła. Tego wieczoru chciał porozmawiać tylko z Henrym – bez Jean i bez rozważań o Vivian.

Zaproponował więc Jean:

– Spróbuj dziś kuchni na Piazza Navona.

– Lepiej na Zatybrzu – podpowiedział Henry i podał Jean nazwę restauracji.

Podziękowała i wróciła do lektury przewodnika po Rzymie.

Purcell zaprowadził Mercado do zarezerwowanego dla nich stolika przy oknie. Usiedli.

– Właściwie nie zostaną na kolacji – oświadczył Henry. – Ale możemy wypić butelkę dobrego wina.

– Jak sobie życzysz.

Mercado przestudiował kartę win i przywołał kelnera. Rozmawiali chwilę po włosku.

Purcell zapalił papierosa i spojrzął na miasto. Nigdy do końca nie rozumiał, dlaczego Piotr, a później Paweł przybyli w końcu do Rzymu – jaskini bestii. Z pewnością wiedzieli, że było to równoznaczne z samobójstwem.

- Wykpiłeś się butelką amarone za sto pięćdziesiąt tysięcy lirów – powiedział Henry.
 - Myślałem, że to ty dzisiaj płacisz.
 - Zobaczmy najpierw, co sprzedajesz.
 - Racja – odparł Purcell i wskazał Forum Romanum. – Co to za budowla?
 - To miejsce, w którym zasiadali rzymscy senatorzy debatujący nad sprawami imperium.
 - Zdumiewające.
 - To naprawdę Wieczne Miasto. Myślę, że to tutaj dożyję swoich ostatnich dni.
 - Mógłbyś trafić gorzej. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.
 - Nie wybieram się do Etiopii.
 - Okej. Ale hipotetycznie... Czy nie zastanowiłbyś się nad tym, gdybyśmy mogli wrócić tam legalnie, jako akredytowani dziennikarze?
 - Nie.
 - Założmy, że powiedziałaś: tak. Czy nie czułbyś się skrepowany, gdybyśmy pojechali tam we troje?
 - Nie chcę jej więcej widzieć. Ani ciebie.
 - Robimy postępy.
 - Frank, nie wpuszczą tam już żadnego z nas, więc gdybym nawet się zgodził, to sprawa i tak jest wątpliwa.
 - Fakt. Ale gdyby udało się to załatwić...
 - Jeśli tylko pokażę się w Etiopii, będą mogli wlepić mi pięć lat więzienia.
 - Okej. Może powinniśmy się przekraść.
 - A może powinienś wskoczyć pod samochód i oszczędzić sobie czasu i wysiłku?
- Kelner przyniósł wino. Mercado skosztował i stwierdził:
- *Meraviglioso*.
- Kelner napełnił kieliszki. Purcell uniósł swój i powiedział:
- Za ojca Armano i boski plan, jakikolwiek by był.
 - Na pewno zamierzasz mi powiedzieć, na czym polega ten plan.
 - Właśnie zaczyna do mnie docierać – odparł Purcell. – Prawdę mówiąc, mam licencję na cywilne samoloty. Jednosilnikowe. Wspominałem o tym?
- Mercado zakręcił swoim kieliszkiem w dłoni.
- Gdyby w Sudanie udało nam się wynająć samolot do buszu... – zaczął Purcell.
 - Nie uczynisz boskiego planu bardziej atrakcyjnym – skomentował Mercado. – Co sądzisz o tym winie?
 - Wspaniale. Pomyślmy jeszcze o fałszywych legitymacjach prasowych. Mam kilka źródeł w Kairze.

– Właściwie nie jestem ci potrzebny – zauważył Mercado. – Byłoby ci łatwiej, gdybyś po prostu złożył podanie o wizę i zobaczył, co się stanie. Nowy reżim może cię wpuścić.

– Chcę, żebyś z nami pojechał.

– Domyślam się, że mówiąc „my”, masz na myśli również Vivian.

– Zgadza się.

– Przecież cię rzuciła, stary. Wydaje mi się, że właśnie tak wczoraj powiedziałaś.

– To prawda. Ale powiedziałem ci też, że Vivian chce, żebyśmy pojechali z nią i razem poszukali czarnego klasztoru.

Mercado przemyślał słowa Purcella i rzekł:

– Istnieją prostsze sposoby, dzięki którym możesz odzyskać jej uczucie.

Purcell nie odpowiedział.

– Jeśli chcesz tam wrócić, musisz to zrobić ze słusznego powodu. Twój powód nie jest słuszny.

Purcell zamyślił się.

– Nie zamierzam ci powiedzieć, że wierzę w Świętego Graala – odparł po chwili. – Wierzę natomiast, że to cholernie ciekawy temat.

– Lecz Vivian, drogi chłopcze, wierzy w Graala. Ty także musisz w niego uwierzyć, jeśli zamierzasz ją tam zaciągnąć albo jeśli ona cię tam ciągnie.

– A w co ty wierzysz? – zapytał Purcell.

– W to, co powiedział nam ojciec Armano.

– We wszystko, co powiedział?

– We wszystko.

– Więc jak możesz nie chcieć tam wrócić?

– Ojciec Armano zdawał się uważać, że Graal powinien pozostać na swoim miejscu: w koptyjskim klasztorze. A przecież był katolickim kapłanem i papież rozkazał mu odszukać Graala i dostarczyć go do Watykanu.

– Nie sugeruję, że mamy go wykraść. Wystarczy, jeśli go... zobaczymy i dotkniemy.

– Skończyłoby się to pewnie dożywociem albo śmiercią.

– Jeśli naprawdę wierzysz, że wrócimy tam, by odnaleźć prawdziwego Świętego Graala, to jakie to ma znaczenie?

Mercado przyjrzał się uważnie Purcellowi.

– Ojciec Armano ryzykował życie, by znaleźć czarny klasztor – rzekł Frank. – Bo wierzył w Graala i życie wieczne.

– Rozumiem. Ale...

– Rycerze Okrągłego Stołu również ryzykowali życie dla Graala...

– To mit i legenda.

– Racja. Ale w tym micie jest morał.

– Że Graal nigdy nie zostanie odnaleziony?

– Że nigdy nie powinniśmy przestać szukać tego, w co wierzymy. Śmierć nie jest tu najważniejszą kwestią.

Mercado się nie odezwał.

– Po co Piotr przybył do Rzymu? – zapytał Purcell.

Mercado uśmiechnął się i odpowiedział:

– Żeby denerwować rzymian swoimi argumentami, tak jak ty wkurzasz mnie swoimi.

– I żeby zanieść im Słowo Boże. A dlaczego później tu wrócił?

– Żeby umrzeć.

– Nie mam nic więcej do dodania.

Mercado pogrążył się w myślach i po chwili powiedział:

– Posłuchaj, stary. Wyśpij się porządnie. – Mercado wskazał ruchem głowy na Jean, która właśnie regulowała rachunek. – A jeśli rano wciąż będziesz miał ochotę na samobójstwo, to zadzwoń.

Położył na stole swoją wizytówkę i wstał.

Purcell również wstał i odparł:

– Henry, musimy to zrobić. Myślmy, że mamy wybór, ale tak nie jest.

– Rozumiem. I myślę, że nie jesteś takim cynikiem, za jakiego się uważasz albo jakiego udajesz. Nie zaryzykujesz swego życia dla dobrego artykułu ani dla kobiety. Nie masz w sobie aż tyle z dziennikarza albo z romantyka. Lecz jeśli wierzysz w miłość, to wierzysz w Boga. Nie wiem, czy u celu znajdziesz Świętego Graala, lecz to wędrówka i poszukiwanie są aktem ufności i wiary. My, rzymianie, mawiamy: *Credo quia impossibile*, wierzę, ponieważ jest to niemożliwe.

Purcell milczał.

Uścisnęli sobie dłonie. Mercado skierował się do baru, zamienił kilka słów z Jean i wyszedł.

Jean podeszła do stolika, uśmiechając się nieśmiało. Purcell wstał i pomyślał: dobry stary Henry i te jego sztuczki – wcisnął mi rachunek, kobietę i zmusił do wykonania następnego kroku.

ROZDZIAŁ 16

W okresie Bożego Narodzenia w Rzymie roilo się od duchownych, pielgrzymów i turystów. W tym roku było ich znacznie więcej, ponieważ papież miał ogłosić w wigilijny wieczór rozpoczęcie Roku Jubileuszowego. Taksówkarz przeklinał świąteczny ruch i zagranicznych *idioti* nieumiejących sprawnie przejść przez ulicę.

Purcell postanowił zostać w Rzymie na Boże Narodzenie, wysłał więc teleksem krótką wiadomość, w której poinformował o tym Charliego Gibsona z Kairu. Odpowiedź była jeszcze krótsza: „już tu nie pracujesz. wesołych świąt”.

Liczył na taką właśnie odpowiedź Charliego i obawiał się, że za chwilę nadejdzie następna wiadomość odwołująca tę pierwszą. Lecz gdyby wybuchła wojna – co mogło się stać po opuszczeniu przez turystów Jerozolimy, Betlejem i Nazaretu – kairskie biuro chciałoby, żeby wrócił. Tymczasem mógł się zająć innymi sprawami. Okazało się także, że Jean musi wrócić do Anglii na święta, dzięki czemu zyskał więcej czasu na pisanie i myślenie o tym, co zamierza zrobić z resztą swojego życia.

Nie zadzwonił do Henry’ego tamtego poranka; Henry również się nie odezwał. Trzy dni później Purcell zatelefonował rano do redakcji „L’Osservatore Romano” i umówił się z *signore* Mercado na szesnastą. Była już za piętnaście czwarta i samochody poruszały się wolniej niż piesi. Purcell poprosił taksówkarza, by zatrzymał się przy Ponte Vittorio Emanuele. Wysiadł i pomaszerował przez most nad Tybrem.

Było wietrznie. Niebo pociemniało i straszłyo czarnymi chmurami kłębiącymi się na szarym tle. Czarne i wściekłe wydawały się nawet wody Tybru.

Plac Świętego Piotra był zapchany turystami i wiernymi, którzy modlili się w większych i mniejszych grupach. Pośrodku sterczał egipski obelisk sprzed trzech tysięcy lat, a dalej wznosiła się marmurowa góra w postaci Bazyliki Świętego Piotra, pod którą, jak wierżono, spoczywały kości świętego męczennika. Purcell zastanawiał się, czy Piotr umierający na krzyżu żałował swojej decyzji podjętej na Via Appia.

Frank nie wszedł na plac, lecz pomaszerował wzdłuż muru otaczającego Watykan i skierował się ku Porta Santa Rosa. Stało przed nią dwóch żołnierzy z Gwardii Szwajcarskiej, uzbrojonych w halabardy i strzegących wejścia do suwerennego miasta-państwa. Purcell okazał papieskiemu żandarmowi, uzbrojonemu lepiej niż gwardziści, swój paszport i legitymację prasową, po czym powiedział:

– *Buonasera*. „L’Osservatore Romano”, *signore* Mercado.

Mężczyzna przebiegł wzrokiem kartkę przyczepioną do sztywnej podkładki, powiedział

coś po włosku i gestem wskazał Purcellowi drogę.

Purcell już raz tu był; z łatwością trafił do biura prasowego przy wąskiej uliczce ze szpalerami bezlistnych drzew. Okna budynku rzucały kwadraty żółtego światła na wychłodzoną ziemię.

Purcell spóźnił się piętnaście minut; we Włoszech oznaczałoby to, że przybył za wcześnie, lecz w Watykanie mogło być inaczej. Recepcjonista poprosił go, by usiadł.

Biura „L'Osservatore Romano” znajdowały się w budynku, który mógł być starszy od prasy drukarskiej, lecz jego wnętrze było dużo nowocześniejsze, urządzone przed stu laty, kiedy powstał ten dziennik. Doprowadzono tu elektryczność, potem podłączono telefony i zaczęto wydawać nowoczesną gazetę w sześciu językach. Mieszano w niej prawdziwe wiadomości z propagandą, a głównym tematem każdego numeru był, rzecz jasna, papierz.

Wiele artykułów traktowało o prześladowaniach katolików w różnych krajach, a zwłaszcza w komunistycznej Polsce. Od czasu do czasu opisywano również trudną sytuację niekatolickich chrześcijan. Purcell przypomniał sobie, że Henry Mercado pojechał do Etiopii po to, by pisać reportaże o sytuacji Kościoła koptyjskiego w nowym marksistowskim kraju, a także o małej populacji etiopskich katolików. Teraz Henry pisał komunikaty prasowe dotyczące Roku Jubileuszowego. Purcell był pewien, że Mercado chciałby wrócić do Etiopii, by znów relacjonować najważniejsze wydarzenia. I czyż Henry nie obiecał Getachu kilku pochlebnych artykułów o jego wojskowej sprawności?

W poczekalni zjawił się Mercado w kardiganie narzuconym na koszulę z krawatem. Uścisnęli sobie ręce. Henry zaprowadził Purcella do swojego biura bez okien. Było to niewielkie pomieszczenie zastawione stosami książek i gazet, przez co przypominało wyglądem magazyn. Purcell zrozumiał, dlaczego Henry znalazł się w barze Harry's o czwartej po południu.

Mercado wyłączył swoją elektryczną maszynę do pisania ibm.

– Rzuć gdzieś płaszcz – powiedział.

Obrócił swój biurowy fotel, by usiąść twarzą do gościa, który zajął miejsce na jedynym krześle stojącym w pomieszczeniu.

– Mogę zapalić? – zapytał Purcell.

Mercado omiół dłonią gabinet i odparł:

– Podпалиłbyś cały Watykan.

Miał jednak w szufladzie biurka butelkę boodlesa. Napełnił szklaneczki ginem.

– *Benvenuto* – powiedział, uniósłszy drinka.

– Na zdrowie.

Wypili.

– Przyszedłeś powiedzieć mi, że odzyskałeś zdrowe zmysły? – zapytał Mercado.

– Nie.

– W takim razie postanowiłem jechać do Etiopii.

Purcella niezbyt to zaskoczyło. A właściwie wcale. To, co zakiełkowało w nim tamtej nocy w starym włoskim uzdrowisku, nadal żyło, a Henry, podobnie jak Vivian, uległ przemianie za sprawą ojca Armano i za sprawą tamtego dziwnego doświadczenia, które oboje uznali za znak.

– Nie mogę ci jednak obiecać, że pojedę dalej niż do Addis Abeby – powiedział Mercado. – Nie palę się do powrotu na terytorium Getachu.

– Myślałem, że chcesz napisać o nim coś miłego.

– Bo chcę. Jego nekrolog – oświadczył Mercado i puknął palcem w stos kartek na biurku. – Właśnie zajmuje się pociąganiem za sznurki, żeby załatwić tobie i Vivian akredytację „L'Osservatore Romano”.

– To dobrze, bo właśnie wylali mnie z AP.

– Jak ci się to udało?

– Łatwizna.

– Rozumiem. Oczywiście musimy uderzyć w religijną nutę, a twoja początkowa pensja wyniesie zero, ale za to nie będziesz musiał się martwić o koszty podróży i pobytu w Etiopii.

– I o koszt podróży powrotnej.

– Zdumiewa mnie twój optymizm. Mam to sfinalizować? – spytał Mercado, patrząc na papiery leżące na biurku.

– Gdzie mam się podpisać?

Mercado dokończył drinka i zastanawiał się przez chwilę, czy nie nalać sobie następnego.

– Wszystko stanie pod znakiem zapytania, jeśli nie dostaniemy wiz – odezwał się po chwili.

– Ale to dobry pierwszy krok.

– A „L'Osservatore Romano” będzie dobrze wyglądać w naszych wnioskach wizowych.

– Si.

Mercado uśmiechnął się i zapytał:

– Jesteś pewien, że Vivian chce z nami jechać?

– Tak mi napisała.

– Odezwała się?

– Nie.

– Możesz się z nią jakoś skontaktować?

– Spróbuję. Mam numer jej skrytki pocztowej w Genewie.

Mercado skinął głową i powiedział:

- Napisz, żeby przyjechała do Rzymu.
 - *Tutte le strade conducono a Roma* – odparł Purcell.
 - Nauczyłeś się tego na pamięć?
 - Tak. A co do tamtego: nie będzie ci to przeszkadzać?
 - Już ci powiedziałem, stary, że skończyłem z tym.
 - Purcell pomyślał, że jest inaczej; on również miał problemy z Vivian.
 - Nie pomylił się, bo Mercado zapytał:
 - A tobie nie będzie przeszkadzać, że pojedzie z nami Vivian?
 - Nie widzę problemu.
 - Chyba nie do końca rozumiem wasze relacje.
 - To już jest nas dwóch. Może nawet troje.
 - W porządku... Przy okazji: jak ci poszło z tamtą damą, z Jean?
 - Musiała wrócić do Anglii – odpowiedział Purcell. – Bez przerwy mówiła tylko o tobie.
 - Mercado się uśmiechnął.
 - Jak myślisz: jakie są nasze realne szanse na otrzymanie wiz? – zapytał Purcell.
 - Myślę, że miałeś rację, kiedy wspominałeś o zmianie reżimu. Wydaje się, że Etiopczycy chcą ocieplić stosunki z Zachodem.
 - To gra Trzeciego Świata: flirtują z Zachodem, lecz chodzą do łóżka z Rosjanami.
 - Oczywiście. Ale moglibyśmy na tym skorzystać.
 - Czy przyznanie nam wiz nie wydałoby ci się podejrzane? – zapytał Purcell.
 - Obyśmy nie byli muchami, które lecą na lep.
 - Właśnie.
 - Jeśli chcesz poznać moje zdanie, stary, to uważam cały ten pomysł za wariacki. Ale chyba już się zdecydowaliśmy, więc zachowaj swoją paranoję na pobyt w Etiopii.
 - Racja.
 - A czy pomyślałeś, dlaczego ponownie pchasz się w szpony śmierci?
 - Już ci powiedziałem.
 - Zatem powiedz jeszcze raz.
 - Żeby znaleźć Świętego Graala i uzdrowić swoją udręczoną duszę. Tak samo jak ty, Henry.
 - Poczekajmy więc z tą dyskusją na Vivian.
- Purcell nie odpowiedział.
- Mercado napełnił szklaneczkę ginem i oświadczył:
- Mam zamiar poprosić pułkownika Ganna, by dołączył do nas w Rzymie.
 - Dlaczego?

– Sądzę, że dowiemy się od niego wielu ważnych rzeczy, zanim wyruszymy w podróż.
Chciałbym także mu podziękować.

– Ja też.

– Zamierzam go zaprosić na wspaniały obiad w Hasslerze.

– Masz fundusz reprezentacyjny?

– Tak, i to niezły. Dlatego pozwolono mi zatrzymać się w Excelsiorze, dopóki nie znajdę sobie *appartamento*.

Purcell pomyślał, że Henry Mercado ma w „L'Osservatore Romano” większe wpływy, niż sugerowałoby jego biuro lub zajęcie. Pomyślał też, że Henry już tu z kimś rozmawiał o ich etiopskich przygodach, a także – wbrew temu, co powiedział – o ojcu Giuseppe Armano. Jeśli tak się stało, ktoś zapewne się tym podekscytował i zapragnął wyjaśnić tę historię do końca. Być może Henry, stary cwaniak, naciągał swoich szefów i od kilku miesięcy brał z watykańskiego skarbca, ile się dało, lecz oto nadeszła chwila, w której miał to odpracować albo się wynieść.

– Napiszesz o ojcu Armano dla swojej gazety? – zapytał Purcell.

– Oczywiście, ale dopiero po naszym powrocie. A ty?

– Też tu pracuję, Henry. Zapomniałeś?

– Racja – przyznał Mercado i opróżnił szklaneczkę. – Napiszemy razem serię wspaniałych artykułów: ty po angielsku, ja po włosku. Przetłumaczą je na wszystkie języki świata. Zyskasz sławę i szacunek, które zawsze cię omijały, a ja umocnię moją międzynarodową reputację.

Purcell się uśmiechnął.

– I będziemy występować w różnych talk-show – powiedział. – Kogo obchodzi Graal?

– Vivian.

– Tak, ładna dziewczyna. Będziemy też organizować prelekcje z jej slajdami.

Zapadła cisza. Purcell zaczął się zastanawiać, co mogłoby się stać, gdyby naprawdę udało im się znaleźć czarny klasztor i wydostać Świętego Graala z rąk koptyjskich zakonników.

– Uważaj, czego sobie życzysz – powiedział.

Mercado zmienił temat i rzekł:

– Byłoby bardzo dobrze, gdyby pułkownik Gann pojechał z nami.

– Etiopski rząd na pewno bardzo się za nim stęsknił.

– Chciałem powiedzieć: gdyby go ułaskawiono albo oczyszczono ze wszystkich zarzutów.

– Na to się nie zanosz.

– A może mógłby zaproponować Etiopczykom swoje usługi jako doradca wojskowy?

– To loteria, Henry. Gann na pewno nie jest tym zainteresowany.

– Dowiemy się tego, kiedy się spotkamy. Zdobęde jego angielski numer telefonu i adres

i zadzwonię do niego albo napiszę. Zaproponuję mu spotkanie na początku stycznia.

– Będę tu.

– Mam nadzieję, że Vivian również.

– Dam ci znać.

– Pojedziemy też na ciepłą Sycylię, odwiedzimy wioskę ojca Armano i odszukamy tych, którzy go znali.

– Byłby to dobry początek naszej podróży.

– Powinniśmy to zrobić – przyznał Mercado. – Tymczasem, jeśli nie jesteś zbyt zajęty, proponuję ci spotkanie. Pojutrze o ósmej rano w Archiwach Watykanu. Pokażę ci, co znalazłem.

– Nie ma takiej potrzeby, Henry. Wierzę ci na słowo.

– Oczywiście. Ale być może to cię zainteresuje, a nawet wyda ci się przydatne i pouczające. To może być dobre tło do twojej opowieści.

– Do naszej opowieści.

– Naszej. Napisałeś już coś, czego na razie nie możesz opublikować?

– Tak.

– To dobrze. Oszczędzimy sobie trochę pracy. Zostawmy temat zakazanego seksu „L'Osservatore Romano”.

Purcell się nie uśmiechnął.

– Spędzisz tu Boże Narodzenie? – zapytał Mercado.

– Jeszcze nie wiem.

– Gdzie mieszkasz na stałe?

– Na północ od Nowego Jorku.

– Masz tam przyjaciół? Rodzinę? Byłe dziewczyny?

– Mam ich wszystkich.

– Więc jedź do domu.

– A co z tobą?

– Boże Narodzenie w Rzymie.

– Mogło być gorzej.

– Jeśli będziesz w pobliżu, wprowadzę cię tylnymi drzwiami na pasterkę do Świętego Piotra. Potrzebujesz papieskiego błogosławieństwa.

– Dam ci znać.

Mercado wstał i powiedział:

– Zobaczmy się pojutrze. Przy drzwiach biblioteki zobaczysz swoje nazwisko.

Purcell również wstał i włożył prochowiec. Gdy wychodzili, rzekł:

– Nieważne, czy dostaniemy się do Etiopii, a jeśli tak, to nieważne, co tam się stanie. Ważne, że spróbujemy.

– Zawsze tak żyłem, Frank – przypomniał Mercado. – Będzie to moja trzecia podróż do Etiopii, a podczas dwóch pierwszych otarłem się o śmierć. Jak to mówią: w porcie łodzie są bezpieczne, ale nie po to się je buduje.

Purcell opuścił biura „L'Osservatore Romano” i pomaszerował alejką obsadzoną bezlistnymi o tej porze drzewami. Zapadł już zmrok, lecz wąskie uliczki były rozjaśnione światłem latarni. Purcell nie wiedział, dokąd pójść, więc wędrował przez papieską enklawę, dopóki nie wyszedł na otwartą przestrzeń ogrodów na tyłach Bazyliki.

Usiadł na ławce koło Fontanny Orła. Zapalił papierosa i zapatrzył się w wodospady.

Purcell zamyślił się: przyszło mu do głowy, że Henry Mercado mógł mieć rację, mówiąc o jego motywacji. Pomyślał, że w głębi umysłu albo duszy uwierzył w to, w co uwierzyli Henry i Vivian. W to, w co wierzył również ojciec Armano. Frank uwierzył, bo było to niemożliwe.

ROZDZIAŁ 17

Frank Purcell i Henry Mercado siedzieli przy długim stole w prywatnej czytelni wielkiej Biblioteki Watykańskiej. Pomieszczenie bez okien pozbawione było wyrazu; ściany pokryte pożółkłym tynkiem zdobiło tylko kilka obowiązkowych portretów świętych. Z wysokiego sufitu zwisały trzy ozdobne lampy, a na ścianie na końcu czytelni widniał Jezus Chrystus rozpięty na drewnianym krzyżu.

Na długim mahoniowym stole leżały starannie ułożone dokumenty owinięte zielonym filcem.

– Gromadziłem to wszystko przez ostatni miesiąc – powiedział Mercado. – Niektóre z tych pergaminów i papirusów mają prawie dwa tysiące lat.

– Mogę zapalić?

– Zakonnicy natychmiast by cię stracili.

Purcell uznał to za brak zgody. Swoją drogą to ciekawe, że Henry spędził tu tyle czasu.

Mercado otworzył swoją teczkę i położył jej zawartość na stole. Były to kartki z jego odręcznymi zapiskami.

Mercado wręczył Purcellowi notatnik, wskazał ręką dokumenty i powiedział:

– Skorzystałem z usług bibliotecznych tłumaczy: klasyczna greka i łacina, łacina kościelna, hebrajski...

– Rozumiem.

– Zaczniemy od Ostatniej Wieczerzy.

– A kawa?

– Po Ostatniej Wieczerzy – odparł Mercado. – Próbowałem nie tylko znaleźć dowody na istnienie Graala, ale i odtworzyć jego drogę z Jerozolimy do Etiopii.

– Po co?

– Wykorzystamy te informacje, pisząc serię artykułów, a może książkę. Pomyślałeś o książce?

– Tak.

– A kiedy skończymy tutaj, pójdziemy do Kolegium Etiopskiego. Tu, w Watykanie.

– Dlaczego właśnie tu?

– Dobre pytanie. Otóż dlatego, że Włosi i Watykan od dawna interesują się Etiopią. Zaczęło się od etiopskich pielgrzymów, którzy przybywali do Rzymu już w xv wieku. Zainteresowanie to odrodziło się w 1869 roku, gdy Włosi skolonizowali Erytreę, i w 1896, kiedy próbowali podbić Etiopię, do której wtargnęli w roku 1935.

– Pisałeś też reportaże z wojny w 1896?

Mercado zignorował żart Purcella i ciągnął:

– Kolegium Etiopskie to również seminarium, w którym Watykan kształci i wyświęca księży katolickich, a także przygotowuje laików, głównie etiopskich, do wyjazdu do Etiopii i szerzenia wiary katolickiej.

– Może również do poszukiwania Świętego Graala.

Mercado tego nie skomentował. Rzekał natomiast:

– Kolegium Etiopskie ma dobrą bibliotekę oraz zbiory kartograficzne, w których można znaleźć rzadkie stare mapy Etiopii, a także trudne do zdobycia mapy tego kraju sporządzone przez włoską armię w latach trzydziestych. Wykorzystamy je, by zawęzić obszar naszych poszukiwań i ustalić przypuszczalną lokalizację czarnego klasztoru na podstawie tego, czego dowiedzieliśmy się od ojca Armano.

– Dobry pomysł. A więc chodźmy tam.

– Musimy zacząć od początku – powiedział Mercado. Podsunął Purcellowi angielskojęzyczną Biblię i szybko wyszukał w niej odpowiednie miejsce. – Tu: Mateusz i Ostatnia Wieczerza. „Następnie wziął kielich i odmówiwszy dziękczynienie, dał im, mówiąc: Pijcie z niego wszyscy, bo to jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów”²

Mercado spojrział na Purcella i dodał:

– Marek i Łukasz również w podobny sposób krótko nawiązują do tego, co stało się głównym sakramentem chrześcijaństwa: do Komunii Świętej, czyli przeistoczenia chleba w ciało Chrystusa i wina w jego krew. Jan nie wspomina jednak o tym ani słowem.

Purcellowi nieraz już zdarzyły się podobne potknięcia: przeczytał lub nie docenił czegoś, co później okazało się bardzo ważne.

– Może Jana nie było wtedy w Wieczerniku? – powiedział.

– To, że ewangelie się różnią, właściwie zwiększa ich wiarygodność – odparł Mercado. – Mówimy o ludziach, którzy spisywali z pamięci wszystko, co zobaczyli i czego doświadczyli, a różnice wskazują na to, że się nie zmówili, by wymyślić tę historię.

– To samo mówię moim wydawcom.

– Zauważ, że kielich, czyli Graal, nie ma specjalnego znaczenia w opisie Ostatniej Wieczerzy – powiedział Mercado. – Lecz później, w mitach i legendach, staje się bardzo ważny.

– Wręcz magiczny.

– Rzeczywiście. Podobnie jak włócznia rzymskiego żołnierza Longinusa, szata Chrystusa, trzydzieści srebrników przyjętych przez Judasza za jego wydanie i wszystko, co miało

związek ze śmiercią Jezusa Chrystusa.

– To dobry argument za tym, że kielich, z którego Jezus pił podczas Ostatniej Wieczerzy, to tylko kielich – zauważył Purcell.

– Być może... Ale spośród wszystkich artefaktów związanych z Nowym Testamentem to właśnie on, Graal, przetrwał dwa tysiące lat jako przedmiot o wyjątkowym znaczeniu – stwierdził Mercado. – Myślę, że stało się to również dlatego, że używa się kielicha podczas każdego sakramentu komunii świętej. Kapłan, dosłownie lub w przenośni, przemienia wino w krew Chrystusa, a cud czy też tajemnica zakorzenia się w duszy każdego chrześcijanina, który kiedykolwiek wziął udział w niedzielnej mszy.

– Być może... Nigdy się nad tym szczególnie nie zastanawiałem.

– Więc proszę zacząć robić notatki, panie Purcell. Jest coś, co ma pan do opisanie.

– Ważniejsze jest to, że istnieje Graal, którego trzeba znaleźć.

– Właśnie zaczęliśmy go szukać: najpierw odnajdziemy go w naszych umysłach, a potem w sercach – odparł Mercado. – To podróż duchowa, po której wyruszymy w drogę fizycznie.

Purcell chwycił długopis i powiedział:

– Zanotuję to.

– Kielichy, których używają księża i pastory, są bardzo wymyślne – rzekł Mercado. – Złote, wysadzone szlachetnymi kamieniami. Lecz ten, z którego pił Chrystus, był prostym kidszowym naczyniem: prawdopodobnie czarką z brązu, jakiej używano podczas paschy. Owa czarka zatem, podobnie jak cała historia, piękniała z biegiem czasu i dziś, stojąc na ołtarzu, prezentuje się zupełnie inaczej. Błyszczą. Ale nie tego szukamy. Szukamy brązowej czarki sprzed dwóch tysięcy lat, więc czegoś, co rozzarowałoby tych, którym udało się ją znaleźć.

Purcell skinął głową, usiłując sobie przypomnieć, co – jeśli w ogóle – ojciec Armano powiedział o czarze, którą jakoby widział.

Mercado mówił dalej:

– Historia ta zawiera jednak podstawową prawdę. Jezus powiedział: „Przemieniłem to wino w moją krew dla odpuszczenia waszych grzechów”.

– Lecz ma to więcej wspólnego z Jezusem niż z winem albo kielichem.

– Słuszne spostrzeżenie.

– W Nowym i Starym Testamencie jest wiele alegorii i symboli – zauważył Purcell.

– Z tego względu niektórzy chrześcijanie, Żydzi, ateści i agnostycy nie zgadzają się ze sobą.

– Racja.

– Wierzy się w coś albo nie. Brakuje dowodów. Cuda się zdarzają, ale rzadko, i tłumaczy

się je na różne sposoby.

– Powinniśmy byli powiedzieć to ojcu Armano.

– Zupełnie nie rozumiem twojego sceptycyzmu, Frank, a też bywam sceptykiem.

Mercado mówił wcześniej co innego, lecz Purcell pominął jego słowa milczeniem.

Mercado ponownie otworzył Biblię i powiedział:

– Jeśli przejdziemy od Ostatniej Wieczerzy do ukrzyżowania, dotrzemy do Józefa z Arymatei, który odgrywa główną rolę w późniejszych legendach o Graalu. – Mercado zajął do otwartej Biblii. – Ewangelia według świętego Marka, rozdział 15, wiersze 42-47: „Pod wieczór już, ponieważ było Przygotowanie, czyli dzień przed szabatem, przyszedł Józef z Arymatei, poważny członek Rady, który również wyczekiwał królestwa Bożego. Śmiało udał się do Piłata i poprosił o ciało Jezusa. Piłat zdziwił się, że już skonał. Kazał przywołać setnika i pytał go, czy już dawno umarł. Upewniony przez setnika, podarował ciało Józefowi. Ten kupił płótno, zdjął Jezusa, owinął w płótno i złożył w grobie, który wykuty był w skale. Przed wejście do grobu zatoczył kamień”.

Mercado podniósł wzrok znad Biblii i stwierdził:

– W Nowym Testamencie to ostatnia wzmianka o Józefie z Arymatei, lecz nie ostatnia w innych źródłach.

– Czy to wiarygodne źródła, Henry?

Mercado przysunął do siebie notatnik i odpowiedział:

– Przeczytałem kilka relacji dotyczących podróży Świętego Graala. Można je nazwać legendami, mitami albo opowieściami quasi-historycznymi. Miałem tu dostęp do pierwszych materiałów źródłowych, spisanych klasyczną greką na pergaminach i papirusach jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt lat po śmierci Chrystusa. Podsumowałem te relacje, opierając się na fragmentach, które wydają się zgodne.

Dwa dni temu Purcell zgodził się zawczasu z Mercado, że zdobyte wcześniej informacje będą przydatne jako tło artykułu, ale przybył do biblioteki głównie po to, by... udobruchać Henry'ego. Zadzierzgnąć z nim więź. A może tego cudownie słonecznego poranka zjawiał się w zatęchłej Bibliotece Watykańskiej, ponieważ czuł się winny, że odebrał Henry'emu Vivian? Tak, to było to. Chodziło o zadośćuczynienie, a właściwie o pokutę. Zasłużył na nią.

Henry zajął do notatnika i powiedział:

– Oto, co zapisałem, podsumowując lekturę większości źródeł. Zaczyna się to jako kontynuacja tej części Nowego Testamentu, w której mowa o ukrzyżowaniu. „A Józef z Arymatei, wierząc w Chrystusa, zapragnął mieć coś, co do niego należało. Dlatego zabrał kielich z Ostatniej Wieczerzy...”.

– Poszedł tam, żeby posprzątać?

Mercado puścił to mimo uszu i czytał dalej:

– „A uprosiwszy Piłata o ciało Pana, Józef wziął kielich i napełnił go krwią wypływającą z ran Jezusa. I stało się, że Józef z Arymatei został uwięziony przez Piłata z powodu swego dobrego uczynku, za namową tej samej gniewnej tłuszczy, która żądała śmierci Chrystusa. I wtrącono Józefa do ukrytego lochu na czterdzieści lat, ale Święty Graal, którego wciąż posiadał, utrzymał go przy życiu”.

Mercado przestał czytać i spojrzał na Purcella.

Purcell skinął głową. Rzeczywiście, opowieść ta miała w sobie coś z opowiadania ojca Armano. I ojciec Armano prawdopodobnie ją znał.

Mercado wrócił do czytania:

– „A w czterdziestym roku uwięzienia Józefa rzymski cesarz Wespazjan został uleczony ze swego trądu chustą świętej Weroniki i, uwierzywszy w Chrystusa, udał się do Jerozolimy, by pomścić Jego śmierć, lecz ci, którzy za nią odpowiadali, już pomarli. Ale za sprawą objawienia Wespazjan dowiedział się, że Józef, którego uważali za zmarłego, jest wciąż uwięziony w ukrytym lochu. Sam Wespazjan opuścił się do lochu i uwolnił Józefa. Cesarz Wespazjan i Józef z Arymatei zostali potem ochrzczeni przez świętego Klemensa”.

Mercado odłożył notatnik i powiedział:

– Historia ta zawiera wiele historycznych nieścisłości i przesady, ale przetrwała dwa tysiące lat i wierzą w nią miliony katolików i nie tylko.

– A co o tym sądzi Stolica Apostolska?

– Stolica Apostolska nie potwierdza ani nie zaprzecza – odpowiedział Mercado. – Stolica Apostolska lubi takie historie, ale wie, podchodząc do sprawy racjonalnie, że są one przesadzone. Robią jednak dobrą prasę, krążą wśród wiernych i umacniają ich wiarę.

– Właśnie tak działa dobra propaganda.

– Dowiedzieliśmy się zatem, że po wieczerzy paschalnej Józef zabrał kielich Chrystusa. Dowiedzieliśmy się także, że miał go ze sobą w lochu i że Graal utrzymywał go przy życiu przez czterdzieści lat.

Purcell zanotował to, chcąc pokazać, że słucha.

Mercado odwrócił kartkę notatnika i ponownie zaczęła czytać:

– „Józef wędrował z gromadą nowych chrześcijan po Ziemi Świętej i przybył w swoim czasie na wyspę Sarras w Egipcie. Na wyspie Sarras Pan nakazał Józefowi zastawić stół na pamiątkę Ostatniej Wieczerzy i sprawowano tam Najświętszą Ofiarę dla tych, którzy nawrócili się na nową wiarę. Następnie Pan nakazał Józefowi udać się do Brytanii i tam trzymano Graala w Zamku Graala, który jak powiadają, stał blisko Glastonbury. Graal był tam strzeżony przez strażników, którzy jeden po drugim, pochodzili z krwi Józefa z Arymatei,

a po czterystu latach ostatni z rodu strażników zachorował i zmarł”.

Mercado przestał czytać i powiedział:

– Mamy więc Graala w Brytanii, co wydaje się naciągane, ale Brytania była przecież rzymską prowincją, czyli częścią rzymskiego świata Józefa, więc to mogło się wydarzyć.

– Posłuchaj, Henry, nie zamierzam być cyniczny, ale cała ta historia to jakaś bajka.

– Gdybyś przeczytał tu to, co ja...

– Zaczęłeś od wiary, a potem tendencyjnie dobrałeś fakty i zaufałeś niepotwierdzonym źródłom. To najgorszy rodzaj dziennikarstwa. Wiesz, że nie należy tak postępować.

A może, pomyślał Purcell, Henry już zbyt długo pracuje dla „L'Osservatore Romano”?

– Nie jestem pierwszym, który bada tę sprawę i doszedł to takich samych wniosków – odparł Mercado.

– Pewien gość pisze książki oparte na własnych badaniach i twierdzi, że istoty pozaziemskie wylądowały na Ziemi i zbudowały piramidy.

Mercado milczał przez kilka sekund, po czym powiedział:

– Wszyscy szukamy odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce na świecie i w kosmosie. Mamy nadzieję, że jest jeszcze coś oprócz tego, co znamy i widzimy. Mamy nadzieję, że istnieje Bóg.

– Ja też, Henry, ale... Okej. Święty Graal jest w Glastonbury.

Mercado wrócił do swoich notatek i powiedział:

– Prowadzi nas to do czasów, w których rzymskie legiony wycofały się z Brytanii. Rzymski świat się wali, a Brytanię najeżdżają różne plemiona germańskie. Królem Brytów jest legendarny, a może rzeczywisty Artur, zabieramy się więc do legendy o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu.

Purcell widział film pod tym tytułem, ale pozwolił Henry’emu mówić.

Mercado odczytał kolejną porcję swych zapisków:

– „Czarodziej Merlin powiedział królowi Arturowi, że Święty Graal jest w Brytanii, i nakłonił go, by nakazał swym prawym rycerzom zebrać się przy Okrągłym Stole, a potem odszukać Świętego Graala. Zebrali się rycerze, zostawiając jedno puste miejsce na pamiątkę Judasza, jak nakazuje tradycja Ostatniej Wieczerzy i stołu Józefa z Arymatei. Przeżywszy w poszukiwaniu Graala wiele przygód i niebezpieczeństw, jeden z rycerzy Artura zwany sir Percewalem, nieświadom, iż jest potomkiem Józefa z Arymatei, odkrył Zamek Graala i znalazł w nim Świętego Graala, a także włócznię rzymskiego żołnierza Longinusa, która przebiła bok Chrystusa wiszącego na krzyżu. Włócznia zaś wisiała w próżni i ociekała krwią spływającą do Graala”.

Purcell spojrzął na Mercado, który przestał czytać. Henry najwidoczniej zrozumiał, że

każdy zna tę historię, lecz nie wierzy w nią praktycznie żaden z mieszkańców współczesnego świata. Prawdopodobnie z wyjątkiem Henry’ego Mercado, ojca Armano i może jeszcze Vivian oraz kilku innych wybrańców. Gdyby nawet legendy nie zawierały w sobie ani krzty prawdy, to jednak wciąż nie znaczyły, że Graal nie istnieje, i Purcell zdawał sobie z tego sprawę. Kamień z odciskiem stopy Chrystusa istniał w realnym świecie, podobnie jak Całun Turyński i tysiące innych relikwii. Świętemu Graalowi przypisywano jednak zawsze moc uzdrawiania. Gdyby zatem znaleźli czarny klasztor i Graala, przekonaliby się, czy to prawda. Zwłaszcza wtedy, gdyby nad kielichem unosiła się w powietrzu włócznia ociekająca krwią. Purcell uwierzyłby w to, gdyby to zobaczył.

Mercado czytał dalej:

– „Stary strażnik Graala opowiedział sir Percewalowi o ich powinowactwie, a gdy zmarł, sir Percewal i sir Gauvain, widząc, że nastały złe czasy, zrozumieli, iż Graal musi zostać ponownie ukryty przed grzesznym ludem. Pan przyszedł do nich i powiedział im o statku stojącym na kotwicy nieopodal zamku, i nakazał im zabrać Graala i włócznię z powrotem do Ziemi Świętej. Obaj rycerze wyruszyli w drogę i nikt już ich więcej nie zobaczył ani nie otrzymał od nich wieści”.

Mercado zamknął notatnik.

– To wszystko? – zapytał Purcell po kilku sekundach.

– Nie – odpowiedział Mercado. – Graal, a czasem też włócznia, pojawia się w innych źródłach, od średniowiecza do dnia dzisiejszego.

Racja, pomyślał Purcell. Jak kilka miesięcy temu.

– Czy uważasz, że któreś z tych informacji są ciekawe albo przydatne? – zapytał Mercado.

– Są ciekawe, ale nieprzydatne.

– Wierzysz w to, co usłyszałeś?

– Przestałem po Marku.

– Po co w ogóle wierzyć w Nowy Testament?

– Zadajesz mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć, Henry.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy: żeby znaleźć odpowiedzi.

– Tu ich nie ma. Połowa wielkich Archiwów Watykańskich to mity i legendy. Odpowiedź jest w Etiopii.

– Odpowiedź jest w naszych sercach.

– Zacznijmy od Etiopii – zaproponował Purcell. – A prawdopodobieństwo, że znowu nas tam wpuszczą, wynosi tylko pięćdziesiąt procent.

– Pojedziemy do Etiopii.

– Masz już nasze wizy?

– Nie, ale będę je miał – odpowiedział Mercado i spojrzął na Purcella. – Nie rozumiesz, Frank. My, czyli ty, ja, Vivian, a także pułkownik Gann, zostaliśmy wybrani, by wrócić do Etiopii i znaleźć Świętego Graala.

Purcell nie zadał sobie nawet trudu, by zapytać, kto ich wybrał.

Mercado uznał, że już pora na kawę. Opuścili czytelnikę i wyszli na skąpany w słońcu dziedziniec.

Purcell z łatwością zrozumiał, dlaczego ludzie pierwotni wierzyli, że słońce jest bogiem: zachowywało się ono w tajemniczy sposób – pojawiało się i znikało na niebie, dawało życie oraz światło. Religie Żydów, chrześcijan i muzułmanów były jednak bardziej złożone. Wymagały od ludzi podążania za czymś, czego nie można było zobaczyć ani poczuć na twarzy jak słońca. Żądały wiary – wiary w to, co niemożliwe.

Ta wiara kazała Purcellowi wrócić do Etiopii.

ROZDZIAŁ 18

Weszli do pobliskiego bufetu. Zamówili kawę i *biscotti* na wynos, wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce. Po drugiej stronie ulicy znajdowały się stanowiska Gwardii Szwajcarskiej, więc Purcell zaczął się przyglądać gwardzistom ustawiającym się w szyku z jakiejś okazji. Szwajcarzy prowadzili również watykański urząd pocztowy.

– Szwajcarska sprawność i włoskie *biscotti* – powiedział Purcell. – Zaprawdę błogosławione miejsce.

– Włosi są jedynymi ludźmi, którzy mają monumentalne ego i równocześnie kompleks niższości – odparł Mercado. – Uważam, że to urocze.

– Więc tu zostajesz?

– Umrę tu albo w Etiopii.

– Czy mogę cię zapytać... Masz tu kogoś?

Mercado zawahał się, lecz w końcu odpowiedział:

– Ja... Jest pewna dama w moim wieku, z którą się spotykam, kiedy jestem w Rzymie.

Purcell nie zadał następnego pytania. Zapalił papierosa i zaczął przyglądać się mijającym ich ludziom.

W tej części Watykanu nie było turystów; każdy z przechodniów pracował tu albo był oficjalnie zaproszonym gościem, jak Purcell. To suwerenne miasto-państwo liczyło około tysiąca stałych mieszkańców – byli to głównie duchowni, w tym papieska świta. Sztuka i architektura w tym miejscu nie miały sobie równych na całym świecie. Purcell pojął więc, dlaczego papież, kardynałowie i inni dostojnicy wierzyli, że znajduje się tu prawdziwy kościół Jezusa Chrystusa. To tu, gdzieś pod Bazyliką, pogrzebano szczątki Piotra, pierwszego papieża, który użyczył tej budowli swojego imienia, i to Piotr wziął z ręki Chrystusa kielich i pił z niego krew Pana. A skoro tak, to właśnie tu – o ile istniał – powinien się znaleźć Święty Graal. Sprawa zamknięta.

Lecz nawet ojciec Armano miał co do tego wątpliwości. Miał je również Frank Purcell.

– Myślisz o tym, czego się właśnie dowiedziałeś? – zapytał Mercado.

– Nie, myślę o ojcu Armano i czarnym klasztorze.

– Znajdziemy go.

Purcell nie wiedział, co Henry miał na myśli: kolejne seminarium w bibliotece czy wyjazd do Etiopii. Miał nadzieję, że to drugie.

– Dobra kawa – powiedział.

– Parzona na wodzie święconej.

Purcell uśmiechnął się.

– I z etiopskich ziaren – dodał Mercado.

– Naprawdę?

– Włosi nadal posiadają i uprawiają plantacje kawy w Etiopii, choć do tej pory mogły one dostać się już w łapy tych cholernych głupich marksistów.

– Racja.

– W Addis Abebie mieszka pewien facet, *signore* Bocaccio. Ma plantacje kawy w całym kraju i dociera do nich swoim samolotem.

Purcell skinął głową.

– Oczywiście mogli go już wykopać albo wsadzić do więzienia, ale jeśli wciąż przebywa w Addis Abebie, odwiedzimy go, jak już się tam dostaniemy.

– Czym lata?

– Nie wiem. Nigdy z nim nie leciałem, chociaż wiem, że udało się to kilku dziennikarzom.

– Pożyczyłby nam swój samolot?

– Zapytał go.

Purcell ponownie skinął głową. Nie był doświadczonym pilotem, ale pomyślał, że poradziłby sobie z prawie każdą jednosilnikową maszyną, gdyby ktoś odbył z nim próbny lot i udzielił mu instrukcji.

Zrozumiał też, że Henry musiał już myśleć o niektórych sprawach. Nie mogli przecież tak po prostu wybrać się do dżungli i liczyć na to, że natkną się na klasztor. Niewielu odważyło się na taką wyprawę, a tym, którzy dotarli na miejsce – takim jak ojciec Armano – zabrakło szczęścia, w klasztorze, a nawet wcześniej, jeśli trafili na Oromów. Ostatnio klasztorem zainteresował się również generał Getachu.

Zatem zdecydowanie powinni przeprowadzić rozpoznanie z powietrza, by wypatrzeć coś, co będzie wyglądało jak klasztor albo jak coś, na co nie chcieliby się natknąć na ziemi.

Mercado zerknął na zegarek i powiedział:

– Wrócimy do biblioteki, a później pójdziemy do Kolegium Etiopskiego.

– Bierzesz dziś wolne?

– Nie. Jestem w pracy. Ty także.

– Słusznie, przecież tu pracuję – stwierdził Purcell. – Kiedy dostanę akredytację?

– Za jakiś tydzień, może dwa – powiedział i się uśmiechnął. – To nie Szwajcaria. Jak tylko wyszedłeś z mojego biura, wysłałem teleks do brytyjskiego biura spraw zagranicznych, które wzięło na siebie załatwienie powrotu do kraju pułkownika sir Edmunda Ganna. Poprosiłem, żeby Gann wysłał teleks albo zadzwonił do mojego biura.

– Świetnie.

– Napisałeś do Vivian?

Purcell napisał list jeszcze tamtego wieczoru, po powrocie z biura Mercado do hotelu Forum. Był to list o prostej treści: „Jestem w Rzymie, zatrzymałem się w hotelu Forum. Jest tu także Henry, który pracuje dla «L'Osservatore Romano». Spotkaliśmy się, żeby porozmawiać. Chcielibyśmy, żebyś przyjechała do Rzymu przed Bożym Narodzeniem, o ile to możliwe. Omawiamy możliwość wyjazdu do Etiopii i chcielibyśmy, abyś wzięła udział w naszych rozmowach, jeśli jeszcze jesteś zainteresowana tą sprawą. Tak czy inaczej – wyślij mi teleks do Forum. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Frank”.

Napisawszy list, Purcell poczuł, że brzmi on – podobnie jak poprzedni – zbyt oficjalnie; chciał również, by Vivian odpowiedziała. Dodał więc postscriptum: „Bez Ciebie czuję się bardzo samotny”.

– Frank?

– Tak... Napisałem do niej. Wysłałem ten list wczoraj rano.

– Mam nadzieję, że w tym tygodniu włoska poczta nie zastrajkuje – rzekł Mercado i zażartował: – Połowa listów Pawła do Rzymian do tej pory zalega w rzymskim urzędzie pocztowym.

Purcell uśmiechnął się i powiedział:

– Mój list ma dostarczyć poczta szwajcarska.

– Doskonały pomysł. Powinien być w Genewie już jutro.

Henry wstał i zapytał:

– Gotów?

Purcell podniósł się i pomaszzerowali do biblioteki.

W tej bibliotece zgromadzono około pół miliona książek i ponad pięćdziesiąt tysięcy rzadkich rękopisów, w tym tych, które wyszły spod pióra Cycerona, Wergiliusza i Tacyta.

– Więc nie będzie czasu na kawę.

– Przeczytanie samych rękopisów, o książkach nie wspominając, zajęłoby całe życie.

– Co najmniej.

– W każdym razie po miesiącu poszukiwań nie znalazłem w dokumentach wytłumaczenia, w jaki sposób Graal, związany z Ziemią Świętą, dostał się do Etiopii – oświadczył Mercado. – Mam jednak pewną teorię. Jeśli pamiętasz coś z historii, to wiesz, że w 451 roku zwołano sobór chalcedoński, którego zadaniem było wyjaśnienie pewnych różnic teologicznych, które istniały we wczesnym Kościele chrześcijańskim.

– Zgadza się.

– Podczas tego soboru papież Leon i oraz Marcjan, władca Cesarstwa Bizantyńskiego,

popadli w niezgodę z egipskimi i etiopskimi wysłannikami, którzy odmówili przyjęcia skomplikowanej doktryny o Trójcy Świętej i upierali się, że jedyną na wskroś boską osobą był Chrystus. Emisariuszy wydalono, a Kościoły, które dopuściły się odstępstwa, zaczęto nazywać egipskimi, a później koptyjskimi. Był to początek izolacji Etiopii od reszty chrześcijańskiego świata, która trwa do dziś.

– Zauważyłem to.

– W każdym razie tutaj należy szukać brakującego elementu wędrowki Graala: Percewal i Gauvain...

– Po raz ostatni widzieliśmy ich na statku znikającym we mgle.

– ...dotarli do Ziemi Świętej, która była częścią Cesarstwa Bizantyńskiego rządzonego przez cesarza z Konstantynopola. Percewal i Gauvain prawdopodobnie przekazali Graala chrześcijańskiemu biskupowi w Jerozolimie, który w tamtych czasach był wpływową osobistością w Kościele. W archiwalnych dokumentach znaleźć można dowody na kilkusetletnią wędrowkę Graala pomiędzy ważnymi jerozolimskimi chrześcijańskimi świątyniami. Lecz w 636 roku Jerozolima została podbita przez muzułmanów i wiele obiektów religijnych zaginęło albo zostało niepostrzeżenie wywiezionych do Rzymu, Konstantynopola i Aleksandrii, która wtedy należała jeszcze do Cesarstwa Bizantyńskiego.

– A więc w jaki sposób Graal trafił do Etiopii, Henry?

– Przypuszczam, że Graala wywieziono do Aleksandrii lub w inne miejsce w Egipcie. Sześć lat później, w 642 roku, Egipt znalazł się w rękach muzułmanów. Przypuszczam również, że tamtejsi koptyjscy kapłani albo zakonnicy wywieźli Graala łodzią, którą popłynęli do Etiopii, by umieścić kielich w bezpiecznym Aksum. Miałoby to sens z historycznego, geograficznego i teologicznego punktu widzenia: Egipcjanie byli Koptami, a Graala przekazali im chrześcijańscy uchodźcy z Jerozolimy. Sześć lat później Egipcjanie sami zostali podbici przez muzułmanów, a ponieważ musieli zabezpieczyć kielich, wybrali bezpieczną drogę, jaką był Nil, i dołączyli do swoich współwynawców w Etiopii.

– To fascynująca historia.

– I oparta na znanych faktach historycznych. Historyczne źródła dotyczące późniejszych czasów wspominają tylko o Graalu w Etiopii, brak natomiast źródeł wzmiankujących inne miejsca.

Purcell nie odpowiedział.

– Nie proszę cię o odłożenie kwestii wiary na bok – powiedział Mercado. – Próbuję tylko zapełnić białe plamy i dowiedzieć się, kiedy Graal opuścił Glastonbury i kiedy po raz pierwszy wspomniano w dokumentach, że znajduje się w Etiopii.

Purcell pomyślał, że można znaleźć o wiele prostsze rozwiązania: kielich, którego Chrystus

użył podczas Ostatniej Wieczerzy, nigdy nie opuścił Jerozolimy. Lecz Angole lubili swoją historię o królu Arturze, rycerzach Okrągłego Stołu i Świętym Graalu, a ludzie podobni do Mercado uczynili z niej legendę. Ostatecznie nie było ważne, w jaki sposób Graal znalazł się w Etiopii – o ile tylko tam się znalazł i o ile naprawdę istniał.

– Rozumiesz, Henry, że nie próbujemy zlokalizować Świętego Graala ani nawet zgadnąć, jak trafił do Etiopii. Wiemy z wiarygodnego źródła, czyli od ojca Armano, że Graal znajduje się w czarnym klasztorze. Teraz musimy tylko odszukać to miejsce.

– A ja wyjaśniłem ci już, że nasza podróż, zarówno duchowa, jak i intelektualna, zaczyna się tutaj.

– Nie spieram się z tobą, Henry. Chcę tylko, żeby ta część naszej podróży zakończyła się przed lunchem.

– Jeśli znajdziemy Graala, bardzo ważne będzie ustalenie jego pochodzenia. Tak jak w przypadku każdego starożytnego przedmiotu, trzeba będzie zbadać jego autentyczność.

– Jeśli go znajdziemy, Henry, będziemy wiedzieli, że jest autentyczny. Zwłaszcza gdy zobaczymy nad nim włócznie spływającą krew. Lecz jeśli nawet jej nie będzie, przekonamy się o tym, gdy tylko go zobaczymy. Poczujemy to. Wierzę, że tak będzie. Ty też powinieneś w to uwierzyć. Nie ma więc znaczenia, jak się tam dostaniemy ani czy będziemy musieli coś komuś udowodnić. *Res ipsa loquitur*. Rzecz mówi sama za siebie.

Mercado spojrział na Purcella i powiedział:

– Nie wiedziałem, że znasz łacinę.

– Ja też nie wiedziałem.

Zamilkli.

– Ale jasno przedstawiłem argumenty? – zapytał Mercado.

– Wykonałeś świetną robotę – odpowiedział Purcell. – Robiłeś to w godzinach pracy?

A może robisz to dla gazety?

Mercado nie odpowiedział.

Purcell zamknął swój notatnik i oświadczył:

– Mam już dość materiału na opowieść. Teraz znajdziemy tylko czarny klasztor, abym mógł napisać zakończenie.

– Długa podróż pisarza zaczyna się w bibliotece, a kończy przy maszynie do pisania.

– Powinniśmy mieć dość szczęścia, by i nasza zakończyła się w taki sposób.

Opuścili pomieszczenie. Przy wyjściu Mercado powiedział coś po włosku zakonnikowi, ten zaś ruszył z wielkim kluczem w dłoni w kierunku czytelnia.

Wyszli na dwór i w grudniowym słońcu pomaszzerowali przez watykańskie ogrody do Kolegium Etiopskiego. Purcell miał nadzieję, że znajdą tam mapę z adnotacją „Czarny

klasztor – dom Świętego Graala”.

Szczęście powinno im dopisać. A może nie?

ROZDZIAŁ 19

Ogrodowymi alejkami przechadzali się księża i zakonnice. Purcell pomyślał, że skądkolwiek przybywali, dotarli do centrum swego świata i wiary. Ich duchowa podróż miała trwać przez całe życie; fizyczna dobiegła już końca i wydawało się, że odnaleźli wewnętrzny spokój.

Frank i Henry musieli przebyć jeszcze wiele dróg, by znaleźć to, czego zaczęli szukać. Vivian, która po wydostaniu się z Etiopii i związaniu się z Purcellem wydawała się szczęśliwa, również nie mogła przestać myśleć o Etiopii, Henrym i ojcu Armano. Gdyby wszystko się udało, trzy strapione dusze mogłyby się spotkać w Rzymie, odnaleźć spokój i wyruszyć w podróż.

Szli jeszcze, gdy Mercado powiedział:

– Następną ważną wzmianka o Graalu w Etiopii pochodzi z 1527 roku.

– Jesteśmy z powrotem w bibliotece?

– Tak. Znalazłem napisany po łacinie raport, który papież Klemens vii otrzymał od portugalskiego jezuitę Alvareza. Ojciec Alvarez poinformował w nim, że właśnie wrócił z Etiopii, gdzie poznał portugalskiego dżentelmena, odkrywcę o nazwisku Juscelino Alancar, którego ekspedycja czterdzieści lat wcześniej przybyła na dwór etiopskiego cesarza w Aksum. Ojciec Alvarez oświadczył, że Alancara traktowano tam należycie, ale koptyjski papież skazał jego i pozostałych członków ekspedycji na dożywotni areszt domowy.

– Wygląda mi to na powtarzający się schemat działania w Etiopii.

– Dowiedziałem się także, że z powodu wizyty Alancara w Aksum wielu Etiopczyków, w większości koptyjskich zakonników, wybrało się na pielgrzymkę do Rzymu, by zobaczyć święte miasto. Zostali oni przyjęci przez papieża Sykstusa iv, który pozwolił im korzystać z kościoła pod wezwaniem świętego Stefana w pobliżu Bazyliki Świętego Piotra, co później doprowadziło do założenia Kolegium Etiopskiego. Właśnie do niego idziemy.

– Jakież wspaniałomyślny papież. Czego chciał w zamian?

– Być może pewnych informacji – odpowiedział Mercado i wrócił do historii ojca Alvareza.

– Ojciec Alvarez z kilkoma innymi jezuitkami duchownymi szukał Aksum, ponieważ nazwa ta pojawiała się w wielu starożytnych pismach dostępnych w czasach renesansu. Ojciec Alvarez wierzył także, że Aksum to legendarne zaginione królestwo Księdza Jana.

– Znalazł je?

– Nie. W rzeczywistości dotarł bowiem do stolicy Etiopii i siedziby etiopskiego Kościoła koptyjskiego. Odnalazł również ostatniego żyjącego członka ekspedycji Alancara, którym był sam Alancar. W raporcie do papieża Klemensa vi ojciec Alvarez napisał: „Jascelino Alancar

powiedział mi, że znalazł i widział kielich, *gradale*, który nakazał mu odnaleźć Jego Świętobliwość Sykstus”.

– Tym samym senior Alancar załatwił sobie dożywocie w Etiopii.

– Najwidoczniej. A ponieważ Alancar powiedział ojcu Alvarezowi, czym było to, co znalazł i zobaczył, areszt domowy w Etiopii nałożono i na niego.

– Ale odzyskał wolność i napisał do papieża.

– Tak. Gdy Etiopię zaatakowali Turcy, etiopski cesarz Klaudiusz uwolnił ojca Alvareza, który miał opowiedzieć portugalskiemu królowi Janowi iii o zapomnianym ośrodku chrześcijaństwa, cesarstwie Etiopii, i poprosić go o pomoc militarną. Sam Alancar już wtedy nie żył, zatem tylko ojciec Alvarez i jego bracia jezuita opuścili Aksum i udali się do Portugalii. Król Jan istotnie wysłał wojska ekspedycyjne do Etiopii i w roku 1527 połączone siły etiopsko-portugalskie pokonały Turków, a cesarz Klaudiusz przyrzekł wieczną wdzięczność królowi Janowi iii oraz jezuitom, którzy, jak napisał ojciec Alvarez w swoim raporcie dla papieża, zostali ponownie powitani przez cesarza Klaudiusza w Etiopii.

Przeszli jeszcze kilkoma alejkami i Purcell ujrzał budynek, do którego prowadził Mercado, czyli Kolegium Etiopskie.

Henry zwolnił kroku i podjął przerwane opowiadanie:

– Istnieje jeszcze inny raport. Napisał go jezuita, ojciec Lopes, dla następnego papieża, Pawła iii. Pismo to dotyczy misjonarskiego wpływu jezuitów na Etiopię i wszystkich dobrodziejstw, które uczynili dla szerzenia wiary katolickiej. Ale raport mówi również o ponownym wydaleniu jezuitów oskarżonych przez etiopskiego cesarza i koptyjskiego papieża o nadmierne wtrącanie się w sprawy Kościoła koptyjskiego i wypytywanie o klasztor zbudowany z obsydianu. To pierwsza wzmianka o czarnym klasztorze oraz o tym, że może się w nim znajdować Graal.

– I się znajduje.

– Tak. Wyglądałoby więc na to, że kolejni katolicycy papieże interesowali się Etiopią, czarnym klasztorze i co za tym idzie, Graalem. Można by chyba założyć, że jest to tajemnica przechodząca z papieża na papieża, a zarazem powód, dla którego ojciec Armano otrzymał od Piusa xi zapieczętowaną kopertę. Z innego, dość tajemniczego tekstu, który przeczytałem, wynika, że jezuitów, oddział szturmowy papieżstwa, obarczono misją odszukania Świętego Graala.

– Jeśli to prawda, to się nie spisali.

– Są cierpliwi – powiedział Mercado i dodał po chwili zastanowienia: – Albo, co jest bardziej prawdopodobne, współcześni papieże przestali interesować się tą sprawą, ponieważ nie wierzą już w istnienie Świętego Graala.

– To coś, w co trudno uwierzyć, Henry.

– Tak, ale...

– Wierzysz w to, bo to jest niemożliwe.

– To prawda.

Dotarli w końcu do Kolegium Etiopskiego, budowli w stylu romańskim, wzniesionej, jak powiedział Mercado, w latach dwudziestych, kiedy przeniesiono do niej kolegium z liczącego pięćset lat klasztoru Świętego Stefana. Purcell zobaczył odzianych w czarne habitę ciemnoskórych zakonników wchodzących do budynku i opuszczających go głównym wejściem i przypomniał sobie opowiadanie o mnichach w czarnym klasztorze, którzy powitali ojca Armano i jego włoskich żołnierzy pałkami.

– Czy jest tu bezpiecznie, Henry? – zapytał.

Mercado uśmiechnął się i odparł:

– To dobrzy katolicy, stary. Żadni tam Koptowie z pałami.

Gdy weszli do środka, Mercado przeżegnał się. Zauważywszy to, Purcell również uczynił znak krzyża.

– Nie byłem tu jeszcze – przyznał Mercado. – Mamy jednak pozwolenie, jesteśmy umówieni i zdążyliśmy na czas.

Zatrzymali się w dużym przedpokoju. Czekali.

Po pewnym czasie zbliżył się do nich wysoki, ciemnoskóry łysy zakonnik. Mercado pozdrowił go po włosku. Zamienili kilka słów; Purcell zorientował się, że pomimo umówionego spotkania pojawił się jakiś problem.

– Powiedz mu, że chcemy tylko obejrzeć mapę, na której zaznaczono czarny klasztor – zwrócił się do Mercado.

Obok nich jak spod ziemi wyrosli jeszcze dwaj zakonnicy, którzy przyłączyli się do rozmowy. W końcu Mercado odwrócił się do Purcella i oświadczył:

– Nie pozwalają nam wejść. Będę musiał jeszcze raz uruchomić swoje kanały.

– Wypróbuj inne.

Wyszli z Kolegium Etiopskiego i ruszyli przed siebie ogrodową aleją.

– O co poszło? – zapytał Purcell.

– Nie bardzo wiem.

– Z kim rozmawiałeś, prosząc o zgodę na wejście?

– Z przedstawicielem papieża – rzekł Mercado. – Papież uchodzi za szczególnego protektora tego kolegium.

– Mam wrażenie, że to miejsce nie potrzebuje ochrony z zewnątrz.

Mercado nie odpowiedział.

– Co powiedziałeś przedstawicielowi papieża?

– Prawdę, rzecz jasna – odpowiedział Mercado. – Powiedziałem, że właśnie wróciłem z Etiopii i zamierzam poszukać materiałów do artykułów dla naszej gazety; czegoś o koptyjskich i katolickich kościołach w porewolucyjnej Etiopii.

– Co jest prawdą, lecz nie całą prawdą.

Mercado się nie odezwał. Szli w stronę Biblioteki Watykańskiej, a może, Purcell miał taką nadzieję, do biur „L'Osservatore Romano” albo jeszcze lepiej, na lunch.

– Zakładam, że nie wspomniałeś o czarnym klasztorze – rzekł Purcell.

– Jakoś się nie złożyło.

Purcell zastanowił się nad tym. Gdyby Henry naprawdę sprzymierzył się w Watykanie z kimś, kto chciał, by poszukał Świętego Graala, to musiał być także ktoś, kto nie chciał, by to zrobić. A może jedynymi ludźmi, dla których pracował Mercado, byli jego redaktorzy z „L'Osservatore Romano”, a on, Purcell, wietrzył spisek tam, gdzie chodziło tylko o biurokratyczną fuszerkę albo błędy w przekazywaniu informacji? Nie miał co do tego pewności, lecz przeczuwał, że w pewnym momencie, jeszcze tu, w Watykanie, lub później, w Etiopii, dowie się, co – jeśli w ogóle – kombinuje Henry.

– Dobrze – odezwał się Mercado. – Gdy przyjedzie tu Gann, wszystkie sprawy będą już wyjaśnione; jestem też pewien, że pułkownik potrafi czytać mapy o wiele lepiej niż ty czy ja.

– Słuszna uwaga.

– Chciałbyś wrócić do biblioteki? Jest tam więcej ciekawych rzeczy.

– Zakonnik zamknął drzwi na klucz.

– Otworzy je.

– Postawię ci lunch.

– W porządku.

– W Forum – rzekł Purcell i wyjaśnił: – Czekam na teleks.

Mercado spojrział na niego i skinął głową.

Opuścili Watykan, przeszli przez plac Świętego Piotra i wsiedli do taksówki na Borgo Santo Spirito, która zawiozła ich do hotelu Forum.

– Jedź na górę – powiedział Purcell. – Zamów stolik przy oknie i butelkę dobrego wina.

Mercado zawahał się, lecz po chwili ruszył w stronę wind.

Purcell udał się do recepcji i zapytał o wiadomości. Recepcjonista przerzucił stos wiadomości telefonicznych oraz teleksów i wręczył Purcellowi zaklejoną kopertę.

Frank otworzył ją i odczytał wiadomość: „przylatuję po południu na fiumicino. wezmę taksówkę. nie wybrałam jeszcze hotelu. będę w barze forum o 18. tęsknię, v”.

Purcell włożył kartkę do kieszeni i wszedł do windy.

Więc... Ani słowa o Henrym. Nie wiadomo, który hotel. Nie czekaj na mnie na lotnisku. Do zobaczenia o szóstej. Tęsknię.

Ja również tęsknię, pomyślał.

Pojechał na górę. Henry rozmawiał właśnie przez telefon; ujrawszy Purcella, pokazał mu stolik przy oknie. Purcell zajął miejsce.

Mercado podszedł i zapytał:

– Masz jakieś wiadomości?

– Nie – odparł Purcell.

Mercado przyjrzał mu się i powiedział:

– W porządku.

Purcell nie wiedział, co to miało znaczyć, ale skinął głową.

– Zamówiłem to samo amarone – poinformował go Mercado.

– A myślałem, że poprzednim razem wypiliśmy całe to wino.

– Czy czujesz, że jesteś przygotowany intelektualnie i duchowo do rozpoczęcia poszukiwań? – zapytał Mercado.

– Właściwie tak.

– Jak myślisz: czy Vivian pojedzie z nami?

– Wydawało mi się, że jesteś przekonany, że to Duch Święty kazał jej to zrobić – przypomniał Purcell. – Więc go zapytaj. Albo ją.

Mercado się uśmiechnął.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zasugerował Purcell.

– W porządku. Właśnie dzwoniłem do mojego biura. Pułkownik Gann przysłał teleks.

Będzie mógł przyjechać do Rzymu tuż po Nowym Roku i pojedzie z nami do Berini.

– To dobrze. Wspomniał o Etiopii?

– Napisał, że wybrałby się tam, gdyby tylko mógł przekroczyć granicę.

– Łatwo się tam dostać, trudniej wyjechać.

– Przypuszczam, że chodziło mu o wjazd bez ryzyka aresztowania.

Podano wino. Henry napełnił swoją lampkę, uniósł ją i powiedział:

– *Amicitia sine fraude*, za przyjaźń bez fałszu.

– Na zdrowie.

ROZDZIAŁ 20

O wpół do szóstej Purcell wszedł do zatłoczonego baru hotelu Forum. Wybrał stolik przy oknie i usiadł twarzą do wejścia. Czekając, powoli sączył wino.

Nie po raz pierwszy już jego była kochanka lub zrażona do niego dziewczyna chciała się z nim spotkać w publicznym miejscu; czasami sam to proponował. Pomyślał o Henrym i doszedł do wniosku, że spotkanie w barze to dobry pomysł. Właściwie nie wiedział, czego chciał tego wieczoru; był tylko pewien, że chciałby, żeby Vivian pojechała z nim i z Henrym do Etiopii. Ona najwyraźniej również tego chciała, chociaż musiało się wyjaśnić, czy jest z Purcellem, z Henrym, czy z żadnym z nich.

W każdym razie, pomimo toastu wzniesionego przez Henry'ego Purcell nie czuł się winny z powodu zatajenia wiadomości o przyjeździe Vivian. Henry prawdopodobnie domyślił się, że Vivian odezwała się do Purcella, i rozumiał, że spotkanie we troje nie byłoby dobrym pierwszym krokiem prowadzącym do ich powrotu do Etiopii. Purcell zawarł swój własny pakt pokojowy z Henrym Mercado; teraz postąpi tak samo z Vivian. Ostatecznie wszyscy mogliby umówić się na drinka i zachowywać w cywilizowany sposób – nawet gdyby Vivian zdecydowała się na związek z Henrym. Purcell był właściwie pewien, że Henry nie zechce, by do niego wróciła, nawet gdyby to właśnie była jego decyzja. Mercado, podobnie jak jego włoscy przyjaciele, miał monumentalne ego, a jeśli wcześniej nie miał kompleksu niższości, to nabawił się go w Etiopii.

Było już po szóstej, lecz Purcell wiedział, że Vivian się spóźni, chociaż nie miał pojęcia, o której wylądował jej samolot z Genewy. Dojazd z Fiumicino do centrum zawsze sprawiał kłopoty, były godziny szczytu, a na dodatek okres świąteczny. Być może Vivian szukała właśnie hotelu, chociaż znalezienie wolnego pokoju tuż przed Bożym Narodzeniem nie było łatwe.

Purcell zapalił papierosa i spojrzął na Koloseum. A może Vivian zmieniła zdanie? Też dobrze. Mniej komplikacji.

– Cześć, Frank.

Purcell wstał. Popatrzyli na siebie. Vivian zawahała się, a potem położyła rękę na jego ramieniu. Frank pochylił się; przywitali się krótkim pocałunkiem.

– Świetnie wyglądasz – powiedział.

– Ty także.

Vivian miała na sobie zieloną jedwabną sukienkę podkreślającą kolor oczu. Długie czarne włosy okalały jej alabastrową twarz. Purcell przypomniał sobie chwilę, w której zobaczył

Vivian w etiopskim uzdrowisku; wtedy zrozumiał, że zawróciła mu w głowie.

– Frank?

– Och... Zechcesz usiąść?

Kelner krążący po sali odsunął krzesło od stolika. Vivian usiadła naprzeciwko Purcella.

– *Un bicchiere di vino rosso, per favore* – zwróciła się do kelnera.

Spoglądali na siebie nad stołem.

– Przepraszam – powiedziała w końcu Vivian.

– Nie musisz za nic przepraszać ani niczego tłumaczyć.

– Wołałabym jednak to zrobić.

Purcell się uśmiechnął.

– Musiałam jakoś sobie to wszystko poukładać.

– I jak ci to wyszło?

– Cóż, jestem tu.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał Purcell, lecz powiedział:

– Dziękuję, że przyleciałaś.

– Wyrzuciłeś moje rzeczy? – zapytała Vivian.

– Kusilo mnie.

Kelner przyniósł Vivian lampkę wina. Purcell uniósł swoją i powiedział:

– *Sono adirato*.

– Dlaczego mówisz, że jesteś zły?

– Myślałem, że to znaczy „uwielbiam cię”.

Vivian wybuchła śmiechem. Stuknęli się lampkami.

– *Ti amo* – powiedziała.

– Ja też cię kocham.

Purcell ujął dłoń, którą Vivian położyła na stole. Milczeli przez chwilę.

– Przyjechałeś do Rzymu, żeby się spotkać z Henrym? – zapytała.

– Tak.

Vivian skinęła głową i ponownie zapytała:

– Wie, że tu jestem?

– Nie.

Vivian ponownie skinęła głową.

– Co z nim?

– Jest *adirato* – odpowiedział Purcell.

– Cóż... Trudno mu się dziwić... Ale... Rozmawiacie przynajmniej?

– Myślę, że jest gotów na rozmowę z tobą.

– To dobrze. Henry pracuje zatem dla „L'Osservatore Romano”?

– Tak. Wygląda na to, że to mu się podoba. Uwielbia Rzym.

– Cieszę się.

– Jakież inne odczucia w związku z nim, o których powinienem wiedzieć?

Vivian pokręciła głową.

– W porządku... Ale kiedy się z nim zobaczysz, będziesz mogła to sobie z nim wyjaśnić.

– Zrobię to – powiedziała. – Jestem pewna, że sobie z tym poradził.

– Powiedział, że tak.

Vivian zmieniła temat i zapytała:

– Jak długo zostaniesz w Rzymie?

– To zależy. Jak długo ty zostajesz w Rzymie?

– Tak długo jak ty.

– Dobrze – powiedział Purcell. – Zrezygnowałem ze współpracy z kairskim biurem ap.

– Dlaczego?

– Bo Charlie Gibson wylał mnie z roboty.

– No i dobrze. Nie znosiłeś jej, Kairu też.

– Nie znosiłem ani jednego, ani drugiego – przyznał Purcell. – Ale jakoś dawałem sobie radę, bo tam byłaś.

Vivian się uśmiechnęła.

– Wiesz, Frank, potrafię sprawić, że wszędzie da się wytrzymać – powiedziała.

– Nawet w Etiopii.

– Nie przeceniasz moich zdolności? – zapytała. – A co z twoim mieszkaniem w Kairze?

– W tej chwili jest to jedyne miejsce, do którego mogę wrócić.

– Ja również.

– Zatrzymamy je jeszcze przez pewien czas – powiedział Purcell. – Gdzie mieszkałaś w Genewie?

– W internacie mojej starej szkoły. Jesteśmy tam zawsze mile widziane. Dwadzieścia franków za noc w domku gościnnym. To najlepsza oferta w Genewie. I żadnych mężczyzn.

– Wolno tam przynajmniej pić?

– Tak. Tam trzeba pić, żeby nie zwariować.

Purcell się uśmiechnął.

– Nie jestem pisarką, ale napisałam coś w rodzaju pamiętnika o tym, co wydarzyło się w Etiopii. Napisałam też o nas w Kairze.

– Będę mógł to przeczytać?

– Kiedyś. Wciąż jestem wkurzona z powodu utraconych zdjęć.

– Będziesz mogła poprosić Getachu, żeby ci je oddał.

Vivian przyglądała się Purcellowi przez kilka sekund.

– Naprawdę to robimy? – zapytała.

– Cóż... Mamy taki plan – odpowiedział Purcell. – Wciąż cię to interesuje?

– Tak. Dziwię się, że Henry chce tam wrócić.

– Mnie to nie dziwi, podobnie jak nie dziwi mnie to, że ty również chcesz pojechać do Etiopii. Henry wierzy, że został wybrany przez Boga, żeby znaleźć... to.

Vivian skinęła głową.

– A ty? – zapytał Purcell.

Vivian jeszcze raz skinęła głową i zapytała:

– A ty?

– Według Henry’ego moja motywacja jest co najmniej bardzo niejasna.

– Ale chcesz tam pojechać?

– Tak. Henry próbuje nam załatwić legitymacje prasowe „L’Osservatore Romano”, a potem będziemy musieli dostać wizy. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, pomyślimy o przekroczeniu granicy od strony Sudanu.

– To niebezpieczna gra.

– Nie bardziej niebezpieczna niż wędrowka po terytorium Getachu.

Vivian skinęła głową.

– A teraz dobre wieści – oświadczył Purcell. – Pułkownik Gann wyszedł z więzienia.

– Dzięki Bogu. Myślałam, że... go zabili.

– Mogliby, ale go sprzedali. Nie wiem, gdzie teraz przebywa, ale teleksował do Henry’ego: napisał, że chce nam towarzyszyć w drodze do Etiopii.

– To czyste wariactwo.

– Pewnie pomyślał o nas tak samo.

– Przecież jest... wrogiem...

– Może jeszcze to przemyśli. Na razie przyjeżdża do Rzymu po Nowym Roku, a jeśli zechcesz, wybierzemy się całą czwórką na krótkie sycylijskie wczasy w Berini.

Vivian uśmiechnęła się i powiedziała:

– Z wielką chęcią.

– W wiadomościach podano informację, że... rozstrzelano księcia Jozuego – rzekł Purcell.

– Widziałam... Biedny człowiek... Biedni członkowie rodziny królewskiej i wszyscy, którzy należeli do byłego rządu...

Vivian spojrzała na Purcella i zapytała:

– Dlaczego jedni ludzie robią to innym ludziom?

– Dzieje się tak od pewnego czasu.
– Wiem, ale... Jest tyle zła na świecie... Czy to nie wystawia na próbę wiary?
– Ojciec Armano, podobnie jak Henry, powiedziałby ci, że to wszystko stanowi część boskiego planu.

– Boskiego?

– Zatem diabelskiego.

Vivian skinęła głową, spojrzała na Purcella i powiedziała:

– Zawsze chciałam cię zapytać... Tamtej nocy, kiedy jechaliśmy... Dlaczego zboczyłeś z drogi?

– Nie wiem.

– Skręciłeś prosto w krzaki, akurat tam, gdzie było uzdrowisko.

Purcell przemyślał to już wcześniej. Nie potrafił jednak sobie przypomnieć, co zmusiło go do nagłego wbicia jeepa w ścianę zarośli. Uśmiechnął się i odparł:

– Usłyszałem głos: skręć w prawo.

– Bądź poważny.

– Nie wiem, Vivian, dlaczego wtedy skręciłem.

– Ale czy nie uważasz, że to co najmniej dziwne? Zjechałeś z drogi dokładnie koło łaźni.

– Zastanowię się nad tym – odparł Purcell i zmienił temat. – Doszliśmy z Henrym do wniosku, że Getachu albo ktoś inny mógł już znaleźć czarny klasztor.

– Nikt go nie znalazł.

– W porządku... Masz ochotę na kolację? – zapytał Purcell, chcąc, by ich pierwszy wieczór był bardziej romantyczny.

– Nie. Wolę pójść na spacer.

– Dobry pomysł.

Purcell poprosił kelnera o rachunek, a potem zapytał:

– Gdzie się zatrzymałaś?

– W całym Rzymie nie ma ani jednego wolnego pokoju.

– Przykro mi to słyszeć. Gdzie masz bagaże?

– W twoim pokoju.

Purcell się uśmiechnął.

– Jak ci się to udało? – zapytał.

– Ależ, Frank, jesteśmy we Włoszech.

– Skąd wiedziałaś, że to się uda? – zapytał poważnie Purcell.

– To nie jest ważne. Dziś śpimy razem.

Purcell nie zamierzał się spierać.

- Chodźmy, rozpakujesz się – zaproponował.
- Mam ochotę się przejść. Jest piękny wieczór.
- Okej.

Purcell zapłacił za drinki, a Vivian poszła po płaszcz. Zjechali do holu i wyszli z hotelu. Było chłodno.

Godziny rzymskiego szczytu już się skończyły. Ulice zaczęły się uspokajać, a szeroka Via dei Fori Imperiali zapełniła się przechodniami. Bożonarodzeniowe dekoracje miały przeważnie religijny charakter i nigdzie nie było widać najmniejszego śladu Świętego Mikołaja i jego reniferów.

Szli przez miasto, trzymając się za ręce i niewiele mówiąc.

- Tak to sobie wyobraziłam, kiedy dostałam twój romantyczny list.
- Nie wiedziałem, w jakim tonie powinien go napisać.
- Więc napisałeś go jak komunikat prasowy. Gdyby nie twoje postscriptum, byłabym w tej chwili w Genewie.

- Wiem.

- Nie winię cię więc za to, że jesteś zły.
- Dlaczego miałabyś mnie winić?
- Wiem, że nie powinnam była wyjeżdżać pod zmyślnym pretekstem. I jest mi przykro z tego powodu. Ale nie potrafiłam spojrzeć ci w oczy... I powiedzieć...

- Nie mówmy już o tym.

Vivian ścisnęła dłoń Purcella i powiedziała:

- Cały czas sobie myślałam: Vivian, idź do klasztoru. Rozważ to.
- W porządku. Ruszmy się. *Avanti*.
- Teraz czuję się oczyszczona i niewinna.
- Później się tym zajmiemy.

Vivian się roześmiała. Ruszyli przed siebie.

- Jakie jest najbardziej romantyczne miejsce w tym mieście? – zapytała.
- Mój pokój.
- A po nim?
- Pokażę ci.

Minęli pomnik Wiktora Emanuela i wspięli się po schodach na plac na Wzgórzu Kapitolińskim. W pobliżu muzeów i pomnika konnego Marka Aureliusza spacerowały dziesiątki par trzymających się za ręce.

Purcell zaprowadził Vivian na skraj wzgórza, skąd rozciągał się widok na skąpane w światłach Forum Romanum i górujący nad jego ruinami Palatyn. W oddali widać było

Koloseum.

- To niesamowite – powiedziała Vivian.
- Wrócimy tu po wyprawie do Etiopii.
- Wrócimy.

Zeszli ze wzgórza długim ciągiem schodów i pomaszerowali do hotelu.

ROZDZIAŁ 21

Purcell podniósł słuchawkę telefonu w swoim hotelowym pokoju i zadzwonił do biura Henry'ego. Powiedział mu, że Vivian jest w Rzymie, chociaż nie wspomniał, kiedy przyleciała i gdzie się zatrzymała. Lecz Henry o to nie zapytał. Gdyby to zrobił, Purcell powiedziałby mu, że Vivian właśnie bierze prysznic.

Mercado zaproponował lunch w restauracji Etiopia, którą uznał za odpowiednie miejsce na ich kolejne spotkanie. Purcell nie podzielał jego zdania, ale zapisał adres restauracji, która, jak powiedział mu Mercado, znajdowała się w pobliżu stacji Termini. Henry zaproponował też, że spotka się z Vivian o wpół do pierwszej, a Frank dołączy do nich o pierwszej albo nieco później.

Purcell nie był pewien, czy podoba mu się ten plan, lecz pozostawił decyzję Vivian.

Później, gdy wybrali się na poranny spacer, powiedział jej o telefonie do Henry'ego i lunchu.

Pomyślał, że Vivian zechce wrócić do hotelu, żeby zrzucić z siebie dzinsy, bluzkę i turystyczne buty i włożyć coś bardziej odpowiedniego na lunch ze swoim byłym chłopakiem, lecz usłyszał:

– Pasuje mi to. Jeśli tobie również.

– W porządku – powiedział. – To etiopska restauracja.

– Cały Henry.

Był ciepły słoneczny poranek. Sobota przed Bożym Narodzeniem, więc ruch na ulicach był niewielki i miasto sprawiało wrażenie, jakby ogarnął je już świąteczny nastrój.

Przeszli przez Campo de' Fiori. Purcell przypomniał sobie radę, której udzielił Jean; to z kolei sprawiło, że pomyślał o Henrym, który pod fałszywym pretekstem przysłał Jean do jego stolika. Purcell wiedział, że Mercado jest manipulatorem i człowiekiem, który wie, jak kompromitować innych. Lecz Henry był zarazem dżentelmenem starej daty i nie wspominałby Vivian o Jean. W każdym razie dopóki nie służyłoby to jego celom.

Purcell i Vivian podeszli do Fontanny di Trevi, wypowiedzieli sekretne życzenia i wrzucili przez ramię monety do wody. Zgodnie z tradycją miało im to zapewnić powrót do Rzymu.

O wpół do dwunastej Purcell zaproponował, by udali się do Etiopii – restauracji, nie kraju.

Minęli po drodze Termini, główny rzymski dworzec kolejowy, w którego sąsiedztwie żyło wielu ciemnoskórych mieszkańców pochodzących przeważnie z byłych włoskich kolonii w Etiopii, Erytrei i Somalii. W tych okolicach kwitł uliczny handel prowadzony głównie przez Afrykańczyków, rozkładających na kocach towary ze swych rodzinnych stron.

Gdy szli, Purcell zapytał Vivian:

– Czy wciąż odpowiada ci to spotkanie?

Vivian skinęła głową, lecz Purcell zauważył, że jest zdenerwowana. Ostatnim razem widziała Henry'ego, gdy w Addis Abebie wysiedli z helikoptera Getachu. Podróż z obozu generała do stolicy odbyli niemal w milczeniu; tylko Gann powiedział wtedy, że jako cudzoziemcom i dziennikarzom grozi im w najgorszym wypadku pokazowy proces, skazanie i wydalenie z kraju.

Purcell zrozumiał wówczas, że pułkownik Gann nie mówi o sobie – był bowiem święcie przekonany, że go powieszą lub rozstrzelają. Odłożył jednak swoje lęki na bok, by podnieść morale trojga ludzi, których ledwie znał. Prawdziwy oficer i dżentelmen. A teraz, jak powiedział Mercado, zamierzał wrócić do Etiopii, w której groziła mu śmierć. Męstwo to jedno, ale ryzykanctwo to coś zupełnie innego. Purcell zastanawiał się, co mogło wpłynąć na decyzję pułkownika Ganna.

Gdy wyszli z helikoptera, kazano im, z nogami skutymi kajdanami, biec boso po asfalcie. Zapędzono ich do czterech osobnych wozów policyjnych. Zanim się rozdzielili, Vivian krzyknęła do Henry'ego:

– Kocham cię!

Lecz Henry nie odpowiedział. A może jej nie usłyszał.

Potem Vivian odwróciła się do Purcella i spojrzeli sobie w oczy. Posłała mu smutny uśmiech, zanim policjant wepchnął ją do samochodu.

Frank i Vivian zobaczyli się ponownie w Hiltonie. Henry zaś miał zobaczyć Vivian po raz wtóry za piętnaście minut.

– Jeśli masz jakieś wątpliwości, mogę pójść z tobą – powiedział Purcell.

– Nie. Muszę to skończyć i mieć to za sobą. A potem skupić się na tym, co mamy zrobić.

– W porządku – odparł Purcell.

Taki scenariusz jak wieczny trójkąt w Wiecznym Mieście nie istniał. Purcell przypuszczał, że Henry poprosił o półgodzinne spotkania w cztery oczy ze swoją byłą kochanką nie bez powodu. Pomyślał też, że Vivian zgodziła się na to, by – jak sama powiedziała – zapomnieć i pójść do przodu. Z drugiej jednak strony Henry miał wiele ukrytych celów i nie wiadomo było, który przyświecał mu tym razem.

Vivian przyglądała się kocom rozpostartym na chodnikach wokół Termini, a uliczni sprzedawcy raz za razem pokrzykiwali, starając się przyciągnąć jej uwagę. Odzwała się do jednego z nich po amharsku. Mężczyzna najpierw się zdziwił, lecz po chwili na jego twarzy pojawił się zachwyty.

Vivian zatrzymała się i spojrzała na rzemieślnicze wyroby ułożone na kocu. Mężczyzna

odezwał się do niej, mówiąc coś szybko najpierw po amharsku, a potem po włosku.

Purcell zerknął na rzeczy na sprzedaż. Zobaczył kilka przedmiotów wyrzeźbionych z czegoś, co wyglądało na drewno tekowe i heban. Zauważył też paciorki i kilka rzeźb z czarnego jak smoła obsydianu wypolerowanego na wysoki połysk. Była wśród nich miniaturka charakterystycznej ośmiokątnej katedry Świętego Jerzego w Addis Abebie.

Purcell uśmiechnął się i powiedział:

– Znaleźliśmy czarny klasztor.

– To Święty Jerzy w Addis Abebie, Frank.

– O wiele mniejszy niż ten, który pamiętam.

Tuż obok uliczna handlarka sprzedawała wyszywane shammy.

– Włóżmy je na obiad – zaproponował Purcell.

Vivian zaskoczyła go, mówiąc:

– Ostatnim razem, kiedy Henry widział nas w shammach, nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Purcell nie odpowiedział. Podeszedł do następnego koca usłanego towarami z brązu i wypatrzył puchar do wina, podobny do tych, które miał w swoim namiocie książe Jozue. Handlarz zażądał pięćdziesięciu tysięcy lirów, Purcell zaproponował dziesięć; ostatecznie stanęło na dwudziestu.

Purcell wrócił do Vivian targującej się o miniaturę katedry i pokazał jej puchar.

– Znalazłem Świętego Graala – oświadczył.

Vivian się roześmiała.

– Proszę – powiedział Purcell, wręczając jej naczynie. – Daj to Henry’mu i powiedz mu, że misja zakończona.

Vivian przyjrzała się pucharowi z młotkowanego brązu. Wyglądał na bardzo stary, ale wykonano go zapewne tydzień temu.

– Jak go poznamy? – zapytała.

– Rzec przemówi sama za siebie.

Vivian skinęła głową i oddała puchar Purcellowi, mówiąc:

– Sam mu go daj.

Zjawiała się *polizia* dokonująca rutynowego obchodu Termini i przeganiająca ulicznych handlarzy, którzy zaczęli zwijać koce z ich zawartością, by przenieść się parę metrów dalej i ponownie rozłożyć je na chodniku. Purcell zauważył, że nikt nie traktował tego zbyt poważnie. Pomyślał, że Henry znalazł być może właściwe miejsce, w którym mógłby żyć i umrzeć. O ile nie umarłby w Etiopii. Podobnie jak on i Vivian.

Purcell spytał policjanta o drogę na Via Gaeta. Pokonali jeszcze razem część drogi, a gdy

się zatrzymali, powiedział:

- Do zobaczenia za pół godziny.
- Nie spóźnij się – usłyszał.
- Mogę przyjść za wcześniej – odparł.

Vivian uśmiechnęła się i powiedziała poważnym tonem:

– Jeśli Henry chce zapomnieć o przeszłości, pokona swój gniew i będzie z nami w tych... paskudnych, jak sądzę, okolicznościach, to ty...

- Rozumiem.
- W porządku – powiedziała.

Dała mu szybkiego całusa, odwróciła się i odeszła.

Purcell zerknął na zegarek i zapuścił się w uliczki otaczające dworzec Termini. Wszedł do jednego z pubów. Jego klienci byli w większości ciemnoskórzy, chociaż samo wnętrze urządzone w tradycyjnym rzymskim stylu.

Purcell usiadł przy niewielkim barze i zamówił espresso, lecz po chwili zmienił zdanie. Poprosił o *vino rosso*.

Henry Mercado miał smykałkę do układania scenariuszy i wyszukiwania scenografii. Był właściwie artystą. Iluzjonistą. Purcell dostrzegał to w niektórych jego artykułach. Raczej sugerował przebieg wydarzeń, niż go sucho relacjonował. Dodawał do tego swoje własne głębokie przemyślenia. Henry manipulował słowami w taki sam sposób jak ludźmi. Purcell nie wątpił, że objawienie, którego Mercado doznał w gułagu, było prawdziwe; tkwiący w nim poganin wcale się jednak nie zmienił. Gdyby Henry Mercado nie był dziennikarzem katolickim, zostałby pewnie magikiem albo czarodziejem. Purcell nie przypuszczał jednak, że potrafiłby ponownie zafascynować Vivian – mógłby jednak wykorzystać jej poczucie winy.

Zamówił kolejną lampkę wina i spojrzał na stałych bywalców pubu widocznych w lustrze za barem. Etiopia wypluwała znaczną część swej populacji, a zwłaszcza przedsiębiorców i profesjonalistów, a także starą arystokrację, która opuściła kraj, by uniknąć szubienicy lub plutonu egzekucyjnego, oraz koptyjskich i katolickich duchownych przeczuwających zagrożenie ze strony bezbożnych rewolucjonistów. To, co działo się w Etiopii, było właściwie powtórką wydarzeń z czasów rewolucji w Rosji i we Francji: odizolowane elity straciły kontakt z ludem i rzeczywistością, zatem lud wdarł się wraz z rzeczywistością do pałaców i kościołów. Porządek obowiązujący w Etiopii od trzech tysięcy lat upadał, i dlatego Święty Graal był do wzięcia.

Purcell pomyślał, że odnalezienie czarnego klasztoru przez rewolucjonistów jest tylko kwestią czasu. Budowla była dobrze ukryta, lecz niczego nie da się ukrywać w nieskończoność, choć Purcell wiedział, że lokalizacja zaginionego miasta Majów

pozostawała w tajemnicy przez stulecia w dżunglach znacznie mniejszych niż ta w Etiopii.

Nie miało znaczenia, kto odnajdzie klasztor; Purcell był pewien, że Graal zniknie, zanim pierwsi nieproszeni goście pokonają jego mury. A jednak...

Purcell wyjął brązowy puchar z kieszeni prochowca i wpatrzył się w naczynie.

Właściciel pubu, Włoch, również na nie spojrzął, a potem ruchem głowy wskazał swoich klientów i powiedział po angielsku:

– Etiopski chłám.

Nie chcąc wyjść na naiwnego turystę, Purcell odparł:

– To Święty Graal.

Właściciel knajpy się roześmiał.

– Ile pan za to płacił?

– Dwadzieścia tysięcy.

– Za dużo. Dziesięć.

– To potrafi przemienić wino w krew Chrystusa.

Właściciel znów się roześmiał.

– Okej, jest wart dwadzieścia.

Purcell położył na barze dziesięć tysięcy lirów i wyszedł na skąpaną w słońcu ulicę. Ruszył do Etiopii.

ROZDZIAŁ 22

Purcell wypatrzył Vivian i Mercado siedzących w głębi ciemnej restauracji. Nie było to typowe *tête-à-tête*, ale wyglądali na rozluźnionych, rozmawiali i się uśmiechali.

Purcell przemknął obok hostessy, podszedł do stolika i powiedział:

– Przepraszam za spóźnienie.

– Właściwie przyszedłeś troszkę za wcześnie – odparł Mercado.

Purcell nie uściśnął dłoni Mercado ani nie ucałował Vivian na powitanie i usiadł, nie zdjawszy prochowca. Zauważył nieco modniejszy ubiór Henry’ego: jego czarną skórzaną marynarkę i czarną koszulę z jedwabiu.

– Henry powiedział mi o obecnej sytuacji – powiedziała Vivian.

– To dobrze.

Na stoliku stała butelka wina. Henry napełnił kieliszek Purcella i uniósł swój, mówiąc:

– *Per aspera ad astra*. Przez trudy do gwiazd.

Ciekawe, ile jeszcze łańskich toastów zna Mercado?, pomyślał Purcell.

Stuknęli się lampkami.

– Za pokój i przyjaźń – zaproponowała Vivian.

Purcell zapalił papierosa i rozejrzał się po restauracji. Wnętrze wyglądało tak, jakby całe jego wyposażenie wykonano z koców; koce wisiały również na ścianach. Połowa stolików była pusta, a klientelę stanowili głównie dobrze ubrani Afrykańczycy; Purcell pomyślał, że to przedstawiciele etiopskiej śmietanki towarzyskiej wyrzuconej na brzeg Tybru.

Usiłując podtrzymać rozmowę, Vivian rzekła:

– Henry powiedział mi o swoich poszukiwaniach w Archiwach Watykańskich.

Purcell się nie odezwał.

– Nie zrobiło to na Franku wrażenia – zwrócił się do Vivian Mercado.

Vivian zamilkła w oczekiwaniu na odpowiedź Purcella, po chwili powiedziała:

– To dziwne, że nie wpuszczono was do Kolegium Etiopskiego.

– Wymyślę coś – zapewnił ją Mercado. – To rodzaj przyziemnych poszukiwań, który przemówiłby do przyziemnej wyobraźni Franka.

Mercado i Vivian wrócili do rozmowy, którą rozpoczęli przez przybyciem Purcella, on zaś wiedział, że nie zachowuje się w cywilizowany ani wyszukany sposób, co zapewne niezmiernie ucieszyło Mercado. Chcąc uniknąć późniejszych wymówek ze strony Vivian i nie dać Henry’emu satysfakcji, powiedział zatem:

– Ustaliliśmy z Henrym, że możemy się nie zgadzać w pewnych sprawach, ale zgadzamy

się co do tego, że wszyscy troje wrócimy do Etiopii, jeśli tylko uda nam się do niej wjechać, i zaczniemy tam, gdzie przerwaliśmy, kiedy pochowaliśmy ojca Armano.

Vivian skinęła głową i przypomniała Purcellowi:

– Masz coś dla Henry’ego.

– Tak? Aaa...

Purcell sięgnął do kieszeni i postawił na stole puchar z brązu.

Mercado podniósł go i przyjrzał mu się.

– Znaleźliśmy Świętego Graala – oświadczył Purcell.

– Na ulicznym straganie w pobliżu Termini – dodała Vivian.

Mercado roześmiał się, odwrócił naczynie do góry nogami i powiedział:

– Faktycznie, znaleźliście. Wyprodukowano w Jerozolimie, w dziesiątym roku przed Chrystusem, własność j. z Arymatei.

Vivian wybuchnęła śmiechem.

– Dobrze się spisaliście – rzekł Mercado. – Teraz będziemy mogli z Frankiem opisać tę historię, a później każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

Byłoby miło, pomyślał Purcell, lecz nie chcąc psuć atmosfery, powiedział tylko:

– Musisz zbadać tego Graala, Henry.

Wszyscy się roześmiali. Mercado chwycił butelkę i napełnił naczynie z brązu winem.

Oświadczył uroczyście:

– Wypijemy z niego na znak naszego przymierza.

Podał puchar Vivian, która przytknęła go do ust i upiła wina, a potem wręczyła naczynie Purcellowi. Purcell również wypił i przekazał puchar Mercado, który opróżnił go do końca i powiedział:

– Niech Bóg pobłogosławi naszą podróż.

Vivian chwyciła obu mężczyzn za ręce, lecz Purcell i Mercado nie podali sobie dłoni.

Pochyliła głowę i rzekła:

– Boże, ześlij spokój na ojca Armano i wszystkich, którzy cierpią i umierają w twoim imieniu, w Etiopii i na całym świecie.

– Amen – powiedział Mercado.

Kelner, wysoki i szczupły ciemnoskóry mężczyzna w kolorowej shammie, zauważył, że skończyli modlitwę, i podszedł do ich stolika z kartami dań, lecz Mercado wstał i oświadczył:

– Zostawię was, byście mogli się nacieszyć tutejszym cudownym jedzeniem i swoją obecnością po długiej rozłące.

– Zostań – powiedział z przymusem Purcell.

– Tak, zostań z nami, Henry.

– Mam w biurze kupę roboty.

Purcell wstał i uściśnił sobie dłonie. Mercado podszedł do Vivian, cmoknął ją w policzek i wyszedł.

Purcell usiadł. Kelner położył na stole dwie karty dań.

– Dziękuję – powiedziała Vivian.

Purcell zajął się menu.

– Wyjaśniliśmy sobie wszystko – poinformowała Purcella Vivian.

– To dobrze. Mam nadzieję, że lubisz jagnięcinę. Jest też ryba zwana rybą świętego Piotra.

– On rozumie, co i w jaki sposób się stało. Rozumie również, że się kochamy.

– To dobrze.

– Powiedziałeś mu, że się kochamy?

Purcell odłożył menu.

– Kiedy z nim rozmawiałem, nie wiedziałem, czy tak jest.

– Teraz już wiesz.

– Tak – rzekł Purcell i spojrzał na Vivian. – Dam ci pewną radę, Vivian. Henry Mercado to czarujący łobuz. Do tego manipulator i kanciarz. Nie zrozum mnie źle, lubię go. Ale musimy mieć na niego oko.

Vivian zamilkła.

– On nie próbuje mnie... uwieść – rzekła po dłuższej chwili.

– Zrobiłby to, gdyby mógł. Ale nie o tym mówię; chodzi mi o naszą spółkę z Henrym – wyjaśnił Purcell i ruchem głowy wskazał puchar. – O nasze nowe przymierze.

Vivian nie odzywała się przez kilka sekund. W końcu powiedziała nieco refleksyjnym tonem:

– Henry łatwo mnie dostał. Ale moim zdaniem wie, że znalazł w tobie godnego przeciwnika.

Purcell nie ująłby tego lepiej. Uśmiechnął się do Vivian i odparł:

– Tylko ty jesteś godnym mnie przeciwnikiem.

– Nie dorastasz mi do pięt.

– To prawda.

Vivian napełniła puchar winem i podała go Purcellowi. Wypił i oddał jej naczynie.

– Jeśli wierzysz w miłość, to wierzysz w Boga – powiedziała.

Gdzie to już wcześniej słyszał?

Kilka dni później ktoś – Mercado albo posłaniec – zostawił w hotelu kopertę, z której Purcell i Vivian wyjęli częściowo wypełnione podania o ich wizy; w dokumentach brakowało tylko danych z paszportów oraz podpisów. W kopercie była też kartka od Henry’ego: „Zanieście te papiery do etiopskiej ambasady osobiście, jak najszybciej. Trzymajcie kciuki”.

Następnego ranka Purcell i Vivian odwiedzili ambasadę Etiopii. Musieli czekać pół godziny, zanim przyjął ich urzędnik konsularny, który wyglądał jak krewny Getachu. Poprzedni personel dyplomatyczny oczywiście zwolniono. Poprzedni pracownicy ambasady niewątpliwie postanowili nie wracać do Etiopii, gdzie postawiono by ich przed plutonem egzekucyjnym, i prawdopodobnie nie opuścili Rzymu, idąc w ślady swych rodaków zmuszonych do życia na obczyźnie. Kolonialne więzi między Włochami a Etiopią miały krótką historię i były słabe, lecz wciąż istniały. Purcell zauważył to w okolicach Termini. Przypuszczał, że coraz straszliwszy przebieg etiopskiej rewolucji doprowadzi do pojawienia się we Włoszech kolejnych dobrze sytuowanych uchodźców. Tymczasem musiał sobie poradzić z niemiłym urzędnikiem, który nie znał angielskiego i porozumiewał się z Vivian, mocno kalecząc włoski. Vivian zachowywała spokój i nie przestawała się uśmiechać. Urzędnik zdawał się nie wierzyć, że ktoś mógłby chcieć pojechać do Republiki Ludowej w celu zgodnym z prawem. Miał rację. Zatrzymał paszporty Purcella i Vivian i oświadczył, że ambasada zwróci je – z wizami lub bez nich – do redakcji „L’Osservatore Romano”. Przyjął również dwieście tysięcy lirów za szybkie załatwienie sprawy.

Vivian przetłumaczyła Purcellowi radę, której urzędnik ambasady udzielił im na pożegnanie: Jeśli nie otrzymacie wiz, nie starajcie się o nie ponownie, a jeśli dostaniecie zgodę na podróż jako dziennikarze, będziecie musieli powstrzymać się od jakichkolwiek innych działań.

Vivian zapewniła mężczyznę, że to rozumieją, i powiedziała:

– *Buongiorno.*

Spędzili kilka następnych przedświątecznych dni na zwiedzaniu miasta. Vivian powiedziała, że była już kiedyś w Rzymie podczas wycieczek szkolnych, lecz nie miała okazji poznać go jako dorosła. Purcell zabierał ją więc na wieczorne spacer, pokazując między innymi Zatybrze i spłowiął Via Veneto; pokazał też hotel Excelsior, w którym zatrzymał się i przypuszczalnie popijał Henry. Nie weszli jednak do hotelowego baru. Wpadli za to do Harry’s, a gdy wypili po drinku przy barze, Purcell opowiedział Vivian, jak natknął się tu na Henry’ego.

- Dziękuję, że to robisz – rzekła Vivian.
- Właśnie tego chciałaś.
- Czy to było... niezręczne?
- Tak, ale przeszliśmy do ważniejszych kwestii.
- Wiedziałam, że zachowacie się dojrzałe.
- Nie ja to powiedziałem.

Vivian uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała Purcella.

- *Bellissimo* – odezwał się barman.

Gdy przechadzali się po mieście za dnia, Purcell zabierał Vivian w mało uczęszczane miejsca. W kaplicy Quo Vadis zainteresowała się odciskami stóp Chrystusa w kamiennej płycie wmurowanej w posadzkę.

- Mogą być prawdziwe – rzekła.
- Nigdy nie wiadomo.

Telefon do Henry'ego sprawił, że ich nazwiska pojawiły się na liście gości przy Porta Santa Rosa. Gdy przemierzali czterdzieści hektarów Watykanu, Purcell pokazał Vivian budynek, w którym mieściło się biuro Henry'ego, a także Kolegium Etiopskie ze znikającymi i pojawiającymi się w wejściu zakonnikami w czarnych habitach i seminarzystami.

- Czy pozwolą mi tam wejść? – zapytała Vivian.
- Dobre pytanie. Raczej trudno tu o równouprawnienie, ale spróbujemy.
- Włożę twój prochowiec.
- Oni żyją w celibacie, Vivian, ale nie są ślepi.

Henry dostarczył im przepustki na pasterkę już wcześniej. O dwudziestej trzeciej spotkali się z nim przy Porta Santa Rosa i weszli do Bazyliki, uniknąwszy przepychania się przez tłumy na placu Świętego Piotra.

Watykańska pasterka wywarła na Purcellu takie samo wrażenie jak wtedy, gdy oglądał ją w telewizji, siedząc w nowojorskim barze.

Vivian – jak można było się spodziewać – poruszyły wielka gala oraz przemowa papieża, który ogłosił, iż rok 1975 będzie Rokiem Jubileuszowym. Purcell nie znał wprawdzie włoskiego ani łaciny, lecz zaimponowały mu historia i majestatyczność rzymskiej mszy. Zaczął się zastanawiać: gdzie trafiłby Święty Graal? Na ołtarz Bazyliki czy do Muzeów Watykańskich? Zaproponowałby ołtarz i może nawet miałby wpływ na tę decyzję. Uśmiechnął się do swoich absurdalnych myśli.

- Jak dobrze widzieć, że się cieszysz – szepnęła mu do ucha Vivian.

Wcześniej Henry zaproponował im późną kolację w getcie żydowskim. Wyjaśnił:

- W tej chwili wszystkie inne knajpy w Rzymie są zamknięte.

Na ulicach nie było taksówek ani autobusów; powędrowali więc pieszo wzdłuż Tybru i weszli do restauracji Vecchia Roma przy Piazza di Campitelli.

Wszystkie miejsca były zajęte, lecz hostessa natychmiast zaprowadziła ich do wolnego stolika.

– Obiecałem im czterogwiazdkową recenzję w „L’Osservatore Romano” – zwierzył się Henry.

– Pisujesz recenzje restauracji? – zapytała Vivian.

– Nie, a gazeta ich nie publikuje.

Vivian i Purcell wymienili spojrzenia.

– Czerwone czy białe? – zapytał Henry.

– Jedno i drugie – odparł Purcell.

Przyjrzał się ścianom pokrytym freskami, lecz nie dostrzegł na nich niczego, co miałyby szczególnie żydowski charakter. Zauważył natomiast, że restaurację udekorowano typowo bożonarodzeniowymi ozdobami.

– Żydzi pojawili się w tym getcie na długo przed czasami Chrystusa – rzekł Mercado. – Powiedziałbym, że są bardziej rzymscy niż sami rzymianie. Jestem pewien, że Piotr i Paweł czuli się tu doskonale, przebywając wśród swoich ziomków.

– Zdumiewające – powiedziała Vivian.

Podano wino. Henry wznosił toast:

– Wesołych świąt.

– I szczęśliwego, zdrowego i spokojnego Nowego Roku – dodała Vivian.

Zdaniem Purcella ich plany na Nowy Rok nie wiązały się z żadną z tych rzeczy; powiedział zatem:

– Za bezpieczną i udaną podróż.

– Dziękujemy ci za ten wieczór – zwróciła się do Henry’ego Vivian.

– Podzielimy rachunek – zaproponował Purcell.

– Nie, nie – zaprotestował Mercado. – To mój świąteczny prezent dla was.

– Dziękujemy – powiedziała Vivian.

Purcell zauważył, że na stoliku ustawiono cztery nakrycia. Był ciekaw, czy nie dołączy do nich przyjaciółka Mercado, lecz o to nie zapytał. Henry jednak sam poruszył ten temat:

– Mam w Rzymie starą przyjaciółkę, Jean, o której wspominałem Frankowi. Niestety, nie mogła do nas dołączyć.

Purcell miał wątpliwości, czy dama rzeczywiście ma na imię Jean. Spojrzał na Henry’ego, który się uśmiechnął. Sukinsyn.

– Chcielibyśmy ją poznać – rzekła Vivian.

Zajrzeli do menu. Vivian stwierdziła, że potrawy w Vecchia Roma nie różnią się zbyt od tradycyjnych włoskich dań, lecz Mercado zapewnił ją, iż istnieją subtelne różnice dzielące obie kuchnie. zaproponował, że zamówi kolację dla wszystkich, i tak uczynił. Później wodził rej aż do zakończenia kolacji. Gdyby Purcell miał mniej rozumu, pomyślałby, że Henry próbuje ponownie wyrzucić wrażenie na Vivian. Ona jednak doskonale radziła sobie z tą sytuacją, poświęcając tyle samo czasu gospodarzowi i byłemu kochankowi, co nowemu amantowi.

Wyszli z restauracji o trzeciej nad ranem. Mercado jeszcze przez chwilę towarzyszył Purcellowi i Vivian w drodze do ich położonego niedaleko hotelu; w końcu złożył im życzenia świąteczne i pomaszerował do Excelsioru.

Trzymając się za ręce, Purcell i Vivian wędrowali cichymi ulicami.

– Nie wiedziałam, że Henry ma przyjaciółkę w Rzymie – rzekła Vivian.

– Jestem pewien, że ma przyjaciółkę w każdym mieście – odparł Purcell.

– A ty?

– Tylko w czterech: w Addis Abebie, w Kairze, w Genewie i w Rzymie.

Vivian przechyliła głowę i pocałowała Purcella. Poszli dalej.

– Czyż ta msza nie była piękna? – zapytała Vivian.

– Tak, była.

– Mógłbyś zamieszkać w Rzymie?

– Musiałbym tu sobie znaleźć jakąś pracę.

– Gdybyś znalazł Świętego Graala, najprawdopodobniej nie byłaby ci potrzebna.

– Racja. Poprosimy o dziesięć milionów. Dolarów, nie lirów.

– Nie ukradniemy Graala ani go nie sprzedamy. Ty i Henry napiszecie książkę, ja dodam zdjęcia i wszyscy będziemy sławni.

– Nie zapomnij aparatu.

Gdy rozmawiali w Kairze o pieniądzach, Purcell poinformował Vivian, że agencja AP zatrudniająca go podczas jego uwięzienia w obozie Czerwonych Khmerów wspaniałomyślnie wypłaciła mu zaległą roczną pensję. Nie był to najłatwiejszy zarobek, podobnie jak w przypadku Henry’ego, który spędził cztery lata w gułagu, ale pieniądze te pojawiły się w samą porę, gdy odebrał je w Nowym Jorku. Wciąż miał na koncie większość tej kwoty; mógł dzięki temu pozwolić sobie na spędzenie świąt w Rzymie, podczas gdy koszty wyprawy do Etiopii miały zostać pokryte przez „L’Osservatore Romano”. Purcell zakładał, że Henry dopilnuje, aby w podobny sposób sfinansować podróż Vivian jako fotografki.

W Kairze Vivian powiedziała Purcellowi, że ulokowała pewną kwotę w funduszu powierniczym, lecz nigdy nie wspomniała o pochodzeniu pieniędzy ani nie powiedziała

niczego o swojej rodzinie. Jedynym znanym Purcellowi faktem z przeszłości Vivian była jej nauka w genewskiej szkole z internatem. Gdyby chciała powiedzieć mu więcej, zrobiłaby to. Tymczasem przebywali w Rzymie i byli w sobie zakochani. *La dolce vita*.

W pierwszym dniu świąt większość rzymskich restauracji była zamknięta, lecz konsjerż zarezerwował Purcellowi i Vivian świąteczny obiad w Grand Hotel de la Minerva, ponieważ, jak powiedział, Vivian jest piękna jak Minerwa. Kosztowało to Purcella trzydzieści tysięcy lirów; za obiad zapłaciła jednak Vivian – był to jej bożonarodzeniowy prezent dla ukochanego. Prezentem Purcella dla Vivian była wycieczka do Toskanii.

Pojechali samochodem wypożyczonym przez Purcella. Spędzili w Toskanii tydzień, zwiedzając i zatrzymując się w wiejskich zajazdach. Potem wyruszyli na sylwestra do Florencji. Wmieszali się w tłum na Piazza della Signoria i świętowali początek nowego roku w pogodną, chłodną zimową noc.

Późnym popołudniem pierwszego stycznia wrócili do swojego rzymskiego hotelu Forum.

Recepcjonista wręczył im odręczną notkę od Henry'ego: „Płk Gann przyleci na Fiumicino 4 stycznia. Zatrzyma się w Excelsiorze. Kolacja na dachu Hasslera o 8. Zadzwońcie do mnie, jak wrócie. Czy w przyszłym tygodniu będziecie mogli pojechać do Berini? Dobre wieści w sprawie waszych wiz. Pozdrawiam, Henry”.

– Wygląda na to, że jedziemy do Etiopii – orzekł Purcell.

Vivian skinęła głową.

Wrócili do swojego pokoju. Purcell podniósł słuchawkę telefonu i wybrał służbowy numer Henry'ego.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedział.

– Wzajemnie. Jesteście w Rzymie?

– Tak. Otrzymaliśmy twoją wiadomość.

– Dobrze. Wpadnijcie na drinka i nadrobimy zaległości. O piątej w Excelsiorze.

– O szóstej, do zobaczenia zatem – powiedział Purcell.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Vivian:

– Mogę pójść sam.

– Pójdziemy razem. Będzie mnóstwo spraw do omówienia.

– Jak zwykle z Henrym.

– Teraz, kiedy to wszystko nabiera realnych kształtów... zaczynam się trochę bać.

Purcell spojrzął na Vivian i powiedział:

– Czuję się tak przed każdym zadaniem na wrogim terytorium, ale zapewniam cię, że to

normalne.

– W Etiopii byłam po raz pierwszy w strefie wojennej – powiedziała Vivian i się uśmiechnęła. – Byłam przejęta i zupełnie zielona.

– Teraz jesteś doświadczoną weteranką.

– Bóg będzie nad nami czuwał. Jak poprzednim razem.

Purcell pomyślał, że boska cierpliwość w stosunku do nich mogła już być na wyczerpaniu, wołał więc nie odpowiadać.

ROZDZIAŁ 24

Purcell domyślił się, że bar hotelu Excelsior wyglądał na staroświecki już w dniu otwarcia. Henry musiał się tu czuć jak u siebie i wydawało się, że wszyscy go znają. Purcell pomyślał, że pewnego dnia imieniem Mercado zostanie nazwany któryś z podawanych w barze drinków.

Zaprowadzono ich do stolika przy oknie. Złożyli zamówienie. Obsługujący ich kelner, Giancarlo, przywitał *signore* Mercado, zwracając się do niego po nazwisku; wiedział także, co zazwyczaj pija Henry.

Purcell przypomniał sobie chwilę w barze Harry's, kiedy *signore* Mercado powiedział mu, że nie chciałby go spotkać w Excelsiorze. Od tamtej pory przebyli długą drogę. Purcell zauważył, że Henry włożył intensywnie niebieski garnitur, białą jedwabną koszulę i coś, co wyglądało na jedwabny włoski krawat. Najwyraźniej wybrał się na zakupy. Vivian również coś sobie kupiła, wcześniej, we Florencji. Wyglądała doskonale w białej sukience z jedwabiu, której Henry nie omieszkiał skomplementować.

Purcell czuł się nieco niezręcznie, ponieważ miał na sobie sportową marynarkę, którą przywiózł z Kairu. I on mógłby kupić sobie coś nowego, lecz przecież nie zamierzali zostać w Rzymie dłużej.

Był noworoczny wieczór – Purcell przypomniał sobie, że w Stanach o tej porze panuje spokój – lecz bar Excelsioru pękał w szwach.

– Włosi wezmą sobie wolne do końca tygodnia – powiedział Mercado.

– A ty? – zapytał Purcell.

– Jak dobrze wiesz, prasy drukarskie nigdy się nie zatrzymują. Będę brał wolne popołudnia.

– Czy dołączy do nas Jean? – zaciekała się Vivian.

– Musiała wyjechać do Londynu – odpowiedział Mercado.

Purcell zapalił papierosa.

– Zatem mamy już nasze wizy? – zapytała Vivian.

Mercado sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął dwa paszporty. Wręczył Purcellowi niebieski, a następnie otworzył czerwony szwajcarski paszport Vivian i powiedział:

– To zdjęcie nigdy nie oddawało całej prawdy.

Tym razem, pomyślał Purcell, Henry zasłużył sobie, by dostać w gębę, lecz postanowił zaczekać i przekonać się, czy Mercado w dalszym ciągu będzie zachowywać się jak dupek. Postanowił, że jeśli tak się stanie, zabierze Vivian z baru.

Lecz Henry oznajmił rzeczowym tonem:

– Tak samo jak zwykle: macie pieczątki wizowe w paszportach.

Wyjął z kieszeni dwie kartki i dodał:

– A to są kopie waszych podań o wizy, podpisane i opatrzone pieczątką przez konsula generalnego.

To mówiąc, wręczył Purcellowi i Vivian dokumenty.

Purcell zajrzał do swojego paszportu i ujrzał czerwony odcisk pieczątki wizowej. Wyglądała inaczej niż poprzednio: ktoś wydrapał z niej Lwa Judy. Ta sama pieczętka widniała na podaniu o wizę; była równie odmieniona, co Etiopia.

Podano drinki.

– Dziś płaci „L'Osservatore Romano” – oświadczył Henry.

Stuknęli się lampkami.

– Masz nasze legitymacje prasowe? – zapytał Purcell.

– Tak – odpowiedział Mercado.

Wręczył swoim towarzyszom legitymacje oraz dość obszerny dokument w kilku językach, w tym w amharskim, arabskim i tigrinia. Powiedział, że to rodzaj dziennikarskiego listu żelaznego, i się uśmiechnął.

Lecz Purcell i Vivian nie odwzajemnili jego uśmiechu.

Giancarlo podał przystawki: orzechy, oliwki i sery, Purcell zaś pomyślał, że najczęściej właśnie tak wygląda kolacja Henry'ego.

– Czy masz już jakieś wiadomości w sprawie Kolegium Etiopskiego? – zapytał.

– Jeszcze nie – odpowiedział Mercado. – Będzie zamknięte do Objawienia Pańskiego.

– To dobry moment, żeby się do niego włamać.

Mercado spojrzął na Purcella, lecz się nie odezwał.

Vivian również przemilczała tę kwestię. Zapytała natomiast:

– Wpuszczają mnie do Kolegium?

– Nie.

– Jak myślisz, Henry: dlaczego nie pozwolono nam wejść? – zapytał Purcell.

Mercado zastanowił się i odpowiedział:

– To zależy od poziomu paranoi. Kolegium Etiopskie to bardzo odizolowane miejsce. Z pewnością nie dzieje się w nim nic dziwnego ani tajemniczego, lecz ceni się tam prywatność.

– Wszyscy ją cenimy, Henry, ale przecież to nie klasztor na szczycie góry albo w dżungli. To własność Watykanu pod rządami państwa papieskiego. Kto tu ustala zasady? Oni czy Watykan?

– Są na wpół niezależni – odpowiedział Mercado. – Forsuję historyjkę, że chcemy znaleźć materiały, dzięki którym po wyjeździe do Etiopii napiszemy artykuł na pierwszą stronę, co w gruncie rzeczy jest prawdą. Ale nie forsuję jej tak mocno, by ktoś mógł pomyśleć, że chodzi o coś więcej niż tylko o moją dziennikarską dociekiwość.

– W porządku – odparł Purcell. – Czy biblioteka jest warta zachodu?

– Myślę, że mapy mogą się okazać nieocenione. Ale mogę się mylić.

Purcell skinął głową. Czas, który Henry spędził w Bibliotece Watykańskiej, oraz jego prośba o wstęp do Kolegium Etiopskiego znacznie wykraczały poza potrzeby dziennikarza „L'Osservatore Romano”. A z drugiej strony – gdyby któryś z watykańskich hierarchów zadał sobie trud skompletowania tej układanki i skojarzył, że Henry chce wrócić do piekła w towarzystwie tej samej fotoreporterki i tego samego dziennikarza – rzecz wyszłaby na jaw. A właściwie wyszłyby na jaw dwie rzeczy: że Mercado zamierza udawać dziennikarza wykonującego swoją pracę, a ponadto interesuje się czymś, o czym nie powinien wiedzieć. Elementem układanki, który dopełniłby całości, byłaby informacja o śmierci ojca Armano przekazana Watykanowi przez Henry'ego. Sugerowałaby ona, że Henry mógł usłyszeć ostatnie słowa ojca Giuseppe Armano – tego, który nosił kiedyś przy sobie papieski list nakazujący mu wykraść Świętego Graala z koptyjskiego klasztoru.

– O czym myślisz, Frank? – zapytał Mercado.

– O naszym artykule na pierwszą stronę.

– Jego piękno polega na tym, że jest prawdziwy.

– Racja. – Do momentu, kiedy weszli do dżungli.

Lecz nawet wtedy wykonywali swoje zadania, chociaż niekoniecznie dla „L'Osservatore Romano”.

Purcell pomyślał również, że Henry ma w sobie o wiele więcej entuzjazmu, niż było to widać w barze Harry's. Być może natchnął go Duch Święty, a może Henry tylko wyczuł szansę na napisanie dobrego tekstu – Świętego Graala wśród artykułów prasowych. Oczywiście zamierzał się również zrehabilitować z powodu swego kiepskiego zachowania w Etiopii. Nie chciał, by Vivian i Frank Purcell pomyśleli, że obleciał go strach. Byłoby dobrze, gdyby Henry skorzystał z własnej rady i pojechał do Etiopii z właściwych powodów.

Wyglądało na to, że Henry postanowił zmienić temat, ponieważ zaczął wypytywać Purcella i Vivian o ich wycieczkę do Toskanii. Na jego pytania odpowiadała głównie Vivian. Henry stwierdził, że musiała to być cudowna podróż, i dodał:

– Jeśli będziecie mogli, zobaczcie Toskanię wiosną lub jesienią. Jest wtedy najpiękniejsza. Latem trzymajcie się od niej z daleka, bo pełno tam wtedy Angoli. – Uśmiechnął się. – Włosi mówią na nią: *Toskanshire*.

Henry udzielił im jeszcze kilku innych podobnych rad. Słuchającemu go Purcellowi przyszło do głowy, że Mercado może czuć się samotny. Na pewno miał w Rzymie wielu znajomych, w tym kolegów z gazety oraz wszystkich barmanów i kelnera przy Via Veneto. Była również tajemnicza dama, która nie miała na imię Jean. Purcell potrafił jednak wyczuwać czyjąś samotność, gdyż sam jej doświadczył. W rzadkim odruchu współczucia zrozumiał, że Henry stracił w Etiopii kogoś więcej niż kochankę – stracił przyjaciółkę. Albo – jeśli wziąć pod uwagę różnicę wieku – młodą podopieczną; kogoś, kogo mógł uczyć. A może kogoś, kim mógł manipulować?

Gdy Henry rozprawiał o Perugii albo którymś z innych włoskich miast, Purcell zerknęła na Vivian i wydało mu się, że z jej oczu zniknął dawny blask, który pojawiał się, kiedy słuchała Henry'ego. Istotnie Vivian, podobnie jak Purcell, zmieniła się pod wpływem etiopskich doświadczeń. Wcześniej, w Addis Abebie, a także w drodze na linię frontu – nie wspominając już o mineralnych źródłach albo namiocie księcia Jozuego – wydawała się Purcellowi trochę... niedojrzała, prawie dziecinna. Lecz szybko to nadrobiła, jak wszyscy, którzy doznali okrucieństw wojny. Purcell wiedział także, że głęboki wpływ na Vivian wywarły spotkanie z ojcem Armano oraz jej niedawne uczuciowe komplikacje. Wyjazd Vivian był wynikiem jej dojrzałej decyzji i chociaż Purcell kochał kobietę, która zostawiła go w Kairze, to wołał tę, którą spotkał w Rzymie.

Henry natomiast zdawał się robić krok wstecz, lecz Purcell nie zamierzał lekceważyć tego starego lisa.

Mercado zaczął opowiadać o Mediolanie. Vivian, słuchając z uwagą, co chwilę kiwała głową, chociaż dyskretnie przewracała również oczami.

Purcell zdał sobie sprawę, że Henry ma przed sobą coraz mniej czasu i z pewnością jest tego świadomy. Wracając do Etiopii, Mercado nie znalazłby się zatem na straconej pozycji: gdyby miał tam umrzeć, nie żałowałby życia, które mu pozostało. Lecz gdyby udało mu się stamtąd wrócić – ze Świętym Graalem lub bez niego – miałby o czym opowiadać do końca swoich dni. Najlepiej jakiejś miłej kobiecie, ale któż by tego nie chciał?

Osie czasowe Vivian i Purcella były jednak dłuższe; dotyczyło to zwłaszcza Vivian. Henry Mercado zbliżał się do końca swojej osi, Purcell znajdował się mniej więcej w jej połowie, a Vivian dopiero zaczynała dorosłe życie i karierę fotoreporterki. Wiedziała już, że kariera ta nie jest ani łatwa, ani efektowna – jest za to ekscytująca i ciekawa. Niestety, ekscytujące chwile były niebezpieczne, a to, co było naprawdę ciekawe, nie miało nic wspólnego z pracą. Często zdarzały się za to momenty samotności.

Purcell nie wiedział, czy Henry kiedykolwiek rozmawiał o tym z Vivian. I nie zamierzał prawić jej kazań. Sama to zrozumie. Tymczasem myślała, że ich coś łączy – bo tak było – lecz

przyszłość stanowiła zupełnie inną kwestię. Purcell miał w życiu już kilka takich Vivian; było też prawdopodobne, że Vivian będzie miała kilku więcej Franków Purcellów i może dwóch lub trzech więcej Henrych Mercado.

A może, w taki czy inny sposób, Etiopia połączy ich na zawsze?

– Frank?

Purcell spojrzał na Henry'ego.

– Jesteś tu obecny duchem?

– Nie.

Mercado się roześmiał.

– Naucz się trochę kłamać, stary – powiedział. – Dzięki temu nikogo nie urazisz.

– Uczę się tego od mistrza, Henry.

– W rzeczy samej – odparł Mercado. – Właśnie przedstawiałem Vivian warunki jej zatrudnienia. Pokrycie wszystkich kosztów, ale żadnej pensji.

– Zgadza się – rzekł Purcell. – W Watykanie wciąż brakuje pieniędzy.

Henry roześmiał się i poinformował Purcella:

– Robimy wszystko, żeby gazeta była samowystarczalna.

– Zaczynjcie reklamować papierosy – usłyszał w odpowiedzi.

– To ma być miesięczna delegacja – powiedział Mercado i spojrzał na swoich rozmówców.

– Powinniśmy mieć dość czasu... Cokolwiek by się wydarzyło.

Purcell i Vivian nie odezwali się ani słowem.

– Mam umowy, które musicie podpisać – poinformował ich Henry.

– Już lata temu przestałem podpisywać cokolwiek w barach – odparł Purcell.

Mercado się roześmiał.

– Mam je w swoim biurze, stary – oświadczył. – Nie przy sobie. Wszystko, co napiszecie lub sfotografujecie, stanie się wyłączną własnością „L'Osservatore Romano”.

– A kto zatrzyma Świętego Graala?

– To się okaże.

Kelner podał im drinki oraz półmisek tartinek. Danie główne.

– Przy okazji: poinformowałem Watykan o śmierci ojca Giuseppe Armano z Berini – powiedział Mercado. – Wysłałem kopie swojego listu do kilku watykańskich biur, czego wymaga biurokracja; wysłałem także kopię do ministerstwa wojny, ponieważ zmarły służył w Etiopii swojej ojczyźnie.

– Otrzymałeś odpowiedź? – zapytał Purcell.

– Nie.

– Czy zrelacjonowałaś okoliczności śmierci ojca Armano? – zapytała Vivian.

– Tak, oczywiście, zapomniałem tylko wspomnieć o czarnym klasztorze i Świętym Graalu.
– Wymieniłeś w swoim liście nasze nazwiska? – zapytał Purcell.
– Tak – odpowiedział Mercado. – W innym razie mogliby pomyśleć, że miałem halucynacje podczas kąpieli w siarkowych źródłach.

– Chcielibyśmy zobaczyć kopię tego listu – powiedział Purcell.

Mercado wyjął z kieszeni fotokopię pisma i wręczył ją Frankowi. Zapoznawszy się z treścią listu, Purcell stwierdził, że była to prosta wyliczanka wydarzeń tamtego wieczoru, z tą różnicą, że opowieść ojca Armano ograniczała się do kilku krótkich zdań o jego pojmaniu przez etiopskie wojsko – choć w rzeczywistości schwytali go koptyjscy zakonnicy – i o jego czterdziestoletnim pobycie w twierdzy królewskiej armii. Purcell zauważył także, że Henry nie wspominał o ich kąpieli nago.

Podał list Vivian i zwrócił się do Mercado:

– Myślałem, że ktoś na to odpowie.
– Komunikacja z Watykanem bywa zazwyczaj jednostronna. To samo dotyczy ministerstw.

– Tak, ale mogliby zażądać kolejnych informacji.
– Niekoniecznie.
– Nie było nawet „dziękuję”?
– Dobry uczynek jest sam w sobie nagrodą – orzekł Mercado i wcisnął sobie tartinkę do ust. – Nie bardzo wiedziałem, kogo poinformować, więc wysłałem kopie listu do sześciu watykańskich biur i sam się dziwię, że mnie odezwał się do mnie nikt z Watykanu. Chociaż odezwał się ktoś inny.

– Kto taki?

– Franciszkanie. Nie mają w swoich spisach Giuseppego Armano z Berini na Sycylii.

Vivian podniosła wzrok znad listu Mercado.

– Co o tym myślisz, Henry? – zapytał Purcell.
– Sam nie wiem. Przecież ojciec Armano istniał. Widzieliśmy go, a w każdym razie widzieliśmy go.

– Człowiek na łożu śmierci nie wymyśla kłamstw dotyczących swojej tożsamości – powiedziała Vivian.

Mercado przytaknął i rzekł:

– Sprawa robi się coraz dziwniejsza. Zatelefonowałem do franciszkanów w Asyżu, żeby poszukać informacji, i ktoś powiedział mi, że do mnie oddzwonią, ale tego nie zrobili. Spróbowałem dowiedzieć się czegoś w ministerstwie wojny, lecz jakiś *maggiore* oświadczył, że etiopska wojna w 1935 roku nie jest jego najbardziej palącym problemem. Obiecał jednak, że

przeprowadzi wewnętrzne dochodzenie.

Purcell rozważał to przez chwilę, a następnie zwrócił się do Mercado:

– Watykańska biurokracja na pewno działa powoli, ale wkrótce mogą się do ciebie odezwać.

– Jaką datą opatrzony jest mój list?

Vivian spojrzała na fotokopię i powiedziała:

– Dziesiąty listopada.

– Co oznacza, że od mojego przyjazdu do Rzymu minął wtedy niecały tydzień – powiedział Mercado. – Tłumaczy to zarazem, dlaczego, jak już wiecie po przeczytaniu listu, nie przeprosiłem w nim nikogo za zwłokę w przygotowaniu raportu o śmierci ojca Armano.

– Powiedziałeś mi, że nie zawiadomiłeś o tym Watykanu – przypomniał Purcell.

– Skłamałem – odparł Mercado i się uśmiechnął. – Wtedy cię nie lubiłem. Ale teraz jesteśmy przyjaciółmi i partnerami w tej wspaniałej przygodzie i przypieczętowaaliśmy nasze przymierze krwią. A właściwie... tanim winem. I jak to mówią, wykładamy nasze wszystkie karty na stół.

Purcell pomyślał, że Henry wciąż chowa kilka kart w rękawie.

– Jak myślisz: co tak naprawdę się dzieje? – zapytał.

Mercado dopił resztkę ginu z tonikiem i odpowiedział:

– Z pewnością coś się dzieje. Ktoś, być może z Watykanu, polecił franciszkanom, by poinformowali mnie, że nie było żadnego ojca Armano.

– Dlaczego?

– Mogę się jedynie domyślać, tak samo jak ty, stary.

– Ktoś z Watykanu wie, kim był ojciec Armano i co robił w Etiopii – powiedziała Vivian. – Teraz zastanawia się, ile my wiemy.

– Bardzo bystra uwaga, Vivian. I ten ktoś w dalszym ciągu będzie się zastanawiał nad tym, co powiedział nam ojciec Armano, zanim umarł.

Purcell ponownie się zamyślił. Nie wierzył w wielkie spiski ani nie był zwolennikiem tych, którzy w nie wierzą. Lecz przecież umierający ojciec Armano opowiedział o watykańskich planach zdobycia Świętego Graala. Wynikałoby z tego, że wciąż istniała zмова milczenia dotycząca nieustającej misji Watykanu.

– Będziesz dalej drążył tę sprawę? – zapytała Vivian.

– Nie byłoby to zbyt rozsądne – odpowiedział Mercado.

Vivian skinęła głową.

– Natomiast rozsądnym posunięciem ze strony tego kogoś w Watykanie byłoby, gdyby po prostu powiedział: dziękujemy, powiadomimy najbliższych krewnych, Bóg zapłać –

skomentował Purcell.

Mercado skinął głową i powiedział:

– Tak, to byłoby rozsądne. Podejrzewam jednak, że mój list wzbudził pewien niepokój i ktoś postanowił... Jak to się mówi? Aha, dokonać obstrukcji.

– Może w ogóle nie powinieneś był rozsyłać tego listu? – zauważył Purcell.

– Myślałem o tym – odparł Mercado. – Zastanawiałem się, czy warto odkryć karty. Ale później dostałem pracę w „L'Osservatore Romano” i zacząłem myśleć o tym w kontekście artykułu: kilka miesięcy albo kilka lat później nie mógłbym należycie opisać całej historii, nie wyjaśniając, dlaczego zatrzymałem te informacje dla siebie.

– Twój list do Watykanu mógł być prawdziwym powodem, dla którego dostałeś pracę w „L'Osservatore Romano” – wyraził przypuszczenie Purcell.

Mercado spojrział na niego i powiedział:

– To interesujące.

– Oraz powodem, dla którego Watykan zatrudnił Vivian i mnie – dodał Purcell.

– Tak naprawdę pracujecie dla watykańskiej gazety, Frank, ale nie będziemy dzielić włosy na czworo – oświadczył Mercado.

– Postąpiłeś słusznie, Henry, informując o śmierci ojca Armano – rzekła Vivian przysłuchująca się dotąd rozmowie swoich towarzyszy.

– Tak, nie można zrobić nic złego, kiedy postępuje się słusznie – powiedział Mercado. – Odłóżmy jednak spiski na bok i zastanówmy się, czy nie chodzi tu o biurokratyczną obojętność związaną z niewłaściwym nadzorem nad dokumentami. Włosi, podobnie jak Niemcy, nie lubią, gdy ktoś im przypomina o latach trzydziestych i czterdziestych.

– Tłumaczyłoby to brak reakcji ministerstwa wojny, ale nie Watykanu – odparł Purcell.

Mercado nie odpowiedział.

– Jednak ojciec Armano istniał, a my chcemy, by ktoś w Watykanie dowiedział się o jego cierpieniach i śmierci – powiedziała Vivian.

Mercado spojrział na nią, a Purcell odniósł wrażenie, że Henry zaczął właśnie zauważać przemianę, która dokonała się w jego byłej dziewczynie.

– Pojedziemy do Berini i odnajdziemy jego rodzinę – dodała Vivian.

– Jak to zaplanowaliśmy – zgodził się Mercado i zamówił następną kolejkę.

Dwie lampki stojące przed Vivian były wciąż pełne, a Purcell walczył z jakiem danielsem i zastanawiał się, w jaki sposób gin Henry’ego znika tak szybko.

Omówili terminy wyjazdów do Berini i do Etiopii oraz zastanowili się, w jaki sposób wywiążą się ze swoich obowiązków dziennikarskich, poszukując czarnego klasztoru na terytorium Getachu.

– Mam nadzieję, że Getachu zostanie aresztowany i rozstrzelany, zanim znajdziemy się w Etiopii – powiedziała Vivian, zaskakując tym stwierdzeniem swoich towarzyszy i samą siebie.

– Rewolucja nie pożera takich ludzi – oświadczył Mercado. – To oni pożerają innych.

Vivian skinęła głową i odparła:

– Może nie powinniśmy prosić pułkownika Ganna, żeby z nami jechał?

– Omówimy to później, kiedy się z nim spotkamy – zaproponował Mercado.

Vivian wstała i poszła do łazienki.

– Jak już ci powiedziałem w twoim biurze, Henry, nasze wizy wjazdowe niekoniecznie muszą umożliwić nam wyjazd.

– Jak już ci powiedziałem, zachowaj swoją paranoję na wyjazd.

– Wprawiam się.

Mercado postanowił zmienić temat.

– Wygląda na bardzo szczęśliwą – stwierdził.

Purcell nie odpowiedział.

– Powiedziałem ci, stary, że mam to za sobą; nie czuję już nawet gniewu. Nie zauważyłeś?

– Nie musimy o tym rozmawiać.

– Nie chodzi o nas, Frank. Nie chodzi nawet o nią. Chodzi o nasze... zadanie.

– Przecież wszyscy o tym wiemy. Właśnie dlatego tu jesteśmy.

– Chciałbym, abyśmy zostali prawdziwymi przyjaciółmi.

– A może wystarczy dobrymi kolegami?

– To nie ja ci ją odbiłem, stary. Ty odbiłeś ją mnie.

– Jednak cię to złości.

– Postaw się w mojej sytuacji. Wiszę na pieprzonym palu i co widzisz? Pieprzenie.

– Upiłeś się, Henry.

– Tak... Przepraszam.

– Przepraszam przyjęte – odparł Purcell, wstając. – A jeśli jeszcze raz powiesz „Jean”, to ci przyłożę.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie chciałbyś się tego dowiedzieć.

Mercado wstał i, chwiejąc się, wyciągnął rękę. Purcell zauważył zbliżającą się Vivian, uścisnął zatem dłoń Henry'ego.

– Wychodzimy? – zapytała Vivian.

– Tak.

– Mamy za sobą długą drogę z Florencji – zwróciła się do Mercado Vivian. – Dzięki za drinki.

– Podziękujcie naszej gazecie.

Vivian spojrzała na Mercado i zasugerowała:

– Powinieneś się przespać.

Mercado pochylił się w jej stronę. Cmoknęli się na odległość w oba policzki.

– *Buona notte, signorina.*

– *Buona notte.*

Purcell ujął Vivian za rękę. Wyszli.

Gdy portier wzywał taksówkę, Vivian oświadczyła:

– Nigdy nie widziałam go tak pijanego.

Purcell nie odpowiedział.

Vivian spojrzała na niego i dodała:

– Cóż, znam go zaledwie kilka miesięcy.

Wsiadli do samochodu.

– Hotel Forum – powiedział Purcell.

Jechali w milczeniu. Gdy dojeżdżali na miejsce, Vivian stwierdziła:

– Gdybym go nie poznała, nie spotkałabym ciebie.

Purcell zapalił.

Vivian wzięła go za rękę i zapytała:

– Czy coś się stało, gdy wyszłam?

– Nie.

– Kocham cię – powiedziała.

Purcell uwolnił dłoń i objął Vivian.

– Kazałaś mi kiedyś iść do diabła.

– Byłam na ciebie bardzo zła – odparła i zaczęła go przedrzeźniać. – Myśle, że sam bym sobie z tym poradził. Możemy pogadać o tym później, na przykład w barze w Hiltonie? Drań.

Purcell przyciągnął Vivian do siebie. Położyła głowę na jego ramieniu.

– To ja wpadłam na pomysł, żebyś jechał z nami.

– Myślałem, że był to boski plan.

– Bo był. Ja się tylko do niego dostosowałam.

– A na czym polega reszta tego planu?

Taksówka się zatrzymała.

– Forum.

– Na tym, że pojedziemy na górę i zrzucimy z siebie ubrania.

- To dobry plan.

ROZDZIAŁ 25

Złoczone kopuły i krzyże kościołów rozblęły w pierwszych promieniach słońca. Purcell przyglądał się świtowi rozlewającemu się po mieście.

Odwrócił się i spojrział na nagą Vivian leżącą w łóżku. Biel jej skóry dorównywała bieli pościeli, przez co Vivian wyglądała jak widmo.

– Chodź do mnie, Frank – powiedziała.

Purcell usiadł na brzegu łóżka i poczuł dłoń Vivian przesuwającą się po jego plecach.

– Mówisz przez sen – powiedziała Vivian.

– Przepraszam.

Vivian usiadła i rzekła:

– Śniło mi się, że jesteśmy w uzdrowisku, pływamy i kochamy się w wodzie.

Czy śnił jej się również Henry?, pomyślał Purcell, lecz o to nie zapytał.

– Później wróciliśmy do jeepa. Był tam ojciec Armano, a my byliśmy nadzy.

– Przypomina to okropny sen uczennicy szkoły katolickiej.

Vivian roześmiała się i zamilkła na chwilę.

– Dlaczego on trzymał tę czaszkę? – zapytała w końcu.

– Nie wiem.

– Czy to było jakieś ostrzeżenie?

– Nie znam się na symbolach, Vivian.

– Co śniło się tobie?

– Henry w Archiwach Watykańskich. Koszmar.

– Opowiedz mi o tym.

– Henry rozwił tajemnicę pojawienia się Świętego Graala w Etiopii.

– Czy to robi jakąś różnicę?

– Właśnie – odpowiedział Purcell i położył się obok Vivian. – Czy wierzysz, że to prawdziwy Święty Graal znajduje się w czarnym klasztorze w Etiopii?

– Mówiłam ci już: wierzę w to, co powiedział nam ojciec Armano. Wierzę, że to Bóg doprowadził nas do niego, a jego do nas. Wierzę, że jeśli znajdziemy Świętego Graala i w niego uwierzymy, to sam się nam objawi. Jeśli nie uwierzymy, nie będzie dla nas rzeczywisty. Nie chodzi tu o samego Graala, tylko o naszą wiarę, że on nas uzdrowi.

Tłumaczenie to wydało się Purcellowi równie skomplikowane jak doktryna o Trójcy Świętej; zrozumiał jednak, co powiedziała Vivian.

– W porządku... – odparł. – Ale czy jesteś przekonana, że powinniśmy narażać życie, by go

znaleźć?

Vivian zamilkła na chwilę, a potem odpowiedziała:

– Jeśli taka jest wola Boga... To nie ma znaczenia, co się z nami stanie; ważne jest tylko to, że próbujemy.

Purcell zerknął na Vivian. Był ciekaw, czy Mercado powiedział jej to samo co jemu.

– Wierzysz w to, Frank? – zapytała.

– Henry twierdzi, że tak.

– A ty?

– To zależy od dnia.

– Więc nie powinieneś wybierać się do Etiopii.

– Już się tam wybieram.

– Zatem jedź ze słusznych powodów.

– Racja.

Vivian przysunęła się do Purcella i oświadczyła:

– To jeszcze jeden cud: my.

– I w to wierzę – odparł Purcell. – Chcesz śniadanie?

– Za wcześnie na śniadanie.

– Zanim się o nie doprosimy, miną ze dwie godziny. To nie Szwajcaria.

Vivian roześmiała się i rzekła:

– Przygotuj kąpiel. Chcę się z tobą kochać w wodzie. Chciałam tego już wtedy, w uzdrowisku.

– Nie wiedziałem.

– Wiedziałeś.

– Nie przeszło mi to przez myśl.

– Czy myślisz, że rozbieram się przed każdym napotkanym mężczyzną?

Tak naprawdę myślał, że Vivian i Henry demonstrowali brak zahamowań i małostkowości; może chcieli też wystawić na próbę jego amerykańską wrażliwość.

– Frank?– Myślałem, że to retoryczne pytanie – odpowiedział Purcell i wstał. – Idę odkręcić wodę. Zamów kawę.

Purcell napełnił wannę. Vivian weszła do łazienki i usiedli naprzeciwko siebie w parującej wodzie. Przytulili się, a potem pocałowali. Vivian przycisnęła się piersiami do Purcella, uniosła i usiadła na jego sztywnym członku. Zaczęła poruszać biodrami, mocno przyciągając Purcella. Doszli w tej samej chwili.

Siedzieli w końcach wanny. Vivian odchyliła się do tyłu i z zamkniętymi oczami wdychała

mgiełkę unoszącą się nad wanną.

Purcell pomyślał, że się zdrzemnęła, lecz Vivian odezwała się łagodnym głosem:

– Nieważne, co się stanie, dopóki będziemy razem.

– Wierzę w to, ale... Chcę mieć pewność, że nie wybieramy śmierci zamiast życia.

– Wybieramy życie wieczne – oświadczyła Vivian. – Jak święty Piotr.

– To prawda, lecz... Nie jestem męczennikiem. Ani ty. Jesteśmy dziennikarzami.

Vivian roześmiała się i odparła:

– Dziennikarze idą do piekła.

– Być może... Ale nie jesteśmy także świętymi, Vivian.

– Mów za siebie.

Siedzieli wygodnie z zamkniętymi oczami.

Purcell zaczął zapadać w drzemkę. Wydało mu się, że słyszy Vivian mówiącą:

– Bierzcie i pijcie z niego wszyscy, to jest kielich krwi mojej.

– Frank?

Purcell otworzył oczy.

Vivian w szlafroku stała nad nim, trzymając filiżankę.

– Napij się kawy – powiedziała.

Purcell ujął filiżankę i pociągnął łyk gorącego napoju.

ROZDZIAŁ 26

Z hotelu Hassler górującego nad Schodami Hiszpańskimi rozciągał się panoramiczny widok Rzymu i Watykanu. Była sobota i w restauracji na najwyższym piętrze roiło się od nadzianych turystów, ludzi interesu oraz znanych osób, lecz mimo to Mercado zdobył najlepszy stolik przy oknie.

Purcell nie miał wątpliwości, że *signore* Mercado wykorzystywał w całym mieście swoje wpływy w „L'Osservatore Romano”. Oczywiście właściwie nikt nie czytywał tej gazety, lecz często cytowano ją w depeszach, a jej nazwa – zwłaszcza w Rzymie – wiązała się z prestiżem.

Henry Mercado oraz pułkownik sir Edmund Gann przyjechali razem z hotelu Excelsior. Gann wyglądał, jakby – mówiąc delikatnie – przez kilka miesięcy otrzymywał jedynie racje głodowe, co było prawdą; podczas pobytu w Londynie nie przybrał wcale na wadze. Jego tweedowy garnitur zwiślał luźno, a skóra miała odcień więziennej białości. Purcell wiedział z doświadczenia, że ciało potrzebuje trochę czasu, by na powrót przyzwyczać się do jedzenia.

Gann miał jednak jasny i czujny wzrok, a jego zachowanie zbyt nie się nie zmieniło. Zachował w więzieniu zdrowy umysł i tylko jego ciało potrzebowało kilku włoskich posiłków. Później mógłby wrócić do Etiopii i stoczyć tam kolejny pojedynek z losem. Purcell zastanawiał się jedynie nad pobudkami, które kierowały pułkownikiem Gannem.

Zauważył, że Henry wrócił do swojego brytyjskiego akcentu, by pułkownik, który stał się teraz sir Edmundem, poczuł się jak w domu.

Mercado poinformował Vivian i Purcella, że przy kilku drinkach w Excelsiorze zapoznał sir Edmunda z bieżącą sytuacją; Purcell nie wiedział tylko, jak szczegółowa była owa relacja. Wyglądało jednak na to, że sir Edmund dowiedział się, iż panna Smith jest w związku z panem Purcellem oraz że pan Mercado jest z tym pogodzony. Nie zanosilo się zatem na nieprzyjemne scysje podczas obiadu.

Podano drinki. Henry wznosił toast:

– Za to, że przeżyliśmy i znów jesteśmy razem.

– Z podziękowaniami dla sir Edmunda za uratowanie nam życia – dodała Vivian.

Stuknęli się szklaneczkami. Sir Edmund powiedział skromnie:

– Próbowałem tylko ocalić własną skórę i cieszyłem się, że mam towarzystwo, a także wasze wsparcie.

Purcell był pewien, że Gann nie chce rozmawiać o trzech miesiącach spędzonych

w etiopskim więzieniu. Poruszył zatem inny nieprzyjemny temat:

– Przypuszczam, że słyszał pan o księciu Jozuem.

– Tak.

Gann sprawiał wrażenie, jakby nie chciał rozmawiać i o tym. Zaczęli zatem przeglądać menu. Purcell przypomniał sobie, że tym razem to on powinien uregulować rachunek, a ceny w lirach przypominały numery telefonów. Lecz był to winien pułkownikowi Gannowi, który uratował im życie; był to winien również Henry’emu, któremu odbił dziewczynę.

Kelner przyjął zamówienie. Henry odkrył, że amarone w Hasslerze jest dwa razy droższe niż w Forum.

Zwrócił się do Vivian i Purcella:

– Powiedziałem sir Edmundowi, że mamy już wizy; pozwoliłem sobie również poinformować go, że czarny klasztor może być przedmiotem naszego zainteresowania.

– Kiedy o tym rozmawialiśmy ostatnio, wtedy, w wąwozie, powiedział pan chyba, że nigdy nie wróci do Etiopii – przypomniał Purcellowi Gann.

– Zmieniłem zdanie – odparł Frank. – Właściwie wszyscy je zmieniliśmy.

Pułkownik Gann wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zastanawiał się przez chwilę i odpowiedział:

– Dorastałem w towarzystwie króla Artura i jego rycerzy Okrągłego Stołu, panie Purcell – oświadczył. – A gdy byłem małym chłopcem, moim największym marzeniem był udział w wyprawie poszukiwaczy Świętego Graala.

– Zatem i pan jest szalony.

Wszyscy się roześmiali.

– Oczywiście teraz, podobnie jak większość rozsądnych ludzi, nie wierzę już w takie rzeczy... Ale to cudowna historia: historia o naszym wiecznym poszukiwaniu dobra i piękna... To historia, która przemawia do nas wszystkich... Do naszych serc i dusz. Uwielbiałem opowieści o Arturze i jego rycerzach. Wywarły na mnie wielki wpływ. Później dorosłem.

Wszyscy milczeli.

– Lecz te opowieści towarzyszą mi do dziś... I są częścią mnie – dodał Gann.

I tym razem nikt się nie odezwał.

– Wierzę, że król Artur i Camelot naprawdę istnieli – wyznał po chwili Mercado. – Wierzę również w istnienie rycerzy Okrągłego Stołu oraz w to, że poszukiwali Świętego Graala – oświadczył i zawahał się przez chwilę. – Wierzę też, że Percewal i Gauvain znaleźli zamek w Glastonbury, odpłynęli, znikając we mgle, i zawieźli Graala do Jerozolimy.

– Chyba nie przypominam sobie niczego o Jerozolimie – stwierdził po chwili milczenia

Gann.

– To moja teoria – rzekł Mercado.

– Tak... Cóż, nie można tego wykluczyć – odparł Gann.

Mercado wykorzystał okazję, by wyjaśnić Gannowi, a także Vivian, w jaki sposób Święty Graal mógł trafić z Jerozolimy do Egiptu, a później do Etiopii, i uniknąć przechwycenia przez muzułmanów.

Gann i Vivian przyznali, że wykład Mercado był imponujący i logiczny.

– Co ważniejsze, ojciec Armano, o którego pytał nas Getachu, powiedział nam, że Graal albo coś, co się tak nazywa, znajduje się w czarnym klasztorze – zwrócił się do Ganna Purcell.

– Rozumiem.

– Wracamy zatem do Etiopii, by się przekonać, kto jest bardziej szalony: my czy ojciec Armano.

– Niewiele dzieli odwagę od obłędu, panie Purcell – odparł Gann.

– Bez wątpienia.

– Niektórym wystarczy, że w coś wierzą. Inni zmuszają się do nadzwyczajnego wysiłku, by znaleźć i ujrzeć to, w co chcą wierzyć. *Vide et crede*. Zobaczyć i uwierzyć. Wtedy odwaga i szaleństwo stają się jednym.

– Wtedy kupuje się bilet do Etiopii.

Gann uśmiechnął się i zaproponował:

– Rozglądając się za Świętym Graalem, moglibyście również poszukać Arki Przymierza.

– Czy i ona się tam znajduje?

– Podobno. Lecz nie w czarnym klasztorze, ale w ruinach Aksum.

– Słyszałeś o tym? – zapytał Henry’ego Purcell.

– Tak.

Wyglądało na to, że w Etiopii mogą się znajdować aż dwie zdumiewające biblijne relikwie. Purcell wrócił myślami do pierwszej z nich. Zapytał Ganna:

– Czy w Etiopii zjawiała się także Arka Noego?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział pułkownik z uśmiechem. – Widziałem jednak miejsce, w którym umieszczono Arkę Przymierza.

Vivian poprosiła Ganna, by im o tym opowiedział; Purcell wołałby, by tego nie robiła.

– Arkę Przymierza ukryto w małej koptyjskiej kaplicy w Aksum – zaczął Gann. – Strzeże jej jeden zakonnik o imieniu Abba. Zwą go również Atang: strażnik Arki. To najważniejsza funkcja w etiopskim Kościele koptyjskim. Abba nigdy nie może opuścić kaplicy i piastuje funkcję Atanga aż do śmierci.

– Czy widział pan tego człowieka? – zapytała Vivian.

– Tak, a nawet z nim rozmawiałem. Jest jedynym żyjącym, który naprawdę widział Arkę, lecz nigdy nie podniósł jej wieka, by zobaczyć kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami wygłoszonymi przez Boga Mojżeszowi. Abba powiedział mi, że każdy, kto otworzy Arkę, padnie trupem.

– Czy Arka Przymierza trafiła do Etiopii razem ze Świętym Graalem? – zapytał Purcell.

Gann uśmiechnął się ponownie i odpowiedział:

– Nie, czasy i okoliczności były zupełnie inne. Jak wiecie, królowa Saby, która rządziła Aksum trzy tysiące lat temu, udała się do Jerozolimy, gdzie zaszła w ciążę z królem Salomonem. Po powrocie do Aksum urodziła syna, Menelika, który dał początek salomonowej dynastii rządzącej Etiopią... jeszcze kilka miesięcy temu. Kiedy Menelik dorósł, pojechał do Jerozolimy, by odwiedzić swego ojca. Spędził na jego dworze trzy lata, a gdy wyjeżdżał, Salomon kazał mu zabrać ze sobą Arkę, aby go chroniła. Menelik przywiózł Arkę do klasztoru Tana Kirkos na wschodnim brzegu jeziora Tana, którego wody zasilają Nil Błękitny. Klasztor ten, strzeżony przez zakonników, wciąż istnieje. Byłem jego gościem.

– Czy zakonnicy nalegali, by został pan z nimi na zawsze? – zapytał Purcell.

– Słucham?

– Proszę mówić dalej.

– Po śmierci Menelika nowy cesarz, Ezana, posłał po Arkę, którą przeniesiono do Aksum, gdzie pozostaje do dziś.

– Dlaczego marksistowski rząd nie zagrabił Arki? – zapytał Purcell.

– Interesujące pytanie – odparł Gann. – Etiopscy marksiści zagarnęli sporo kościelnych dóbr, lecz wywołało to ostry sprzeciw koptyjskich wiernych, więc obecny rząd spuścił nieco z tonu. Tak naprawdę głupi marksiści doprowadzili do odnowy życia religijnego wśród chłopów.

Purcell skinął głową. Sytuacja nie była taka sama jak w Rosji, w której komunisci zburzyli świątynie; jednak interesujące było to, że te wydarzenia miały miejsce w Etiopii. Co ważniejsze: jeśli Arka Przymierza była bezpieczna, być może bezpieczny był również czarny klasztor oraz Święty Graal, przynajmniej do chwili przybycia ekipy „L'Osservatore Romano”.

Mercado najwyraźniej doszedł do podobnego wniosku:

– Jakimś cudem czarny klasztor jeszcze istnieje.

– Nowy rząd usiłuje umocnić swoją władzę i nie zamierza rozwścieczać ludu, który ma reprezentować. Dalsza konfiskata własności Kościoła jest jednak tylko kwestią czasu. Na razie marksiści zadowolili się straceniem rodziny królewskiej i rasów oraz zarekwirowaniem ich pałaców i majątków.

– Czy wciąż pracuje pan dla rojalistów? – zapytał Purcell.

Gann zawahał się, lecz odpowiedział:

– Mam kontakty z pewnymi grupami kontrrewolucyjnymi tu, w Rzymie, a także w Londynie, Kairze oraz Etiopii.

– Jak sobie radzą kontrrewolucjoniści?

– W tej chwili nie za dobrze, ale jesteśmy pełni nadziei – odpowiedział Gann.

Podano *antipasti*. Mercado sięgnął po przekąskę i powiedział:

– Moim zdaniem Święty Graal w końcu wpadnie w ręce marksistów. A jeśli tak się stanie, marksiści nie sprzedadzą go temu, kto zaoferuje najwięcej, raczej go zniszczą.

Purcell spojrział na Mercado. Pomyślał, że prędzej czy później nastąpi moment, w którym Henry albo ktoś inny znajdzie usprawiedliwienie, żeby wykraść Graala – rzecz jasna po to, by go ochronić. Ponadto Henry rzeczywiście miał rację.

– Po trzech tysiącach lat względnej stabilności pod rządami potomków Salomona cała Etiopia pogrążyła się w chaosie – powiedział Mercado, tłumacząc swój punkt widzenia. – Jeśli rewolucjoniści, na przykład ludzie Getachu, zaczną płądrować czarny klasztor, to Graal znajdzie się w niebezpieczeństwie. Gdyby nawet sprzedano go temu, kto dałby najwięcej, to zapewne trafiłby do rąk saudyjskiej rodziny królewskiej, która wydaje miliardy na zaspokajanie swoich kaprysów. A nie chciałbym, aby Święty Graal trafił do Mekki.

– Trochę się zapędziłeś, Henry – zauważył Purcell.

– Być może, ale widzicie, do czego zmierzam.

– Argumentujesz, dlaczego powinniśmy przyjąć Kościołowi koptyjskiemu z odsieczą.

– Chciałbym chronić Graala.

– Gdzie twoim zdaniem byłby bezpieczny? – zapytał Purcell.

– W Watykanie, rzecz jasna.

– Wiedziałem, że tak powiesz.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Zgadzam się z Henrym – oświadczyła Vivian.

Gann zaś powiedział:

– Zgadzam się, że musicie... Że musimy wywieźć tę relikwię z Etiopii.

Purcell również przytaknął i dodał:

– Nie na zawsze. Zabezpieczyć ją tylko do chwili, gdy w Etiopii nastaną lepsze czasy.

– W ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat zabierano Graala w długie podróże, by uchronić go przez złem – zauważył Mercado. – Tym razem obowiązek ten spadł na nas.

– Zgadzamy się zatem, że jeśli odnajdziemy czarny klasztor i Świętego Graala, będziemy mieli moralne prawo wykraść go dla jego dobra – rzekł Purcell.

Wszyscy skinęli głowami.

Pułkownik Gann spojrzął kolejno na Mercado, Purcella i Vivian, po czym powiedział:

– Powinniście wiedzieć, że nie wierzę, jakoby relikwia miała być prawdziwym kielichem użytym przez Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy, podobnie jak nie wierzę, że Arka Przymierza z dziesięcioma przykazaniami znajduje się w ukrytej kaplicy w Aksum. Lecz te artefakty mają ogromne znaczenie dla koptyjskiego Kościoła w Etiopii i w Egipcie. Egipt być może już nigdy nie będzie krajem chrześcijańskim, lecz Etiopia z pewnością tak. Dlatego ważne jest zabezpieczenie wszystkich obiektów religijnych do chwili, gdy marksściści przegrają, a cesarz ponownie zasiądzie na tronie.

Purcell pomyślał, że gdyby jakimś cudem naprawdę udało im się wejść w posiadanie Świętego Graala i dostarczyć go do Watykanu, to relikwia ta pozostałaby tam aż do następnego nadejścia Chrystusa. Lecz nie był to problem Franka.

– Czy możecie opowiedzieć mi trochę więcej o ojcu Armano? – zapytał Gann.

Mercado spojrzął na Purcella i Vivian. Skinęli głowami. Zwrócił się więc do Ganna:

– Zna pan na pewno włoskie łaźnie, o których mówił Getachu.

– W rzeczy samej – odrzekł Gann. – Nie powinniście byli tam nocować, bo Oromowie uwielbiają to miejsce. Nie kąpią się tam, o ile w ogóle to robią, lecz czerpią wodę dla siebie oraz koni. Lepiej się tam nie pokazywać.

– Mieliliśmy nieaktualny przewodnik – wtrącił Purcell.

– Zatrzymaliśmy się w uzdrowisku na noc – powiedział Mercado. – Wzięliśmy krótką kąpiel, a gdy wracaliśmy do jeepa, natknęliśmy się na ojca Armano. Był ranny i umierał.

– Załóż się, że powiedział wam więcej, niż wy powiedzieliście Getachu.

– To prawda – rzekł Mercado i zaproponował, by Vivian opowiadała dalej.

Gann z uwagą przysłuchiwał się słowom Vivian, kiwając co chwilę głową, a gdy skończyła, stwierdził:

– To ciekawe. Zatem naprawdę wierzycie w istnienie włóczni Longinusa zawieszanej w powietrzu i ociekającej krwią? Oraz w to, że ta krew uzdrowiła księdza?

Vivian i Mercado odpowiedzieli twierdząco.

– Sądzymy, że nasze spotkanie z ojcem Armano było czymś więcej niż tylko dziełem przypadku – dodała Vivian. – A teraz, kiedy powiedział nam pan, że Oromowie zazwyczaj przebywają w uzdrowisku, musimy uznać to za cud.

Pułkownik Gann uprzejmie skinął głową.

– Zaistniał jeszcze jeden przedziwny zbieg okoliczności – rzekła Vivian. – Wiele wskazuje na to, że ojciec Armano i Henry brali udział w tej samej bitwie, do której doszło na górze Aradam w 1935 roku.

– Zaiste... Uderzający zbieg okoliczności – powiedział Gann i spojrzął na Purcella.

– Wierzę w przebieg wydarzeń opisany przez ojca Armano – oświadczył Frank. – Jestem jednak sceptyczny w kwestii włóczni Longinusa unoszącej się w powietrzu oraz uzdrowienia ojca Armano przez Świętego Graala.

– Tak, to trochę nienaturalne, nieprawdaż? – powiedział Gann. – Lecz zgadzamy się co do tego, że w klasztorze prawdopodobnie znajduje się relikwia.

Wszyscy przytaknęli.

– Czy macie już konkretne plany operacyjne związane z odszukaniem tego klasztoru? – zapytał Gann.

– Liczyliśmy na pańską pomoc w tej sprawie – odpowiedział Mercado.

– Myślę, że będę mógł wam pomóc. Mam ogólną koncepcję, gdzie należy szukać.

– My również – odparł Purcell. – Opieramy ją na tym, co powiedział nam ojciec Armano. Wyruszył z patrolem znad jeziora Tana w kierunku czarnego klasztoru, a następnie zmuszono go do marszu do fortecy rojalistów; gdy uciekł z niej czterdzieści lat później, dotarł pieszo do uzdrowiska. Gdybyśmy dysponowali dobrą mapą, moglibyśmy zapewne wykorzystać metodę triangulacji.

Gann ponownie skinął głową.

– To punkt wyjścia – rzekł. – Powinniście zacząć od rozpoznania z powietrza, o ile okaże się to możliwe.

– Niewykluczone, że w Addis Abebie uda nam się załatwić lekką maszynę – poinformował go Purcell.

– Świetnie. To wam pozwoli oszczędzić dużo czasu i wysiłku, jak również trzymać się z daleka od Oromów albo Getachu.

– W watykańskim Kolegium Etiopskim prawdopodobnie znajdują się dobre włoskie mapy wojskowe – zwrócił się do Ganna Mercado.

– Doskonale. Chciałbym im się przyjrzeć.

– Pracuję nad dostępem do nich.

– Jak już powiedziałem panu Purcellowi na placu apelowym w obozie Getachu, w okolicy łązni leży wioska Felaszów – powiedział Gann. – Tamtejsi Żydzi mogą się okazać kluczowi podczas lokalizowania czarnego klasztoru. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z pewnym... pradawnym powiązaniem.

– Na czym ono polega? – zapytała Vivian.

– W żyłach członków rodziny królewskiej płynie, rzecz jasna, żydowska krew Salomona, z czego są dumni. Są dumni również z tego, że za pośrednictwem Kościoła koptyjskiego pełnią funkcję strażników Arki Przymierza, którą przypuszczalnie chronią w imieniu Żydów.

A tamtejsi Żydzi, Felasze, uznają Jezusa za wielkiego żydowskiego proroka i czczą go; prawdopodobnie wierzą także w Świętego Graala, czyli kiduszową czarę użytą przez Jezusa podczas Ostatniej Wieczerzy. Dostrzegacie tu powiązanie?

Skinęli głowami, a Gann dodał:

– Wyglądałoby też na to, że wioska Felaszów stanowi jedyne połączenie czarnego klasztoru ze światem zewnętrznym. Ta wioska to Szooan.

– Jakiego rodzaju połączenie? – zapytał Purcell.

– Duchowe, ale także praktyczne – odpowiedział Gann. – Żywność, leki...

– Mają przecież Świętego Graala, który uzdrowia – przypomniał mu Purcell.

– Tak... Słuszna uwaga. Klasztor ten, jak większość innych, jest samowystarczalny, ale nawet zakonnik musi od czasu do czasu zmienić bieliznę i potrzebuje sandałów oraz świec. I odrobiny wina.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytał Purcell.

– Będziemy mieli czas, żeby porozmawiać o tym w Etiopii.

– W porządku – odparł Purcell. – Wydaje się więc, że Felasze wiedzą, jak się dostać do czarnego klasztoru.

– Moim zdaniem istnieje tam miejsce spotkań, gdzieś w połowie drogi między klasztorem a wioską – powiedział Gann.

Purcell skinął głową. Poczuł, jak kiedyś w Etiopii, że wyrusza w nieznaną.

– To cały rozdział naszej książki, Henry – zwrócił się do Mercado. – Żydzi dla Jezusa.

Gann zmienił temat i zapytał:

– Czy pomyśleliście, jak się dostaniecie do klasztoru otoczonego murem?

– Nie wybiegaliśmy myślą aż tak daleko, aby zastanawiać się nad napadem z bronią w rękę na klasztor pełen zakonników z pałkami – przyznał Purcell.

Gann skinął głową i rzekł:

– Cóż... Będziemy mogli to omówić, jeśli albo gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

– Słusznie.

Im więcej jednak Purcell się zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że taka chwila mogłaby w ogóle nie nadejść. Było bardziej prawdopodobne, że znowu wylądują w obozie Getachu albo, mając mniej szczęścia, spotkają na swej drodze Oromów. Henry i Vivian wierzyli jednak, że zostali wybrani, aby odnaleźć Świętego Graala, i że Bóg będzie nad nimi czuwał. Purcell wierzył tylko w połowę tej historii.

Zapytał Ganna:

– Jeśli będzie pan mógł wrócić do Etiopii, to czy rzeczywiście uda się pan z nami do klasztoru?

– Czy to zaproszenie?

– Byłoby to bardziej niebezpieczne dla pana niż dla nas – ostrzegła Vivian. – Poza tym, w jaki sposób mógłby pan dostać się do Etiopii?

Gann wyjaśnił:

– Oficjalnie uciekłem przed etiopskim wymiarem sprawiedliwości, nie będę więc się starał o wizę powrotną. Przybiorę natomiast inną tożsamość i dostanę się do Etiopii samolotem pasażerskim z Kairu. Mogę załatwić wszystko, czego potrzebuje, dzięki sfałszowanemu paszportowi i wizie.

– To ryzykowne – rzekła Vivian.

– Niezbyt – odparł Gann. – Straż graniczna na lotnisku w Addis Abebie jest bardzo nieudolna; wyjątkiem są ci pracownicy, którzy biorą w łapę. Tak właśnie znalazłem się w Etiopii ostatnim razem. Nazywałem się Charles Lawson i byłem obywatelem Kanady, a po kilku dniach, kiedy znalazłem się na północy u księcia Jozuego, stałem się na powrót pułkownikiem sir Edmundem Gannem.

– Wiedzą, jak pan wygląda – zauważyła Vivian.

– Pani, panno Smith, nie będzie tego wiedziała, gdy się spotkamy w Etiopii.

– Z jakich powodów zamierza pan narażać swoje życie, pułkowniku? – dociekał Purcell.

– Chyba już o tym rozmawialiśmy na szczycie wzgórza – odpowiedział Gann. – Jestem dobrze opłacany przez społeczność Etiopczyków żyjących na obczyźnie, lecz gdyby nawet mi nie płacili, postąpiłbym tak samo, ponieważ w to wierzę.

– W co pan wierzy?

– W przywrócenie monarchii oraz uwolnienie etiopskiego ludu od komunizmu, tyranii i terroru.

– Płacą panu za starania czy tylko za sukcesy?

– Za jedno i drugie – przyznał Gann. – Czas na iście królewską nagrodę nadejdzie wtedy, gdy cesarz lub jego następca powróci na tron.

– Dostanie pan pałac?

– Będę miał satysfakcję z dobrze wykonanej roboty oraz zaszczyt przyczynienia się do zmiany historii.

– Pojedzie pan z nami na Sycylię? – zapytała Vivian.

– Obawiam się, że nie – odpowiedział Gann. – Jak wcześniej wyjaśniłem panu Mercado, muszę załatwić w Rzymie pewną sprawę.

– Watykan, ministerstwo wojny oraz franciszkanie zdają się nie mieć żadnych zapisów dotyczących ojca Giuseppe Armano – zwrócił się do Ganna Mercado. – Musimy więc udać się do Berini, by dowieść jego istnienia i poinformować jego krewnych o tym, co się z nim

stało.

Gann zastanowił się i odpowiedział:

– Przypuszczam, że jego nazwisko mogło zginąć. Lecz jeśli to Watykan chciał, by tak się stało, ktoś na pewno zjawił się w Berini przed wami.

Purcellowi przeszło to już przez myśl, ale przekonanie, że ojciec Armano znika w orwellowskiej czarnej dziurze, wydało mu się dziwaczne. Lecz może takie nie było? Mieli się tego dowiedzieć w Berini.

ROZDZIAŁ 27

W 1868 roku etiopski cesarz Teodor napisał list do królowej Wiktorii – zaczął Mercado. – Królowa nie odpowiedziała, a Teodor, chcąc się zemścić za tę zniewagę, uwięził wielu brytyjskich obywateli, w tym konsula. Brytyjskie siły ekspedycyjne wylądowały zatem na afrykańskim wybrzeżu i wkroczyły do Etiopii, by uratować uwięzionych.

Pułkownik Gann wtrącił półzartem:

– Teraz musimy płacić cholernym obdartusom za uwalnianie poddanych jej królewskiej mości.

Purcell nie wiedział, czy rzeczywiście znajduje się w czytelni Biblioteki Watykańskiej, czy w swoim powtarzającym się koszmarze. Vivian wydawała się jednak zafascynowana biblioteką, a dokumenty zgromadzone przez Henry’ego wywarły na niej wrażenie.

Mercado zapewnił Purcella, że będzie to krótka wizyta: zamierzał jedynie dokonać krótkiego wprowadzenia. Ich następnym przystankiem miało być Kolegium Etiopskie; gdyby tym razem nie odmówiono im wejścia, to Purcell, Mercado i Gann mogliby wejść do biblioteki Kolegium na godzinę. Vivian nie byłaby tam mile widziana ze względu na płeć.

Mercado podjął przerwane opowiadanie:

– Brytyjskie Siły Ekspedycyjne pod dowództwem sir Roberta Napiera wyruszyły w kierunku Magdali, nowej stolicy Etiopii. Teodor przegrał bitwę i popełnił samobójstwo w Wielkanoc 1868 roku.

Purcell zerknął na zegarek. Vivian oświadczyła, że zostanie w czytelni i zapozna się z notatkami Henry’ego. Zabrała ze sobą swój aparat fotograficzny – nowiuteńkiego canona f-1 – by zacząć robić zdjęcia do planowanej książki, poczynając od tego pomieszczenia, a kończąc, zgodnie z nadziejami Purcella, na koktajlu w papieskiej jadalni, podczas którego każdemu będzie dane uieść Świętego Graala, jakby to był Puchar Stanleya.

Vivian zauważyła, że Purcell się uśmiecha. Pstryknęła mu zdjęcie.

– Zgodnie z dobrą imperialną tradycją – mówił dalej Mercado – Napier ogołocił pałac cesarza oraz cesarską bibliotekę w Magdali, zdobywając wiele starożytnych dokumentów, z których około czterystu najbardziej obiecujących zabrał ze sobą do Anglii. Napier ukradł również starożytną koronę cesarską, która trafiła do Muzeum Brytyjskiego.

– Sądzę, że już ją zwróciliśmy – zauważył Gann.

– To prawda – odparł Mercado. – Teraz znajduje się zapewne w rękach marksistów, o ile nie wydłubano z niej jeszcze kamieni szlachetnych i nie przetopiono jej na złoto.

– Rozumiemy, Henry – odezwał się Purcell.

Mercado przeszedł do rzeczy:

– Na wewnętrznej powierzchni obręczy korony wygrawerowano napis w starożytnym etiopskim języku gyyz, którego wciąż używa się w Kościele koptyjskim. – Mercado zajrzał do notatek. – Napis ów głosi: „Król Królów, Zwycięski Lew Judy, Potomek Domu Dawidowego, Strażnik Arki Przymierza, Strażnik Świętego Naczynia”. – Mercado zerknął na słuchających. – Możemy przyjąć założenie, że mowa o Świętym Graalu.

Nikt nie zakwestionował tłumaczenia, lecz wszyscy wiedzieli, że królowie i cesarze lubili nadawać sobie rozmaite tytuły. Teodor mógł być potomkiem Domu Dawidowego, pomyślał Purcell, lecz w wielkanocną niedzielę 1868 roku z pewnością nie był zwycięskim Lwem Judy. Nie był także królem królów. Tego dnia już nie żył. Zdaniem Purcella cesarz Teodor z pewnością uważał się za strażnika Arki Przymierza i Świętego Graala, lecz nie czyniło to relikwii prawdziwymi.

Mercado kontynuował:

– Napier, już jako lord Napier z Magdali, sprzedał niektóre ze zrabowanych dokumentów na aukcji. Inne trafiły do Archiwów Watykańskich, a ten – to mówiąc, wydobył z aksamitnego pokrowca poźółkły pergaminowy zwój – jest jednym z nich.

Mercado ujął pergamin za narożnik, uniósł go i powiedział:

– Napisano go w gyyz, lecz udało mi się znaleźć etiopskiego seminarzystę, który zna ten język i przetłumaczył treść dokumentu.

Gann przyglądał się uważnie pergaminowi, jakby potrafił go odczytać, ale oświadczył:

– Dla mnie to gyyz.

Mercado uśmiechnął się uprzejmie, włożył dokument do pergaminowego pokrowca i powiedział:

– Ów seminarzysta przeanalizował styl pisma oraz wspomniane tu wydarzenia historyczne i doszedł do wniosku, że dokument ten pochodzi mniej więcej z siódmego stulecia, czyli z czasów, w których muzułmanie podbijali Egipt.

Mercado ponownie zajrzał do notatek i mówił dalej:

– Pergamin nie jest podpisany i nie wiemy, kto był jego autorem, lecz prawdopodobnie wyszedł spod pióra kościelnego skryby lub zakonnika. Zawiera opis cudownego uzdrowienia księcia Jakuba, bliskiego śmierci z powodu ran zadanych mu w bitwie przez mahometan, jak ich wówczas nazywano; napadli oni na Egipt z Sudanu. Zgodnie z tą relacją przewieziono księcia do Aksum, by mógł tam umrzeć, a później zabrano go w niewymienione z nazwy miejsce, w którym przechowywano Święte Naczynie. Abuna Aksum, czyli arcybiskup, udzielił księciu sakramentu namaszczenia chorych, używszy do tego krwi ze Świętego Naczynia, a rany księcia Jakuba, który wierzył w Boga, miłował Jezusa i dzielnie walczył

przeciwno mahometanom, zostały uleczone przez krew Chrystusa. Książę wstał i ponownie wyruszył na wojnę. Niestety – dodał Mercado – w opisie nie ma wzmianki o włóczyń Longinusa.

Purcell pomyślał, że opowieść zapisana przez anonimowego autora miała raczej charakter propagandowy i jej zadaniem było podniesienie na duchu wojsk oraz obywateli kraju pogrążonego w wojnie. Skoro jednak wszyscy to rozumieli, nie odezwał się ani słowem.

Mercado również uznał, iż tekst manuskryptu służył podniesieniu morale i zapewne zawierał nieco przesady. Stwierdził:

– Ta opowieść oczywiście niewiele dowodzi, ale dokument ten zawiera wzmiankę o Świętym Graalu obecnym w Aksum w tamtych czasach i jest jednym z niewielu wczesnych źródeł mówiących o tym, że Graal ma moc uzdrawiania.

– Moc uzdrawiania tych, którzy wierzą – rzekła Vivian.

Mercado skinął głową w kierunku swej dawnej podopiecznej i zwrócił się do wszystkich:

– Jakiś czas później, gdy muzułmanie zaczęli zagrażać Aksum, przeniesiono Graala w bezpieczne miejsce, lub przenoszono go w różne bezpieczne miejsca, i chyba wiemy, gdzie się obecnie znajduje.

Henry zamilkł i dodał po chwili:

– Edward Gibbon napisał w swym *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego*: „Etiopczycy, otoczeni ze wszystkich stron przez wrogów swej wiary, pozostawali w uśpieniu przez blisko tysiąc lat, nie pomnąc o świecie, przez który zostali zapomniani”. Zerknął na zegarek i zdecydował:

– A teraz pójdziemy do Kolegium Etiopskiego.

ROZDZIAŁ 28

W korytarzu czekał na nich niski i krępy etiopski zakonnik, który nie odezwał się ani słowem, zaprowadził ich do biblioteki na pierwszym piętrze. Można było odnieść wrażenie, że Kolegium jest jeszcze zamknięte z powodu długiej przerwy świątecznej, a oni są jedynymi ludźmi obecnymi w jego murach.

W drzwiach biblioteki stał odziany w habit mężczyzna olbrzymiej postury; zakonnicy zamienili kilka słów w języku, który brzmiał jak amharski.

Purcell rozejrzał się po wnętrzu. Pomieszczenie było pozbawione okien i panował w nim półmrok. Półki pełne ksiąg sięgały wysokiego sufitu, a na środku stały długie stoły.

Niski zakonnik oddalił się, olbrzym zaś został. Najwyraźniej nie zamierzał wyjść, zatem Mercado odezwał się do niego po włosku. Zakonnik odpowiedział w tym samym języku, kalecząc słowa.

– Zostanie tu – poinformował Purcella i Ganna Mercado.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał Purcell.

– Przypuszczam, że nie – odparł Henry. – Jest tu gdzieś pomieszczenie z mapami, do którego musimy wejść.

– Zaczekajmy z tym chwilę – zaproponował Gann. – Najpierw trochę się rozejrzymy, a potem poszukamy tego miejsca.

Mercado skinął głową, podszedł do jednej z półek i zaczął przeglądać tytuły. Gann i Purcell poszli w jego ślady. Na większości ksiązek widniały łacińskie napisy, niektóre zatytułowano po włosku; było też wiele takich, na których grzbietach widniało pismo kojarzące się z językiem amharskim.

– Jest tu Biblia w gyyz – oświadczył po chwili Mercado.

Po trzech minutach udawanego zainteresowania książkami Purcell pomaszerował na drugi koniec długiej sali, gdzie znajdowały się zamknięte drzwi. Otworzył je, spodziewając się, że zakonnik zacznie protestować. Tak się jednak nie stało; Purcell wszedł zatem do wnętrza, które istotnie okazało się salą kartograficzną.

Pośrodku stał długi stół z marmurowym blatem, a na głębokich półkach piętrzyły się setki zrolowanych map opatrzonych etykietkami na sznurkach. Purcell spojrzął na odręcznie wypisaną etykietkę, na której widniały słowa zapisane w trzech językach: włoskim, łacińskim i amharskim.

Usłyszał coś za plecami. Odwrócił się i zobaczył zakonnika stojącego zaledwie metr od niego.

– Czy mogę zapalić? – zapytał.

Zakonnik nie odpowiedział.

Purcell ruszył wzdłuż półek, przypatrując się zwisającym etykietkom, chociaż nie potrafił odczytać ani jednej.

Dołączyli do niego Mercado i Gann. Wyglądali na ucieszonych widokiem pokaźnego zbioru. Mercado natychmiast zaczął odczytywać etykiety, Gann zaś stwierdził:

– To są włoskie mapy wojskowe.

Zdjął z półki kilka zakurzonych rulonów. Purcell rozprostował je i rozłożył na stole, obciążając specjalnie do tego przeznaczonymi mosiężnymi sztabkami ułożonymi na marmurowym blacie.

Nigdzie nie było widać katalogu z fiskalami, lecz Mercado szybko się zorientował, w jaki sposób pogrupowano arkusze. Sięgnął po kilka starych map wyrysowanych na pergaminie i papirusie, po czym ułożył je ostrożnie na stole.

Zakonnik uważnie patrzył, lecz się nie odzywał.

Gann zasiadł za stołem i zabrał się do studiowania map wojskowych. Purcell zajął miejsce po jego prawej stronie, a Mercado po lewej. Sir Edmund na powrót stał się pułkownikiem Gannem.

Purcell zauważył, że wojskowe mapy wydrukowano w kolorze. Odcienie zieleni oznaczały na nich roślinność, odcienie brązu przypisano suchym obszarom, natomiast błady błękit – wodom. Poziomice zaznaczone zostały ciemnym brązem, a nieliczne drogi czarnymi przerywanymi liniami. Czarny kolor miały również inne obiekty zbudowane przez człowieka, a także siatka kartograficzna oraz przecinające się równoleżniki i południki. Mapa miała włoskojęzyczną legendę; włoskie były także pozostałe napisy.

– W 1941 używaliśmy takich zdobycznych map, a słowa, które na nich widać, stanowią mój cały zasób włoskiego – oświadczył Gann.

Wskazał jedną z map i powiedział:

– To mapa w skali 1:50 000. Przedstawia wschodni brzeg jeziora Tana. Została częściowo zweryfikowana w terenie przez sekcję kartograficzną włoskiej armii, lecz większość naniesionych na nią informacji uzyskano na podstawie zdjęć lotniczych. Natomiast ta mapa przedstawia ufortyfikowane miasto Gondar oraz jego okolice. Jest dokładniejsza, bo jej skala to 1:25 000, i zweryfikowano ją w całości. Pozostałe mapy, te w skali 1:100 000 oraz 1:250 000, są mało dokładne i niezwerifikowane.

Purcell potrafił czytać mapy lotnicze, lecz tym razem miał do czynienia z mapami topograficznymi, które na razie wydawały mu się jedynie bezładnie rozrzuconymi kolorowymi plamami na papierze milimetrowym.

Gann kontynuował:

– Afryka doczekała się dokładnych map większości swoich terenów sporządzonych przez władze kolonialne. Etiopia natomiast nie była kolonią aż do włoskiej inwazji, Etiopczycy zaś nie mieli pojęcia, jak stworzyć mapy ani do czego one służą. Dlatego duża część map Etiopii jest wynikiem krótkiej kontroli tego kraju przeprowadzonej przez wojsko.

– Czyżby od tamtej pory nic się nie zmieniło? – zapytał Mercado.

– Za czasów poprzedniego rządu istniało w Etiopii niewielkie biuro kartograficzne – wyjaśnił Gann. – Zajmowało się ono głównie reprodukowaniem włoskich map oraz sporadycznie sporządzaniem planów miast lub map drogowych, lecz nigdy nie powstała w nim mapa topograficzna z prawdziwego zdarzenia. Obie armie biorące udział w obecnej wojnie domowej korzystają z tego, co tu widzimy: z map powstałych pomiędzy 1935 a 1941 rokiem.

– Zakładam, że czarnego klasztoru nie przeniesiono, więc może te mapy to więcej niż nic – zauważył Purcell.

– Racja.

Gann zaczął w skupieniu przyglądać się mapom, potem zaś rozwinął kilka następnych.

– To tu – odezwał się w końcu. – Oto obszar, na którym byliśmy, i mapa, którą się wówczas posługiwałem.

Obwiodł palcem fragment mapy zaznaczony na zielono i brązowo, po czym powiedział:

– To dolina w dżungli, w której znaleźliście uzdrowisko, a to droga gruntowa, którą przypuszczalnie przybyliście.

– W którym miejscu dokładnie znajdują się łąnie? – zapytał Purcell.

– Tu ich nie widać – odparł Gann. – Prawdopodobnie są młodsze od tej mapy, lecz muszą być gdzieś w tym miejscu – dodał i dotknął palcem papieru.

Pułkownik pochylił się nad mapą i zaczął wyjaśniać:

– Oto wzgórza, na których rozbił swój obóz książę Jozue... A to wzgórza obozu Getachu. Tu jest płaskowyż dzielący te obozy... Miejsce, w którym starły się wojska.

Purcell utkwiał wzrok w mapie – takiej samej, jaką Gann pokazał mu w dżungli – i, podobnie jak pułkownik, wrócił myślami do paskudnego dnia w Etiopii.

Zwrócił się do Mercado:

– Znowu tam jestem, Henry. A ty?

– Dziwię się, po co w ogóle wyjeżdżaliśmy.

Wszyscy się roześmiali. Po chwili Gann postanowił zabrać się ponownie do studiowania mapy. Wcześniej jednak spojrzął na zakonnika stojącego po drugiej stronie pomieszczenia i zażartował:

- Nie widzę tu symbolu oznaczającego ukryty czarny klasztor.
- A widzi pan cokolwiek, co wyglądałoby na fortecę? – zapytał Purcell. – Więziono tam ojca Armano przez prawie czterdzieści lat.
- Nie... Nie dostrzegam żadnych obiektów wzniesionych ludzką ręką.
- Ojciec Armano wyszedł nocą z fortecy i powędrował w kierunku uzdrowiska – przypomniał im Mercado.
- Tak, ale z której strony przybył?
- Wspomniał o Gondarze na północy – powiedział Purcell. – Dlatego przypuszczam, że forteca znajdowała się w dżungli. O, gdzieś w tym zielonym miejscu.
- Tak, być może... Widzę tu coś, co mogłoby mieć związek z jego nocnym marszem do uzdrowiska – odparł Gann i wskazał palcem czarny kwadracik podpisany „incognita”: nieznanne. – Być może jest to coś, co widziano z powietrza i naniesiono na mapę, lecz nigdy nie sprawdzono tego w terenie – dodał.
- Może to być forteca – rzekł Mercado. – W dolinie nie widać innych budowli.
- Gann przyznał, że obiekt określony jako „incognita” istotnie mógłby być fortecą, lecz zauważył:
- Mapę tę nakreślono w takiej skali, że nawet wielkie wzgórza, które znamy, na papierze wydają się całkiem małe.
- Rzeczywiście, pomyślał Purcell, tamte wzgórza omal nie zabiły Henry’ego. Zakonnik zrobił kilka kroków, stanął po drugiej stronie stołu i zaczął im się przyglądać.
- Nie sądzę, by znał angielski – rzekł Gann.
- Może jednak ten gość zechciałby stanąć trochę dalej? – zapytał Purcell.
- Mercado powiedział coś zakonnikowi, ten zaś cofnął się o jakiś metr.
- Ksiądz powiedział, że zabrano go z czarnego... miejsca i przekazano żołnierzom księcia Teodora, w których musiał udać się na piechotę do fortecy – powiedział szeptem Purcell, wracając myślami do uzdrowiska i przypominając sobie ostatnie słowa ojca Armano. – Nie wspomniał jednak o długim marszu, więc zapewne szedł najwyżej jeden dzień.
- Mercado również myślał o tym, co powiedział ojciec Armano.
- Nie wiem, czy możemy poczynić takie założenie – rzekł. – Szkoda, że nie przewidzieliśmy poszukiwań tego miejsca, bo poprosiłbym go o więcej szczegółów.
- Przeczuwaliśmy to wprawdzie w tamtym momencie, ale wtedy wiele się działo. On umierał – odpowiedział mu Purcell.
- Spróbujcie sobie przypomnieć, czego dowiedzieliście się od tego człowieka – zasugerował Gann. – Być może coś wam powiedział.
- Purcell i Mercado zastanowili się, po czym Frank stwierdził:

– Spróbujemy zatem. Ojciec Mercado powiedział nam, że jego batalion rozbił obóz na wschodnim brzegu jeziora Tana. – Purcell wskazał to miejsce na mapie. – Ksiądz z paroma żołnierzami wyruszyli z obozu, by znaleźć miejsce, w którym Oromowie urządzili zasadzkę na poprzedni patrol. Żołnierze znaleźli to miejsce... być może tego samego dnia, a później poszli dalej i odkryli czarne mury i wieżę, którą, według sierżanta Giovanniego, widzieli ludzie z pierwszego patrolu.

– Ksiądz powiedział również, że zajęło im to kilka następnych dni... – dodał Mercado. – Trzy? Albo cztery? A do tego się zgubili, więc przez pewien czas mogli chodzić po własnych śladach.

– Z mojego doświadczenia wynika, że w takim terenie można pokonać najwyżej kilometr w ciągu godziny – poinformował ich Gann. – Jeśli więc założymy, że patrol, który wyruszył z jakiegoś miejsca na wschodnim brzegu jeziora Tana, maszerował dziesięć godzin dziennie, to dojdziemy do wniosku, że w ciągu trzech dni pokonał on trzydzieści kilometrów, a być może mniej, jeśli poruszał się, zachowując środki ostrożności, a jestem pewien, że tak było.

Gann wyjął z kieszeni notatnik i długopis, co sprawiło, że zakonnik krzyknął:

– No!

– Powiedz mu, że nie będę niczego zaznaczał na mapie – poprosił Henry'ego Gann.

Mercado przemówił do zakonnika, natomiast Gann skopiował na kartce z notatnika kilometrą z legendy, a później przyłożył kartkę do arkusza i oświadczył:

– Odcinek na kartce to dziesięć kilometrów. Żeby jednak ustalić, gdzie urządzono zasadzkę, musielibyśmy wiedzieć, z którego miejsca na brzegu jeziora wyruszył batalion księdza, a potem zakreślić okrąg o promieniu dziesięciu kilometrów, wbijając cyrkiel tam, skąd wyruszył batalion. Nie dalej zatem, jak dziesięć kilometrów od miejsca, z którego wyruszył patrol, urządzono zasadzkę. Lecz gdzie dokładnie jest to miejsce? Nie wiemy. Brzeg jeziora jest długi... Jak widzicie, akwen ten ma około osiemdziesięciu kilometrów długości.

– Potem szli jeszcze przez kilka dni i dotarli do czarnego muru i wieży: do klasztoru – powiedział Mercado. – Zawężiliśmy nieco krąg poszukiwań, lecz pozostaje jeszcze do przejścia mnóstwo kilometrów kwadratowych dżungli.

– Dlatego rozpoznanie z powietrza może być bardzo pomocne – stwierdził Gann.

Zaczęli przyglądać się topograficznej mapie i przeliczać odległości, biorąc za punkt wyjścia różne miejsca na brzegu jeziora Tana i uwzględniając zmienną prędkość poruszania się w terenie. Próbowali również odgadnąć, co miał na myśli ojciec Armano, kiedy mówił o kilku dniach dzielących miejsce zasadzki od czarnego klasztoru. Następnie spojrzeli na problem z drugiej strony: postanowili zbadać drogę z fortecy, której położenie już ustalili, do

klasztoru – mimo iż ojciec Armano nie powiedział, ile trwał marsz z klasztoru do fortecy. Pomyśleli wówczas, że twierdza to coś zupełnie innego, chociaż „incognita” zaznaczono około pięciu kilometrów na wschód od uzdrowiska – w odległości nocnego marszu.

Mercado i Purcell usiłowali sobie przypomnieć, czy ojciec Armano powiedział jeszcze coś, co mogłoby stanowić jakąkolwiek podpowiedź. Purcell zauważył, że kapłan mówił po włosku, a Mercado i Vivian tłumaczyli jego słowa; mogło to sprawić, że Purcellowi umknęły jakieś detale albo tłumaczenie, którego wysłuchał, było niedokładne.

– Może Vivian przypomni sobie kolejne szczegóły – rzekł Mercado.

– Ten człowiek powiedział coś o skale, strumieniu i drzewie – zwrócił się do Ganna Purcell.

– Na tej mapie nie widać ani jednej skały – stwierdził pułkownik. – Nie mam też pojęcia, o które z miliona drzew mu chodziło, ale widzę tu niewielki okresowy strumień... Tu jest jeszcze jeden, a tu nieco większy. Wszystkie wpadają do jeziora Tana. Pamiętajcie o tym, będąc na miejscu. W tej chwili informacje te w niczym nam nie pomogą.

– Gdzie leży wioska Felaszów? – zapytał Purcell.

– Tu jej nie ma – odpowiedział Gann i sięgnął po inny arkusz. – Ta mapa łączy się z poprzednią. W jej południowej części znajduje się wioska Szooan.

Gann złożył obie mapy i stwierdził:

– Szooan leży jakieś czterdzieści kilometrów na południowy zachód od domniemanej fortecy.

– Mieszkańcy tej wioski mogą wiedzieć, gdzie znajduje się klasztor – przypomniał Gannowi Purcell.

– Znają miejsce, w którym spotykają się z zakonnikami – odparł Gann. – Ale nie sądzę, aby chcieli nas tam ze sobą zabrać.

Wpatrzyli się w mapy, zastanawiając się, na ile przydadzą im się te skąpe informacje, gdy już znajdą się w Etiopii.

Po chwili Gann stwierdził:

– Włoscy kartografowie lecący samolotem zauważyli nieznaną obiekt i zaznaczyli go na mapie, lecz najwyraźniej nie zobaczyli tego, czego szukamy.

– Nasz przyjaciel powiedział, że było to w głębokiej dolinie w dżungli, a drzewa dorastały do szczytu murów – powiedział Mercado.

– Rozumiem – rzekł Gann. – Włosi mogli przeoczyć to miejsce z powietrza.

– Mówił także, że w obrębie murów były drzewa, ogrody i chyba staw – dodał Purcell.

Gann skinął głową i powiedział:

– Cały ten obszar sfotografowano z powietrza i odwzorowano na mapie. To, czego

szukamy, musiało być na jednym ze zdjęć, ale umknęło kartografom podczas pracy. Większość fotografii lotniczych wykonywano w technice czarno-białej, więc rozmaite obiekty, wybudowane przez człowieka albo naturalne, mogły zlać się z czernią, bielą lub odcieniami szarości; na takich zdjęciach to, co można byłoby zobaczyć, gdyby były kolorowe, pozostaje niedostrzegalne. Widzimy tu tylko interpretację kartografa. Co więcej: niespecjalnie starano się o zweryfikowanie mapy w terenie. Możemy więc założyć, że kartografowie byli trochę niechlujni, a do tego być może przepracowani i zestresowani presją czasu: musieli jak najszybciej dostarczyć te wojskowe mapy armii Il Duce.

– Może będziemy mieli więcej szczęścia, kiedy sami przelecimy nad tym obszarem – wyraził przypuszczenie Purcell.

Gann przyznał mu rację, lecz ostrzegł:

– Nie latajcie tylko za często, stary, bo zwróćcie na siebie uwagę. Czy mam rozumieć, że znaleźliście już samolot i pilota?

– Pracujemy nad tym – odpowiedział Purcell i dodał: – To ja jestem pilotem.

– Rozumiem. Cóż, powodzenia.

– Myślałem, że pojedzie pan z nami.

– Spróbuję zrobić, co się da.

– My pojedziemy, pułkowniku – zwrócił się do Ganna Purcell. – I znajdziemy to, czego szukamy.

– Wierzę, że to zrobicie – odrzekł Gann. – To może być łatwa część zadania.

Mercado wstał i podszedł do starszych map.

– Henry, nie znajdziesz na nich tego, co chcemy znaleźć – powiedział Purcell.

Gann skinął głową i dodał:

– Te mapy zawierają więcej fantazji niż prawdziwych informacji, stary. Smoki i różne takie.

Mercado zignorował ich słowa i rozwinął kilka pergaminów. Były to odręcznie narysowane i pokolorowane niby-mapy przedstawiające jeziora, góry i kościoły.

– Tę opisano w gyyz – oświadczył Mercado.

Nikt się nie odezwał.

– Myślę, że przedstawia ona Aksum. Tu jest korona, a tu rysunek czegoś, co przypomina kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami.

– To by się zgadzało – rzekł Purcell.

– A tu, na południowy wschód od jeziora, które wygląda jak Tana... z Nilem Błękitnym... jest rysunek – dodał Mercado i podsunął im mapę.

Ujrzeni starannie narysowaną złotą czarę i, obok niej, czarny krzyż, a wszystko to otoczone

dokładnie narysowanymi palmami. Gann stwierdził, że gdyby drzewa te były naszkicowane w skali mapy, to w rzeczywistości musiałyby one być wysokie na pół kilometra.

– Powinniśmy byli zacząć od tej mapy, Henry – powiedział Purcell.

– Zaproponujcie za nią koledze zakonnikowi dziesięć funtów – zasugerował Gann.

Nie rozbawiło to Mercado, który rzekł:

– Ta mapa nie jest może dość szczegółowa ani dokładna, ale ważne jest to, że przedstawia... Prawdopodobnie przedstawia to, czego szukamy. Krzyż oraz czarę: klasztor i Graala.

– Rozumiemy.

– Mapa informuje nas o miejscu leżącym na południowy wschód od jeziora Tana, zatem być może znajdziemy podpowiedzi na prawdziwej mapie oraz na miejscu.

Zakonnik powiedział coś po włosku.

– Nasza godzina jest *finita* – przetłumaczył Mercado.

ROZDZIAŁ 29

Gdy wyszli, Vivian siedziała na ławce przed Kolegium Europejskim.

– Poproszono mnie o opuszczenie czytelni – oświadczyła.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Mercado.

– Powiedziano mi tylko, że dokumenty znajdowały się w czytelni zbyt długo oraz że inni chcą z niej skorzystać.

Purcell zwrócił się do Mercado:

– Nadużywasz swoich bibliotecznych uprawnień, Henry.

– To nie jest śmieszne.

– Powiedziałeś, że skończyliście – zauważył Purcell.

– Tak, ale... Gdzie mój notatnik? – zapytał Mercado, spoglądając na Vivian.

– W mojej torbie – odpowiedziała i oddała Henry’emu jego własność.

– Gdybym był paranoikiem, powiedziałbym ci, żebyś nie zostawiał go w twoim biurze – powiedział Purcell.

Mercado skinął głową.

Było już późne popołudnie, a niebo pokryło się chmurami. Henry powiedział, że ma w biurze butelkę stregi, która mogłaby ich podnieść na duchu.

– Jak wam poszło? – zapytała po drodze Vivian.

– Zawężiliśmy krąg poszukiwań – wyjaśnił Mercado.

– Czy uda nam się ponownie wejść do sali kartograficznej? – zapytał Gann.

– Byłoby to o jedną prośbę za dużo.

– Skontaktujcie się z ministerstwem wojny – zaproponował Gann. – Mają tam kompletny zestaw geodezyjnych map Etiopii. Jeśli wiecie, z którym oddziałem poruszał się ojciec Armano, powinniście zajrzeć do książki raportowej. Z niej dowiecie się, w którym miejscu na brzegu jeziora Tana obozował jego batalion.

– Wystąpię z prośbą o udostępnienie tych map – rzekł po chwili zastanowienia Mercado. – Nie znamy jednak numeru tej jednostki, a ministerstwo nie wie nic o ojcu Armano.

– Ktoś z Berini mógł otrzymywać od niego listy z adresem zwrotnym – rzekła Vivian.

– Słusznie – skomentował Mercado.

– Nie można jednak wykluczyć, że książki raportowe nigdy nie dotarły do Włoch – zauważył Gann.

– Nawet gdyby dotarły, ministerstwo może nam ich nie udostępnić albo to, czego szukamy, mogło już dawno stamtąd zniknąć – rzekł Purcell.

Zapadła cisza.

Gdy przechodzili przez park na tyłach Bazyliki Świętego Piotra, Purcell zauważył, że budowla ta wydaje się o wiele większa z tej perspektywy niż widziana od frontu. Bazylika oraz rozciągający się przed nią plac z kolumnadą dookoła stanowiły powszechnie znaną wizytówkę Watykanu. Watykan to jednak o wiele więcej: biura i archiwa, a także ludzie zajmujący się finansami, wspieraniem działalności dobroczynnej, walką z herezją, propagowaniem wiary oraz głoszeniem Słowa Bożego, jak też słów papieża i Kolegium Kardynałów – zajmował się tym również Henry zatrudniony przez „L'Osservatore Romano”.

Zdaniem Purcella trudno było mówić o wielkich spiskach zawiązywanych za zamkniętymi drzwiami wszystkich tych biur. Purcell wierzył jednak w istnienie liczącej prawie dwa tysiące lat zbiorowej pamięci, która ugruntowała Watykan i papieństwo; był przekonany, że istnieje milczące i niepisane porozumienie dotyczące tego, co należy czynić.

Purcell przypuszczał, iż watykańskie duchowieństwo, hierarchowie oraz odwalający całą papierkową robotę urzędnicy działają na ogół jednomyślnie. Od czasu do czasu pojawiały się jednak różnice zdań. Być może stało się tak i tym razem, oczywiście jeśli założyć, że ktoś zajął się poszukiwaniem tego samego, co Purcell oraz trójka jego towarzyszy.

– Jeśli nie zdobędziemy dostępu do map wojskowych tu, we Włoszech, to trzeba będzie spróbować w Addis Abebie – stwierdził Gann. – Wiem, że w tamtejszej Bibliotece Włoskiej znajduje się zbiór map z okresu wojny. Problem polega na tym, że rewolucyjny rząd tymczasowy mógł już skonfiskować je ze względów bezpieczeństwa albo przekazać walczącym jednostkom.

– Jednym z pierwszych miejsc, które musimy odwiedzić, jest Szooan – wtrącił Purcell. – Czy wie pan, pułkowniku, jak dotrzeć do tej wioski?

– Byłem tam – oświadczył Gann, zanim ktokolwiek zdążył go o to zapytać. – Jak już powiedziałem, odszukanie klasztoru może nie być tak trudne, jak się wydaje, zważywszy na to, co już wiemy. O wiele trudniejsze, podobnie jak w wypadku każdego zadania o charakterze militarnym, będzie wejście do środka, zdobycie tego, czego szukamy, i opuszczenie obiektu.

Purcellowi podobał się sposób myślenia Ganna. Wojskowi na ogół myślą jasno i są przygotowani do praktycznego działania oraz rozwiązywania problemów. Od tego zależy ich życie. Natomiast Vivian i Mercado, zupełnie jak średniowieczni krzyżowcy chcący wyzwolić Ziemię Świętą, skupiali się na uczciwości swojej misji, tylko przelotnie myśląc o logistyce i planie bitwy. Purcell uważał jednak, że świat potrzebuje również takich ludzi.

Sam miał już dość map, archiwów i doświadczeń religijnych. Był gotowy wyruszyć w drogę.

Weszli do biura Mercado. Henry sięgnął po butelkę stregi i napełnił nią cztery szklanki, żeby pokrzepić swoich towarzyszy. Zajrzał do swojego kalendarza i rzekł:

– Włosi mają najwięcej wolnych dni w Europie. Czterdzieści dwa, jeśli się nie mylę.

Odpowiadałby mi czternasty stycznia, a wam?

Purcell i Vivian odpowiedzieli twierdząco, Mercado zaś zapytał Ganna:

– Czy jest pan pewien, że nie chce udać się z nami na słoneczną Sycylię?

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedział pułkownik.

– Nie skorzystam z usług watykańskiego biura podróży – oświadczył Mercado. – Proponuję, by każde z nas zarezerwowało lot do Palermo w innej agencji. Po przylocie wynajmiemy samochód i pojedziemy do Berini.

Purcell i Vivian przystali na tę propozycję. Henry dołączył wszystkim żółtego likieru.

– Skoro już planujemy podróżę, ustalmy datę wylotu do Addis Abeby – zaproponował Purcell.

Nie usłyszał odpowiedzi, więc dodał:

– Pułkownik Gann przyznałby zapewne, że musimy przestać planować inwazję i wybrać datę desantu.

– Jestem gotów wyruszyć dwudziestego czwartego stycznia – oświadczył Gann.

– Doskonale – odparł Purcell. – Jako członkowie zespołu „L'Osservatore Romano” powinniśmy lecieć osobno, na wypadek gdyby wynikły jakieś problemy po drugiej stronie. Polecę jako pierwszy, powiedzmy osiemnastego stycznia. Jeśli wyślę depezę, że wszystko gra, Vivian polecą dwudziestego...

– Lecimy razem, Frank – odezwała się Vivian.

Purcell puścił to mimo uszu i powiedział:

– A jeśli nie otrzymacie mojej wiadomości, będzie to znaczyło, że jestem niedysponowany. Henry, możesz ponieść największe ryzyko, ponieważ oskarżono cię o kontakty z wrogami etiopskiego ludu. Lecz jeśli Vivian i ja nie będziemy mieli kłopotów, dołączysz do nas.

– To dobry plan wprowadzenia sił na wrogi teren – przyznał Gann.

– O ile Etiopczycy nie będą czekali, aż wszyscy znajdziemy się w ich kraju – zastrzegł Purcell.

– Jeśli twoja paranoja ma podstawy, Frank, to powinienem polecić pierwszy, żeby od razu było wiadomo, czy będą problemy – oświadczył Mercado.

– Twoja propozycja została zaprotokołowana. Wylatuję osiemnastego.

– Mam kilka bezpiecznych met w Addis Abebie – poinformował Gann. – Gdzie się zatrzymacie?

– W Hiltonie, jak inni dziennikarze – odpowiedział Purcell.

– W grupie bezpieczniej – skomentował Gann.
– W dziennikarskiej społeczności panuje raczej bezwzględna rywalizacja, pułkownika.
– Samoloty Alitalia nadal latają codziennie do Addis Abeby i nietrudno o wolne miejsca – zwrócił się do Purcella i Vivian Mercado. – Nie brakuje również wolnych pokoi w Hiltonie. Poinformuję gazetę oraz biuro podróży o naszych planach na następny tydzień. Da nam to trochę czasu na zastanowienie się nad tym wszystkim.

– Nie ma nad czym się zastanawiać – odparł Purcell.

Mercado skinął głową.

Omówili jeszcze kilka szczegółów dotyczących ich operacji. Mercado sprawdził rozkład lotów linii Alitalia i polecił Purcellowi i Vivian:

– Zarezerwujcie bilety do Palermo na osiemnastą dziewiętnaście. Spotkamy się na lotnisku.

Mercado oświadczył, że ma jeszcze trochę pracy, więc jego goście pożegnali się i opuścili biuro.

Gann postanowił powłóczyć się trochę po Watykanie.

– Miłego dnia – rzekł zatem i ruszył w swoją stronę.

Purcell i Vivian wybrali się na przechadzkę wzdłuż Tybru.

– Więc się zaczęło – powiedziała Vivian.

– Zacznie się dopiero w Etiopii.

ROZDZIAŁ 30

Wylądowali w Palermo, wynajęli fiata i kupili mapę samochodową Sycylii.

Do Berini leżącego w górach w pobliżu miasteczka Corleone prowadziło kilka dróg. Wybrali trasę z Alcamo do Palermo, którą, w odwrotnym kierunku, przebył w 1935 roku ojciec Armano. Nie wsiedli jednak jak on do pociągu, lecz pojechali do Alcamo nową autostradą. Później skręcili w drogę prowadzącą ku wzgórzom; z każdym metrem stawała się ona coraz gorsza. Była to bez wątpienia ta sama droga, którą czterdzieści lat wcześniej młody ksiądz oraz inni poborowi pomaszzerowali do Palermo, by stamtąd wyruszyć do Etiopii. Przed swą fatalną w skutkach podróżą do Afryki ojciec Armano odwiedził jeszcze Rzym i Watykan.

Było słonecznie i o wiele cieplej niż w Rzymie. Z ciemnym błękitem nieba kontrastowały białe chmury wiszące nad widocznymi w oddali górami. W wąskich dolinach zagnieździły się plantacje cytryn i pomarańczy, a na tarasowych zboczach rozciągały się gaje oliwne i winnice. Otynkowane na biało domy chowały się w cieniu pinii; wysokie cedry stały na warcie u podnóża wzgórz.

Purcell pomyślał, że właśnie taki widok zapamiętał ojciec Armano opuszczający swe rodzinne strony; maszerujący do Alcamo kapłan i jego towarzysze musieli mieć świadomość, że mogą już nigdy więcej nie zobaczyć tego miejsca.

– Jak tu pięknie – powiedziała Vivian. – Wszystko jest takie naturalne...

Purcell stwierdził, że po okolicy porusza się bardzo mało samochodów. Nie brakowało za to wozów zaprzężonych na osły, pieszych i rowerzystów. Miejscowe wioski były bardzo malownicze: nawet w najmniejszych widać było białe domy z dachami z czerwonej dachówki oraz przykościelne dzwonnice.

– Muszą dużo się modlić – zauważył Purcell.

– Z pewnością wszyscy zbierają się w kościele w każdą niedzielę i święto – odparł Mercado.

– Oczywiście nie opuszczają także ślubów, pogrzebów, chrztów i innych uroczystości, nie mówiąc już o sobotniej spowiedzi. To bardzo pobożni i pobożni ludzie. Niewielu takich spotyka się dziś w Europie.

– Powinieneś się tu przeprowadzić, Henry – rzekł Purcell.

– Najpierw ty, Frank.

– Już widzę nasz letni domek na Sycylii – powiedziała Vivian.

– Nie znasz tutejszego dialektu – odparł Mercado.

– Rozmawialiście przecież z ojcem Armano – przypomniał im Purcell.

– Posługiwał się standardowym językiem włoskim – wyjaśnił Mercado. – Z pewnością

nauczył się go w seminarium oraz w wojsku.

– Czy to znaczy, że będziemy mieć problemy z dogadaniem się z mieszkańcami Berini?
– Sycylijscy rozumieją włoski tylko wtedy, kiedy chcą. Na pewno rozumieją mnie ksiądz i młodzi ludzie, którzy oglądają telewizję i chodzą do kina.

– Więc może uzyskamy jakieś odpowiedzi.
– Sycylijscy nie lubią odpowiadać na pytania, zwłaszcza zadawane przez obcych – odparł Mercado.

– Przecież jesteśmy dziennikarzami z „L'Osservatore Romano” i piszemy piękny artykuł o synu tej ziemi.

– To nie ma znaczenia. Nie ufają nikomu z zewnątrz.

– Nie bez powodu.

– Wykorzystaj swój urok, Henry – zaproponowała Vivian.

– Równie dobrze moglibyśmy zawrócić – rzekł Purcell.

Mercado puścił jego słowa mimo uszu i stwierdził:

– Kluczową postacią będzie dla nas wiejski ksiądz.

Dotarli do Corleone. Zerknęli na mapę, przyjrzeni się znakom i ruszyli na południowy zachód, w stronę wyższych wzgórz.

Purcell pomyślał, że marsz w dół w kierunku Alamo nie byłby szczególnie trudny – o wiele trudniejsza okazałaby się piesza wędrówka do Berini, chociaż żołnierz wracający do domu zapewne by się nad tym nie zastanawiał.

Po drodze wypatrzyli kilka rzymskich i greckich ruin.

– Dotarli tu kiedyś Kartagińczycy – objaśnił Mercado. – Przewinęli się również Normanowie, muzułmanie i kilkunastu innych najeźdźców. W starożytnym świecie Sycylia była zdobyczą, dziś jest krainą, o której zapomniał czas, zupełnie jak Etiopia.

– Świat się zmienia, a wojny mają swoje następstwa – zgodził się Purcell.

– Mam angielskiego kuzyna, który służył pod dowództwem Montgomery'ego i mógł przemierzać te okolice w 1943.

– Będziemy mieli na oku każdego, kto wykaże rodzinne podobieństwo.

Berini leżało w strategicznym miejscu na szczycie wzgórza wznoszącego się nad doliną. Do wioski prowadziła jednopasmowa droga okalająca wzgórze na podobieństwo zwojów korkociągu. Urywała się nagle przy kamiennym łuku, który pełnił rolę bramy wjazdowej.

Wjechali do Berini i ruszyli wąską drogą między domami o białych ścianach. Kilku miejscowych stojących na poboczu obrzuciło ich zaciekawionym spojrzeniem.

Po minucie dotarli na mały zalany słońcem plac, na końcu którego wznosił się spory kamienny kościół; zgodnie z watykańskim katalogiem był to kościół pod wezwaniem świętego

Anzelma, a jego proboszczem – o ile informacje były aktualne – miał być ojciec Giorgio Rulli, jedyny ksiądz w Berini.

Po prawej stronie placu ciągnął się rząd piętrowych otynkowanych budynków. Na ścianie jednego z nich znajdowały się pomarańczowa markiza oraz szyld, na którym napisano po prostu: Taverna. Po przeciwnej stronie *piazza* widać było miejsce zwane „Caffè”, z którym sąsiadowała *tabaccheria* – rodzaj kiosku. Były to wszystkie placówki handlowe w Berini. Pozostałe budynki wyglądały na domy mieszkalne, jeden zaś przypominał wiejską świetlicę. Na obrzeżach *piazza* stało kilka małych fiatów, lecz wszystko wskazywało na to, że ulubionym środkiem transportu w Berini są rowery. Purcell nie dostrzegł natomiast ani jednego osła.

Przy stolikach pod markizą tawerny i pod kawiarnianymi parasolami siedzieli liczni klienci; Purcell zauważył, że byli to sami mężczyźni. Pełnowymiarowy fiat wzbudził ich zainteresowanie.

Było kilka minut po trzeciej.

– To *riposo*, tradycyjna czterogodzinna przerwa popołudniowa – powiedział Mercado.

– Przerwa w czym?

– Zaparkuj gdzieś – zaproponowała Vivian.

– Szukam parkometru.

– Gdziekolwiek się zatrzymasz, Frank, tam będzie twój parking.

– Racja.

Purcell wolno przejechał przez placik wybrukowany kocimi łbami i zatrzymał samochód w sporej odległości od kościoła. Wysiedli i rozprostowali kości. Na szczycie wzgórza było chłodniej, a w powietrzu unosił się zapach palonego drewna.

Jeden z kolegów Mercado doradził im, by włożyli skromne stroje w stonowanych kolorach. Powiedział, że mieszkańcy sycylijskich wiosek wybuchają śmiechem na widok odzieży w krzykliwych barwach, zupełnie jak ktoś, kto widzi kłauna maszerującego ulicą. Purcell i Mercado przywdziali czarne spodnie, białe koszule i ciemne sportowe marynarki. Vivian włożyła czarną sukienkę, luźny czarny sweter oraz stosowne pantofle. Zabrała także czarny szal, zamierzając zarzucić go na głowę przed wejściem do kościoła.

Na schodach świątyni zobaczyli grupkę starszych mężczyzn i kobiet. Mercado zagadnął starszkę w czarnej sukni.

– *Mi scusi, signora* – zagadnął, a gdy się zatrzymała, wolno i wyraźnie o coś ją zapytał.

Kobieta odpowiedziała, machnęła ręką w stronę kościoła i ruszyła przed siebie; po chwili odwróciła się, by przyjrzeć się obcym i zmierzyć Vivian wzrokiem od góry do dołu. Mercado powiedział, że plebania znajduje się za kościołem, i poszedł przodem.

Ujrzeni mały budynek w ogrodzie i po chwili znaleźli się na drugim końcu ścieżki prowadzącej do wejścia. Idąc, zastanawiali się, co powiedzieć; uzgodnili także, że mówić będzie głównie Mercado. Henry nacisnął guzik dzwonka do drzwi.

Otworzyły się po chwili. Zobaczyli bardzo młodego księdza, który spojrzał na nich i zapytał:

– Si?

– *Padre* Rulli? – zapytał Mercado.

– Si.

Mercado przedstawił się i wymienił nazwiska swoich towarzyszy. Oświadczył, że wszyscy pracują dla „L'Osservatore Romano”; po chwili Purcell usłyszał wypowiedziane przez Henry'ego słowa „ojciec Armano”.

Ksiądz nie zatrzasnął im drzwi przed nosem; wahał się wprowadzić przez chwilę, lecz w końcu zaprosił ich do środka. Był młody i niski, lecz wyraźnie zaznaczał swoją obecność. Jego nos zupełnie nie pasował do jego twarzy. Ksiądz miał ciemne, inteligentne oczy, wąskie usta i oliwkową cerę; na swój sposób był przystojny.

Purcell rozejrzał się po wnętrzu. Piec opalany drewnem wydzielał miłe ciepło, a lampa stojąca w kącie oświetlała pomieszczenie przytłumionym światłem. Na ścianach pokrytych surowym tynkiem wisiały kolorowe obrazki przedstawiające brodatych mężczyzn oraz kobiety w chustach; na ścianie za krzesłem księdza widniał biały marmurowy Jezus przybity do krzyża z drewna oliwnego.

Skromny, ubogi kościół w biednej parafii, pomyślał Purcell. Taki, w którym proboszcz musi osobiście otwierać drzwi. To nie Watykan.

Mercado przemówił po włosku, starannie wymawiając każde słowo, by sycylijski ksiądz mógł go łatwiej zrozumieć.

– Może pan mówić po angielsku, jeśli zna pan ten język lepiej niż włoski – odezwał się angielszczyzną proboszcz.

Mercado nie potrafił ukryć zaskoczenia, lecz po sekundzie doszedł do siebie i powiedział:

– Proszę nam wybaczyć, ojcze, że nie zapowiedzieliśmy naszej wizyty.

– Mój dzwonek do drzwi dzwoni przez cały dzień. To jedyny dzwonek w Berini, a ja jestem na miejscu.

– Tak... Otóż, jak już powiedziałem, jesteśmy z „L'Osservatore Romano”. *Signorina* Smith jest moją fotografką, a *signore* Purcell... asystentem.

– Rozumiem – rzekł ksiądz i wytłumaczył: – Sam nauczyłem się angielskiego, z książek i taśm. Dlaczego? Bo to międzynarodowy język, jakim była kiedyś łacina. Kiedyś... Proszę zatem z góry o wybaczenie, jeśli czegoś nie rozumiem lub się przejęzyczę.

- Angielski ksiądz jest doskonały – zapewnił Mercado.
- W czym mogę pomóc? – zapytał ojciec Rulli.
- We wrześniu moi koledzy i ja byliśmy w Etiopii i spotkaliśmy tam umierającego księdza.
- Ojca Armano.
- Tak – potwierdził Mercado. – Poinformowano księdza o jego śmierci?
- Owszem.
- Rozumiem... Kiedy?
- W listopadzie. Dlaczego pan o to pyta?

- Piszemy artykuł o ojcu Armano i zbieramy informacje – odpowiedział wymijająco Purcell.

- Tak, oczywiście. Jak rozumiem, otrzymaliście wszystkie informacje z watykańskiego biura prasowego.

Purcell wiedział, że watykańskie biuro prasowe i „L'Osservatore Romano” to nie to samo, chociaż czasami wydawało się, że pełnią te same funkcje. Spojrzał na Mercado, który oświadczył:

- Nie kontaktowałem się z watykańskim biurem prasowym.
- Powiedziano mi, że jego przedstawiciele kontaktowali się z waszą gazetą.
- Być może... Ale nie ze mną.
- Nie mam pojęcia, jak to wszystko funkcjonuje w Rzymie.
- Ani my – zapewnił ksiądz Purcell.

Ojciec Rulli się uśmiechnął i zapytał:

- Wiecie jednak, że poczyniono kroki, których celem jest beatyfikacja ojca Armano?

Purcellowi wydało się w pierwszej chwili, że ksiądz powiedział „denazyfikacja”. Poczuli się nieco zakłopotani, lecz po chwili zrozumieli.

Mercado sprawiał wrażenie osłupiałego.

- O co chodzi? – zapytała Vivian.
- Ojciec Armano jest kandydatem na świętego – wyjaśnił jej Mercado.
- Och...
- Wiedzieliście o tym? – zapytał ksiądz.
- Tak... Słyszeliśmy już...
- To powód waszej wizyty, prawda?
- Tak... Chcemy dowiedzieć się czegoś o jego młodości. O jego pobycie w wojsku i...

Zapoznać się z listami, które pisał do rodziny i przyjaciół.

- Mogliście sobie darować tę podróż – oświadczył ojciec Rulli. – W listopadzie przybyli tu delegaci z Watykanu, by poinformować mnie o śmierci ojca Armano i propozycji wyniesienia

go na ołtarze. Jak wiecie, jeśli znajdzie się w poczcie świętych i zapadnie decyzja o budowie kościoła pod jego wezwaniem, do konsekracji świątyni będą potrzebne jego relikwie. Sporządza się również kompletną biografię przyszłego świętego. Zatelefonowano do mnie w tej sprawie; przeszukaliśmy też piwnicę tej plebanii. Znaleźliśmy w kufrach kilka starych ornatów ojca Armano, a jego rodzina skompletowała jego zdjęcia i listy. Niektóre były z Etiopii. Przedstawiciel watykańskiego biura prasowego przeprowadził rozmowy z rodziną ojca Armano i jego przyjaciółmi z dzieciństwa. Zatem wszystko zostało już zrobione.

– Nasza gazeta woli wykonać to zadanie we własnym zakresie – oświadczył Mercado.

– Jak sobie życzycie – odparł ksiądz. – Gdy delegaci z Watykanu powiedzieli nam, o co chodzi, zorganizowaliśmy specjalną mszę świętą. Wszyscy byli bardzo podekscytowani, a dzwony Świętego Anzelma biły przez cały dzień. Wiadomość o beatyfikacji ojca Armano napełniła jego rodzinę radością. Ucieszyliśmy się także na wieść, że czynił cuda w Etiopii.

Mercado skinął głową i powiedział:

– Przykro nam, że nas tu wtedy nie było.

Purcell pomyślał, że przypuszczenia pułkownika Ganna były słuszne. Ludzie z Watykanu zjawili się w Berini przed nimi, a skłonił ich do tego list Mercado, na który nie odpowiedzieli. Oczywiście nie można było wykluczyć, że nie było w tym nic podejrzanego, a Watykan wykonywał tylko swoje zadania związane ze śmiercią kapłana, czyli między innymi wysłał swych delegatów, którzy mieli poinformować o jego kanonizacji. I którzy zabrali to, czego potrzebowali. Purcell był pod wrażeniem.

Ojciec Rulli spojrział na swoich gości i rzekł:

– Powiedzieliście, że byliście przy umierającym ojcu Armano.

– Tak.

Ksiądz skinął głową i oświadczył:

– Nie znam okoliczności jego śmierci.

Nikt się nie odezwał, zatem ojciec Rulli wyjaśnił:

– *Monsignor Mezza* z kongregacji zajmującej się sprawami kanonizacyjnymi powiedział mi, że w 1936 roku ojciec Armano trafił do więzienia, z którego uciekł, i został znaleziony przez angielskich korespondentów wojennych mówiących niezbyt dobrze po włosku. Więc to wy?

Mercado skinął głową.

– Cóż, już to samo w sobie jest cudem – stwierdził ojciec Rulli. – Zostać znalezionym po czterdziestu latach przez... Anglików, którzy pracują dla „L'Osservatore Romano”. Czy może pan, panie Mercado, opowiedzieć mi o okolicznościach, w jakich spotkaliście ojca Armano?

Mercado przedstawił księdzu skróconą wersję wydarzeń tamtej nocy. Ojciec Rulli słuchał z zainteresowaniem, co chwila kiwając głową.

– Pochowaliśmy go w ogrodzie tamtejszego włoskiego kąpieliska i pomodliliśmy się nad jego grobem – zakończył Mercado.

– To cudowna historia. Cudowna również dlatego, że ów człowiek nie zmarł w samotności – stwierdził ksiądz.

– Umarł spokojnie – rzekł Mercado.

– Tak, to dobrze... – powiedział ojciec Rulli. – Czy mówi pan dobrze po włosku?

– Znośnie.

Ksiądz zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu oświadczył:

– *Monsignor Mazza* powiedział mi, że otrzymał list od jednej z osób, które znalazły umierającego ojca Armano. Powiedział, że autor listu miał niewiele do powiedzenia o ostatnich słowach ojca z powodu trudności językowych i dlatego, że ojciec Armano zmarł niedługo po tym, jak został znaleziony.

– On... był prawie cały czas nieprzytomny.

– Rozumiem – odparł ojciec Rulli i dodał po chwili milczenia: – Jak zapewne wiecie, ktoś, kto ma zostać uznany za świętego, musiał dokonać co najmniej trzech cudów. Zastanawiam się, jak wiadomość o cudach uczynionych przez ojca Armano dotarła do Rzymu.

– Nie mam pojęcia – odparł Mercado.

– Być może miały one miejsce, gdy ojciec Armano służył w armii podczas tamtej straszliwej wojny? – wyraził przypuszczenie Purcell.

– Prawdopodobnie.

– I poinformowali o nich ci, którzy ocalili.

– Tak, to możliwe – rzekł Mercado. – Właśnie staramy się tego dociec, by nasz artykuł był rzetelny.

– Czy ma ojciec jakiegokolwiek informacje o jednostce, w której służył ojciec Armano? – zapytał Purcell.

– Jego adres zwrotny znajdował się na listach, ale te są już w Rzymie – powiedział ksiądz i ponownie spojrzał na swoich gości. – Myślę, że uzyskanie tam dostęp do tych informacji.

– Oczywiście.

– Powiedziano mi, abym nie rozmawiał z nikim z zewnątrz – poinformował ich ojciec Rulli. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Mercado. – Rzym to Rzym.

Ojciec Rulli skinął głową i zmienił temat.

– Najważniejszą relikwią świętego jest część jego ciała – powiedział. – *Monsignor Mazza* powiedział, że zamierza wysłać do Etiopii kogoś, kto zlokalizuje miejsce, w którym spoczywa ojciec Armano, i odzyska jego doczesne szczątki.

Mercado postanowił udać, że wie, o co chodzi, i odparł:

– Tak, wiemy. Właściwie moglibyśmy sami tam pojechać.

– Teraz jest tam niebezpiecznie – ostrzegł ksiądz.

– Byliśmy już w Etiopii – wtrącił Purcell.

– Tak, rzeczywiście – odparł ojciec Rulli i spojrzął na zegarek. – Za pół godziny muszę odprawić mszę pogrzebową.

– Czy może ksiądz skontaktować nas z kimś z rodziny ojca Armano? – zapytał Purcell. –

Albo z którymś z jego rówieśników? Ojciec Armano wspomniał o bracie i dwóch siostrach.

– Tak, Anna jeszcze żyje. Jest wdową. Jeśli chcecie, mogę umówić was na spotkanie z Anną i członkami rodziny ojca Armano, a być może również z jego przyjaciółmi.

– Wyświadczyłyby nam ojciec wielką przysługę.

– Anna zapewne uspokoiłaby się, mogąc porozmawiać z kimś, kto towarzyszył jej bratu w ostatnich chwilach jego życia. Oplakiwała jego utratę, lecz teraz stanęła w obliczu cudu.

Ksiądz wstał, jego goście również. Ojciec Rulli odprowadził ich do drzwi i powiedział:

– O piątej. Zapraszam na kawę.

Podziękowali mu. Wyszli z plebanii, minęli kościół i znaleźli się na *piazza*. Popołudniowa przerwa dobiegła już końca. W tawernie zrobiło się cicho, przecięli zatem plac i usiedli przy stoliku pod markizą.

– Watykańscy okazali się szybsi – stwierdził Mercado.

– I znikli razem z tym, co zostało po ojcu Armano – dodał Purcell.

– Trudno mi w to uwierzyć... – rzekła Vivian. – Czy ta kanonizacja jest... uzasadniona?

– Nie można tego wykluczyć – odpowiedział Mercado.

Purcell zapalił papierosa i spojrzął na niego.

Mercado zrozumiał jego spojrzenie i powtórzył:

– Nie można tego wykluczyć, Frank. Potrzebują wojennych listów ojca Armano, aby sprawdzić, czy wspomniał o czymś, co mogłoby zostać uznane za cud.

– A może postanowili sprawdzić, czy nie ma w nich wzmianki o liście od papieża?

– Tego nie wiemy.

– Czy nie powinni istnieć naoczni świadkowie cudów?

– Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy dotyczącej procesu kanonizacji, Frank – odpowiedział Mercado. – Watykańska kongregacja do spraw kanonizacji będzie próbowała odszukać i przepytac ludzi, którzy służyli z ojcem Armano w Etiopii.

– Gdyby nawet uczynił jakiś cud, to sam doznał jeszcze większego cudu: został uzdrowiony – rzekła Vivian.

– Czy to się liczy? – zapytał Purcell.

Mercado zaskoczył go, mówiąc:

– Nawet niewierny Tomasz miał swoje miejsce wśród apostołów. Potrzebujemy sceptyka.

Vivian uśmiechnęła się i oświadczyła:

– Frank, nie mogę się doczekać, aż zobaczę cię w czarnym klasztorze w obecności Ducha Świętego.

– Wtedy odszczekam swoje słowa.

Po chwili zastanowienia Vivian powiedziała:

– Ojciec Armano poprosił, abyśmy poinformowali jego siostrę Annę o jego śmierci. Dlaczego właśnie ją? Dlaczego nie jego drugą siostrę? Albo brata?

Odpowiedź wydawała im się oczywista: ojciec Giuseppe Armano udał się do domu w Berini, a później wrócił do Etiopii, wiedząc, że jego siostra żyje i będzie czekała, aż opowiedzą jej o ostatnich godzinach jego ziemskiego żywota.

– Rozsądek podpowiada mi, że Anna była mu najbliższa – powiedział Purcell.

Mercado i Vivian nie odpowiedzieli.

– Bardziej podoba mi się jednak inna możliwość: że ojciec Armano był w Berini – dodał Purcell.

Właściciel tawerny zauważył, że wciąż siedzą przy stoliku. Wyszedł i zapytał, czego sobie życzą. Mercado przywitał się i grzecznie poprosił go o trzy lampki *vino rosso* oraz *aqua minerale*. Mężczyzna skinął głową i znikł we wnętrzu tawerny.

– Ostatni cudzoziemcy, których dotąd widział, nosili mundury brytyjskiej armii – powiedział Mercado.

– Jest w takim wieku, że mógłby być twoim kuzynem.

Vivian postanowiła wrócić do tematu i powiedziała:

– Ojciec Rulli był nieco zaskoczony, a nawet podejrzliwy, bo nie wiedzieliśmy o delegacji z Watykanu i nie tylko o tym.

– Katolicy księża wiedzą lepiej niż ktokolwiek, że Watykan często ukrywa swoje działania – zapewnił ją Mercado. – Rzym to Rzym.

– Odnoszę wrażenie, że Kościół katolicki jest kontynuacją Cesarstwa Rzymskiego, które również nie służyło z otwartości.

– Kościół katolicki naucza i funkcjonuje podług Słowa Bożego – odparł Mercado.

Gdy Henry słyszy słowo „Bóg”, za każdym razem zachowuje się tak, jakby słyszał chóry anielskie, pomyślał Purcell.

– Okłamałeś księdza – zwrócił się do Mercado.

– Byłem równie zakłopotany co on i mogłem się przejeździć – oświadczył Henry.

– Będziesz musiał się z tego wypowiadać.

Mercado zmienił temat.

– Spróbujemy dowiedzieć się czegoś o jednostce wojskowej ojca Armano od jego rodziny – powiedział. – Wiedziecie jednak, że ministerstwo wojny nie zechce nam udostępnić ani map, ani ksiąg raportowych. Zostaliśmy wyłączeni z gry.

– Rzeczywiście, niewiele nam dał ten wyjazd – zgodził się Purcell. – Lecz może wzbogacić kontekst naszej historii, rzecz jasna nie tej, którą opiszemy w „L'Osservatore Romano”.

– Przyjechaliśmy tu również po to, aby poinformować rodzinę ojca Armano i Annę o jego śmierci, a także powiedzieć, że byliśmy przy nim do końca – przypomniała mu Vivian.

– Watykan okazał się szybszy – zauważył Purcell. – Moglibyśmy powiedzieć coś sprzecznego z tym, czego ojciec Rulli oraz rodzina dowiedzieli się od delegatów. Trzymajmy się naszej krótkiej, ogólnej i pozytywnej wersji.

– Przez większość czasu ojciec Armano był nieprzytomny – przypomniał Vivian Mercado.

– Kłamstwa rodzą kłamstwa – stwierdziła.

– Jeśli wejdiesz między wrony... – odparł Purcell.

Właściciel tawerny podał im wino oraz rachunek zapisany na grafitowej tabliczce.

Mercado wręczył mężczyźnie pięćdziesiąt tysięcy lirów i poinformował swoich towarzyszy:

– Płaci się od razu.

– Wyglądamy podejrzanie – przyznał Purcell.

Właściciel wyjął resztę z kieszeni fartucha. Mercado przyjął pieniądze, mówiąc:

– Zbyt wysokie napiwki są w tym guście.

Zostawił na stoliku kilka monet.

Uniósł lampkę i rzekł:

– Niech Bóg ześle spokój na duszę ojca Giuseppe Armano.

– Świętego Giuseppe Armano – dodał Purcell.

Mercado orzekł, że wino nadaje się do picia, i stwierdził:

– Procesy kanonizacyjne przebiegają bardzo wolno. Ojciec Armano nie zostanie świętym za naszego życia.

– Raczej za twojego życia, Henry.

– Nikt nie wie, ile ma jeszcze czasu, Frank – powiedział Mercado i ruchem głowy wskazał kościół, po którego schodach wolno wspinali się ubrani na czarno mężczyźni, kobiety i dzieci. Echo ich kroków roznosiło się po całym placu.

– Chodźmy na tę mszę – zaproponowała Vivian.

– Znałaś zmarłego? – zapytał Purcell.

– Chcę obejrzeć kościół ojca Armano.

Purcell i Mercado wymienili spojrzenia.

– W porządku – rzekł Henry.

Wszedł do tawerny, by powiedzieć właścicielowi *arrivederci*. Wrócił po chwili i pouczył swoich towarzyszy:

– Nigdy nie wychodźcie bez pożegnania.

– Imponuje mi twoja wiejska etykieta – oświadczył z przekąsem Purcell.

– Mogłabym mieszkać na Sycylii – stwierdziła Vivian.

– Połowa Włochów w Stanach to Sycylijczycy – poinformował ją Purcell. – Nie byli w stanie tu mieszkać.

– Może latem.

Przeszli przez *piazza* w kierunku kościoła. Gdy byli już na schodach, Vivian zarzuciła chustkę na głowę.

Kościół pod wezwaniem świętego Anzelma był duży. Purcell pomyślał, że wzniesiono go w czasach, gdy w Berini mieszkało więcej ludzi. Dwuspadowe sklepienie przecinały odsłonięte belki i krokwie, a grube ściany pokrywał biały tynk. Do prostego wnętrza nie pasował jednak ołtarz z polerowanego kamienia i misternie rzeźbionego drewna; nie inaczej było ze skomplikowanymi witrażami.

Przed balustradą, przy której udzielano komunii, stała trumna okryta białym całunem. Stojący obok ojciec Rulli pobłogosławił ją i podszedł do ołtarza.

W kościele nie było ławek. Zastępowały je poustawiane w rzędy drewniane krzesła, w większości zajęte przez mieszkańców Berini i okolicznych gospodarstw. Trójka gości zajęła miejsca w ostatnim rzędzie.

Ojciec Rulli stanął pośrodku ołtarza, uniosł ręce i pozdrowił po włosku swą trzódkę. Wszyscy wstali. Rozpoczęła się chrześcijańska msza pogrzebowa.

Spoglądając na ojca Rulli, Purcell zobaczył ojca Armano sprzed czterdziestu lat: młodego księdza z tej wioski, który wstąpił kiedyś do seminarium, a potem powrócił w swe rodzinne strony, do swej rodziny, przyjaciół i świątyni, w której go ochrzczono. W idealnym świecie bez wojen ojciec Armano mógłby spędzić w Berini całe życie, a później inny ksiądz odprawiłby mszę pogrzebową za spójność jego duszy. Lecz nowy Cezar w Rzymie miał inne plany wobec Włochów, a wojenne wichry dotarły do Berini i porwały jego synów.

Ojciec Rulli stał przy pulpicie i przemawiał. Mówił zapewne o tajemnicy śmierci i obietnicy życia wiecznego, jak domyślał się Purcell. A może wspominał zmarłego, ponieważ zebrani w kościele płakali. Nawet Vivian, która nie miała pojęcia, kto leży w trumnie, co chwilę przykładała chusteczkę do oczu.

Purcell wrócił myślami do ojca Armano i zaczął się zastanawiać, jak ksiądz postrzegał swoje życie: jako stracone czy błogosławione z powodu doświadczenia cudu? Być może,

przebywając w więziennej celi, miewał chwile zwątpienia, lecz jego wiara i przeżycia w czarnym klasztorze podtrzymywały go na duchu. W końcu, chwilę przed śmiercią, zapewne jeszcze raz pomyślał, że ponownie doznał błogosławieństwa, będąc wolnym w ostatnich godzinach życia i przebywając w towarzystwie dwojga, a może trojga wierzących, którzy opowiedzą jego rodzinie i światu o jego losie i doświadczeniach. Wydawał się spokojny, przypomniał sobie Purcell, i gotowy do drogi do domu.

Nasunęło to Purcellowi myśl, że nie musieli jechać do Berini, lecz mimo to postąpili słusznie. Było to właściwe miejsce rozpoczęcia ich własnej drogi tam, gdzie wszystko się zaczęło.

CZĘŚĆ III ETIOPIA

*Najdalsza podróż
to podróż w głąb siebie samego.
Ten, który wybrał swój los
i udał się w drogę
do dna swojego istnienia...*

Dag Hammarskjöld, *Drogowskazy*, przeł. Jan Zieja, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,
Kraków 1981

ROZDZIAŁ 31

Frank Purcell stał oparty plecami o bar, z drinkiem w jednej ręce i papierosem w drugiej.

Sala barowa hotelu Hilton w Addis Abebie wypełniona była gośćmi typowymi dla czasów wojny, epidemii i głodu. Purcell odniósł jednak wrażenie, że w hotelu przebywa znacznie mniej dziennikarzy niż we wrześniu, za to więcej pracowników organizacji humanitarnych oraz przedstawicieli dyplomacji. Jak zwykle nie brakowało też różnych podejrzanych typów; nie wiadomo, co ich tu sprowadzało, lecz ich wizyty miały zapewne coś wspólnego z pieniędzmi albo szpiegostwem.

Purcell zauważył jeszcze jedną różnicę: brakowało bogatych Etiopczyków. Ci, którzy nie zginęli albo nie skończyli w więzieniu, przebywali w Rzymie. Z hotelu znikli również Włosi żyjący na obczyźnie oraz przedsiębiorcy.

Purcell cieszył się, że nowo przybyli radzieccy i kubańscy doradcy nie pojawiają się w barze Hiltona. Hotel żądał zapłaty w twardej walucie, co skutecznie odstraszało wszelkie draństwo i czerwonych.

Dwa dni wcześniej wysłał teleksy do hotelu Forum, w którym przebywała Vivian, i do biura Mercado. Poinformował swoich towarzyszy, że mieszka w Hiltonie i jest cały i zdrowy. Czekał na przyjazd Vivian.

W ciągu ostatnich dwóch dni zagadnęło go kilku dawnych znajomych, którzy przestrzegali niepisanej zasady zabraniającej pytania o cokolwiek kolegów po fachu. Purcell zdradził im jednak dobrowolnie kilka szczegółów dotyczących jego wrześniowej wyprawy na front, aresztowania i uwięzienia oraz wydalenia z Etiopii. Oświadczył, że wrócił, aby wykonać zlecenie „L'Osservatore Romano”. Nie była to jednak wiadomość z ostatniej chwili, skutkująca postawieniem drinka, lecz mimo to koledzy życzyli Purcellowi szczęścia.

Jedna z dziennikarek z ap, miła kobieta o imieniu Fran, powiedziała mu:

– Faza szalonej zabawy rewolucjonistów dobiegła końca. Prawie każdy, kogo chcieli zabić, już nie żyje, siedzi w więzieniu albo zdołał uciec. Teraz będą musieli zacząć rządzić, ale nie potrafią sobie poradzić z głodem ani z erytrejskimi separatystami.

Purcell zapytał Fran o Oromów, lecz kobieta nic o nich nie wiedziała lub nie przywiązywała do tej sprawy większej wagi. Oromowie nie obchodzili nikogo ze stolicy; byli lwami grasującymi gdzieś daleko i niemającymi politycznych celów. Co gorsza, nie dało się przeprowadzić z nimi wywiadu.

Zagadnął także Fran o rojalistów.

– Z nimi już koniec – odpowiedziała.

Frank pomyślał o pułkowniku Gannie, który miał wrócić do Etiopii, by walczyć, chociaż sprawa była przegrana. Tym razem mógł to przyplacić życiu.

Fran poinformowała również Purcella, że Felasze zaczęli masowo wyjeżdżać do Izraela. Uznała, że to doskonały temat na artykuł.

Purcell zapatrzył się w witraż, który rozpraszał przygasające popołudniowe światło w nowoczesnym wnętrzu. Witraż ten, mogący stanowić ukłon w stronę europejskich katedr, był dziełem współczesnego etiopskiego artysty. Wykonany w stylu neoprymitywnym, opowiadał historię powstania etiopskiej dynastii królewskiej. Jego pierwszy segment przedstawiał czarnoskórą królową Saby przybywającą do Jerozolimy w towarzystwie swojej świąty. Następny ukazywał ucztę zgotowaną jej przez króla Salomona. Królowa wróciła później do swej ojczyzny i urodziła syna, Menelika – przodka obecnego cesarza, który miał być ostatnim cesarzem Etiopii, gdyby pułkownikowi Gannowi nie udało się dokonać cudu. Purcell był ciekaw, czy nowy rząd zgodzi się, by witraż pozostał na swoim miejscu. Hotelowi goście lubili mu się przyglądać.

Zerknęła na zegarek. Była czwarta trzydzieści sześć, zatem samolot Vivian musiał już wylądować. Kochankowie spotykają się na lotnisku. Dziennikarze i ich fotografki, którzy są zarazem kochankami, zachowują się inaczej: nie chcą, by zwracały na nich uwagę służby bezpieczeństwa, które mogłyby zrobić użytek z informacji o ich związku. Z tego powodu, a także dlatego, że „L'Osservatore Romano” to gazeta katolicka, Vivian zarezerwowała osobny pokój.

Purcell wysłał jednak na lotnisko hotelowy samochód, którego kierowca miał zatelefonować do Hiltona i oznajmić, że hotelowy gość przybył i pomyślnie przeszedł kontrolę paszportową.

Purcell poinformował barmana, że czeka na ten telefon.

Zamówił jeszcze jednego jacka danielsa i zaczął przerzucać gazetę leżącą na barze. W krótkiej wzmiance wciśniętej na jedną ze środkowych stron doniesiono, że byłym monarcha, pan Hajle Sellasje, przebywa w areszcie ochronnym tymczasowego rządu rewolucyjnego.

Purcell wiedział, że gdyby pan Sellasje był młodszy, już dawno by go stracono. Lecz zaletą podeszłego wieku – o ile w ogóle ma on jakieś zalety – jest to, że jeśli ktoś ma umrzeć, to wystarczy, by ci, którzy pragną jego śmierci, cierpliwie na nią zaczekali. Pan Sellasje był zresztą wciąż bardzo popularny na Zachodzie i uśmiercenie go doprowadziłoby do zaostrenia stosunków Etiopii z Europą i Ameryką. W tym wypadku nawet radzieccy i kubańscy doradcy odradziliby Etiopczykom stracenie króla. Wymordowani Romanowowie stali się męczennikami, czego współcześni etiopscy marksiści woleli uniknąć.

Purcell wrócił myślami do Berini. Kawa i *cannoli* na plebanii kościoła Świętego Anzelma smakowały lepiej, niż się spodziewał. Anna, siostra ojca Armano, była przemiłą kobietą; polubiła Vivian mimo jej egzotycznego wyglądu.

Vivian powiedziała Annie, że umierający brat wspomniął jej imię. Anna zapłakała. Opowiedziała im, że widziała brata we śnie. Było to w zeszłym roku, kiedy w Etiopii wiele się działo. Brat się uśmiechał; zgodnie z sycylijskimi wierzeniami miało to oznaczać, że jest w niebie. Niestety Anna nie potrafiła przypomnieć sobie dokładnej daty, chociaż – za sprawą sugestii Vivian – przyznała, że mogło to być we wrześniu.

Zbieg okoliczności? Nie według Vivian i Mercado, którzy uznali to za jeszcze jeden dowód na istnienie Bożego planu. Nawet on, Frank Purcell, ze zdziwieniem odkrył, że chce wierzyć w podróż ojca Armano i jego ostatnią wizytę w domu rodzinnym.

Mała plebania ojca Rulli zapełniła się bliższymi i dalszymi krewnymi świętej pamięci Giuseppe Armano. Ojciec Rulli wyjaśnił, choć niepotrzebnie:

– Sycylijskie rodziny są duże.

Pomimo pewnych trudności językowych wszyscy się rozumieli. Mercado i Vivian opowiedzieli, w jaki sposób oni oraz niemówiący po włosku *signore* Purcell znaleźli śmiertelnie ранego ojca Armano, który poprosił ich, by powiedzieli jego bliskim, że myślał o nich w ostatnich chwilach życia. Relacja ta bardzo wszystkich poruszyła; nikt nie zapytał, dlaczego trójka *giornalisti* zjawiała się w Berini dopiero teraz. Mimo to Mercado wspomniął, że przebywał w etiopskim więzieniu. Starszy mężczyzna, który walczył kiedyś w Etiopii i był kuzynem ojca Armano, stwierdził:

– Etiopia to miejsce śmierci. Nie powinniście tam wracać.

Vivian poinformowała zebranych, że wyjadą do Etiopii, aby znaleźć grób ojca Armano i przywieźć doczesne szczątki przyszłego świętego. Spośród obecnych tylko Purcell pomyślał, że to makabryczny zwyczaj.

Około szóstej kobiety znikły. Podano likiery. O siódmej plebanie opuścili mężczyźni. Ojciec Rulli zaprosił swoich gości na kolację. Vivian chciała zostać, lecz był jasne, że proboszcz zamierza wyjaśnić różnice między ich relacją a tym, co powiedzieli delegaci z Watykanu. Mercado przypomniał zatem Vivian, że mają samolot do Rzymu, chociaż w rzeczywistości mieli lecieć dopiero następnego dnia.

Podziękowali ojcu Rulli za gościnność i pomoc. Obiecali, że wrócą do Berini po wykonaniu zadania w Etiopii. Ksiądz pobłogosławił ich oraz ich dzieło i życzył im bezpiecznej podróży.

Gdy szli do samochodu, Vivian stwierdziła:

– Było to bardzo poruszające i cudowne przeżycie.

Mercado zgodził się z tym; Purcell również, chociaż musiał polegać jedynie na

tłumaczeniu.

W samochodzie Vivian oświadczyła:

– Dostałam od Anny adres poczty polowej ojca Armano. Znała go na pamięć.

Pojechali do Corleone i spędzili noc w małym hotelu, a w południe wylecieli z Palermo do Rzymu.

Mercado wystosował pismo do ministerstwa wojny, używając firmowego papieru „L'Osservatore Romano”. Poinformował, że pisze artykuł o wojnie w Etiopii, i poprosił o udostępnienie informacji, w tym raportów batalionu lub pułku, których dane wyszczególnił w swoim liście.

Odpowiedź nadeszła niespodziewanie szybko: ministerstwo oświadczyło, że wszystkie dokumenty pułku zaginęły w Etiopii.

I to by było na tyle.

Włoskie mapy wojskowe miały decydujące znaczenie dla ich misji. Na szczęście pułkownik Gann powiedział, że może uzyskać dostęp do zdobycznych włoskich map przechowywanych w Londynie. Doradził także, aby nie pokazywali się we włoskiej bibliotece w Addis Abebie, ponieważ odkrył, że miejsce to zostało objęte rządową obserwacją. Purcell, Vivian i Mercado mogli więc wyruszyć do Etiopii dopiero po spotkaniu z pułkownikiem Gannem i zapoznaniu się z jego mapami. Gann miał przylecieć dwudziestego czwartego. Powiedział, że zostawi dla nich wiadomość w Hiltonie, lecz jeśli nie otrzymają od niego wiadomości do dwudziestego ósmego, będą musieli wyruszyć dalek sami.

Purcell spojrział na telefon na barze. Telefonował dwa razy dziennie, pytając o wiadomości teleksowe; sprawdzał, czy Vivian lub Mercado nie próbowali się z nim skontaktować. Podniósł słuchawkę, zadzwonił do recepcji i zapytał jeszcze raz.

– Jeśli nadejdą jakieś wiadomości, dostarczymy je panu do baru, panie Purcell – powiedział recepcjonista.

– Proszę także przełączać tu rozmowy.

– Dobrze, sir.

Purcell powinien był udać się na lotnisko i tam przywitać Vivian, lecz jeszcze w Rzymie uzgodnili, że tego nie zrobi. W Rzymie brzmiało to nieźle.

Zamówił kolejnego drinka i zapalił następnego papierosa. Była już piąta dwadzieścia cztery, zatem Vivian dawno musiała przejść przez odprawę na lotnisku. Nie można było jednak wykluczyć, że samolot linii Alitalia wyleciał z Rzymu z opóźnieniem.

Purcell odwrócił się i spojrział na stałych bywalców baru. Ludzie zbierają się w hotelowych barach, gdy się denerwują. Odwiedzają je, aby usłyszeć najnowsze wieści lub plotki albo dlatego, że w grupie jest różniej. Niektórzy z barowych gości byli spokojni i zamknięci

w sobie, inni – pobudzeni. Bary – łagodnie oświetlone wyspy komfortu – były zawsze przesiąknięte atmosferą nierealności, a czasem poczuciem winy, bo gdzieś na zewnątrz panoszyły się śmierć i głód.

Purcell znowu wpatrzył się w witraż. Styczeniowe słońce wisiało już niemal nad horyzontem, a gdy resztki jego światła padły na wielkie okno, Purcell zauważył zarys kościoła lub klasztoru. Artysta wybrał czarne szkło do odwzorowania budowli, którą otaczały ciemnozielone palmy. Purcell był ciekaw, dlaczego kościół jest czarny: tak go zaprojektowano czy artysta wybrał czerń przypadkowo? Ciemna zieleń palm sprawiała, że kościół był prawie niewidoczny i ukazywał się dopiero w odpowiednim świetle. Pozostała część panoramy była kontrastowa, pełna bardzo jasnych i ciemnych fragmentów. Gdy słońce znalazło się na granicy nieba i ziemi, obydwa wizerunki kościoła – a może klasztoru? – ten w nowoczesnej panoramie i ten w antycznej scenie, znikły. Miękkie światło sali barowej nadało witrażowi zupełnie inny wygląd.

Zadzwonił telefon. Barman odebrał i podał słuchawkę Purcellowi.

– Purcell.

Usłyszał kobiecy głos z włoskim akcentem.

– Tu *servizio* klienta Alitalia.

– Słucham.

– Poleciano mi dostarczyć do pańskiego pokoju la młoda dama.

Purcell uśmiechnął się i zapytał:

– Czy jest naga?

– *Due minuto*.

– Zaraz będę.

ROZDZIAŁ 32

Purcell i Vivian spędzili następne dwa dni na przypominaniu sobie miasta. Odnowili też kontakty z niektórymi dziennikarzami i mieszkańcami Addis Abeby.

Dziennik „L'Osservatore Romano” nie miał biura w tym mieście, ale jego nieoficjalną siedzibą był stary hotel Imperial, przez który przewijało się wielu przyjezdnych dziennikarzy i wolnych strzelców. Płacili grosze za miejsce, w którym mogli się przespać i skorzystać z maszyny do pisania albo teleksu.

Purcell i Vivian zajrzeli również do amerykańskiej ambasady, aby zameldować o swej obecności w Etiopii i zobaczyć się z Anne, urzędniczką konsularną, która poprzednim razem odebrała ich z więzienia. Vivian wręczyła Anne doniczkę z czarnymi sępoliami, Anne zaś powiedziała:

- Nie powinniście byli tu wracać.
- Tym razem spróbujemy nie dać się aresztować – zapewnił ją Purcell.

Purcell napisał także artykuł o etiopskich katolickich uchodźcach uciekających z objętych wojną terenów przy granicy z Erytreą. Nie wiedział, co się tam działo, zatem, wzorem Mercado, większość zmyślił. Chcąc nieco ubarwić tekst, wspomniął o swej wizycie w watykańskim Kolegium Etiopskim i podziękował katolickim braciom za ich gościnność i błogosławieństwo na drogę do Etiopii.

Vivian przeczytała artykuł Purcella i zapytała:

- Ile z tego jest prawdą?
- Prawda jest pierwszą ofiarą wojen – odparł. – Musimy zarobić na utrzymanie. Zrób zdjęcie jakiemś żebrakowi; podpiszemy je: „katolicki uchodźca”.

Dwa razy dziennie pytali o teleksy, chcąc się przekonać, czy Henry Mercado nie doszedł do wniosku, że lepiej zostać w Rzymie. Mercado odezwał się dopiero tego ranka. Przesłał krótką wiadomość: „przylatuję alitalia, 4:23. potwierdźcie”.

Purcell wysłał mu teleks. Potwierdził, że są cali i zdrowi i czekają na niego.

Purcell zostawił w recepcji kartkę z wiadomością dla Mercado. Poinformował go, że będzie w barze o szóstej. Teraz siedział z Vivian przy stoliku, czekając na rozwój wypadków. Czy Henry'emu uda się przejść przez odprawę lotniskową? Była już szósta trzydzieści pięć.

Vivian spojrzała na witraż i zapytała:

- Gdzie przetrzymują teraz cesarza?
- Nie informują o tym.

– Myślisz, że jeszcze żyje?
– Gdyby już nie żył, ogłoszono by, że zmarł z przyczyn naturalnych. To z jego powodu rasowie wciąż walczą.

– Kto jest następcą tronu?

– Księżę Afsa Wossen. Uciekł do Londynu. Prawdopodobnie jest kolegą Ganna. Vivian skinęła głową.

Purcell spojrział na zegarek. Była szósta czterdzieści sześć. Henry się spóźniał.

– Czy wiesz, że rastafarianie na Jamajce uznają Hajle Sellassje za boga? – zapytał Purcell.

– Nie wiedziałam.

– Następnym razem polecimy na Jamajkę i napiszemy o tym.

Vivian zmusiła się do uśmiechu.

Najwyraźniej martwiła się o Henry’ego, lecz nie chciała tego głośno powiedzieć, obawiając się, że Purcell mógłby niewłaściwie zrozumieć jej troskę.

Purcell wskazał długi bar i powiedział:

– Właśnie tam. Tam siedziałem, pilnując swojego nosa, kiedy podeszłaś do mnie z Henrym.

Vivian ponownie zmusiła się do uśmiechu.

Purcell zaczął przedrzeźniać lekko brytyjski akcent Henry’ego:

– Cześć, stary. Znasz moją fotografię?

Vivian uśmiechnęła się szerzej.

– Od razu mnie urzekłeś – oświadczyła.

– Chcieliście mojego jeepa.

– Nawet nie wiedziałam, że go miałeś.

– Już nie mam. Prawdopodobnie jeżdżą nim teraz Oromowie, którzy zaprzęgają do niego swoje konie. Muszę znaleźć gościa, który mi go wypożyczył, i odebrać swoje trzy tysiące dolarów kaucji.

– Dlaczego miałby ci je oddać?

– Bo to nie była moja wina.

– Ani jego. Skąd wzięłeś tamtego jeepa? Będzie nam potrzebny jeszcze jeden.

– Od Włocha, który tu mieszkał. Prawdopodobnie już wyjechał.

– Musisz go odnaleźć.

– Myślę, że już nie ma samochodów – odparł Purcell. – Lecz jest tu jeszcze ktoś. To *signore* Bocaccio, który ma albo miał awionetkę. Wypytywałem o niego, ale nikt nie wiedział, czy jeszcze tu jest.

Vivian skinęła głową i zerknęła na zegarek.

– Pójdę do recepcji, żeby sprawdzić, czy się zameldował, i dowiedzieć się, czy samolot miał opóźnienie.

– W porządku.

Vivian wstała i wyszła z sali barowej.

Purcell sęczył drinka. Miał numery alarmowe, pod które mógł dzwonić do ambasady brytyjskiej, amerykańskiej i szwajcarskiej poza ich godzinami pracy.

Zrozumiał, że bez Mercado i Ganna wyprawa w poszukiwaniu Świętego Graala nie doprowadziłaby ich donikąd. Mógłby oczywiście wyruszyć z samą Vivian, lecz w ten sposób przekroczyłby granicę dzielącą odwagę od szaleństwa. Ale mimo to... Teraz, kiedy już znalazł się w Etiopii, coś mu podpowiadało, że im się uda – że to, co czują i w co wierzą, jest słuszne: zostali wybrani.

Purcell pojął również, że zostali wybrani niekoniecznie po to, by osiągnąć cel, a nawet przeżyć. Zostali wybrani, by odnaleźć Świętego Graala w samych sobie. Cały czas chodziło właśnie o to: Graal był widmem, a celem podróży było ich wnętrze: ich serca i dusze.

Do sali weszli Vivian i Henry. Uśmiechali się; Vivian trzymała Henry'ego pod rękę. Purcell wstał, uśmiechnął się i powiedział:

– Henry, znasz moją fotografię?

– Jasne, stary. Postawi mi drinka. Ty także sobie zamów.

ROZDZIAŁ 33

Purcell maszerował pasem startowym smaganym przez wiatr. Wschodzące słońce przegoniło mgły na wyżynie; tylko dno doliny kryło się jeszcze w białym całuniecie. W oddali, na tle gór, Addis Abeba wyłaniała się z mgły nikszej w dolinie.

Idąc, Purcell przyglądał się betonowej nawierzchni lądowiska. Lotnisko, podobnie jak wiele cywilnych i wojskowych obiektów w Etiopii, wybudowane zostało przez Włochów. Byli dobrymi budowniczymi, ale czterdzieści lat to nie ma. Betonowe pasy były połatane placzkami lichego asfaltu, a dachy hangarów pokryto plecioną strzechą. Obok jednego z nich pluton żołnierzy ustawiał się w szyku. Rojaliści być może zostali już pokonani, lecz Erytrejczycy usiłujący uniezależnić się od nowego rządu Etiopii zwyciężali. Cały kraj znajdował się w stanie wojny.

Na lotnisku stacjonowało skrzydło etiopskich sił powietrznych złożone z amerykańskich transportowców c-47. Stał tu również amerykański *navion* należący do *signore* Bocaccio, włoskiego handlarza kawą, którego odnalazł Henry. Bocaccio powiedział Purcellowi, że wcześniej trzymał tę maszynę na międzynarodowym lotnisku w Addis Abebie, lecz etiopskie siły powietrzne kazały mu umieścić ją w takim miejscu, by zawsze była pod ręką. Podczas konfliktu erytrejskiego *navion* *signore* Bocaccio pełnił funkcję samolotu obserwacyjnego wyszukującego cele dla odrzutowych myśliwców. Pod jego kadłubem umieszczono wyrzutnię pocisków raketowych do wystrzeliwania markerów dymnych, którymi oznaczano pozycje rebeliantów, rojalistów i każdego, na kim Etiopczykom nie zależało. Kilka francuskich myśliwców *mirage* należących do Etiopczyków zrzuciło później bomby na oznaczone miejsca i ostrzeliwało je raketami. Z różnym powodzeniem.

Purcell zbliżył się do dolnoplatu o solidnej konstrukcji i przyjrzał mu się z każdej strony. Czarny lakier *naviona* odłaził, w wielu miejscach odsłaniając fragmenty gołego aluminium. Nienaruszona była tylko nazwa samolotu wymalowana czerwoną farbą: „Mia”. Z przedniego koła trójkołowego podwozia niemal zupełnie zeszło powietrze i samolot stał z opuszczonym nosem. Purcell dostrzegł odsuniętą do połowy owiewkę kabiny i przestrzelinę w jednej z tylnych szyb.

– Czy za wyrzutnię płacę ekstra? – zapytał Purcell.

Signore Bocaccio wzruszył ramionami w sposób typowy dla Włochów.

– Co mam z tym wszystkim zrobić? – zapytał. – Myśli pan, że to Ameryka albo Włochy? Robią tu, co chcą. Dziś nie ma tu wojny, więc można latać. Jeśli się okaże, że jest pan dobrym pilotem, to może zostanie pan pułkownikiem w ich siłach powietrznych. To Etiopia.

– Tak, wiem.

– Gdyby nie był pan dziennikarzem, nie pozwoliliby mi jej panu wypożyczyć. A i tak były kłopoty. Musiałem zapłacić, inaczej nie otrzymałbym zgody.

– To dlatego bez przerwy robią trudności – odparł Purcell i jeszcze raz obszedł maszynę. Naliczył sześć otworów po kulach. – Wymaga pan przedłożenia planów lotów?

– Tak, to konieczne. Zanim pojawiły się problemy, nikt się tym nie zajmował. Teraz Etiopczycy myślą, że każdy szpieguje dla cesarza, więc żądają okazania planu każdego lotu. Ha! Dzisiaj tylko sprawdzamy maszynę, więc plan jest niepotrzebny. Ale kiedy będzie pan leciał do Gondaru, będzie pan musiał to zgłosić i bez planu się nie obejdzicie.

Plan lotu okazał się nieprzewidzianym utrudnieniem. Tego ranka Purcell umówił się z *signore* Bocaccio tylko na próbny lot, ponieważ chciał się przekonać, jak *navion* spisze się w powietrzu. Lecz gdyby towarzyszyli mu Vivian, Mercado i Gann – o ile ten ostatni by się pojawił – wystartowałyby do lotu rozpoznawczego; nie chciałby jednak wylądować w Gondarze, w którym znajdowało się dowództwo północnej armii Getachu. Mógłby za to zgłosić lot do Chartumu; wszak teoretycznie mogliby mieć tam coś do załatwienia.

– Mogę lecieć do Chartumu? – zapytał.

– Tak, jeśli chce pan zostać aresztowany.

– Domyślam się, że Etiopczycy nie dogadują się z Sudańczykami.

– Ma pan rację. Zresztą nie chciałbym, by zabierał pan Mię tak daleko – oświadczył Bocaccio, pukając w czerwony napis na kadłubie. – Lot stąd do Chartumu leży wprawdzie w granicach jej możliwości, lecz jeśli traficie na wiatr w przeciwnym kierunku, to zabraknie wam paliwa.

Signore Bocaccio uśmiechnął się i wykonał ręką ruch przypominający pikowanie.

– W porządku – odparł Purcell. – Jutro albo pojutrze będę miał pasażera. Później dwóch lub trzech. Czy tylne siedzenie jest na swoim miejscu?

– Niestety, nie. Musiałem je zdemontować, żeby zrobić miejsce na worki z kawą.

– Rozumiem, ale...

– Czasami zabieram próbki z plantacji, transportuję rzeczy na handel i przywożę żywność. Znalezienie włoskiego jedzenia poza Addis Abebą jest niemożliwe. Właściwie, z powodu głodu, czasami trudno o jakąkolwiek żywność.

– Przykro mi. Może pan wstawić siedzenie z tyłu?

– Ktoś je ukradł.

– No tak... Moi pasażerowie usiądą więc na pańskich workach z kawą. Czy Mia poradzi sobie z czterema osobami?

– A jak pan by sobie poradził, dźwigając cztery osoby? – zapytał Bocaccio. – Kim są

pozostałe trzy?

– *Giornalisti*.

– Mam nadzieję, że przyjaźnią się z rządem.

– Oczywiście – rzekł Purcell.

Widząc, że *signore* Bocaccio zamierza drążyć, postanowił zbić go z tropu i zadać kilka pytań technicznych.

– Kiedy ją zbudowano? – zapytał, spoglądając na Mię.

– Dwadzieścia lat temu. Mia jest młodą dziewczyną, a zarazem starym samolotem. Jak pan wie, wyprodukowali ją Amerykanie. Dlatego na wszystkich wskaźnikach są stopy, mile i galony.

– Jaką ma prędkość przeciągnięcia?

– Przeciąga przy każdej prędkości i kiedy tylko chce. Może pan zatem lecieć tak wolno, jak się panu spodoba. Musi pan tylko mieć odpowiedni zapas wysokości, by móc odzyskać panowanie nad maszyną.

– Jaka to prędkość, *signore* Bocaccio?

Bocaccio wzruszył ramionami.

– Prędkościomierz jest niedokładny, a jego wskazówka skacze – odpowiedział. – Samolot, jak to mówicie po angielsku, nie ma trymu. Krawędzie natarcia są rozwalone.

– Zauważyłem.

– W związku z tym prędkość przeciągnięcia wynosi jakieś sześćdziesiąt. Gdy Mia była młoda, radziła sobie przy czterdziestu pięciu. Ale dlaczego to takie ważne? Będzie pan musiał osiągnąć sporą wysokość. A właściwie dlaczego chce się pan zbliżyć do prędkości przeciągnięcia?

– Chcę latać nisko i wolno. Zamierzam wykonywać ostre zwroty. Czy pańska maszyna sobie z tym poradzi?

Signore Bocaccio przyjrzał się Purcellowi z uwagą.

– Nie mówi pan o locie do Gondaru, przyjacielu – powiedział. – Gondar leży na północy, trzysta mil stąd, i po drodze trzeba wykonywać sporo ostrych zwrotów.

– Szukamy wojny, *signore*.

– Ten samolot służy do czego innego. Wie, że do Gondaru leci się w linii prostej, i nie lubi, kiedy się do niego strzela.

Bocaccio włożył palec do przestrzeliny w kadłubie, poklepał go, strzepnął kurz z dłoni i dodał:

– Rząd nie życzy sobie, żebyście szukali wojny z powietrza. To jego robota. Jeśli to zrobicie, ktoś pomyśli, że jesteście szpiegami nasłanymi przez rojalistów, Erytrejczyków, Brytyjczyków

albo Amerykanów...

– Prędkość przelotowa? Wysokość?

– To lotnisko leży na wysokości ośmiu tysięcy stóp. Największą prędkość przelotową osiągnie pan na wysokości, powiedzmy, dwunastu tysięcy. Znalezienie się na o wiele wyższym pułapie zabrałoby zbyt dużo czasu, zwłaszcza z czterema osobami na pokładzie. Lecąc nad dolinami, będziecie mogli zejść w dół, ale musicie pamiętać, że na ośmiu tysiącach stóp można się natknąć na szczyt takiej samej wysokości. Zrozumiał pan?

– Si. Jaka jest jej prędkość maksymalna?

– Być może wydusi pan z niej sto pięćdziesiąt. Do Gondaru lecę zazwyczaj dwie i pół godziny.

– Co ze śmigłem?

– Kręci się nieregularnie, ale niech się pan tym nie przejmuj.

– Może się kręcić, jak chce, byle się nie ukręciło.

– Piasta jest cała, bez pęknięć.

– Miejmy nadzieję.

– Uważa pan, że jestem *pazzo*? – zapytał Bocaccio, pukając się w głowę.

– Jeśli pan jest, *signore* Bocaccio, to ja także.

Bocaccio roześmiał się, spojrzął na Purcella i powiedział poważnym tonem:

– Proszę nie próbować sztuczek z moją Mią, przyjacielu; w przeciwnym razie ona pana zabije.

– *Capisco* – odparł Purcell. – Jest pan gotów nauczyć mnie latania Mią?

Bocaccio uśmiechnął się i zapytał:

– Wciąż zamierza pan nią polecić? Po tym, co panu powiedziałem?

– Skoro latali nią piloci etiopskich sił powietrznych, to i ja sobie poradzę.

Bocaccio ponownie przyjrzał się Purcellowi i rzekł:

– Nie wiem, jaki cel zamierza pan osiągnąć, ale musi on być dla pana ważny.

– Jest równie ważny, co pańska kawa.

Ni stąd, ni zowąd *signore* Bocaccio stwierdził:

– Ten kraj stał się smutny.

– Powinien pan wyjechać.

Bocaccio uśmiechnął się i odparł:

– Wyjadę... Może „L'Osservatore Romano” chciałaby kupić moją Mię?

– Zapytam – powiedział Purcell i spojrzął na kokpit. – Gotów?

– Najpierw ja pilotuję, a pan obserwuje, później odwrotnie. Następnym razem leci pan sam, a ja obserwuję pana z ziemi – ustalił Bocaccio.

– Miejmy nadzieję, że będzie następny raz.

Signore Bocaccio wybuchł śmiechem. Wdrapali się do kokpitu.

ROZDZIAŁ 34

Henry Mercado, ubrany jedynie w bokserki i szlafrok kąpielowy, siedział na balkonie swojego pokoju na najwyższym piętrze i popijał kawę. Przez unoszącą się mgłę dostrzegł w oddali czarny jednosilnikowy samolot podrywający się z pasa startowego na wzgórzu.

– To na pewno Frank – powiedział.

Siedząca obok niego Vivian odparła:

– Powiedział, żeby wypatrywać go mniej więcej o siódmej.

Mercado zerknął na swoją towarzyszkę. Vivian była ubrana tylko w krótką białą shamme, która najwyraźniej służyła jej jako koszula nocna. Ten strój przypomniał Henry’emu obóz Getachu. Plac apelowy. Pal. Mercado był ciekaw, czy Vivian pomyślała o tym samym.

– Frank powiedział, że przeleci w pobliżu i pomacha nam skrzydłami – przypomniała Vivian.

To chyba oznaczało, że musi wrócić do siebie lub do pokoju Purcella, aby nie zobaczył nas przy porannej kawie na moim balkonie, pomyślał Mercado. Lecz Vivian nie ruszyła się z miejsca.

Chcąc przerwać ciszę, Mercado powiedział:

– Jakież obskurne jest to miasto.

– To nie Rzym.

– Tak, to przedsionek piekła.

Vivian się roześmiała.

Mercado poczuł głęboką niechęć do Addis Abeby już w 1935 roku i przez następne czterdzieści lat nic, co zobaczył, nie zmieniło tego uczucia. Miasto to przestali lubić nawet Etiopczycy. Addis Abeba przypominała wiele innych miast, które Mercado widział wcześniej w Afryce i w Azji: miała na wpół zachodni charakter i skupiała w sobie najgorsze cechy obu kultur. Jej jedyną zaletą było położenie na wysokości ośmiu tysięcy stóp, zapewniające przyjemny klimat; tylko w deszczowym sezonie trwającym od czerwca do września ulice miasta zalewane były błotem zsuwającym się z okolicznych wzgórz.

Mercado dołąił kawy do filiżanek. Vivian oparła bosc stopy na balustradzie balkonu, a jej *shamma* zsunęła się po udach.

Mercado zdziwił się, kiedy przyjęła zaproszenie na kawę w jego pokoju; tym większe było jego zdziwienie, gdy stanęła w drzwiach jego pokoju w shammie. W samej shammie.

Lecz Vivian należała już do innego pokolenia. Czasami Mercado myślał o niej jak o dziecieniu Bożym: naturalnie niewinnym, a zarazem nieświadomym swojej zmysłowości.

Spojrzał na czarny samolot w oddali. Maszyna zataczała kręgi i wykonywała ostre, ryzykowne manewry.

– Mam nadzieję, że jest dobrym pilotem – powiedział.

Vivian, wpatrzona w samolot, nie odpowiedziała.

Mercado ponownie przypatrzył się miastu. Nienawidził go, podobnie jak innych miast ze swej młodości, bo przypominało mu czasy, w których był pełen nadziei i optymizmu – wierzył wtedy w Moskwę, nie w Rzym. Obecnie dźwigał brzemień lat, rozczarowań i Boga.

Gdyby dostatecznie mocno wyteżył wzrok i spojrzał w kłębiącą się mgłę, mógłby dostrzec Henry'ego Mercado pędzącego przez Saint George Square do biura telegraficznego. Mógłby także usłyszeć nad głową ryk włoskich samolotów. Przywołałby wciąż żywe wspomnienie przyjemności, jaką odczuwał, Kochając się w zaciemnionym korytarzu hotelu Imperial z dziewiętnastoletnią córką amerykańskiego dyplomaty. Dlaczego w korytarzu? Miał przecież pokój na górze. A gdyby przyłapano ich po włączeniu światel? Uśmiechnął się.

– Co sprawiło, że się uśmiechasz, Henry?

– A co zawsze sprawia?

– Ty mi to powiedz.

Opowiedział jej zatem o tym, jak podczas nalogu kochał się z córką dyplomaty w ciemnym hotelowym korytarzu.

Vivian słuchała, nie komentując, a gdy skończył, zapadło milczenie.

– Zatem rozumiesz – rzekła w końcu.

Mercado się nie odezwał.

– Kiedy się boimy, robimy różne rzeczy.

– Nie baliśmy się nalogu – odparł Mercado.

– Wtedy chcemy się kogoś trzymać.

– Nie pojechałem za tym kimś do Kairu.

Vivian nie odpowiedziała.

Mercado spojrzał na hotel Imperial. Otaczające go werandy zdawały się ugiąć. Wcześniej w przypływie nostalgii wpadł na pomysł, aby zameldować się w Imperialu zamiast w Hiltonie. Doszedł jednak do wniosku, że wystarczy mu jedna wizyta dziennie w biurze prasowym w Imperialu. Miejsca, w których zaznało się dobra, najlepiej odwiedzać we wspomnieniach.

Czarny samolot leciał na północ, nabierając wysokości. Mercado dostrzegł, że maszyna prawie musnęła daleki szczyt. Miał wrażenie, że Vivian nie zwróciła na to uwagi, lecz mimo to powiedział:

– Mam nadzieję, że jesteś przygotowana do robienia zdjęć z małego samolotu z żółtodziobem za sterami.

- Powinieneś tu zostać, Henry.
- Nie obchodzi mnie, czy zginę, Vivian. Chodzi mi o ciebie.
- Nikt nie zginie. Ale powiedziałaś to... Z takim oddaniem...
- Cóż, kocham cię.
- Wiem.

Mercado nie zadał pytania, które samo się nasuwało, i ogarnął niechętnym wzrokiem Addis Abebę. Była brudna i cuchnąca. Po ulicach snuli się starcy z brakującymi częściami ciała; stanowili oni żywe przypomnienie staromodnej etiopskiej sprawiedliwości. Okaleczonym w imię sprawiedliwości towarzyszyli inwalidzi ranni w czasie obecnej i poprzednich wojen. Byli także zdeformowani żebracy, chore prostytutki i wygłodzone dzieci biegające wśród oślego łajna. Klęska głodu pochłonęła już ćwierć miliona ludzkich istnień. Jak Mercado miał wierzyć w Boga?

- Jak to możliwe? – zapytał.
- Jak co jest możliwe?
- To – odpowiedział, omiatając ręką miasto.

Vivian zamyśliła się na chwilę i odparła:

- To dobrze, że wciąż ci na czymś zależy.
- Już nie.
- Ależ tak.

- Czasami myślę, że żyję już za długo.
- Chyba już kiedyś to od ciebie słyszałam.
- Tak? A co ty wtedy odpowiedziałaś?
- Nie pamiętam.

Lecz on pamiętał. Powiedziała mu wtedy:

- Jak możesz tak mówić, skoro masz mnie?

Mercado spojrzał na Vivian, a jego serce dosłownie zamarło.

Samolot przelatował właśnie nad miastem, przechylając się ostro ze skrzydła na skrzydło; będą musieli wykonywać takie manewry, fotografując teren z powietrza. Mercado pomyślał, że Vivian powinna wyjść, zanim Purcell postanowi przelecieć w pobliżu. Lecz Vivian wciąż siedziała ze stopami na balustradzie; miała nieprzyzwoicie szeroko rozłożone nogi, popijała kawę i przyglądała się popisom swojego kochanka.

- Powinnaś pójść na swój albo jego balkon – odezwał się w końcu Mercado.

Vivian nie odpowiedziała.

Mercado wstał, ale nie wszedł do pokoju.

Słońce przesuwające się nad wschodnimi wzgórzami przeganiało resztki przygruntowej

mgły. Stolica byłego cesarstwa była rozproszonym miastem pełnym pustych obszarów, parowów i grzbietów. Nieliczne wieżowce stały w odległości kilku kilometrów od ciasnych skupisk nędznych chat, podobnych do prymitywnych wiosek. Bananowce i palmy osłaniały przed palącym słońcem sklecone z falistej blachy chatynek. W mieście roiło się od robactwa i insektów, a nocą było słychać hieny zawodzące na okolicznych wzgórzach. Nadzieja dla tego miasta i całego kraju, zrodzona po wprowadzeniu nieśmiałych reform cesarza, utonęła w morzu krwi. W starożytniej krainie zapadła długa noc, a jeśli kiedykolwiek miał nadejść świt, to nie za życia Mercado.

– Wszystko w porządku? – zapytała Vivian.

– Teraz widzę wszystko wyraźniej. I współczuję sobie i tym ludziom.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Henry.

– Byłem.

– Znów znajdziemy tego dobrego, szczęśliwego optymistę. Po to tu przyjechaliśmy.

Henry skinął głową. To była jego ostatnia wyprawa. Miał nadzieję na zbawienie, a zarazem był przygotowany na ostateczne rozczarowanie.

Spojrzał w dół, na plac zdominowany przez jedyną piękną budowlę w mieście: była to osmioboczna katedra pod wezwaniem świętego Jerzego. W dzień po placu kręciło się wielu żebraków, a nocą zapełniał się on prostytutkami. Miary sprofanowania wspaniałej koptyjskiej świątyni dopełniał fakt, że zbudowali ją włoscy jeńcy pojmاني pod Adową podczas pierwszej włoskiej inwazji w 1896 roku. Henry uznał, że to swoista ironia losu, o ile nawet nie kosmiczny żart.

– Nadlatuje! – zawołała Vivian, wyciągając rękę.

Czarny dolnopłat zbliżał się ze wschodu, dzięki czemu pilot mógł bez przeszkód przyjrzeć się hotelowi. Mercado zauważył, że samolot leci niebezpiecznie nisko i wolno. Gdyby doszło do przeciągnięcia, pilotowi zabrakłoby wysokości na opanowanie maszyny.

Vivian zdawała się nie rozumieć niebezpieczeństwa; uśmiechała się i machała ręką.

Mercado nie potrafił oderwać wzroku od samolotu, wiedząc, że maszyna może w każdej chwili zanurkować ku ziemi. O czym myślał Purcell? Mercado pomyślał, że takie rzeczy dzieją się wtedy, gdy facet chce popisać się przed kobietą. A gdyby Frank Purcell zginął... Mercado spojrzał na Vivian.

Stała na palcach i dziko wymachiwała rękami.

– Tutaj, Frank! – wołała, podskakując co chwile.

Będąc sto metrów od balkonu, Purcell pomachał skrzydłami. Widzę was, zasygnalizował. Mercado bez entuzjazmu pomachał ręką i dostrzegł twarz Purcella, który na nich spoglądał.

– Zobaczyl nas! – wrzasnęła Vivian. – Widziałeś go, Henry?

Mercado nie odpowiedział. Patrzył na samolot, który nabierał prędkości i oddalał się na zachód. Mercado spodziewał się, że Purcell powtórzy przelot, lecz maszyna nie zmieniła kierunku i rozmyła się na tle wysokich gór.

Vivian wciąż stała przy balustradzie, patrząc na zamglone wzgórza.

Mercado chciał poprosić, by już poszła, lecz tego nie zrobił. W końcu powiedział:

– Mam nadzieję, że nie będziemy mieli problemów z tego powodu.

Vivian odwróciła głowę i odparła:

– Piliśmy kawę i czekaliśmy na Franka.

Mercado skinął tylko głową.

Vivian odwróciła się i oparła plecami o balustradę.

– Nie byłeś zazdrosny – powiedziała.

– Nie byłem.

– Kąpaliśmy się wspólnie.

– Tak, ale... Wspólna kąpiel i sypanie z kimś to dwie różne rzeczy.

– Jedna stanowi preludium drugiej. Wiedziałeś o tym.

– Możesz sobie darować ten argument, Vivian.

Vivian minęła Mercado i weszła do jego sypialni.

Henry stał na balkonie jeszcze kilka sekund, a potem wszedł do pokoju przez przesuwane drzwi.

Vivian leżała na jego niezaścielonym łóżku. Nie zdjęła shammy; podciągnęła ją tylko, odsłaniając swoje kruczoczarne włosy łonowe.

Mercado spojrział na Vivian, lecz się nie odezwał.

– To naprawi wszystko między nami – powiedziała.

Zrozumiał, o czym pomyślała. Powiedziała w ten sposób: przepraszam, zwracam ci twoją dumę i uśmiercam twój gniew.

Mercado zrzucił szlafrok, zsunął bokserki i wszedł na łóżko. Ukląkł między szeroko rozłożonymi nogami Vivian, pochylił się i zaczął zdejmować z niej shamkę, lecz usłyszał:

– Nie. Chcę właśnie tak.

Spojrzał na Vivian.

– Właśnie tak, Henry. Rozumiesz, dlaczego.

Skinął głową.

Vivian wyciągnęła rękę, ujęła jego twardego penisa i przyciągnęła Henry'ego do siebie. Położył się na niej; pomogła mu w siebie wejść i oplótła nogami jego pośladki. Przyciągnęła Henry'ego jeszcze mocniej.

Zaczął wbijać się w Vivian. Po minucie doszła i wydała przeciągły jęk – taki sam, jaki

usłyszał tamtej nocy, kiedy skrępowany zwiślał z pała. Henry nie przestawał się poruszać, a po chwili Vivian doszła po raz drugi. Henry został w niej i poczuł, że wytryskuje.

Leżeli obok siebie, trzymając się za ręce i wpatrując w wolno obracający się wentylator na suficie.

– Rozumiesz to? – zapytała Vivian.

– Tak.

– I rozumiesz, że zrobiliśmy to jako przyjaciele.

Mercado nie odpowiedział.

– Zraniłam cię, lecz teraz czuję się lepiej i chcę, żebyś czuł się tak samo. Jeśli chodzi o mnie. I o... o nas wszystkich.

– Rozumiem.

– Miałam nadzieję, że zrozumiesz. Jeśli nie teraz, to później.

Henry pojął, co miała na myśli, gdy ponownie zobaczył się z Purcellem. Kiedy zasiedli we trójkę przy drinkach, panował remis, nawet jeśli Purcell – w przeciwieństwie do Henry’ego – o tym nie wiedział.

Henry faktycznie czuł się teraz lepiej. Nie było w nim złości, a gdyby nawet, to nie była to złość bezsilna. Pozostało jednak poczucie straty. Henry chciał być z Vivian.

– Powiedz mi przynajmniej, że sprawiło ci to przyjemność.

– Zawsze sprawiało.

– Więc co powiesz na drugi raz?

Vivian spojrzała na zegar.

– Lepiej już pójde – odparła.

– Kiedy indziej?

– Nie. Nie zrobimy tego już nigdy więcej.

Vivian usiadła i zaczęła zsuwać nogi z łóżka, ale Henry położył rękę na jej głowie i delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Vivian zawahała się, lecz w końcu pozwoliła, by Henry zbliżył jej twarz do swojego mokrego penisa. Objęła go ustami.

Uklękła między nogami Henry’ego. Jej czarne włosy zaczęły miarowo opadać na jego uda, gdy podnosiła i opuszczała głowę.

Henry doszedł. Jego ciało wygięło się w łuk, a Vivian zaczekała, aż wypłynie z niego ostatnia kropla.

Usiadła. Henry popatrzył na nią i dostrzegł swoje nasienie spływające po jej podbródku. Spojrzeli sobie w oczy. Vivian uśmiechnęła się, zdjęła shamamę i stanęła na łóżku. Obróciła

się, pokazując się Henry'emu z każdej strony. Patrzył, lecz nie odezwał się ani słowem.

Vivian zeskoczyła z łóżka, wytarła twarz papierową chusteczką, zarzuciła na siebie shamkę i ruszyła do drzwi.

– Dziękuję za kawę – powiedziała.

– Kiedy tylko będziesz miała ochotę – odparł Henry.

Vivian wyszła, a Henry zapatrzył się w wirujące śmigło wentylatora.

– Kocham cię.

ROZDZIAŁ 35

Purcell zamówił taksówkę i wrócił z lotniska do hotelu. Zadzzwonił do Mercado, żeby umówić się z nim na kawę. Spotkali się w sali koktajlowej hotelu Hilton, pełniącej zarazem rolę sali śniadaniowej.

Mercado miał nadzieję, że przyjdzie również Vivian. Zgodnie z tym, co sama zasugerowała, jej obecność tuż po ich zbliżeniu sprawiłaby, że poczuły się lepiej. Siedział jednak tylko w towarzystwie Purcella, rogasza jak i on, i to nie było to samo.

– Gdzie jest Vivian? – zapytał.

– Dzwoniłem do obu pokoiów, ale nie odebrała.

Nie ma jej już w moim pokoju, chciał powiedzieć Mercado, lecz zamiast tego rzekł:

– Może się zdrzemnęła. Wcześniej wstała. Spróbuj jeszcze raz.

– Na pewno tu zejdzie.

Kelner podał im śniadaniowe menu.

– Za każdym razem kiedy jem, myślę o klęsce głodu – powiedział Mercado.

– Zamawiaj mniejsze porcje.

– To bardzo nietaktowne, Frank. Nie powiedziałbyś tego, gdyby była tu Vivian.

Purcell spojrział na Mercado znad karty dań, lecz nie odpowiedział.

Zamówił cały zestaw śniadaniowy i stwierdził:

– Latanie zaostrza mi apetyt.

Mercado zamówił tylko sok pomarańczowy i *cornetto* do kawy.

– Co z samolotem? – zapytał.

– Niezbyt zwrotny, ale wygląda na dość bezpieczny – odpowiedział Purcell. – Jak to wyglądało z twojej perspektywy?

– Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że wiesz, co robisz.

– A co na to Vivian?

– Była podekscytowana, kiedy przelatywałaś. Widziałeś ją.

– Tak.

– A my widzieliśmy ciebie.

– Jak wyglądałem?

– Słucham?

– Czy wyglądałem na szczęśliwego, widząc ją na balkonie twojej sypialni?

Mercado nie odpowiedział na to pytanie.

– Wyluzuj, stary – odparł. – Piliśmy kawę i czekaliśmy na ciebie. Mam nadzieję, że nie

przyszło ci do głowy coś innego.

Purcell spoglądał na Mercado, lecz nie odpowiedział.

Chwila ta nie dała Henry’emu takiej satysfakcji, jakiej się spodziewał. Byłoby o wiele lepiej, gdyby Vivian i Purcell pokłócili się o to wcześniej i gdyby w rezultacie Purcell dąsał się podczas koktajlu lub kolacji.

Mercado nie chciał składać zbyt gorliwych zapewnień, powiedział jednak:

– Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, stary. Musimy być ze sobą blisko, kiedy wędrujemy się do buszu.

Natychmiast pożałował swojego doboru słów. Wędrzeć się do buszu? Przejęzyczenie z Freudem w tle? Zmusił się do uśmiechu.

– W porządku – odparł Purcell. – To nic takiego.

Nic? Mercado chciał mu powiedzieć: właśnie ją pieprzyłem, ale to zaprzepaściłoby całą sprawę. Rzekł zatem:

– Ona jest do ciebie bardzo przywiązana, Frank.

– Koniec dyskusji.

– Właściwie to z nią powinieneś o tym porozmawiać.

Purcell nie odpowiedział, lecz Henry zaczął go irytować. Rozmowy o Vivian nigdy im nie wychodziły, a okazywaną jego dziewczynie sympatią Mercado zasłużył sobie co najmniej na to, żeby dostać w gębę. Purcell powiedział mu to już w Rzymie, teraz jednak nie chciał zaprzepaścić wyprawy. I lubił Henry’ego.

– Nie jestem tego pewien, ale moim zdaniem leciałeś zbyt wolno, kiedy pokazałeś się koło hotelu.

– Pozwól, Henry, że to ja będę trzymał stery.

– Myślę o sobie, stary. O twoim pasażerze. I o Vivian.

– Nie masz się o co martwić – odparł Purcell. – Moja sztuka pilotażu zaimponowała *signore* Bocaccio.

– Doskonale, ale czy pozwoli ci ponownie wystartować?

– Zastanawia się nad tym.

– Potrzebujemy tego samolotu – rzekł Mercado. – A co u *signore* Bocaccio? W dalszym ciągu próbuje udawać, że marksści nie przejęli władzy i może cieszyć się życiem jak gdyby nigdy nic?

– Nie, moim zdaniem dotarło do niego, że już po wszystkim.

– Wydaje się bardziej rzeczowy niż wielu moich rodaków na całym świecie.

– To prawda.

– Skończył się stary porządek świata.

– W rzeczy samej – odparł Purcell. – *Signore* Bocaccio zapytał, czy nasza gazeta nie chciałaby kupić Mii.

– Kogo?

– Jego samolotu. Nazwał go Mia.

– Ach... Nie sądzę.

– Mimo wszystko zapytaj. *Signore* Bocaccio chce się stąd wynieść.

– Powinien. A ty powinieneś powiedzieć mu, że rozważamy ten zakup, żebyśmy mogli skorzystać z tej maszyny.

– Być może sprawiłem, że tak pomyślał.

– Jesteś przebiegły, Frank.

– Ja? To ty kazałeś mi go okłamać.

Podano śniadanie.

– Jadąc taksówką na lotnisko, widziałem dzieci z brzuchami rozdętymi z głodu – powiedział Purcell.

Mercado zamilkł i powiedział po chwili:

– Czasami płaczę nad tym krajem.

– Gdybyś zobaczył to, co widziałem w Kambodży, płakałbyś i nad nią – odparł Purcell i popatrzył na Mercado. – Moglibyśmy oplakiwać cały świat, Henry, lecz to by go nie zmieniło.

Mercado skinął głową i rzekł:

– Wiesz, Frank, człowiek w moim wieku zaczyna się zastanawiać... Co, do cholery, poszło nie tak.

– Wszystko.

– Tak. Ale potem spotyka się... Ojca Armano. Rozjemców z onz-tu. I wszystkich wolontariuszy i misjonarzy, którzy udają się w miejsca takie jak to, aby czynić dobro i pomagać innym ludziom.

– To napawa nadzieją.

– Na każdego Getachu przypada jeden porządny człowiek usiłujący złagodzić cierpienia świata.

– Mam taką nadzieję – powiedział Purcell. – Kiedy ci dobrzy goście zwyciężą?

– Podczas ostatniej bitwy dobra ze złem, gdy Chrystus i Antychryst zmierzą się w Armagedonie.

– Diabelnie ciekawa historia. Mam nadzieję, że ją opiszę.

– Opisujemy ją każdego dnia, Frank.

Purcell skinął głową.

Nie był tak głodny, jak mu się wydawało. Wypił kawę i zapalił papierosa.

Mercado spojrział na witraż i rzekł:

– Właściwie nie widać tu Salomona i Saby w akcie miłosnym.

– Musisz użyć wyobraźni.

– Myślę, że taka scena przyciągnęłaby klientów.

– Albo policję – odparł Purcell. – Słyszałeś coś o „panu Sellassje”, jak go teraz nazywają?

– Były plotki, że go delikatnie maglują w związku z jego majątkiem w Etiopii i za granicą, a on wypłaca im grosz za groszem w zamian za życie członków swojej rodziny.

– Co się stanie, kiedy odda wszystko?

– Uduśli już kilku starych członków rodziny królewskiej za pomocą poduszki i ogłosili, że zmarli śmiercią naturalną. Z nim zrobią to samo albo coś podobnego.

Purcell skinął głową i zapytał:

– Myślisz, że cesarz wie, gdzie się znajduje czarny klasztor?

– Dobre pytanie. Królewski dwór zwykł był podróżować po kraju, by wymierzać sprawiedliwość, udzielać przebaczenia, przekazywać pieniądze Kościołom i tak dalej. Odwiedzał również zawsze Arkę Przymierza w Aksum. Możliwe zatem, że cesarz zawitał do czarnego klasztoru, chociaż instynkt podpowiada mi, że tak się nie stało. Lecz jeśli nawet się mylę, to cesarz i tak nie potrafiłby podać swym porywaczom współrzędnych z mapy.

– To prawda. Na pewno nie był kierowcą autobusu wycieczkowego.

– Jest bardziej prawdopodobne, że przywieziono mu Graala w miejsce oddalone od klasztoru.

– Na przykład do Szooan.

– Niewykłuczone – rzekł Mercado. – Dwór królewski był owiany tajemnicą od trzech tysięcy lat. W porównaniu z nim cesarski dwór w Japonii przypomina otwartą imprezę.

– Natomiast przy Watykanie każda zamknięta instytucja wygląda jak biuro informacji publicznej.

– Twoje antypapieskie poglądy są wkurzające, Frank. Pamiętaj, że pracujesz dla watykańskiej gazety.

– Boże, zlituj się.

– W każdym razie obecnie nie ma dworu cesarskiego w Etiopii.

– Dopóki Gann nie wymyśli jakiegoś sposobu.

– Tak się nie stanie. Nie ma już powrotu.

– Chyba masz rację, Henry. Swoją drogą: gdzie jest sir Edmund?

– Sam zaczynam się nad tym zastanawiać.

– Poinformował nas, że przybędzie dwudziestego czwartego, więc miał tu być przedwczoraj. Mieliśmy jednak czekać jeszcze cztery dni.

- Zatem zaczekamy. Lecz jeśli się nie zjawi, zaczniemy działać bez niego.
- Potrzebujemy tamtych map.
- Mamy samolot.
- Rozpoznanie z powietrza to nie to samo co mapy. Jedno uzupełnia drugie. Poza tym pułkownik Gann posiada umiejętności, o których my nie mamy zielonego pojęcia.
- Wierzę, że możemy poradzić sobie bez niego – oświadczył Mercado. – Lecz nie uda mi się to bez ciebie i Vivian.

Purcell spojrzął na Henry'ego i zapytał:

- Właściwie dlaczego to robimy? Powiedz mi jeszcze raz.
- Moje powody, podobnie jak twoje, Frank, zmieniają się z dnia na dzień. Bywają dni, kiedy myślę o swojej nieśmiertelnej duszy, ale są i takie, kiedy myślę, jak miło byłoby być bogatym i sławnym podczas światowej podróży związanej z Graalem. Jediną rzeczą, której jestem pewien, jest to, że my – nasza trójka – zostaliśmy wybrani, aby wykonać to zadanie, i wierzę, że nie dowiemy się, dlaczego tak się stało, dopóki nie ujrzymy Świętego Graala i nie doświadczymy obecności Ducha Świętego.

Purcell skinął głową.

- W porządku – powiedział. – Jeśli Gann się nie zjawi, nie zrezygnuję. Zapytam jeszcze Vivian.

- Nie musisz jej pytać – odparł Mercado. – Lecz gdybyś chciał, to właśnie masz okazję.

Vivian weszła do sali. Była ubrana w spodnie khaki i luźny sweter. Miała sportowe buty i torbę na ramieniu. Zauważyła ich i podeszła do stolika, uśmiechając się.

Mercado wstał, zrewanżował się uśmiechem i odsunął jej krzesło.

Vivian cmoknęła obu w policzek, usiadła i powiedziała:

- Pomyślałam, że jak zwykle będziecie w barze.
- Teraz to sala śniadaniowa – odparł Mercado. – Ale jeśli chcesz, zamówię ci Krwawą Mary.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – O czym rozmawialiście?

– O rozpoznaniu z powietrza – rzekł Purcell.

Vivian ujęła jego dłoń i powiedziała:

– Jesteś naprawdę wspaniały, Frank. O których ze swoich umiejętności jeszcze nam nie powiedziałaś?

– Umieć wiązać muchę.

Vivian roześmiała się i wzięła grzanekę z talerza Purcella.

– Umieram z głodu – oświadczyła.

– Powiedziałem Frankowi, że zaimponował nam jego przelot – zwrócił się do Vivian

Mercado.

Vivian zerknęła na Purcella, który starał się przywołać kelnera, a potem na Mercado. Spotkali się wzrokiem. Henry się uśmiechnął, a Vivian posłała mu spojrzenie wyrażające udawaną irytację.

Przy stoliku zjawił się kelner. Vivian zamówiła herbatę i owoce. Spłaszczowała też jedną z kielbasek, które zostawił Purcell.

– Czuliśmy się winni z powodu kłęski głodu – powiedział Vivian Mercado.

– Czy to ty ją spowodowałaś, Henry? – zapytała.

– Zamówiłem tylko *cornetto*.

– Powinieneś nabrać sił. Będziesz ich potrzebował.

– Słuszna uwaga.

Chwila ta nie dała Mercado pełnej satysfakcji; zaproponował zatem:

– Powinniśmy chyba wyjaśnić sobie sprawę dzisiejszego poranka.

– Co masz na myśli? – odezwała się sekundę za późno Vivian.

– Frank zastanawiał się, dlaczego pijemy razem kawę na moim balkonie.

Vivian spojrzała na Purcella.

– Nad czym się zastanawiałeś? – zapytała.

– Myślę, że Henry opacznie zrozumiał moje pytanie.

Vivian spojrzała na Mercado, który zwrócił się do Purcella:

– Przepraszam, stary. Myślałem, że zrobiłeś się odrobinę zazdrosny.

Purcell popatrzył na niego i odparł:

– Tak naprawdę zastanawiałem się, w jaki sposób udało ci się zwlec swoje stare dupsko z łóżka o tak wczesnej porze.

– Ustawiłem budzik, żeby cię zobaczyć, Frank. A później pomyślałem: co będzie, jeśli Vivian zaśpi? Zadzwoniłem do niej i zaprosiłem ją na kawę, kiedy ty latałeś. Mógłbyś się zastanawiać, gdzie jesteśmy, gdybyś nie zobaczył żadnego z nas – zażartował Mercado.

Nie rozbawiło to Purcella. Vivian kopnęła Mercado pod stołem i zapytała:

– Czy możemy zmienić temat? Co z sir Edmundem?

– Jeszcze się nie odezwał – odpowiedział Mercado.

– Czy powinniśmy się tym martwić?

– Frank uważa, że nie.

– Uda nam się bez niego?

– Frank twierdzi, że nie – rzekł Mercado. – Chodzi o mapy.

Vivian włożyła rękę do torby, wyjęła z niej grubą kopertę z szarego papieru i powiedziała:

– Była w recepcji.

Purcell zauważył, że listu nie dostarczyła poczta. Przeczytał adres: „Mercado, Purcell, Smith, «L'Osservatore Romano», Hotel Hilton”. Brakowało adresu nadawcy.

– Mam ją otworzyć? – zapytała Vivian.

– Tak.

Vivian sięgnęła po nóż, przecięła solidnie zabezpieczoną taśmą klejącą kopertę i zajrzała do środka.

– m-a-p-y.

– Sprawdź, czy jest list – powiedział Purcell.

Vivian wsunęła rękę do koperty i trafiła na kartkę. Odczytała wiadomość:

– „Jestem w Addis Abebie. Odezwę się. Udanych lotów, panie Purcell”. Nie ma podpisu.

– Dzięki Bogu, dotarł tu i jest bezpieczny – rzekł Mercado.

– Pobyt w tym miejscu ma niewiele wspólnego z bezpieczeństwem – odparł Purcell.

– Tak czy inaczej mamy mapy, a jeśli pułkownik nie skontaktuje się z nami, wyruszymy we trójkę.

– Skąd wiedział, że latałeś? – zapytała Purcella Vivian.

– Przypuszczam, że jesteśmy obserwowani przez królewskie podziemie.

– To ekscytujące – stwierdziła Vivian.

– O wiele bardziej ekscytująca będzie chwila, gdy policja bezpieczeństwa zapuka do twoich drzwi – zapewnił ją Purcell.

Skończyli śniadanie. Purcell oświadczył, że zadzwoni do *signore* Bocaccio, żeby się dowiedzieć, czy będą mogli wystartować następnego ranka o siódmej. Zwrócił się do Mercado:

– Twoja obecność na pokładzie nie będzie konieczna, ale dodatkowa para oczu zawsze może się przydać.

Mercado zawahał się, lecz odpowiedział:

– Nie zrezygnowałbym z takiego przeżycia, Frank.

– To dobrze.

Henry zapowiedział, że wybierze się do hotelu Imperial, żeby sprawdzić teleksy i usłyszeć najnowsze wiadomości i plotki.

– Napiszę również artykuł o klęsce głodu – dodał. – Czytałem twój tekst o katolickich uchodźcach, Frank. Napisałeś, że nie otrzymali pomocy od rządu tymczasowego.

– Mam nadzieję, że mój artykuł ci się podobał.

– Czy cokolwiek w tym artykule jest prawdą?

– Wzoruję się na tobie, Henry, i jestem kreatywny.

Mercado tego nie skomentował.

– To prawda, że gazety są przybliżonym brudnopisem historii. Nie są jednak brudnopisem fikcji historycznej.

Purcell czuł się coraz bardziej rozdrażniony.

– Czekam na twój oparty na faktach artykuł o głodzie – powiedział.

– Podkreślę w nim, że rząd sprzedaje narodowe skarby, żeby kupować żywność dla ludu.

– Przecież tak nie jest. Kupują broń.

– Nie chodzi tu o prawdę ani o fikcję. Chodzi o to, żeby nie napisać niczego, za co mogą nas wydalic z Etiopii albo aresztować.

– Wiem o tym, Henry.

– To dobrze. Napiszemy prawdę, kiedy stąd wyjedziemy.

– Jesteśmy w Etiopii, więc zamiast „kiedy” należałoby powiedzieć „jeśli”.

– Tymczasem poleciłem, by wstrzymano twój artykuł.

Vivian, która do tej pory przysłuchiwała się tylko ich wymianie zdań, rzekła:

– Kiedy się stąd wydostaniemy, będziemy mieli o wiele więcej do opowiedzenia. Henry, postanowiliśmy razem pracować, być przyjaciółmi oraz kolegami po fachu i zapomnieć o przeszłości, nieprawdaż?

Mercado się uśmiechnął.

– To prawda – odpowiedział.

Życząc Purcellowi i Vivian miłego dnia, wyszedł z sali.

Vivian przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

– Przepraszam.

– Za co?

– Wiesz, za co.

– Posłuchaj, Vivian: wiem, że wciąż go lubisz i to jest w porządku – odparł Purcell i przypomniał sobie to, co powiedział Mercado. – Po opuszczeniu Addis Abeby będziemy zdani na własne towarzystwo, musimy zatem odłożyć na bok wszystkie... zazdrości.

Vivian uśmiechnęła się i zapytała:

– Więc będziemy mogli kąpać się razem nago?

– Nie.

– Widzisz? Jednak jesteś zazdrosny.

– Co chcesz dziś robić?

– Chcę sfotografować wszystko, co miałam na filmach, które przepadły, gdy siedziałam w więzieniu, a te sukinsyny przetrzepały mój pokój.

– Dobry pomysł.

– Muszę zabrać aparat – powiedziała Vivian i wstała. – Pojedzie pan ze mną na górę, panie

Purcell? Chcę panu pokazać swojego nowego f-1.

Purcell uśmiechnął się i wstał.

– Proszę pamiętać, że pracujemy dla Watykanu, panno Smith.

– W takim razie krzyknę „o Boże!”, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Purcell wziął kopertę i wyszli.

Gdy się rozbierał, zauważył białą shamkę Vivian rzuconą na krzesło. Dostrzegł także hotelowy szlafrok kąpielowy na łóżku. Poranek był chłodny; Purcell pomyślał, że Vivian powinna była włożyć ten szlafrok przed wizytą na balkonie Henry’ego.

ROZDZIAŁ 36

Niewielki fiat – taksówka – wspinał się po zamglonych wzgórzach. Purcell i Vivian siedzieli z tyłu, Mercado zaś obok kierowcy.

Dotarli na lotnisko. Pas startowy i hangary tonęły w kłębiącej się nisko nad ziemią mgłę.

Purcell zwrócił się do Mercado:

– Nie będziemy mieli pretensji, jeśli zechcesz wrócić. Mieć kogoś, kto przeżyje, to wcale nie taki głupi pomysł. Kogoś, kto wypełni misję albo opowie całą historię.

Mercado się nie odezwał. Otworzył drzwi i wysiadł z taksówki.

Purcell kazał kierowcy zaczekać i zwrócił się do Vivian:

– To na wypadek gdyby były problemy z władzami. Lub z Henrym.

– Ciężko znosi poranki.

– A to ci niespodzianka.

Purcell wysiadł i pomaszerował do hangaru, aby przedłożyć plan lotu. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że wciąż jest zły z powodu spotkania Vivian i Mercado przy kawie. Nie było powodu, dla którego miałyby przebywać tylko w towarzystwie Purcella. Lecz wszyscy wiedzieli, że w nadchodzących tygodniach będzie więcej takich sytuacji.

Purcell wszedł do biura w hangarze. Za biurkiem siedział młody porucznik sił powietrznych palący papierosa. *Signore* Bocaccio zaopatrzył Purcella w kilka formularzy i poinstruował go, jak należy je wypełniać. Purcell posłużył się angielskim – międzynarodowym językiem lotniczym, który w Etiopii najwyraźniej nie obowiązywał.

Porucznik zerknął na plan lotu; nietrudno było zauważyć, że nie potrafił go przeczytać.

– Gdzie lecą?

– Gondar – odpowiedział Purcell, wskazując rubrykę podpisaną: „miejsce docelowe”.

– Dlaczego?

Purcell pokazał porucznikowi swoją legitymację prasową i powiedział:

– *Gazetanna*.

Mężczyzna wyciągnął rękę w kierunku pasa startowego.

– Kto lecą? – zapytał.

– *Gazetanna* – oświadczył Purcell i pokazał dwa palce.

Porucznik pokręcił głową.

– Nie – odparł.

Purcell wyjął z kieszeni kopię planu lotu i położył ją na biurku. Etiopczyk złagodniał, ujrawszy pięćdziesiąt tysięcy lirów – około czterdziestu dolarów – przypiętych spinaczem

do kartki. Była to mniej więcej jego miesięczna pensja.

Natychmiast chwycił gumową pieczętkę, przybił ją na kopii i wpisał godzinę.

– Iść – powiedział.

Purcell zabrał dokument i wyszedł z hangaru.

Henry nie odjechał. Rozmawiał z Vivian obok nawioną. Purcell zapłacił taksówkarzowi i podszedł do samolotu.

– Jakież problemy? – zapytał Mercado.

– Dostaniemy zwrot za łapówki?

– W republice ludowej nie ma łapówek. Są tylko podatki od usług.

Vivian trzymała torbę fotograficzną.

– Właśnie powiedziałam Henry’emu, że wygrzebałam w biurze Reutera obiektyw szerokokątny. Mają tam także dobrą ciemnię, a do tego nie zadają pytań.

– To dobrze – odparł Purcell. – Gotowi? Ktoś musi iść do łazienki? Co z twoim pęcherzem, Henry?

– Wszystko na dole działa jak należy.

Purcell popukał palcem w swoją brezentową torbę i powiedział:

– Na wszelki wypadek zabrałem z hotelu pustą karafkę na wodę. Kupiłeś lornetkę, Henry?

– Pożyczyłem jedną w biurze prasowym.

Gdy Purcell zbliżał się do skrzydła, Mercado wskazał wyrzutnię rakiet i zapytał:

– Cóż to takiego?

– A na co to wygląda, Henry?

– Na wyrzutnię rakietową. Będziemy kogoś atakować?

Gdy Purcell zaczął wyjaśniać, w jaki sposób wyrzutnia znalazła się pod kadłubem, Mercado zauważył przestrzeliny i wskazał je palcem.

– To przypadkowe trafienia – zapewnił Purcell.

Wdrapał się od tyłu na lewe skrzydło, odblokował owiewkę kabiny i przesunął ją do tyłu. Z kokpitu rozniósł się zapach zatęchłej skóry i płynu hydraulicznego. Purcell wyciągnął rękę do Mercado i pomógł mu wspiąć się na skrzydło.

– Zajmij miejsce z tyłu – powiedział.

– Nie ma tu siedzeń.

– Usiądź na workach z kawą.

Niezadowolony Mercado wgramolił się do kabiny. Purcell podał rękę Vivian i wciągnął ją na górę. Wślizgnęła się do wnętrza i usiadła na prawym przednim siedzeniu.

Purcell zajął miejsce za sterami. Przesunął owiewkę do przodu i powiedział:

– W porządku, Henry, z tyłu jest pas. Zapnij go.

– Próbuje.

Purcell i Vivian również zapiepli pasy. Frank przystąpił do wyjaśnień:

– Na planie lotu zapisano szóstą trzydzieści osiem. Powinniśmy być w Gondarze za niecałe trzy godziny. Jeśli się spóźnimy, facet po drugiej stronie, któremu przekażą informacje o naszym locie, zacznie zadawać nam pytania. Musimy jednak parokrotnie zboczyć z trasy, więc wylądujemy najpóźniej po dziesiątej. Zwałę wszystko na przeciwny wiatr.

– A jeśli będą wiedzieli, że nie było takiego wiatru?

– Wiedzą tylko to, co powiedzą im inni piloci, którzy wylądowali. Nie sądzę jednak, żeby między Addis Abebą a Gondarem latało dużo maszyn.

Purcell rozłożył mapę *signore* Bocaccio. Zerknął na arkusz i powiedział:

– Wzniosę się na dwanaście tysięcy stóp i spróbuję wycisnąć sto pięćdziesiąt mil na godzinę. Gdy zobaczymy jezioro Tana, niżymy lot i spróbujemy przelecieć powoli nad obszarami, na których spodziewamy się znaleźć czarny klasztor. Obejrzymy także uzdrowisko oraz miejsce nazwane *terra incognita*. Vivian robi zdjęcia obiektywem szerokokątnym, a później będziemy musieli wskoczyć na sześć tysięcy stóp – na takiej wysokości leży Gondar. Przy odrobinie szczęścia wylądujemy tam nie później niż o dziesiątej.

– A jeśli ktoś zacznie nas wypytywać, po co przylecieliśmy do Gondaru? – zapytała Vivian.

– Powiemy, że piszemy artykuł o pradawnym ufortyfikowanym mieście.

– Trochę to naciągane, Frank – skomentował Mercado.

– Okej. Powiemy więc, że chcemy przeprowadzić wywiad z generałem Getachu.

– Bardziej podoba mi się pierwszy pomysł – stwierdziła Vivian.

– Jesteśmy dziennikarzami – przypomniał Purcell. – Nie mamy pojęcia, co robimy.

Zerknął na zegarek. Była za osiem szósta.

– Gotowi?

– Jeśli ty jesteś gotów, to ja także – odpowiedziała Vivian.

Purcell przekręcił główny wyłącznik, a następnie pociągnął wolant. Zaskoczona Vivian zobaczyła, że wolant po jej stronie poruszył się w taki sam sposób. Purcell nacisnął pedały sterowe, Vivian zaś poczuła ruch pod swoimi stopami.

– Ten samolot ma zdublowany układ sterowania – wyjaśnił jej Purcell. – Nie znaczy to jednak, że będziemy go wspólnie pilotować. Nie dotykaj wolantu i nie ruszaj pedałów.

– Yes, sir.

Purcell nacisnął kilka razy przycisk pompki gaźnika, a potem przycisk zapłonu. Silnik zakaszłał, wypływając spod osłony kłęb czarnych spalin. Śmigło poruszyło się raz, drugi

i silnik zaskoczył.

Vivian zauważyła medalik ze świętym Krzysztofem przypięty przez *signore* Bocaccio nad szybą. Dotknęła go i powiedziała:

– To patron podróżnych. Będzie nad nami czuwał.

– To dobrze.

Purcell zerknął na bezładnie porozrzucane i w większości niesprawne wskaźniki. Pod deską rozdzielczą znajdował się przełącznik wyglądający na nowy, z angielskim opisem: „zabezpieczony” i „ogień”. Oddzielny czerwony przycisk służył do uruchamiania wyrzutni; na przegubowym wysięgniku w lewej części okna sterczał okrągły celownik z przezroczystego plastiku. Purcell zauważył, że w wyrzutni zostały jeszcze cztery markery dymowe. *Signore* Bocaccio stwierdził, że to nic niezwykłego: etiopskie załogi naziemne nie lubiły się przemęczać. Doradził też Purcellowi, żeby nie żądał usunięcia rakiet ani nie strzelał nimi dla rozrywki.

Purcell spojrzął na stojący w oddali rękaw, zwolnił hamulec ręczny i pokołował w kierunku pasów startowych. Na dłuższym, tym, z którego skorzystał poprzedniego dnia w obecności *signore* Bocaccio, lądował c-47. Purcell nie chciał tracić czasu w oczekiwaniu na koniec manewrów dużej maszyny, więc postanowił wystartować z krótszego pasa. *Signore* Bocaccio stwierdził, że nadaje się on do użytku, o ile mocno nie wieje, a samolot nie jest zbyt obciążony paliwem i ładunkiem. Wskaźnik paliwa informował wprawdzie, że zbiornik jest pełny, lecz Vivian była szczupła, a Mercado darował sobie śniadanie.

Purcell pokołował na koniec pasa. Hałas w kabinie był znośny; dało się w niej rozmawiać podniesionym głosem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Purcell.

Vivian skinęła głową, Mercado zaś nie odpowiedział.

Purcell sprawdził wskaźniki lotu oraz ustawienie trymera steru wysokości. Gdy gwałtownie zwiększył obroty, zauważył, że iskrownik spisuje się tak sobie. Trzeba będzie do tego przywyknąć, pomyślał.

Po sprawdzeniu śmigła w całym zakresie obrotów wtoczył się na pas startowy, spowity jeszcze resztkami mgły. Ustawił dziób maszyny na prawie niewidocznej już białej linii. Pęknięcia w betonowej płycie wyglądały nieco niepokojąco: Purcell zawahał się, a potem popchnął manetkę przepustnicy. Navion ruszył.

Nabierająca prędkości maszyna trzęsła się na zniszczonym betonie. Deska rozdzielcza wpadła w wibracje, owiewka z pleksiglasu zaczęła terkotać, a wolant zachowywał się tak, jakby chciał wyskoczyć z rąk Purcella. Kabinę wypełniły ogluszające dźwięki dochodzące z przedniej części podwozia. Purcell zerknął na Vivian. Bawiła się swoim aparatem

fotograficznym.

Navion pożerał pas startowy z prędkością pięćdziesięciu, a potem sześćdziesięciu mil na godzinę. Mgła zasłaniała koniec pasa, lecz Purcell wiedział, że zaczyna się tam urwisko; zauważył to, lecąc z *signore* Bocaccio. Teren po obu stronach pasa opadał i tonął w morzu mgły. Pędzili środkiem, a zatrzymanie maszyny nie było już możliwe.

– Frank! – wrzasnął Mercado, lecz w tej sytuacji nie było o czym dyskutować.

Vivian spojrzała na Purcella znad aparatu, ale się nie odezwała.

Purcell zerknął na prędkościomierz i stwierdził, że masywny wskaźnik pokazuje zero. Pomimo otwartej do końca przepustnicy Mia nie zamierzała oderwać się od ziemi.

Niespodziewanie skończył się pas startowy. Vivian wydała okrzyk zaskoczenia i dotknęła palcami świętego Krzysztofa.

Purcell poczuł, że wolant przestał stawiać opór. Navion zawisł nieruchomo na ułamek sekundy, jakby zastanawiając się, co zrobić: unieść się czy runąć w dolinę.

Nos samolotu opadł, a Purcell delikatnie przyciągnął wolant i pociągnął dźwignię chowania podwozia. Mia lekko się uniosła. Gdy mijali sąsiednie wzgórze, Purcell zauważył, że lecą poniżej jego szczytu. Odgłos podwozia chowającego się we wnękach spowodował, że Vivian się wzdrygnęła, a Mercado powiedział tylko:

– Och!

Samolot zaczął się wznosić. Purcell spojrzał na wysokościomierz, który pokazywał siedem tysięcy osiemset stóp. Zaniepokoiło go to, ponieważ wystartował na wysokości siedmiu tysięcy dziewięciuset. Purcell miał wrażenie, że okoliczne góry wznoszące się na wysokość dziesięciu do dwunastu tysięcy stóp otaczają ich szczelnym kordonem. Zobaczył przed sobą jeden ze szczytów.

Samolot wznosił się powoli, a gdy znalazł się na dwunastu tysiącach, Purcell poczuł lekką ulgę. Skierował maszynę na północny zachód i zapytał:

– Mogę zapalić?

Nikt nie zaprotestował. Purcell zapalił papierosa i znów zapytał załogę:

– Czy ktoś potrzebuje użyć karafki?

– Teraz na to za późno – odpowiedziała Vivian.

– Jak się trzymasz, Henry? – zapytał Purcell.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Vivian odwróciła głowę i zapytała:

– Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest.

– Chcesz trochę wody?

– Nic mi nie jest.

– Robiłeś to wczoraj? – zapytała Purcella Vivian.

– Wczoraj startowaliśmy z dłuższego pasa.

– Czy będziemy mogli wystartować z niego następnym razem?

– Tak.

– Jak poszło lądowanie?

– Nie martw się o to.

– Mogę pociągnąć?

Purcell podał Vivian papierosa.

Kontynuowali lot na północny zachód. Purcell zwrócił się do Mercado:

– Powinieneś zaznajomić się z tymi mapami.

– Myślałem, że ty je masz.

– Żartujesz, Henry?

– Ach, są tutaj.

Vivian wybuchła śmiechem.

Purcell odchylił się i obejrzał deskę rozdzielczą. Z zadowoleniem stwierdził, że prędkościomierz ożył.

– Następnym razem zgłoszę się na ochotnika jako potencjalny ocalały – powiedział Mercado.

– Z radością odciążę samolot.

Purcell co chwila wyglądał przez lewe okno. Kraj widziany z powietrza był piękny, taki, jaki Bóg podarował ludziom. Rzeczywiście, najstarsze, liczące ponad trzy miliony lat szczątki przodka człowieka odkryto w dolinie rzeki Auzas. Właśnie wtedy człowiek rozpoczął swą długą, trudną wspinaczkę w stronę... czegoś.

Vivian pstryknęła zdjęcie Purcellowi, a potem Henry’emu siedzącemu na workach z kawą. Henry również chwycił aparat i powiedział:

– Odwróć się.

Vivian odwróciła głowę i się uśmiechnęła. Mercado nacisnął spust migawki.

– Właśnie zaczęliśmy naszą podróż – oświadczyła Vivian.

– Niewiele brakowało, a zakończylibyśmy ją już podczas startu – odparł Mercado.

– Czułam, że święty Krzysztof i aniołowie unoszą nasze skrzydła – zapewniła go Vivian.

Purcell miał już powiedzieć coś mądrego, lecz gdy się zastanowił nad startem, nie potrafił znaleźć naukowego wytłumaczenia tego, co się stało.

Vivian jeszcze raz dotknęła medalika ze świętym Krzysztofem.

– Dziękuję – powiedziała.

– A ja? – zapytał Purcell.

– Następnym razem startuj z dłuższego pasa.

Lecieli w milczeniu, a Etiopia przesuwiała się pod ich skrzydłami. Gdzieś tam w dole, pomyślał Purcell, jest to, czego szukamy. A może to coś szuka nas?

ROZDZIAŁ 37

Po godzinie lotu Purcell dostrzegł wielkie zakole Nilu Błękitnego. Skręcił w prawo i poprowadził maszynę na północ. Lecieli z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę i dotąd wszystko szło gładko; czasami przeszkadzały im tylko prądy powietrza nad górami. Po kabinie rozchodził się przyjemny zapach ziaren kawy.

Purcell zastanawiał się nad logistyką ich wyprawy. Zwrócił się do Vivian:

– Jeśli w Gondarze wynikną jakieś problemy, mogą skonfiskować twój film. Gdyby zobaczyli, że fotografujemy teren, zażądaliby od nas wyjaśnień.

– Przyczepię naświetlone rolki do własnego ciała.

– Mogliby zechcieć obejrzeć twoje ciało.

– Pewnego razu ukryłem rolę filmu w miejscu, do którego słońce nie dochodzi – zwierzył się Mercado.

– Nie kuś mnie, Henry – powiedział Purcell. – Nie chcemy, żeby znaleziono przy nas filmy. Może włożymy je do worków z kawą?

– Ludzie z naziemnej załogi w Gondarze na pewno wezmą sobie jeden lub dwa – odparł Henry.

Tuż nad świętym Krzysztofem Purcell zauważył zaklejone taśmą rozdarcie w podsufitce. Oderwał kawałek taśmy i zaproponował:

– Tu możemy schować mapy.

Mercado zauważył jednak:

– Nawet jeśli w Gondarze obejdziesz się bez kłopotów, gdy tylko oddalimy się od samolotu, władze dokładnie przetrząsną kabinę.

Purcell nie odpowiedział.

– Jeśli powiemy, że nie wiemy nic o mapach i negatywie, co może wydać się podejrzanę, *signore* Bocaccio trafi na główną komendę policji w Addis Abebie i będzie musiał odpowiedzieć na masę pytań – ciągnął Mercado. – Nas przesłuchają w sztabie Getachu w Gondarze.

Purcell zastanowił się i doszedł do wniosku, że Henry ma rację.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Przyjmijmy, że na lotnisku w Gondarze nie będzie problemów. Powinniśmy mieć naświetlony film i mapy przy sobie. Jeśli natomiast jakieś problemy mają się tam pojawić, to już na nas czekają, a film i mapy będą najmniejszym z nich.

Instykt wciąż podpowiadał Purcellowi, że w policyjnym państwie nie powinni mieć przy

sobie obciążających ich dowodów, zwłaszcza że już wcześniej ich tu aresztowano. Lecz Henry Mercado uczestniczył w tej grze o wiele dłużej niż Frank Purcell. Wyglądało na to, że każda decyzja była zła.

– Włożę naświetlony film do swojej torby – oświadczyła Vivian. – Najciemniej jest pod latarnią. Gdy tylko próbuje się coś ukryć, wpada się w kłopoty.

– Ty wiesz to najlepiej – rzekł Mercado.

Vivian zignorowała tę uwagę i mówiła dalej:

– Frank weźmie mapy. Byłoby gorzej, gdybyśmy mieli przy sobie broń albo portret cesarza. Purcell skinął głową.

– Okej, wylądujemy w Gondarze i zabierzemy swoje rzeczy ze sobą – powiedział. – Na lotnisku będę tylko musiał złożyć nasz plan lotu, a potem weźmiemy taksówkę do miasta.

Henry podzielił się z nimi swoimi przemyśleniami:

– Jeśli Getachu w jakiś sposób dowiedział się, że wróciliśmy do jego nory, to nie zechce nam się pokazać. Będzie tylko obserwował, co robimy w Etiopii.

– Nie sądzę, że jest aż tak bystry – odparł Purcell. – Moim zdaniem kieruje się prymitywnymi pobudkami.

– Przekonamy się o tym w Gondarze.

– Czy możemy zmienić temat? – zapytała Vivian.

– Zatem go zmieńmy – rzekł Purcell. – Gdy zaczniemy szukać czarnego klasztoru, nie powinniśmy ponownie lecieć z Addis Abeby na północ. Stoi?

– Lepiej nie robić tego drugi raz – przyznała Vivian.

– Później, gdy zakończymy rozpoznanie z powietrza i uznamy, że wytypowaliśmy wszystkie miejsca, w których może znajdować się czarny klasztor, polecimy do Gondaru, zostawimy samolot i kupimy albo wynajmiemy samochód terenowy – powiedział Purcell. – Dotarcie z Gondaru do miejsc, które będziemy chcieli zbadać, zajmie nam cztery do sześciu godzin, natomiast podróż z Addis Abeby trwałaby trzy lub cztery dni.

– Naszą bazą wypadową powinien być Gondar – zgodził się Mercado.

Zapadło milczenie. Purcell leciał na północ wzdłuż Nilu Błękitnego, pilnując prędkości i wysokości.

– Muszę na stronę – oświadczyła Vivian.

Mercado podał jej pustą karafkę.

– Zamknij oczy – powiedziała Vivian. – Ty również, Frank.

Zsunęła spodnie i majtki i ulżyła sobie.

– Moja kolej – rzekł Purcell, rozpinając rozporek. – Zamknij oczy, Henry.

– Potrzymam ci, żebyś mógł pilotować – zaproponowała Vivian i wybuchła śmiechem. –

Mam na myśli karafkę.

Purcell podejrzewał, że nie rozbawiło to Henry'ego. Trzymał wolant lewą ręką, a pomagał sobie prawą, podczas gdy Vivian podstawiła mu naczynie.

– Skończyłem.

Vivian zamknęła odchylone wieczko karafki i podała ją Henry'emu, który również z niej skorzystał. Purcell pomyślał, że w ciągu nadchodzących dni i tygodni nie unikną bliskości, a chwil wzmacniających łączące ich więzi będzie o wiele więcej. Dobrze, że byli przyjaciółmi.

O ósmej trzydzieści dwie Purcell dostrzegł jezioro Tana wciśnięte między wzgórze. Wysokościomierz pokazywał jedenaście tysięcy osiemset stóp, lecz tafla wody rozciągała się nie więcej niż sześć tysięcy stóp pod nimi. Oznaczało to, że jezioro leżało na wysokości jednej mili. W mglistej oddali, około dwudziestu mil na północ, powinien być znajdować się Gondar.

Purcell zwrócił uwagę swych pasażerów na wielką wodę i stwierdził:

– Mamy dobry czas, możemy powęszyć tu przez godzinę.

Zaczął zniżać lot. Pół godziny później lecieli około tysiąca stóp nad terenem, podczas gdy wysokościomierz wskazywał sześć tysięcy trzysta stóp nad poziomem morza.

Purcell wykonał wolny zwrot nad wschodnim brzegiem jeziora. Henry, siedzący nad rozłożoną mapą, oświadczył:

– Widzę klasztor Tana Kirkos, o którym wspominał pułkownik Gann. Popatrzcie: tam, na skalistym półwyspie, wcinającym się w jezioro.

Vivian dostrzegła budowlę i sfotografowała ją przez pleksiglasową szybę.

– Prawie czterdzieści lat temu gdzieś na tym brzegu batalion ojca Armano rozbił obóz – powiedział Mercado.

Jezioro otoczone było skalistymi wzgórzami. Purcell wiedział, że ułatwiały one obronę zdziesiątkowanemu batalionowi ojca Armano. Pomyślał, że równie trudnym do zdobycia miejscem był klasztor Tana Kirkos wzniesiony na skalistym półwyspie.

Czarny klasztor był natomiast bezpieczny, ponieważ skrywał się przed ludzkim wzrokiem i nie było go widać nawet z powietrza.

Purcell wykonał kolejny wolny zwrot i rzekł:

– Przekonamy się, czy uda nam się znaleźć łaźnię.

Mercado obserwował połacie lasu przez lornetkę, Vivian zaś wyteżęła wzrok z nosem przyciśniętym do szyby.

– Tam! Widzicie?

Purcell opuścił prawe skrzydło i zmniejszył prędkość. W dole, na wysokości końca lewego skrzydła, wyraźnie zobaczył kompleks białych budowli otoczony trawiastymi polami. Dostrzegł główny budynek, w którym zaparkowali jeepa i znaleźli ojca Armano. Wypatrzył

także wąską dróżkę, którą się tam dostali, i po raz kolejny zastanowił się, co kazało mu zjechać z zarastającej roślinnością drogi dokładnie w tym, a nie w innym miejscu.

– Widzę basen z siarkową wodą! – zawołała podekscytowana Vivian.

Purcell zerknął na basen, a potem na swą pasażerkę. Tamtej nocy zbiegło się wiele okoliczności, lecz nie stały się one dla Purcella bardziej zrozumiałe nawet teraz, gdy przyglądał się temu miejscu z góry i w pełnym słońcu.

– Z góry wygląda to tak pięknie – stwierdziła Vivian i zrobiła kilka zdjęć. – Wrócimy tu, żeby odnaleźć szczątki ojca Armano. Watykan potrzebuje relikwii.

Purcell nie skomentował tego, co powiedziała. Rzekł tylko:

– Podążymy dalej ścieżką pamięci.

Zawrócił maszynę na północ i powiedział:

– Pole ostatniej bitwy.

Poniżej rozciągały się wzgórza, na których obozowały, walczyły i oddały życie ostatnie zwarte oddziały rojalistów dowodzone przez księcia Jozuego. Purcell zniżył maszynę na wysokość dwustu stóp. Wszystkie kolorowe namioty książęcej armii już dawno znikły, a na usianej skałami ziemi poniewierały się tylko rozrzucone kości i czaszki.

– W tym miejscu umarła cywilizacja – rzekł Mercado.

Purcell skinął głową.

Na wzgórzach wciąż było widać kraterzy wryte przez pociski. Blizny na powierzchni ziemi oraz porozrzucone kości stanowiły dowód tego, co działo się tu wtedy, gdy on, Vivian i Henry zażywali kąpeli w starym włoskim uzdrowisku. Któż wie, co by się stało, gdyby zjawili się w tym miejscu dzień wcześniej lub dzień później?

Polecili dalej na północ, w stronę wzgórz Getachu. Jego wojsko wyniosło się z nich już dawno temu i tylko okopy oraz stanowiska ogniowe świadczyły o tym, że kiedyś przebywały na nich tysiące ludzi.

Purcell nie potrafił określić, gdzie znajdował się sztabowy namiot Getachu, lecz po chwili rozpoznał miejsce, w którym wieszano żołnierzy na drucie, wypatrzył wawóz, którym maszerowali ze skutymi nogami, oraz lądowisko helikoptera, który zabrał ich z tego piekła.

Jeszcze bardziej zniżył lot i zmniejszył prędkość. Zobaczyli naturalny amfiteatr – plac apelowy. Purcell był pewien, że Vivian i Mercado dostrzegli również pale wciąż tkwiące w ziemi. Żadne z nich nie napomknęło jednak o nich ani słowem. Nikt nie wspomniał także o drewnianej trybunie, na której Purcell i Vivian przywarli do siebie w przekonaniu, że to ostatnia noc w ich życiu.

W odróżnieniu od widoku uzdrowiska to miejsce oglądane z powietrza uczyniło wydarzenia tamtej nocy bardziej zrozumiałymi.

Vivian nie zrobiła ani jednego zdjęcia. Odwróciła twarz od szyby z pleksiglasu.

Henry milczał, ale Purcell chętnie dowiedziała się, o czym myślał.

Skierował samolot w stronę płaskowyżu oddzielającego kiedyś dwa obozy. Dostrzegł po lewej grań, którą uciekali przed Oromami, oraz szczyt, na którym Henry i pułkownik Gann zdrzemnęli się w niewłaściwym momencie. Skręcił w prawo i dotarł nad trawiasty płaskowyż rozciągający się między wzgórzami.

– Czy to tu byliśmy? – zapytała Vivian.

– Tak.

– Ładnie to wygląda z góry.

– Jak wszystko – odparł Purcell. – A tam jest grań, na którą się wspinaliśmy, żeby uzyskać pomoc generała Getachu.

Z perspektywy czasu zabrzmiało to zabawnie. Vivian roześmiała się i zapytała:

– Co myśmy sobie wtedy myśleli?

– Niewiele.

Purcell skręcił na wschód. Dotarli do miejsca między wzgórzami, na których kiedyś okopały się wrogie obozy.

Gdy spojrział na wysokie trawy z przodu, coś przykuło jego uwagę. Zauważył kilkunastu konnych Oromów zmierzających na zachód.

Mercado także ich dostrzegł.

– Te sukinsyny wciąż tu są – powiedział. – Poczęstuj ich raketami, Frank.

– To nie są moje rakiety. Zresztą, to tylko markery dymowe.

– Sukinsyny.

Purcell pomyślał, że Henry'emu przypomniła się góra Aradam, na której Oromowie niemal dobrali mu się do spodni.

Jeźdźcy zauważyli samolot nadlatujący w ich kierunku. Purcell miał właśnie skręcić w prawo, by utrzymać maszynę poza zasięgiem karabinowych pocisków, lecz wpadł na inny pomysł. Zanurkował.

– Co robisz, Frank? – zapytała Vivian.

– Na litość boską, człowieku! – wrzasnął Mercado.

Purcell leciał tak nisko i wolno, jak się tylko dało. Oromowie przykleili się do końskich grzbietów, gapiąc się na szybko zbliżający się samolot. Purcell pomyślał, że zauważyli wyrzutnię, ponieważ nagle rozbiegli się na wszystkie strony. Kilka koni spłoszyło się na dźwięk wyjącego silnika i zrzuciło jeźdźców z siodeł.

Purcell zwiększył obroty i przeleciał tuż nad głowami Oromów. Skręcił ostro w prawo, żeby maszyna nie stała się łatwym celem. Odleciał w stronę dawnego obozu rojalistów, obniżając

lot, aby wzgórze osłoniły ich przed ostrzałem rozwścieczonych Oromów.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – zawołał Mercado, przekrzykując hałas silnika.

– Szukam swojego jeepa.

– Upadłeś na głowę?

– Przykro mi. Gdzieś mi się zapodział.

Vivian odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Nigdy więcej tego nie rób.

Purcell skierował samolot na południowy zachód. Lecąc wzdłuż porośniętej dżunglą doliny, oświadczył:

– Poszukamy twierdzy księcia Teodora.

Zmniejszył prędkość i wysokość. Przed sobą zobaczyli rozległy obszar zieleni między pasmami wzgórz.

Mercado wcisnął się z mapą między przednie siedzenia i powiedział:

– Tu jest *incognita*.

Purcell zerknął na mapę, a potem wyrzwał na zewnątrz, żeby zorientować się w terenie.

Wykonał lekki zwrot w prawo i stwierdził:

– Za kilka minut będę musiał skrócić mniej więcej na pierwszą.

Przymknął przepustnicę. Navion zwolnił i spłynął nad trójwarstwowe sklepienie dżungli.

Purcell dostrzegł oznaki zapowiadające przeciągnięcie, lecz zachowanie maszyny było wciąż nieprzewidywalne.

Zszedł na dwieście stóp.

– Mijamy wszystko zbyt szybko – powiedziała Vivian.

– Lecąc wolno, zobaczymy więcej szczegółów, chociaż wszystko i tak przesuwa się bardzo szybko bez względu na to, jak bardzo zmniejszę prędkość – wyjaśnił Purcell. – Jeśli polecimy wyżej, to krajobraz będzie przesuwał się wolniej, ale wtedy nie zauważymy mniejszych obiektów.

– Dzięki, Frank. Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Mówię ci to, bo jesteś odpowiedzialna za zdjęcia. Jak mam lecieć?

– Mój szerokokątny obiektyw potrzebuje trochę większej wysokości. Gdy zrobię powiększenia, będziemy mogli obejrzeć je przez lupę.

– Okej. Tymczasem popatrzcie na godzinę pierwszą. Wydaje mi się, że coś widzę.

Henry pochylił się do przodu. Wszyscy wyteżyli wzrok, spoglądając we wskazanym kierunku. Purcell podniósł dziób samolotu, żeby zwolnić. Przed sobą, lekko po prawej, dostrzegli wyrwę wśród drzew, a w niej – zburzone i wypalone budynki. Gdyby nie wiedzieli, że jeszcze pięć miesięcy wcześniej stały one nietknięte, pomyśleliby, że to wiekowe ruiny.

Z tą różnicą, że stare mury już dawno pokryłyby się roślinnością.

Purcell pomyślał o księdzu, który uniknął tu śmierci, a później wydostał się z więzienia do dżungli. Potem coś – Bóg, pamięć albo ścieżka wśród drzew – poprowadziło go na zachód do włoskiego ośrodka wypoczynkowego. Lecz nie tam zmierzał, bo łaźnie jeszcze nie istniały, gdy został uwięziony; wynikało to z mapy Ganna, na której nie zaznaczono tego obiektu. Cóż więc kazało ojcu Armano udać się na zachód i dotrzeć do uzdrowiska, a potem spotkać się z ludźmi, którzy również nie mieli pojęcia o istnieniu tego miejsca? Prawdopodobnie zaprowadziła go tam ścieżka biegnąca przez dżunglę. Gdyby Purcell zapytał o to Vivian lub Henry'ego, odpowiedź byłaby prosta: to Bóg doprowadził do nich ojca Armano. Purcell pomyślał, że obstawiałby raczej przy ścieżce.

Gdy zbliżali się do fortecy, Vivian zrobiła kilka zdjęć; w jednej chwili ruiny zniknęły pod kadłubem samolotu, więc zapytała:

– Czy możemy przelecieć tędy wyżej?

– Oczywiście – odpowiedział Purcell i zaczął nabierać wysokości, zataczając kręgi zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Po kilku minutach, gdy znaleźli się na wysokości około tysiąca stóp, forteca ponownie pojawiła się po ich prawej stronie.

Fotografując, Vivian zamyśliła się i zadała retoryczne pytanie:

– Czy możecie sobie wyobrazić czterdzieści lat życia w celi w samym środku dżungli?

Purcell chciał odpowiedzieć, że jeśli znajdą czarny klasztor, Vivian będzie mogła przekonać się sama, jak to wygląda.

Lecz dla Purcella ważniejsze było to, że udało się potwierdzić kolejny szczegół z historii ojca Armano. Ustalili więc do tej pory kilka faktów: były to wschodni brzeg jeziora Tana, uzdrowisko oraz forteca. Teraz musieli już tylko znaleźć czarny klasztor, który – jak wierzyli – znajdował się na tym obszarze.

Purcell spojrzął na gęstą, jednolitą pokrywę roślinności. Gdy pewnego razu w Wietnamie leciał samolotem obserwacyjnym, jego pilot powiedział:

– Pod tym zielonym dachem znajdują się bazy wroga i tysiące ludzi, a my tego wszystkiego nie widzimy.

Miał rację. To dlatego Amerykanie wycinali lasy i bombardowali je napalmem. Lecz tu, wśród setek tysięcy hektarów nienaruszonej etiopskiej dżungli, mogłoby istnieć całe miasto, ukryte przed ludzkim wzrokiem. Co gorsza, trójka przyjaciół miała zaledwie mgliste pojęcie, gdzie należy szukać czarnego klasztoru.

Mercado, który najwyraźniej pomyślał o tym samym, powiedział:

– To raczej spory kawał dżungli.

– Co ty powiesz?

– Kluczem może być tamta stara mapa, którą widzieliśmy w Kolegium Etiopskim.

– Henry, proszę.

– Oraz witraż w Hiltonie.

– Mówisz jak pomyłony.

– Wspólnym elementem na mapie i w witrażu są palmy. Jeśli spojrzysz w dół, przekonasz się, że jest tu niewiele miejsc, w których rosną.

Purcell rzucił okiem na dżunglę. To prawda, palm było mało, ale... Nie była to zbyt wiarygodna wskazówka.

– Okej, będziemy zwracać uwagę na palmy – powiedział. – Mamy jeszcze pół godziny, a potem musimy polecieć w kierunku Gondaru. Zacznę się wznosić po spirali, a Vivian sfotografuje wszystko, co się da. Vivian, spróbuj zrobić zdjęcia w taki sposób, żeby ich brzegi nakładały się na siebie.

– Wiem.

– W porządku. Zatem w górę.

Purcell popchnął manetkę przepustnicy i *navion* zaczął nabierać wysokości.

– Obserwuj przez lornetkę – polecił Henry’emu Purcell. – Gdy tylko coś zauważysz, daj nam znać. Odsunę owiewkę, żeby zdjęcia były wyraźne.

Purcell cofnął owiewkę o kilka stóp. Ryk silnika wypełnił kabinę.

Vivian odpięła swój pas, pochyliła się do przodu i wystawiła aparat na zewnątrz.

Krążyli nad obszarem leżącym na wschód od jeziora Tana – nad zalesioną krainą odpowiadającą opisowi ojca Armano, która zaczynała się na wschodnim brzegu jeziora i kończyła w pobliżu fortecy. Zawężili więc poszukiwania do jednego brzegu jeziora, lecz nie znali dokładnego położenia miejsca, z którego wyruszył ksiądz; długość brzegu wynosiła osiemdziesiąt mil. Forteca nie była już dla nich *incognita* – w przeciwieństwie do wszystkiego, co skrywało się pod bujnym sklepieniem dżungli, w tym czarnego klasztoru.

Purcell spjrzał w dół. Zielony dywan roślinności wydawał się nienaruszony przez człowieka.

Wierząc w to, co Henry powiedział o palmach, Vivian z zapalem je fotografowała. Wśród drzew widać było kilka niewielkich stawów; Vivian skupiła się również na nich, ponieważ ksiądz wspomniał o stawie, który miał się znajdować w obrębie murów klasztoru.

Drzewo, kamień i skała... Potwierdziło się to, o czym mówił Gann: drzewa były wszędzie, a skała mogła być niewidoczna, o ile nie była potężna albo nie znajdowała się na leśnej polanie. Na starej mapie, którą widzieli Purcell i Mercado, zaznaczono strumienie, lecz i one musiały skrywać się pod gęstą warstwą zieleni.

Purcell pomyślał o włoskich kartografach sporządzających mapy na podstawie zdjęć lotniczych. Zauważyli oni fortecę i kilka innych obiektów wzniesionych przez człowieka, lecz nie dostrzegli czarnego klasztoru ani niczego innego, co mogliby opisać słowem „incognita”.

Igła w stogu siana. Klasztor w dżungli.

Kluczem do zagadki mogła być wioska Szoan. Purcell zerknął na zegarek. Dochodziła już dziesiąta i musieli obrać kierunek na Gondar, by uniknąć podejrzanego spóźnienia.

Purcell pozwolił Vivian zrobić jeszcze kilka zdjęć, a potem zawołał:

– Wystarczy!

Przesunął i zatrzęsął owiewkę. W kabinie zrobiło się ciszej, lecz nikt się nie odezwał. Jeśli poczuli się rozczarowani wynikami obserwacji z powietrza, to żadne z nich nie chciało się do tego głośno przyznać.

Purcell skierował maszynę na północny zachód i zaczął się wznosić na wysokość, na której leżał Gondar.

Nie miał pojęcia, co może czekać ich na miejscu, z dala od względnie bezpiecznej stolicy. Na podstawie doświadczeń z poprzedniej wyprawy na terytorium Getachu mogli spodziewać się, że ich poszukiwania Świętego Graala dobiegną końca za pół godziny.

Purcell miał dość paliwa, aby dolecieć z powrotem do Addis Abeby, ale gdyby zawrócił, nie potrafiliby wytłumaczyć, dokąd i po co lecieli.

– Lądujemy za mniej więcej dwadzieścia minut – poinformował swoich pasażerów.

Nie usłyszał odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 38

Po ich lewej stronie pojawiło się jezioro Tana, za którym majaczyły góry otaczające Gondar.

– Zahaczymy o Szooan w drodze powrotnej – oświadczył Purcell.

– Może tam nie być żywej duszy – odparł Mercado. – Właśnie trwa masowa emigracja Felaszów.

– Słyszałem o tym. Ale dlaczego tak się dzieje?

– Czują się zagrożeni.

– Znam to uczucie. Gann powiedział jednak, że Felaszowie zajmują szczególne miejsce w etiopskiej społeczności.

– Już nie.

– Dokąd wyjeżdżają? – zapytała Vivian.

– Oczywiście do Izraela – odpowiedział Mercado. – Izraelczycy zorganizowali im transport powietrzny. Każdy Żyd na świecie może wyemigrować do Izraela na podstawie prawa powrotu.

Purcell miał wrażenie, że Etiopię opuszcza każdy, kto tylko może. Pomyślał, że wkrótce zostaną tu tylko marksistowski rząd, radzieccy i kubańscy doradcy, chłopci oraz głupi dziennikarze. Domyślał się, że ulotnili się także zakonnicy z czarnego klasztoru, którzy zabrali ze sobą Świętego Graala.

– Felaszowie są jedynymi na świecie nieprzechrzczonymi Żydami nienależącymi do diaspory – mówił dalej Mercado. – To Etiopczycy, którzy przyjęli judaizm przed czasami Saby. Pochodzą stąd, nie z Izraela albo Judei, zatem z technicznego punktu widzenia nie obejmuje ich prawo powrotu, ale izraelski rząd wita ich z otwartymi ramionami.

– W porządku, mam jednak nadzieję, że wciąż są w Szooan, bo uwzględnimy je w naszym planie podróży.

– Uważam, że wiążesz zbyt duże nadzieje z tą wioską.

– Przekonamy się na miejscu.

Dwadzieścia po dziesiątej Purcell dostrzegł fortyfikacje Gondary wylaniające się spomiędzy wzgórz. Widok ten przypominał scenografię do filmu fantasy, pełnego smoków i czarownic. Rzeczywistość była jednak dużo gorsza: w mieście tym znajdowała się główna siedziba armii generała Getachu.

Na pobliskim płaskowyżu rozciągało się cywilno-wojskowe lotnisko pozbawione łączności radiowej. Purcell musiał zniżyć lot, żeby przyjrzeć się lotniskowemu rękawowi i pokazać się załodze wieży; przelatując, czuł się jak intruz na terytorium wroga.

Obsługa wieży włączyła zielone ciągłe światło – międzynarodowy sygnał oznaczający zgodę na lądowanie.

Purcell nadleciał nad pas ciągnący się z północy na południe i zaczął zniżać lot.

– Nie widzę oczekującego nas plutonu egzekucyjnego – stwierdził Mercado.

– Chowa się za hangarem, Henry.

– Czy możemy już skończyć z tym wisielczym humorem? – zapytała Vivian.

Gdy navion przekroczył próg długiego pasa, Purcell pociągnął do siebie manetkę przepustnicy. Obroty silnika spadły i maszyna dotknęła ziemi.

– Witamy w Gondarze.

Purcell pozwolił navionowi dotoczyć się do końca pasa; po drodze wypatrywał jakichkolwiek oznak, które sugerowałyby, że powinni zawrócić samolot, wystartować i polecieć sto pięćdziesiąt mil na wschód, do Sudanu lub Somali Francuskiego.

To samo robił Henry, przyglądający się hangarom oraz zaparkowanym przed nimi pojazdom wojskowym.

Navion zatrzymał się i po chwili Purcell skierował maszynę w stronę hangarów.

Vivian uniosła aparat, lecz Mercado powiedział:

– Tu nie wolno fotografować.

Odłożyła więc aparat do torby.

Purcell zauważył wojskowy samolot transportowy c-47 zaparkowany przed jednym z hangarów i zaczął się zastanawiać, czy to ta sama maszyna, z powodu której nie mógł skorzystać z długiego pasa startowego w Addis Abebie. Wydawało mu się, że transportowiec ma ten sam numer na ogonie, lecz mógł się mylić.

Podtoczyli się pod hangar. Purcell wyłączył silnik. Po czterogodzinnym locie w kabinie zapadła cisza. Można było spokojnie rozmawiać, ale nikt się nie odezwał.

Purcell odblokował owiewkę i przesunął ją do tyłu.

– Weźcie wszystko ze sobą – powiedział. – Zostawcie tylko karafkę.

Wyszedł na skrzydło, potem pomógł Vivian i Mercado opuścićabinę.

Przyglądało im się czterech mężczyzn w oliwkowych mundurach. Każdy z nich miał u boku kaburę.

Oczywiście znali naviona; Purcell zauważył jednak, że spodziewali się, iż z kabiny wyjdzie *signore* Bocaccio lub jeden z etiopskich pilotów, któremu polecono ostrzelać racami dymowymi wrogów ludu.

– Dobra wiadomość: wydają się zaskoczeni naszym widokiem – zwrócił się do swoich towarzyszy Purcell.

Zeskoczyli na betonową płytę lotniska i ruszyli w kierunku wojskowych. Jeden z nich,

kapitan, gestem ręki zaprosił przybyłych do wnętrza hangaru. Usiadł za biurkiem i zaczął im się przyglądać.

Purcell zauważył na jego mundurze czerwoną gwiazdę – emblemat nowego marksistowskiego państwa. Pół roku wcześniej jej miejsce prawdopodobnie zajmował jeszcze lew Judy. Purcell miał nadzieję, że kapitan nie jest pociotkiem Getachu i władza międzynarodowym językiem lotnictwa, jak również wierzy w międzynarodowe braterstwo królów przestworzy. Istniała jednak możliwość, że był zwykłym dupkiem.

– Kim jesteście? – zapytał dobrą angielszczyzną kapitan.

– Jesteśmy dziennikarzami z Addis Abeby oraz przyjaciółmi *signore* Bocaccio – odpowiedział Mercado.

– Po co tu przylecieliście?

– Chcemy zwiedzić starożytny Gondar.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest sławny.

Kapitan zastanawiał się przez chwilę i powiedział:

– Wasz plan lotu, paszporty i legitymacje prasowe.

Purcell wręczył mu plan lotu; wszyscy wyjęli paszporty i legitymacje. Kapitan dokładnie przejrzał każdy z paszportów i sprawdził zgodność nazwisk z listą wystukaną na maszynie.

Purcell, Vivian i Mercado spoglądali na siebie w milczeniu.

Kapitan przyjrzał się jeszcze legitymacjom prasowym, oddał wszystkie dokumenty Purcellowi i poinformował go:

– Obowiązuje opłata za lądowanie.

– Ile to dziś kosztuje?

Kapitan przyglądał się przez chwilę Purcellowi i zapytał:

– Co pan ma?

– Liry.

– Pięćdziesiąt tysięcy.

– Henry, zapłać panu – powiedział Purcell.

Na twarzy Mercado odmalowała się ulga, a zarazem irytacja. Wyjął z portfela banknot i wręczył go kapitanowi.

– Jak długo zamierzacie tu zostać? – zapytał wojskowy.

– Kilka godzin.

– Tak długi lot dla kilku godzin w Gondarze?

– Jestem fotografką – odezwała się Vivian i poklepała swoją torbę fotograficzną. – Dziś zamierzamy zrobić próbne zdjęcia, a jeśli nasza gazeta uzna, że są dobre, wrócimy tu, żeby

zebrać materiały do fotograficznego eseju o starożytnym mieście.

Kapitan wpatrzył się w Vivian, zdając się analizować jej odpowiedź.

– Jakie jeszcze sprawy was tu sprowadzają? – zapytał Purcella.

– Żadne.

– Czy znacie tu kogoś?

– Nikogo.

Z wyjątkiem generała Getachu, rzecz jasna, lecz nie warto było o tym wspominać.

Kapitan przyglądał im się przez długą chwilę, aż w końcu oświadczył:

– Jeśli zajdzie potrzeba, siły powietrzne tymczasowego rządu rewolucyjnego będą miały prawo użyć waszego samolotu, o czym, jak sądzę, *signore* Bocaccio już was poinformował.

– Rozumiemy.

– Jesteście tu, żeby pisać o wojnie?

– Nie dzisiaj.

– Jaki jest następny cel waszej podróży?

– Addis Abeba.

– Samolot zostanie zatankowany pod waszą nieobecność. Będziecie musieli zapłacić za paliwo zachodnią walutą. Zgłosicie również plan lotu do Addis Abeby i uregulujecie opłatę za start – poinstruował ich kapitan.

– Rozumiem.

– Zgłosicie się do mnie przed startem. Jestem kapitan Sharew.

– Dobrze.

– Możecie odejść.

Ruszyli w stronę drzwi.

– Stać!

Odwrócili się i Purcell zauważył, że kapitan przygląda się ich planowi lotu.

– Od waszego wylotu z Addis Abeby minęły ponad cztery godziny – zwrócił się do Purcella.

– Lecieliśmy pod wiatr.

Kapitan Sharew pokazał ręką c-47 za oknem i powiedział:

– Ten samolot wystartował z tego samego lotniska zaraz po waszym. Przyleciał tu dwie godziny temu i nie walczył z przeciwnym wiatrem. Zboczyliście z trasy?

– W zasadzie błędnie odczytałem mapę i nie znam terenu, więc błędziliśmy przez jakąś godzinę.

– A zatem przeciwny wiatr i błędzenie. Jest pan fatalnym pilotem.

– Najwyraźniej.

- Zanotuję wasze całkowite zużycie paliwa na trasie z Addis Abeby.
- Proszę również zanotować, że nasze zbiorniki były napełnione do trzech czwartych.
- Być może ktoś z Addis Abeby będzie mógł to potwierdzić.
- Jestem tego pewien.

Kapitan wpatrywał się w nich jeszcze przez chwilę.

- Możecie odejść – powiedział w końcu.

Odwrócili się i opuścili hangar.

- On nie kupuje bajeczki o przeciwnym wietrze i błędzeniu, Frank – rzekł Mercado.

Przed lądowaniem Purcell zauważył mały terminal przeznaczony do obsługi pasażerów linii lotniczych. Gdy maszerowali w jego kierunku, żeby wynająć taksówkę, stwierdził:

- Moje wyjaśnienia, jako pilota, były logiczne i wiarygodne.
- Myślę, że moje wyjaśnienia dotyczące naszej krótkiej wizyty tutaj były bardziej wiarygodne niż twoje tłumaczenie się z ponad czterech godzin lotu.

- Bo kłamiesz lepiej niż ja.

- Mogą pożyczyć nasz samolot, gdy nas tu nie będzie – zauważył Mercado.

- Oddadzą nam go, jeśli nie zostanie zestrzelony.

- Czy jest w tym mieście jakiś hotel? – zapytała Vivian.

- Było kilka porządných hoteli podczas mojej ostatniej wizyty – odpowiedział Mercado.

- Kiedy to było?

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym.

Dotarli do terminalu i weszli do niego tylnym wejściem. Mały, tandetny budynek wyglądał na opuszczony.

- Czy odlatają stąd samoloty pasażerskie do Addis Abeby? – zapytała Vivian.

– Kiedyś latał jeden dziennie – odpowiedział Mercado. – Obecnie, jak słyszałem, być może jeden tygodniowo.

- Najwyraźniej przegapiliśmy ostatni – zauważył Purcell.

- Moglibyśmy tu utknąć – powiedziała Vivian.

– Byłaby to najmniej przykra z rzeczy, które mogłyby się tu wydarzyć – odparł Purcell i zauważył, że stoisko wypożyczalni samochodów jest zamknięte. – Gdy będziemy w mieście, spróbujemy wypożyczyć jakąś terenówkę.

Wyszli z terminalu frontowymi drzwiami. Na postoju taksówek stał samotny czarny fiat. Mercado obudził taksówkarza. Gdy zajęli miejsca, siedzący z przodu Henry powiedział krótko:

- Gondar.

Kierowca wydawał się tak zakłopotany, jakby byli jego pierwszymi klientami od wybuchu

rewolucji.

Purcell zwrócił się do Mercado:

– Daj mu dwadzieścia tysięcy.

– To około piętnastu dolarów, Frank. On zarabia jakiegoś dolara dziennie.

– To więcej, niż płaci mi „L'Osservatore Romano” – odparł Purcell. – Ruszajmy.

Mercado niechętnie wręczył taksówkarzowi banknot. Mężczyzna przyjrzał się papierkowi, uruchomił silnik i ruszył.

W drodze z płaskowyzu Mercado próbował nawiązać rozmowę z taksówkarzem, odzywając się do niego po amharsku, włosku i angielsku.

– Uważam, że następnym razem nie powinniśmy lecieć navionem – rzekła Vivian. – Byłoby to o jedną podróż za dużo. Gdy będziemy gotowi do rozpoczęcia wyprawy, przylecimy tu rejsowym samolotem.

– Będziemy musieli wykonać jeszcze jeden lot rozpoznawczy, żeby sprawdzić wszystko, co będzie interesująco wyglądało na twoich zdjęciach – stwierdził Purcell.

– Nie jestem nawet pewna, czy się stąd wydostaniemy.

– Zostaliśmy wybrani po to, żeby się stąd wydostać.

Vivian nie odpowiedziała.

Gdy zbliżali się stromą i wąską drogą do murów miasta, Mercado odwrócił się i powiedział:

– Ten taksówkarz czekał na generała radzieckich sił powietrznych.

Vivian roześmiała się i zapytała:

– Więc dlaczego zgodził się nas zabrać?

– Bo Henry zaproponował mu jego miesięczną pensję – odpowiedział Purcell.

– Dzisiaj nic nie poszło jak należy – mruknął Mercado.

– Nieprawda – odparł Purcell. – Nie rozbiłem samolotu i nie zostaliśmy aresztowani. Dzień się jeszcze nie skończył.

ROZDZIAŁ 39

Mercado pokierował taksówkarza na zbudowany przez Włochów plac w centrum Gondaru. Było słonecznie, lecz chłodno. Stanęli, żeby się rozejrzeć: zobaczyli sklepy, kino i budynki użyteczności publicznej w faszystowskim stylu, zaprojektowane w latach trzydziestych przez włoskich architektów.

– W 1941 to miejsce wyglądało lepiej – stwierdził Mercado.

– Ty także – zauważył Purcell.

Mercado zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– W 1941 roku Gondar był ostatnim punktem oporu Włochów przeciw Brytyjczykom. – Mercado zamilkł na chwilę. – Podróżowałem wtedy z Brytyjskimi Siłami Ekspedycyjnymi jako korespondent wojenny... Pół roku wcześniej zdobyliśmy Addis Abebę i Hajle Sellasje zasiadł na tronie.

Purcell spojrział na Henry'ego stojącego na placu. Ten człowiek znał życie, śmierć i wojnę; być może zakosztował także pokoju. Był świadkiem historii całego dwudziestego wieku: widział jego triumfy i rozczarowania, osiągnięcia i porażki.

To cud, pomyślał Purcell, że Mercado pozostał sobą. I że wciąż potrafił wierzyć w Świętego Graala i w miłość.

Purcell zerknął na Vivian, która przyglądała się Henry'emu. Nie planował przecież, że odbierze mu jego damę.

Mercado skinął głową w stronę kina i powiedział:

– Brytyjscy żołnierze oglądali tu zdobyczne włoskie filmy, a ja stałem na scenie i wykrzykiwałem tłumaczenia dialogów. – Roześmiał się. – Wymyśliłem kilka bardzo śmiesznych dialogów z podtekstem.

Vivian wybuchła śmiechem, a Purcell się uśmiechnął.

Mercado wskazał duży budynek.

– Tu brytyjska armia urządziła swoją kwaterę główną – wyjaśnił. – A tam powiewała brytyjska flaga. Gann powiedział mi, że również tu wtedy był, ale nie miałem okazji go poznać. A jeśli nawet, to musieliśmy być w stanie głębokiego upojenia i tego nie pamiętamy.

Purcell zastanawiał się, czy za trzydzieści pięć lat on także będzie tu – lub w innym miejscu ze swojej przeszłości – opowiadał swojemu młodszemu towarzyszowi o tym, jak było kiedyś. Prawdopodobnie nie. Henry miał wyjątkowy talent do oszukiwania śmierci; Purcell również miał się za szczęściarza, lecz nie aż takiego.

Mercado mówił dalej:

– Włosi prowadzili zdumiewająco zaciętą wojnę partyzancką przeciwko Brytyjczykom jeszcze przez dwa lata, zanim ostatecznie pożegnali się z tym ostatnim kawałkiem swojego afrykańskiego imperium. Ale wtedy przemierzałem już z brytyjską armią Afrykę Północną. – Zamilkł na chwilę. – Zawsze zamierzałem wrócić do Etiopii, a zwłaszcza do Gondaru. I oto tu jestem.

– Pokaż nam miasto, Henry – poprosiła Vivian.

Opuścili *piazza* i powędrowali w stronę starówki, która wyglądała równie nierealnie, jak oglądana z powietrza. Zobaczyli pałace z cegły i kamienia, kościoły, fortyfikacje, starą synagogę i ruiny. Purcell pomyślał, że starówka Gondaru ma niemal średniowieczny charakter, mimo iż jej architektura nie przypominała niczego, co widział w Europie i poza jej granicami.

Vivian robiła zdjęcia, podczas gdy Mercado pokazał im kilka budynków, które pamiętał.

– Kiedyś było tu więcej ludzi – zauważył. – W Gondarze i okolicach żyje większość żydowskiej populacji Etiopii. Myślę jednak, że Żydzi wyjechali, podobnie jak arystokraci, kupcy i Włosi.

– Gdybyś żył w tym miejscu, co generał Getachu, też byś wyjechał – odparła Vivian.

Mercado powiedział także:

– Felasze, wspólnie z rojalistami oraz innymi zwolennikami tradycji z okolicznych prowincji, uformowali ruch oporu przeciwko marksistom. Getachu nie jest zatem kompletnym paranoikiem, widząc dookoła samych szpiegów i wrogów. Wiejskie obszary są niestabilne i niebezpieczne.

– Czy dotyczy to również okolic, w które się wybieramy? – zapytała Vivian.

– Przekonamy się.

Większość sklepów i restauracji – w tym włoska restauracja, którą pamiętał Mercado – była zamknięta. Żołnierze uzbrojeni w ak-47 patrolowali niemalże wyludnione ulice i przyglądali się trójce mijających ich przyjezdnych.

– To przerażające – rzekła Vivian.

– Powiedz im, że znasz generała Getachu – zaproponował jej Purcell.

Znaleźli otwarty sklep spożywczy, w którym można było kupić butelkowaną wodę oraz paczkowaną żywność, i zapamiętali jego położenie, żeby później móc zrobić zapasy.

Obok kościoła na małym placu dostrzegli otwartą kawiarnię ze stolikami pod gołym niebem. Chętnie napiliby się tu piwa, lecz przy stoliku siedziało sześciu żołnierzy – bez wątplenia Kubańczyków – przyglądających im się z zainteresowaniem. Jeden z nich zawołał coś do señority, a Vivian posłała im buziaka. Wszyscy się roześmiali.

Purcell chciał znaleźć angielską szkołę misyjną, w której młody Mikael Getachu zbierał

baty, lecz starsuszek mówiący po włosku powiedział Mercado:

– Teraz jest tam sztab armii.

Henry zaproponował, by darowali sobie zdjęcie szkoły, Purcell zaś powiedział:

– Mikael próbuje przepracować problemy z dzieciństwa.

Popytali mieszkańców o najlepszy hotel w mieście i dzięki wskazówkom trafili do hotelu Goha w pobliżu włoskiego placu. Poprosili o rozmowę z kimś mówiącym po angielsku lub po włosku. Zaprowadzono ich do biura kierownika hotelu, pana Kidane, który władał obydwoma językami.

Zapytali go o możliwość wynajęcia pokoi w najbliższych dniach – mimo iż hotel wydawał się pusty – oraz o możliwość wynajęcia samochodu terenowego. Pan Kidane oświadczył, że jego przyszli goście mogą liczyć na brytyjskiego land rovera. Niestety, powiedział, z powodu niestabilnej sytuacji opłata za wypożyczenie terenówki będzie wynosiła dwieście dolarów amerykańskich dziennie. Zalecił im także wynajęcie kierowcy i ochroniarza, oczywiście za dodatkową opłatą. Pan Kidane oczekiwał również kaucji w postaci dwóch tysięcy dolarów w gotówce – domyślił się, że miała ona stanowić jego zabezpieczenie na wypadek, gdyby jego goście ani samochód już nigdy nie wrócili.

Pan Kidane wręczył im wizytówkę z numerem teleksu w hotelu Goha, Purcell zaś wynagrodził mu fatygę banknotem o nominale dwudziestu dolarów. Pan Kidane wezwał taksówkę.

Wracali na lotnisko.

– To było fascynujące – powiedziała Vivian.

– Pewnego dnia Gondar będzie atrakcją turystyczną – stwierdził Mercado. – Na razie jest łupem Getachu, o ile tylko uda mu się go utrzymać.

– Wygląda na to, że mamy samochód i będziemy mogli zrobić tu zapasy na drogę – powiedział Purcell. – Musimy jednak działać szybko, na wypadek gdyby wznowiono walki.

Mercado przyznał mu rację i rzekł:

– Te góry zawsze były ostatnim bastionem desperackiego oporu.

– Jutro lub pojutrze wykonamy jeszcze jeden lot obserwacyjny, a jeśli Gann się nie odezwie, będziemy musieli postanowić, co dalej – powiedział Purcell.

Vivian i Mercado przyznali mu rację.

Pojechali na lotnisko, na którym miał na nich czekać kapitan Sharew.

Navion wciąż stał przy hangarze, lecz na szczęście nie było tam kapitana Sharewa. Purcell zaczął pospiesznie wypełniać formularz planu lotu, a Mercado zapłacił za start, wręczając pięćdziesiąt tysięcy lirów kolejnemu amatorowi łapówek.

Purcell nie miał nic przeciwko dawaniu komuś w łapę; wiedział, że należy niepokoić się dopiero wtedy, gdy przedstawiciele władz odmawiają przyjmowania lewych pieniędzy.

Nowy oficer zapisał godzinę, o której mieli wystartować – była to trzynasta trzydzieści – i doradził:

– Nie zbaczajcie z trasy.

Potem przedstawił im szokująco wysoki rachunek za paliwo, który musieli uregulować w zachodniej walucie.

– Twoja kolej, Vivian – stwierdził Purcell.

Wskoczyli szybko do naviona i zauważyli, że z kabiny zniknęły dwa worki kawy oraz karafka pełna moczu. Purcell sięgnął do wyłącznika zapłonu i powiedział:

– Mam nadzieję, że zostawili chociaż świece.

Silnik zaskoczył. Pokołowali z maksymalną prędkością na północny koniec pasa startowego. Widząc zielone światło, Purcell popchnął manetkę przepustnicy.

Po chwili navion oderwał się od ziemi i poleciał na południe, w stronę Addis Abeby.

Pół godziny po starcie Purcell skręcił na wschód i poprosił Mercado:

– Podaj mi mapę, na której jest Szooan.

– Nie chcę się spóźnić do stolicy.

– Mamy wiatr w plecy.

Mercado podał mapę. Purcell spojrzął na arkusz i zapytał Mercado:

– Interesuje cię przelot nad górą Aradam?

Mercado nie odpowiedział, a Purcell więcej o to nie zapytał.

Znalazł na mapie Szooan, spojrzął w dół i skierował maszynę bardziej na wschód. Zauważył jednopasmową drogę biegnącą z północy na południe, którą jechali podczas ostatniego pobytu, gdy szukali linii frontu i znaleźli stare uzdrowisko. Purcell wyczytał z mapy, że Szooan znajduje się w odległości zaledwie trzydziestu kilometrów na wschód od tej drogi, leży na wyżej położonym terenie oznaczonym jako rolniczy, a dookoła niego rozciągają się gęste lasy. Jeśli Gann miał rację, mówiąc o zaopatrywaniu czarnego klasztoru w świece i sandały, to wioska oraz czarny klasztor musiały być oddalone o dzień lub dwa pieszej wędrówki od miejsca spotkań. Wynikało z tego, że dotarcie z Szooan do klasztoru wymagałoby czterech dni marszu. Tylko w którym kierunku?

Purcell ponownie przyjrzał się mapie. Zawężili już nieco obszar poszukiwań, ale i tak mieli do czynienia z tysiącami kilometrów kwadratowych, które – jeśli wierzyć mapom – były porośnięte gęstą dżunglą i lasami.

– Czego szukasz? – zapytała Vivian.

– Czarnej kropki w morzu zielonego atramentu – odpowiedział Purcell.

– Ona na pewno gdzieś tu jest, Frank. Znajdziemy ją.

– Moglibyśmy iść przez rok i niczego nie znaleźć. Moglibyśmy minąć to miejsce o sto metrów i pójść dalej.

– Jutro przed południem będę miała odbitki.

– Świetnie. A jeśli niczego na nich nie znajdziemy... Zaczniemy w miejscu, które łatwo znaleźć: w Szooan – powiedział Purcell i spojrzął w dół. – Właśnie do niego dolatujemy.

Wykonał lekki zwrot w lewo i zaczął zniżać lot. Gdy podlecieli bliżej, zobaczyli rozrzucone wśród upraw białe domy pokryte falistą blachą. Dostrzegli coś, co przypominało sady, a także pastwiska, po których kręciły się kozy i osły, oraz wybieg dla koni zbudowany wokół stawu. Panuje tu spokój, pomyślał Purcell. Wyspa spokoju otoczona morzem chaosu.

Sama wioska leżała między dwoma wzgórzami. Jej centralny plac otaczały skupiska domów. Kilka budynków wyróżniało się rozmiarami; Purcell uznał, że jeden z nich mógł być synagogą. Na skraju wioski stał duży budynek z wewnętrznym dziedzińcem, na którym znajdował się okrągły staw i rosły palmy.

Mercado nie odrywał lornetki od oczu.

– To zdumiewające – powiedział.

– Widziałeś jakichś ludzi? – zapytał Purcell.

– Tak... I widzę... samochód. Wygląda jak... terenówka. Może to jeep albo land rover.

– Wojskowy?

– Naprawdę trudno mi powiedzieć, Frank. Zejdź niżej.

Purcell zerknął na zegarek, później na prędkościomierz. Tym razem przeciwny wiatr, którym Purcell tłumaczył spóźnienie na lotnisku w Gondarze, pojawił się naprawdę. Musieli zacząć trzymać się planu lotu i polecieć prosto do Addis Abeby.

– Wracam – powiedział Purcell.

Spojrzął na mapę oraz na kompas, popchnął manetkę przepustnicy do końca i obrał kierunek na stolicę.

– Jeśli w wiosce był samochód, to musi też do niej prowadzić przejezdna droga – stwierdził. – Być może odchodzi od tej, którą kiedyś jechaliśmy.

– Nie przypominam sobie, bym widział jakąś boczną drogę – odparł Mercado.

– Nie spodziewaj się tam tablicy z napisem „Szooan, populacja: paruset Żydów”. Być może droga ta została celowo ukryta.

– Nie życzą sobie gości – zgodził się Mercado.

– Wkrótce będą mieli troje – oświadczył Purcell. – Pamiętam z naszej wyprawy, że większość tego terenu jest nieprzejezdna nawet dla wozu terenowego. Obserwacja z góry to potwierdza. Proponuję, aby kierowca z Gondaru zawiózł nas do uzdrowiska, z którego

pójdziemy do Szoan pieszo. Dotrzemy tam w kilka godzin.

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Proponuję również, abyśmy wykorzystali Szoan jako naszą bazę wypadową i stamtąd wyruszyli na poszukiwania – dodał.

– Nie wiem, czy Felaszom spodoba się nasza obecność, stary – powiedział Mercado. – Przypuszczam, że nie polubią nas, wiedząc, że szukamy czarnego klasztoru.

– Gann próbował nam coś powiedzieć; myślę, że jego komunikat brzmiał: jedźcie do Szoan.

– Anglicy nie są zbyt subtelni, Frank – odparł Mercado. – Gdyby Gann chciał, żebyśmy pojechali do Szoan, powiedziałyby: jedźcie do Szoan. Taki jest nasz sposób komunikowania się.

– Myślę, że wyraził się jasno.

– Jasne jest dla mnie to, że przemierzając dżunglę, powinniśmy unikać jakichkolwiek kontaktów z ludźmi. Próby uzyskania pomocy od przyjaznych tubylców nie przyniosą nam nic dobrego.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Henry. Lecz obaj wiemy, że wyrzutkom społeczeństwa zazwyczaj można ufać.

– Felaszowie nie są wyrzutkami. Po prostu chcą, żeby zostawiono ich w spokoju, który mieli od trzech tysięcy lat.

– Te czasy już się skończyły.

– Najwidoczniej, ale sir Edmund miał rację, mówiąc o Felaszach i zakonnikach. Jeśli zaangażujemy w to Felaszów, zakonnicy załatwią nam stały pobyt w czarnym klasztorze.

– Są gorsze miejsca, w których można spędzić resztę życia, Henry.

– Myślę, że do pewnego stopnia obaj macie rację – odezwała się milcząca dotąd Vivian.

– Co oznacza, że do pewnego stopnia obaj się mylimy – odparł Purcell.

– To się wyjaśni, tylko jeśli zjawi się pułkownik Gann – zauważyła Vivian.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Lecielej prosto na południe, w stronę Addis Abeby.

– Myślę, że czegoś nam brakuje – rzekła po pewnym czasie Vivian.

– Karafki?

– Było coś, co powiedział nam ojciec Armano... Dał nam wskazówkę, nawet o tym nie wiedząc.

Purcell pomyślał o tym samym, lecz nie potrafił sobie niczego przypomnieć.

– To coś, co powinniśmy byli zrozumieć – powiedziała Vivian.

– Nie chciał, abyśmy szukali Świętego Graala lub klasztoru, więc nie powiedział nam wprost, gdzie znajduje się klasztor. Ale Vivian ma rację; odniosłem takie samo wrażenie.

Powiedział nam coś i musimy zrozumieć, co.

Zamilkli i pograżyli się w myślach. Słyszać było tylko warkot silnika, a navion podskakiwał na wznoszących się nad wyżyną prądach powietrza. Purcell sprawdził wskaźniki i stwierdził, że samolot zużywa zbyt dużo oleju albo mu on wycieka. Silnik przepracował już pewnie parę tysięcy godzin, a jego obsługą zajmowali się mechanicy znający się tylko na rowerach.

Purcell zerknął na medalik ze świętym Krzysztofem, który był chyba jedyną prawidłowo działającą częścią samolotu *signore* Bocaccio.

Usiłował zrozumieć: postradał zmysły? A może poszukiwania czarnego klasztoru i tak zwanego Świętego Graala mieściły się w granicach zdrowia psychicznego? Przyznał, że miało to wiele wspólnego z Vivian. *Cherchez la femme*. Jego libido już wcześniej pakowało go w kłopoty, lecz nigdy do tego stopnia.

Był też Henry. Purcell nie tylko lubił tego starego wygę, lecz także go szanował. Henry Mercado był legendą, a Frank Purcell był szczęśliwy, że okoliczności – lub przeznaczenie – skrzyżowały ich drogi.

Zrozumiał również, że całość to więcej niż suma części. Nie ryzykowałby życia dla czegoś, w co nie wierzyliby na równi z dwójką swoich towarzyszy. Frankowi i Henry'emu podobała się także ta sama kobieta, lecz stanowiło to raczej ich problem niż mocną stronę.

Vivian zasnęła. Zasnął również Mercado skulony na dwóch ocalałych workach z kawą.

Trzy godziny po wylocie z Gondaru Purcell ujrzał pierwsze wzgórza otaczające Addis Abebę, a później lotnisko. Afrykańskie niebo na południu było pastelowo błękitne, poprzecinane różowymi smugami ciągnącymi się nad odległym horyzontem.

Vivian obudziła się. Zerknęła na pogrążonego we śnie Mercado i powiedziała:

– Miałam sen...

Purcell milczał.

– Byłeś ze mną w Rzymie, a ja jeszcze nigdy nie czułam się tak szczęśliwa.

– Mieliśmy ze sobą Graala?

– Mieliśmy siebie.

– To wystarczy.

Purcell zredukował obroty silnika i zaczął zniżać lot.

ROZDZIAŁ 40

Vivian wyszła z biura Reutersa. W swojej brezentowej torbie miała trzy koperty z szarego papieru, w których znajdowały się dziewięćdziesiąt dwie odbitki formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

Dołączyła do czekających na nią Purcella i Mercado. Udali się pieszo do Ristorante Vesuvio, reklamującej się jako najlepsza włoska restauracja w Afryce; prawdopodobnie była to również jedyna restauracja, która wzięła swą nazwę od włoskiego wulkanu.

Dopełnieniem surrealistycznego i niemal komicznego klimatu Addis Abeby były stojące wzdłuż ulicy domy rodem ze szwajcarskich Alp, które zdawały się dobrze komponować z górskim krajobrazem, lecz, jak pomyślał Mercado, stanowiły groteskową karykaturę swych europejskich pierwowzorów.

Mercado wyjaśnił:

– Cesarz Menelik ii, który założył Addis Abebę, zlecił szwajcarskiemu architektowi wykonanie projektu miasta i wydaje mi się, że Szwajcar dobrze się przy tym bawił.

– Jaka cena, taka jakość – powiedział Purcell.

Weszli do Vesuvio i usiedli przy stoliku w głębi sali.

– To miejsce istnieje od chwili, gdy Włosi zdobyli miasto – rzekł Mercado.

– Wystrój się nie zmienił – zauważył Purcell.

– Brakuje portretu Mussoliniego – stwierdził Henry. – Wisiałby teraz dokładnie nad twoją głową.

– A gdzie był portret cesarza?

– Tuż obok.

– Pod czym siedzę teraz?

– Pod niczym. Właściciel czeka, żeby się przekonać, kto ocaleje z czystek Dergu.

– Włosi to bardzo praktyczny naród.

Vivian wręczyła Purcellowi i Mercado po kopercie. Cała trójka zaczęła w ciszy przeglądać powiększenia kolorowych odbitek na matowym papierze.

Na kilku zdjęciach widać było fragment skrzydła samolotu. Inne, na których nie było ani skrzydła, ani horyzontu, zostały wykonane z obiektywem skierowanym prosto w dół i przedstawiały tylko zielony kobierzec dżungli. Niełatwo było ustalić ich orientację, lecz zdjęcia te pozwalały spojrzeć w głąb dżungli. Ogólnie rzecz biorąc, Vivian wykonała dobrą robotę.

– Mogłabyś pracować we włoskim biurze kartograficznym – stwierdził Purcell.

– A ty we włoskich siłach powietrznych – zrewanżowała mu się Vivian.

Purcell przyjrzał się dokładniej kilku fotografiom, analizując rozmiary, kształty, barwy oraz cienie.

– Usiądziemy sobie w hotelu i obejrzymy to w dobrym świetle przez lupę – powiedział.

Mercado podniósł wzrok znad powiększeń i odparł:

– Nie zobaczyliśmy z powietrza żadnych budowli, więc nie sądzę, abyśmy dostrzegli na tych zdjęciach więcej niż włoscy kartografowie czterdzieści lat temu. Klasztor jest ukryty pod koronami drzew.

Purcell przypomniał mu:

– Ojciec Armano powiedział, że przez substancję, z której wykonano sklepienie kościoła, przenikało światło słoneczne, a skoro tak, to dach powinien być widoczny z góry.

Mercado z ociąganiem skinął głową i odparł:

– Było to czterdzieści lat temu i drzewa się rozrosły.

– Albo się przewróciły.

Vivian przyglądała się uważnie zdjęciom, które trzymała w ręce.

– Ojciec Armano wspomniał o ogrodach, a ogrody miałyby się raczej kiepsko pod kilkuwarstwową koroną drzew – powiedziała. – Dlatego sądzę, że klasztor jest ukryty pod palmami, bo ich liście poruszają się na wietrze i rzucają cień, a zarazem przepuszczają trochę światła.

– Wróciliśmy więc do palm – zauważył Purcell.

– To ma sens.

– W porządku. Nie pamiętam tylko, żeby ojciec Armano mówił o palmach.

– Przypomnij sobie – odparła Vivian. – Wspomniał, że na drzwiach kościoła były symbole wczesnych chrześcijan: ryby, baranki i palmy.

– To nie to samo, co prawdziwe drzewa.

– Wiem, Frank, ale...

Vivian ponownie zaczęła przyglądać się zdjęciom.

Purcell zastanowił się i powiedział:

– W porządku... W południowo-wschodniej Azji traktowano liście palm jako dobry kamuflaż na wypadek obserwacji lub dokumentacji fotograficznej z powietrza. Ich kształt, ruchy i cienie bywają powodem wielu pomyłek. Palmowe liście zaburzają obraz tego, co znajduje się na ziemi, i oszukują wzrok. Natomiast obraz uchwycony na zdjęciach jest nieruchomy, a dobry analityk zdjęć lotniczych potrafi odróżnić rzeczywistość od złudzeń optycznych.

Vivian spojrzała na Purcella i zapytała:

– Sam to wymyśliłeś?

– Po części – odpowiedział. – Okej, skupmy się na kębach palm. Aha, zapomniałbym: są jeszcze błyski.

– Jakie błyski?

– Jak mi postawisz lunch, to ci powiem.

– Okej, postawię ci nawet dwa.

Do stolika podszedł kelner, Włoch, który podobnie jak *signore* Bocaccio nie kupił jeszcze biletu do ojczyzny. Większość dań figurujących w menu była już tylko wspomnieniem, lecz kelner zapewnił, że nie powinno zabraknąć makaronu, chociaż tego dnia jedynym sosem, który miał urozmaicić jego smak, była oliwa z oliwek. Było też kilka win do wyboru, lecz wybór ten stawał się z czasem coraz mniejszy. Mercado wybrał chianti, którego cena była trzykrotnie wyższa niż ta, którą podano w menu.

– Tęsknię za Rzymem – powiedział.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał Purcell.

– Panuje tu klęska głodu – przypomniała mu Vivian. – Uruchom wyobraźnię.

– Nie znoszę bywać w restauracjach, gdy ludzie dookoła głodują – przyznał Purcell.

– Nie bądź gruboskórny – skarcił go Mercado.

– Przepraszam – odparł Frank. – Ale Czerwoni Khmerowie prawie zagłodzili mnie na śmierć w swoim obozie, więc teraz mam prawo dowcipkować na ten temat. Co robi Etiopczyk, którego jelita wykonują ruchy perystaltyczne? Popisuje się.

– Frank, to naprawdę nie jest śmieszne – skwitowała Vivian.

– Przepraszam. Henry, będziesz mógł to wykorzystać jako dowcip z gułagu.

Purcell zapalił papierosa i powiedział:

– Klęska głodu w tym kraju panuje głównie z winy ludzi. Odpowiada za nią głupi, zdeprawowany rząd, który wprowadził głupie zasady. Połowa żywności przysyłanej z zagranicy dla głodujących wpada w łapy rządu, a później trafia na czarny rynek. Birry nie mają żadnej wartości i żywność można kupić tylko za twardą walutę. Pracownicy organizacji humanitarnych onz są szykanowani, a wojsko wykorzystuje wszystkie dostępne środki transportu do przewożenia żołnierzy, a nie żywności. Napiszę o tym wszystkim w moim następnym artykule dla „L'Osservatore Romano”.

– Możesz o tym napisać, Frank, ale nie wydrukują ci tego artykułu – powiedział Mercado.

– A jeśli wydrukują, to będziesz miał szczęście, jeśli skończy się tylko na tym, że wydała cię z Etiopii.

– Prawda nas wyzwoli, Henry.

– Ale nie w Etiopii. Zachowaj prawdę na później, kiedy już się stąd wyrwiesz.

– Kto postępuje gorzej, Henry: ja, pozbawiony poczucia winy z powodu jedzenia podczas kłęski głodu, czy ty, niepozwalający mi napisać prawdy o tej kłęsce? – zapytał Purcell.

– Przyjmuję twoją uwagę – odpowiedział Mercado i się uśmiechnął. – Zostaniesz kiedyś dobrym dziennikarzem.

– Koniec sprzeczki? – zapytała Vivian.

– Podaj mi pieczywo – odparł Purcell.

Kelner podał wino. Zaczęli je popijać, przerzucając zdjęcia.

Purcell rozejrzał się po restauracji, która – gdyby umiała mówić – mogłaby opowiedzieć niejedną historię. Jej gośćmi byli głównie pracownicy zachodnioeuropejskich ambasad, chociaż przy jednym ze stolików siedziało czterech Rosjan w kiepskich garniturach. Vesuvio, w odróżnieniu od Hiltona i innych hoteli, nie mógł sobie pozwolić na przyjmowanie zapłaty tylko w twardej walucie; mimo to jego właścicielowi i obsłudze nieszczęśliwie zależało na wizytach Rosjan i Kubańczyków płacących birrami.

W kraju działo się źle, lecz Purcell pomyślał, że najgorsze miało dopiero nadejść. Stara Etiopia umarła, nowa zaś nigdy nie powinna była się narodzić.

– Przymuszam, że w hotelu nie było wiadomości od pułkownika Ganna – powiedziała Vivian.

– Żadnej – odparł Mercado.

– Myślisz, że coś mu się stało?

– Gdyby go aresztowano i przetrzymywano w Addis Abebie, to któryś z dziennikarzy dowiedziałby się o tym ze swoich źródeł – odpowiedział Mercado. – Lecz jeśli został po cichu zamordowany, możemy się o tym nigdy nie dowiedzieć.

– Odezwie się – rzekł Purcell.

– Miałeś nam powiedzieć, czym są błyski – przypomniała mu Vivian.

– Tym samym, co widzisz w moich oczach, gdy wchodzisz do pokoju.

Purcell myślał, że to, co powiedział, było zabawne, lecz Vivian zachowała powagę. Być może roześmiałyby się, gdyby nie było z nimi Henry'ego. Najwyraźniej była zakłopotana tą sytuacją, lecz nie bardziej niż Purcell. Mercado również nie wyglądał na rozbawionego; na jego twarzy pojawił się tylko neutralny uśmiech.

– Błyski powstają w wyniku nagłego odbicia się światła od błyszczącej powierzchni. Piloci podczas walki wypatrują błysków na powierzchni wrogich samolotów lub metalowych celów na ziemi – wyjaśnił Purcell i uniósł swój kieliszek. – Błyski mogą powstawać również na szkłe: na przykład na przeszklonym dachu, nawet wtedy, gdy szkło nie jest przezroczyste.

Powiedziawszy to, wypił resztkę wina.

Gdy mówił, Mercado kiwał głową, a Vivian zabrała się do ponownego przeglądania zdjęć.

– Oczywiście słońce musi oświetlić obiekt, on zaś musi być dostatecznie błyszczący, by odbić światło – dodał Purcell.

Mercado znów skinął głową. Purcell mówił dalej:

– Ojciec Armano powiedział, że sklepienie kościoła mogło być zbudowane z alabastru. Przypomniał sobie także, że przepuszczało światło słoneczne zalewające wnętrze, przez co księdzu kręciło się w głowie i bolały go oczy. Lecz moim zdaniem podobny efekt mógł dawać również kwarc lub, niezależnie od tego, co myślał ksiądz, rodzaj witraża składającego się w większości z białych szybek o nierównej powierzchni. W każdym razie ten materiał nie wpuszczał do środka całego światła, co oznacza, że jego część musiała odbijać się od zewnętrznej powierzchni sklepienia.

– Wierzymy zatem w palmy i błyski? – zapytał Mercado.

– Argumenty przemawiające za ich istnieniem są wiarygodniejsze niż te, które przemawiają za istnieniem Świętego Graala – odpowiedział Purcell.

– Jeśli więc zobaczymy błysk wśród palm, będzie to oznaczało, że znaleźliśmy czarny klasztor – powiedział Mercado.

– Widzę palmy, ale nie zauważyłam żadnych błysków – poinformowała ich Vivian.

– Będziemy musieli powtórzyć zdjęcia i powiększyć je na papierze o wysokim połyску, a później przeanalizujemy je centymetr po centymetrze w naszych pokojach – rzekł Purcell.

– Facet z ciemni Reutersa bardzo mnie lubi – powiedziała Vivian. – Nie wiem tylko, czy nie będę musiała wypić z nim drinka, kiedy poproszę go o ponowne zrobienie odbitek dziewięćdziesięciu dwóch zdjęć na innym papierze.

– Wypij kilka – zaproponował Purcell.

Vivian uśmiechnęła się i dodała:

– Zapytał mnie także, dlaczego fotografowałam dżunglę z powietrza.

– Miał nie zadawać ci pytań – powiedział Mercado. – Co mu powiedziałaś?

– Że próbuję znaleźć ładną zieleni na zasłony.

– Czy wzmianka ojca Armano o sklepieniu kościoła nie jest niezamierzoną wskazówką dotyczącą lokalizacji klasztoru? – zapytał Mercado.

– Tak, lecz jest coś jeszcze – odparł Purcell. – Coś bez przerwy chodzi mi po głowie i w końcu do mnie dotrze.

Vivian naląła mu wina.

– Może to ci pomoże? – zapytała.

– Na pewno nie zaszkodzi.

Podano lunch.

– *Buon appetito* – powiedział Purcell.

ROZDZIAŁ 41

Rozłożyli odbitki na łóżku w pokoju Mercado. Każde z powiększeń występowało teraz w dwóch wersjach: błyszczącej i matowej. Oczarowany Vivian laborant z ciemni pożyczyl jej nawet dwie podświetlane lupy.

Przy odsuniętych zasłonach klęczeli wokół łóżka, wpatrując się w zdjęcia. Purcell zajął miejsce w nogach łóżka, a Vivian i Mercado po jego dwóch stronach. Vivian podniosła głowę, chcąc powiedzieć coś Henry'emu, i zauważyła, że reporter spogląda na nią nad łóżkiem, w którym wylądowali kilka dni wcześniej. Patrzyła mu w oczy jeszcze przez sekundę; później opuściła wzrok i skupiła się na leżących przed nią zdjęciach.

Zakreślił skupiska palm woskowymi markerami i zaczęli z uwagą szukać błysków światła lub czegośkolwiek, co można by uznać za nietypowe źródło odbłasków.

– Weźcie pod uwagę położenie słońca oraz kierunek, w którym patrzymy – doradził Purcell.

Rozłożyli także mapy topograficzne, by orientować według nich zdjęcia, lecz to zadanie było szczególnie trudne, jeśli na powiększeniu brakowało charakterystycznego elementu zaznaczonego przez kartografów. Purcell wiedział, że specjaliści wykonujący zdjęcia z powietrza umieszczają na powiększeniach siatkę kartograficzną, lecz oni musieli dopasowywać zdjęcia do map, po czym znaleźć zaznaczone miejsca na ziemi.

– To trudniejsze, niż przypuszczałem – stwierdził Mercado.

– Nikt nie powiedział, że to będzie łatwe.

Vivian znalazła w pobliżu zniszczonej fortecy coś, co skojarzyło jej się z błyskiem. Wpatrzyli się w to miejsce.

– To z pewnością odbicie światła, ale dookoła nie ma palm.

– Jest zbyt blisko fortecy – dodał Purcell. – Oddalone najwyżej o pięćset metrów.

Vivian zgodziła się, że klasztor nie mógłby znajdować się tak blisko.

– Może to staw albo jeden ze strumieni, które tamtędy przepływają – powiedział Mercado.

– Sprawdzimy to na miejscu.

Vivian wskazała siarkowy basen w uzdrowisku i oświadczyła:

– Zbiorniki wodne na tych zdjęciach wyglądają tak. Przypominają raczej lustro, niż... błyskają.

Purcell zgodził się z Vivian i dodał:

– Szukamy czegoś, co... Widziane z powietrza załśni albo błysnie. Problem z nieruchomymi fotografiami polega na tym, że trzeba zarejestrować błysk w chwili, w której

się on pojawia, lecz nawet wtedy może on nie być widoczny na filmie.

– Użyłam negatywów zarówno o wysokiej, jak i niskiej czułości, ale nie wiem, które pozwalają lepiej uchwycić nietypowe błyski – powiedziała Vivian. – Wydaje mi się jednak, że łatwiej będzie można zauważyć je na matowym papierze.

– Fotografowałaś na ogół w pełnym słońcu, ale na kilku zdjęciach widać cienie chmur – zauważył Purcell. – A gdy nie ma słońca, nie da się uchwycić błysków.

– Módlmy się więc o czyste niebo podczas następnego lotu – rzekł Mercado.

– Przypomnij Bogu, że zostaliśmy wybrani – odparł Purcell.

– On poddaje nas próbie.

– To prawda, ale powiedz mu, że chmury to nieczysta zagrywka.

Ponownie zabrali się do przeglądania zdjęć.

Pół godziny później Purcell oświadczył:

– Oślepnę i zwariuję.

Wstał i poszukał zdjęć, które Vivian wykonała w Gondarze pod pozorem pracy nad fotograficznym esejem.

Usiadł na krześle i zaczął je przerzucać. Jedno z nich przedstawiało artystyczne ujęcie pałacowego ogrodu ze stawem, w którym odbijała się otaczająca go roślinność – taki bowiem był zamysł Vivian. Zastanowił się i powiedział:

– Niewykluczone, że dzięki materiałowi, z którego wykonano kopułę kościoła w czarnym klasztorze, może ona odbijać wszystko, co znajduje się nad nią i wokół niej. Szukajcie skupisk palm albo na przykład gałęzi drzew, które mają swoje lustrzane odbicie.

Vivian spojrzała na Purcella.

– W porządku – powiedziała. – Pomożesz nam?

– Jestem tylko pilotem. Poza tym to wy macie lupy.

Vivian uśmiechnęła się i odparła:

– Mogę pogadać z gościem z ciemni i załatwić jeszcze jedną, ale będzie mnie to słono kosztowało.

– Spróbuj.

Vivian i Mercado wrócili do przeglądania zdjęć. Po chwili jednak Mercado wstał i oświadczył:

– Muszę sobie zrobić przerwę.

– Jestem zaskoczony, że twoje stare oczy wytrzymały tak długo – odparł Purcell.

Wstał i zajął miejsce Henry'ego.

Mercado usiadł na krześle. Zaczął przeglądać zdjęcia wykonane przez Vivian w Gondarze.

– Mam trzy potencjalne... błyski – odezwała się Vivian. – Nie mogę jednak wykluczyć, że to odbicia światła w kałużach, a nawet w plamach wilgoci na liściach palm.

– Ze zdjęciami wiąże się jeszcze jeden problem – powiedział Purcell. – Są dwuwymiarowe, a głębię ostrości można interpretować tylko na podstawie wiedzy o fotografowanym krajobrazie. To żadna wyższa matematyka.

– Dziękuję, Frank.

– Zawsze do usług.

Purcell przesunął odbitkę i zauważył coś na narzucie łóżka. Przyjrzał się uważniej i dostrzegł długi czarny włos. Nie potrzebował lupy, by stwierdzić, kto go zgubił.

Podniósł wzrok i uważnie popatrzył na Vivian pochylającą się nad lupą. Zerknął też na Mercado oglądającego zdjęcia z Gondaru. Próbował sobie przypomnieć, czy Vivian kłęczała po tej stronie łóżka; wiedział jednak, że tak nie było. W każdym razie nie tego dnia.

Miał dwie możliwości: podnieść włos i skomentować to – albo o nim zapomnieć.

Jeszcze raz spojrzął na Vivian. Gdyby ją zapytał, co zaszło w pokoju Henry’ego, byłaby z nim szczerą. Lecz Purcell znał już prawdę. Ale czy na pewno? Nie mógł przecież wykluczyć, że Vivian rozgościła się na łóżku starego przyjaciela i gawędziła z biedakiem, który usiłował przemówić swojemu kutasowi do rozsądku.

Lecz z drugiej strony... Dlaczego Vivian miałyby uprawiać seks z Henrym Mercado? Pomyślał, że zna odpowiedź, i przypomniał sobie zachowanie Henry’ego, które zmieniło się od tamtego poranka.

A może błędnie interpretował to, co widział, tak samo, jak błędnie interpretował obraz uwieczniony na zdjęciu?

– Chyba mam podwójny obraz – powiedziała z przejęciem Vivian. – Dwie kępy palm, które stanowią swoje lustrzane odbicie.

Zakreśliła fragment zdjęcia i podsunęła je Purcellowi.

Spojrzał przez lupę na zaznaczony fragment powiększenia i stwierdził:

– Nie są dokładnie takie same; są tylko bardzo podobne.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Niech to szlag.

– Niektóre rzeczy nie zawsze są tym, na co wyglądają – powiedział Purcell.

Vivian spojrzała na niego i wtedy jakiś instykt, a może wcześniejsze doświadczenie, sprawił, że zerknęła na miejsce, w którym jego ręka spoczywała na jasnożółtej narzucie.

Spojrzała Purcellowi w oczy i rzekła:

– Czasami są tym, na co wyglądają.

Purcell skinął głową i wrócił do przeglądania zdjęć.

O siedemnastej Mercado stwierdził, że dalsze wpatrywanie się w zdjęcia będzie bezcelowe, i zaproponował drinka w sali koktajlowej.

Po drodze zahaczyli o recepcję. Recepcjonista wręczył im białą kopertę bez znaczka i pocztowego stempla. Widniał na niej adres: „Mercado, Purcell, Smith, «L'Osservatore Romano», Hotel Hilton”. Odręczne pismo, którym ją zaadresowano, różniło się od pisma na szarej kopercie z mapami, lecz mimo to nie mieli wątpliwości co do tożsamości nadawcy.

Purcell zabrał kopertę. Po chwili usiedli przy stoliku.

– Jest cały i zdrowy – stwierdziła Vivian.

– Był, kiedy to wysłał – zauważył Purcell.

– Nie bądź pesymistą. Otwórz.

– Najpierw musimy się napić.

Mercado przywołał kelnera i zamówił butelkę moëta, zwracając się do swych towarzyszy:

– Albo będziemy świętować, albo utopimy smutki w szampanie.

– Podoba mi się twój sposób myślenia, Henry.

– Na dziewięćdziesiąt dwa zdjęcia tylko sześć spełnia nasze kryteria – oświadczyła Vivian.

– Są na nich skupiska palm oraz/lub błysk, a lokalizacje, które zaznaczyliśmy, nie znajdują się zbyt blisko fortecy, uzdrowiska, drogi ani żadnego miejsca, w którym nie można byłoby ukryć klasztoru. Tylko na jednym ze zdjęć występują trzy elementy: palmy, błysk oraz otoczenie mogące maskować klasztor.

– Mogliśmy jednak przyjąć niewłaściwe kryteria – zasugerował Mercado.

– To prawda – przyznał Purcell. – Mogliśmy sobie wmówić, że należy szukać palm i błysków. Jutro rano będziemy musieli obejrzeć zdjęcia świeżym okiem.

– Jutro będę musiał popracować, żeby jakoś usprawiedliwić naszą obecność w tym miejscu – oświadczył Mercado.

– To ty w końcu dostajesz wypłatę – przypomniał mu Purcell. – Vivian i ja pracujemy za utrzymanie i wyżywienie.

Poświęcili jeszcze chwilę na omówienie sposobu analizowania zdjęć i następnego lotu rozpoznawczego.

Purcell spozrzał na Vivian, a później na Mercado. Od tamtego poranka zachowanie Henry'ego zdecydowanie zmieniło się na plus. Lecz, co interesujące, Purcell odniósł takie samo wrażenie w stosunku do Vivian. W trakcie śniadania, po zakończeniu lotu z *signore* Bocaccio, podczas którego mogła pójść do łóżka z Mercado, zachowywała się tak, jakby zamknęła kwestię tego spotkania i o nim zapomniała.

A później kochała się z Purcellem.

Możliwe było również to, że nie wydarzyło się nic, co miałyby związek z seksem. Purcell z pewnością nie chciałby zobaczyć, do czego doszło w pokoju Henry'ego, chociaż mogłoby to nie wpisywać się w definicję zdrady.

Natomiast Henry wydawał się zadowolony z powodu tego, co się stało – nawet jeśli to doświadczenie nie zrobiło wrażenia na obiekcie jego westchnień.

Purcell jeszcze raz spojrzała na Vivian radośnie gawędzącą ze swoim starym przyjacielem.

Vivian doszła do wniosku, że w jej świecie zapanował porządek i nic nie stoi na przeszkodzie, by wszyscy troje zostali przyjaciółmi i skupili się na swojej misji, która była dla Vivian ważniejsza niż dwóch napalonych mężczyzn. Bez wątplenia kochała Franka Purcella, a Frank kochał ją; teraz więc to on musiał zdecydować, jak potraktować to, co zrobiła.

Pojawili się kelnerzy z kubelkiem na wino, żłobkowanymi kieliszkami i butelką moët & chandon, którą jeden z kelnerów zaprezentował Mercado.

Henry stwierdził, że rocznik jest *magnifique*, i poinformował swych towarzyszy:

– Gazeta stawia.

– Powiedz im, że podejmowałeś członka Dergu – zaproponował mu Purcell.

– Zawsze tak robię.

Kelner otworzył butelkę, co przyciągnęło spojrzenia pozostałych gości restauracji, po czym napełnił kieliszki.

Henry wznosił toast:

– Za nas, za sir Edmunda i za naszą wyprawę.

Wypili.

– Och, uwielbiam tego szampana – powiedziała Vivian.

– Weźmy butelkę na drogę; otworzymy ją, gdy zobaczymy czarny klasztor w dżungli – zaproponował Mercado.

– Być może będzie to ostatni alkohol w twoim życiu – ostrzegł go Purcell.

– Nonsens. Zakonnicy nie stronią od wina.

Opróżnili kieliszki. Mercado sięgnął po butelkę i napełnił je.

– Okej, czeka nas jeszcze jeden lot do Gondaru – powiedział Purcell. – Po drodze sprawdzimy miejsca, które zaznaczyliśmy na zdjęciach. Przy odrobinie szczęścia ograniczymy ich liczbę do zaledwie kilku, a może także znajdziemy kolejne interesujące miejsce. W każdym razie wylądujemy w Gondarze i pojedziemy do hotelu Goha. Zrobimy zapasy, starając się nie zwracać na siebie uwagi, przenocujemy, a później wynajmiemy land rovera z kierowcą i ochroniarzem. Powiemy im, że chcemy pochodzić po górach. Wsiądziemy w pobliżu uzdrowiska, powiemy kierowcy, że wrócimy za sześć godzin,

i wyruszymy. W pierwszej kolejności pójdziemy do Szooan.

Mercado i Vivian słuchali w skupieniu.

– Myślę, że powinniśmy najpierw dotrzeć do miejsc, które zaznaczyliśmy na zdjęciach – rzekł Mercado.

– Nie zamierzam włóczyć się po dżungli przez tydzień albo dwa – oświadczył Purcell. – To nieciekawa okolica, stary; mam na myśli nie tylko teren. Chcemy jak najmniej się nachodzić i nie przejeść zapasów zbyt szybko.

– Mam parę takich wypraw za sobą, Frank – oświadczył Mercado.

– Zatem się ze mną zgadzasz – odparł Purcell. – Felaszowie mogą okazać się bardziej pomocni niż zdjęcia.

– Równie dobrze może być odwrotnie. Może się też okazać, że już ich nie ma w wiosce.

– Naszym pierwszym celem powinno być uzdrowisko – powiedziała Vivian. – Obiecaliśmy, że zabierzemy stamtąd relikwie... kości ojca Armano.

– Ty będziesz je nieść. Zadzwoń do *signore* Bocaccio i zapytam o samolot. Chciałbym polecieć jutro.

Mercado zastanowił się i zapytał:

– Chcesz powiedzieć, że zostawimy samolot w Gondarze?

– Sam nie poleci z powrotem – rzekł Purcell. – Wyślę teleks i poinformuję *signore* Bocaccio, że będzie mógł odebrać samolot w Gondarze i zatrzymać kaucję.

Mercado i Vivian milczeli.

– Myślę, że gdy opuścimy Gondar, Mia nie będzie już nam potrzebna – dodał Purcell.

I tym razem nie usłyszał odpowiedzi. Mówił więc dalej:

– Nie ma powodu, dla którego mielibyśmy tu wrócić. Nie będziemy potrzebowali kolejnych powiększeń i pora już ruszyć w drogę, zanim przeszkodzą nam władze lub ktokolwiek, na kogo nie mamy wpływu. – Purcell spojrzał na Mercado i Vivian. – Cezar przekroczył Rubikon i spalił za sobą mosty. Jutro postąpimy tak samo.

– Powinniśmy sprawdzić, co napisał sir Edmund – powiedział Mercado. – Może to wpłynąć na to, co zrobimy.

– Ustalmy najpierw nasz własny plan.

– W porządku, Frank. Już go ustaliliśmy. A teraz otwórz kopertę.

Purcell rozejrzał się, aby sprawdzić, czy ktoś im się nie przygląda, i rozdarł kopertę. Wyjął z niej kartkę i przebiegł ją wzrokiem.

– Co tam jest? – zapytała Vivian.

– To... poemat – stwierdził Purcell i się uśmiechnął. – Poemat pod tytułem *Odkrywca*.

– To Kipling, gdybyście nie wiedzieli – powiedział Mercado.

– Dziękuję – odparł Purcell i zaczął czytać: – „Coś ukrytego. Idźcie i to znajdźcie. Idźcie i spójrzcie za prerie – za nimi to, co zagubione i czeka na was. Ruszajcie!”.

Purcell spojrział na Mercado i Vivian.

Milczeli.

– To wszystko? – zapytała po chwili Vivian.

– Tak, ale jest jeszcze podpis.

– Sir Edmunda? – zapytał Mercado.

– Nie. Ani Rudyarda Kiplinga – odpowiedział Purcell i zerknął na kartkę. – Podpisano: J.St.W. Sloan.

– Kto?

– Trzeba wymówić to szybko, Henry.

– Jestem w Szoan – powiedziała Vivian.

Purcell podał jej kartkę.

– Wygrałaś – oświadczył.

Vivian zerknęła na list i podała go Mercado.

– Spotkamy się z sir Edmundem w Szoan – stwierdził Purcell.

Mercado był umówiony z kimś na kolację i zostawił ich w sali koktajlowej. Milczeli przez chwilę.

– Nie mam ochoty na kolację – odezwała się w końcu Vivian. – Zamówmy butelkę wina do naszego pokoju.

– Możesz zamówić wino do swojego – odparł Purcell.

Wstał i powiedział:

– Dobranoc.

– Frank...

Purcell spojrział na Vivian i w przyćmionym świetle dostrzegł łzy spływające po jej twarzy.

Vivian podniosła wzrok.

– Rozumiesz? – zapytała.

– Tak.

– Przepraszam.

– Dopóki nie opuścimy Etiopii, relacje naszej trójki powinny pozostać przyjacielskie.

Vivian skinęła głową.

Purcell odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ 42

Navion był do ich dyspozycji przez następne dwa dni. W południe spotkali się na lotnisku z *signore* Bocaccio, który odebrał pieniądze za wypożyczenie maszyny i podzielił się z nimi najnowszymi wiadomościami.

– Będzie to, niestety, wasz ostatni lot – oświadczył. – Zaczynam się niepokoić.

– Przecież to ja pilotuję – odparł Purcell.

Signore Bocaccio uśmiechnął się, po czym powiedział poważnym tonem:

– Nie chcę mieć kłopotów z rządem.

– Rozumiem.

– Wy również uważajcie – doradził Bocaccio. – Mogą zacząć interesować się waszymi lotami do Gondaru.

– Jesteśmy dziennikarzami.

– Raz w tygodniu lata tam samolot pasażerski. A jeśli zapytają, do czego potrzebny wam mój samolot?

– Nie chcemy spędzić całego tygodnia w Gondarze – powiedział Purcell. – Jak to brzmi?

– Dla mnie dobrze, ale dla nich... Któż to wie?

Signore Bocaccio spojrział na Vivian i Mercado stojących obok samolotu i dodał:

– Mili z was ludzie. Proszę, uważajcie na siebie.

– Nie jesteśmy aż tak mili – odparł Purcell, płacąc mu dolarami za dwudniowy wynajem samolotu. – W Gondarze skradziono część pańskiej kawy.

– Właśnie po to trzymam ją w kabinie.

– Racja.

Purcell zaproponował *signore* Bocaccio, aby po ich powrocie zjadł z nimi kolację w Hiltonie; mógłby wtedy zwrócić im kaucję za naviona.

– Pod warunkiem że to ja płacę – rzekł Bocaccio i się uśmiechnął. – Tymczasem zachowam kaucję za Mię do waszego powrotu.

Purcell zrewanżował mu się uśmiechem i oświadczył:

– Umówmy się na dziewiętnastą, lecz proszę zajrzeć do recepcji i zapytać o teleks, na wypadek gdybyśmy mieli się spóźnić.

Włoch spojrział na Purcella i powiedział:

– Bądźcie ostrożni.

– Zatem do zobaczenia – odparł Purcell.

Wiedział, że *signore* Bocaccio będzie musiał zjeść kolację w pojedynkę; zatrzyma za to dwa

tysiące dolarów kaucji i będzie mógł polecieć rejsowym lotem do Gondaru, by odebrać swoją maszynę.

Purcell miał już powiedzieć *arrivederci*, lecz zamiast tego rzekł:

– Widywałem na całym świecie ludzi żyjących na obczyźnie oraz w koloniach, czekających na odpowiednią chwilę, aby opuścić miejsca, które stały się dla nich nieprzyjazne. Tutaj chwila ta właśnie nadeszła.

Signore Bocaccio, właściciel plantacji kawy i kilku innych rzeczy w Etiopii, skinął głową.

– Niełatwo mi stąd wyjechać – stwierdził. – Tu jest mój dom. Kocham Afrykę.

– Lecz Afryka już pana nie kocha.

Signore Bocaccio uśmiechnął się i powiedział:

– Z Afryką jest jak z kobietą. Czy opuszcza się ukochaną kobietę z powodu jej życiowych trudności?

Purcell nie odpowiedział.

– Moja żona i dzieci są Etiopczykami. Czy byliby szczęśliwi we Włoszech?

– Widziałem w Rzymie wielu Etiopczyków.

– Tak, wiem.

– Wybierzcie się przynajmniej na długie wakacje.

– Gdy tylko stąd wyjadę, rząd zabierze mi wszystko, co posiadam.

– I tak to zrobi.

– To prawda... Więc może jednak długie wakacje – odparł *signore* Bocaccio i się uśmiechnął. – Polecimy do Rzymu moją Miałą.

– To kiepski pomysł – orzekł Purcell. – Proszę przyjść na kolację z żoną.

– To bardzo miłe z pańskiej strony.

Uścisnęli sobie ręce.

– *Buona fortuna* – powiedział *signore* Bocaccio.

– *Ciao*.

Purcell wypełnił już formularz planu lotu do Gondaru, a jako powtórny klient z pięćdziesięcioma tysiącami lirów przypiętymi do formularza otrzymał czerwoną pieczętkę w mgnieniu oka. Oficer dyżurny zapisał godzinę odlotu: kwadrans po dwunastej. Od tamtej pory minęło już piętnaście minut, zatem Purcell zwrócił się do swoich towarzyszy:

– Ruszamy.

Bagaż Mercado i Vivian były zdecydowanie za duże jak na jedną noc w Gondarze. Zapakowali wszystko, czego mogli potrzebować podczas kilku tygodni w buszu; nie zapomnieli nawet o butelce moëta, którą mieli otworzyć, gdy znajdą czarny klasztor. Wczesnym rankiem Henry wręczył jednemu z pracowników hotelu trzysta dolarów i listę

zakupów. Znalazły się na niej trzy plecaki, latarki oraz inne rzeczy niezbędne w czasie wyprawy. Większość wyposażenia można było kupić w second-handach, których w Addis Abebie nie brakowało. Były pełne towaru sprzedawanego przez tych, którzy wyjeżdżali z kraju lub potrzebowali twardej waluty, aby kupić za nią żywność. Młody pracownik hotelu znalazł prawie wszystko; udało mu się nawet kupić kompas. Potrzebowali jeszcze prowiantu, który można było nabyć w Gondarze, oraz szczęścia, którego nie oferował żaden sklep.

Purcell wskoczył na skrzydło samolotu. Wciągnął na nie Henry'ego, a potem podał rękę Vivian. Spojrzeli sobie w oczy. Po sekundzie Vivian puściła dłoń Purcella, weszła do kabiny i zajęła miejsce po prawej stronie.

Purcell zasiadł za sterami. Włączył zasilanie, przyjrzał się wskaźnikom, wpompował paliwo do gaźnika i nacisnął przycisk zapłonu. Silnik szybko zaskoczył. Purcell jeszcze raz zerknął na wskaźniki. Ciśnienie oleju wciąż było niskie.

- Trochę mi ciasno z tymi kłopotami – odezwał się Mercado.
- Nie zwracaj głowy pilotowi, kiedy robi swoje – odparła Vivian.
- Pasy – zakomenderował Purcell.

Zwolnił hamulec ręczny i obrócił Naviona. Dostrzegł *signore* Bocaccio stojącego obok swojego starego fiata i machającego im ręką. Odmachnął mu i zamknął owiewkę kabiny. Skierował maszynę na koniec dłuższego pasa startowego, który tego popołudnia świecił pustką.

- Czy mam się pomodlić do świętego Krzysztofa? – zapytała Purcella Vivian.

Nie odpowiedział.

Vivian od rana próbowała się z nim delikatnie przekomarzać, lecz Purcell nie miał na to ochoty. Wystarczyło, że poprzedniego wieczoru nie zadzwoniła do niego ani nie zapukała do jego drzwi. Był niemal pewien, że nie rozmawiała z Mercado o nowym miłosnym układzie, ponieważ zachowanie Henry'ego się nie zmieniło.

Purcell zwiększył obroty silnika, jeszcze raz sprawdził wskaźniki i zaczął kołować na pas startowy.

- Gotów do startu – powiedział i popchnął manetkę przepustnicy.

Navion ruszył. Po chwili oderwał się od ziemi, a Purcell wykonał zwrot w prawo i skierował samolot na północ, w stronę Gondaru. Po lewej dostrzegł Addis Abebę – miasto, którego miał już więcej nie zobaczyć; gdyby jednak stało się inaczej, oglądałby je z okna więziennej celi, o ile nie wychodziłoby ono na dziedziniec z szubienicami.

Wleciał między dwa wysokie szczyty i jeszcze raz spojrzął za siebie, mając nadzieję, że widzi Addis Abebę po raz ostatni.

Okazało się, że Henry zrezygnował z planowanej wizyty w biurze prasowym. Wysłał za to

teleks do „L'Osservatore Romano” i poinformował swoich pracodawców, że jego zespół uda się na kilka dni do Gondaru, aby relacjonować wydarzenia związane z masową emigracją Felaszów.

Purcell, Vivian i Mercado spędzili poranek w pokoju Henry'ego. Ponownie przejrzeni zdjęcia i zaznaczyli na mapach parę kolejnych podejrzanych miejsc, w których warto byłoby poszukać ukrytego czarnego klasztoru. Inną podejrzaną rzeczą był czarny włos wciąż leżący na łóżku Henry'ego. Mercado powinien był porozmawiać z pokojówką, lecz to już było bez znaczenia: mieli przecież nigdy nie wrócić do tego hotelu. Nadeszła chwila, w której – jak powiedział pułkownik Gann – należało wyruszyć i znaleźć to, czego szukali.

Sir Edmund pomyślał również o ich następnych krokach. W przesyłce od niego znalazły się mapy obszaru pomiędzy Gondarem i jeziorem Tana a Somali Francuskim na wybrzeżu. Gann najwyraźniej zaplanował im drogę ucieczki.

Musieliby zatem, ze Świętym Graalem lub bez niego, podążyć do Somali – najbliższej bezpiecznej przystani, w której schroniło się już wielu uciekających obywateli Zachodu i Etiopczyków. Francuscy urzędnicy chętnie służyli tam pomocą każdemu, kto znalazł się na granicy. Purcell, Vivian i Mercado musieli tylko do niej dotrzeć.

– Powiedziałeś mi, Frank, że będziemy przyjaciółmi – odezwała się Vivian przymlinym głosem.

– Jesteśmy.

– Całe rano prawie się do mnie nie odzywałeś.

– Miewam kiepskie poranki.

Vivian odwróciła się i zerknęła na Henry'ego ślęczącego z lupą nad zdjęciem, a później zwróciła się do Purcella:

– To się już nigdy więcej nie powtórzy. Obiecuję.

– Porozmawiamy o tym w Gondarze. Teraz pilotuję.

Vivian spojrzała na Purcella, lecz po chwili odwróciła głowę i zapatrzyła się w krajobraz.

Po pewnym czasie Mercado oświadczył:

– Dotarliśmy do miejsca, z którego nie mamy już powrotu.

– Jeszcze nie – odparł Purcell. – Jeszcze nie spaliliśmy za sobą mostów. Możemy wrócić do Addis Abeby i powiedzieć, że mieliśmy problemy z silnikiem.

Mercado się nie odezwał, natomiast Vivian powiedziała:

– *Avanti*.

ROZDZIAŁ 43

Purcell wypatrzył jednopasmową drogę i poleciał wzdłuż niej na północ. Przed sobą, nieco po prawej, dostrzegł wioskę Szooan oddaloną o jakieś dziesięć kilometrów. Wykonał lekki zwrot w prawo, a później zaczął obniżać lot.

– Chcę, aby pułkownik Gann dowiedział się, że przybywamy – poinformował swych pasażerów.

Gdy znaleźli się niżej i bliżej wioski, Mercado wychylił się z lornetką.

– Nie widzę samochodu – stwierdził.

– Nie wiemy, czy miał on coś wspólnego z Gannem – odparł Purcell.

Przeleciał nad wioską na wysokości czterystu stóp i zakolysał skrzydłami.

– Ktoś pomachał nam ręką – powiedział Mercado.

– Miał wąsy i szpicrutę?

– Miał białą shamkę, ale to mógł być on.

– Upodobnił się do tubylców.

Przelecieli nad uzdrowiskiem. Purcell skręcił w prawo, kierując maszynę nad obszar leżący na wschód od jednopasmówki – tam, gdzie zrobili najwięcej zdjęć dżungli i deszczowych lasów rosnących między jeziorem Tana a zniszczoną fortecą. Ocenił już powierzchnię tego obszaru: wynosiła ona ponad tysiąc mil kwadratowych.

Vivian trzymała na kolanach dokładne mapy; Purcell poprosił ją, by rozłożyła arkusz przedstawiający okolice, nad którą właśnie przelatywali.

Vivian uniosła i przytrzymała mapę. Purcell zerknął na zakreślone miejsca, skręcił na wschód i skierował nawioną w stronę pierwszego z nich, oznaczonego jako „numer 1”. Zszedł na trzysta stóp, a potem maksymalnie zredukował prędkość.

Mercado, wciśnięty między przednie fotele, spoglądał na przemian na mapę i na okolice.

Zbliżyli się do pierwszego miejsca, w którym Vivian sfotografowała błysk widoczny na odbitce. Purcell zszedł na niższy pułap, wykonał ostry zwrot w prawo i opuścił prawe skrzydło, aby nie zasłaniało im ziemi. Mia zadrżała, ostrzegając go przed przeciągnięciem, więc Purcell wyrównał lot i popchnął manetkę przepustnicy.

Mercado opuścił lornetkę i oświadczył:

– Widziałem chyba staw... Albo mokradła.

– To woda – zgodziła się z nim Vivian. – Ale nie szklany dach.

– Wiemy przynajmniej, że to, co zobaczyliśmy na zdjęciu, nie jest złudzeniem – powiedział Purcell. – Zaznaczyliśmy też poprawnie pozycję. To dobra wiadomość.

– W jednym z tych kółek znajdziemy czarny klasztor – stwierdziła Vivian.

Purcell skierował samolot w kierunku następnego punktu zaznaczonego na mapie. Odpowiadające mu zdjęcia ukazywały skupisko palm. Purcell powtórzył manewry, lecz nie udało im się niczego zauważyć. Podczas kolejnego przelotu Vivian oświadczyła:

– Z pewnością widziałam zbiornik wodny wśród palm.

– A błyszczące dachy?

– Nie.

Purcell skręcił w stronę punktu numer 3, który Vivian wskazała mu na zdjęciu. Rzucił okiem na odbitkę i dostrzegł dużych rozmiarów skupisko palm otoczone o wiele wyższą roślinnością. Wyglądało bardziej obiecująco. Purcell zmniejszył obroty silnika i opuścił kłapy, jakby szykując się do lądowania. Skacząca strzałka prędkościomierza pokazywała od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Dolatując do szybko zbliżających się palm na pierwszej, Purcell opuścił prawe skrzydło, co ponownie wprawilo naviona w drganie, lecz pozwoliło Vivian i Mercado bez przeszkód przyjrzeć się okolicy.

– Widziałam coś! – krzyknęła nagle Vivian. – Odbicie światła, ale nie w wodzie.

Mercado przyznał jej rację; Purcell również zobaczył coś, co z pewnością nie wyglądało na wodę.

Prędko zaczął nabierać wysokości, wznosił się na sześćset stóp i skierował maszynę w stronę palm, lecąc tym razem na wschód, aby mieć popołudniowe słońce za plecami. Znajdował się wyżej niż poprzednio; mógł więc opuścić dziób maszyny i lecieć prosto w stronę palm.

Vivian wzięła lornetkę Mercado. Miała rozpięte pasy; podniosła się z siedzenia, pochyliła nad deską rozdzielczą i zaczęła obserwować otoczenie przez przednią szybę.

Purcell nurkował do ostatniej chwili, potem popchnął manetkę przepustnicy, pociągnął wolant do siebie i schował kłapy. Navion opadał jeszcze przez kilka sekund, lecz w końcu podniósł dziób i wyrównał lot na wysokości dwustu stóp, po czym znów zaczął się wznosić.

– Trochę za nisko, stary – odezwał się Mercado.

– Racja – odparł Purcell i spozirzał na Vivian, która wcisnęła się w fotel, trzymając lornetkę na kolanach. – Widziałeś coś?

Vivian skinęła głową i odpowiedziała:

– To była... czarna skała. Tylko skała.

Purcell był pewien, że zobaczył to samo: wystającą z ziemi czarną i połyskującą kamienną bryłę: prawdopodobnie obsydian.

– Mamy tu zatem czarne skały – skwitował.

– Ojciec Armano wspomniał o skale, drzewie i strumieniu – przypomniała mu Vivian.

– Zgadza się – odparł Purcell. – Sprawdzimy to podczas jutrzejszego marszu.

Zerknął na zegarek. Od wylotu z Addis Abeby minęły już trzy godziny. Mogliby kręcić się po okolicy jeszcze przez dwa kwadransy; zdążyliby w tym czasie przyjrzeć się wszystkim miejscom zaznaczonym na mapie, a może nawet – gdyby została im jeszcze chwila – przyjrzeć się innym, które okazałyby się warte zbadania. I tym razem przylecieliby do Gondaru z opóźnieniem, lecz nie aż dwugodzinnym jak poprzednio. Purcell pomyślał, że będzie się tym martwić, gdy wyląduje. Tymczasem należało dokończyć rozpoznanie, które przy odrobinie szczęścia mogło doprowadzić ich do czarnego klasztoru.

– Mapa – zakomenderował Purcell.

Vivian pokazała mu arkusz. Purcell przyjrzał mu się, próbując ustalić, dokąd skierować maszynę, by dotrzeć w następne miejsce.

Rozglądając się dookoła, Vivian upuściła nagle mapę i krzyknęła:

– Patrz!

Purcell szybko podążył za jej wzrokiem. Zobaczył helikopter przelatujący w odległości jakiejś pół mili przed nimi.

– Kurwa! – wrzasnął.

– Myślę, że mógł widzieć, jak latamy – zauważył Mercado.

– Tak myślisz? – zapytał Purcell, nie wiedząc, czy śmigłowiec znalazł się w tym miejscu przypadkiem, czy też wysłano go, by ich śledził. – Jeśli ma na pokładzie radio, a na pewno ma, to skontaktował się już z lotniskiem w Gondarze.

– Może nas nie zauważył? – zapytała Vivian.

– Skoro myśmy go zobaczyli, to on nas również.

Helikopter skręcił na północny zachód, do Gondaru, czyli tam, gdzie i oni powinni polecieć. Purcell obrał zatem taki sam kurs, lecz trzymał się po lewej stronie śmigłowca, nie zbliżając się do niego bardziej niż na pół mili.

– Skąd wiedzą, że to właśnie my?

– W Afryce jest niewiele nawionów pomalowanych na czarno, Vivian – odpowiedział Purcell. – Nasz jest prawdopodobnie jedyny.

Vivian skinęła głową.

– Właściwie nie zrobiliśmy nic niezgodnego z prawem – stwierdził Mercado.

– Poprzednio też nie i wylądowaliśmy w więzieniu – przypomniał mu Purcell. – Natomiast dzisiaj w podejrzany sposób zbaczaliśmy z kursu.

– Cholerna racja – odparł Mercado. – Co robimy?

Purcell przyjrzał się helikopterowi, który leciał na takiej samej wysokości, a po chwili

zwołnił, aby nie wyprzedzić naviona, i zaczął się do niego zbliżać. Purcell zmniejszył obroty i wyhamował maszynę.

– Frank?

– Cóż... Chyba nie polecimy do Gondaru, bo tam będzie na nas czekał komitet powitalny.

Zapadło milczenie.

– Musimy lecieć do Somali – powiedział po chwili Mercado. – Damy radę?

Purcell sprawdził stan zbiorników i stwierdził:

– Nie powinniśmy mieć problemów z paliwem.

Okazało się jednak, że mogą mieć inny problem, bowiem helikopter również zmniejszył prędkość i zaczął lecieć równo z navionem. Purcell zrozumiał, że pilot śmigłowca daje mu do zrozumienia, żeby podążył za nim do Gondaru.

– Mógłbyś teraz skrócić na wschód, w stronę Somali Francuskiego – zasugerował Mercado.

– Tak jest.

Vivian zapadła się w fotelu i powiedziała cicho:

– To koniec... Zero szans...

– Damy radę – pocieszył ją Mercado.

Purcell zauważył, że helikopter przesunął się w prawo i wszedł na nieco większą wysokość.

Jego pilot mógł teraz lepiej przyjrzeć się navionowi.

– Musimy skrócić na wschód, stary – powiedział Mercado. – Czy uda nam się prześcignąć helikopter?

– To zależy od zbyt wielu niewiadomych – odparł Purcell i zwrócił się do Vivian: – Podaj mi lornetkę.

Purcell przystawił szkła do oczu i ustawił ostrość lewą ręką, nie zdejmując prawej z wolantu. Przyjrzał się szarooliwkowemu śmigłowcowi. Była to bez wątpienia wojskowa maszyna; na jej kadłubie widniała czerwona gwiazda.

– To huey – stwierdził Purcell. – uh-id... Widziałem miliony identycznych w Wietnamie.

Był to taki sam, a może ten sam helikopter, z którego korzystał Getachu. Niewykluczone, że właśnie tą maszyną zabrano ich do więzienia w Addis Abebie.

– Jego maksymalna prędkość jest podobna do naszej – dodał Purcell. – Widzę także strzelca pokładowego.

– Kogo?

– Kolesia w otwartych drzwiach, który siedzi przy karabinie maszynowym. To chyba m-60. Z drugiej strony prawdopodobnie jest jeszcze jeden. Nie widzę nikogo w kabinie, więc generała Getachu nie ma na pokładzie.

Zapadło milczenie.

Purcell zauważył, że helikopter zaczął się zbliżać. Leciał z prędkością zaledwie siedemdziesięciu mil na godzinę, a jego pilot mógł w każdej chwili obrócić maszynę i Purcell musiałby przelecieć przed lufą karabinu maszynowego.

– Musisz naprawdę skrócić, Frank – powtórzył Mercado.

– Racja... Ale myślę, że wtedy ten gość polecą za nami w kierunku Somali Francuskiego, a jeśli nawet uda nam się polecieć szybciej niż on, to i tak nie uciekniemy przed serią pocisków kalibru 7,62 milimetra.

Vivian wzięła głęboki oddech.

– O Boże... – powiedziała.

– I nawet gdyby udało nam się lecieć poza zasięgiem jego ognia, to poprosi przez radio o pomoc, a etiopskie siły powietrzne postarają się o jakiś myśliwiec – dodał Purcell.

– Nie mamy zatem wyboru – stwierdził Mercado po chwili zastanowienia. – Musimy lecieć do Gondaru.

– Tym razem możemy nie mieć tyle szczęścia, co w sztabie Getachu – powiedział Purcell.

Zapadła cisza, a po chwili Mercado powtórzył:

– Nie zrobiliśmy nic niezgodnego z prawem. Możemy wyrzucić wszystko, co mogłoby nas obciążać: aparat, mapy, powiększenia... I nasz sprzęt obozowy. Wszystko.

– To się rozumie samo przez się, Henry – odparł Purcell. – Muszę wam jednak powiedzieć, że Getachu wie albo się dowie, co tu robimy, i nie zawaha się użyć wszelkich sposobów, które przyjdą mu do jego chorej głowy, żeby wyciągnąć z nas wszystko, co wiemy.

Vivian zasłoniła twarz dłońmi i powiedziała:

– O, mój Boże...

– A gdy zapyta nas o pułkownika Ganna, z ust jednego z nas w końcu padnie: Szooan – dodał Purcell.

Vivian wyraźnie drżała; wyprostowała się jednak w fotelu i oświadczyła:

– Wolę raczej zginąć podczas ucieczki.

Purcell przyznał jej rację, mówiąc:

– Wszystko jest lepsze niż los, który czeka nas w Gondarze. Co ty na to, Henry?

Mercado nie odpowiedział.

Purcell rozejrzał się i zauważył, że znajdują się zaledwie pięćset metrów za helikopterem, nieco po jego lewej stronie. Zobaczył strzelca pokładowego, zabezpieczonego uprzężą i wychylającego się przez otwarte drzwi. Lufa karabinu maszynowego wycelowana była w nawioną.

Purcell przesunął maszynę w prawo i znalazł się za helikopterem, lecz pilot śmigłowca powtórzył jego manewr, aby strzelec mógł mieć płatowiec na oku. Purcell wiedział, że nawion

nie może się zmierzyć z o wiele zwrotniejszym helikopterem; utrzymał zatem swoją pozycję, lecz zmniejszył prędkość, zbliżając się do granicy przeciągnięcia. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić.

– Frank... Musimy go zgubić – odezwała się Vivian. – Dasz radę?

Purcell właśnie rozważał kilka możliwości. Gdyby nagle zanurkował w lewo lub w prawo, jeden ze strzelców pokładowych strąciłby ich z łatwością. A gdyby nabrał wysokości, mógłby zapewne przelecieć nad śmigłowcem i wysunąć się do przodu, lecz wtedy strzelcy mogliby obrócić broń i wycelować w naviona; pilot helikoptera musiałby tylko lekko obrócić swoją maszynę, umożliwiając jednemu ze strzelców oddanie strzałów.

Jedyną szansą było zanurkowanie pod śmigłowiec i znalezienie się poza zasięgiem wzroku jego pilota oraz strzelców pokładowych. Navion leciał z prędkością, która pozwoliłaby im znaleźć się poza zasięgiem ognia, zanim pilot helikoptera zdążyłby odpowiednio go ustawić.

– Frank? – odezwała się Vivian, kładąc rękę na ramieniu Purcella.

– Podjąłeś już decyzję, Henry? – zapytał Purcell. – Uciekamy czy lecimy za tym dupkiem do Gondaru?

Mercado nie odpowiedział i tym razem.

Purcell spojrzał na odległy horyzont. Zbliżali się do jeziora Tana, a zatem i do Gondaru. Nie można było wykluczyć, że etiopskie siły powietrzne poderwały już myśliwce albo inne helikoptery, żeby mieć pewność, że navion się nie wymknie. Brakowało zaledwie kilku minut do chwili, w której Purcell nie mógłby już nic zrobić.

– Uciekamy – odezwał się niespodziewanie Mercado.

– Okej – odparł Purcell.

Zerknął na wskaźniki wysokości i prędkości, zastanawiając się nad najlepszym planem działania. Stwierdził, że mógłby zanurkować i polecieć z większą prędkością niż huey. Nie mógł jednak umknąć przed gradem pocisków.

Helikopter niemal zawiśł w powietrzu, jakieś trzysta metrów przed navionem. Purcell dostrzegł gest strzelca pokładowego nakazującego mu wysunąć się przed śmigłowiec i polecieć przodem do Gondaru.

Nie zamierzał tego zrobić. Nagle zrozumiał, w jaki sposób może wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Pomyślał o tym wkrótce po starcie.

Wyciągnął rękę i ustawił tarczę celownika zamontowaną na giętym wysięgniku.

– Co robisz? – zapytał go Mercado, ledwie panując nad głosem.

– A na co ci to wygląda?

– Zwariowałeś?

Purcell ustawił przełącznik pod deską rozdzielczą w pozycji „ogień”.

Vivian przyglądała mu się w milczeniu.

Znajdowali się w odległości dwustu metrów od helikoptera, którego strzelec wciąż machał ręką, każąc im przesunąć się do przodu.

Purcell opuścił prawe skrzydło, pozorując zwrot w prawo. Pilot helikoptera, spostrzegłszy ten manewr lub usłyszawszy o nim od strzelca, przesunął maszynę w tę samą stronę, żeby utrzymać naviona w polu ostrzału po swojej lewej.

Purcell popchnął manetkę przepustnicy i ostro wcisnął prawy pedał sterowy, sprawiając, że navion zboczył w prawo. Popatrzył na helikopter przez czerwone okręgi na celowniku i nacisnął spust, modląc się, żeby elektryczny obwód wyrzutni rakiet zadziałał.

Marker dymny wystrzelił z prowadnicy, zostawiając za sobą białą smugę dymu, i poleciał w kierunku hueya oddalonego o mniej niż dwieście metrów.

Vivian krzyknęła z przerażenia, a Mercado powiedział tylko:

– O Boże...

Marker przeleciał tuż nad rotorem śmigłowca.

Strzelec pokładowy zastygł.

Purcell odpalił drugą rakietę. Poleciała niżej i przemknęła między płozami a brzuchem helikoptera, tuż pod nogami strzelca.

Strzelec oddał w ich kierunku długą serię pocisków smugowych, które przeleciały nad kabiną naviona. Vivian wrzasnęła i wcisnęła się pod deskę rozdzielczą.

Pilot śmigłowca popełnił instynktowny błąd: postanowił wykonać unik, przez który strzelec pokładowy stracił cel z oczu. Purcell zyskał dzięki temu możliwość lepszego przymierzenia się do hueya, bo śmigłowiec obrócił się i przesunął w bok i w dół. Purcell ponownie kopnął pedał sterowy, odbijając jeszcze bardziej w prawo. Jeszcze raz spojrzął na helikopter przesuwany się w poprzek czerwonych kręgów celownika. Mężczyzna na pokładzie hueya wystrzelił kolejną serię. Purcell usłyszał charakterystyczny dźwięk pocisków dziurawiących naviona. Nacisnął czerwony przycisk raz, potem drugi. Odpalił dwa ostatnie markery.

Pierwszy przeleciał przez otwartą kabinę, mijając o włos głowę strzelca pokładowego. Drugi przebił pleksiglasową szybę helikoptera i eksplodował w jego wnętrzu. Z wyrwy w pleksiglasie oraz z otwartych drzwi maszyny buchnęły kłęby białego dymu.

Pilot mógł zostać ranny lub oślepiiony dymem; marker mógł także uszkodzić jakiś istotny element wyposażenia helikoptera. Huey zaczął kołysać ogonem z boku na bok.

Purcell nie zmienił kursu. Leciał wprost na kolebiący się śmigłowiec. Dostrzegł strzelca pokładowego majaczącego w kłębach dymu. Przerażony mężczyzna puścił rękojeść karabinu maszynowego, którego lufa opadła.

Huey zaczął najpierw przesuwać się w prawo, a później – w chwili gdy przelatował nad

nim navion – niespodziewanie odwrócił się brzuchem do góry i wpadł jak kamień w sklepienie dżungli. Purcell usłyszał cichy wybuch za plecami. Popchnął do końca manetkę przepustnicy i zaczął ostro nabierać wysokości.

Wyłączył spust wyrzutni i opuścił tarczę celownika.

– Już po wszystkim – zwrócił się do Vivian.

Wdrapała się powoli na fotel.

– Mogę zapalić? – zapytał Purcell.

Nie usłyszał odpowiedzi. Zapalił papierosa i zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Spojrzał na Vivian. Jej zawsze blada twarz była teraz biała jak kreda.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Vivian skinęła głową.

– Henry? – zapytał Purcell.

W tylnej części kabiny panowało milczenie.

Vivian spojrzała za siebie.

– Henry... Henry? – powtórzyła i wychyliła się za fotel. – Dostałeś?

– Czym? – usłyszała w odpowiedzi.

Przyglądała się przez chwilę Mercado, a potem się odwróciła.

Purcell leciał na pełnych obrotach, wspinając się w górę.

– Co się stało? – zapytał Mercado.

– Helikopter się... rozbił – odpowiedziała Vivian.

Henry się nie odezwał.

Vivian spojrzała na Purcella.

– I co teraz? – zapytała.

– No cóż, pomyślmy – odpowiedział. – Możemy polecieć w kierunku Somali Francuskiego.

Ale potrzebowałibyśmy ze dwóch godzin, żeby tam dotrzeć. A za chwilę mogą się tu pojawić etiopskie samoloty.

Mercado doszedł już do siebie. Odchrząknął i zapytał:

– Myślicie, że pilot helikoptera zdążył zawiadomić kogoś przez radio?

Purcell pomyślał, że pilot śmigłowca, widząc raketę przelatującą nad jego głową, nie miał nawet czasu, żeby zsikać się w portki.

– Nie sądzę – odpowiedział. – Ale teraz nie ma już kontaktu radiowego z helikopterem, więc Gondar będzie szukał jego, nie nas.

Mercado zastanawiał się przez chwilę i powiedział:

– Chyba nie mamy innej możliwości niż lecieć do Somali... Albo do Sudanu. Jak to daleko?

Purcell zerknął na mapę i odpowiedział:

– Sudańska granica jest niecałe dwieście mil stąd. To jakieś półtorej godziny lotu. Tyle tylko że Etiopczycy nie zawahają się polecieć za nami nad terytorium Sudanu. Ale nie sądzę, by odważyli się wlecieć do Somali.

– Głosuję zatem za granicą z Somali – powiedział Mercado po chwili zastanowienia. – Tam przyjmą nas lepiej niż w Sudanie.

Purcell skinął głową i spojrzał na Vivian.

– Za jakim rozwiązaniem jesteś? – zapytał.

Vivian zastanowiła się już i odpowiedziała:

– Za Szoan. Da się tam wylądować?

Purcell zaczął się nad tym zastanawiać. Jednopasmowa droga była zbyt wąska, a po jej obu stronach rosły wysokie drzewa. Była jednak inna możliwość: łąki w okolicy.

– Nie jestem pewien, czy nadążam za tobą, Vivian – powiedział Mercado.

– Nadążasz, Henry – odparła. – Nie opuścimy Etiopii, bo przybyliśmy tu, żeby znaleźć Świętego Graala.

– Jesteśmy ścigani – przypomniał jej Mercado. – Właśnie popełniliśmy morderstwo.

– Walczyłem z wrogim pojazdem powietrznym – sprostował Purcell.

– Nazywaj to, jak chcesz, stary – odparł Mercado. – Może poprawi ci to humor, kiedy będą ci zakładali stryczek na szyję. Musimy się stąd wydostać, Vivian.

– Wyjedziemy stąd, gdy zrobimy to, co mamy tu do zrobienia.

Purcell wciąż prowadził samolot na wschód, w stronę Somali. Gdyby postanowili lecieć do Sudanu, musieliby wkrótce zmienić kurs – w przeciwnym razie nadłożyliby drogi.

– Mamy dwie możliwości do wyboru – stwierdził Purcell. – Jedną z nich jest lądowanie w Szoan.

– Dolecisz do granicy, zanim Etiopczycy będą w stanie nas zestrzelić?

– Nie wiem.

– Więc ląduj. W Szoan. Jak to daleko stąd?

– Jakieś... dwadzieścia albo trzydzieści minut lotu.

– Jest tam pułkownik Gann, który na nas czeka – stwierdziła Vivian. – I gdzieś tam, w dole, czeka na nas również czarny klasztor.

Purcell zamyślił się. Vivian przekroczyła niejednoznaczny granicę dzielącą odwagę od szaleństwa, a w najlepszym razie – obsesji. Miała jednak dobre argumenty.

Navion znajdował się około trzech tysięcy stóp nad ziemią i wciąż się wznosił. Nabierali wysokości z prędkością stu mil na godzinę, lecz Purcell mógłby wycisnąć z maszyny sto pięćdziesiąt, gdyby zaczął zmniejszać pułap. Odbił w prawo i skierował naviona na południe.

– Co robisz? – zapytał Mercado.

– Spróbujemy wylądować w Szoan, Henry – odparł Purcell. – A jeśli nam się nie uda, to się tam rozbijemy.

– Nie! – Henry był przerażony.

– Tak! – powiedziała Vivian, odwróciwszy głowę.

Patrzyli sobie w oczy przez kilka sekund. Purcell wyobraził sobie zielone oczy Vivian zagładające do duszy Mercado.

– Tak... W porządku – powiedział w końcu Henry. – Przebyliśmy długą drogę, żeby znaleźć Świętego Graala, i jesteśmy już zbyt blisko, żeby się wycofać.

Vivian wyciągnęła rękę i pogłaskała Henry’ego po twarzy, a później odwróciła się i zaczęła wyglądać przez szybę. Navion obrał kierunek na południowy zachód i, lecąc w stronę Szoan, zaczął się zniżać.

Vivian odwróciła głowę w stronę Purcella i patrzyła na niego tak długo, aż na nią spojrział.

– Kocham cię – powiedziała miękким głosem.

– Kochasz każdego, kto ci ustępuje.

Vivian uśmiechnęła się i odparła:

– To, co jest najlepsze dla mnie, jest najlepsze dla nas.

Purcell nie odpowiedział.

Zmniejszył szybko pułap i po chwili powiedział:

– Szoan za dziesięć minut. Spróbuję wylądować.

– Tylko o to cię proszę – odparła Vivian. – Wiem, że sobie poradzisz.

– Zobaczymy.

Purcell zmniejszył obroty silnika i zaczął sprowadzać maszynę nad majaczącą w oddali wioskę.

Gdyby popuścił wodze fantazji i zapomniał o dżungli, porównałby pola otaczające Szoan do pól na północy stanu Nowy Jork, na których uczył się latać, będąc jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Matka Purcella powtarzała, że latanie jest niebezpieczne, i nakłaniała go do zajęcia się czymś mniej ryzykownym, na przykład pisanie.

– Miło mi widzieć, że się uśmiechasz.

– Pisywałem do szkolnej gazetki i tygodnika w moim mieście, a na studiach wybrałem dziennikarstwo. Moja matka chciała, żebym miał bezpieczną pracę.

Vivian uśmiechnęła się i oświadczyła:

– Czytałam tylko jeden twój artykuł. Jesteś dobry?

– Moja matka uważa, że tak.

– Straciłam rodziców, gdy miałam dwanaście lat. Katastrofa lotnicza.

– Przykro mi.

– Może powinnam była wybrać bardziej odpowiedni moment, żeby to powiedzieć.

Purcell nie wiedział, ile jeszcze czasu im zostało, ale rzekł:

– Będziemy mogli dużo sobie opowiedzieć w Rzymie.

Vivian odczepiła od podsufitki medalik ze świętym Krzysztofem i przypięła go do bluzy Purcella.

– Krzysztof przeniósł raz dziecko przez rzekę. Był roslym i silnym mężczyzną, lecz z powodu zaskakującego ciężaru małego chłopca potknął się i prawie porwał go szalejący nurt wody. Nie upuścił jednak dziecka, a gdy znaleźli się na bezpiecznym brzegu, chłopiec wyjawiał mu, że jest Jezusem dźwigającym cały świat.

– Znam to uczucie – powiedział Purcell.

Pociągnął manetkę przepustnicy, sprowadzając maszynę coraz niżej.

ROZDZIAŁ 44

Purcell rozglądał się, wypatrując pastwisk wśród setek akrów sadów i pól. Potrzebował do lądowania około trzystu metrów otwartego i w miarę równego terenu. Zauważył jednak, że pola poprzecinane są kamiennymi i drewnianymi ogrodzeniami, a na większości łąk rosną drzewa.

Zamierzał wylądować z wypuszczonym podwoziem, lecz gdyby grunt okazał się zbyt wilgotny, kamienisty albo nierówny, musiałby spróbować usiąść na brzuchu, nie zważając na wyrzutnię rakiet zamontowaną pod kadłubem.

Purcell miał prawie pół zbiornika, to było zbyt dużo, by mógł ryzykować latanie w kółko, dopóki go nie spali. Poinstruował więc Vivian i Henry'ego, aby jak najszybciej opuściliabinę, gdy tylko samolot zatrzyma się na ziemi.

Okrzyżył pola, lecąc ich skrajem. W pobliżu wioski dostrzegł kilku ludzi, którzy im się przyglądali. Miał nadzieję, że jednym z mężczyzn jest Gann.

– Widzisz jakieś miejsce do lądowania? – zapytała Vivian.

– Tylko jedno, tamto pastwisko przed nami.

– Czy jest wystarczająco długie? – zapytał Mercado.

– Postaram się, żeby było.

Pastwisko lekko opadało, Purcell postanowił zatem lądować pod górkę. Miał nadzieję, że pomoże to navionowi szybciej wytracić prędkość i uchroni go przed zjechaniem z trawiastej nawierzchni.

Purcell nadleciał nad pastwisko. Ocenił jego długość na ponad trzysta metrów. Dostrzegł kamienny mur na górnym brzegu stoku; na szczęście na pastwisku nie było drzew ani wodopojów.

Nie potrafił ocenić siły wiatru, lecz nie miało to znaczenia; znalazł już lądowisko i ustalił kierunek, w którym zamierzał sprowadzić maszynę na ziemię.

Purcell wysunął podwozie, opuścił klapy i przyciągnął do siebie manetkę przepustnicy. Zmniejszył prędkość do zaledwie sześćdziesięciu mil na godzinę, a potem zaczął zniżać lot: pięćset stóp, czterysta, trzysta... Zerknął na pastwisko porośnięte niską brązową trawą. Pasące się kozy rozpierzchły się na wszystkie strony, a Purcell zauważył kamienie i zagłębienia.

– Trzymajcie się! – zawołał.

Maksymalnie zredukował obroty silnika i opuścił dziób naviona. Samolot dotknął kołami ziemi, podskoczył wysoko, a później odbił się jeszcze raz. Purcell wyłączył silnik i uruchomił

hamulce. Na widok zbliżającego się muru zaczęła poruszać sterem, zmuszając naviona do zarzucenia ogonem. Maszyna zaczęła zwalniać, lecz mur był oddalony już tylko o niecałe sto, a po chwili pięćdziesiąt stóp.

– Frank...

– Uwaga!

Purcell mocno nacisnął pedał sterowy, wprowadzając naviona w boczny poślizg. Czekał na trzask łamiącego się podwozia, lecz stary ptak był solidną maszyną. Jego podwozie wytrzymało, a koła przesunęły się bokiem po trawiastym podłożu. Navion szarpnął i zatrzymał się kilkanaście stóp od muru.

– Pięknie – powiedziała Vivian.

– Dobra robota, stary – dodał Mercado.

Chwycili brezentowe torby, w których znajdowały się mapy, aparat fotograficzny i filmy. Purcell odsunął owiewkę kabiny i wy dostał się na skrzydło. Vivian i Mercado pośpiesznie poszli w jego ślady i zeskoczyli na trawę. Purcell dołączył do nich i razem odbiegli na bezpieczną odległość od naviona, na wypadek gdyby stanął w płomieniach.

Purcell stał, przyglądając się maszynie *signore* Bocaccio, która nieco lepiej lądowała, niż latała. Vivian zdjęła z bluzy Purcella medalik ze świętym Krzysztofem, pocałowała go i włożyła mu do górnej kieszeni.

Purcell usłyszał jakiś hałas za plecami. Odwrócił się i dostrzegł land rovera jadącego w ich stronę. Samochód zatrzymał się nieopodal. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Zobaczyli pułkownika Ganna w białej shammie i sandałach. Zbliżając się, Gann zawołał:

– To było planowane lądowanie czy was zestrzelili?

– Wpadliśmy tylko, żeby się przywitać – odpowiedział Mercado z tym samym brytyjskim poczuciem humoru.

Gann uśmiechnął się i podszedł.

– W samą porę na popołudniową herbatę – odparł.

Purcell zauważył, że pułkownik ma bardzo krótkie kruczoczarne włosy i pozbył się rudych wąsów, podobnie jak szpicruty, a jego więzienną bladłość zastąpiła ładna opalenizna.

Gann podszedł do Purcella i stwierdził:

– Naprawdę dobre lądowanie. Wystraszyliście trochę kozy, ale dojdą do siebie.

– My również.

Gann wyszczerzył zęby w uśmiechu i ujął dłoń Vivian.

– Czarująca jak zawsze – rzekł.

– Dobrze panu w shammie – usłyszał w zamian.

– Czyżby? – odparł pułkownik i uściśnął rękę Mercado. – Gondar dziś zamknięty?

– Dla nas tak.

– Będziecie mieli o czym opowiadać, jednak najpierw poznajcie moją przyjaciółkę.

Gann machnął ręką w stronę land rovera.

Z samochodu wysiadła młoda kobieta w zielonej shammie. Podążyli za Gannem, który ruszył w stronę damy.

– To Miriam – powiedział.

Kobieta ukloniła się.

Purcell spojrzął na nią. Liczyła sobie niewiele ponad trzydzieści lat, może mniej. Miała czarne kędzierzawe włosy i – mimo bardzo ciemnej skóry – zdecydowanie semickie rysy twarzy oraz ciemnobrązowe tęczaówki. Ogólnie rzecz biorąc, była piękną kobietą.

Gann przedstawił jej swoich przyjaciół, którzy złożyli im niezapowiedzianą wizytę. Miriam uścisnęła ich ręce, mówiąc:

– Witam.

Gann nie sprecyzował swojego związku z Miriam, lecz była ona jego dziewczyną i to wiele tłumaczyło. Zawsze *cherchez la femme*, to powiedzenie Purcell znał aż za dobrze.

– Ścigali was? – zapytał swoich gości Gann.

– Być może były jakieś samoloty – odpowiedział Purcell.

– Zatem... ukryjemy naviona pod palmami – oświadczył Gann i spojrzął na Miriam.

– Zadbam o to – odparła nienaganą angielszczyzną.

– Miriam jest... Miriam tu rządzi – powiedział Gann. – Jest księżniczką czystej krwi królewskiej.

Purcell miał już kilka razy do czynienia z żydowskimi księżniczkami, ale zrozumiał, że tym razem chodzi o coś innego.

– Przepraszamy za najście, wasza wysokość – odezwał się Mercado.

– Proszę mi po prostu mówić Miriam.

Mercado uklonił się jej.

– Właściwie zostaliśmy zaproszeni przez sir Edmunda – przypomniał wszystkim Purcell.

– To prawda – odparł Gann. – Cieszę się, że to zrozumieliście. I oto jesteście. Zabierajmy się stąd.

Pułkownik otworzył księżniczce drzwi land rovera i powiedział:

– Jeśli samolot nie wyleci w powietrze, wasze bagaże wkrótce do was dołączą.

Purcell, Mercado i Vivian wcisnęli się na tylną kanapę samochodu. Gann zajął miejsce za kierownicą i ruszył w kierunku wioski, mówiąc:

– Obawiam się, że Szooan wyda wam się puste, co już pewnie zauważyliście, przelatując tędy parę dni temu. Większość jego mieszkańców wyjechała do Izraela. Zostało tylko

kilkanaście osób, ale i one wkrótce opuszczą to miejsce.

Zapadło milczenie.

Gann położył rękę na ramieniu Miriam i powiedział:

– Ale wszyscy tu wrócą. Zobaczysz. Za rok, góra za dwa lata.

Miriam nie odpowiedziała.

Wjechali do małej wioski złożonej z najwyżej pięćdziesięciu otynkowanych domów. Gdyby nie blaszane dachy i nieutwardzone ulice, Purcell pomyślałby, że są w Berini. W wiosce nie było kościoła, lecz Purcell dostrzegł na niewielkim placu budynek, który wcześniej zauważył z powietrza: była to rzeczywiście synagoga z niebieską gwiazdą Dawida wymalowaną nad drzwiami.

Plac był pusty, podobnie jak wąska, kończąca się na skraju wioski uliczka. Gdy w nią skręcili, Purcell zobaczył duży dom, który widział już z samolotu. Był to pałac księżniczki.

Gann zaparkował samochód pod kępą wysokich palm i oświadczył:

– Jesteśmy na miejscu.

Wysiedli. Sir Edmund otworzył małe drewniane drzwiczki umieszczone w ścianie frontowej pozbawionej okien. Miriam weszła pierwsza, po czym Gann gestem ręki zaprosił szych gości do środka.

Wnętrze domu nie było szczególnie okazałe. Białe ściany lśniły jednak czystością, a podłogę pokrywały czerwone płytki. W ściennych niszach stały tropikalne kwiaty w ceramicznych wazonach. Przeszli pod łukowatym sklepieniem i znaleźli się na dziedzińcu, nad okrągłym stawem otoczonym palmami, który Purcell widział z powietrza. Pod drzewami rosły czarne sępolie, a po ścianach domu wspinała się bugenwilla.

Gann wskazał tekowe krzesła. Wszyscy usiedli.

Pojawiła się służąca, wysłuchała polecenia Miriam, po czym wyszła.

– Mogę zaproponować tylko napoje owocowe i trochę pieczywa – powiedziała gospodyni.

– Mamy na pokładzie samolotu prawie pięćdziesiąt kilogramów kawy – odparł Purcell. – Proszę potraktować ją jako prezent powitalny.

Miriam uśmiechnęła się, odwróciła do Ganna i powiedziała coś po amharsku.

Gann również się uśmiechnął, a Purcell odniósł wrażenie, że pułkownik opowiedział już księżniczce o swoich przyjaciółach.

– To piękny dom – stwierdziła Vivian.

– Dziękuję – odpowiedziała Miriam.

Purcell postanowił zadać oczywiste pytanie:

– Jak się poznaliście?

– W 1941 zaprzyjaźniłem się z ojcem Miriam – odpowiedział Gann. – Spotkałem go

w Gondarze zaraz po tym, jak wykopaliliśmy Włochów. Felaszowie mają tam większość swoich tkalni i sklepów jubilerskich, a cholerni faszyści zabrali im to wszystko, bo Felaszowie są Żydami, i aresztowali tych, którzy mieli o to pretensje. Odnalazłem Sahlego w więzieniu. Był na wół żywy. Dałem mu kawałek chleba i kieliszek dżinu. Natychmiast postawiło go to na nogi. Zaprzyjaźniliśmy się, a zanim w 1943 wyjechałem z Etiopii, przybyłem do Szoan, by zobaczyć, jak jego córka przychodzi na świat. Jest równie piękna, jak jej matka – dodał pułkownik Gann, spojrzawszy rozkochanym wzrokiem na piękną Miriam.

Vivian uśmiechnęła się i zapytała Miriam:

– Czy twoi rodzice... jeszcze tu są?

– Wyjechali.

– Miriam ma starszego brata, który niestety kilka miesięcy temu udał się do Gondaru w interesach i nie wrócił – powiedział Gann. – Podobno trafił w łapy Getachu i przebywa w więzieniu.

Służąca przyniosła tacę z owocami, pieczywem i czarkami napełnionymi purpurowym sokiem. Gospodarze i goście sięgnęli po czarki, a służąca postawiła tacę na stole. Miriam zapytała ją o coś, a następnie zwróciła się do gości:

– Samolot został już ukryty, a wasze bagaże właśnie przyniesiono.

Zapewniła także pana Purcella, że z *naviona* zabrano również kawę, która zostanie podana nieco później.

Gann uniósł swą czarkę i powiedział:

– Witajcie w Szoan.

Wypili cierpki sok, który zaczął już fermentować i uwalniać bąbelki gazu.

– Musicie opowiedzieć mi o wszystkim – rzekł Gann.

– Henry jest w tym dobry – odparł Purcell.

Mercado opowiedział najpierw o tym, jak osobno przyjechali do Addis Abeby, a później o *signore* Bocaccio i jego samolocie. Przysłuchujący mu się Gann kiwał głową, lecz sprawiał wrażenie, jakby już coś o tym wiedział. Rojalistyczne podziemie lub inni kontrrewolucjoniści, z którymi kontaktował się Gann, budzili w Purcellu szacunek.

Następnie opisał loty rozpoznawcze i wspaniałe zdjęcia Vivian; nie omieszkał także podziękować Gannowi za mapy, chociaż zapomniał pochwalić lotnicze umiejętności Purcella. Frank zauważył także, że Henry nie powiedział sir Edmundowi, iż niedawno pieprzył jego – Franka Purcella – dziewczynę. Nie było to jednak coś, o czym wypadało rozmawiać w towarzystwie dam; Henry mógłby wspomnieć o tym sir Edmundowi później, podczas męskiej rozmowy.

Purcell spojrzął na Ganna, a później na Miriam, Mercado i Vivian. Miał nadzieję, że będzie

równie szczęśliwy, kiedy dobieje do sześćdziesiątki. Pomyślał także o *signore* Bocaccio oraz o jego etiopskiej żonie i dzieciach. Gdyby wszystko dobrze poszło – na co się raczej nie zanośliło – za kilka tygodni wszyscy: Purcell, Vivian, Henry, pułkownik Gann, Miriam i cała rodzina Bocacciów, siedzieliby w rzymskiej Ristorante Etiopia, popijając wino ze Świętego Graala. To nie mogło się ziścić, lecz miło było to sobie wyobrazić.

Henry przeszedł do najciekawszej części opowiadania: tej, która dotyczyła zestrzelenia przez Franka helikoptera etiopskich sił powietrznych. Zwrócił się do Purcella:

– Może zechciałbyś sam o tym opowiedzieć, Frank?

Purcell zdawał sobie sprawę, że była to świetna historia, by snuć ją w barze daleko poza granicami Etiopii. Lecz nie tu i teraz. Naraził przecież wszystkich na śmiertelne niebezpieczeństwo, mimo iż w Etiopii nie było o to trudno.

– Cóż... Sądzę, że helikopter szukał nas i został wysłany przez generała Getachu – powiedział. – Było już po zawodach, więc postanowiliśmy... Postanowiłem go załatwić.

– Macie jakąś broń? – zapytał Gann.

– Nie – odrzekł Purcell i opowiedział o wyrzutni rakiet oraz o swoim pomysłe na ich użycie.

Nie zagłębiając się w szczegóły, dodał:

– Pisząc o wojnie w Wietnamie, wiele razy latałem hueyami i widziałem, jak wystrzelują markery dymowe. Wyglądało to na łatwiznę. W każdym razie mogliśmy dziś zginąć lub narazić się na coś jeszcze gorszego, gdybyśmy wylądowali w Gondarze.

Gann skinął głową i orzekł:

– Święta racja.

– Strzelali do nas z karabinu maszynowego – zwróciła się do Ganna Vivian. – Frank był bardzo dzielny, a ja skamieniałam ze strachu.

– Nawet ja trochę się bałam – przyznał Mercado.

– Widzieliście jakiś samolot? – zapytał Gann po chwili zastanowienia.

– Nie – odpowiedział Purcell.

– Prawdopodobnie szukają was na trasie prowadzącej w kierunku Somali Francuskiego – stwierdził Gann.

– Zastanawialiśmy się, czy nie polecieć tam lub do Sudanu.

– Dobrze, że tego nie zrobiliście – odparł Gann. – Mogłoby wam się nie udać. Etiopczycy nie mają zbyt wielu myśliwców; dysponują tylko kilkoma mirage'ami. Korzystają natomiast z rosyjskich śmigłowców bojowych z rosyjskimi pilotami, z którymi zapewne spotkalibyście się w drodze do Somali albo Sudanu.

Purcell skinął głową i powiedział:

– Mimo to przepraszam, jeśli postawiliśmy was w trudnej sytuacji.

– Już się w niej znaleźliśmy – odezwała się Miriam. – Lecz jesteście tu najmiej widzianymi gośćmi.

– Dziękujemy.

– Nie zostaniemy długo – zapewniła Vivian.

Miriam spojrzała na nią i rzekła:

– Możecie tu zostać tak długo, jak chcecie, i wyruszyć do Somali Francuskiego, kiedy będzie wam to odpowiadało, a my pomożemy wam się tam dostać. Wolałabym jednak, abyście zrezygnowali z wizyty w miejscu, do którego próbujecie dotrzeć.

– Przebyliśmy długą drogę, by je znaleźć – odparła Vivian. – Nie zamierzamy przeszkadzać zakonnikom ani niszczyć obiektów religijnych.

– Wiem to od Edmunda. Zdaję sobie także sprawę, że sądzicie, iż zostaliście wybrani, by znaleźć to miejsce, i szanuję wasze przekonania. Nie mogę jednak zaproponować wam pomocy w poszukiwaniach.

– Dlaczego? – zapytał Purcell.

Miriam spojrzała na niego i wyjaśniła:

– My, mieszkańcy Szooan, zawarliśmy święte przymierze z zakonnikami z czarnego klasztoru.

– Jesteście Żydami, a oni są Koptami – odparł Purcell.

– To nieistotne. Łączy nas tradycja licząca dwa tysiące lat.

– Rozumiem. Prosimy zatem o nocleg i prowiant na drogę.

– Chętnie wam pomogę, lecz byłoby dobrze, gdybyście jeszcze przemyśleli swoją decyzję o wyprawie.

– Nie możemy tego zrobić.

Miriam nie odpowiedziała.

– Niewykluczone, że nasz powrót tu okaże się konieczny – powiedział Purcell.

– Będziecie tu zawsze mile widziani, chociaż nas może już tu wtedy nie być.

Purcell spojrział na Ganna i przypomniał mu:

– Dał nam pan znać, że tu jest. Dlaczego?

Gann zawahał się i odpowiedział:

– Chciałbym z wami wyruszyć. Rozmawiałem już o tym z Miriam. Miriam wie, że naszym zdaniem obiekt jest zagrożony i musi trafić w bezpieczne miejsce, aczkolwiek według niej zadbają o to zakonnicy.

– Być może – odparł Purcell. – Lecz gdybyśmy to my się tym zajęli, dokąd moglibyśmy go zabrać?

Gann spojrzął na Mercado i oświadczył:

– Nie do mnie należy ta decyzja. Będziemy musieli to omówić.

– Jeszcze go nie znaleźliśmy i, bądźmy szczerzy, prawdopodobnie nigdy nie znajdziemy – zauważył Purcell. – Może zatem to wszystko stoi pod znakiem zapytania?

– Kiedy już to znajdziemy, będziemy wiedzieli, co robić – oświadczyła Vivian.

Purcell pomyślał, że Henry bez wątpienia obiecał Graala Watykanowi, a Gann mógł obiecać go Muzeum Brytyjskiemu, w którym relikwia zajęłaby miejsce etiopskiej korony królewskiej wykradzonej, po czym zwróconej właścicielom przez Brytyjczyków. W każdym jednak przypadku Graal – o ile udałoby im się go znaleźć – miał pozostać w bezpiecznym miejscu do chwili odzyskania wolności przez Etiopię.

– Jaka sytuacja panuje na wsi? – zapytał Ganna Mercado.

– Jest trochę niespokojnie – odpowiedział pułkownik i opowiedział o kontrrewolucjonistach oraz rojalistycznych partyzantach, z którymi się kontaktował. – Większość Oromów wyniosła się na wschód, gdzie Erytrejczycy walczą o autonomię, lecz niektórzy zostali, oczekując wznowienia walk.

– Widzieliśmy grupę Oromów z powietrza – zwrócił się do Ganna Purcell. – Zamierzałem pana zapytać: co oni robią z tymi wszystkimi jajami?

– Zjadają je, stary – odpowiedział Gann. – Oczywiście nie ci, którzy są chrześcijanami albo mużłmanami. Robią to poganie. Podobno dodaje im to odwagi.

– Faktycznie, trzeba mieć odwagę, żeby to robić.

– Nigdy o tym nie pomyślałem – odparł Gann, po czym nawiązał do obaw Mercado. – Izraelczycy przemycili trochę broni dla Felaszów, by mieć pewność, że emigracja przebiegnie bez problemów.

Sięgnął do urny i wyjął z niej pistolet maszynowy uzi.

– Niezła sztuka – powiedział i wręczył go Purcellowi. – Zabierzemy go ze sobą.

Purcell zerknął na kompaktową broń z magazynkiem dłuższym niż lufa i stwierdził:

– Powinien wystraszyć zakonników jak jasna cholera.

Gann uśmiechnął się i odparł:

– Myślałem raczej o Oromach i każdym, kogo moglibyśmy spotkać w dżungli. Getachu wysłał w tę stronę kilka oddziałów, ale jego ludzie mieli nieprzyjemne spotkanie z rojalistycznymi partyzantami i antymarksistowskimi kontrrewolucjonistami.

– Świetnie – stwierdził Purcell. – Czy ma pan trzy dodatkowe uzi?

– Niestety, nie. Potrzebują ich ci, którzy tu zostali.

Purcell wręczył pistolet Mercado, który powiedział:

– Przypomina mi starego brytyjskiego stena.

Podał uzi Vivian.

– To prosta broń – zwrócił się Gann do swoich gości. – Pokażę wam, jak jej użyć, na wypadek... gdybym z wami nie wyruszył.

Miriam spojrzała na swego kochanka, lecz się nie odezwała.

– Czy Szoan jest bezpieczne? – zapytał Mercado.

– O tyle, o ile rząd tymczasowy zgodził się nie przeszkadzać w emigracji Żydów – odpowiedział Gann. – Emigracja w całym kraju odbywa się na razie bez zakłóceń, chociaż doszło do kilku incydentów z użyciem broni.

– W jaki sposób porozumiewa się pan z rojalistami tu i w Addis Abebie? – zapytał Purcell.

– Mam krótkofalówkę. Trzymam ją za wioską, żeby nie narażać mieszkańców.

– Możemy ją zobaczyć?

– Oczywiście. Ale w tej chwili jej baterie są wyczerpane, czekam na nowe. Poemat Kiplinga wysłałem podczas ostatniej transmisji.

– Dostarczylibyśmy panu baterie, gdyby ktoś podrzucił nam je do hotelu.

– Gdyby je przy was znaleziono, zostalibyście rozstrzelani – odparł Gann. – Po długich i ciężkich torturach.

– Racja – powiedział Purcell. Mapy i zdjęcia być może dałoby się jeszcze jakoś wytłumaczyć, lecz baterie do radiostacji byłyby równie obciążające, co pistolet. Purcell chciałby mieć broń, która potrafi odpowiadać za siebie.

Gann odebrał Vivian uzi i stwierdził:

– Powinniśmy wyruszyć jutro. Gdzie chcielibyście zacząć szukać?

– Myślałem, że uzyskamy jakąś podpowiedź od pana lub Miriam – odparł Purcell.

– Obawiam się, że to niemożliwe, stary – rzekł Gann. – Myślałem, że zauważyliście coś z samolotu.

– To prawda, ale nie chcemy odwiedzać wszystkich tych miejsc drogą lądową.

– Być może będziemy musieli to zrobić – odparł Gann.

Zamilkł na chwilę, a później zerknął na Miriam i zwrócił się do swoich gości:

– Jak już powiedziałem wam w Rzymie, ludzie z Szoan kontaktują się z klasztorem. Niestety, ci, którzy widywali się z zakonnikami, wyjechali.

Purcell spojrzął na Miriam, która dodała:

– Wtajemniczeni byli starsi, lecz opuścili wioskę, zabierając tajemnicę ze sobą.

– Relacja... Przyjaźń trwająca czterysta lat, od chwili zbudowania klasztoru, została przerwana – rzekł Gann. – Ostatnie spotkanie odbyło się dwa tygodnie temu. Zakonnicy zostali ostrzeżeni.

Purcell ponownie poczuł się tak, jakby znalazł się w równoległym świecie.

– Jak długo byli nieobecni ci, którzy udawali się na spotkania? – zapytał Miriam.

Spojrzała na niego, lecz nie odpowiedziała.

– W którą stronę szli?

– Za każdym razem w inną – odpowiedziała Miriam. – I nigdy nie znikali z wioski na tyle samo dni.

– Bardzo pomocne informacje.

– Jesteś niegrzeczny, Frank – odezwała się Vivian.

– Przepraszam – odparł Purcell. – Chcę tylko znaleźć to miejsce i zabierać się stąd.

– Pozwólcie mi pomyśleć o tym, o co prosiłicie – zwróciła się do swoich gości Miriam.

– Dziękujemy.

Miriam dodała cicho:

– To trudne czasy dla wszystkich. Tutejsza cywilizacja, zarówno chrześcijańska, jak i żydowska, doczekała się właśnie końca swego istnienia. Powinniśmy jednak patrzeć w przyszłość. Wszyscy musimy stąd wyjechać; będziemy także musieli ocalić nasze tradycje, zwyczaje oraz przymierze.

– Rozumiem – odparł Purcell i skinął głową.

Vivian spojrzała na Miriam i powiedziała:

– Przybyliśmy tu, by zrobić to samo co wy. Zabrać to, co nie może tu zostać, i przechować to w bezpiecznym miejscu, dopóki ten koszmar się nie skończy.

– Powinniście zostawić to zakonnikom – odparła Miriam i wstała. – Muszę zadbać o wasz nocleg. Niedługo wracam.

Panowie wstali. Księżniczka się oddaliła.

– Jak się zapewne domyślacie, rozmawiałem już o tym z Miriam – rzekł Gann. – Zapewniam, że nie wie więcej, niż wam powiedziała.

– Gdyby wiedziała więcej, na pewno niczego by przed panem nie ukrywała – odparł Mercado.

Purcella zaciekało, czy Henry naprawdę wierzy, że kobiety mówią wszystko swoim mężczyznom. Gdyby tak było, Henry co roku zostawałby rogaczem.

– Chcielibyśmy dostać się jutro do uzdrowiska – zwróciła się do Ganna Vivian.

Wyjaśniła, że nie kieruje nimi chęć odświeżenia wspomnień, tylko zamiar odszukania kości ojca Armano.

– Nie sądzicie, że to raczej dziwaczny zwyczaj? – zapytał Gann.

Mercado – dawny ateista, a obecnie wierny pracujący dla Watykanu – zaczął wyjaśniać:

– To bardzo ważny dla Kościoła krok w procesie kanonizacji. Doczesne szczątki zmarłego uznaje się za relikwie pierwszego stopnia, fragmenty jego odzieży są relikwiami drugiego

stopnia, a inne przedmioty...

– Dobrze, zatrzymamy się w łaźniach i spróbujemy znaleźć jedną czy dwie kości – przerwał mu Gann. – To niedaleko, najwyżej pół dnia marszu stąd.

– Chcielibyśmy również zobaczyć fortecę, w której ojciec Armano spędził czterdzieści lat – powiedziała Vivian.

– Wypatrzyliśmy obiekt oznaczony jako *incognita* z powietrza i faktycznie była to forteca księcia Teodora – dodał Mercado.

– Dobre rozpoznanie – stwierdził Gann i zwrócił się do Vivian: – Czy to także ważny krok w procesie kanonizacji?

– To część historii ojca Armano – odpowiedziała. – Coś, co muszę zobaczyć.

– Rozumiem... Cóż, jestem pewien, że to nas do czegoś doprowadzi.

– Większość miejsc, w których naszym zdaniem mógłby znajdować się czarny klasztor, oddalona jest najwyżej o dwa dni marszu od fortecy – rzekł Mercado.

– Być może znajdziemy w niej jakieś wskazówki – dodała Vivian.

Gann skinął głową i odparł:

– Rozejrzemy się.

Omówili jeszcze kilka spraw, popijając sfermentowany sok. Ustalili, że ich wyprawa potrwa tydzień – chyba że wcześniej znajdą czarny klasztor. Gdyby im się to nie udało, mieli wrócić do Szooan i jak powiedział pułkownik Gann, przegrupować się, uzupełnić zapasy i ponownie zaatakować.

– Czy ktoś tu będzie, kiedy wrócimy? – zapytała Ganna Vivian.

Gann zamilkł na chwilę.

– Wioska będzie pusta – odpowiedział w końcu. – Mam się spotkać z Miriam w Jerozolimie.

Vivian uśmiechnęła się i rzekła:

– To bardzo miłe.

Mercado, który ponownie zaczął zastanawiać się nad strategią opuszczenia Etiopii, zapytał Purcella:

– Da się stąd ruszyć ten samolot?

– Możemy go przenieść.

– Dlaczego nią nie polecimy?

– Musielibyśmy najpierw poderwać ją w powietrze, Henry. To najtrudniejsza część.

– Jeśli można wylądować, to można także wystartować.

– Mogłem uszkodzić opony – odparł Purcell. – Później im się przyjrzę. Dokąd chciałbyś lecieć?

– Do Somali Francuskiego.

– Myślę, że będziemy musieli pójść pieszo – przerwał im Gann. – Wielu rojalistycznych partyzantów chodziło do Somali i z powrotem. Znam kilku facetów, którzy z nami pójdą.

Miriam wróciła i powiedziała, że za godzinę zostanie podany posiłek. Zaproponowała gościom, że wcześniej zaprowadzi ich do pokoi.

Wszyscy wstali. Miriam ruszyła przodem i zaprowadziła ich do łukowo sklepionej loggii z szeregiem drewnianych drzwi. Wskazała pierwsze i powiedziała:

– Pokój pana Mercado.

Wydawało jej się zapewne, że zna sytuację swoich gości, ponieważ przed następnymi drzwiami rzekła:

– Pokój pana Purcella i panny Smith. Mam nadzieję, że nie pomyliliśmy bagaży.

– Łazienka jest na końcu korytarza – dodał Gann. – Spotkajmy się za godzinę na koktajlu na patio.

Purcell, Vivian i Mercado podziękowali gospodarzom i weszli do pokoi.

Purcell rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Miało białe ściany i żebrowany sufit. Było pozbawione okien, lecz wąskie, wysoko umieszczone żaluzje wpuszczały do środka dość światła i powietrza, trzymając zarazem z daleka dzikie zwierzęta i nieproszonych gości.

Pod jedną ze ścian stały dwa szare stalowe łóżka, które wyglądały tak jak szpitalne. Przy ścianie naprzeciw znajdował się drewniany stół. Leżały na nim ich bagaże, a zaraz obok nich stała lampa naftowa. W jednym z kątów pokoju ustawiono krzesło, w innym – umywalkę z miską i dzbankiem na wodę.

– Jak w zakonnej celi – powiedział Purcell.

– Docenisz to miejsce po tygodniu spędzonym w dżungli.

– Będę się czuł jak w pałacu.

– Nie przeszkadza ci to? – zapytała Vivian.

Purcell nie odpowiedział.

– Mogę poprosić o oddzielny pokój.

– Pozwól, że ja to zrobię.

– Spójrz na mnie, Frank.

Purcell zrobił, o co poprosiła.

– Przepraszam i kocham cię – powiedziała.

– Porozmawiamy o tym w Gondarze.

– Przecież się tam nie wybieramy.

– Właśnie.

Vivian postanowiła zmienić temat.

– Nie wiedziałam, że sir Edmund ma tak romantyczne usposobienie – rzekła.

– Trochę mnie to zaskoczyło – przyznał Purcell.

– Miłość wszystko zwycięża.

– A jakieś dobre wiadomości?

– Idę poszukać łazienki – odpowiedziała Vivian i wyszła.

Purcell stał przez chwilę w pustym pokoju, lecz ostatecznie postanowił się wykąpać.

Znalazł drzwi na końcu korytarza i wszedł do pozbawionego sufitu pomieszczenia, w którego głębi znajdował się basen. Z czarnej kamiennej głowy lwa w ścianie wypływał strumień wody.

Vivian, której ubranie leżało na kamiennej ławce, pływała nago na plecach.

Purcell zrzucił ubranie i wślizgnął się do basenu. Woda, chociaż niepodgrzewana, była ciepła.

– Nikt nie uwierzyłby w żydowską wioskę w sercu etiopskiej dżungli – powiedziała Vivian.

– Ani w rzymskie łaźnie czy klasztor koptyjskich zakonników.

– Nie zapominaj o żydowskiej księżniczce.

– Może to sen?

Jeśli z domieszką koszmaru, to tak – pomyślał Purcell.

Vivian milczała, pływając z zamkniętymi oczami.

– Jesteśmy bardzo blisko – odezwała się w końcu.

– Bliżej, niż mogłem przypuszczać.

– Myślisz, że Miriam nam pomoże?

– Rozważa to.

Zapadło milczenie.

– Dziękuję, że nie zrezygnowałeś – odezwała się po chwili Vivian.

Purcell nie odpowiedział.

– Mogłeś wyjechać i nie winiłabym cię za to.

– To jest dobra historia.

Do łazienki wszedł Mercado.

– Och... Przepraszam – powiedział. – Mogę się przyłączyć? Nie mamy wiele czasu.

Vivian się nie odezwała, lecz Purcell odpowiedział:

– Nie musisz pytać. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ 45

Purcell, Vivian i Mercado, odświeżeni po wspólnej kąpieli, dołączyli na patio do księżniczki i pułkownika. Vivian włożyła swoje najlepsze spodnie khaki i zielony t-shirt, natomiast obaj dżentelmeni wystroili się w bluzy również khaki i spodnie w tym samym kolorze.

Zapadał wieczór niosący z sobą miły chłód. Purcell spojrział na wspaniałe purpurowe niebo nad palmami daktyłowymi i pomyślał, że gdyby nie leżące na stole uzi pułkownika Ganna, można byłoby sobie wyobrazić, iż przebywają w zupełnie innym miejscu.

Pułkownik sir Edmund Gann nie przypominał tym razem tubylca, gdyż zjawił się na koktajlu w mundurze khaki; miał jednak na nogach te same sandały co po południu.

Księżniczka Miriam włożyła purpurową wieczorową shamę obszytą grzywą lwa. Ozdoba ta oznaczała przynależność do rodu władców dawnej Etiopii.

Cały zapas alkoholu stanowiło tego wieczoru pół butelki ginu Boodles trzymanego przez Ganna na specjalną okazję, co bardzo spodobało się Henry'emu. Mieli do wyboru czysty gin lub gin z sokiem owocowym.

Pogawędka podczas koktajlu dotyczyła głównie emigracji Felaszów oraz bezpieczeństwa w tym rejonie.

– Getachu i jego armia kontrolują okolice Gondaru i przylegające do nich góry Semien – wyjaśnił Gann. – Tu, na południu, które jest prawie niezamieszkane, działają w dolinach kontrrewolucjoniści oraz resztki sił rojalistów. Cele tych ugrupowań bardzo się różnią: wybór nowego rządu z jednej strony, z drugiej natomiast – powrót do monarchii absolutnej. Próbuje namówić ich do zjednoczenia sił, żeby wspólnie pozbyć się marksistów. Wyjaśniałem już obu stronom, że w Brytanii istnieje monarchia i równocześnie odbywają się wybory do parlamentu. Oni nie rozumieją jednak tej koncepcji.

– Ani ja – przyznał Purcell.

Po wypiciu koktajli udali się do pałacu. W jednym z pomieszczeń stał długi stół, przy którym mogło się zmieścić około dwudziestu osób. Nadawał się do rodzinnych posiłków w dużym gronie; teraz jednak nie było komu przy nim zasiadać, ponieważ wszyscy wyjechali. Rozejrzawszy się, Purcell zauważył posadzkę z czarnego kamienia.

Tekowy stół zastawiono w prosty sposób, chociaż umieszczono na nim prawdziwą srebrną zastawę, której każdy element zdobił lew Judy. Ręcznie malowane heraldyczne lwy widniały także na talerzach. Lwy były motywem przewodnim w całej jadalni.

Wysoko umieszczone żaluzje wpuszczały do wnętrza ostatnie promienie słońca, a na stole migotały płomyki lamp naftowych.

Menu składało się z pieczonej kozy, jakichś warzyw korzennych oraz podplomyków. Na stole rozstawiono także miseczki z daktylami. Sfermentowany sok owocowy wypełnił puchary z brązu, które przypominały puchar księcia Jozuego, oraz naczynie zakupione za zbyt wysoką cenę w Rzymie przez Purcella.

Dwie kobiety w średnim wieku podawały im potrawy i dbały, by w żadnym z pucharów nie zabrakło soku z bąbelkami. Miriam zapowiedziała, że po posiłku napiją się świeżej kawy.

Purcell uznał ją za inteligentną i interesującą damę; zauważył również, że sir Edmund – jeden z dwóch starych capów obecnych w jadalni – jest nią oczarowany.

Rozmowa przy kolacji zaczęła się niezobowiązująco. Miriam odpowiedziała na pytanie Vivian:

– Większość przedstawicieli linii salomonowej to oczywiście chrześcijanie, chociaż są wśród nich również Żydzi, a nawet muzułmanie. Rodowód potomków Salomona i Saby został dobrze udokumentowany, lecz wraz z upływem stuleci te trzy wyznania wpłynęły na losy niektórych rodzin. Żydzi nie są najstarszą grupą religijną w Etiopii; stanowią ją poganie, o ile to, w co wierzą, można nazwać religią.

Purcell, który niedawno dowiedział się, że Oromowie zjadają ludzkie jądra, nie wiedział, jak wpleść ten wątek w rozmowę przy kolacji i czy w ogóle powinien się o to pokusić.

Miał również ochotę zapytać Miriam, dlaczego, mając ponad trzydzieści lat, nie wyszła jeszcze za mąż i nie urodziła dziesięciorga dzieci. Nie chciał jednak zachować się niegrzecznie, zapytał więc:

- Musi pani zatem poślubić kogoś z linii salomonowej?
- Kiedy miałam szesnaście lat, wyszłam za chrześcijańskiego rasy – odpowiedziała Miriam.
- Nie doczekaliśmy się jednak potomstwa, więc mój mąż się ze mną rozwiódł. Większość rasów zginęła lub uciekła, przez co mam kiepskie widoki na małżeństwo. Zadowoliliam się zatem Anglikiem.

Wszyscy się roześmiali, a Gann powiedział:

- Przecież wiesz, że mogło być gorzej.
- Zamierzacie się pobrać? – zapytała wprost Vivian.
- W naszym języku nie istnieje słowo oznaczające rycerza i dlatego wszyscy nazywają go rasem Edmundem, co czyni go zadowolającym kandydatem.

Rozległa się kolejna salwa śmiechu, lecz był to najwyraźniej delikatny temat, więc wścibscy dziennikarze zrezygnowali z następnych pytań.

Miriam poruszyła inną drażliwą kwestię: wspomniała o swoim nieoświeconym kraju.

- To stara cywilizacja na środkowym etapie swojej historii – oświadczyła. – Panują tu średniowieczne anachronizmy. Muzułmanie mają haremy i niewolników, chrześcijanie

wymierzają biblijną sprawiedliwość, mężczyźni zostają eunuchami, a kobiety sprzedaje się jako niewolnice seksualne. Kary znane ze Starego Testamentu stosują także Żydzi. Paganie odprawiają okropne rytuały, w tym również te polegające na kastracji i ukrzyżowaniu. A obecnie marksiści wprowadzili nową religię, czyli ateizm, oraz nowy porządek społeczny i masowo mordują wszystkich mających związek ze starym porządkiem.

Usłyszawszy to, Purcell musiał się jeszcze napić. Gdy we wrześniu przybył do Addis Abeby i zatrzymał się w Hiltonie, nie miał pojęcia o życiu poza stolicą, która nie stanowiła zagrożenia. Ich wyjazd na północny front otworzył mu nieco oczy na to, do czego zmierzał ten kraj. Gann poznał jednak Etiopię w 1941 roku, Mercado zaś jeszcze wcześniej. Mimo to do niej wrócili. Gann dopatrzył się w Etiopii czegoś fascynującego – czegoś, co ciągnęło go do niej w taki sam sposób, w jaki przyciągają niektórych mężczyzn miejsca opisane na mapie „*terra incognita* – tutaj są smoki”. Z kolei *signore* Bocaccio... zapomniał, że istnieją lepsze miejsca do robienia interesów.

Vivian, podobnie jak Purcell, przybyła do Etiopii w ciemno, jako wolny strzelec, lecz odkryła, że stało się tak, ponieważ została wybrana przez Boga; było to lepsze niż bycie wybraną przez Associated Press.

Natomiast on, Frank Purcell, musiał jeszcze raz zastanowić się, dlaczego wciąż tu jest.

W czasie jego rozmyślań tematem rozmowy ponownie stała się ciemna materia.

– Ojciec Mikaela Getachu pracował dla mojego ojca w warsztacie tkackim – powiedziała Miriam. – Mój ojciec dobrze traktował jego rodzinę i płacił za naukę Mikaela w angielskiej szkole misjonarskiej.

– W biografii Getachu napisano, że jego rodzice odmawiali sobie jedzenia, by móc opłacić edukację syna – zauważył Purcell.

– Niczego im nie brakowało – odparła Miriam.

– Getachu zwabił do Gondaru brata Miriam, Dawida – powiedział Gann. – Obiecał, że uwolni ich dwie młode siostrzenice oraz bratanka, jeśli Dawid udowodni swoją tożsamość i przepisze na niego rodzinne aktywa. Getachu wie, że nie może zlekceważyć odwiecznej nienaruszalności Szooan lub, co gorsza, złamać międzynarodowej umowy chroniącej emigrujących Żydów. Przesłał jednak wiadomość, proponując, że w zamian za dobrowolny przyjazd Miriam do Gondaru zwróci wolność Dawidowi, siostrzenicom i bratankowi. Rodzice tych dzieci, siostra i szwagier Sahlego, zostali już rozstrzelani.

Purcell spojrzał na Miriam zdającą się zachowywać stoicki spokój, lecz potrafił sobie wyobrazić targające nią uczucia i ból, który ją przepelniał.

– Celem Getachu było przez cały czas schwytywanie księżniczki – dodał Gann.

– Nie dostanie mnie – oświadczyła bez ogródek Miriam.

Vivian spojrzała na nią, lecz się nie odezwała.

– Powinniście wyostać się stąd jak najszybciej – zasugerował cicho Mercado.

– Wyjadę jako ostatnia – odparła Miriam. – To mój obowiązek.

– Mamy nadzieję, że w przyszłym tygodniu zabierze nas stąd helikopter onz-tu – powiedział Gann.

Purcell wołałby, żeby oni wszyscy znaleźli się na pokładzie tego śmigłowca, lecz zdawał sobie sprawę, że mogłoby to narazić na niebezpieczeństwo nie tylko Felaszów, ale też misję Narodów Zjednoczonych. Wystarczyło już, że tu przebywali.

– Wyruszymy stąd o świcie i wrócimy dopiero wtedy, gdy nikogo tu już nie będzie – oświadczył Purcell. – Podpalcie samolot, żeby upozorować katastrofę. W zbiorniku jest jeszcze mnóstwo paliwa.

Mercado nie był zachwycony tym pomysłem, lecz rozumiał, że nie mają innego wyjścia.

– Zajmę się tym wszystkim rano – zapewnił Gann.

Miriam chciała dowiedzieć się czegoś o Purcellu, Mercado i Vivian. Uraczyli ją garścią informacji. Purcell odniósł jednak wrażenie, że Gann opowiedział jej już o większości wydarzeń i nie pominął faktu, że mieli przyjemność być gośćmi Mikaela.

– Jest bardzo pamiętliwy, okrutny i lubi się mścić – ostrzegła ich Miriam. – Nie możecie znów wpaść w jego ręce. Lecz przecież nie muszę wam tego mówić.

Miriam nie łudziła się, że Getachu traktuje księcia Dawida w należyty sposób. Przeczuwała jednak lub miała nadzieję, że kiedy uda jej się znaleźć poza zasięgiem Getachu i wyjechać do Izraela, generał uwolni jej brata oraz krewnych pod naciskiem Izraela i onz lub na rozkaz swoich zwierzchników wojskowych z Addis Abeby. Purcell pomyślał, że istnieje taka możliwość, lecz był pewien, że Dawid, nawet jeśli dotrze do Izraela, będzie psychicznym wrakiem. Wszak Getachu powiedział, że zastrzelenie człowieka jest łatwe, a złamanie jego ducha zapewnia lepszą zabawę – zwłaszcza gdy chodzi o aroganckiego arystokratę albo irytującą dziennikarkę.

– Napiszcie o tym, co tu widzieliście – poprosiła Miriam. – Wspomnijcie także o moim bracie, siostrzenicach i bratanku. Być może przyczyni się to do ich uwolnienia.

Obiecali jej, że zrobią to po opuszczeniu Etiopii, o ile uda im się ją opuścić.

Miriam podziękowała, a później nakreśliła ponury obraz porewolucyjnej Etiopii, który mogliby wykorzystać w artykule na pierwszą stronę.

– Ten kraj został obrócony w perzynę przez wojnę, szarańczę i suszę zesłane przez Boga – rzekła. – Głód zabił zbyt wielu, by dało się ich policzyć, a losy kolejnych milionów wiszą na włosku. Zaraza się rozprzestrzeniła. Ludzie zamykają się w sobie. Kościoły zostały splądrowane, zakonnicy chronią się w klasztorach. Wszystko to jest karą Bożą za to, na co

pozwoiliśmy bezbożnikom z Addis Abeby. Bóg nas sprawdza, a my musimy mu pokazać, że pozostajemy mu wierni. Tylko wtedy nas uratuje.

Zapadła cisza. Purcell pomyślał, że Gann jest zakłopotany, a zarazem dumny ze swej księżniczki. Pochodzili z odmiennych kultur, lecz oboje byli prawymi i przyzwoitymi ludźmi, a to, co ich dzieliło, nie było najważniejsze. Miłość wszystko zwycięża – tak powiedziała Vivian.

Podano kawę oraz deser z koziego mleka, miodu i migdałów.

– Od chwili gdy zaczęły się kłopoty, handel z Gondarem i innymi miastami znacznie podupadł – stwierdziła Miriam. – Mamy tylko to, co mamy, lecz to i tak więcej niż ludzie w miejscach, gdzie susza i szarańcza spustoszyły kraj. – Zmusiła się do uśmiechu i dodała: – W każdym razie wyruszamy do krainy mlekiem i miodem płynącej.

Miriam zapytała swych gości, czy byli w Izraelu. Purcell i Mercado przytaknęli i nakreślili Miriam pozytywny obraz Izraela zdający się odpowiadać temu, o czym opowiedział już jej angielski rycerz.

Purcell miał okazję poznać paru zdeklasowanych arystokratów czy posiadaczy ziemskich, jak również niejednego upadłego przemysłowca w barach Hongkongu i Singapuru oraz w stolicach zachodniej Europy. Większość z nich oburzała się, twierdząc, że są niewinnymi ofiarami takiej lub innej rewolucji. Prawie każdy mówił o tym, co stracił, a ich wspólną cechą była niemożność uwierzenia w to, że świat zmienił się tak bardzo lub aż tak bardzo oszalał. Owi dystyngowani uchodźcy, urodzeni, aby sprawować rządy lub władać wielką fortuną, nie potrafili zrozumieć ani zaakceptować faktu, że ludzie z nizin społecznych – rozmaici Getachowie – stanowili najświeższą mutację darwinizmu społecznego, a oni, byli władcy i panowie, stali się ptakami dodo w procesie doboru naturalnego i wymierania.

Purcell pomyślał, że księżniczka Miriam jest miłą osobą. Był pewien, że ani ona, ani jej rodzina nigdy nikogo świadomie nie skrzywdzili. Wręcz przeciwnie – posłali Mikaela Getachu i pewnie wiele innych ubogich dzieci do szkoły. Największymi kozłami ofiarnymi w historii świata byli jednak arystokraci i Żydzi, a jeśli się jest jednym i drugim, ma się poważny problem.

Gann zmienił temat i powiedział:

– Od czasów starożytnych w tych górach wydobywano obsydian, który ładowano na barki i transportowano do Egiptu. Był tam wysoko ceniony ze względu na wytrzymałość i piękny połysk po wypolerowaniu. Widzieliśmy przecież w muzeach egipskie rzeźby wykute z czarnego obsydianu. Trudno się go obrabia i rzadko używa jako budulec; wyjątkiem są posadzki, takie jak ta, która może mieć już tysiąc lat.

Purcell nie wiedział, do czego zmierza Gann, lecz pułkownik wyjaśnił:

– Kamieniołomy na tym obszarze są nieczynne od setek lat i w większości zarosły dżunglą lub zostały zapomniane. Udało mi się jednak odnaleźć kilka z nich. Jeśli przyjmiemy, że czarny klasztor zbudowano z obsydianu, który jest ciężki i trudny do transportowania, to sądzę, że powinniśmy rozejrzeć się wokół tych trzech starych kamieniołomów zaznaczonych na mapie.

Prawie wszyscy skinęli głowami. Powstrzymała się od tego tylko Miriam, która najwyraźniej nie chciała brać udziału w jakiegokolwiek rozmowie poświęconej odszukaniu czarnego klasztoru.

Do Purcella dotarło, że – jak powiedziała Vivian – są blisko i mając trochę szczęścia oraz posługując się rozumem, naprawdę będą mogli zobaczyć to, co ojciec Armano widział czterdzieści lat wcześniej: wysokie czarne mury wznoszące się przed nimi w dżungli. Lecz czy klasztor będzie opuszczony? Purcell przypuszczał, że tak, zwłaszcza że żydowska starszyzna poinformowała zakonników o swoim wyjeździe. Bez wątpienia zniknie również Graal. Purcell pomyślał, że nawet wtedy dotarcie do czarnego klasztoru będzie wystarczającą nagrodą dla niego, a może i dla jego towarzyszy. Ich podróż dobiegnie końca, Graal zaś – choć zniknie, jak już wiele razy wcześniej – znajdzie schronienie przed światem, który wyhodował zło.

A jeśli, stojąc pod czarnymi murami, zobaczą jadący w dół trzciny kosz? Wtedy... przeczorny zawsze ubezpieczony.

Kolacja dobiegła końca i wszyscy wstali od stołu. Zapadła długa noc. Wyruszą o świcie w poszukiwaniu sławy, fortuny, zbawienia, dobrej opowieści, Świętego Graala, wewnętrznego spokoju i wszystkiego, co kazało im wejść w głąb Czarnego Łądu.

Jeśli naprawdę zostali wybrani, aby odbyć tę podróż, to tam czekała na nich odpowiedź na pytanie: dlaczego właśnie oni?

CZĘŚĆ IV POSZUKIWANIE

*Nie zaprzestaniemy naszego dociekania
I kres naszych poszukiwań
Będzie powrotem w miejsce wymarszu
I poznaniem tego miejsca po raz pierwszy.*

T.S. Eliot, *Cztery kwartety 4: Little Gidding*, przeł. Michał Sprusiński, w: tegoż, *Poezje*,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978

ROZDZIAŁ 46

Wstali przed świtem i spotkali się na dziedzińcu, na którym czekała już na nich Miriam z kawą, owocami i chlebem.

Zabrali tylko plecaki i sprzęt. Wszystko, co zostawili, miało zostać spalone razem z wawionem, żeby nikt nie natrafił na ślady ich pobytu w wiosce. Vivian i Purcell spędzili noc w tym samym pokoju, lecz nie spali w jednym łóżku. Byli zatem przyjaciółmi.

Purcell spojrział w rozjaśniające się niebo i stwierdził, że czeka ich słoneczny dzień. Nie mówili za wiele, bo właściwie wszystko zostało już powiedziane, a także dlatego, że nie znajdowali słów odpowiednich do chwili, w której wyruszyli w nieznaną.

Purcell, Vivian i Henry podziękowali Miriam za gościnność. Obiecali jej, że spotkają się ponownie w bardziej sprzyjających okolicznościach. Miriam zdawała się z przykrością patrzeć, jak odchodzą, lecz zapewne odczuwała także ulgę. Nie wręczyła im mapy z wyrysowaną drogą do czarnego klasztoru, ale powiedziała:

– Jeśli Bóg chce, abyście znaleźli to miejsce, to tak się stanie. Edmund będzie waszym przewodnikiem po dżungli. Bądźcie, proszę, jego przewodnikami po drogach Boga.

Henry i Vivian obiecali jej to.

Zostawili pułkownika Ganna, żeby mógł pożegnać się ze swą damą, i wyszli tylnymi drzwiami do ogrodu kwiatowego.

Mieli ze sobą tyle żywności, ile tylko zdołali unieść. Zabrali głównie ugotowane jajka, chleb, daktyle oraz suszone mięso. Gann zapewnił ich, że wszystko to jest bardzo pożywne, poza tym zachowa świeżość przez tydzień. Każde z nich niosło dwie manierki: jedną pełną wody, drugą pełną purpurowego soku, który przypadł Purcellowi do gustu. Henry dźwigał jeszcze swojego moëta, a Vivian aparat fotograficzny. Purcell był odpowiedzialny za mapy.

Pułkownik Gann wyszedł do ogrodu. Bez trudu poznali, że pożegnanie z Miriam nie było dla niego łatwe. Purcell nie znał tego uczucia, a jeśli nawet nachodził go smutek po rozstaniu, w końcu zawsze ustępował o wiele silniejszemu poczuciu ulgi.

Spojrzał w świetle brzasku na Vivian. Zobaczył, że mu się przygląda, myśląc pewnie o tym samym: jak się pożegnamy? Mam nadzieję, że jak przyjaciele.

Pułkownik Gann udzielił każdemu z nich pięciominutowej lekcji obsługi uzi, które faktycznie okazało się bronią niesprawiającą kłopotów z ładowaniem ani użyciem. Później Gann poprowadził ich przez sad i pastwisko w stronę gęstego lasu deszczowego otaczającego pola i Szooan.

Dobrze znał drogę i w ciągu kwadransa doprowadził ich do ścieżki, której nie potrafiliby

znaleźć nawet w biały dzień. Weszli w gęstwinę, przenosząc się ze świata oswojonego przez ludzi w świat flory i fauny, który niemal nienaruszony trwał od zarania dziejów.

Ścieżka była wąska, a roślinność wypełzała na nią ze wszystkich stron. Maszerowali w milczeniu, gęsiego, pochylając się niemal bez przerwy. Gann zabrał ze sobą maczetę, lecz nie użył jej, nie chcąc zostawiać po drodze śladów ich przemarszu.

Po dziesięciu minutach zatrzymali się przy wielkim, poskręcany i częściowo obumarłym drzewie. Gann powiedział, że to baobab. Kilka kroków od pnia leżała krótkofalówka zawinięta w folię i przykryta palmowymi liśćmi.

Gann miał nadzieję, że rojalistyczni partyzanci dostarczyli nowe baterie, lecz radiostacja wciąż milczała.

– Dojdziemy tą ścieżką do uzdrowiska – powiedział szeptem pułkownik. – Droga byłoby szybciej, ale moglibyśmy na niej kogoś spotkać: jakiś pojazd, patrol wojskowy albo jadących konno Oromów. Znam niektóre z tych ścieżek; niestety nie tylko ja. Musimy zachowywać się cicho i wsłuchiwać się w dżunglę. Pójdę przodem, a pan Purcell na końcu. Każdy, kto coś usłyszy, będzie musiał szybko i cicho ostrzec pozostałych i pokazać, z której strony słychać odgłosy. Zejdziemy wtedy ze ścieżki i się ukryjemy.

– Jakież pytania?

– Mogę zapalić?

– Nie.

Ruszyli dalej. Ścieżka stawała się coraz bardziej zarośnięta. Szli na północ, maszerując równoległe do drogi, którą przemierzali samochodem we wrześniu. Purcellowi niezbyt się wtedy podobała przyprawiająca o gęsią skórę jazda przez ciemną dżunglę; teraz czuł się tak samo, pokonując ją na piechotę.

Pasek nieba nad wąską ścieżką pojaśniał. Gdzieś na zewnątrz świeciło już słońce.

Vivian maszerowała przed Purcellem. Od czasu do czasu odwracała się i uśmiechała się do niego. Rewanżował jej się tym samym. Trudno się gniewać, gdy każdy krok może być ostatnim i w perspektywie kilku dni ma się dokonać największego religijnego odkrycia od chwili, gdy Mojżesz zszedł z góry Synaj z dziesięcioma przykazaniami wrytymi na tablicach. Okazało się, że tablice z dekalogiem zostały umieszczone w Arce Przymierza ukrytej w Aksum.

Purcell wciąż w to wszystko nie wierzył, lecz ucieszyłby się, gdyby się okazało, że nie miał racji.

Po godzinie Gann zatrzymał się i gestem nakazał wszystkim zejść ze ścieżki. Po jej prawej stronie, w podszyciu pod wysokimi drzewami, wystawał z ziemi obsydianowy głaz. Usiedli na skale, żeby odpocząć. Gann z Purcellem spojrzeli na jedną z map i ustalili swoją przybliżoną

pozycję.

– Będziemy w łaźniach za dwie, trzy godziny – stwierdził Gann.

Powtórnie zerknęli na mapę i uzgodnili, że gdy opuszczą uzdrowisko, ich następnym celem będzie forteca księcia Teodora; żeby do niej dotrzeć, będą musieli pomaszerować na wschód i pokonać pięć do sześciu kilometrów.

– Na mapie nie zaznaczono szlaku prowadzącego z fortecy do uzdrowiska – stwierdził Gann. – Jeśli trafimy na gęste podszycie, być może konieczne okaże się wycięcie ścieżki i wtedy przejście pięciu kilometrów zajmie nam więcej niż dzień.

– Ojciec Armano dotarł pieszo z fortecy do uzdrowiska, a znaleźliśmy go o dziesiątej wieczorem – przypomniała Vivian.

– O której opuścił fortecę? – zapytał Gann.

– Nie wiem... – powiedziała Vivian. – Musimy jednak założyć, że wyruszył tego samego wieczoru. Nie mógł iść zbyt długo z powodu rany.

– Getachu powiedział, że jego artyleria ostrzelała fortecę księcia Teodora – dodał Purcell. – Prawdopodobnie dzięki temu ojciec Armano wy dostał się ze swojej celi.

Gann skinął głową i oświadczył:

– Było to mniej więcej o siódmej piętnaście. Zanotowałem wtedy godzinę i zdziwiłem się, co za idiota strzela, ponieważ nie celował ani w moją stronę, ani w obóz księcia Jozuego.

Zgodzili się zatem, że ojciec Armano odzyskał wolność, prawdopodobnie z powodu trafienia budynku przez pocisk, niedługo po siódmej piętnaście i dotarł do łaźni po trzech godzinach. Oznaczało to, że musiał iść wygodną i prostą ścieżką. Należało ją tylko znaleźć.

Vivian zerknęła na ich kamienne siedzisko i powiedziała:

– Ciekawe, czy to ta sama skała, o której wspomniał ojciec Armano.

– Na tym obszarze nie brakuje podobnych skalnych wychodni, więc ta nie jest niczym wyjątkowym – wyjaśnił Gann. – Uważam, że powinniście zapomnieć o skale, drzewie i strumieniu. Być może miały one jakieś znaczenie dla księdza, lecz dla nas jest ono niejasne.

Vivian zamilkła.

Po chwili wstali i ruszyli w dalszą drogę. Robiło się coraz cieplej i coraz wilgotniej, a gęsta butwiejąca roślinność zaczęła wydzielać niezdrowe wyziewy, co sprawiło, że Purcell przypomniał sobie dżunglę w południowo-wschodniej Azji. Powodem, dla którego bujne lasy tropikalne są tak rzadko zaludnione, jest środowisko: nieprzyjazne człowiekowi, lecz idealne dla insektów, pełzających gadów oraz zwierząt obdarzonych kłami i pazurami. Dżungla jest do dupy, pomyślał Purcell.

Maszerowali dalej.

Gann kroczył lekko. Tak lekko, jakby robił to codziennie przed śniadaniem, pomyślał Purcell. Atutem Vivian była młodość, lecz dźwigała prawie trzydzieści kilogramów ładunku i stawiała kroki z pewnym trudem. Henry także wyglądał na nieco zmęczonego, a jeśli wyczerpanie fizyczne jest kwestią psychiki, to myślał pewnie o ostatniej wyprawie, podczas której zabrakło mu sił w najmniej odpowiednim momencie. Wywołało to lawinę zdarzeń, które niemal doprowadziły do ich śmierci. Teraz Henry chciał się zrehabilitować i zaimponować Vivian, a przynajmniej nie zemdleć na jej oczach, co stanowiło odpowiednią motywację, by utrzymać się na nogach. Gdyby i to nie pomogło, powinien pomyśleć o Oromach czyhających na jego jaja.

Parli do przodu przez dżunglę – wydawcy Purcella woleli ostatnio nazwę „las deszczowy”. Ptaki i owady wytwarzały nieznosny hałas zagłuszający odgłosy informujące o niebezpieczeństwie. Towarzysząc patrolom wojskowym w Wietnamie, Purcell nauczył się jednak, że ptaki milkną, gdy usłyszą nieznaną dźwięk.

Uznał, że mimo drinków i papierosów zachował niezłą formę, a marsz z obciążeniem nie sprawia mu na razie większych trudności niż przechadzka po parku. Pomyślał także, że po tygodniu wędrówki, spania na ziemi i odżywiania się skąpymi racjami mogą pojawić się problemy. Oromowie poruszali się konno, a wiele armii używało mułów jako zwierząt jucznych. Pułkownik Gann nie zgodził się ani na konie, ani na muły. Uczynił to z różnych powodów, głównie ze względu na hałas i konieczność pojenia i karmienia zwierząt. Purcell zazwyczaj z nikim się nie liczył, wykonując swoją pracę, i dlatego był na ogół bezrobotnym wolnym strzelcem. Nie miał jednak nic przeciwko temu, aby liczyć się ze zdaniem pułkownika Ganna, dopóki Gann będzie wiedział, co robi.

Po upływie około dwóch godzin Gann gestem zwołał wszystkich w jedno miejsce i powiedział:

– Uzdrowisko znajduje się pięćdziesiąt metrów przed nami. Pójdę przodem, żeby ocenić sytuację.

Pożyczył lornetkę od Mercado, a potem wręczył Purcellowi uzi oraz trzy magazynki, mówiąc:

– Proszę mnie osłaniać.

Wydobył spod bluzy rewolwer z długą lufą i ruszył ścieżką. Purcell gestem nakazał Vivian i Mercado nie ruszać się z miejsca. Poszedł za Gannem.

Ścieżka kończyła się przy polanie otaczającej łąźnię. Pięćdziesiąt metrów dalej widać było białą ścianę hotelu skąpanego w słońcu. Gann uważnie przyjrzał się otoczeniu budynku, a później ruszył w jego kierunku.

Purcell odbezpieczył uzi i podążył za pułkownikiem przez wysokie trawy. Gann obszedł

narożnik hotelu, idąc w stronę głównego wejścia. Purcell trzymał się dwadzieścia metrów za swym towarzyszem. Pułkownik wszedł po schodach i znikł w budynku. Purcell czekał. Po kilku minutach Gann pojawił się na zewnątrz i zasygnalizował, że droga jest wolna.

Purcell odwrócił się w stronę dżungli. Zobaczył Vivian i Mercado, którzy przedzierali się przez trawę sięgającą im do piersi. Przywołał ich gestem i razem szybko ruszyli w kierunku frontu hotelu.

Zatrzymali się przed schodami, które pokonali kiedyś jeepem, i omietli wzrokiem rozsypującą się ruinę.

– Wróciliśmy – powiedziała Vivian.

Purcell spojrzał na wąską drogę, którą przyjechali tamtej nocy, i zauważył wyrwę wybitą przez jeepa w gęstej ścianie zarośli oddzielających uzdrowisko od drogi. Popatrzył na hotel. Pomyślał, że musiał wtedy zobaczyć jego kopułę lub dostrzec ją nieświadomie i dlatego zjechał z drogi.

Vivian zauważyła, na co patrzył Purcell, i rzekła:

– Przeznaczenie, Frank. Nie próbuj nawet tego zrozumieć.

– Ja również widzę w tym boską rękę – przyznał Mercado.

Trudno zaprzeczyć, pomyślał Purcell, więc tego nie uczynił.

Vivian weszła do połowy schodów, a kiedy Mercado i Purcell ją dogonili, rozejrzała się dookoła i zapytała:

– Możecie w to uwierzyć? – Stała przodem do Purcella. – Wróciliśmy tu, gdzie wszystko się zaczęło.

Purcellowi przyszło do głowy, że zaczęło się właściwie w barze Hiltona, gdy Henry zachęcił go do wyjazdu na linię frontu. Zwykle „nie” byłoby wtedy dobrą odpowiedzią. Lecz Henry mu schlebiał, a Vivian się do niego uśmiechnęła. I być może wypił o jednego drinka za dużo.

Ego, jaja, alkohol i rozbrykany kutas – niezawodne połączenie prowadzące do chwały lub katastrofy.

– Zacniemy tu, gdzie ojciec Armano zakończył swą ziemską drogę – powiedziała Vivian.

– Byliśmy w Berini i w Rzymie, a teraz pójdziemy śladami księdza do jego więzienia. Z jego i boską pomocą podążymy także tą samą drogą do czarnego klasztoru i Świętego Graala.

Vivian ujęła swych towarzyszy za ręce i poszli schodami tam, gdzie ich losy przecięły się z losem ojca Armano.

ROZDZIAŁ 47

Pułkownik Gann stał na środku holu zasypanego gruzem. Wnętrze wyglądało podobnie jak wtedy, gdy widzieli je ostatnio – z tą różnicą, że marmurowa posadzka przy ścianie z freskami, przy której Purcell zaparkował jeepa, a ojciec Armano opowiedział im swoją historię, usłana była kośćmi i czaszkami.

– Robota plutonu egzekucyjnego – stwierdził Gann.

Vivian spojrzała na ludzkie szczątki, zakryła usta ręką i szepnęła:

– O mój Boże...

Purcell zbliżył się do ściany straceń. Resztki wojskowego ekwipunku oraz zbutwiałe shammy potwierdzały, że doszło tu do masowej rzezi żołnierzy księcia Jozuego. Szakale i mrówki objadły kości prawie do czysta, lecz miejscami było na nich widać wysuszone brązowe tkanki, a marmurową podłogę pokrywały plamy zaschniętej krwi.

Freski na ścianie zostały rozbite salwami, które jedna za drugą dosięgały skazańców. Purcell zauważył, że rozbryzgi krwi i prawdopodobnie mózgu poplamiały resztki fresków nawet trzy metry nad posadzką, stając się makabrycznym akcentem obrazu z kąpiącymi się różowymi nimfami.

Mercado, który również przyjrzał się tej scenie, stwierdził:

– To dowód zbrodni wojennej.

Siląc się na jak najmniej cyniczny i bezduszny ton, Purcell odparł:

– Henry, ten kraj tonie we krwi. Czy to, co tu się stało, robi jakąś różnicę?

– To nieludzkie.

– Masz rację.

Obaj widzieli już śmierć na polu walki, lecz były to wydarzenia podczas wojny uznawane za normalne. Natomiast masowe egzekucje zawsze miały w sobie coś szczególnie potwornego.

Purcell zaczął liczyć czaszki, lecz gdy doszedł do pięćdziesiątej, przerwał liczenie.

Gunn zaglądał tymczasem we wszystkie kąty, trzymając broń gotową do strzału.

Vivian oddaliła się i stanęła w tylnej części holu. Rزتaczał się stamtąd widok na dziedziniec i ogrody.

Mercado skierował wzrok na miejsce w kącie, w którym ułożyli księdza i okryli go kocem. Zostało sprofanowane, lecz wcześniej Mercado i Vivian poczuli, że dokonał się swoisty cud.

Mercado odezwał się, mówiąc jakby sam do siebie:

– Krew męczenników użyźnia ziemię Kościoła.

Purcell nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób ludzie tacy jak Henry Mercado – i do pewnego stopnia również Vivian – wytrwali w swej wierze w siłę dobra. Spozrzegł jednak, że istnieje specjalny język pozwalający wyjaśnić współistnienie Boga i ludzkiej deprawacji. Pomyślał, że aby uchronić swą wiarę przed upadkiem, należy użyć właściwych słów, które rozwijały się przez tysiące lat.

Niespodziewanie Vivian weszła do holu, trzymając w rękach aparat fotograficzny. Wzięła głęboki oddech i wykonała kilka zdjęć makabrycznego znaleziska, a później sfotografowała miejsce, w którym leżał i zmarł ksiądz. Zarejestrowała na filmie dwa dowody: świętości i masowego morderstwa.

Mercado stanął obok Vivian, aby wesprzeć ją duchowo i dodać jej otuchy. Purcellowi przyszło do głowy, że Henry i Vivian tworzyli lepiej dobraną parę, niż udałoby się to kiedykolwiek Vivian i jemu. Ta myśl była nieprzyjemna, lecz mogła być prawdziwa. Henry i Vivian byli w pewnym sensie wiecznie złączonymi pokrewnymi duszami, podczas gdy Purcell i Vivian zbliżali się do siebie tylko w nocy. Cóż... Tamtych dwoje łączyło więcej.

Gann zbliżył się i zapytał:

– Chyba żadne z tych kości nie należały do księdza?

– Nie, pochowaliśmy go – odpowiedziała Vivian.

– Zgadza się. Zatem prowadźcie.

Opuścili hol tylnym wyjściem i szybko pomaszerowali brukowanym dziedzińcem. Vivian i Mercado szli w środku, ubezpieczani po bokach przez Purcella i Ganna trzymających broń gotową do strzału.

Gann zauważył po drodze końskie odchody – niewątpliwy dowód obecności Oromów. Zapewnił jednak, że wyglądają tak, jakby leżały na dziedzińcu od kilku tygodni, jeśli nie miesięcy.

Purcell wrócił myślami do chwili, gdy znaleźli się w uzdrowisku po raz pierwszy, nie przejmując się Oromami, partyzantami ani uzbrojonymi zdesperowanymi bandytami, którzy krążyli po okolicy. Bóg rzeczywiście czuwał wtedy nad idiotami.

Gann, człowiek dbający o ich bezpieczeństwo, a zarazem turysta odwiedzający to miejsce po raz pierwszy, zauważył:

– Niewiarygodna inżynieria. Ale wszystko to zostało zmarnowane.

Znaleźli ogród, w którym pochowali ojca Armano. Żołnierze Getachu faktycznie ekshumowali jego ciało, a szakale rozwlekły kości po ogrodzie. W zapadniętej mogile zdążyły się już zadomowić i zbudować kolonię czerwone mrówki.

Gann wydawał się usatysfakcjonowany, widząc Vivian pośród kości. Purcell pomyślał, że za chwilę pułkownik podniesie jedną z nich, wręczy ją Vivian i powie:

– Mamy ją! Ta jest ładna. W drodze!

Lecz Gann stał cierpliwie w nabożnym skupieniu, wpatrując się w mogiłę. Vivian fotografowała grób i rozrzucone kości, a Mercado znowu stał u jej boku.

Nadeszła pora na wybór kości, która miała się stać relikwią przyszłego świętego.

– Za najważniejszą relikwią uznawana jest czaszka – oświadczył Mercado.

Rozejrzeli się, lecz nigdzie jej nie zobaczyli. Zaczęli chodzić po ogrodzie i szukać.

– Szakale często zabierają część zdobyczy do swych legowisk – powiedział Gann.

Rzeczywiście. Purcell zauważył, że kości, które znaleźli, nie wystarczyłyby do ułożenia kompletnego szkieletu. Chętnie zasugerowałby Henry’emu i Vivian skupienie się na największych spośród tych, które ocalały – były wśród nich kość udowa i miednica – lecz nie znał się na regułach postępowania w takich sytuacjach.

Gdy Vivian miała już się zdecydować na kość udową, Mercado zawołał:

– Tu jest!

Schylił się i wyjął spod krzaka czaszkę pozbawioną zuchwy.

Purcell stał najbliżej Henry’ego. Dostrzegł, że czaszka została na szczęście objedzona do czysta przez szakale i czerwone mrówki, a deszcze na spółkę ze słońcem dopełniły dzieła. Biała kość była zabrudzona tylko czerwoną ziemią.

Vivian zawahała się i zdjęła palec ze spustu migawki. Wołała nie fotografować Henry’ego z czaszką w rękach, bo w Watykanie widok ten mógłby zostać uznany za makabryczny. Henry ułożył więc czaszkę na kamiennej ławce, lecz po chwili zastanowienia umieścił ją obok grobu. Vivian zrobiła sześć zdjęć, każde pod innym kątem i z różnej wysokości. Gann zerknął na zegarek.

Purcell pojął, że będą teraz musieli zabrać ze sobą czaszkę, aby na koniec wyprawy dostarczyć ją do Watykanu. Dotarło do niego również, że jeśli nie wróci do Rzymu, nie będzie mógł towarzyszyć Henry’emu i Vivian, gdy będą prezentować relikwię władzom kościelnym, ani później, gdy pojedą ze zdjęciami do Berini.

Vivian wyjęła z plecaka plastikowy worek na pranie, który zabrała z Hiltona. Nadawał się do zabezpieczenia czaszki ojca Armano i przechowywania jej w higieniczny sposób. Podstawiła worek, a Henry jeszcze raz spojrział na czaszkę, jakby się spodziewał, że do niego przemówi. Włożył ją do worka, który trafił do plecaka Vivian.

Musieli jeszcze pochować kości księdza. Purcell i Mercado rozkopali rękami ziemię z grobu i wyeksmitowali z niego czerwone mrówki oraz pozostałych mieszkańców. Pomagali sobie maczetą Ganna, za pomocą której spulchniali podłoże. Wryli się w nie na nieco ponad pół metra – tyle wystarczyło, gdyż w mogile miały spocząć tylko kości, a do tego nie było ich zbyt wiele.

Zebrawi je co do jednej i starannie ułożyli w płytkim grobie. Mężczyźni zasypali go, a Vivian sfotografowała. Purcell pomyślał, że obrazy, które uwieczniła, zyskają na wartości, gdy będą im się przyglądać w domu; tak samo jest ze zdjęciami, które przywozi się z wyczerpującej wycieczki, dajmy na to, na pustynię Mojave.

Nadeszła pora na modlitwę. Henry zaofiarował się, że ją odmówi. Rzekł:

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym. Spoczywaj w pokoju.

Mercado przeżegnał się; Purcell, Vivian i Gann uczynili to samo.

Purcell usiadł na kamiennej ławce, otarł spocone czoło i przypomniał sobie, że konanie ojca Armano skłoniło go do przemyśleń nad własną śmiertelnością. Z jakiegoś powodu widok kości księdza i ich ponowne złożenie do grobu pogłębiły w nim poczucie kruchości własnego życia. Zrozumiał, że sprawiła to różnica między tym, czego świadkiem był w obozie Getachu, a tym, co właśnie zobaczył w holu wciąż powracającej we wspomnieniach ruiny. W południowo-wschodniej Azji przekonał się na własne oczy, jak nic nieznaczące może być życie i jak wszechobecna bywa śmierć. Lecz tu... Tu szukał czegoś w zaświatach, chociaż chciał to znaleźć na tym świecie. „Ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym”.

Vivian położyła rękę na jego ramieniu i zapytała:

– Masz ochotę na kąpiel?

Purcell wstał i się uśmiechnął. Odszukali basen z siarkową wodą, lecz pułkownik Gann – ze względów bezpieczeństwa, a może z powodu dobrego wychowania – zabronił im kąpiele nago i oświadczył:

– Staniemy z panem Purcellem na czatach, a pan Mercado i panna Smith wykąpią się w ubraniach. Zmienimy się po pięciu minutach.

Tak też uczynili. Dobrze było zanurzyć się w ciepłej wodzie, która była chłodniejsza niż gorące i wilgotne powietrze. Purcell spojrział na Vivian siedzącą na kamiennej ławce obok Mercado. Dziewczyna puściła do niego oko.

Gdy Purcell wyszedł z basenu, Gann wręczył mu rewolwer i paczkę amunicji, którą Frank wcisnął do bocznej kieszeni spodni. Pułkownik wziął uzi – broń o wiele bardziej śmiertelnością.

Ruszyli na tyły łązni, gdzie rozciągało się szerokie na sto metrów, zarośnięte pole sąsiadujące ze ścianą dżungli. Gdy się przez nie przedzierali, Vivian powiedziała:

– Właśnie tędy musiał iść ojciec Armano po wyjściu z dżungli.

Odwróciła się, spojrzała na białe budynki i zapytała:

– Ciekawe, co pomyślał, kiedy zobaczył to miejsce. A może wiedział, że ono istnieje?

– Uzdrawisko powstało w czasach, gdy ojciec Armano przebywał już w więzieniu – odparł Gann. – Także droga jeszcze wtedy nie była ulepszona, co widzieliśmy na mapie w Kolegium Etiopskim.

– I do tej pory nie jest – stwierdził Purcell.

– Droga niszczała z czasem. Ale w 1936 albo 1937 roku Włosi poszerzyli ją, wykopali rowy odwadniające i utwardzili żwirem oraz smołą na całej długości, aż do Gondaru. Później zbudowali mineralne kąpielisko dla swojej armii i zarządców z Gondaru. Widziałem to wszystko, gdy w 1941 roku Brytyjskie Siły Ekspedycyjne przemaszerowały tędy, żeby odebrać to miasto Włochom.

– Wiemy zatem, że ojciec Armano nie szukał łązni; być może nie szukał nawet drogi – orzekł Mercado.

– Na pewno nie szukał ośrodka wypoczynkowego – odparł Purcell. – Lecz mógł zapamiętać kiepską etiopską drogę z patroli, na których bywał, lub z marszów ze swoim batalionem. A później mógł pomyśleć, że dotrze tą drogą do Gondaru.

– Gdy ojciec Armano trafił do więzienia, Gondar znajdował się w rękach Etiopczyków – przypomniał Gann. – Informacje o świecie przestały do niego docierać z chwilą, kiedy zamknięto go w celi, i nie zmieniło się to aż do momentu, gdy opuścił ją czterdzieści lat później.

– To prawda – stwierdził Purcell. – Dokąd więc szedł?

– Sam chyba nie wiedział – powiedział Mercado. – On po prostu uciekał. A jeśli znał tę kiepską drogę, mógł postanowić pójść na północ, nad jezioro Tana, gdzie czterdzieści lat wcześniej obozował jego batalion. Albo wybrał drogę na południe, skąd główne siły Włochów parły na północ w kierunku jeziora Tana i Gondaru. Jak już powiedział pułkownik Gann, ojciec Armano opierał się na swojej wiedzy sprzed uwięzienia i działał na podstawie tego, co pamiętał.

Z tą teorią zdawali się zgadzać wszyscy z wyjątkiem Vivian, która powiedziała:

– Szedł, żeby nas spotkać.

Purcell nie zamierzał się z nią sprzeczać, lecz nie mógł się powstrzymać i powiedział:

– W 1936 roku nie było tu jeszcze łązni.

– To nie ma znaczenia – odparła Vivian. – My tu byliśmy.

Dotarli do strzelistej ściany drzew i rozdzielili się, żeby znaleźć początek ścieżki. Wypatrzył go Gann, który zdawał się mieć talent do wyszukiwania wyrw w dżungli.

Stanęli przed czymś, co w pierwszej chwili wyglądało na zwartą ścianę drzew, lecz Gann rozsunał krzewy i wskazał im wąski przesmyk prowadzący w głąb deszczowego lasu.

– To ścieżka wydeptana przez zwierzynę, ale można się nią wygodnie poruszać –

powiedział.

Purcell wydobył mapę oraz zdjęcie przedstawiające zniszczoną fortecę. Zerknął na kompas, odczytał kierunek i poinformował wszystkich, że ścieżka wiedzie niemal dokładnie na wschód, chociaż nie mieli pewności, czy w którymś momencie nie skręca.

Przedarli się przez krzaki, stanęli na wąskiej zarośniętej drodze i weszli w głąb dżungli.

Purcell nie wątpił, że droga doprowadzi ich do fortecy, której położenie określili na podstawie obserwacji z powietrza. Budowla stała więc w miejscu zbiegu ścieżek prowadzących z różnych stron. Ojciec Armano wybrał tylko jedną z nich i Purcell pomyślał, że już wie, dlaczego.

ROZDZIAŁ 48

Ścieżką wydeptaną przez zwierzęta już od dawna nie przeszedł żaden człowiek. No, może z wyjątkiem ojca Armano, który przemierzył ją kilka miesięcy wcześniej. W pewnej chwili wydało im się, że zgubili drogę. Gann wciąż nie chciał używać maczety – zdarzały się zatem chwile, kiedy musieli przedzierać się na czworakach wąskimi tunelami wyżłobionymi przez zwierzęta w tropikalnej roślinności.

Dystans pięciu lub sześciu kilometrów – który ocenili na podstawie mapy – powinni byli przebyć w mniej więcej dwie godziny, lecz zmuszeni do przedzierania i czołgania się wśród gąszczy poruszali się znacznie wolniej. Pokonanie tego odcinka zajęło im niecałe trzy godziny.

Wypili prawie całą wodę i musieli przerzucić się na sok owocowy. Byli spoceni, zatem zaczęły im dokuczać owady. Gann zapewnił ich wprawdzie, że niemal wszystkie lwy w okolicy wyginęły, lecz w dżungli słuchać było ryki jakiegoś dużego zwierzęcia, które zmuszały ich do zatrzymywania się i nasłuchiwania. Nie brakowało również węży. Purcell zauważył kilka na drzewach, lecz na razie ani jednego na ziemi.

Zatrzymali się na odpoczynek. Mercado zaczął się głośno zastanawiać, czy ścieżka nie skrzyła i czy nie minęła fortecy.

– Mój kompas pokazuje, że idziemy cały czas mniej więcej na wschód – zapewnił go Purcell.

Gann poparł go, mówiąc:

– Odległości w terenie zawsze wydają się większe niż na mapie.

Purcell spojrział na Vivian, której skóra była niepokojąco zaczerwieniona, i zapytał:

– Wszystko w porządku?

W odpowiedzi skinęła tylko głową.

Przyjrzał się Mercado, który także poczerwieniał. Purcell wiedział, że dżungla wysysa życie z człowieka. Według gościa z sił specjalnych, z którym Purcell przeprowadził kiedyś wywiad w Wietnamie, dżungla nie jest jednak tak zabójcza, jak mroźne pustkowia. Można w niej znaleźć wodę i pożywienie, a klimat, chociaż nieprzyjemny, nie zabija, jeśli się wie, jak postępować. Węże i inne zwierzęta bywają groźne, ale je także można pokonać. Facet z sił specjalnych powiedział, że zabić w dżungli może tylko choroba. Każdy, kogo dopadnie malaria albo denga, jest pechowym skurwysynem. Koniec historii.

Gann wstał i powiedział:

– Ruszamy.

Ścieżka zaczęła się lekko poszerzać. Mieli więcej przestrzeni nad głowami i mogli się wreszcie wyprostować. Po piętnastu minutach marszu Gann zatrzymał się, podniósł rękę, a potem wskazał drogę przed sobą. Przypadł do ziemi i podczołgał się kilka metrów do przodu. Przyłożył do oczu lornetkę Henry’ego, żeby zbadać otoczenie.

Po chwili wstał i ruchem ręki zakomenderował, żeby szli za nim. Na końcu ścieżki było dość miejsca, by wszyscy mogli uklęknąć ramię w ramię. Spojrzeli przed siebie i zobaczyli fortecę księcia Teodora: skąpaną w słońcu i podziurawioną ruinę z kamieni i betonu.

Gann spojrzął przez lornetkę i oświadczył:

– Nie widzę żadnego ruchu.

Wręczył lornetkę Mercado, który potwierdził jego spostrzeżenie i przekazał szkła Vivian.

– Wszystko tu jest jakby wymarłe – powiedziała.

Purcell przejął lornetkę i skupił się na roztrzaskanym murze, który pozwalał zajrzeć do środka. Gdyby ktoś tam był, nie mieliby możliwości zbliżenia się.

Gann oświadczył, że pójdzie pierwszy, osłaniany przez Purcella, lecz Frank stwierdził:

– Teraz moja kolej.

Vivian chwyciła go za ramię, ale się nie odezwała.

Wstał i ruszył. Od murów fortecy dzieliło go pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni.

Dostrzegł drewniane wieżyczki wartownicze rozstawione wzdłuż murów. Przyjrzał im się i był pewien, że Gann również obserwuje je przez lornetkę. Zbliżając się do budowli i wpatrując w wyrwę w murze, był coraz bardziej przekonany, że w środku nie ma żywego ducha.

Zatrzymał się przed stertą gruzu, wyjął rewolwer i wdrapał się na jej szczyt. Zobaczył stojące wewnątrz fortecy mniej lub bardziej zrujnowane budynki pokryte falistą stalową blachą. Cały ten kompleks zajmował najwyżej dwa akry. Nie było to dużo jak na fortecę, lecz tu, w dżungli, wyglądało imponująco.

Purcell ucieszył się, że forteca jest opustoszała, i ruchem ręki przywołał swoich towarzyszy.

Gann, Mercado i Vivian ruszyli szybkim krokiem przez otwartą przestrzeń, a Purcell zszedł ze sterty gruzu.

– Nikogo nie ma w domu – powiedział. – Za rogiem jest otwarta brama.

Poszedł przodem. Obeszli narożnik fortecy, za którym zobaczyli otwarte stalowe odrzwia w długim kamiennym murze.

Ostrożnie weszli do środka i ujrzeli plac apelowy, porośnięty już wysoką trawą. Idąc w stronę budynków, dostrzegli wybielałe kości i czaszki poniewierające się w brązowej trawie. Pylista ziemia wciąż była przesycona zapachem śmierci, choć po kilku miesiącach nie był on

już dokuczliwy.

Gann rozejrzał się i powiedział:

– Tyle potrafi zdziałać półgodzinny ostrzał artyleryjski.

Popatrzył na zawaloną część muru, na którego gruzach stał wcześniej Purcell, i stwierdził:

– Oromowie wdarli się prawdopodobnie przez ten wylom. Cóż za paskudna kombinacja: artyleria Getachu i prymitywne, żądne krwi dzikusy czekające tylko, żeby wtargnąć do środka.

Purcell wyobraził sobie deszcz artyleryjskich pocisków spadający o zmierzchu na niewielką fortecę i rozbijający wszystko w pył. Przed oczami stanął mu obraz żołnierzy księcia Teodora rozrywanych na strzępy lub przeszywanych odłamkami. Gdy zakończył się ostrzał, zapadło zapewne kilka minut śmiertelnej ciszy, a potem wrzeszczący Oromowie dostali się do twierdzy.

Gann również musiał się nad tym zastanawiać, bo powiedział:

– Oromowie, którzy weszli do fortecy jako pierwsi, otworzyli tę bramę, żeby wpuścić konnych. Okrzyk bojowy Oromów to coś, czego nikt nie chciałby usłyszeć po raz drugi. Zresztą ktoś, kto go raz usłyszy, i tak nie będzie miał drugiej okazji.

Purcell zauważył, że Mercado zerknął przez ramię na otwartą bramę, jakby się spodziewał wpadającej przez nią hordy Oromów, i zbladł. Musiał sobie przypomnieć górę Aradam.

Frank spojrział na ziemię zasłaną kośćmi. Pomyślał, że dla żołnierzy, którzy przeżyli ostrzał, widok Oromów z mieczami w rękach wlewających się przez bramę musiał być przerażający. Ujrzeni jeźdźców Apokalipsy.

– Nie widzę końskich kości, więc trudno mówić o obronie – stwierdził Gann. – Nawet jeśli rozwałą ci mury i wyłamią bramy, musisz utrzymać dyscyplinę i dać mocny odpór. To lepsze niż być zarżniętym jak owce w zagrodzie.

Purcell nie podejrzewał, żeby ta informacja kiedykolwiek miała mu się przydać, ale ucieszył się, że Gann wciąż ma jaja, jak na prawdziwego wojskowego przystało.

– Ciekawe, w jaki sposób ojciec Armano przeżył tę rzeź? – zapytał i natychmiast dodał: – Vivian, tylko nie mów, że...

– I tak odpowiem. Bóg go oszczędził.

Purcell zaczął się lekko irytować obecnością boskiego pierwiastka w jej każdej wypowiedzi i zauważył:

– Bóg nie oszczędził jednak koptyjskich żołnierzy księcia Teodora. Może jest katolikiem?

Chyba rozdrażnił tym Vivian, ponieważ się nie odezwała.

– Ocalenie ojca Armano ma w sobie coś z cudu – powiedział Mercado.

– Mogło mieć coś wspólnego z jego więzienną celą – odparł Purcell. – Oromowie na pewno by go nie oszczędzili. Rozejrzyjmy się.

Obeszli niewielką fortecę, w obrębie której znajdowało się około dwudziestu budynków, głównie baraków i magazynów. Wielka cysterna na wodę rozerwana wybuchami była pusta. Pocisk artyleryjski trafił także w bunkier amunicyjny, a wtórne eksplozje zrównały wszystko dookoła z ziemią. Budynek dowództwa wyróżniał się wyblakłym żółtym lwem Judy nad otwartymi drzwiami. Zajrzeli do środka. Wszystko, co było we wnętrzu, spłonęło, i cienka warstwa popiołu pokrywała podłogę oraz szkielety co najmniej tuzina mężczyzn.

Gann wskazał ich poszczerbione kości łonowe i powiedział:

– Oromowie robią to scimitarami, a okaleczani nieszczęśnicy czasami jeszcze żyją.

– Wielkie dzięki – odparł Purcell.

Chodząc wśród ruin, odkryli prawie nienaruszony budynek mierzący jakieś trzy na trzy metry. Jedyny, którego zamknięte drzwi ocalały. Były stalowe i zaopatrzone w zasuwę, lecz nie miały klamki, za to u dołu widać było stalowe drzwiczki z odsuniętym rygłem.

– Wygląda mi to na małe więzienie – powiedział Purcell.

Przeszedł nad kilkoma rozczłonkowanymi szkieletami leżącymi przed wejściem i popchnął drzwi, lecz nie ustąpiły. Gann dołączył do Purcella, ale ich wysiłek zdał się na nic. Zawiasy prawdopodobnie całkiem zardzewiały.

Vivian zaproponowała, by skorzystać z drzwiczek u dołu, zatem Purcell ukląkł i zaczął je ciągnąć, aż otwały się ze zgrzytem.

Vivian również ukląkla i oświadczyła:

– Wejść tam.

Nikt nie zaprotestował. Zrzuciła plecak, lecz zatrzymała przy sobie aparat fotograficzny, i wślizgnęła się do środka. Gdy jej nogi znikły, drzwiczki opadły.

Czekali, aż Vivian się odezwie, lecz panowała cisza.

Purcell załomotał w końcu do drzwi i zawołał:

– Vivian!

– Tak... Wejdźcie tu.

Purcell wszedł pierwszy, a po nim przez otwór precyzyjnie się Mercado i Gann.

Stanęli na środku brudnej podłogi i rozejrzeli się po małej więziennej celi o kamiennych ścianach. Podłoga pokryta była gruzem, a pamiątkę po zerwanym dachu stanowił pojedynczy zwisający płat falistej blachy. Wysoko w murze znajdował się otwór, pod którym zobaczyli krzyż wyłobiony w kamieniu.

– Czterdzieści lat... Mój Boże – szepnęła Vivian.

Wyciągnęła rękę i dotknęła krzyża.

– Cóż za nieprawdopodobna wiara – dodała.

Purcell i Mercado spojrzeli na siebie.

– Ten człowiek rzeczywiście był świętym i męczennikiem – powiedział Mercado.

Purcell chciał nadmienić, iż ksiądz został uwięziony przez innych chrześcijan, ale wyczerpałby tym samym swoje wszystkie argumenty teologiczne.

Vivian wykonała kilkanaście zdjęć celi i zaproponowała chwilę cichej modlitwy.

I tak głównie milczeli. Purcell nie miał nic przeciwko modlitwie, o ile nie musieliby do niej uklęknąć. Okazało się jednak, że wszyscy odmówili ją, stojąc.

– Amen – powiedziała na koniec Vivian.

– To, jak sądzę, wyjaśnia, dlaczego ojcu Armano udało się uciec Oromom – rzekł Purcell.

Jeszcze raz rozejrzeli się po ciasnej celi, nie chcąc przeoczyć żadnego szczegółu, na przykład wiadomości wydrapanej na ścianie lub, na co liczył Purcell, mapy albo instrukcji wskazującej drogę do czarnego klasztoru. Purcell przypomniał swoim towarzyszom, że pięć miesięcy wcześniej żołnierze Getachu odwiedzili fortecę, i powiedział:

– Splądrowali to miejsce. Wynośmy się już stąd.

Gann przyznał mu rację. Odparł:

– Lepiej, żeby nas w niej nie było, gdy ktoś się tu zjawi.

Wyczołgał się pierwszy, trzymając uzi, a po nim opuścili celę Mercado, Vivian i Purcell.

– Możemy zrobić krótką przerwę na lunch, a potem ruszymy do następnego punktu – rzekł Gann.

Znaleźli zacienione miejsce pod ścianą i usiedli na ziemi. Podzielili się chlebem i daktylami, ale nikt nie miał ochoty na suszone mięso – być może z powodu zapachu śmierci, którym tchnęły otaczające ich ze wszystkich stron kości.

– Musimy znaleźć strumień – oświadczył Gann. – Nie powinno to być trudne, chociaż różnie bywa. Nie pijcie wody ze stawów; można się w nich tylko myć.

– Widziałem przy ścieżce jakieś jagody i owoce – powiedział Mercado.

– Tak, niektóre są jadalne. Inne mogą zabić.

– Czy wie pan, jak je odróżnić? – zapytała Vivian.

– Nie bardzo – przyznał Gann. – Nigdy nie byłem w tym dobry.

– Henry może ich próbować jako pierwszy – zasugerował Purcell.

– Ale po tobie, Frank – odciął mu się Mercado.

Gann poprosił Purcella o mapę. Przyjrzał się jej i powiedział:

– Widzę tu sześć ponumerowanych miejsc. Czy kolejność świadczy o ich ważności?

– W pewnym sensie, choć nie do końca – odpowiedział Purcell.

– W porządku. A zatem... Zachowamy porządek geograficzny – oświadczył Gann

i ponownie spojrzła na mapę. – Niestety, nie widzę tu żadnych szlaków, ale wszystkie te miejsca leżą w odległości do pięćdziesięciu kilometrów od tej fortecy. Musimy najpierw znaleźć początki różnych ścieżek, a później zdecydujemy, którą wyruszyć. – Gann podniósł wzrok znad mapy. – Nie jest jednak pewne, że do każdego z tych punktów można dotrzeć ścieżką lub po otwartym terenie. Jeśli więc będziemy musieli przebijać się przez krzewy i pnącza, to obawiam się, że może nam to zająć... co najmniej miesiąc.

– Chyba że uda nam się już podczas pierwszej próby – zauważył Mercado.

– Tak, oczywiście. Ale rozumie pan, stary druhu, że w żadnym z tych miejsc może nie być tego, czego szukamy.

– Uważam, że faktycznie tak jest – rzekł Purcell.

Nikt mu nie odpowiedział, Purcell zaś zaczął mówić dalej:

– Jak już pan powiedział, pułkownikowi, może się tu zbiegać wiele ścieżek. Dlaczego więc ojciec Armano nie wybrał którejs z pozostałych? Dlaczego poszedł trudnym szlakiem wydeptanym przez zwierzęta? Czy był to czysty przypadek? Nie sądzę. W jaki sposób w ogóle udałoby mu się znaleźć tę wąską ścieżkę, gdyby nie przybył nią do fortecy?

Tym razem również nie usłyszał odpowiedzi.

– Wracał do czarnego klasztoru, do Graala – stwierdziła Vivian.

– Dokąd jeszcze mógłby chcieć pójść?

– Na Boga, to jest to – powiedział Gann.

– To było oczywiste – zgodził się Mercado.

– Nasze rozpoznanie opierało się na wielu spekulacjach i założeniach – oświadczył Purcell.

– Wszystkie były błędne. Tereny, które oglądaliśmy z powietrza, leżą na wschód od drogi. Lecz przecież ojciec Armano wracał do czarnego klasztoru, a zatem klasztor musi się znajdować na zachód od drogi i na zachód od uzdrowiska.

Zaczęli się nad tym zastanawiać, a po chwili Mercado powiedział na głos to, co wszyscy wiedzieli:

– Nie mamy zdjęć... Nie wiemy, co jest na zachód od drogi.

– To prawda – przyznał Purcell. – Ale mamy mapę, która przedstawia część tego obszaru, oraz dwa punkty odniesienia: tę fortecę i łaźnie.

– Dwa punkty wyznaczają prostą – rzekł Mercado. – Ale nie jest powiedziane, że wskaże nam ona trzeci.

– Masz rację. Musimy jednak wrócić do uzdrowiska, przeciąć drogę i pójść na zachód.

Henry pomyślał chwilę i zapytał:

– Sugerujesz więc, że musimy zarzucić wszystko, co zrobiliśmy do tej pory, i wkroczyć na nowy, nieznaną teren?

– Tylko wtedy, gdy wszyscy będziemy przekonani, że ojciec Armano szedł do czarnego klasztoru.

Przemyśleli to, co powiedział Purcell, i Gann rzekł:

– Pan również musi być przekonany, że ksiądz zapamiętał drogę, którą przybył tu z klasztoru.

– Sądzę, że wryła mu się ona w pamięć – odparł Purcell. – A gdy wydostał się z celi i wyszedł otwartą bramą, dokładnie wiedział, dokąd ma pójść.

– Słyszałem już podobne historie – przyznał Gann.

– Chyba wszyscy wierzymy, że ojciec Armano szedł do czarnego klasztoru i wiedział, jak do niego trafić – powiedziała Vivian.

Towarzysze jej przytaknęli.

Spakowali się i wstali.

– Kiedy do tego doszedłeś? – zapytała Purcella Vivian.

– W połowie drogi do fortecy.

– Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś?

– Musieliśmy tu przyjść, żebyś mogła zrobić zdjęcia.

Vivian skinęła głową.

Opuścili ruiny fortecy księcia Teodora, wychodząc tą samą bramą, którą ojciec Armano wszedł czterdzieści lat wcześniej. Ruszyli przez otwarty teren w kierunku zwierzęcej ścieżki, a wtedy zauważyli, że u jej wylotu rośnie charakterystyczny strzelisty cedr.

Vivian zrównała się z Purcellem i powiedziała z uśmiechem:

– Bóg cię natchnął, Frank. Nie zaprzeczaj.

Purcell odwzajemnił uśmiech.

– Wolę myśleć o sobie jako o mistrzu dedukcji – odparł. – Ale mogę się mylić, i co do tego, i co do ojca Armano.

– Nie mylisz się – powiedziała Vivian. – Przygotuj się na cud.

Byli już świadkami kilku cudów, głównie podczas lotów navionem.

– Jestem otwarty na cuda – oświadczył Purcell.

– Skoro tak, to otwórz swoje serce również na miłość.

Purcell nie odpowiedział.

– Możemy tu zginąć w mgnieniu oka. Musisz mi więc powiedzieć, że mi wybaczasz i że mnie kochasz, zanim będzie za późno.

Purcell milczał kilka sekund, zastanawiając się na tym, lecz w końcu powiedział:

– Kocham cię.

– Wybacz mi.

– Zdradziłem cię, zanim przyjechałaś do Rzymu.

– Wybaczam ci.

Purcell ujął Vivian za rękę.

– Wszystko zostało wybaczone – powiedział.

ROZDZIAŁ 49

Dotarli do uzdrowiska późnym popołudniem. Jeszcze przez kilka godzin miało być jasno, lecz Gann postanowił, że zostaną w tym miejscu na noc.

– Nie chcę, żeby któreś z nas przeforsowało się już pierwszego dnia – oświadczył.

Zdaniem Purcella pułkownik martwił się przede wszystkim o Henry’ego, być może także o Vivian. Był dobrym przywódcą.

– Nie mamy pojęcia, co będzie po drugiej stronie drogi – zauważył Purcell. – Powinniśmy się więc zatrzymać i zastanowić się nad tym.

– Zdecydowanie ma pan rację.

– Powiedział pan, że zatrzymują się tu Oromowie – przypomniała Gannowi Vivian.

– Tak, ale większość z nich przeniosła się na wschód, a odchody ich koni wyglądają na stare. Poza tym mnóstwo tu zakamarków, więc wybierzemy jakiś ciemny kąt i będziemy się cicho zachowywać w nocy. Mam zresztą uzi, a pan Purcell ma mój służbowy rewolwer.

Trafili do łaźni, w której wciąż płynęła świeża źródłana woda wypływająca ustami czarnych kamiennych twarzy umieszczonych na marmurowych ścianach. Podobizny przypominały te, które widzieli w domu Miriam; nie były to jednak lwy, ale rzymscy bogowie i boginie. Jeden z bogów był podejrzanie podobny do Benito Mussoliniego.

Gann ponownie zaczął podziwiać inżynierską sztukę Włochów.

– Przypomina mi to trochę rzymskie łaźnie w Bath – powiedział. – Woda płynie tam nieprzerwanie od dwóch tysięcy lat.

I była to ostatnia porządna instalacja wodna założona w Anglii, pomyślał Purcell.

Mając nadzieję, że woda im nie zaszkodzi, napili się z ust bogów i bogiń i napełnili manierki. Źródłana woda była zimna, lecz wykąпали się po cichu, a także uprali ubrania.

Pierwszy dzień jest całkiem obiecujący, pomyślał Purcell. Rano znajdziemy się po drugiej stronie drogi i wyruszymy ku *terra incognita*.

Wybrali się na rekonesans i trafili do przylegającego do głównego holu skrzydła, w którym znajdowały się pokoje dla gości.

– Włoscy żołnierze, zarządcy i biznesmeni przyjeżdżali tu z Gondaru po długim tygodniu wyszukiwania Etiopczyków – wyjaśnił Gann. – Te budynki zostały zbudowane głównie przez robotników przymusowych, czyli etiopskich żołnierzy, i zapełnione młodymi etiopskimi kobietami.

– Zupełnie jak w imperium rzymskim – powiedział Purcell.

– Rzeczywiście. Włosi mają to we krwi.

Purcell powstrzymał się od komentarzy dotyczących imperium brytyjskiego, Gann zaś dodał:

- Wprowadziliśmy przynajmniej porządek, szkoły i praworządność.
- Dzięki Bogu nie wprowadziliście swoich instalacji wodnych.

Gann tylko się uśmiechnął.

Wybrali stosunkowo czysty pokój o białych ścianach. Wszystkie meble już dawno rozkradziono; w kącie stało tylko mocno zdezelowane krzesło.

W uzdrowisku była kiedyś elektryczność, niewątpliwie z generatora, ponieważ Purcell dostrzegł gniazdka w ścianach oraz wentylator sufitowy, który nie poruszył się od czterdziestu lat.

Pokój miał duże okno zakończone łukiem wychodzące na wschód i wpuszczające do wnętrza pierwsze światło dnia. Nigdy nie zostało oszklone; zaopatrzone je tylko w przymocowane do kamiennego łuku żaluzje, które z czasem obwisły. Z okna roztaczał się widok na ogród, który zamienił się w miniaturową dżunglę. Gann stwierdził, że to dobre miejsce, żeby się ukryć, jeśli ktoś wejdzie do hotelu frontowymi drzwiami, i odwrotnie: na widok intruza za oknem wymkną się głównym wejściem, a potem poszukają bezpiecznej kryjówki na terenie rozległego hotelowego kompleksu.

Usiedli na podłodze wyłożonej czerwonymi płytkami. Purcell wyjął mapy i zwrócił się do Ganna:

– W drodze do Gondaru przelatywaliśmy nad obszarem położonym na zachód od drogi, ale jak już panu wiadomo, nie przeprowadziliśmy jego rozpoznania z powietrza. Lecz o ile pamiętam, jest on porośnięty gęstą dżunglą podobną do tej po stronie wschodniej. Mapa wydaje się to potwierdzać.

Gann spojrzał na arkusz i rzekł:

– Tak, cały obszar na południe od jeziora Tana to jedna wielka gęsta dżungla.

– Czy zapamiętał pan jakieś szczegóły dotyczące tego terenu, będąc tu w 1941? – zapytał Mercado.

– Obawiam się, że nie – odpowiedział Gann. – Uderzaliśmy z drogi i unikaliśmy dżungli. Włosi również woleli trzymać się dróg i miast. Gdy zdobyliśmy Gondar, wycofali się na wzgórza i w góry na północy, lecz nie do dżungli. Panie Mercado, czy będąc tu, doświadczył pan przyjemności walki w dżungli?

– Byłem korespondentem wojennym – odpowiedział Henry. – Walczyłem głównie w barach i burdelach.

Vivian wybuchła śmiechem, Gann się uśmiechnął, a Purcell zaczął się bać, że Henry i Edmund zaczną wspominać Gondar z 1941 roku i będą próbowali ustalić, czy znali tych

samych barmanów i te same prostytutki. Postanowił zatem zmienić temat i powiedział:

– Pamiętam, że podczas przelotów widzieliśmy na zachód stąd coś, co wyglądało jak wąskie pasma wzgórz wystających z dżungli.

Gann skinął głową i odparł:

– Znajdują się tam dwa z trzech kamieniołomów obsydianu, o których mówili mi ludzie z Szooan. Stamtąd pochodzą niewielkie kawałki tego kamienia, w którym rzeźbią i którym ozdabiają swoje domy.

– Czy potrafiłby pan znaleźć te kamieniołomy? – zapytała Vivian.

– Wiem mniej więcej, gdzie ich szukać.

– I sądzi pan, że czarny klasztor może znajdować się w pobliżu? – zapytał Mercado.

– To niewykluczone – rzekł Gann. – Zresztą i tak mamy niewielki wybór.

Purcell spojrział na pułkownika i zapytał:

– Czy to możliwe, że Miriam powiedziała panu coś, co dało panu do myślenia...

Gann rozważył niedokończone pytanie i odpowiedział:

– Mieszkańcy wioski, którzy udawali się na spotkanie z zakonnikami, zawsze wracali z workami rzeźbionych przedmiotów z obsydianu; sprzedawali je później w Gondarze. Krzyże, święci, kielichy... Od czasu do czasu gwiazda Dawida albo miniaturowa katedra Świętego Jerzego w Addis Abebie.

– Vivian omal nie kupiła takiej miniaturowej w Rzymie – powiedział Purcell.

Gann uśmiechnął się i zwrócił do Vivian:

– Powinna była pani kupić taką, która miałaby na spodzie wrytą mapę.

– Szkoda, że nie wiedziałam.

– Sądzi pan więc, że to zakonnicy rzeźbili te przedmioty i dawali je mieszkańcom Szooan w zamian za zaopatrzenie?

– Na to wygląda – odpowiedział Gann. – Co innego mają do roboty zakonnicy przez cały dzień?

Jest jeszcze modlitwa i picie, pomyślał Purcell.

– Wydaje się, że nasza wyprawa zaczęła mieć coś wspólnego z rycerzami króla Artura, którzy szukali Zamku Graala, nie dysponując mapą ani żadnymi informacjami.

– W końcu go znaleźli – stwierdził Gann.

– W Anglii nie ma dżungli – odparł Purcell.

Vivian spojrzała na niego i powiedziała:

– Jeśli naszym przeznaczeniem jest znalezienie Świętego Graala, to go znajdziemy.

– Jak długo, pańskim zdaniem, zakonnicy utrzymają się w czarnym klasztorze, skoro Szooan nie dostarcza im już sandałów ani świec? – zapytał Ganna Purcell.

– Dobre pytanie. Myślę, że są w dużej mierze samowystarczalni, jeśli chodzi o żywność, chociaż mieszkańcy wioski zawsze zaopatrywali ich w to, czego im brakowało. Myślę oczywiście o winie, ale także o zbożu na chleb, bo trudno byłoby je uprawiać w klasztorze lub sąsiadującej z nim dżungli. Zakonnicy zaczną zatem wkrótce potrzebować swojego chleba powszedniego.

– Jeden bochenek i jedna ryba chyba nie załatwią sprawy – rzekł Purcell.

Gann się uśmiechnął.

– Jak pan myśli: skąd przybyli ci zakonnicy? – zapytał go Mercado. – Przypuszczam, że nie dochowują się tu potomstwa.

– To oczywiste – odparł Gann. – O ile wiem, są tam tylko mężczyźni. Sądzę, że pochodzą z klasztorów w całej Etiopii. Wiedzą, że udając się do czarnego klasztoru, już nigdy nie będą mogli go opuścić. Zupełnie tak samo jak Atang strzegący Arki Przymierza w Aksum. To dożywotnia powinność.

– Zaobserwowałem w Etiopii dwie rzeczy – powiedział Purcell. – Po pierwsze, że kraj ten wygląda tak, jakby czas się w nim zatrzymał. Po drugie, że wraz z odejściem cesarza Etiopia wystartowała do lotu w dwudziesty wiek i nie jest gotowa na lądowanie.

– Być może.

– Co pana tu przyciągnęło? – zapytał Purcell. – Oczywiście z wyjątkiem księżniczki.

Gann uśmiechnął się i odpowiedział:

– Ten kraj wchodzi w krew.

Purcell spojrział na Mercado, który powiedział:

– To najbardziej błogosławiony, a zarazem najbardziej przeklęty kraj, jaki znam. Wciąż słychać tu echa biblijnej przeszłości dopełnionej apokaliptycznym poczuciem zbliżającej się zagłady. Nienawidzę Etiopii, ale i tak bym tu wrócił.

– Przyślij mi widokówkę – odparł Purcell i postanowił wrócić do poprzedniego tematu. – Myślę, że zakonnicy z czarnego klasztoru mają coraz mniej czasu. Nie potrafią, niestety, rozmnażać chleba i ryb, a historia w postaci generała Getachu zaczyna deptać im po piętach. Nie zdziwiłbym się, gdyby już ich nie było w klasztorze, a jeśli jeszcze są, to wkrótce go opuszczą.

Wszyscy się z tym zgodzili, Mercado zaś oświadczył:

– Zadowoliliby mnie samo znalezienie klasztoru.

– A mnie nie – odparła Vivian.

Jedząc chleb i daktyle, wpatrywali się w mapę w słabnącym świetle.

– Czy wiecie, jak długo żołnierze księcia Teodora prowadzili księdza z czarnego klasztoru do fortecy? – zapytał Gann.

– Jak już mówiłem, ksiądz o tym nie wspomniał, więc zakładam, że były to najwyżej dwa dni marszu – odpowiedział Mercado.

– W porządku. Ale wiemy już, że piesza wędrówka stąd do fortecy trwa najwyżej cztery godziny. Dlatego możemy przyjąć, że klasztor znajduje się o dzień marszu stąd lub bliżej. Dystans przebyty przez żołnierzy w znanym dla nich otwartym terenie lub dobrą drogą to jakieś... Powiedzmy, że dziesięć godzin szybkiego marszu z prędkością czterech kilometrów na godzinę daje nam odcinek o długości czterdziestu kilometrów.

– Żołnierze nie byli w klasztorze – zauważyła Vivian. – To zakonnicy przyprowadzili im ojca Armano.

– Rzeczywiście. A nie wiemy, w jakiej odległości od klasztoru się spotkali. Załóżmy więc, że całkowita odległość między klaszturem a fortecą wynosi pięćdziesiąt kilometrów.

Gann nakreślił na mapie półokrąg, którego środek wyznaczyło uzdrowisko, a promień sięgał do drogi.

– No właśnie – powiedział. – Jaki jest wzór na pole okręgu?

Zapadła kłopotliwa cisza. Przerwał ją w końcu Mercado, mówiąc:

– Gdyby to był prostokąt, a nie półokrąg, to jego powierzchnia wynosiłaby pięć tysięcy kilometrów kwadratowych. Jeśli odliczymy części prostokąta ograniczone przez półokrąg, to zostaną nam cztery tysiące kilometrów kwadratowych. Plus minus.

– Dobrze – rzekł Gann i wpatrzył się w mapę. – To kawał obszaru.

– Właściwie nie kilometry kwadratowe są tu ważne – zauważył Purcell. – Chodzi raczej o szlaki i kilka tropów, w tym o kamieniołomy, których położenie zadecyduje, gdzie będziemy szukać.

– Zgadzam się w pełni – przyznał Gann. – Nie możemy też mieć pewności, że doprowadzenie księdza do fortecy zajęło żołnierzom tylko jeden dzień. Mogli maszerować dłużej.

– Na jak długo znikali mieszkańcy Szoan, którzy udawali się na miejsce spotkań z zakonnikami? – zapytał Ganna Purcell.

Gann zastanowił się i odpowiedział:

– Słyszałem, że na dwa dni. To dzień marszu w jedną stronę. Nie wychodzili ani nie wracali po ciemku, a zatem szli dziesięć godzin w kierunku klasztoru, nocowali, a następnie wracali kolejne dziesięć godzin do Szoan.

Purcell sięgnął po arkusz sąsiadujący z poprzednią mapą, na którym widać było Szoan. Zнали już położenie dwóch punktów odniesienia – wioski i uzdrowiska – i postanowili określić na tej podstawie odległości oraz czas marszu na zachód od drogi, by stwierdzić, czy coś się przetnie albo pokryje.

Purcell martwił się, że mogli ponownie przyjąć błędne założenia, źle zinterpretować wskazówki albo przecenić swoje zdolności. Tym razem jednak – opierając się na własnym wniosku, że ojciec Armano kierował się do czarnego klasztoru, gdy znaleźli go w łaźniach – był niemalże pewien, że zawężają krąg poszukiwań.

W pewnej chwili Gann zadał interesujące pytanie:

– Czy ksiądz uczynił jakąś uwagę dotyczącą uzdrowiska? Czy powiedział coś w stylu: co to jest?

Po chwili milczenia Mercado oznajmił:

– Teraz, kiedy pan o to zapytał, myślę, że chyba nie, co z perspektywy czasu wydaje się nieco dziwne.

– Powiedział coś... Powiedział coś, co Henry mógł przegapić – oświadczyła Vivian. – Zapytał: „*Dov'è la strada?*”. Gdzie jest droga? Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi, bo wydawało się, że majączy.

– To tylko potwierdza, że szukał drogi, którą zapamiętał – stwierdził Purcell. – Ale w którą stronę szedł, żeby ją znaleźć? Na północ? Na południe? A może jedynie zamierzał ją przeciąć i pójść dalej na zachód, do klasztoru?

– Tego nie wiemy – odparł Gann. – Wiemy jednak, że przybył z klasztoru do fortecy szlakiem, który kończył się przy drodze albo się z nią krzyżował, czego spróbujemy dowiedzieć się jutro. Założyłbym się, że ów szlak biegnie w kierunku Szooan blisko łaźni albo trochę dalej na południe. Swoje przypuszczenia opieram na czasie, którego potrzebowali mieszkańcy wioski, by móc spotykać się z zakonnikami.

Wszyscy zdawali się zgadzać z rozumowaniem pułkownika. Ponownie wbili wzrok w mapy, a Gann ołówkiem zaznaczył na nich kilka następujących punktów.

Purcell zasugerował, że dość już napracowali się umysłowo i powinni się z tym wszystkim przespać. Zapalił papierosa i puścił w obieg manierkę ze sfermentowanym sokiem.

Zaczęli rozmawiać o innych sprawach. Purcell opowiedział Gannowi o *navionie* i *signore* Bocaccio, którego Mia zamieniła się w stertę spalonego i powyginanego metalu.

– Mam nadzieję, że państwo Bocaccio zjedli porządną kolację w Hiltonie – powiedział.

– Czuję się okropnie, bo nie mogliśmy wysłać mu teleksu – oświadczyła Vivian.

– Sądzę, że odczytał naszą wiadomość, kiedy nie pojawiliśmy się na kolacji – odparł Purcell. – Jak pan myśli, pułkowniku: czy dwa tysiące dolarów to dostateczna rekompensata za samolot?

– Ludzie sprzedają, co tylko mogą i za ile mogą; mają szczęście, jeśli znajdą kupca – zapewnił ich Gann. – Na samolot nie ma tu chętnych, a rząd i tak prędzej czy później by go skonfiskował. Gdzie uczył się pan latać, panie Purcell?

– Brałem prywatne lekcje. Zacząłem jeszcze w szkole średniej, na północy stanu Nowy Jork. Nie było tam lotniska, a godzinna lekcja kosztowała czternaście dolarów. Pisząc do miejscowej gazety, zarabiałem piętnaście tygodniowo, więc zostawał mi jeszcze dolar na łatwe dziewczyny i tanie wino.

Gann uśmiechnął się i zapytał:

– Ile godzin pan na to poświęcił?

– Na latanie czy na randki?

– Na latanie, stary.

– Pomyślmy. Dwadzieścia godzin wylatanych z instruktorem upoważnia do samodzielnych lotów, a dwadzieścia godzin solo pozwala na podejście do egzaminu na licencję pilota.

– Rozumiem. Dlaczego więc nie zajął się pan lataniem na poważnie?

– Cóż... – odparł Purcell i spojrzął na Vivian i Mercado. – Po prostu nigdy nie podszedłem do egzaminu.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz licencji pilota? – zapytał Mercado.

– Tutaj nie była mi potrzebna. Nikt o nią nie pytał.

– Tak, ale...

– Zabrakło mi pieniędzy – oświadczył Purcell. – Założę się, że nie zgadlibyście.

Vivian wybuchła śmiechem.

– Nie widzicie, że on sobie z nas żartuje? – zapytała i spojrzała na Purcella. – Frank?

– Masz rację, to tylko żarty.

– Ale kiepskie – zauważył Mercado. – Spaliliśmy samolot, a drugiego nie uda nam się wypożyczyć.

– Polatamy sobie nad Nowym Jorkiem – odparł Purcell.

– Nie, dziękuję.

Purcell wstał i zaproponował Vivian:

– Przejdźmy się.

– Nie odchodźcie daleko i wróćcie przed zachodem słońca – ostrzegł ich Gann. – Proszę nie zapomnieć o rewolwerze, panie Purcell.

– Yes, sir.

Vivian wstała. Mercado spojrzął na nią i powiedział:

– To chyba niezbyt mądre.

– Nie zamartwiaj się, Henry.

Purcell i Vivian powędrowali korytarzem do holu i wyszli na dziedziniec. Minęli kolumnadę, a potem zeszli schodami do ogrodu.

Niebo było już ciemnofioletowe, poprzekreślane smugami czerwieni i różu. Rozpoczął się nocny koncert ptaków, a z gór przybył łagodny wiatr niosący zapach tropikalnych kwiatów.

– Pomyślałem, że moglibyśmy się tu kochać – powiedział Purcell.

– Wiem dokładnie, o czym myślisz.

– Czasami myślę tylko o dobrym drinku.

– Wiesz, że chwilami jesteś prymitywny?

– Dziękuję.

– Kto to był? – zapytała po chwili Vivian.

– O kim mówisz? Ach, w Rzymie...

– Tak, w Rzymie.

– Sam dokładnie nie wiem. Angielska dama.

– Jak się poznaliście?

– W hotelowym barze.

– Poszliście do niej czy do ciebie?

Poszli do niego. Purcell pomyślał sobie jednak, że Vivian nie będzie zachwycona, że spał w tym samym łóżku z inną kobietą.

– Do niej – odpowiedział. – Myślałem, że zostawiłaś mnie na dobre.

– Powinieneś być mądrzejszy. Ale rozumiem i wybaczam.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że kiedy wrócimy do Rzymu i wybiorę się na zakupy, nie pomyślisz, że zostawiłam cię na dobre, i nie zaczniesz pieprzyć innej kobiety, którą zobaczysz w windzie czy gdzieś indziej.

– Masz rację. To się już nie powtórzy – powiedział Purcell i spojrzał na niebo. – Robi się ciemno.

Vivian ujęła go pod ramię. Podeszli do posągu Janusa z dwiema twarzami.

– Ze względów bezpieczeństwa musimy zostać w ubraniach, ale proponuję, abyś opuścił spodnie – powiedziała Vivian.

Ta propozycja spodobała się Purcellowi. Zsunął spodnie i bokserki.

– A teraz nauczymy się nowego włoskiego słowa: *fellatio* – oświadczyła Vivian.

Objęła nabrzmiałego penisa ustami i dogłębnie wytłumaczyła Purcellowi znaczenie tego słowa.

Gdy wracali do hotelu, Vivian powiedziała:

– Klasyczne ruiny są bardzo romantyczne. Jest coś zniewalająco pięknego w tym, jak natura bierze górę nad tak wielkim gmachem.

– To prawda – rzekł Purcell. – Jutro wieczorem będziemy potrzebowali odrobiny prywatności.

– Myślę, że nie zrobimy tego więcej w buszu.

– Cóż... Przekonamy się.

– Jestem już wystarczająco zakłopotana, bo Henry i pułkownik Gann na pewno podejrzewają, co robiliśmy.

– Nie sądzę.

– Nie sądzę, że mogliby puścić mimo uszu twoje jęki, które odbijały się echem od kolumnady.

– Naprawdę?

Wrócili do holu, w którym było już całkiem ciemno. W głębi wielkiego pomieszczenia leżały kości wymordowanych mężczyzn; wcześniej konał tam ojciec Armano.

– Jutro pójdziemy tam, dokąd zmierzał ojciec Armano – powiedziała Vivian. – Nie bądź cyniczny, on wskaże nam drogę.

– Liczę na to.

– Czy wiesz, czyj to był posąg?

– Gość z dwiema twarzami?

– To Janus, rzymski bóg Nowego Roku, patrzący przed siebie i spoglądający wstecz.

– Rozumiem.

– Jest styczeń, Januarius; nazwa ta pochodzi od jego imienia.

– Racja.

– Coś mi to przypomniało. Gdy przebywałam w angielskiej szkole z internatem, przeczytałam bardzo piękny fragment bożonarodzeniowego orędzia, które Jerzy VI wygłosił w najczarniejszej godzinie wojny. Zwrócił się wtedy do Anglików, mówiąc: „Poprosiłem człowieka, który stanął na progu Nowego Roku: «Daj mi światło, abym mógł bezpiecznie udać się w nieznanie». A on odpowiedział: «Wyjdź w ciemność i pozwól, by Bóg poprowadził cię za rękę. On cię poprowadzi lepiej niż światło i bezpieczniej niż znana droga»”.

– To bardzo piękne.

– Pozwól, Frank, by Bóg poprowadził cię za rękę.

– Spróbuję.

– Pozwolisz.

Powrócili do swoich towarzyszy.

ROZDZIAŁ 50

Zerwali się przed świtem. W oczekiwaniu na wschód słońca posilili się chlebem i gotowanymi jajkami.

Była to długa i niespokojna noc; odgłosy dżungli nie pozwoliły im zmrzyć oka nawet na sekundę. Purcell zaczął się zastanawiać, czy z powodu czegoś mniej ważnego niż Święty Graal warto byłoby narażać się na pożarcie przez komary i nasłuchiwać, czy nie zbliżają się Oromowie.

Vivian wydawała się pełna entuzjazmu, co go irytowało.

Gann także sprawiał wrażenie gotowego do drogi, natomiast Mercado wyglądał kiepsko, co nieco zmartwiło Purcella. Lecz gdyby Henry zaczął się skarżyć, Purcell przypomniałby mu, czym pomysłem była ta wyprawa. A może to on, Frank, ją zainicjował?

Nadszedł świt. Opuścili względnie wygodny hotel frontowymi drzwiami, zeszli po schodach, a potem, przedzierając się przez krzaki, przemknęli szybko przez otwartą przestrzeń. Dotarli do drogi. Gdy się rozejrzeli, Gann powiedział szeptem:

– Przebiegnę na drugą stronę jako pierwszy, a wy dołączajcie do mnie pojedynczo.

Gann szybko znalazł się po drugiej stronie i przycupnął pod krzakiem. Po chwili dołączyli do niego Mercado, Vivian i Purcell.

Zaczęli przeczesywać gąszcz na poboczu, szukając początku ścieżki, którą czterdzieści lat wcześniej ojciec Armano miał maszerować do fortecy i której mógł szukać, zanim zmarł w uzdrowisku. *Dov'è la strada?* Lecz nawet Gann nie potrafił znaleźć luki w ścianie splątanej roślinności ciągnącej się wzdłuż drogi.

– Pójdziemy drogą, chociaż wolałbym tego nie robić – powiedział pułkownik. – Jak widzicie, rów odwadniający jest częściowo wypełniony ziemią i zarośnięty krzakami, ale wskoczmy do niego, gdy tylko usłyszymy warkot samochodu albo tętent końskich kopyt.

Szczególnie tętent kopyt, pomyślał Purcell.

– Będziemy iść, dopóki nie znajdziemy ścieżki przecinającej las deszczowy. Proponuję, abyśmy poszli na południe, w stronę Szoan.

Ruszyli starą włoską drogą, którą Purcell, Mercado i Vivian przybyli z Addis Abeby. Wydawało się, że tamta podróż odbyła się wieki temu. Purcell pamiętał, że ta droga była utwardzona. Przyjrzał się i dostrzegł resztki smoły i żwiru, którymi czterdzieści lat wcześniej Włosi pokryli jej nawierzchnię. Lecz jeśli ojciec Armano szedł tą drogą – o ile w ogóle się to zdarzyło – to włoscy inżynierowie nie dotarli wtedy jeszcze tak daleko. Co ważniejsze, przed czterema dekadami, zanim obszar ten się wyludnił, wszystkie krzyżujące się z drogą ścieżki

były zapewne lepiej widoczne.

Gann co chwilę schodził z drogi i rozsuwał krzaki maczetą. Po półgodzinie Purcell stwierdził:

– Jeszcze trochę i dojdziemy do Szooan.

– Na to potrzebowalibyśmy jeszcze dwóch godzin, panie Purcell.

Zobaczyli przed sobą wysokie powykręcane drzewo i Purcell przyspieszył kroku. Zatrzymał się obok drzewa, mówiąc:

– Przeprowadzę rozpoznanie z powietrza.

Pożyczył od Mercado lornetkę, zrzucił plecak i wdrapał się po pniu do pierwszej gałęzi, a chwyciwszy ją, podciągnął się wyżej.

– Uważaj na węże, stary – ostrzegł go Gann.

Wspinając się po wykrzywionych gałęziach, Purcell znalazł się prawie piętnaście metrów nad ziemią.

Usiadł na bezlistnym konarze, przyłożył szkła do oczu i zaczął obserwować okolicę. Przydrożne drzewa rosły dość daleko od siebie, lecz przedzielały je pasma bardzo gęstych krzewów. Gdy Purcell popatrzył na zachód, dostrzegł potężne trójwarstwowe sklepienie lasu deszczowego.

Skupił się na drodze. Skierował lornetkę na północ, w stronę jeziora Tana i Gondaru, ale nie zauważył żadnego ruchu. Droga była zapewne bardziej uczęszczana przed rewolucją i wojną domową, pomyślał. Obecnie po prowincji kręcili się tylko uzbrojeni mężczyźni i Purcell nie miał ochoty na spotkanie z nimi, o ile nie okazaliby się przyjaciółmi pułkownika Ganna.

Przyjrzał się południowej części drogi. I ona była pusta; zauważył jednak z odległości stu metrów zwierzęta podobne do kotów. Śledził je do chwili, gdy znikły w przydrożnej gęstwinie, a potem dokładnie przyjrzał się miejscu, w którym stracił je z oczu.

– Widzi pan coś? – zawołał Gann stłumionym głosem.

– Chyba tak – odpowiedział Purcell.

Zapamiętał miejsce, w którym widział koty, zszedł na najniższą gałąź i zeskoczył na ziemię.

– Co pan zauważył? – zapytał go Gann.

– Mnóstwo drzew.

– Ale jakich, stary?

Purcell opisał teren i zasugerował Gannowi:

– Może pan wspiąć się na następne drzewo. – Potem zwrócił się do wszystkich: – Dobra wiadomość jest taka, że widziałem rodzaj... kotów wchodzących w krzaki, więc może jest

tam jakaś ścieżka.

– Doskonale – rzekł Gann. – Sądzę, że był to jeden z gatunków rysy.

– Czy są niebezpieczne? – zapytał Mercado.

– Tylko wtedy, kiedy nie mam przy sobie mojego uzi – odparł Gann.

Purcell zaprowadził ich w miejsce, które zapamiętał. Przeszli przez rów i stanęli przed trzymetrową ścianą tropikalnej roślinności.

– To tutaj – oświadczył Purcell.

Gann uklęknął i zaczął poruszać się na czworakach jak kot, po czym stwierdził:

– Widzę początek ścieżki.

Przezołgali się po kolei przez splątane krzaki i znaleźli się na ścieżce nie szerszej niż ramiona człowieka i osłoniętej od góry gałęziami, które tworzyły naturalne sklepienie nad ich głowami.

Ścieżka nie była zarośnięta, więc zrozumieli, że często z niej korzystano.

– Być może jest to szlak, którym wędrowali mieszkańcy wioski – powiedział Purcell.

Gann zgodził się z nim i odparł:

– Ktoś tędy regularnie chodzi.

– Czy ktoś poza mną uważa, że Bóg zesłał te koty, aby pokazały nam drogę? – zapytała Vivian.

– Tylko ty tak myślisz – rzekł Purcell.

Vivian uśmiechnęła się i powiedziała:

– Cóż. I ja tak nie myślę.

Purcell pomyślał, że w rzeczywistości Vivian w to wierzyła – i może tym razem miała rację?

– Będziemy szli w odstępach sześciu, siedmiu metrów, cały czas tak, by widzieć osobę przed nami – rzekł Gann. – Obowiązuje całkowita cisza i zakaz palenia. Każdy, kto coś usłyszy, informuje pozostałych.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał Mercado.

– Nie wiem, ale szybko tam dojdziemy – odpowiedział Gann.

Spojrzał na mapę Purcella.

– Nie widzę tego szlaku na mapie – oświadczył. – Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi, i na miejscu podejmiemy decyzję, co dalej robić. Jesteśmy na właściwym obszarze, a jeśli poprawnie zorientujemy się w terenie, to jestem pewien, że znajdziemy co najmniej jeden kamieniołom, który podpowie nam, gdzie szukać czarnego klasztoru.

Purcell, któremu zaimponowały terenowe umiejętności pułkownika Ganna, zapytał go:

– Czy zdołamy przeżyć, jedząc tylko to, co znajdziemy, kiedy skończy nam się żywność?

- Nie bardzo mi się uśmiecha zbieractwo w dżungli, stary.
- Mnie także nie.
- Musimy zatem mieć pewność, że zdążymy wrócić do Szooan, zanim zabraknie nam prowiantu – odparł Gann. – Gdyby nikogo już tam nie było, znajdziemy zapasy, które zostaną ukryte specjalnie dla nas.
- A gdyby i pana z nami nie było, to gdzie znajdziemy żywność? – zapytał Purcell.
- Powinniście zajrzeć do wysoko umieszczonych cystern – odpowiedział Gann. – Panuje właśnie pora sucha, a one doskonale nadają się do przechowywania żywności.
- W której cysternie mamy szukać?
- Nie wiem, stary. Cysterna stoi przy każdym domu. Na pewno znajdziecie tę właściwą.
- Nie wystarczyłoby zostawić jedzenie w pałacowej kuchni?
- Nie wiadomo, kto pojawi się w okolicy, gdy wioska opustoszeje – odpowiedział Gann. – Zostaną jednak kozy, kury i inne zwierzęta, a to przyciąga głodnych ludzi.
- Miejmy tylko nadzieję, że nie pokażą się tam Oromowie.
- Prędej żołnierze lub partyzanci. Zbliżając się do Szooan, będziemy musieli zachować ostrożność.
- Jak właściwie wydostaniemy się z Etiopii, gdy nasza misja dobiegnie końca? – zapytał Mercado.
- Jakieś pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Szooan znajduje się placówka rojalistycznych partyzantów – wyjaśnił Gann. – Byłem tam. Jak już wcześniej wspomniałem, paru mężczyzn stamtąd może doprowadzić nas do granicy z Somali Francuskim.
- A jeśli nie będzie pan mógł towarzyszyć nam w drodze do tej placówki?
- Czyli jeśli zginę?
- Albo jeśli będzie pan niedysponowany.
- Gann uśmiechnął się i odpowiedział poważnym tonem:
- Radzę, abyście poszli wówczas do Gondaru. Myślę, że uda wam się wmieszać w tłum, chociaż to trochę ryzykowne, zważywszy, że wszyscy turyści z Zachodu i biznesmeni dali nogę i wszędzie pełno żołnierzy. Ale nie jest to niemożliwe.
- Moglibyśmy udawać dziennikarzy – rzekł Purcell.
- No właśnie.
- A jeśli już uda nam się wmieszać w tłum, to co dalej?
- Wtedy powinniście dostać się do Addis Abeby samolotem albo znaleźć kogoś, kto będzie jechał ciężarówką w kierunku granicy z Sudanem – powiedział Gann i oddał Purcellowi mapę. – Czy omówiliśmy już wszystko?
- Tak.

– Panno Smith: jakieś pytania lub problemy?

– Nie. Ruszajmy.

Gann podsumował ich zadanie w iście wojskowym stylu:

– Szukamy dwóch rzeczy. Jedną jest miejsce, w którym Felaszowie spotykają się z zakonnikami. Będziemy zwracać uwagę na ślady obecności ludzi: resztki jedzenia, ślady stóp i tak dalej. Natomiast naszym głównym celem, całkowicie niezależnym od tej pierwszej rzeczy, jest znalezienie czarnego klasztoru. Droga do miejsca spotkań prowadząca z Szooan, leżącego o kilka godzin marszu stąd na południe, wymaga całodziennej wędrówki, podobnie jak droga z miejsca spotkań do czarnego klasztoru. Jeśli zatem znajdziemy miejsce, w którym Felaszowie spotykali się z zakonnikami, będziemy wiedzieli, że jest ono oddalone od czarnego klasztoru o dzień marszu. Nie wiadomo jednak, w którym kierunku. Oczywiście jest możliwe, że nie znajdziemy tego miejsca, za to znajdziemy klasztor.

Gdy skończył mówić, Gann spojrzął na Purcella, Mercado i Vivian, po czym zapytał:

– Czy to jasne?

Purcell pomyślał, że po to przecież znaleźli się w Etiopii, lecz chciał być dobrym żołnierzem, odpowiedział więc:

– Jasne.

Mercado skinął głową.

– Skała, drzewo i strumień – powiedziała Vivian. – I może jeszcze skupisko palm.

Gann spojrzął na nią i odparł:

– Tak, słusznie.

Zerknął na zegarek i oświadczył:

– Tym razem pan Purcell pójdzie przodem, a ja zamknę pochód. Gońmy koty – dodał z uśmiechem.

Purcell ruszył ścieżką. Między jej początkiem a miejscem, do którego zmierzali, rozciągał się bezmiar nieznanego. Nie wiedzieli, co ich spotka na końcu szlaku. Szli z nieznanego przez nieznanego w stronę nieznanego. „Pozwól, by Bóg poprowadził cię za rękę”. Wszystko będzie w porządku.

ROZDZIAŁ 51

Wyruszyli z nadzieją na szybkie dotarcie do celu, lecz skończyło się na całodziennym marszu w dżungli.

Ścieżka wciąż była dość szeroka, ale wkrótce stało się jasne, że nie jest to jedyna droga. Przecinało się z nią wiele węższych, chociaż na żadnej z nich nie było widać śladów butów lub kopyt ani gałęzi ściętych maczetą.

Gann stwierdził to, co dla wszystkich było oczywiste:

– Wygląda na to, że istnieje tu cała sieć ścieżek.

Gdy maszerowali, Purcell co jakiś czas sięgał po kompas. Stwierdził w końcu, że idą generalnie na zachód, chociaż miejscami zdarzało im się zbaczać na południe.

– Co my właściwie robimy? – zapytał Mercado.

– Idziemy szlakiem i poruszamy się najwygodniejszymi ścieżkami, żeby obejść jak największy obszar – wyjaśnił Gann.

Purcell przypomniał sobie zwiadowcę, który powiedział mu kiedyś podczas patrolu:

– Nie wiemy, gdzie jesteśmy ani dokąd idziemy, ale mamy naprawdę dobry czas.

Gann i Purcell spojrzeli na mapę, usiłując określić, gdzie się znajdują, lecz na włoskich mapach nie zaznaczono ścieżek biegnących pod gęstym sklepieniem lasów. Z powodu braku punktów orientacyjnych wyznaczenie pozycji na mapie było prawie niemożliwe. Mogli więc polegać tylko na kompasie i uwzględniać w obliczeniach czas, który upłynął od chwili, gdy zeszli z drogi.

Gann dotknął palcem mapy i oświadczył:

– Jesteśmy gdzieś tutaj.

– A gdzie jest to tutaj? – zapytał Purcell.

– Tu, gdzie stoimy. Plus minus kilometr.

– Nie wiem nawet, czy to właściwa mapa.

– Myślę, że tak – odparł Gann. – Wszystko, co możemy zrobić, to dalej iść ścieżkami.

– Racja. Ale teraz widzę, że moglibyśmy minąć klasztor w odległości piętnastu metrów i go nie zauważyć.

– To słuszne założenie.

– Uważam, że powinniśmy byli trzymać się pierwotnego planu i sprawdzić to, co widać na zdjęciach zrobionych na wschód od drogi – wtrącił Mercado.

– Nie – odparła Vivian. – Myślę, że Frank miał rację: ojciec Armano szedł tędy, żeby wrócić do czarnego klasztoru.

Henry się nie odezwał.

– Powiedział pan, że potrafiłby trafić do jednego z kamieniołomów – przypomniał Gannowi Purcell.

– Tak, powiedziałem. Niestety teraz, będąc na miejscu, dostrzegam pewne trudności. Nie znam takiego żołnierza ani badacza, który miałby dostateczne doświadczenie, żeby bezbłędnie orientować się w dżungli.

– Więc nie będziemy pierwsi.

– Musimy po prostu iść przed siebie, zaufać swoim instynktom, poszukać kilku tropów i modlić się, by los nam sprzyjał.

– A także pamiętać, że zostaliśmy wybrani jako ci, którzy mają znaleźć czarny klasztor – dodała Vivian.

– Na szczęście nie ogranicza nas czas jak w wypadku wykonywania zadania bojowego – powiedział Gann. – Czasu mamy pod dostatkiem.

– Zakonnicy mogą już pakować walizki – zauważył Purcell.

– Za to klasztor nigdzie się nie wybiera.

– To prawda, lecz ograniczają nas nasze zapasy i siły.

– To zawsze stanowi problem – przyznał Gann.

– Ruszajmy – powiedziała Vivian.

– Musimy mieć pewność, że będziemy w stanie znaleźć Szooan i dotrzeć do niego, zanim skończy nam się prowiant – przestrzegł Mercado. – Myślę, że mamy przed sobą jeszcze trzy dni wędrówki, a potem będziemy musieli zawrócić.

Gann przytaknął, dodając:

– Wrócimy jednak inną trasą, co pozwoli nam zbadać nowe obszary.

Idąc dalej, doszli do miejsca, w którym ścieżka się rozwidlała. Zbadali obydwie odnogi i bez szczególnego powodu postanowili pójść w lewo.

Po pewnym czasie lewa odnoga zaczęła się zwaćzać.

Vivian zrobiła kilka zdjęć, mimo iż na wąskich leśnych drogach niewiele było do fotografowania. Wydawało się, że traciła ochotę na dokumentowanie ich wyprawy. Purcell wiedział, że wystarczy zobaczyć jedną ścieżkę w dżungli, by wiedzieć, jak wyglądają wszystkie inne.

Po godzinie dostrzegł wyniosły cedr rosnący przy szlaku. Przedarł się do niego przez gąszcz, wdrapał po pniu, a później, gałąź po gałęzi, wszedł na wysokość około dziesięciu metrów. Zlustrował okolicę przez lornetkę i stwierdził, że znajdują się kilka kilometrów od widniejących na zachodzie wzniesień i potrójnego sklepienia lasu, które dostrzegł z drzewa przy drodze i z samolotu, gdy lecieli do Gondaru. Mieli jeszcze godzinę do zachodu słońca.

Purcell zszedł z cedru i przedarł się z powrotem na ścieżkę.

– Na zachodzie widać wysoką, wielowarstwową roślinność – oświadczył. – Proponuję, żebyśmy poszli w tamtą stronę.

Gann skinął głową i powiedział:

– Powiedziano mi, że właśnie tam znajduje się stary kamieniołom.

– Idziemy już prawie cały dzień – zauważył Mercado. – Wioskowi podobno potrzebowali dnia, żeby dotrzeć na miejsce spotkań z zakonnikami. Zostało nam mało czasu.

– Czas marszu nie jest wprost proporcjonalny do odległości i na odwrót – wytłumaczył mu Gann. – Ktoś, kto wie, dokąd idzie, wie także, jak dojść na miejsce najkrótszą drogą, której pokonanie wymaga najmniej czasu.

– Nie możemy się zgubić, skoro nie wiemy, dokąd idziemy – stwierdził Purcell.

Ruszyli. Po pewnym czasie ścieżka skręciła na południe, lecz nie krzyżowały się z nią inne, którymi mogliby pójść na zachód. Jednak Gann nie zamierzał się cofać, gdyż uznał to za niepotrzebną stratę czasu i energii, a także przejaw desperacji mogący doprowadzić do osłabienia morale.

– *Avanti* – powiedziała Vivian.

Słońce schowało się już za najwyższymi drzewami i światło w dżungli poszarzało przed zmrokiem.

Wiedzieli, że będą musieli spędzić tu noc, lecz nigdzie nie było widać choćby najmniejszej polany. Nie mając innego wyboru, rozbili obóz na wąskiej drodze.

Gann ustalił kolejność czuwania: Mercado, Vivian, Purcell oraz on sam. Mieli pilnować obozu po dwie godziny aż do brzasku, na który zaplanowali wymarsz.

Nie udało im się znaleźć wody, a ich manierki były już prawie puste.

– Jutro naszym pierwszym zadaniem będzie znalezienie wody – oświadczył Gann. – Bez niej będziemy skazani na zbieranie owoców, a jadalne często bywają podobne do trujących. Dżungla zrobi wszystko, by zabić intruzów.

Spędzili kolejną niespokojną noc, śpiąc na ziemi i nasłuchując nocnych odgłosów dżungli.

Drugi dzień stanowił do pewnego stopnia powtórkę pierwszego. Udało im się jednak znaleźć niewielki zarośnięty pnączami strumień, w którym napełnili manierki.

Purcell zauważył, że ścieżki zdają się wić, a większość z nich prowadzi na północ, południe lub wschód. Każda ze ścieżek, którą skręcali na zachód, zmieniała kierunek, jakby bóg dżungli nie chciał, żeby dotarli na wzniesienia i do lasu o trójwarstwowym sklepieniu.

Purcell zauważył, że Mercado zaczął się wlec. Zasugerował zatem, by Gann nieco zwolnił. Pułkownik spełnił tę prośbę, lecz już po godzinie maszerował swoim poprzednim tempem.

Coś go pchało do przodu, lecz nie w ten sam sposób co Vivian i Mercado, którzy parli przed siebie, aby znaleźć klasztor i Graala; Gannem kierował Rudyard Kipling – coś ukrytego. Idź i znajdź to. Gdyby powiedzieli Gannowi, że chcą znaleźć w dżungli boisko do koszykówki, byłby równie zachwycony, jak w czasie poszukiwań Świętego Graala. No cóż, może nie aż tak bardzo. Lecz ich wyprawa stała się dla pułkownika sir Edmunda Ganna wyzwaniem. Oczywiście chciał także uchronić Graala przed bezbożnymi marksistami. Mógłby wtedy spotkać się w Jerozolimie ze swoją księżniczką i napić się whisky w hotelu King David. Następnym przystankiem Ganna byłyby jego londyński klub, w którym przyjaciele namawialiby go do opowiedzenia całej historii. W sumie Purcell cieszył się, że mają przy sobie Ganna, lecz zaczął się zastanawiać, czy to Gann jest z nimi, czy oni z nim.

Sam Purcell odnosił czasami wrażenie, że jest z nimi tylko dla towarzystwa, chociaż wiedział, że kierują nim również inne motywy. Jednym z powodów, które sprawiły, że znalazł się w tym obrzydliwym miejscu, była Vivian. Mogła ona także być powodem drugim i trzecim, bo zwykle nie był aż tak dobry jako partner. To prawda: istniały inne i bardziej złożone powody jego podróży do – dosłownego – jądra ciemności.

Nad deszczowym lasem zapadł tropikalny zmierzch i obozowisko znów zostało rozbite na ścieżce.

W Wietnamie Purcell był jednym z niewielu korespondentów wojennych, którym pozwolono wziąć udział w patrolu przeprowadzanym z dala od własnego obozu. Sierżant dowodzący drużyną dziesięciu żołnierzy, zwanych lurpami, powiedział mu wtedy:

– To będzie krótki patrol. Dziesięć dni.

Dziesięć dni na terytorium wroga i w bardzo nieprzyjaznym otoczeniu. Purcell był wtedy o wiele młodszy, a żołnierze dysponowali najnowocześniejszym wyposażeniem i suchymi racjami żywnościowymi, które wystarczyłyby im nawet na dwadzieścia dni. Mieli również najlepszą broń i trzy radiostacje na wypadek, gdyby – jak mawiali – gównem wpadło w wentylator.

Natomiast tu, w Etiopii, Purcell i jego towarzysze musieli właściwie polegać na samych sobie. Żadne z nich, może z wyjątkiem Ganna, nie znało dżungli, i Purcell zaczął nabierać wątpliwości. Ich zadaniem nie było rozpoznanie; przybyli tu, aby znaleźć Świętego Graala wszystkich Świętych Graali – tego Świętego Graala – i był to jedyny powód, dla którego nie maszerowali w stronę granicy z Somali Francuskim.

Trzeci i czwarty dzień upłynęły na dalszym marszu, z tą różnicą, że zaczęli iść na zachód i dotarli do dżungli o potrójnym sklepieniu. Było w niej goręcej, wilgotniej i ciemniej. Jedynym plusem tego miejsca było rzadsze podszycie, dzięki czemu mogli schodzić ze

ścieżki i poruszać się między strzelistymi drzewami.

– Jak już powiedziałem, nie znajdziemy klasztoru na końcu ścieżki – zwrócił się do Ganna Purcell. – Być może będziemy musieli schodzić ze szlaku i iść przez las, żeby go znaleźć.

– Jeśli to prawda, będziemy mieli do czynienia z bezmiarem dzikich lasów, w których można wybrać dowolny kierunek, lecz tylko jeden pozwoli nam dotrzeć do miejsca, którego szukamy.

– Ma pan rację, ale być może jest to jedyny sposób na zbadanie przynajmniej niewielkiego obszaru owych czterech tysięcy kilometrów kwadratowych.

Gann zaproponował przerwę. Usiedli i spojrzeli na mapę, na której widać było takie samo, jak poprzednim razem, morze zielonego koloru.

Pułkownik postanowił ustalić, ile już przeszli, i zaczął kreślić ołówkiem linie na mapie.

– Myślę, że od czasu do czasu zdarzało nam się chodzić w koło – oświadczył w końcu.

– Rzeczywiście, tamten wąż wyglądał znajomo.

– Trudno je odróżnić, stary.

– Skała, drzewo, strumień – przypomniała im Vivian. – I być może skupisko palm.

Dotychczas nie rozmawiali o tych potencjalnych wskazówkach, o których Vivian wspomniała cztery dni wcześniej, lecz przynajmniej przypomnieli sobie o tym, co w Addis Abebie wydawało im się tak ważne.

Lecz w buszu rzeczywistość zmieniała się albo została zmieniona. Umysł płata człowiekowi figle, podobnie jak na pustyni lub na morzu. Wszystko, co widzą oczy i słyszą uszy, interpretowane jest przez umysł. Poprzedniego dnia byli tak spragnieni, że widzieli rzeczy, które nie istniały, a zwłaszcza wodę.

Od pierwszego dnia, w którym weszli na ścieżkę, nie odkryli natomiast śladów obecności człowieka. Miało to swoje dobre i złe strony. Najgroźniejszymi drapieżnikami w dżungli byli ludzie, ale poszukiwacze Graala musieli dotrzeć tam, dokąd niektórzy z nich – Felaszowie i zakonnicy – udawali się na spotkania. Poszukiwacze nie znaleźli jednak nawet resztek ogniska ani najmniejszego wykonanego przez człowieka drobiazgu, który ktoś mógłby zgubić albo wyrzucić.

– Ojciec Armano nie maszerował z klasztoru do fortecy cztery czy pięć dni – zauważył Henry.

– Ksiądz szedł z żołnierzami, którzy z pewnością znali teren i szybko zaprowadzili biedaka do jego ciasnej celi – powiedział Gann. – Jestem jednak pewien, że wciąż znajdujemy się na obszarze, na którym prawdopodobieństwo znalezienia klasztoru jest największe. W uzdrowisku wszyscy byliśmy na ten temat zgodni. Potwierdza to także czas, w jakim mieszkańcy docierali na miejsce spotkań.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że cztery tysiące kilometrów kwadratowych to taki kawał terenu – stwierdził Purcell.

– O ile wiemy, zakonnicy wyznaczyli miejsce spotkań dość daleko od klasztoru – zauważył Mercado. – O trzy, a może cztery dni drogi.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Gann.

– Trzymajmy się logicznej teorii, zgodnie z którą zakonnicy nie chcą iść dłużej niż dzień, żeby spotkać się z Felaszami – zaproponował Purcell. – Przecież, na Boga, dźwigają worki kamiennych ozdóbek.

– Całkowita racja – zgodził się Gann.

Purcell zauważył, że Vivian postanowiła nie wdawać się w roztrząsanie teorii ani spekulacje i nie przyłączyła się do ich męskiej wymiany pomysłów i domysłów.

Gann również to dostrzegł i zapytał ją:

– Czy powinniśmy poczekać na natchnienie zesłane przez Boga?

– Nie można na nie czekać – odpowiedziała Vivian. – Nadejdzie w swoim czasie. Ale może pan się o nie pomodlić.

– Już to robiłem.

– Proszę spróbować jeszcze raz.

Ich nastroje zmieniały się w sposób typowy dla dynamiki grupy. Purcell zauważył, że Henry zdawał się stracić zainteresowanie Vivian – lub przestało mu zależeć na tym, aby jej imponować. Purcell wiedział, że nic tak nie osłabia libido i kutasa jak wyczerpanie, pragnienie, głód i strach.

Miał nadzieję, że Henry wytrzyma i Vivian nie będzie musiała ponownie niańczyć swojego byłego kochanka. Lecz gdyby tak się stało, nie miałby nic przeciwko temu.

Omówili również kwestie bezpieczeństwa i postępowanie na wypadek, gdyby przyszło im spotkać niebezpiecznych ludzi.

– Oromowie nie lubią dżungli – powiedział Gann. – Nie widzieliśmy tu jeszcze śladów kopyt ani końskiego łajna. Ich domem jest pustynia, a w miejsca takie jak to zapuszczają się tylko po bitwach. Rojalistyczni partyzanci działają na zachód stąd, a kontrrewolucjoniści przebywają głównie w górach Semien wokół Gondaru. Nie ma zatem powodu, by pojawili się tu żołnierze Getachu. Ma pełne ręce roboty gdzie indziej, a my mamy dżunglę tylko dla siebie.

– Widzieliśmy trzy przelatujące wojskowe hueye – przypomniał Frank.

– Właściwie naliczyłem cztery – odparł Gann. – Ale to tylko zwykłe loty z Gondaru do Addis Abeby i w drugą stronę. Armia ma za mało paliwa i helikopterów, by prowadzić rozpoznanie z powietrza.

– Teraz mają o jeden mniej – stwierdził Purcell.

– Słusznie.

– Widziałem wczoraj helikopter lecący ze wschodu na zachód – przypomniał Gannowi Purcell.

– Dopóki tylko przelatują i nie zawisają w miejscu, możemy mieć pewność, że niczego nie szukają.

– Myślę, że szukają nas, pułkownika.

– Wątpię. Myślą, że uciekliśmy już do Somali. Po co, u licha, mielibyście tu zostać, skoro zestrzeliliście wojskowy helikopter?

– Sam sobie zadaję to pytanie.

Gann uśmiechnął się i powiedział:

– Naprzód.

Piątego dnia Mercado powiedział:

– Musimy wracać do Szoan. Kończy nam się jedzenie.

Purcell wiedział, że na wyczerpaniu są również siły Henry'ego. Wszyscy byli odwodnieni, pokąsani przez owady i poparzeni przez słońce.

– Przegrupowanie, zaopatrzenie i ponowny atak – przypomniał Gannowi Mercado.

Gann skinął głową, lecz bez entuzjazmu.

– Czuję, że powinniśmy pójść trochę dalej – powiedział. – Może na południe, do linii równoległej z Szoan. Może wtedy będziemy mieć więcej szczęścia. Później moglibyśmy pójść na wschód, do drogi, i wrócić do wioski.

Mercado zamilkł.

– Możliwe, że jesteśmy na południe od Szoan – rzekł Purcell.

– To niewykłuczone.

– Wyjdziemy na drogę, jeśli po prostu pomaszujemy na wschód – powiedział Mercado.

– Nie my decydujemy, w jakim idziemy kierunku, stary – przypomniał mu Gann. – To nie pustynia ani tundra. Jesteśmy w dżungli.

– Znaleźliśmy się w punkcie krytycznym, jeśli chodzi o żywność – uparł się Mercado.

– Jeszcze nie. Ale niewiele nam do tego brakuje.

– Właśnie tak ludzie umierają.

– Tak, to jedna z przyczyn – przyznał Gann. – Ale są jeszcze inne. – Po chwili zapytał: –

A jak samopoczucie, stary?

Mercado zawahał się i odpowiedział:

– Dam radę dojść do Szoan.

– To dobrze – odparł Gann. – Musimy zachować ostrożność, aby uniknąć obrażeń lub chorób.

– Nawet tego nie próbujemy – powiedział Purcell. – A jak ty się czujesz, Vivian?

– Ze mną wszystko w porządku.

Purcell spojrzał w ciemną dżunglę o trójwarstwowym sklepieniu.

– Zejdźmy ze ścieżki i ruszmy między drzewami – powiedział.

Spojrzał na kompas i znalazł południe.

Opuścili ścieżkę i pomaszzerowali przez las deszczowy w kierunku, który wskazał Purcell. Teren między drzewami skusił ich pozorną otwartością, lecz szybko się okazało, że muszą sobie wycinać maczetą drogę wśród pnączy i krzewów, a niski na pierwszy rzut oka dywan roślin porastających dno lasu sięgał im nieraz do kolan.

Po mniej więcej godzinie zdali sobie sprawę, że poruszają się dość wolno, a opuściwszy ścieżkę, stracili ją z oczu na dobre. Zrozumieli również, że zagubili się w bezmiarze tropikalnej dziczy. Poczuli się tak, jakby przemierzali wielką, zwieńczoną zielonym sklepieniem i wyslaną dywanem pnączy salę pełną kolumn. Tu i ówdzie słoneczne promienie przebijały się jeszcze przez korony drzew, a oni przyłapali się na tym, że nieświadomie idą ku plamom światła na leśnym dnie.

Ciemność stawała się coraz głębsza, bo słońce przestało zaglądać pod korony drzew i w dżungli zapadł zmierzch. Zaczęli szukać miejsca na nocleg.

– Popatrzcie! – zawołała nagle Vivian i wyciągnęła rękę na zachód. – Są palmy!

Zobaczyli okazałe drzewa, których liście ginęły w gęstwinie otaczającej je roślinności.

Podeszli do palm, wokół których było sporo wolnego miejsca. Usiedli i oparli się plecami o ich pnie.

Gann popatrzył do góry.

– Tam raczej nie znajdziemy niczego do jedzenia – powiedział.

– Proszę poczęstować się daktylem – odparł Purcell, wręczając mu płócienny worek.

Wypili resztkę wody i przejrzeni zapasy żywności. Mogło jej wystarczyć tylko na następny dzień.

Gann i Purcell zerknęli na mapę i doszli do wniosku, że znajdują się dwadzieścia do trzydziestu kilometrów na zachód od drogi, aczkolwiek nie wiedzieli, czy będą musieli zbończyć na północ, czy na południe, żeby dojść do Szoan, które oddalone było od ścieżki o kolejne trzydzieści kilometrów.

– Czeka nas długi, całodniowy marsz do Szoan – powiedział Gann. – O ile nie trafimy na trudny teren.

– To „o ile” było bardzo zachęcające – odparł Purcell.

Ustalili, że rano ruszą w powrotną drogę do Szoan.

Vivian wstała, mówiąc:

– Za chwilę wracam.

Jej towarzysze pomyśleli, że postanowiła pójść na stronę, lecz Vivian szła dalej przed siebie. Purcell zaczął się obawiać, że ma halucynacje. Nie mógł jej głośno zawołać, ponieważ musieli zachowywać się cicho, więc wstał, dogonił ją i chwycił za ramię.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Zobaczyłam błysk.

– Naprawdę?

– Tam.

Vivian poprowadziła Franka. Weszli w gęste leśne podszycie.

Teren zaczął się wznosić, a Purcell przypomniał sobie skalistą okolicę, którą zobaczył z powietrza, gdy wracali z Gondaru.

Roślinność stawała się coraz rzadsza. Purcell poczuł kamienie pod stopami.

Patrzył pod nogi, a zarazem rozglądał się na boki, sprawdzając, czy nie mają towarzystwa. Vivian wciąż szła przodem. Purcell wyjął rewolwer z bocznej kieszeni spodni i wetknął go za pasek.

Vivian wreszcie się zatrzymała i oświadczyła:

– Jest skała.

Purcell dołączył do Vivian i spojrzał w kierunku zachodzącego słońca. Przed nimi rozciągało się głębokie obniżenie terenu, którego powierzchnię można było liczyć w hektarach. Rosły w nim jedynie nieliczne drzewa. Purcell dostrzegł na dnie doliny krzewy, pnącza i tropikalne kwiaty. Zobaczył także potężne czarne skały górujące nad roślinnością. Był to stary kamieniołom.

– Skała – zauważyła Vivian.

Sto metrów od nich, po drugiej stronie opuszczonego kamieniołomu, znajdował się wielki czarny monolit, skalny blok o długości siedmiu i szerokości trzech metrów. Został wykuty przez człowieka, lecz widocznie nigdzie nie przetransportowany. Jego powierzchnia błyszcząca w świetle zachodzącego słońca. Purcell nie potrafił zrozumieć, jak Vivian udało się dostrzec czarny monolit z miejsca, w którym siedzieli.

Usłyszał coś za plecami. Nakazał Vivian ukucnąć, sięgnął po broń i ukląkł zwrócony twarzą w stronę, z której dobiegały odgłosy.

Po chwili na skraju obniżenia pojawili się Gann i Mercado.

– Tu jesteście – odezwał się Gann. – Niech pan nie strzela, stary. Wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

Purcell włożył rewolwer do bocznej kieszeni spodni i skinął ręką, żeby podeszli.

– Co znaleźliście? – zapytał Gann.

– Kamieniołom.

– Znaleźliśmy skałę ojca Armano – powiedziała Vivian i wskazała monolit.

Mercado i Gann rozejrzeli się.

– Tak, to kamieniołom – oświadczył Gann. – Dobre rozpoznanie.

Mercado wpatrzył się w czarny monolit w głębi kamieniołomu. Spojrzał na Vivian i zapytał:

– Skąd możemy mieć pewność?

– To ta skała, Henry.

Gann zerknął na obrobiony skalny blok i powiedział:

– Rozejrzyjmy się zatem.

Słońce schowało się za wysokim monolitem. Po kamieniołomie rozpełzły się cienie.–

Kamieniołom nigdzie się nie wybiera – rzekł Purcell. – Rozbijmy tu obóz, a rano rozejrzyjmy się po okolicy.

Vivian skinęła głową, mówiąc:

– Wiedziałaam, że tu jest, Frank.

Purcell spojrział najpierw na nią, a potem na stronę, z której przyszli. Niemożliwe.

– Nie, to nie jest niemożliwe – powiedziała Vivian, kładąc rękę na jego ramieniu.

ROZDZIAŁ 52

Obudzili się przed świtem. Zjedli resztkę chleba i daktyli, zostawiając sobie na później tylko niewielką ilość suszonego koziego mięsa. Purcell pomyślał, że gdy głód stanie się nie do zniesienia, będzie im ono smakowało jak najlepszy stek.

Zdawał sobie sprawę, że nie wystarczy im żywności na drogę do Szooan; nie wiedział jednak, czy ruszą z powrotem jeszcze tego samego dnia. Spojrzał w kierunku kamieniołomu. Było jeszcze zbyt ciemno, aby mógł dojrzeć czarny kamienny blok, lecz wiedział, że on tam jest.

Musieli podjąć decyzję: czy szukać drzewa ojca Armano, a potem strumienia? Purcell był niemal całkowicie pewien, że Vivian miała rację: to była ta skała.

Zapytał o to, o czym wszyscy myśleli:

– Idziemy dalej czy maszerujemy do Szooan po zapasy, żeby tu wrócić?

Odpowiedziała mu tylko Vivian:

– Nie po to doszliśmy tak daleko, żeby wracać.

– Za chwilę zjemy ostatni kawałek koziny – przypomniał jej Purcell.

– Potrzebujemy tylko wody.

– Łatwo powiedzieć, kiedy ma się żołądek pełen daktyli. Henry?

Mercado spojrzał na Vivian i odparł:

– Idziemy dalej.

Gann przytaknął.

– Nie umrzemy z głodu – stwierdził. – Są tu węże. Odcięcie jadowitej głowy maczetą to pestka. Wystarczy gnojka wycisnąć, żeby zebrać dobre pół szklanki krwi. Mięso też nie jest najgorsze.

– Zastanówmy się nad wodą – zasugerował Purcell. – W moich rodzinnych stronach są kopalnie gipsu, w których było mnóstwo wody gruntowej. Trzeba było nawet ją wypompowywać.

– Tu także powinna być dobra woda – rzekł Gann.

– Jesteśmy więc zgodni co do tego, że znaleźliśmy właściwą skałę? – zapytał Purcell.

Wszyscy odpowiedzieli twierdząco.

– I że teraz musimy poszukać drzewa, którego może już nie być?

– Znajdziemy drzewo, strumień i czarny klasztor – odparła Vivian.

– Doskonale – powiedział Purcell. – Ojciec Armano nas nie zawiódł. Henry, wstaw szampana do lodu.

Mercado uśmiechnął się blade. Purcell spojrział na niego i pomyślał, że jego towarzysz nie wygląda najlepiej. Henry miał ściągniętą twarz, a jego oczy pociemniały i się zapadły. Purcell wręczył Mercado swój ostatni kawałek chleba, mówiąc:

– Częstuj się.

Lecz Mercado pokręcił głową.

Purcell rzucił mu chleb na kolana, a Vivian poprosiła:

– Zjedz to, Henry.

Podniosła chleb do jego ust, lecz Mercado znów pokręcił głową i oświadczył:

– Nic mi nie jest.

Vivian włożyła chleb do jego plecaka.

Purcell i Gann spojrzeli w słabym świetle na mapę.

Nie widzę tu niczego, co oznaczałoby opuszczony kamieniołom – stwierdził Gann. – Nie jestem więc pewien, gdzie jesteśmy, ale... Chyba tu.

Pokazał na mapie miejsce, w którym ciemna zieleń lekko się rozjaśniała. Kartografowie zaznaczyli w ten sposób obszar rzadziej pokryty roślinnością, który widać było na ich zdjęciach z samolotu.

Gann dodał:

– Poziomice wskazują, że teren za kamieniołomem się obniża i przybiera postać głębokiej i gęsto porośniętej niecki.

– Lecz jeśli chodzi o strumień wspomniany przez ojca Armano, to nie widać tu niczego takiego – zauważył Purcell.

– Na mapie widać tylko to, co można dojrzeć z powietrza – przypomniał mu Gann. – Czyli niewiele.

– Nie obchodzi mnie to, co jest na mapach – przerwała im Vivian. – Musimy się przekonać, co jest tam.

Powiedziawszy to, wyciągnęła rękę w kierunku czarnej skały.

– Słusznie – rzekł Purcell. – Ruszajmy.

Zarzucili na siebie plecaki i zaczęli schodzić poprzecinanym tarasami zboczem kamieniołomu. W niektórych miejscach czarny obsydian był śliski, a pnącza zamieniały się w zdradliwe pułapki.

Purcell zerknął na Mercado, który zdawał się dobrze sobie radzić.

Skalne dno kamieniołomu zagłębione było na sześć, może siedem metrów. Tuż nad nim dostrzegli wodę wypływającą spomiędzy skał. Umyli sobie twarze i ręce, a potem napełnili manierki. Za radą Ganna usiedli na skalnej półce, żeby poczekać, aż ich ciała się nawodnią.

Vivian spojrzała na czarny blok po drugiej stronie kamieniołomu. Słońce za ich plecami

wzniosło się nad korony drzew, a jego promienie padły na monolit.

– Patrzcie! – powiedziała Vivian.

Zobaczyli krzyż wyżłobiony na wschodniej stronie kamienia.

– Jesteśmy blisko – dodała Vivian.

Wstali; nie podniósł się jedynie Mercado, wpatrujący się w krzyż.

– Chodź, Henry, jesteśmy prawie na miejscu – poprosiła Vivian.

Mercado skinął głową, wstał i uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku dni.

Schodząc dnem kamieniołomu, zaczęli iść po nierównych skałach i przedzierać się przez splątaną roślinność.

– Patrząc na to miejsce, powiedziałbym, że opuszczono je bardzo dawno temu – powiedział Gann.

Purcell był ciekaw, czy właśnie ten kamieniołom dostarczał budulca, gdy wznoszono czarny klasztor. Założył, że tak. A jeśli ponownie zrobili to, co już wcześniej wychodziło im aż nazbyt dobrze? Jeśli przyjęli fałszywe założenia, źle zinterpretowali fakty albo dopasowali tropy do swoich teorii? Może nie tym razem. Coś mu mówiło, że stanęli u progu czarnego klasztoru.

Dotarli na drugi koniec kamieniołomu i zaczęli się wdrapywać na skalne tarasy. Była to dość łatwa wspinaczka, ale zorientowali się, że są bardziej wyczerpani, niż im się wcześniej wydawało.

Jeszcze raz popatrzyli na monolit wznoszący się na skraju kamieniołomu i przyjrzeni się krzyżowi głęboko wyciętemu w kamieniu przez zdolnego rzeźbiarza. Nie był to krzyż łaciński, lecz koptyjski.

Zauważyli również świeżo odsłonięte powierzchnie obsydianu, co dowodziło, że jeszcze niedawno ludzie odłupywali stąd kawałki skały.

– Domyślam się, że właśnie stąd zakonnicy biorą materiał na swoje małe wihajstry – rzekł Gann.

– To lepsze niż odłupywanie kawałków klasztoru – odparł Purcell.

Mercado przesunął się o metr i powiedział:

– Spójrzcie na to.

Gdy do niego podeszli, dostrzegli pozostałości ognisk, ogryzione kości kurczaków i skorupki jaj.

Gann powiedział głośno to, o czym wszyscy pomyśleli:

– Może to być miejsce, w którym Felaszowie spotykali się z zakonnikami i nocowali przed powrotem do Szoan.

Zgodzili się z tym przypuszczeniem, a Purcell dodał:

– Więc Szooan jest oddalone o dzień marszu. Nam dotarcie do tego miejsca zajęło pięć dni.
– Wygląda na to, że wybraliśmy długą trasę, lecz do Szooan niewątpliwie prowadzi także krótka i prosta droga – odparł Gann. – Będziemy musieli ją znaleźć.

– Racja. Tymczasem można spokojnie powiedzieć, że stąd do czarnego klasztoru idzie się jeden dzień.

– Ale w którym kierunku? – zapytał Mercado.

– Przypuszczalnie nie na wschód, nie w stronę Szooan – odpowiedział Gann. – Więc być może na północ, na południe albo dalej na zachód.

Vivian oddaliła się nieco i zawołała:

– Na zachód!

Weszli na wyżej położone miejsce na skałe i stanęli obok Vivian. Teren wokół kamieniołomu był w większości niezadrzewiony i pokryty odłamkami skał nagromadzonymi w ciągu setek lat wydobywania kamienia, lecz dookoła rosła gęsta dżungla. Na zachodzie, tam, gdzie patrzyła Vivian, stał obumarły kilkunastometrowy cedr oddalony od nich o niecałe sto metrów. Strzelisty pień drzewa odpornego na butwienie przybrał srebrnoszary kolor. Prawie wszystkie gałęzie cedru odpadły albo zostały ścięte, a dwie ocalałe rozciągały się poziomo, nadając drzewu kształt gigantycznego krzyża.

– Drzewo – powiedziała Vivian.

Purcell spojrzął na potężny cedr, który mógł tam rosnąć od wieków.

Wpatrywali się w niego także Gann i Mercado. Po chwili Gann zerknął na monolit i oświadczył:

– Sądzę, że znaleźliśmy już dwa punkty wyznaczające prostą.

Purcell wyjął kompas i stanął plecami do kamiennego bloku. Celując w drzewo, sprawdził, co pokazuje wskazówka przyrządu.

– Kilka stopni na zachód od kierunku północnego – powiedział.

– Musimy teraz znaleźć strumień – stwierdziła Vivian.

– Powinna to być najłatwiejsza rzecz, której dokonamy w tym tygodniu – odparł Purcell. – Henry, szukaj szampana.

Mercado się uśmiechnął.

Purcell przytulił Vivian, a ona uściskała Henry'ego, a potem pułkownika Ganna. Mężczyźni podali sobie ręce.

Wydawało się, że wszyscy odżyli i zapomnieli o zmęczeniu i niewygodach wędrówki.

Spoglądając na północ, Purcell dostrzegł małą, niezadaszoną chatynkę skleconą z kawałków czarnej skały. Opuszczony budynek otaczały kwitnące krzewy, a od góry osłonięty był gałęziami eukaliptusa.

– Założyłbym się, że to domek paskudnego nadzorca – rzekł Gann.

Ruszyli przed siebie, żeby sprawdzić, co jest w środku, a gdy znaleźli się trzy metry od chatki, nagle w jej otwartych drzwiach pojawił się mężczyzna. Wyszedł szybko na zewnątrz, a po nim pojawiło się kolejnych czterech.

Zobaczyli przed sobą pięciu ludzi w połowych mundurach, którzy skierowali w ich stronę karabiny ak-47.

Vivian wydała stłumiony okrzyk i chwyciła Purcella za ramię.

Jeden z żołnierzy krzyknął coś po amharsku, a pozostali wycelowali w Ganna, wrzeszcząc i gestami nakazując mu, by rzucił uzi na ziemię.

Gann zawahał się, lecz gdy żołnierz wystrzelił ogłuszającą serię ostrzegawczą nad ich głowami, upuścił broń.

Vivian mocno przytuliła się do Purcella.

W drzwiach zamajaczyła kolejna postać. Z domku wyszedł generał Getachu, prowadząc księżniczkę Miriam. Przewrócił ją na ziemię.

Spojrzał na Purcella, Mercado, Ganna i Vivian i powiedział:

– Czekałem na was.

ROZDZIAŁ 53

Frank Purcell wziął głęboki oddech, usiłując rozważyć ich położenie, lecz zrozumiał, że sytuacja nie wymaga szczególnej interpretacji.

Naliczył pięciu żołnierzy, pamiętając, że w kabinie hueya mieści się siedem osób. Jeśli zatem znaleźli się tu również Getachu i Miriam, to – o ile nie zjawili się wcześniej – nie powinno było być więcej żołnierzy.

Getachu miał kaburę przy boku, lecz nie wyjął pistoletu.

Purcell zerknął na uzi leżące na ziemi pomiędzy nim a Gannem. Półtora metra dzieliło go od broni. Zastanawiał się: czy jest zabezpieczona? Prawdopodobnie tak. Czy zdążyłby po nią sięgnąć, zanim zabiłyby go serie z pięciu ak-47? Prawdopodobnie nie.

Spojrzał na Mercado i zauważył łzy w jego oczach. Vivian wtuliła głowę w pierś Purcella. Była odwrócona plecami do żołnierzy. Gann spoglądał na Miriam, która z twarzą wciśniętą w ziemię leżała u stóp Getachu. Zauważył, że jej biała *shamma* jest rozdarta i zakrwawiona.

– Pułkownik Gann nie ucieszył się chyba na widok swojej księżniczki – odezwał się Getachu, patrząc na sir Edmunda. – Ja także się nie ucieszyłem, gdy wypuszczono was z więzienia w Addis Abebie. Teraz pożałujecie, że nie zostaliście tam rozstrzelani.

Getachu wiedział, że nie powinien spodziewać się odpowiedzi ze strony bezczelnego Anglika, więc mówił dalej:

– Złożyłem krótką wizytę w Szooan, żeby złożyć wyrazy uszanowania mojej księżniczce, zanim ludzie z onz-tu zdążyliby ją stamtąd zabrać.

Getachu spojrzał na Ganna, a potem na Purcella.

– I co tam znalazłem? – zapytał. – Spalony samolot. Pański samolot, panie Purcell. Ten sam samolot, z którego ostrzelano raketami helikopter, o czym zameldował przez radio mój pilot. Helikopter do tej pory nie wrócił i prawdopodobnie straciliśmy go razem z całą załogą. – Getachu wbił wzrok w Purcella. – Zdążyłem już postawić pana przed sądem wojskowym. Zostanie pan rozstrzelany. W ciągu najbliższych pięciu minut.

Purcell poczuł ciężar rewolweru w kieszeni spodni. Był pewien, że zdążyłby wydobyć broń i zastrzelić Getachu, zanim pięciu żołnierzy przeszłoby ich seriami z broni automatycznej. Przynajmniej zginęliby ze świadomością, że Getachu nie żyje.

Getachu zapalił papierosa i ciągnął swoją przemowę, sprawiając wrażenie, jakby wyuczył się jej na pamięć:

– Obiecałem panu papierosa, zanim miał pan zostać rozstrzelany w moim obozie, panie Purcell. Jest mi bardzo przykro, ale będę musiał złamać tę obietnicę. Obiecuję panu za to

szybką kulę w łeb.

Purcell obiecał to samo Getachu, lecz zachował tę informację dla siebie.

Getachu mówił dalej:

– Mieszkańcy Szoan udzielili zatem schronienia mordercom. Wyznali mi także, że samolotem przylecieli również pan Mercado i panna Smith, a księżniczka zaprosiła całą trójkę do siebie. Dlatego pan Mercado podzieli los pana Purcella, a panna Smith... – Getachu uśmiechnął się do Vivian. – Panna Smith będzie przez jakiś czas moją własnością, a później oddam ją żołnierzom.

Getachu powiedział coś po amharsku. Żołnierze uśmiechnęli się i spojrzeli na dziewczynę.

Vivian cała się trzęsła, a Purcell mocno ją tulił ją do siebie.

Gann spoglądał na Miriam, ale zwrócił się do Getachu.

– Co robiliście w Szoan? – zapytał.

– O, umie pan mówić. A jak pan myśli?

– Będziesz za to wisiał.

– Za co? Za to, że Oromowie zaatakowali Szoan, wyrznęli wszystkich i spalili wioskę? Co to ma wspólnego ze mną?

– Ty sukinsynu...

– Tak, tak, pułkowniku Gann. Getachu jest sukinsynem. Natomiast pan jest rycerzem. Rycerzem do wynajęcia, który się sprzedaje, żeby zabijać. Prostytutki na placu Świętego Jerzego biorą mniej, ale są lepsze w swoim fachu niż pan.

Gann spojrział na Getachu i odparł:

– Jesteś najbardziej niekompetentnym dowódcą, jakiego w życiu widziałem.

– Proszę nie prowokować mnie do wpakowania panu kuli w łeb. Wymyśliłem dla pana coś specjalnego – oświadczył Getachu.

Spojrzał na Miriam leżącą u jego stóp i kopnął ją w bok.

Miriam wydała jęk, ale nie podniosła głowy.

Gann uczynił krok do przodu, lecz żołnierze wycelowali w niego lufy karabinów. Zatrzymał się.

Getachu kontynuował:

– Gdy byłem młody, a księżniczka stała się kobietą, miała wtedy chyba czternaście lat, zacząłem o niej myśleć. Ja, Mikael Getachu, syn tkacza, który pracował w warsztacie ich królewskich mości. Opowiedziałem ojcu o swoich pragnieniach, a on oczywiście mnie stłukł. Lecz gdyby jeszcze żył, powiedziałbym mu: „Widzisz? Mam swoją księżniczkę”.

Wsunął but pod shamme Miriam i podciągnął ją, odsłaniając pośladki księżniczki.

Odezwał się po amharsku i żołnierze wybuchli śmiechem.

– Teraz przynajmniej mamy tę damę na spółkę – zwrócił się do Ganna.

Pułkownik wziął głęboki oddech. Domyślając się, że Gann zamierza rzucić się po uzi, Purcell powiedział:

– Nie.

Gann ponownie głęboko nabrał powietrza, wyprostował się, jakby stał w szyku defiladowym, i powiedział Getachu:

– Nie jesteś żołnierzem. Jesteś zwierzęciem.

– Proszę mnie nie prowokować. Umrze pan wtedy, kiedy zechcę, i w sposób, jaki sam wymyślę. Powiem panu, jak pan umrze: na krzyżu, przyglądając się, jak się gimnastykuję z pańską damą.

Getachu spojrział na Vivian i dodał:

– A może zabawię się z wami obiema. Tak. Myślę, panno Smith, że chętnie popatrzę, jak pani i księżniczka dotrzymują sobie towarzystwa.

Vivian, wciąż wczepiona w Purcella, nie przestawała się trząść.

Getachu skupił się na Mercado, który milczał, stojąc z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami.

– Czy i teraz obieca pan, że napisze o mnie coś miłego? – zapytał.

Mercado nie odpowiedział.

– Mówię do pana! – warknął Getachu. – Niech pan na mnie patrzy!

Mercado podniósł głowę i spojrział na Getachu.

– Oszczędzę pana, panie Mercado. Przeprowadzi pan ze mną wywiad i napisze pan miłe słowa o generale Getachu, człowieku z ludu. Tak?

Mercado popatrzył Getachu w oczy i odparł:

– Pierdol się.

Getachu wydawał się zaskoczony tą odpowiedzią.

– Co pan powiedział? – zapytał.

– Pierdol się.

Getachu położył dłoń na rękojeści pistoletu.

– Co pan powiedział, panie Mercado?

Tym razem Mercado odezwał się po amharsku. Żołnierze osłupieli i wycelowali w niego broń.

Getachu uspokoił ich ruchem ręki i zwrócił się do Mercado:

– Zaplanowałem dla pana szybką śmierć, bo pan się tu nie liczy, ale jeszcze to przemyślę.

Przypomniawszy sobie to, co kiedyś zrobił Gann, Mercado odwrócił się od generała.

Getachu spojrział na jego plecy, a potem skierował uwagę na otoczenie.

– Więc to tu Felaszowie spotykali się z zakonnikami i wymieniali towary – powiedział i zrejzował się jeszcze raz. – Powiedziano mi, że działa się tak od setek lat; to bardzo ładnie. Słyszałem o tym układzie i zapragnąłem osobiście zobaczyć to miejsce. A teraz słyszę, że nie będzie więcej spotkań, ponieważ Felaszowie wyjechali. Przybyłem więc, żeby dostarczyć zakonnikom żywność, i czekałem na nich i na was, bo miałem nadzieję, że się tu zjawicie. – Getachu spojrzął na Miriam. – To uparta kobieta, pułkowniku. Ale wyjawiała mi położenie tego miejsca, chociaż sędzę, że panu go nie zdradziła, bo zjawilibyście się tu wcześniej. Czekałem na was sześć dni i już porzuciłem nadzieję. Na szczęście księżniczka była tak miła, że nie pozwoliła mi się nudzić.

Purcell znowu pomyślał, że Gann zechce sięgnąć po uzi. Wiedział, że Getachu rozmyślnie zostawił broń blisko pułkownika, żeby pogłębić jego udramę.

Nie mylił się, gdyż Getachu powiedział:

– Dłaczegóż to żaden z dzielnych mężczyzn nie chce sięgnąć po broń? Czy nie lepiej zginąć z bronią w ręku? Proszę, panowie: pokażcie mi swoją odwagę.

Purcell przesunął się lekko, ustawiając się tak, żeby Vivian zasłaniała jego prawą rękę, i powoli zaczął opuszczać ją ku bocznej kieszeni spodni. Był pewien, że uda mu się zabić Getachu, i miał nadzieję, że gdy to zrobi, Gann rzuci się po uzi. Gdyby tak się nie stało, on, Purcell – o ile by jeszcze żył – sam sięgnie po pistolet maszynowy i być może zdąży wystrzelić serię. Niezależnie od biegu wydarzeń całą czwórkę rozerwałyby pociski wystrzelone przez żołnierzy. Byłoby to jednak lepsze od tego, co zaplanował dla nich Getachu. Purcell położył rękę na udzie Vivian, blisko kieszeni, w której miał rewolwer.

– Gdy tu z wami skończę, znajdę klasztor – poinformował ich Getachu. – Wiem, że jest niedaleko stąd. Odbiorę świętym mężom ich skarby, a może i życie. Wielu ludzi zginęło, żeby ochronić przedmiot zwany Graalem. Zginęli też ci, którzy go szukali. Was czeka to samo. Znaleźliście śmierć.

Purcell usłyszał szept Vivian:

– Nie, nie, nie... Frank.

Przytulił ją mocniej.

Getachu spojrzął na Miriam i przycisnął but do jej nagich pośladków. Miriam załkała i powiedziała coś po amharsku.

– Nie smuć się, moja księżniczko – powiedział Getachu. – Zaopiekuję się tobą. Jest ci smutno, bo straciłaś swojego angielskiego kochanka? Chcesz z nim porozmawiać? Chcesz mu powiedzieć, że go zdradziłaś? On to zrozumie. Cierpiełaś. On szybko zrozumie twój ból. I wybaczy ci, ponieważ będzie wiedział, do czego może doprowadzić cierpienie.

Purcell zdążył już włożyć rękę do kieszeni i objął rękojeść rewolweru. Nikt niczego nie

zauważył. Miał nadzieję, że pożyje wystarczająco długo, by zobaczyć Getachu wykrwawiającego się na śmierć.

Gann wydał nagle dziwny głos. Purcell spojrział i zobaczył, że pułkownik zakrył twarz rękami, zaszlochał i zaczął się trząść.

– Miriam! Miriam! – zawołał Gann.

Miriam podniosła głowę, popatrzyła na niego i powiedziała cicho:

– Edmundzie... Przepraszam...

Gann wyciągnął ręce i zrobił kilka kroków w jej stronę. Był już blisko, gdy dwaj żołnierze pochwycili go i odepchnęli do tyłu. Szamotał się z nimi przez krótką chwilę, nie przestając wołać:

– Miriam!

Purcell natychmiast zrozumiał, że Gann realizuje jakiś plan. Zrozumiał także, że nadeszła chwila, w której należało działać, i wydobył rewolwer. Wtedy coś nagle przeleciało w powietrzu i spadło na ziemię. Była to zawleczone granatu. Purcell zrozumiał, co zrobił pułkownik.

Getachu zaczął się wydierać po amharsku na swoich ludzi, ale nie zauważył granatu w rękę Ganna. Pułkownik zdjął go z parcianego pasa jednego z żołnierzy. Getachu nie dostrzegł także, że Gann wyrzuca odbezpieczony granat w powietrze.

Siedmiosekundowa ścieżka prochowa granatu paliła się już co najmniej od trzech lub czterech sekund. Purcell wiedział, że powinien rzucić się z Vivian na ziemię i zawołać do Mercado: „Padnij!”. Chciał jednak osobiście zabić Getachu. Przewrócił Vivian na ziemię, uniósł rewolwer i wycelował w serce generała.

Getachu zobaczył dwa obrazy pojawiające się szybko jeden po drugim: granat i celującego Purcella. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

Purcell strzelił. Odrzucony do tyłu Getachu uderzył plecami o kamienną ścianę domku. Purcell rzucił się na Vivian, chcąc ją osłonić, i odwróciwszy się do Mercado, wrzasnął:

– Padnij!

Granat wybuchł.

Ogłuszający odgłos eksplozji sprawił, że Purcell miał wrażenie, że rozerwało mu bębni. Ziemia pod nim zatrzęsała się.

Potem zapadła zupełna cisza. Purcell poczuł pieczenie w prawej łydce, którą drasnął gorący odłamek. Szepnął:

– Nie ruszaj się, Vivian. Getachu nie żyje.

Lecz nie był tego pewien.

Szybko stoczył się z Vivian i niepewnie ukląkł na jednym kolanie, kierując lufę rewolweru

w stronę chaty.

Nikt inny się nie podniósł.

Purcell wstał, wziął głęboki oddech i zrobił kilka kroków w stronę domku. W powietrzu unosił się kurz i czuć było zapach spalonych materiałów wybuchowych.

Dwaj żołnierze, którzy szarpali się z Gannem, broczyli krwią z licznych ran zadanych palącymi odłamkami.

Zakrwawiony był również Gann, którego ubranie przesiąkło czerwienią. Oddychał jeszcze, lecz na jego ustach pojawiła się spieniona krew.

Purcell zbliżył się do trzech żołnierzy, którzy wcześniej stali obok domku i blisko Getachu. Odnieśli mniej obrażeń, ale nie mogli wstać, krwawili i byli ogłuszeni wybuchem.

Purcell uniósł rewolwer i wpackował każdemu kulę w głowę.

Zbliżył się do leżącej Miriam. Nie dostrzegł krwi i pomyślał, że znajdowała się dostatecznie nisko, aby uniknąć trafienia odłamkami. Ukląkł obok i potrząsnął ją za ramię.

– Miriam! – odezwał się.

Dopiero wtedy zauważył ranę z boku jej głowy, w miejscu, w którym odłamek wbił jej się w czaszkę. Dotknął palcami szyi kobiety, lecz nie wyczuł pulsu. Naciągnął shamę na jej pośladki.

Wstał i spojrzał na Getachu siedzącego pod ścianą, na którą rzucił go pocisk. Miał twarz rozciętą odłamkiem, jego lewe oko zamieniło się w krwawą miąższę.

Krew wypływała także z jego ust, bo został trafiony w pierś. Śledził Purcella, przyglądając mu się swym jedynym okiem.

Próbował coś powiedzieć i Purcell ukląkł obok niego, chociaż i tak nic nie słyszał. Getachu splunął na Purcella krwistą śliną.

Purcell otarł krew z twarzy, przyłożył lufę rewolweru do ocalałego oka Getachu i pociągnął za spust.

Wstał, odwrócił się i spojrzał na Vivian, która wciąż się trzęsła. Nie dostrzegł żadnych śladów krwi ani obrażeń.

Skierował wzrok w miejsce, w którym stał Mercado. Zobaczył, że Henry leży twarzą do ziemi.

Purcell ukląkł przy Vivian i położył rękę na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Vivian skinęła tylko lekko głową, nie przestając wciskać twarzy w ramiona.

– Nie ruszaj się – powiedział Purcell.

Wstał, podszedł do Mercado i ukląkł przy nim. Odłamki granatu mocno poszarpały plecak Henry'ego, a także powbijały się w jego nogi i pośladki. Spodnie Mercado nasiąkły krwią.

Mokra była również jego koszula, lecz nie od krwi. Odłamki roztrzaskały butelkę szampana.

– Henry, jak się masz, stary? – zapytał Purcell.

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Henry! – powtórzył i potrząsnął Mercado za ramię.

Usłyszał szum i poczuł mrowienie w uszach. Była to niechybna oznaka, że wraca mu słuch.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Przecież powiedziałem, że dostałem. Dostałem – usłyszał.

Purcell nie potrafił ocenić, czy Mercado odniósł poważne rany; zauważył jednak, że Henry nie krwawił obficie. Zrozumiał, że odwróciwszy się plecami do Getachu, Mercado prawdopodobnie ocalił życie.

– Leż spokojnie, Henry – powiedział. – Zaraz wracam.

Podszedł do Vivian, ukląkł i ponownie położył rękę na jej ramieniu.

– Możesz wstać? – zapytał.

Vivian skinęła głową. Purcell pomógł jej stanąć na nogi, nie pozwalając jej jednak odwrócić się w stronę domku, aby nie ujrzała zmasakrowanych ciał.

Vivian objęła Purcella.

– Frank... O mój Boże... – wydusiła z siebie.

Rozplakała się, lecz po chwili wzięła głęboki oddech i zapytała spokojnym głosem:

– Co się stało?

– Getachu nie żyje – powtórzył Purcell.

Vivian próbowała spojrzeć za siebie, lecz Purcell ponownie ją powstrzymał.

– Żołnierze też nie żyją – powiedział. – Posłuchaj: wybuchł granat. Pułkownik Gann i Miriam zginęli.

Vivian wydała przeciągły krzyk. Opanowała się jednak i zapytała:

– A Henry?

– Z Henrym jest... Będzie wszystko w porządku.

Może.

Vivian spojrzała tam, gdzie ostatnio widziała Mercado. Leżał twarzą do ziemi, a na jego spodniach widać było krew.

– Henry! – zawołała Vivian.

Uwolniła się z objęć Purcella, który nie zaprotestował, podbiegła do Mercado i ukląkla obok niego.

– Henry!

Mercado odwrócił głowę do Vivian, spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Dzięki Bogu, żyjesz – powiedziała.

Purcell nie przypominał sobie, żeby Henry zapytał go, czy Vivian żyje, lecz pomyślał, że Mercado nie uczynił tego z powodu szoku.

Vivian zaczęła głaskać Mercado po włosach i twarzy, mówiąc:

– Wszystko będzie w porządku. Już jest. Tylko leż spokojnie... Boli cię?

– Trochę. Tak – odpowiedział Mercado.

Popatrzył na Purcella i zapytał:

– Czy będę żył?

Purcell ukląkł naprzeciw Vivian. Przyłożył palce do szyi Mercado i wyczuł jego dość mocny puls.

– Co z twoim oddechem?

– W porządku.

– Gann i Miriam nie żyją – poinformował swego towarzysza.

– Nie... O Boże... Co się stało?

– Gann wyciągnął granat – odpowiedział Purcell.

Wstał i podszedł do jednego z żołnierzy, których dobił. Do pasa nieboszczyka przymocowany był amerykański wojskowy zestaw pierwszej pomocy. Purcell zerwał brezentowe opakowanie, wrócił do Vivian i włożył jej apteczkę do ręki, mówiąc:

– W środku powinien być opatrunek uciskowy i jodyna. Zdejmij Henry’emu ubranie, to go opatrzymy.

Vivian skinęła głową i zapytała Mercado:

– Możesz usiąść?

Pomogła mu ułożyć się na plecach, co najwyraźniej sprawiło mu ból, a potem ostrożnie pociągnęła go za ręce. Henry usiadł. Vivian uwolniła go od plecaka i zaczęła rozpinać jego koszulę.

Purcell wrócił do pozostałych dwóch żołnierzy, których zastrzelił, żeby zabrać kolejne zestawy z opatrunkami. Sprawdził również tych, którzy stali najbliżej i przyjęli na siebie główny impet wybuchu, lecz ich wyposażenie było równie mocno poszatkowane, co ciała. Jeden z nich miał rozerwany brzuch, z którego wypłynęły jelita.

Purcell zbliżył się do Ganna. Ukląkł i przyłożył palce do jego szyi, lecz nie wyczuł tętna. Zamknął mu powieki, mówiąc:

– Dzielnie się pan spisał, pułkowniku.

Nagi Henry stanął tymczasem na czworakach, a Vivian zaczęła mu smarować jodyną nogi i pośladki, co sprawiło, że Mercado zaczął krzyczeć z bólu.

Purcell ukląkł obok towarzysza. Naliczył trzy rany od odłamków w jego lewej nodze i dwie

w pośladkach. Zauważył odłamek wystający z jednej z ran, więc go wyciągnął. Mercado wrzasnął wniebogłosy.

– Myślę, że miałeś dużo szczęścia – powiedział Purcell i wyjął z kieszeni scyzoryk. – Będzie bolało, ale nie ruszaj się i bądź cicho.

Udało mu się wydłubać z ciała Mercado prawie wszystkie odłamki; nie poradził sobie tylko z jednym. Podczas tego zabiegu Henry, zagadywany bez przerwy przez Vivian, zachowywał się dość spokojnie.

Purcell wręczył Vivian dwa pozostałe zestawy opatrunków, mówiąc:

– Zabandażuj te miejsca, które wyglądają najgorzej.

Spojrzeni na siebie.

– Pospiesz się – dodał Purcell. – Musimy się stąd wynieść.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała Vivian.

– Wiesz, dokąd.

Skinęła głową i zaczęła rozrywać brezentowe opakowania z bandażami.

Purcell wstał i jeszcze raz się rozejrzył. Zapalił papierosa.

– Mój Boże... O mój Boże... – westchnął.

Postanowił pochować pułkownika Ganna i Miriam, aby nie zostawić ich na pastwę szakali, ale nigdzie nie było szpadla, a nie chciał spędzać w tym miejscu więcej czasu, niż było to konieczne.

Podszedł do Ganna i dźwignął go za ramiona, a potem przeciągnął i ułożył obok Miriam. Skrzyżował im ręce na piersiach. Miał nadzieję, że ludzie Getachu poszukujący swojego dowódcy zrozumieją, że ktoś uszanował ciała, i być może zrobią to samo. A może ucieszą się, zobaczywszy generała z kulą w głowie?

Purcell zaczekał, aż Vivian pomoże Mercado włożyć ubranie. Henry trzymał się nieźle.

Purcell podciągnął nogawkę i przyjrzał się swojej ranie. Zauważył kawałek metalu wystający z łydki. Ujął go pewnie i wyciągnął.

Pomyślał o południowo-wschodniej Azji i przypomniał sobie, że trajektoria lotu odłamków wybuchającego granatu lub pocisku artyleryjskiego jest przypadkowa. Rozpalone kawałki metalu zabijały tam i okaleczały jednych, nie drasnawszy nawet innych. Nie miało wtedy znaczenia, czy w chwili wybuchu ktoś stał, czy leżał twarzą do ziemi, jak Miriam. Nieważne także było, czy ktoś znajdował się blisko, czy daleko. Bo gdy na kogoś przyszedł czas, nie było już odwołania. Właśnie przyszedł na pułkownika Ganna i na Miriam, ale nie na Mercado. Ani na Purcella i Vivian. Rzeczywiście, zostali wybrani.

Purcell podszedł do swych ocalałych towarzyszy i rzekł:

– Idziemy do czarnego klasztoru. Idziemy zobaczyć Świętego Graala.

ROZDZIAŁ 54

Purcell zabrał uzi i wręczył Vivian swój ponownie załadowany rewolwer, a Henry podniósł z ziemi jeden z ak-47. Zarzucili plecaki na ramiona i opuścili kamieniołom, schodząc z boczem w kierunku olbrzymiego cedru. Przed nimi wyrastała ściana tropikalnego lasu.

Maszerowali w milczeniu, lecz po chwili Mercado spytał Purcella:

– Zabrałeś prowiant żołnierzy?

– Nie.

– Więc powinniśmy po niego wrócić.

– Pozwól, by Bóg poprowadził cię za rękę – odparł Purcell. – Po to tu przybyliśmy.

– Tak... Pozwolę – odpowiedział Mercado po długiej chwili milczenia.

– Teraz wszyscy jesteście w rękach Boga – powiedziała Vivian.

Purcell nie musiał spoglądać na kompas. Wiedział, że mając za plecami cedr i monolit, idą na zachód.

Tuż przed ścianą drzew leżał wydeptany czarny kamień, za którym zaczynała się leśna ścieżka. Przekroczyli kamienny próg i weszli do lasu deszczowego. Panował w nim półmrok, bo gałęzie i pnącza nad ich głowami przepuszczały niewiele światła.

Teren łagodnie się obniżał, otaczały ich coraz wyższe drzewa, a sklepienie lasu było coraz gęstsze. Po jakimś czasie Purcell zauważył, że grunt stał się miękki i gąbczasty, jak na skraju bagna.

Ścieżka nie była już tak wyraźnie jak wcześniej wyznaczona ścianami roślinności, lecz nie gubili jej, bo patrzyli przed siebie i szukali wydeptanego podłoża.

– Nie widzę strumienia – oświadczył Mercado.

Nie usłyszeli odpowiedzi. Pomaszerowali dalej.

Grunt był już wyraźnie podmokły, a las zaczął się zmieniać. Purcell dostrzegł pierwsze baniany, a potem żywotniki i cyprysy, które pamiętał z południowo-wschodniej Azji.

Teren opadał coraz mocniej. Purcell domyślił się, że schodzą na dno zlewni wód z gór Semien. Widział już to miejsce z powietrza oraz na mapie, lecz nigdy nie pomyślałby, że właśnie tu może się znajdować czarny klasztor.

Patrząc z perspektywy czasu, zdał sobie sprawę, że być może zostali... zahipnotyzowani przez ojca Armano i jego historię, a ksiądz przekazał im wskazówki, ale nie wiedzę. Powiedział im dostatecznie dużo, aby wyruszyli na szlak, lecz nie aż tyle, aby doprowadzić ich do jego końca. Musieli dotrzeć do celu o własnych siłach. Jeśli naprawdę zostali wybrani, to miała im zostać wskazana właściwa droga.

Purcell rozejrzał się dookoła. Leśne otoczenie było na pozór przyjemne, lecz po obu stronach niknącej ścieżki znajdowały się zagłębienia wypełnione wodą i zarośnięte bagiennymi paprociami. Nad podmokłym terenem unosiły się chmury błotnych gazów, powietrze stawało się coraz cieplejsze i coraz bardziej cuchnące, a z gałęzi zwisały wiotkie pasma szarych mchów. Purcell zauważył wiele martwych drzew oraz selery błotne porastające powalone i butwiejące pnie. Na nagich konarach siedziały wielkie czarne ptaszyska, które zdawały się obserwować przechodzących ludzi. Purcell zdał sobie sprawę, że na mokradłach jest o wiele ciszej niż w dżungli: nie było na nich słyhać prawie żadnych owadów ani ptaków. Naszło go złe przecucie, lecz się nie odezwał. Parli do przodu.

Teren zdawał się osiągać najniższy poziom i zamienił się w prawdziwe bagno, a Purcell zaczął się zastanawiać, czy uda im się przez nie przejść. Był także ciekaw, czy zmierzają we właściwym kierunku. Ścieżka znikła, lecz gąbczasta ziemia tworzyła meandrującą wstęgę pozwalającą przejść ponad poziomem bagna. Gdy ich nogi zaczęły w końcu zapadać się w błoto, Vivian zdjęła buty, skarpety i ruszyła przed siebie na bosaka. Purcell i Mercado poszli w jej ślady.

Vivian zauważyła krew na nogawce Purcella.

– Zostałeś trafiony? – zapytała.

– Nic mi nie jest – odpowiedział.

– Obejrzę to – odparła.

– Już to oglądałem.

Lecz Vivian się uparła. Zatrzymali się i Purcell usiadł na pniu zwalonego drzewa. Vivian ukłękła w błocie i przyjrzała się ranie Purcella.

– Naprawdę nic mi nie jest – powiedział.

Vivian wyjęła jednak z kieszeni buteleczkę jodyny i odkażyła ranę, a potem usiadła obok Purcella.

Rozejrzeli się po bagnie. Nie powiedzieli tego głośno, lecz wiedzieli, że ojciec Armano o nim nie wspomniał.

– Usiądź, Henry – powiedziała Vivian.

Mercado usiadł na pniu, wykrzywiając twarz z bólu.

– Nie udało mi się wyciągnąć jednego odłamka z twojego ciała – przyznał się Purcell.

– Co ty powiesz – odparł Mercado.

Wszyscy się uśmiechnęli, chociaż uczynili to na siłę. Wciąż byli zszokowani i przerażeni tym, co się stało. Nadeszła chwila, w której musieli porozmawiać.

– Edmund Gann był bardzo odważnym człowiekiem – powiedział Purcell.

– Był żołnierzem i dżentelmenem... Prawdziwym rycerzem – dodał Mercado.

– Wiem, że teraz jest z Miriam – rzekła Vivian.

– To prawda – przyznał Henry.

Vivian położyła rękę na ramieniu Purcella i przyciągnęła go do siebie.

– Jesteś bardzo dzielnym człowiekiem, Purcell – powiedziała. – Wiesz, Henry, że Frank rzucił się na mnie, gdy wybuchł granat?

Mercado skinął głową.

Vivian dotknęła ręką jego ramienia i zapytała:

– Co powiedziałeś Getachu, kiedy odezwałeś się do niego po amharsku?

– Nic niezwykłego – odparł Mercado. – Powiedziałem mu, że jego matka była zawszoną prostytutką, która powinna była go udusić, gdy tylko się urodził.

– Byłeś trochę brutalny, Henry – stwierdziła Vivian i się uśmiechnęła.

– Mam nadzieję, że ten gnojek już się smaży w piekle – powiedział Mercado.

Zapadło milczenie, a po minucie Mercado zapytał Vivian:

– Masz jeszcze czaszkę ojca Armano?

– Tak.

– W takim razie zaniesiemy ją tam, dokąd chciał pójść – oświadczył Henry.

Wstał i zapytał:

– Gotowi?

Purcell i Vivian podnieśli się z pnia.

– Strumień jest przed nami – powiedziała Vivian.

Ruszyli w dalszą drogę.

Teren zaczął się wznosić, a bagno ponownie przechodziło w tropikalną dżunglę. Zobaczyli przed sobą wydeptaną leśną ścieżkę.

Vivian zatrzymała się nagle i powiedziała:

– Słuchajcie!

Purcell i Mercado zrobili, co kazała, i zaczęli wytyczać słuch, lecz niczego nie usłyszeli.

– Co usłyszałaś? – zapytał Mercado.

– Wodę – odpowiedziała Vivian.

Skreśliła w prawo, a jej towarzysze podążyli za nią.

Po chwili zobaczyli niewielki, zarośnięty liliami wodnymi i pnączami strumień spływający po zboczu. Purcell pomyślał, że to właśnie on zbiera wody spływające z okolicznych wzgórz.

Vivian ukłękła i włożyła rękę do strumienia. Odwróciła się do Purcella i Mercado, prosząc ich bez słów, by uczynili to samo.

Mężczyźni ukłękli i pochylili się, a woda zaczęła obmywać ich dłonie.

– Oto strumień – powiedziała Vivian. – Podążymy z jego biegiem czy pójdziemy ścieżką?

Strumień i ścieżka zdawały się zmierzać w tę samą stronę, lecz Purcell pomyślał, że być może w którymś miejscu rozejdą się w różnych kierunkach.

– *Ruscello* – rzekł Mercado. – Ksiądz powiedział to dwa razy: *il ruscello*, strumień.

Vivian wstała i skinęła głową. Weszli bosymi nogami do zimnej płytkiej wody i ruszyli pod prąd.

Nie patrząc na zegarek, Purcell stwierdził, że maszerują już pięć godzin i zbliża się południe. Od miejsca, w którym zakonnicy spotykali się z Felaszami, dzieliło ich pół dnia drogi. Szli głównie na zachód, nawet wtedy, gdy musieli podążać ścieżką meandrującą wśród bagien. Ta wędrówka nie sprawiała im trudności, lecz Purcell usiłował sobie wyobrazić ojca Armano biorącego udział w patrolu dowodzonym przez sierżanta o imieniu Giovanni. Musieli wyruszyć spod czarnej skały, nie wiedząc, że było to miejsce, w którym koptyjscy chrześcijanie spotykali się z Żydami. Później Giovanni i jego ludzie doszli do wielkiego cedru, a następnie przemierzili dżunglę, bagna i dotarli do strumienia. Sierżant przypadkowo znalazł wszystkie te miejsca podczas poprzedniego patrolu. Gdy później on, ksiądz i żołnierze przybyli do czarnego klasztoru, udało im się dostać do środka dzięki trzcinowemu koszykowi, lecz tylko ojciec Armano uszedł z tej przygody z życiem.

A gdy zagoiły się jego rany – za sprawą natury lub przeznaczenia – przekazano go rojalistycznym żołnierzom i zaprowadzono do więzienia w fortecy, w którym spędził blisko czterdzieści lat. To, co ujrzał w klasztorze, utrzymywało go przy życiu nie tylko przez te lata, lecz także wtedy, gdy śmiertelnie ranny maszerował tam, gdzie doświadczył czegoś wyjątkowego – być może cudu – czegoś, co kazało mu wrócić. Dotarł jednak tylko do zrujnowanego uzdrowiska, którego nigdy wcześniej nie widział, i spotkał troje szukających czegoś ludzi. Szukali wojny. Ojciec Armano zapytał ich, albo Vivian, „*Dov'è la strada?*”. Gdzie jest droga?

Właśnie: gdzie? Jest przecież wiele dróg.

Dżungla zaczęła się zagęszczać, a strumień był coraz węższy. Dostrzegli mniejsze, wpadające do niego strumyki, którymi spływała woda z wyżej położonych terenów. Zauważyli również więcej skupisk palm. Parli przed siebie, nie mając wątpliwości, że gdzieś przed nimi znajduje się czarny klasztor. Dotarcie do niego było kwestią godzin lub dni; wiedzieli jednak, że prędzej czy później staną przed murami czarnej, ukrytej przed ludzkim wzrokiem zamkniętej dla gości budowli, i mieli nadzieję, że ujrzą czekający na nich trzcinowy kosz.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, a plamy jego światła przenikającego w głąb dżungli zaczęły ciemnieć. Trudno było dostrzec to, co znajdowało się dalej niż dziesięć metrów przed nimi. Prowadził ich jednak strumień.

Dżungla zaczęła wyglądać nieco inaczej. Purcell pomyślał, że stało się tak z powodu zmieniającego się oświetlenia. Po chwili dostrzegł jednak palmy daktylowe i chlebowce, a także inne drzewa, obwieszane mięsistymi owocami i orzechami. Dno lasu pokryte było kobiercem sępolii. Znaleźli się w założonym przez ludzi tropikalnym ogrodzie, trudnym do wypatrzenia na tle otaczającej go dziewiczej dżungli. Purcell widywał już takie ogrody w południowo-wschodniej Azji.

– Klasztor jest tuż przed nami – powiedział.

– Wiem – odparła idąca przodem Vivian.

Strumień ostro skręcił w prawo. Szli jego korytem jeszcze minutę, a potem Vivian wyszła z wody i pomaszerowała ku dwóm wyniosłym palmom.

Purcell i Mercado dołączyli do niej.

Dziesięć metrów przed nimi, za siedmiometrową ścianą bambusów, wznosił się czarny mur.

Vivian spojrzała na błyszczące kamienie i powiedziała po prostu:

– Jesteśmy na miejscu.

ROZDZIAŁ 55

Purcell nie zastanawiał się wcześniej, jak mogłyby wyglądać mury czarnego klasztoru. Stojąc u stóp ściany dorównującej wysokością trzypiętrowemu budynkowi, zauważył, że zbudowano ją bez użycia zaprawy z kamiennych bloczków, które wielkością i kształtem przypominały cegły.

Słońce było już nisko i miejsce, w którym stali, zakrył cień, lecz gąszcz bambusów i palm wciąż sprawiał wrażenie, jakby został uwieczniony na połyskującym murze oświetlonym resztką słonecznego światła.

Nie wiedzieli, co zrobić ani powiedzieć. Purcell pomyślał jednak, że droga, która ich tu przywiodła, była pełna zdradliwych pułapek i śmierci, a zarazem obfitowała w akty bohaterstwa i wzajemnej troski, a także we wspomnienia, których miało im nie zabraknąć do końca życia. Nieważne, jak długo szli.

– Myślicie, że ktoś tu jest? – zapytał Mercado.

– Przekonajmy się – odpowiedziała Vivian.

Przedarli się przez gąszcz bambusów i zobaczyli ścieżkę biegnącą wzdłuż muru. Skręcili w prawo.

Przeszli ponad sześćdziesiąt metrów, obeszli narożnik i znaleźli się po północnej stronie czarnego klasztoru. Idąc dalej wzdłuż muru, dotarli najpierw do następnego narożnika, a potem skręcili jeszcze dwa razy w lewo i znaleźli się w miejscu, z którego wyruszyli. Przypomnieli sobie, co powiedział im ojciec Armano: klasztor był budowlą w średniowiecznym stylu i nie miał wejść.

Zobaczyli wielki kosz spuszczonej na ziemię na grubej linie.

Purcell już miał zapytać, czy zamierzają wejść do trzcinowej windy; pomyślał, że któreś z nich się zawaha albo będzie chciało to przedyskutować. Niepotrzebnie.

Vivian rzuciła swój rewolwer na ziemię i weszła do kosza. Mercado upuścił ak-47 i podążył w jej ślady. Spojrzeli na Franka.

– Może... Ktoś powinien przeżyć? – zapytał Purcell.

– Decyzja należy do ciebie, Frank – powiedziała Vivian.

– I nie czekaj na nas zbyt długo – dodał Mercado.

Purcell zawahał się, lecz w końcu upuścił uzi, wszedł do kosza i chwycił linę, której trzymali się Mercado i Vivian.

Kosz zaczął się wznosić.

Nie spoglądali w górę, żeby sprawdzić, czy ktoś stoi na szczycie muru, bo wiedzieli, że

nikogo tam nie będzie.

Kosz zatrzymał się i zobaczyli sklepienie kościoła, o którym opowiedział im ojciec Mercado.

Przeszli na drugą stronę. Stanęli na drewnianej kładce ciągnącej się wzdłuż murów i spojrzeli w dół, na klasztor. Było tak, jak powiedział im ksiądz: zobaczyli fontannę, ogrody, eukaliptusy, palmy i staw. Wyniosłe sklepienie wielkiej świątyni zbudowano z półprzezroczystego materiału; ksiądz wspomniał i o tym. Odnieśli wrażenie, że wokół nie ma żywego ducha, lecz przecież ktoś musiał być w klasztorze.

I tym razem Vivian, nie wahając się ani niczego nie komentując, poprowadziła ich za sobą. Dotarli do schodów prowadzących w dół.

Podeszli do zamkniętych drzwi kościoła. Były pokryte srebrną blachą, którą ktoś najwyraźniej niedawno oczyścił i wypolerował. Zobaczyli na niej symbole wczesnych chrześcijan: baranki, ryby i palmy. Na środku każdego ze skrzydeł widniał krzyż koptyjski.

– Masz przy sobie broń? – zapytała Purcella Vivian.

– Nie – odpowiedział.

– Więc otwórz drzwi.

Purcell pociągnął za wielki pierścień. Drzwi ustąpiły bez trudu. Wszedł do środka, a za nim podążyli Vivian i Mercado.

Wnętrze wielkiej świątyni uderzyło ich prostotą, a nawet surowością. Posadzkę i ściany zbudowano z czarnego kamienia i niczym ich nie ozdobiono. Purcell przypomniał sobie kościół Świętego Anzelma w Berini. Ołtarz w klasztornej kościele wyglądał jednak inaczej niż ołtarz na Sycylii: był to prosty, toporny stół częściowo zakryty białym obrusem, na którym stał koptyjski krzyż. W klasztornej kościele nie było również witraży – i nie było okien.

Słońce świeciło jeszcze na tyle wysoko, że jego promienie przenikały przez wysokie sklepienie kościoła. Przez półprzezroczystą kopułę wpadało do wnętrza dziwne światło, jakby rozszczerzone przez pryzmat. Ściany oświetlone były tańczącymi kolorami tęczy: czerwienią, zielenią i błękitem, które najpierw występowały osobno, a później mieszały się ze sobą, stwarzając nowe odcienie.

Purcell zobaczył drzwi za ołtarzem. Ruszył w ich stronę, a Mercado i Vivian podążyli jego śladem.

– Tędy szedł ojciec Armano – powiedziała Vivian ledwie dosłyszalnym głosem.

Drzwi były otwarte. Purcell przekroczył je i poczuł, chociaż jeszcze nie zobaczył, że znajduje się w wielkim wnętrzu. Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegł, że znajduje się w długiej wąskiej galerii z dwoma rzędami kamiennych kolumn.

Vivian zbliżyła się do Purcella i położyła rękę na jego ramieniu. Mercado zatrzymał się obok Vivian. Stali w tym samym miejscu, w którym czterdzieści lat wcześniej znalazł się

ojciec Armano ze swoimi dziesięcioma żołnierzami. Nie ruszyli jednak przed siebie jak kiedyś ksiądz, sierżant Giovanni i ich ludzie, ale i się nie cofnęli.

Na końcu długiej galerii migotały dwie świece, lecz ich światło było tak słabe, że byli w stanie dostrzec tylko płomyki.

Wpatrzyli się w nie.

– Jest tu – powiedziała Vivian.

Wzięła Purcella i Mercado za ręce i ruszyła z nimi między dwoma rzędami grubych kolumn.

Mijając je, Purcell pomyślał, że powinien odczuwać strach, lecz było inaczej: poczuł przepełniający go spokój.

Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że świece stoją na środku stołu. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, zauważyli, że to bardzo długi stół przykryty białą tkaniną, która zdawała się świecić własnym światłem.

Po drugiej stronie stołu stało trzynaście drewnianych krzeseł z wysokimi oparciami. Purcell rozumiał, że wszystkie te przedmioty nawiązują do Ostatniej Wieczerzy. Krzesła przeznaczone były dla Chrystusa i dwunastu apostołów, w tym Judasza, chociaż jego krzesło w wielu przedstawieniach było pomijane.

Vivian i Mercado z początku go nie dostrzegli, ponieważ był niewielki, a brąz, z którego go zrobiono, nie został wypolerowany. Między dwiema świecami, naprzeciwko krzesła Jezusa, stała kiduszcowa czarka używana podczas paschy. Święty Graal.

Vivian puściła ręce swych towarzyszy i zbliżyła się do stołu. Spojrzała na czarkę. Mercado również podszedł, a ujrzawszy naczynie, powiedział:

– Jest pełny.

– Jest piękny – dodała Vivian i odwróciła się do Purcella. – Frank?

Purcell patrzył, lecz niczego nie widział.

– Frank? – powtórzyła Vivian; wyglądała na zaniepokojoną. – Widzisz go?

Purcell nie odpowiedział.

– Jak możesz go nie widzieć? – zapytał Mercado, nie odrywając wzroku od stołu.

– Nic tu nie ma.

Vivian ponownie spojrzała na Purcella, a później skierowała wzrok między dwie świece.

– Frank... Czujesz to? – zapytała.

– Nie... Niczego tu nie widzę, Vivian – odparł, zdając sobie sprawę, że Vivian i Mercado ulegli wspólnej halucynacji.

Po twarzy Vivian zaczęły spływać łzy.

– Frank... musisz go zobaczyć – powiedziała. – Dlaczego go nie widzisz?

Purcell podszedł do stołu i włożył rękę między świece, lecz niczego tam nie było.

– Chcesz go zobaczyć czy dowieść swojej racji? – zapytała Vivian.

Purcell stał, nie wiedząc, co powiedzieć ani co zrobić.

– Chcę go zobaczyć – rzekł w końcu. – Wierzę, że tu jest.

Mercado sięgnął do plecaka Vivian, wyjął z niego czaszkę i zaczął szybko odwijać folię.

– Co robisz, Henry? – zapytał Purcell.

– Sprowadziliśmy ojca Armano do domu – powiedziała Vivian.

– Nie, schowajcie ją.

Lecz Mercado ustawił czaszkę na środku stołu, zwracając jej oczodoły w stronę krzesła i czarki Chrystusa.

Purcell wziął głęboki oddech i sięgnął po czaszkę. Poczuł, że coś, raz i drugi, dotknęło grzbietu jego dłoni. Zerknął na swą rękę i dostrzegł dwie czerwone krople połyskujące w świetle świec.

Przyglądał się przez chwilę, jak spływają mu na nadgarstek, a gdy spojrzął na stół, zobaczył małą czarkę z brązu, której wcześniej nie widział.

Nie odrywał od niej wzroku, chcąc się upewnić, że naprawdę ją widzi.

– Widzę go – powiedział.

Pokazał Vivian i Mercado wierzch swojej dłoni. Uśmiechnęli się.

– Zaczynaliśmy już się o ciebie martwić, Frank – rzekł Mercado.

– Ja nigdy się o ciebie nie martwiłam – zapewniła Purcella Vivian. – Musiałeś tylko uwierzyć w to, co nosiłeś w swoim sercu.

Purcell skinął głową.

Spojrzeni w górę i zobaczyli włócznię wiszącą w powietrzu. Gdy się w nią wpatrywali, na końcu jej ostrza uformowała się czerwona kropla, która po chwili oderwała się i wpadła do czarki.

Usłyszeli coś. Odwrócili się i dostrzegli postaci wyłaniające się z mroku między kolumnami. Gdy się zbliżyły, rozpoznali zakonników odzianych w habity. Mieli kaptury na głowach i szli parami. Podszedłszy bliżej, rozdzielili się i ustawili w szeregu tuż za ich plecami.

Zakonnicy ukłękli, spoglądając na długi stół, a potem pochylili głowy i pograżyli się w cichej modlitwie.

Vivian ujęła Purcella i Mercado za ramiona i odwróciła ich ku stołowi. Ukłękli. Vivian chwyciła ich za ręce. Wspólnie pochylili głowy jak zakonnicy.

– Przebyliśmy długą drogę i nie lękamy się – powiedziała cicho Vivian.

Purcell nie wiedział, do kogo mówiła: do niego, do zakonników czy do Boga. Poczuł

pewien lęk, zobaczywszy, że zakonnicy znikli, lecz mimo to ścisnął rękę Vivian i odparł:

– Nie ma czego się lękać.

– Powiedziałem ci, Frank: zostaliśmy wybrani – rzekł Mercado.

– Możemy wracać do domu – dodała Vivian.

Purcell skinął głową. Był gotowy na powrót.

CZĘŚĆ V

RZYM, LUTY

*Wszak tam podróży miłosnej szranki,
Gdzie swej kochanek dobiegł kochanki [...].*

William Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli*, II, przeł. Leon Ulrich, Państwowy Instytut
Wydawniczy, Warszawa 1973

ROZDZIAŁ 56

Frank Purcell siedział na ławce, paląc papierosa. Było pochmurne lutowe popołudnie, a od strony Gianicolo – wzgórza Janusa – wiał zimny wiatr. Watykańskie ogrody były niemal zupełnie opustoszałe.

Purcell miał wyjechać z Rzymu, lecz chciał jeszcze raz zobaczyć się z Vivian i Henrym.

Mercado zaproponował kolację w Etiopii, lecz Purcell wołał spotkać się z nim w watykańskim parku. Miała to być krótka i serdeczna rozmowa niezakrapiana alkoholem.

Było wpół do szóstej, a Henry jak zwykle się spóźniał. Purcell zobaczył jednak zbliżającą się Vivian. Zauważyła go, uśmiechnęła się, pomachała ręką i przyspieszyła kroku.

Purcell wstał. Wahali się przez chwilę, lecz w końcu uściskali się i cmoknęli na odległość.

– Zarezerwowałem ci miejsce – powiedział Purcell.

Vivian uśmiechnęła się i usiadła na drugim końcu ławki. Purcell zgasił papierosa.

– Mogę się poczęstować? – zapytała Vivian.

– Nie powinnaś – odparł, ale podsunął jej paczkę marlboro i podał ogień, uważając, by zapalka nie zgasła na wietrze.

Vivian zaciągnęła się, wypuściła obłoczek dymu i głęboko wciągnęła mgliste powietrze.

– Zimno – powiedziała.

– Zbliża się wiosna.

Zamilkli na chwilę, a potem uświadomili sobie, że być może już nigdy nie usiądą razem na ławce w parku i więcej się nie spotkają.

– On mnie potrzebuje – rzekła po chwili Vivian.

Purcell nie odpowiedział.

– A ty nie – dodała.

– Chyba już o tym rozmawialiśmy.

– Czy będę mogła wrócić, jeśli zmienię zdanie?

Powinien był zachować się stanowczo i powiedzieć: nie, ale odparł:

– Tak.

– Ale wtedy będziesz już z kimś innym.

Purcell się nie odezwał.

– Czy możemy pozostać przyjaciółmi?

– Nie musisz o to pytać.

Zamilkli. Purcell zerknął na drugi koniec ciemnego i wietrznego parku obok Kolegium Etiopskiego.

Vivian spojrzała w tę samą stronę i powiedziała:

– Do tej pory nie wywołałam zdjęć. Masz zamiar napisać o... naszych poszukiwaniach?

Purcell pomyślał, że świat nie musi dowiedzieć się o tym, o czym wiedzieli on, Vivian i Mercado. Nie potrzebowali tego również zakonnicy.

– Myślę, że powinniśmy zamknąć rozdział pod tytułem „Etiopia” i żyć dalej – odpowiedział.

– To nasza piękna i smutna tajemnica – rzekła Vivian, skinąwszy głową.

– To prawda.

– Wróciłbyś tam jeszcze?

– Tak, gdybym miał odpowiednią fotografię.

Vivian roześmiała się i zapytała:

– Masz jakieś widoki na pracę?

– Prawdopodobnie lepsze niż ty.

Vivian się uśmiechnęła.

– Szukam czegoś w Stanach – powiedział Purcell. – Dawno tam nie byłem.

– Daj mi znać, w jaki sposób będę mogła się z tobą skontaktować.

– Dobrze – odparł Purcell i zerknął na zegarek. – Muszę jeszcze napisać coś o Roku

Jubileuszowym.

Vivian uśmiechnęła się i zapytała:

– Dlaczego nie przyjdiesz na kolację?

– Dzięki, ale muszę się jeszcze z kimś spotkać.

– Jak długo zostaniesz w Rzymie?

– Jutro wyjeżdżam – odpowiedział Purcell.

Vivian spojrzała na niego.

– Lecę do Londynu, na spotkanie z rodziną pułkownika Ganna – dodał. – Mieszkają tam jego była żona, która była z nim w dobrych stosunkach, i dwójka jego dorosłych dzieci.

– To miło z twojej strony.

– Brytyjska ambasada nie ma na razie żadnych wiadomości o jego ciele.

– On jest już w niebie, Frank.

– To prawda. Czy Henry przekazał czaszkę właściwym ludziom?

– Tak. Może moglibyśmy spotkać się w Berini?

Purcell nie wiedział, o czym pomyślała Vivian, mówiąc „my”.

– Dam ci znać, kiedy się tam wybiorę – powiedział.

– Będę twoją tłumaczką.

Purcell uśmiechnął się do Vivian. Po chwili milczenia zapytał:

- Powiedz mi jeszcze raz: dlaczego zakonnicy pozwolili nam odejść?
- Bo wiedzieli, że zostaliśmy wybrani.
- Podobnie jak ojciec Armano, który spędził czterdzieści lat w ciasnej celi.
- Wszyscy Felaszowie wyjechali już z Szooan, a zakonnicy opuścili klasztor i zabrali Graala.
- Fakt.

Purcell jeszcze raz spojrzął na Kolegium Etiopskie, do którego wchodziła grupa zakonników, i przypomniał sobie opuszczony czarny klasztor. Zakonnicy załadowali tuzin wozów zaprzężonych w osły i prawdopodobnie zabrali ze sobą Świętego Graala i włócznię Longinusa, aczkolwiek Vivian miała wrażenie, że włócznia była tylko widmem pojawiającym się nad Graalem.

Zakonnicy zabrali ich ze sobą, a gdy dotarli do klasztoru Kirkos nad jeziorem Tana, umieścili nieproszonych gości w niewielkiej łodzi z dwoma wiosłarzami, którzy przemierzyli jezioro i wpłynęli na wody Nilu Błękitnego. Później wiosłarze wysiedli na brzeg, a niesiona przez szybki nurt łódź z Purcellem przy sterze przekroczyła granicę z Sudanem, a potem dowiozła ich do Chartumu. Amerykańska ambasada pomogła trójce zbiegłych reporterów dostać się samolotem do Kairu.

Purcell postanowił spędzić w tym mieście kilka dni, aby zajrzeć do swojego mieszkania i odwiedzić kilka osób w biurze ap. Henry i Vivian polecieli do Rzymu. Dołączywszy do nich później, Purcell nie był zaskoczony, że zatrzymali się razem w hotelu Excelsior.

Pomyślał wówczas o tym, o czym zawsze wiedział: że Henry i Vivian pasują do siebie bardziej niż Vivian i on. Lecz bardziej nie znaczy przecież najbardziej. Purcell wciąż lubił Henry'ego, lecz nie tak bardzo, jak Henry lubił jego. Powiedziałby to Vivian – jako przyjaciółce – ale mogłaby pomyśleć, że tak przemawia zazdrosny były kochanek. Nie wspomniał zatem o tym ani słowem.

Powiedział za to:

- Miałem cię zapytać: do czego zostaliśmy wybrani?
 - Zastanawiałam się nad tym. Myślę, że zostaliśmy wybrani, aby nadać jakiś sens życiu ojca Armano. Sądzę, że Bóg go pobłogosławił i postawił na naszej drodze, aby mógł umrzeć w spokoju.
 - Okej, ale dlaczego wybrał właśnie nas?
- Vivian uśmiechnęła się i odpowiedziała:
- Widocznie jesteśmy wyjątkowi.
 - Rzeczywiście, nie widzę tu nikogo oprócz nas.
 - Nie bądź znowu cyniczny, Frank. Jak możesz zdobyć się na cynizm po tym, co zobaczyłeś?

– Nie jestem pewien, co widziałem.
– A ja jestem.
– Zazdroścę ci.
– Otwórz swoje serce, Frank. Jeśli wierzysz w miłość, wierzysz także w Boga. Nie wierzysz w miłość?

– Nie powinnaś o to pytać – odparł Purcell i spojrzawszy na zegarek, wstał. – Pożegnaj ode mnie Henry’ego i powiedz mu, że zobaczymy się następnym razem, gdy będę w Rzymie.

Vivian także wstała. Spojrzeli na siebie.

Purcell pomyślał, że Vivian poprosi, aby odprowadził ją do dróżki biegnącej w stronę biura Henry’ego. Nie zrobiła tego jednak.

– Bądź szczęśliwa – powiedział.

– Niech Bóg obdarzy cię spokojem i miłością – odparła.

– Ciebie również.

– Połączyło nas coś, co będzie trwało na wieki.

– To prawda.

Niewiele już było do powiedzenia. Purcell nie chciał zachować się niestosownie ani zbyt ckliwie, zatem powiedział tylko:

– Trzymaj się.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

Był to pierwszy raz, kiedy jego poczucie straty nie zostało złagodzone przez uczucie ulgi. Czuł się tak, jakby oddał się od życia.

Wiedział, że w takiej chwili nie należy się odwracać, lecz coś sprawiło, że spojrzął za siebie.

Vivian wciąż stała obok ławki i patrzyła na niego.

Zrobił jeszcze kilka kroków i ponownie się odwrócił. Vivian w dalszym ciągu nie odrywała od niego wzroku.

Zawrócił, a ona wyszła mu naprzeciw.

Zatrzymali się metr od siebie. Purcell dostrzegł łzy w jej oczach.

– Gdzie jest Henry? – zapytał.

– Powiedziałam mu, żeby nie przychodził.

Purcell skinął głową.

– Powiedziałeś, że będę mogła do ciebie wrócić.

Pomyślał, że zadał pytanie retoryczne, lecz najwyraźniej tak nie było.

Vivian uśmiechnęła się i zapytała:

– Jesteś zajęty?

– Nie.

– Teraz już tak.

Purcell nie wiedział, co powiedzieć, więc zapytał:

– Przejdziemy się?

Vivian wzięła go pod rękę i ruszyli parkową alejką.

– Powiedziałeś, że kiedyś będziemy musieli wrócić na Wzgórze Kapitołańskie – przypomniała Purcellowi Vivian.

– Tak – odparł. – Czy twoje rzeczy są już w moim pokoju w Forum?

– Nie jestem aż tak beczelna – odpowiedziała. – Są w holu. Uwierz, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

– Wierzę.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym najpierw podziękować Rolfowi Zetterstenowi z wydawnictwa Center Street, który w jednej chwili na poważnie zainteresował się moim pomysłem wprowadzenia zmian w tej powieści i ponownego jej opublikowania. Ustaliliśmy to w barze. Nieczęsto się zdarza, że dobre decyzje zapadają przy drinkach, a jeszcze rzadziej – że wytrzymują do następnego dnia. Jestem wdzięczny Rolfowi za jego entuzjazm i za naszą wieloletnią przyjaźń.

Rolf znalazł mi też przyjaciółkę na całe życie: jest nią moja redaktorka Kate Hartson. Kate przeczytała pierwszą wersję tej powieści i natychmiast stwierdziła, czego w niej brakuje. Więcej seksu – powiedziała. Albo więcej romantyzmu. Pomogła mi w ustaleniu związków i emocjonalnych zawirowań łączących wymyślonych przeze mnie bohaterów i zasugerowała mi szczęśliwe zakończenie całej historii. Wielkie dzięki, Kate – za pomoc, a zwłaszcza za cierpliwość, kiedy zawałałem kolejne terminy.

Ogromne podziękowania składam również mojej asystentce: jest nią Patricia Chichester, która uwielbia tę książkę, mimo iż spędziliśmy nad nią wiele długich wieczorów – pisząc i stukając w klawiaturę, a potem przepisując wszystko od nowa. Dokładna i szybka pod każdym względem praca Patricii nad tekstem, a także jej dociekania i współpraca z Kate Hartson sprawiły, że książka ta mogła ujrzeć światło dzienne.

Dziękuję również Dianne Francis. Ślęczała po nocach w moim gabinecie i pełniła funkcję Nelsona DeMille, podczas gdy ja siedziałem w zamknięciu i pisałem. Dziękuję, Dianne, że ochroniłaś mnie przed światem.

Kolejnym właściwym krokiem, który zrobiłem przy winie i dobrym lunchu, było spotkanie z Jennifer Joel i Sloanem Harrisem – wyjątkowymi agentami literackimi z International Creative Management Partners. Znamy się z Jenny od dawna, Sloan zaś miał przyjemność poznać mnie dopiero podczas tamtego posiłku. Zaiskrzyło między naszą trójką i teraz jestem szczęśliwy i dumny, że reprezentują mnie prawdziwi zawodowcy.

Żaden z pisarzy nie powinien czytać umowy dotyczącej powieści albo scenariusza ani dogadywać się z jakimkolwiek urzędem decydującym o prawach autorskich. Na szczęście mam przyjaciela i prawnika: Davida Westermanna, który nie pozwala mi się podpisać na niczym, czego wcześniej sam nie przeczytał. Dotyczy to także czeków, które mu wystawiam. Dziękuję, Davidzie, za dobre rady.

Gdy w 1975 roku powstała pierwsza wersja tej powieści, Thomas Block, mój przyjaciel z dzieciństwa, który był pilotem Allegheny Airlines, pomógł mi opisać sceny powietrzne.

Trzydzieści osiem lat później ponownie poprosiłem emerytowanego już, lecz wciąż młodego duchem kapitana Blocka o ich zrewidowanie. Thomas zapewnił mnie, że w ciągu tych niemal czterech dekad zasady pilotowania nie uległy zmianie. W 1975 roku podziękowałem już Tomowi za jego czas i rady, więc nie muszę się powtarzać. Żartowałem – dzięki, Tom!

I w końcu... Dziękuję swojej cudownej młodej żonie, Sandy DeMille. Bo gdy zapytałem ją, czy mam rozważyć napisanie tej powieści od nowa, powiedziała mi:

– To jedna z najlepszych rzeczy, które napisałeś.

Tym samym zawiesiła poprzeczkę dla tego, co robię.

Przypominam sobie te słowa za każdym razem, gdy zasiadam nad czystą kartką.

Jak powiedział Owidiusz: *scribere iussit amor* – tym, co piszę, rządzi miłość.

1 W. Shakespeare, *Król Lear*, przeł. St. Barańczak, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1991.

2 Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*.

